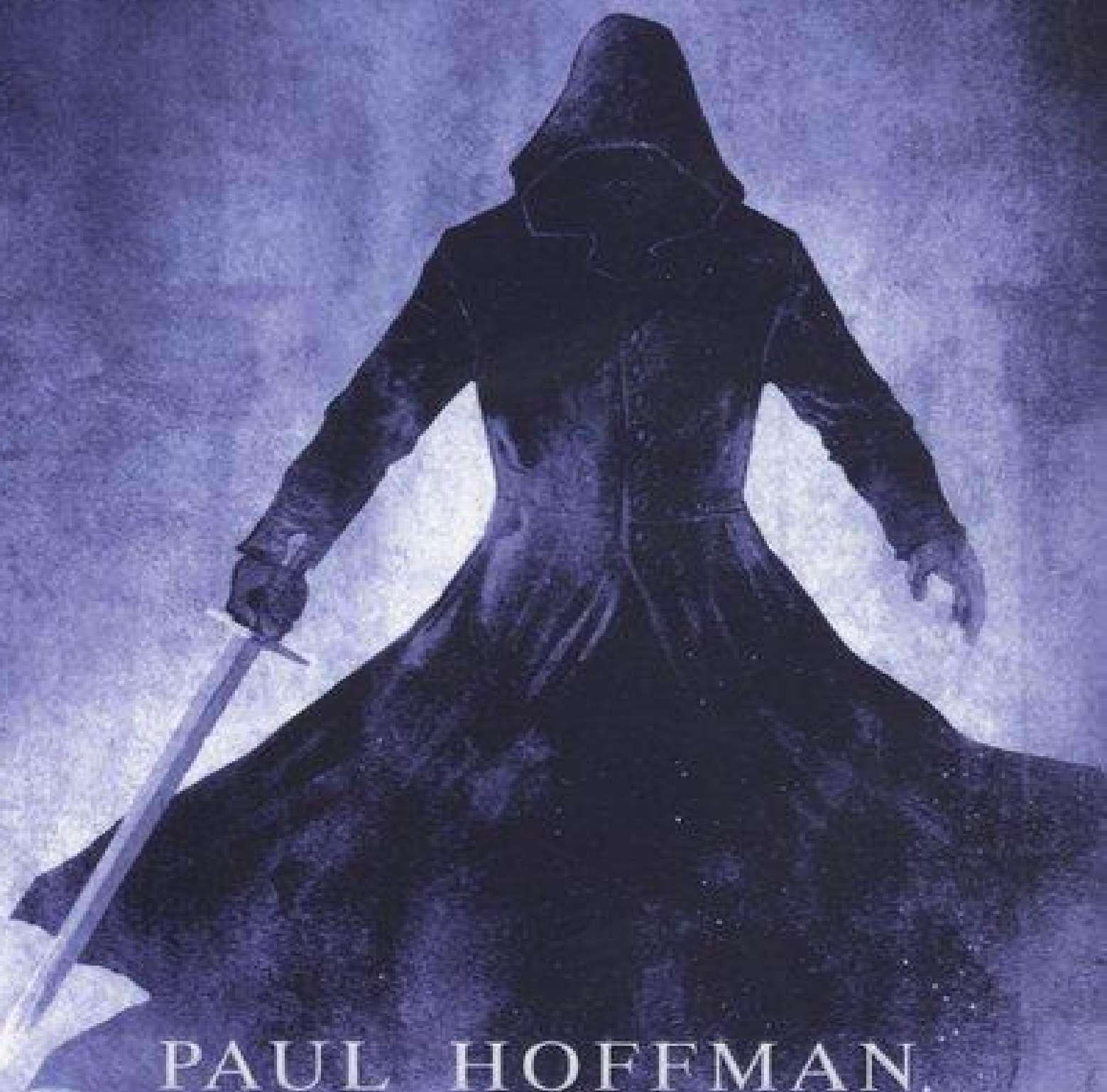


LEWA REKA BOGA



PAUL HOFFMAN

Leewa Ręka Boga otwiera epicką trylogię fantasy o młodym Thomasie Cale, niepokornym akolicie Powieszzonego Odkupiciela.

W Sanktuarium Zakonu Odkupicieli nie ma miejsca na litość i miłosierdzie. W kamiennym labiryncie sal, pozbawionym wszelkiej radości i nadziei, setki chłopców od szóstego roku życia pobierają nauki i szkolą się do walki o Jediną Słuszną Wiarę - wiarę w Powieszzonego Odkupiciela. Thomas Cale ma może piętnaście, szesnaście lat. Dawno zapomniał, jak się nazywał, zanim tu trafił. Wyjątkowo utalentowany, zarówno czarujący, jak też zdolny do niebywałego okrucieństwa, w chwili słabości pozwala sobie na nieodpowiedzialny czyn. W odruchu litości zabija pastwiącego się nad młodą dziewczyną oprawcę - jednego z odkupicieli. I tym samym podpisuje na siebie wyrok. Ratując życie przed zemstą fanatycznych wyznawców wiary, ucieka z sanktuarium. Niezwykłe zdolności i porwawczy charakter zyskują mu tyluż potężnych wrogów, co sojuszników. Jego przeznaczeniem jest stać się Aniołem Śmierci, Lewą Ręką Boga, która zetrze z powierzchni ziemi całą ludzkość razem z jej grzechami...

Lewa Ręka Boga

Z angielskiego przełożyła IZABELA MATUSZEWSKA

Tytuł oryginału: THE LEFT HAND OF GOD

Copyright © Paul Hoffman 2010 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2011

Redakcja: Joanna Morawska Ilustracja na okładce: Bergting Arts Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-237-4

Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz. t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com www.merlin.pl www.gandalf.com.pl www.ksiazki.wp.pl www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Dystrybucja

2011. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

1

Posłuchajcie. Nazwa Sanktuarium Odkupicieli na Skarpie Shotover jest przeklętym kłamstwem, ponieważ próżno by tam szukać odkupienia, a tym bardziej świętości. Okolicę porastają rzadkie kolczaste krzewy i patykowate zielska, i trudno tu odróżnić zimę od lata, co oznacza, że bez względu na porę roku panuje przenikliwy ziąb. Sanktuarium widać z odległości wielu staj, o ile w powietrzu nie unosi się, choć zdarza się to rzadko, ni to dym, ni to mgła, składająca się głównie z krzemienia, mieszanek wapiennej i mąki ryżowej. Mąka czyni beton twardszym od skały, co było jedną z przyczyn, dla których więzienie to, bo niczym innym to miejsce nie jest, oparło się tyłu oblężeniom, że w końcu wszelkie próby zdobycia Sanktuarium Shotover siłą uznano za daremne i od setek lat nikt ich nie podejmował.

Jest to w istocie cuchnąca, odpychająca forteca i nikt poza lordami odkupicielami nie odwiedza jej z własnej woli. Kim są zatem jego więźniowie? Słowo więzień również nie oddaje prawdy, ponieważ

sugeruje popełnioną zbrodnię, ci zaś, których przywieziono do Shotover, nie wykroczyli w niczym przeciw prawu ni Bogu. Nie przypominają też z wyglądu więźniów,

7

których mogliście oglądać na oczy. Żadna z osób, które tu trafiają nie skończyła dziesięciu lat, a upłynąć może nawet piętnaście, zanim opuszczą te mury, co udaje się ledwie połowie. Pozostali odejdą w całunie z niebieskiego worka i zostaną pochowani na polu Ginky'ego, czyli cmentarzu, który zaczyna się tuż za murami i rozciąga daleko jak okiem sięgnąć. Już to pozwala sobie wyobrazić rozmiary tego więzienia, a także panujące warunki, które sprawiają, że trudno się tu nawet utrzymać przy życiu. Nikt nie zna wszystkich przejść Sanktuarium, a w jego niekończących się krętych korytarzach, biegnących raz w górę, raz w dół, zgubić się równie łatwo jak w każdej dzicy. Wszystkie są takie same i nie zmieniają się przez wieki: brązowe, ciemne, brudne i cuchnące stęchlizną.

W jednym z takich korytarzy stoi chłopiec z ciemnoniebieskim workiem w ręku. Wygląda przez okno. Ma czternaście lub piętnaście lat, ale nie wie dokładnie ile, podobnie jak pozostali młodzi mieszkańcy Shotover. Nie pamięta, jak się naprawdę nazywa, ponieważ każdy przywożony chłopiec otrzymuje imię jednego z męczenników odkupicieli, a jest ich całe mnóstwo, bowiem od niepamiętnych czasów ci, których nie udało im się nawrócić, nienawidzili ich z całego serca. Młodzieniec z workiem zwie się Thomas Cale, chociaż nikt nigdy nie używa jego imienia, a czynienie tego uznaje się za ciężki grzech.

Do okna przyciągnął go odgłos północno-zachodniej bramy, jęczącej niczym olbrzym cierpiący na bóle w kolanach za każdym razem, kiedy ją otwierano, co zdarzało się nader rzadko. Patrzył, jak dwaj odkupiciele w czarnych sutannach wprowadzają na dziedziniec małego chłopca, mniej więcej ośmioletniego, a za nim następnego, młodszego, a potem kolejnych. Naliczył dwudziestu, zanim na końcu pokazali się zamykający pochód dwaj kapłani, i brama zaczęła się zamykać z artretyczną powolnością.

Ś

Nagle twarz Cale'a przybrała zupełnie inny wyraz, kiedy wychylił się, aby wyjrzeć poza bramę na leżące za nią Strupie Wzgórza. Tylko sześć razy wychodził za mury od czasu, gdy przywieziono go tu dziesięć lat temu jako najmłodsze, jak powiadano, dziecko sprowadzone kiedykolwiek do Sanktuarium. Za każdym razem strażnicy obserwowali go bacznie, jakby od tego zależało ich życie, co zresztą było prawdą. Gdyby nie przeszedł którejs z tych sześciu prób, bo tym one w istocie były, zostałby zabity na miejscu. Ze swego poprzedniego życia nie pamiętał niczego.

Kiedy brama się zamknęła, znów popatrzył na wprowadzonych chłopców. Żaden nie był pulchny, ale wszyscy mieli pucołowate twarzyczki właściwe małym dzieciom. Wszyscy otwierali szeroko oczy na widok ogromnej twierdzy i jej niebosiężnych murów, a jednak, choć onieśmieleni i zdumieni niezwykle obcym otoczeniem, nie okazywali strachu. Cale'a przepelniały dziwne uczucia, których nie potrafił nazwać, lecz choć był nimi głęboko zaabsorbowany, zdolność czujnego nasłuchiwania wszystkiego, co się wokół dzieje, uratowała mu życie, tak jak wielokroć przedtem.

Odszedł od okna i ruszył dalej korytarzem.

— Hej, ty! Stój!

Zatrzymał się i odwrócił. W drzwiach jednego z wielu pomieszczeń w korytarzu stał otyły odkupiciel. Fałdy skóry wylewały mu się nad koloratką. Z sali za jego plecami wydobywały się dziwne odgłosy i kłęby pary. Cale popatrzył nań, ale żaden mięsień nie drgnął mu na twarzy.

— Podejdź tu i pokaż mi się.

Chłopiec ruszył posłusznie w stronę mężczyzny.

— A, to ty — rzekł odkupiciel. — Co tu robisz?

— Lord Dyscyplinariusz przysłał mnie, abym zaniósł to do bębna.

9

f

To mówiąc, pokazał niebieski worek.

— Coś ty powiedział? Gadaj głośniej!

Cale naturalnie wiedział, że odkupiciel jest głuchy na jedno ucho i rozmyślnie mówił cicho. Powtórzył wszystko, krzycząc na cały głos.

— Stroisz sobie ze mnie żarty, pętaku?

— Nie, lordzie odkupicielu.

— Co robiłeś przy oknie?

— Przy oknie?

— Nie kpij sobie ze mnie. Coś tam robił?

— Usłyszałem, że otwierają północno-zachodnią bramę.

— Na Boga, naprawdę? — To odwróciło jego uwagę. — Wcześniej wrócili — mruknął z niezadowoleniem i obrócił się z powrotem do pomieszczenia. — Jeszcze dwudziestu na obiad! — zawołał w kierunku cuchnącej pary.

Otyły odkupiciel był bowiem Lordem Wiktuariuszem, nadzorcą kuchni, która nader dobrze karmiła odkupicieli, chłopców zaś prawie w ogóle.

— O czym myślałeś tam przy oknie?

— O niczym, lordzie odkupicielu.

— Rozmarzyłeś się, co?

— Nie, lordzie odkupicielu.

— Jeśli jeszcze raz cię przyłapię na wałęsaniu się po korytarzach, obedrę cię ze skóry. Słyszysz?

— Tak jest, lordzie odkupicielu.

Lord Wiktuariusz wrócił do kuchni i zaczął zamykać za sobą drzwi, a wtedy Cale powiedział do siebie cicho, lecz całkiem wyraźnie, tak że każdy, kto by stał w pobliżu i nie był przygłuchy, usłyszałby bez trudu:

— A żebyś się udławił, ty tłusty worze łajna.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a Cale poszedł dalej korytarzem, wlokąc za sobą worek. Prawie piętnaście minut minęło,

10

zanim dotarł do bębna, a niemal całą drogę przebył biegiem. Urządzenie nazywane bębniem, ponieważ bardzo przypominało z wyglądu ten instrument, miało trzy łokcie wysokości i tkwiło osadzone w ścianie. Po jego drugiej stronie znajdowało się pomieszczenie oddzielone od reszty Sanktuarium, gdzie, jak wieść niosła, mieszkało dwanaście mniszek, które gotowały jedzenie, ale tylko dla odkupicieli, i prały ich ubrania. Cale nie miał pojęcia, kto to mniszka, i nigdy żadnej nie widział na oczy, chociaż od czasu do czasu rozmawiał z którąś przez bęben. Nie wiedział, czym mniszki różnią się od innych kobiet, o których w Sanktuarium mówiło się rzadko i z wielką pogardą. Istniały tylko dwa wyjątki: Najświętsza Siostra Powieszzonego Odkupiciela oraz Błogosławiona Imelda Lam-bertini, która w wieku jedenastu lat zmarła od ekstazy podczas pierwszej komunii. Odkupiciele nigdy nie wyjaśniali, czym jest ekstaza, a żaden z chłopców nie był na tyle głupi, żeby

o to pytać.

Cale zakręcił bębniem, który obrócił się na osi i odsłonił duży otwór. Wrzucił do środka niebieski worek i znów zakręcił. Potem uderzył w powierzchnię urządzenia. Rozległo się głucho dudnienie, a trzydzieści sekund później po drugiej stronie odezwał się stłumiony głos:

— O co chodzi?

Cale przysunął się do bębna tak, że prawie dotykał go ustami,

1 krzyknął głośno:

— Odkupiciel Bosco chce to dostać z powrotem jutro rano!

— Czemu nie przyniesiono go razem z pozostałymi?

— A skąd ja mam to wiedzieć, do diabła?

W odpowiedzi usłyszał piskliwy okrzyk stłumionej wściekłości.

— Jak się nazywasz, ty bezbożny szczeniaku?

— Dominie Savio — skłamał Cale.

11

— Wiedz, Dominicu Savio, że poskarżę się na ciebie Lordowi Dyscyplinariuszowi, a on zedrze z

ciebie pasy.

— Mam to gdzieś.

* * ◆

Dwadzieścia minut później Cale stanął z powrotem w gabinecie Lorda Wojownika, który w żaden sposób nie pokazał po sobie, że go zauważył. Przez następnych pięć minut zapisywał coś w księdze rachunkowej, zanim nareszcie się odezwał, nie podnosząc wzroku.

— Czemu to tak długo trwało?

— Lord Wiktuariusz zatrzymał mnie w korytarzu muru zewnętrznego.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się, że usłyszał hałas z dworu.

— Co to był za hałas?

Lord Wojownik Bosco spojrzał w końcu na Cale'a. Miał jasnoniebieskie, szkliste, lecz bystre oczy. Niewiele mogło ujść ich uwagi.

— Otwierali północno-zachodnią bramę, żeby wpuścić nowicjuszy. Lord Wiktuariusz nie spodziewał się ich dzisiaj. Powiedziałbym, że zrzędała mu mina.

— Trzymaj język na wodzy — skarcił go odkupiciel dość łagodnym tonem jak na swoje szorstkie obejście.

Cale wiedział, że Lord Wojownik szczerze gardził nadzorcą kuchni i że może sobie bezpiecznie pozwolić na tak lekceważące wyrażanie się o tym konkretnym odkupicielu.

— Pytałem twojego przyjaciela, czy słyszał coś o ich przybyciu — rzekł Wojownik.

— Nie mam przyjaciół — odparł Cale. — Nie wolno nam się przyjaźnić.

12

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, ale nie był to przyjemny odgłos.

— Pod tym względem się o ciebie nie martwię. W każdym razie myślałem o tym chudym blondynie, jak go nazywacie?

— Henri.

— Wiem, jak ma na imię. Pytam o ten przydomek, który mu nadaliście.

— Nazywamy go Mętym Henrim.

Lord Wojownik znów się roześmiał, tym razem jednak w jego głosie słyhać było szczyptę prawdziwej wesołości.

— Idealnie — rzekł z uznaniem. — Zapytałem go, o której godzinie przybyli nowicjusze. Powiedział, że nie jest pewny, między ósmioma dzwonami, a dziewięcioma. Spytałem potem, ilu ich

przywieziono, a on na to, że około piętnastu, a może więcej. — Popatrzył Cale'owi w oczy. — Złoiłem mu skórę, aby na przyszłość nauczył się większej precyzji. Co o tym myślisz?

— Zgadzam się, odkupicielu — odparł głucho Cale. — Zasłużył na każdą karę, jaką mu wymierzyłeś.

— Doprawdy. Cóż za satysfakcja słyszeć, że tak myślisz. O której zatem przybyli?

— Tuż przed piątą.

— Ilu ich było?

— Dwudziestu.

— W jakim wieku?

— Żaden nie miał mniej niż siedem, ani więcej niż dziewięć lat.

— Skąd?

— Czterech Mezos, czterech Uitlanders, trzech Folders, pięciu półkastowych, trzech Miamczyków i jeden, którego nie rozpoznałem.

Lord Wojownik mruknął, jakby tylko częściowo zadowolony, że na wszystkie pytania usłyszał tak dokładne odpowiedzi.

— Podejdź do planszy. Przygotowałem dla ciebie zadanie. Masz dziesięć minut.

Cale podszedł do dużego stołu, długiego i szerokiego na dziesięć łokci, gdzie odkupiciel rozłożył mapę. Jej brzegi zwisały nieco za krawędzie. Łatwo było rozpoznać na niej wzgórza, rzeki, lasy, ale gdzieś tam leżały maleńkie kawałki drewna z narysowanymi hieroglifami i liczbami. Niektóre klocki ułożono w jakimś porządku, niektóre pozornie bez ładu. Cale przyglądał się mapie przez czas, jaki mu wyznaczono, po czym podniósł głowę.

— Słucham — powiedział Lord Wojownik.

Cale zaczął recytować rozwiązanie. Dwadzieścia minut później skończył i wyciągnął ręce przed siebie.

— Bardzo sprytne. Wręcz imponujące — rzekł odkupiciel.

Coś się zmieniło w oczach Cale'a. Z niespodziewaną szybkością Lord Wojownik smagnął lewą dłoń chłopca skórzanym pasem nabijanym drobnymi ćwieczkami. Cale skrzywił się z bólu i zacisnął zęby, zaraz jednak na jego twarz powróciła ta sama czujna i zimna obojętność, którą odkupiciel widział u niego niezmiennie przez te wszystkie lata. Usiadł i przyjrzał się chłopcu, jakby studiował przedmiot nad wyraz interesujący i niezadowolający zarazem.

— Kiedy ty się wreszcie nauczysz, że popisując się bystrością i oryginalnością, pozwalasz, aby powodowała tobą pycha? To rozwiązanie mogłoby się sprawdzić, ale pociąga za sobą nadmierne ryzyko. Znasz doskonale wypróbowane rozwiązanie tego zagadnienia. W czasie wojny nieefektywne zwycięstwo jest zawsze lepsze od spektakularnego. I lepiej, żebyś zrozumiał dlaczego.

Walnął pięścią w stół.

— Zapomniałeś, że odkupiciel ma prawo zabić każdego akolitę, który zrobi coś nieoczekiwanego?

14

Bosco po raz drugi grzmotnął w stół, po czym podniósł się i spiorunował Cale'a gniewnym spojrzeniem. Z czterech otworów w wyciągniętej dłoni chłopca pociekło trochę krwi, ale nie za dużo.

— Nikt inny nie folgowałby ci tak jak ja. Lord Dyscyplinariusz ma cię na oku. Co kilka lat urządza egzekucję pokazową. Chcesz skończyć jako Akt Wiary?

Cale patrzył przed siebie bez słowa.

— Odpowiadaj!

— Nie, panie.

— Myślisz, że jesteś komuś potrzebny, ty bezużyteczny Zedzie?

— Nie, panie.

— Moja wina, moja wina, moja wielka wina — powiedział Lord Wojownik, trzykrotnie uderzając się w pierś. — Masz dwadzieścia cztery godziny, aby przemyśleć swe grzechy, a potem ukorzysz się przed Lordem Dyscyplinariuszem.

— Tak jest, lordzie odkupicielu.

— A teraz się wynoś.

Cale opuścił ręce, odwrócił się i ruszył do drzwi.

— I nie zabrudź mapy krwią — zawołał za nim Lord Wojownik.

Chłopiec otworzył drzwi zdrową ręką i wyszedł.

Pozostawszy sam w swojej celi, Lord Wojownik obserwował, jak zamykają się drzwi. Kiedy zgrzytnął zamek, na jego twarzy miejsce ledwo powstrzymanego gniewu zajęło pełne namysłu zaniepokojenie.

Na korytarzu Cale przystanął i w przygnębiającym brązowym świetle, które spowijało każde miejsce w Sanktuarium, obejrzał lewą dłoń. Skaleczenia nie były zbyt głębokie, ponieważ ćwieki w pasie zaprojektowano tak, aby sprawiały dotkliwy ból, ale by rany nie wymagały potem długiego leczenia. Zamknął pięść

15

i zacisnął z całej siły. Na podłogę kapały ciężkie krople krwi. W końcu rozluźnił dłoń, a w ponurym świetle na jego twarz wkradł się wyraz przerażającej rozpacz. Po chwili zniknął

i Cale ruszył dalej, zostawiając za sobą pusty korytarz.

* * *

Żaden z chłopców w Sanktuarium nie miał pojęcia, ilu ich wszystkich tak naprawdę jest. Niektórzy

utrzymywali, że dziesięć tysięcy, a z każdym miesiącem coraz więcej. To właśnie ów wzrost liczby akolitów był najczęstszym przedmiotem dyskusji wśród młodych mieszkańców Shotover. Nawet między tymi, którzy dobiegali dwudziestki, panowała powszechna zgoda, że jeszcze pięć lat temu liczba chłopców się nie zmieniała. Od tamtej pory jednak wyraźnie wzrosła. Odkupiciele zmienili obyczaje, co samo w sobie stanowiło dziwne, a nawet złowieszcze zjawisko, jako że tradycja i konformizm były dla nich tym, czym powietrze dla istot oddychających. Każdy dzień powinien przypominać następny, każdy miesiąc kolejny miesiąc. Żaden rok nie powinien się różnić od innych. Tymczasem z powodu licznie przybywających chłopców należało przeprowadzić stosowne zmiany. W dormitoriach wstawiono dwu-, a nawet trzypiętrowe łóżka, aby pomieścić nowicjuszy. Nabożeństwa odprawiano w kilku turach, tak aby wszyscy mogli codziennie gromadzić kupony chroniące przed potępieniem. Ostatnio zaś wprowadzono nawet posiłki na zmiany. Nikt z chłopców nie miał jednak najmniejszego pojęcia, co leży u przyczyny owych zmian.

Owinąwszy sobie dłoń brudną szmatą wyrzuconą przez pomywaczy, Cale szedł z drewnianą tacą przez ogromny refektarz na drugą turę posiłku. Spóźnił się, lecz na szczęście nie na tyle, aby go wychłostano i wyrzucono. Podszedł do dużego stołu na końcu sali, przy którym zawsze jadał i zatrzymał się za

16

- 4

plecami akolity w jego wieku i mniej więcej tego samego wzrostu, tak pochłoniętego jedzeniem, że nie zauważył stojącego za nim Cale'a. Dopiero na widok podniesionych głów swych towarzyszy spojrzał w górę.

— Przepraszam, Cale — powiedział.

Wstając z ławy, wepchnął sobie resztę jedzenia do ust, po czym oddalił się pospiesznie z tacą w rękach.

Cale usiadł i spojrzał na swoją kolację: coś, co wyglądało jak kielbasa, ale nią nie było, polano wodnistym sosem i obok położono nieokreślone warzywa korzeniowe, wypłowiałe podczas wielogodzinnego gotowania na jasnożółtą papkę. Obok w miseczce stała owsianka, galaretowata, zimna i szara jak tygodniowe pomyje. Przez chwilę, chociaż umierał z głodu, nie mógł się zmusić, aby włożyć do ust pierwszy kęs. Wtedy ktoś rozpychając się, usiadł obok niego na ławie i Cale nie spojrzawszy w jego stronę, zaczął jeść. Jedynie ledwo zauważalne drganie w kąciku ust zdradzało obrzydliwy smak tego, co wzięł do ust.

Chłopiec, który usiadł obok niego, zaczął coś mówić, ale tak cichutko, że tylko Cale mógł go usłyszeć. Nierozsądnie było dać się przyłapać na rozmowie podczas posiłku.

— Znalazłem coś — oznajmił jego sąsiad głosem drżącym z podekscytowania.

— Gratuluję — odparł Cale obojętnie.

— To prawdziwa rewelacja.

Tym razem Cale w ogóle nie odpowiedział. Ze wszystkich sił starał się nie udławić owsianką. Przez chwilę jego towarzysze nic nie mówili.

— Znalazłem jedzenie. Prawdziwe jedzenie

Cale tylko nieznacznie uniósł głowę, ale chłopiec obok niego wiedział, że wygrał.

— Czemu miałbym ci wierzyć?

— Był ze mną Mętny Henri. Spotkajmy się o siódmej za Powieszonym Odkupicielem.

To rzekłszy, wstał i już go nie było. Cale podniósł głowę, a na jego twarzy odmalował się wyraz tęsknoty, tak odmienny od zimnej, obojętnej maski, którą zwykle pokazywał światu, że akolita po drugiej stronie stołu spojrzał na niego zdziwiony.

— Nie chcesz tego? — spytał z taką nadzieją w oczach, jakby śmierdząca kiełbasa i wodnista owsianka zwiastowały rozkosz nie do opisania.

Cale nie odpowiedział i nawet nie spojrzał na tamtego. Zmusił się znów do jedzenia i starał się nie wymiotować.

Skończywszy, zabrał swoją drewnianą tacę do szorowni, wyczyścił ją w misie piaskiem i odstawił na półkę. Wychodząc, pod baczynym okiem odkupiciela, który siedział w wielkim fotelu i obserwował refektarz, przykląkł przed posągiem Powieszzonego Odkupiciela i uderzył się trzykrotnie w pierś, powtarzając: „Jestem Grzechem, jestem Grzechem, jestem Grzechem" bez najmniejszego zastanowienia nad znaczeniem wypowiedzianych słów.

Na dworze się ściemniało, osiadała wieczorna mgła. To dobrze, łatwiej będzie się wymknąć niepostrzeżenie z małego dziedzińca w krzaki.

Kiedy dotarł na miejsce, nie widział już dalej niż na pięć kroków. Wszedł na żwir, którym wysypana była ziemia przed pomnikiem.

To była największa z setek wszystkich świętych szubienic w Sanktuarium. Niektóre, wielkości kilku cali, wisały na ścianach, osadzone we wnękach, kolejne ozdabiały urny ze świętymi prochami na końcu każdego korytarza i nad każdymi drzwiami. Stanowiły tu tak powszedni widok, tak częsty temat w naukach i kazaniach, że od dawna nie budziły żadnych

18

skojarzeń. Tak naprawdę nikt poza nowicjuszami nie dostrzegł w nich tego, czym w istocie były: figurkami mężczyzny wiszącego na stryczku, z ciałem pociętym na mękach, z połamanymi nogami sterczącymi nienaturalnie na boki. Święte szubienice Powieszzonego Odkupiciela wykonane tysiąc lat temu cechował surowy realizm: groza w oczach i na twarzy umęczonego rekompensowała brak rzeźbiarskiego kunsztu; skręcone, zmasakrowane ciało, język sterczący z ust. To okropna śmierć — mówili swymi dziełami rzeźbiarze. Z biegiem lat zaczęto produkować coraz bardziej wyrafinowane posąжки, a zarazem coraz mniej wymowne. Gigantyczny pomnik z ogromną szubienicą, grubym sznurem i postacią powieszzonego wielkości dziesięciu łokci miał zaledwie trzydzieści lat. Rany na plecach odkupiciela były wyraźne, lecz bezkrwawe, nogi zamiast boleśnie zdruzgotane, lekko wygięte, jakby złapał go skurcz. Największe zdziwienie budziła jednak twarz: nie udręczona bólem ani wykrzywiona od uduszenia, lecz naznaczona jakąś kłopotliwą świętością, jakby drobna kostka utknęła męczennikowi w gardle i próbował ją nieśmiało odkasznąć.

Tak więc Cale widział tylko wielkie stopy odkupiciela wystające z ciemności i białej mgły. Poczul się nieswojo. Ostrożnie, aby nie narobić hałasu, wszedł między krzaki, które osłoniły go przed wzrokiem przechodzących osób.

— Cale?

— Tak. '

Z zarośli wyłonili się przed nim chłopiec z refektarza, Kleist, oraz Mętny Henri.

— Mam nadzieję, że to wasze znalezisko warte było ryzyka, Henri — szepnął Cale.

— O tak, Cale, zapewniam cię, że tak.

Kleist dał Cale'owi znak, żeby wszedł za nim w krzaki rosnące pod murem. Mrok zalegał tu jeszcze gęstszy i Cale

19

f

musiał odczekać, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Pozostali dwaj chłopcy czekali również. Wtedy zobaczyli drzwi.

Obecność drzwi może nie wydać się nikomu tak bardzo podniecająca, lecz chociaż w Sanktuarium było całe mnóstwo wejść i przejść, drzwi należały do rzadkości. Podczas Wielkiej Reformacji przed dwustu laty ponad połowa odkupicieli spłonęła na stosach za herezję. W obawie, że odszczepieńcy mogli zatruć umysły chłopców, na wszelki wypadek zwycięska sekta odkupicieli poderżnęła gardła wszystkim wychowankom heretyków. Po odbudowaniu populacji nowicjuszy wprowadzono w Sanktuarium wiele zmian, wśród nich usunięto drzwi ze wszystkich pomieszczeń, w których przebywali akolici.

Koniec końców, czemu mogą służyć drzwi w miejscach, gdzie mieszkają grzesznicy? Drzwi skrywają tajemnice i sprzyjają diabelskim sprawkom, stwierdzili odkupiciele. Za drzwiami ludzie szukają odosobnienia lub chcą przebywać z innymi, którzy mają grzeszne intencje. Samo pojęcie wprawiało odkupicieli we wściekłość i budziło grozę. Diabeł przybierał już nie tylko postać potwora z rogami, lecz równie często dużego drewnianego prostokąta z zamkiem. Naturalnie anatema nie obejmowała kapłanów. Nieomylnym znakiem ich odkupienia stały się właśnie drzwi wprawione w miejscach pracy i snu. Miarą świętości odkupiciela była liczba kluczy, którą pozwalano mu nosić na łańcuchu u pasa. Idąc i podzwaniając, ogłaszał światu, że ma już zapewnione miejsce w niebiosach.

Tak więc odkrycie w Sanktuarium nieznanych drzwi było naprawdę zdumiewającym wydarzeniem.

Kiedy oczy Cale'a przyzwyczały się do ciemności, zobaczył obok drzwi odrapany tynk i stertę pokruszonych cegieł.

— Znalazłem je, gdy ukrywałem się przed Chetnickiem — powiedział Mętny Henri. — Tynk na rogu odpadał, więc czekając, aż Chetnick sobie pójdzie, zacząłem skubać to, co się

20

kruszyło. Kiedy do środka dostała się woda, to odpadał całymi płatami. Poszło błyskawicznie.

Cale wyciągnął rękę i kilka razy ostrożnie popchnął drzwi.

— Zamknięte.

Kleist i Mętny Heri wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Kleist sięgnął do kieszeni i wyjął coś, czego Cale nigdy nie widział w rękach akolity — długi, gruby klucz, cały podziurawiony przez rdzę. Wszystkim trzem chłopcom oczy błyszczały z podniecenia. Kleist wsunął klucz w otwór zamka i stękając z wysiłku, zaczął przekręcać. Rozległ się zgrzyt i metalowa główka obróciła się raptownie.

— Trzy dni szufłowaliśmy brud i gruz, żeby je otworzyć — oznajmił Mętny Henri z dumą.

— Jak zdobyliście klucz?

Kleist i Mętny Henri nie posiadali się z radości, że Cale mówi do nich, jakby wskrzesili zmarłego albo chodzili po wodzie.

— Powiem ci, jak wejdziemy do środka. Chodź.

Kleist przyłożył ramię do drzwi, pozostali poszli za jego przykładem.

— Nie pchajcie za mocno, bo zawiasy mogą być słabe. Nie naróbmy hałasu. Liczę do trzech.

— Odczekał. — Gotowi? Raz, dwa, trzy.

Popchnęli, ale wysiłek okazał się nadaremny. Przerwali i wzięli głęboki oddech.

— Raz dwa, trzy!

Natężyli siły i w końcu drzwi ustąpiły odrobinę z głośnym skrzypnięciem. Cofnęli się przestraszeni. Jeśli ktoś ich usłyszy, Bóg jeden wie, co z nimi zrobią.

— Mogą nas za to powiesić — stwierdził Cale.

Kleist i Henri popatrzyli na niego poważnie.

— Eee, powiesić to raczej nie.

21

— Bosco mi powiedział, że Dyscyplinariusz szuka tylko pretekstu, żeby zorganizować Akt Wiary. Od pięciu lat nikogo nie powiesili.

— Niemożliwe, nie zrobiliby czegoś takiego — powtórzył wstrząśnięty Henri.

— Oczywiście, że by zrobili. Przecież to drzwi, na litość boską! A ty masz klucz! — zawołał Cale do Kleista. — Okłamałeś mnie. Nie macie pojęcia, co tam jest w środku. To pewnie jakiś ślepy zaułek, nic, co warto byłoby ukraść, i pewnie w ogóle nic ciekawego. — Zwrócił się do drugiego chłopca: — To nie było warte całego ryzyka, Henri, ale jak chcesz, to sam nadstawiaj karku. Ja stąd znikam.

W chwili, kiedy zaczął się odwracać, od strony dziedzińca doszedł rozgniewany, zniecierpliwiony głos:

— Kto tam jest? Co to za hałasy?

A potem usłyszeli kroki mężczyzny wchodzącego na żwir przed Powieszonym Odkupicielem.

Może wiecie, jak to jest, gdy człowiek zamiera z grozy — oczy się rozszerzają, język staje kołkiem w gardle, wnętrzności wywracają się do góry nogami. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co czuli Kleist i Mętny Henri, kiedy przed oczami stanęło im całe okrucieństwo, z jakim odkupiciele potraktują ich za tę głupotę: wielki, milczący tłum będzie czekał w bladym świetle; rozlegną się krzyki Kleista i Henriego, kiedy oprawcy powloką ich na szafot; po nieskończeniu długiej godziny mszy założą im na szyję sznur i pociągną do góry, a oni będą się dusić i wierzgać nogami.

Cale jednak podszedł do wejścia, natężywszy siły, uniósł drzwi w rozpadających się zawiasach i popchnął. Otworzyły się prawie bezszelestnie. Złapał obu sparaliżowanych ze strachu chłopców za ramiona i popchnął ich w stronę otworu, a kiedy znaleźli się w środku, sam prześliznął się przez szczelinę i z wysiłkiem, lecz również prawie bezgłośnie zamknął drzwi.

— Wychodź stamtąd! Natychmiast! — usłyszeli stłumiony, lecz wyraźny głos mężczyzny.

— Dajcie mi klucz — polecił Cale.

Kleist posłusznie włożył mu do ręki metalowy przedmiot,

23

a wtedy Cale odwrócił się i zaczął szukać zamka, lecz nagle znieruchomiał, uprzytomniwszy sobie, że nie umie się posługiwać kluczem.

— Kleist, ty to zrób! — szepnął.

Kleist wymacał ręką zamek i wsunął ciężki klucz w otwór.

— Tylko po cichu — powiedział mu Cale.

Drżącą ręką, doskonale wiedząc, że to co robi, to sprawa życia lub śmierci, Kleist przekręcił klucz. Zgrzytnięcie zamka zdawało im się uderzeniem młota w żelazną donicę.

— Chodź tu w tej chwili! — zażądał stłumiony głos.

Cale wyczuł w nim jednak wahanie. Ktokolwiek brodził tam

we mgle, nie był pewien, czy go słuch nie zwodzi.

Czekali. W ciszy słyszeli tylko własne lekko chrapliwe, przerażone oddechy. Potem doszedł ich przytłumiony chrzęst żwiru — mężczyzna odwrócił się i wkrótce dźwięk utonął we mgle.

— Poszedł po Dłuciarzy.

— Może nie — odparł Cale. — Myślę, że to był Wiktuariusz. To tłusty, leniwy drań, a w dodatku przygłuchy. Mógł przeszukać zarośla, ale mu się nie chciało. Nie będzie się palił do wyciągania Dłuciarzy z psami, skoro nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć głębiej między krzaki, bo musiałby wysilić smalcowate cielsko.

— Jeśli wróci tu jutro za dnia, znajdzie drzwi — zauważył Mętny Henri. — Nawet jeśli damy radę teraz uciec, to będą nas szukać.

— Będą szukać i na pewno kogoś znajdą, ale niekoniecznie winnego. Nie uda im się powiązać nas z tym miejscem. Pewnie ktoś za to odpowie, ale to nie musimy być my.

— A jeśli pobiegł po pomoc? — spytał Kleist.

— Otwórz drzwi i uciekajmy stąd.

Kleist po omacku znalazł zamek i zaczął go otwierać, ale

24

* m

n

klucz nie chciał nawet drgnąć. Spróbował jeszcze raz. Nic. Nacisnął z całej siły, a wtedy rozległ się głośny trzask.

— Co to było? — spytał Mętny Henri.

— Klucz — odparł Kleist. — Złamał się i utknął w zamku.

— Co takiego?! — zawołał Cale.

— Klucz się złamał. Nie możemy stąd wyjść. W każdym razie nie tędy.

— Boże! — zaklął Cale. — Ty durniu. Gdybym cię widział, skrzyłbym ci kark.

— Może jest stąd inne wyjście.

— A jak je znajdziemy w tych ciemnościach? — spytał Cale kwaśno.

— Ja mam światło — odrzekł Kleist. — Pomyślałem, że może się przydać.

Przez chwilę słychać było tylko szelest przeszukiwanej sutanny, potem stukot czegoś upuszczonego na ziemię, odgłos schylającego się Kleista i znowu szelest materiału. Wreszcie posypały się iskry z krzemienia, a podłożony suchy mech zajął się szybko i w jego świetle mogli zobaczyć Kleista przykładającego do płomyków knot świecy. Po chwili włożył ją do szklanego klosza i po raz pierwszy mogli się rozejrzeć po pomieszczeniu, w którym się znaleźli.

Prawda, że niewiele dało się zobaczyć w marnym świetle świeczki ze zwierzęcego łoju, ale nawet ta odrobina światła wystarczyła, aby się mogli zorientować, że miejsce, w którym utknęli, nie jest żadną izbą, tylko fragmentem odciętego korytarza.

Cale zabrał Kleistowi świecę i obejrzał drzwi.

— Tynk wcale nie jest taki stary, ma najwyżej kilka lat.

Coś przemknęło w kącie, wszyscy trzej pomyśleli to samo:

szczur.

Jedzenie szczurów było w Sanktuarium zabronione z powo-

25

dów religijnych, ale to akurat tabu jako jedno z nielicznych miało przynajmniej rozsądne uzasadnienie: wszyscy wiedzieli, że zwierzęta te to choroby biegające na czterech łapach. Mimo to wśród chłopców mięso szczurów uchodziło za prawdziwy rarytas. Rzecz jasna, nie każdy nadawał się na szczurzego rzeźnika, umiejętność tę wysoko ceniono i przekazywano jedynie wybranym uczniom, zwykle w zamian za bardzo kosztowne wkupne i liczne przysługi. Szczurzy rzeźnicy zazdrośnie strzegli swych tajemnic i kazali sobie płacić za usługi połową ubitego zwierzęcia — cenę tak wysoką, że niejeden postanawiał polować samodzielnie, nierzadko ze skutkiem, który skłaniał innych do płacenia pokornie i z wdzięcznością. Kleist był jednym ze szczurzych rzeźników.

— Nie mamy teraz czasu — oznajmił Cale, uprzytomniwszy sobie, co mu chodzi po głowie. — Poza tym tu jest za mało światła, żeby go oprawić.

— Potrafię oprawić szczura nawet z zamkniętymi oczami — odparł Kleist. — Kto wie, jak długo przyjdzie nam tu tkwić?

Podwinął sutannę i z kieszeni ukrytej w rąbku wyjął duży kamień. Wycelował starannie i cisnął nim w półmrok. W kącie rozległ się pisk i gwałtowne rzucanie. Kleist wziął od Cale'a świecę i ruszył w stronę dźwięku. Włożył dłoń do kieszeni i z wielką pieczołowitością rozwinął kawałek materiału, przez który podniósł szczura. Szybkim ruchem nadgarstka złamał zwierzęciu kark, po czym schował go do tej samej kieszeni.

— Dokończę później.

— To jest korytarz — powiedział Cale. — Musiał kiedyś dokądś prowadzić. Kto wie, może nadal uda się nim gdzieś dojść.

Kleist ze świecą szedł pierwszy. Nie minęła minuta, a Cale zaczął powątpiewać w słuszność swych domysłów. Korytarz zwęził się tak raptownie, że dalej mogli posuwać się tylko

26

zgięci w pół. Nigdzie natomiast nie było widać ani śladu drzwi, na które liczył, choćby zamurowanych.

— To nie jest korytarz — nadal starał się mówić szeptem. — Bardziej przypomina tunel.

Przez ponad pół godziny szli szybkim krokiem, ponieważ pomimo ciemności podłoga była równa i nie trafiali na żadne śmieci ani przeszkody.

W końcu odezwał się Cale.

— Czemu mi powiedzieliście, że tu jest jedzenie, skoro nawet nie weszliście do środka?

— Bo inaczej byś nie przyszedł, przecież to oczywiste — odparł Mętny Henri.

— I mądrze bym zrobił. Obiecałeś mi jedzenie, Kleist, a ja ci uwierzyłem jak idiota.

— Wiemy, że nikomu nie ufasz — rzekł Kleist.—Poza tym nie kłamałem: mamy szczura. A gdzieś tu jeszcze musi być jedzenie.

— Skąd wiesz? — zapytał Henri głosem zdradzającym wielki głód.

— Bo tu jest dużo więcej szczurów, muszą się czymś żywić.

Zatrzymał się raptownie.

— Co się stało? — spytał Henri.

Kleist wyciągnął świecę. Przed nimi wznosiła się ściana. Bez drzwi.

— Może są pod tynkiem — wyraził przypuszczenie Kleist.

Cale obmacał ścianę dłonią, a potem postukał w nią palcem.

— To nie jest tynk, tylko beton z mąką ryżową, tak samo jak w murach zewnętrznych.

A więc nie było sposobu, aby się przebić.

— Musimy zawracać. Może przegapiliśmy jakieś przejście w bocznej ścianie? Nie sprawdzaliśmy ich dokładnie.

— Nie sądzę — odrzekł Cale. — Poza tym, jak długo jeszcze wytrzyma świeca?

27

Kleist przyjrzał się łożówce.

— Dwadzieścia minut.

— No to co zrobimy? — spytał Mętny Henri.

— Zgaś świecę i pomyślmy spokojnie — powiedział Cale.

— Dobry pomysł — uznał Kleist.

— Nie posiadam się z radości, że się ze mną zgadzasz — mruknął Cale.

Usadowiwszy się na podłodze, Kleist zdjął klosz i zdusił płomień palcami. Siedzieli w ciemności i wszyscy trzej myśleli o zapachu zwierzęcego tłuszczu ze zgaszonej świecy. Smród zjełczałego łożu przywodził im na myśl tylko jedną rzecz: jedzenie.

Po pięciu minutach odezwał się Mętny Henri.

— Tak sobie myślę... — zaczął i urwał. Pozostali dwaj chłopcy czekali. — To jest jeden koniec tunelu. — Znowu umilkł. — Gdzieś musi być drugie wejście. — Znowu przerwał. — To tylko taka myśl...

— Myśl? — powtórzył Kleist. — Nie pochlebiaj sobie.

Henri nie odpowiedział, ale Cale się podniósł.

— Zapal świecę.

Minutę zajęło, zanim mech zajął się od krzemienia, lecz wkrótce znowu mogli się widzieć. Cale przykucnął.

— Daj ją Henriemu i wejdź mi na ramiona.

Kleist oddał lampkę i wdrapał się koledze na plecy, a potem oplótł go nogami za szyję. Cale stęknął i wyprostował się.

— Teraz weź świecę z powrotem.

Kleist posłusznie zrobił, co mu kazano.

— I popatrz w górę, na sufit.

Chłopiec podniósł dłoń z płomieniem i zaczął się rozglądać, nie mając właściwie pojęcia, czego szuka.

— Jest! — zawołał.

— Cicho bądź, do diabła!

28

— To właz — szepnął uradowany.

— Sięgniesz do niego?

— Tak, nawet nie muszę się za bardzo wyciągać.

— Tylko ostrożnie. Popchnij bardzo delikatnie. Ktoś może być na górze.

Kleist przyłożył dłoń do krawędzi włazu i nacisnął.

— Poruszył się.

— Spróbuj go odsunąć i coś zobaczyć.

Rozległo się szuranie.

— Nic nie widzę, zupełnie ciemno. Podniosę tu świecę. — Czekali chwilę. — Nadal niewiele widać.

— Możesz się tam wspiąć?

— Jeśli mnie podsadzisz za nogi, to złapię się krawędzi. Teraz!

Cale złapał go za stopy i popchnął w górę. Kleist podciągnął się do góry, ale cofnął się, kiedy kłapa stuknęła im nad głowami.

— Ciszej! — syknął Cale.

A potem Kleist zniknął.

Czekali w ciemności rozproszonej tylko słabym blaskiem wlewającym się przez otwór w stropie, ale nawet on przygasł, kiedy Kleist oddalił się od włazu, żeby się rozejrzeć. Wreszcie zapadł zupełny mrok.

— Uważasz, że można mu ufać? Nie zwieje sam?

— Chyba nie — odparł Henri. — Myślę, że...

Nie dokończył, bo w otworze znowu pojawił się płomień świecy, a po nim głowa Kleista.

— To jakiś pokój — szepnął. — Ale przez drugi właz widać światło.

— Wchodź mi na ramiona — rozkazał Cale Mętnemu Henriemu.

— A co z tobą?

— Zaczekajcie tam, to mnie wciągniecie.

Mętny Henri był dużo lżejszy, podsadzenie go do włazu wymagało jeszcze mniej wysiłku.

— Opuść mi tu świecę jak najniżej — zakomenderował Cale, kiedy Henri znalazł się na górze.

Kleist zsunął przez otwór tułów, podczas gdy Mętny Henri trzymał go za stopy. Cale podszedł do ściany tunelu, wsunął dłoń w pęknięcie w murze i podciągnął się. Potem znalazł następne i jeszcze następne, aż wreszcie mógł chwycić Kleista za rękę. Ścisnęli się za nadgarstki.

— Dasz radę?

— Martw się o siebie. Tylko poczekaj, oddam Henriemu świecę.

Zwisając połową ciała z włazu, wyciągnął rękę z powrotem do góry i po chwili na dole znowu zapadła ciemność.

— Na trzy. — Przerwał. — Raz, dwa, trzy.

Cale puścił się muru, a Kleist stęknął ciężko, kiedy cały ciężar przyjaciela zawisł na jego nadgarstku. Cale odczekał chwilę, aż przestanie się bujać, po czym wyrzucił drugą rękę i złapał Kleista za ramię, a Henri w tym czasie ciągnął go za nogi. Udało im się zyskać zaledwie sześć cali, ale to wystarczyło, aby Cale zdołał uchwycić się brzegu otworu i odciążyć chłopców. Oczekali chwilę, po czym wspólnymi siłami wciągnęli go przez właz na drewnianą podłogę.

Przez jakiś czas wszyscy trzej leżeli i dyszeli ciężko. Potem Cale wstał.

— Pokaż mi tę drugą klapę.

Kleist dźwignął się na nogi, wziął świeczkę, z której został już tylko ogarek, i poszedł w głąb izby. Po chwili wszyscy trzej pochyłali się nad drugim włazem. Z jednej strony klapy widniała szczelina. Cale przyłożył do niej oko, ale poza światłem nie zobaczył niczego konkretnego. Przytknął więc do szpary ucho.

— Co ty...?

30

— Cicho — syknął Cale.

Nasłuchiwał przez dobre dwie minuty, po czym usiadł i przyjrzał się klapie. Nigdzie nie widać było uchwytu, ani żadnego innego sposobu, aby ją podnieść. Obmacał brzegi, aż trafił na niewielką

szparkę, która pozwoliła nieco przesunąć pokrywę w stronę jednej krawędzi. Skrzywił się z niezadowoleniem na hałas, który spowodowała poruszona kłapa. Mimo to nie dał rady wsunąć w otwór nawet palca, więc musiał wbić paznokcie w drewno, żeby podważyć ciężkie deski. Bolało, kiedy ciągnął kłapę do góry, ale udało mu się unieść ją na tyle, by wcisnąć pod spód rękę. Podniósł ją i wszyscy trzej zajrzeli na dół.

Ich oczom ukazał się widok, o jakim im się nawet nie śniło.

W milczeniu i bez ruchu trzej chłopcy pozerali wzrokiem pomieszczenie, które otworzyło się pod ich stopami. Każda wolna powierzchnia zastawiona była talerzami z jedzeniem: kurczakiem pieczonym z chrupiącą skórką, natartym solą i zmielonym pieprzem, grubymi plastrami wołowiny, wieprzowiną tak przyrumienioną, że wydawała przy ugryzieniu trzask jak złamany patyk; chlebem pokrojonym w grube kromki ze skórką miejscami prawie czarną i talerzami z cebulą o fioletowym zabarwieniu, ryżem z owocami, tłustymi rodzynkami i jabłkami. I deserami: puddingami, wielkimi górami bez, słodkimi sosami mlecznymi i misami gęstej śmietany.

Chłopcy jednak nie potrafili nawet nazwać większej części tych wspaniałości: po co znać słowo oznaczające bezę, skoro nie ma się pojęcia o jej istnieniu, lub wiedzieć, że grube plastry wołowego mięsa i piersi z kurczaka mają jakiś związek z odpadami z podrobów, nóg i mózgow, zmielonymi i wtłoczonymi w zwierzęce jelita, którą to potrawę znali jako jedyny smak mięsa. Pomyślcie tylko, jakże dziwne zdałyby się barwy i kształty świata ślepcowi, który nagle przejrzał na oczy lub człękowi

32

głuchemu od urodzenia, gdyby nagle usłyszał muzykę wygrywaną na setkach fletów.

Mimo oszołomienia i strachu głód wywabił chłopców z włazu niczym małpki. Zeskoczyli na ziemię i zaczęli krążyć między stolami, nie odrywając osłupiałych oczu od obfitości jedzenia, otaczającego ich ze wszystkich stron. Nawet Cale o mało nie zapomniał, że powinni zamknąć za sobą kłapę. Otumaniony zapachami i ponętnymi kolorami potraw zsunął na bok kilka talerzy i stanął na stole. Wyciągnąwszy ręce najdalej, jak mógł, zdołał przepchnąć kłapę tak, że wpadła na swoje miejsce.

Kiedy zszedł z powrotem na podłogę, chłopcy plądrowali już jedzenie z długoletnią wprawą wyćwiczonych padlinożerców. Brali z każdego talerza tylko po jednym kawałku i poprawiali resztę tak, aby po kradzieży nie został ślad. Nie oparli się pokusie kilku kęsów kurczaka czy chleba, ale zdecydowana większość łupu znikła w rozlicznych ukrytych kieszeniach, które pomimo zakazów wszywali w fałdy sutanny, aby przenosić wszelką kontrabandę, jaka im się trafiała.

Cale poczuł mdłości od intensywnych zapachów, aż przez chwilę się bał, że zemdleje, jakby nasączono je specjalnie środkami wydzielającymi otumaniające opary.

— Nie jedzcie teraz. Weźmiemy tylko to, co możemy schować — upominał w tym samym stopniu kolegów, co siebie.

Wziął swoją część i zaczął upychać skradzione rzeczy do kieszeni, okazało się jednak, że nie starczy mu miejsca, aby ukryć wszystkie łupy. Nie potrzebowali na co dzień zbyt wiele kryjówek, ponieważ zwykle ich zdobycze były nad wyraz rzadkie i skromne.

— Musimy się stąd wynosić i to natychmiast — powiedział Cale, podchodząc do drzwi.

Jakby przebudzeni z głębokiego snu, Kleist i Mętny Henri uprzytomnili sobie nagle, w jakim ogromnym szańcebezpieczeń-

stwie. Cale nasłuchiwał przez chwilę pod drzwiami, a potem je uchylił. Po drugiej stronie biegł korytarz.

— Bóg jeden wie, gdzie jesteśmy, ale musimy się gdzieś ukryć.

To powiedziawszy, wyszedł z kuchni, a pozostali ostrożnie podążyli za nim. Posuwali się szybko, trzymając się blisko ścian. Po kilku krokach trafili na schody wiodące w górę. Henri ruszył w ich stronę, ale Cale pokręcił głową.

— Musimy znaleźć jakieś okno albo wyjście na dwór, żeby się zorientować, gdzie jesteśmy. Jeśli nie wrócimy do nocowalni przed gaszeniem świec, odkryją, że nas nie ma.

Ruszyli dalej, lecz nie uszli daleko, gdy nagle zaczęły się otwierać drzwi po lewej stronie. Odwrócili się błyskawicznie i pomknęli z powrotem do schodów. Wbiegli na górę i rozplaszczyli się przy ścianie na półpiętrze, nasłuchując głosów osób przechodzących na dole korytarzem. Doszło ich skrzypnięcie otwieranych następnych drzwi, lecz kiedy Cale podniósł głowę, zobaczył już tylko tył postaci idącej w kierunku kuchni, z której właśnie wyszli. Mętny Henri poruszył się obok niego niespokojnie. Był zdezorientowany i przestraszony.

— Co to za głosy? — zapytał szeptem. — Jakieś dziwne.

Cale pokręcił głową, ale on również zauważył w nich coś

osobliwego, co wywołało dziwne poruszenie w jego żołądku. Rozejrzał się. Jedyna droga wyjścia z półpiętra, gdzie stali, prowadziła przez drzwi za ich plecami. Szybko przekręcił gałkę i wszedł do środka. Miejsce, w którym się znalazł, nie było jednak żadnym pomieszczeniem, tylko balkonem zakończonym kilka kroków dalej niskim murkiem. Cale podkraść się na czworakach w jego stronę, a za nim pozostali chłopcy. Potem wszyscy przycupnęli pod osłoną niskiej ścianki.

Gdzieś w przestrzeni za balkonem wybuchnął śmiech i owacje, ale choć śmiech był w Sanktuarium zjawiskiem rzadkim,

34

nigdy zaś właściwie nie słyszało się tu wybuchów tak głośnych i wesołych jak ten, to jednak nie on wprowadził chłopców w największe zdumienie, lecz jego niespotykany, wysoki ton. Podobnie jak głosy, które słyszeli przed chwilą w korytarzu pod schodami, wprowadził on ich w nieznane drżenie.

— Wyjrzyj i zobacz, co tam jest — szepnął Mętny Henri.

— Nie — odparł bezgłośnie Cale.

— Musisz. Albo ja to zrobię.

Cale złapał go za nadgarstek i ścisnął.

— Jeśli nas złapią, zabiją nas.

Henri niechętnie kucnął z powrotem pod balkonowym murkiem. Usłyszeli następny wybuch śmiechu, ale tym razem Cale nie spuszczał Mętneho Henriego z oczu. Za to po chwili zauważył, że Kleist wyciągnął się na klęczkach i wyrżał w dół w kierunku, skąd dochodziły głosy. Próbował go zmusić do ukrycia się, lecz Kleist był znacznie silniejszy od Henriego i nie sposób go było ruszyć siłą tak, aby nie narobić zamieszania.

Powoli Cale wystawił głowę ponad krawędź i spojrzawszy w dół, zobaczył widok o niebo bardziej wstrząsający i niepokojący niż kuchnia pełna jedzenia. Poczul się tak, jakby każda cząstka jego ciała została ukłuta setkami ćwieków na kijach i pasach odkupicieli.

Na dole rozciągał się wielki hol, a w nim kilkanaście stołów, zastawionych takim samym jedzeniem, jakie widzieli w kuchni, ustawionych w kręgu, tak, aby biesiadnicy mogli się nawzajem widzieć. Głównym powodem tej uroczystości były najwyraźniej dwie młode kobiety ubrane na białe. Jedna z dziewcząt zwracała uwagę wyjątkową urodą. Miała długie ciemne włosy i głęboko zielone oczy. Była piękna, lecz również pulchna niczym poduszka. Stoły otaczały duży basen, pełen gorącej wody, z obłokami pary unoszącymi się nad powierzchnią. To właśnie widok

35

nigdy zaś właściwie nie słyszało się tu wybuchów tak głośnych i wesołych jak ten, to jednak nie on wprowadził chłopców w największe zdumienie, lecz jego niespotykany, wysoki ton. Podobnie jak głosy, które słyszeli przed chwilą w korytarzu pod schodami, wprowadził on ich w nieznane drżenie.

— Wyrzyj i zobacz, co tam jest — szepnął Mętny Henri.

— Nie — odparł bezgłośnie Cale.

— Musisz. Albo ja to zrobię.

Cale złapał go za nadgarstek i ścisnął.

— Jeśli nas złapią, zabiją nas.

Henri niechętnie kucnął z powrotem pod balkonowym murkiem. Usłyszeli następny wybuch śmiechu, ale tym razem Cale nie spuszczał Mętneho Henriego z oczu. Za to po chwili zauważył, że Kleist wyciągnął się na klęczkach i wyrżał w dół w kierunku, skąd dochodziły głosy. Próbował go zmusić do ukrycia się, lecz Kleist był znacznie silniejszy od Henriego i nie sposób go było ruszyć siłą tak, aby nie narobić zamieszania.

Powoli Cale wystawił głowę ponad krawędź i spojrzawszy w dół, zobaczył widok o niebo bardziej wstrząsający i niepokojący niż kuchnia pełna jedzenia. Poczul się tak, jakby każda cząstka jego ciała została ukłuta setkami ćwieków na kijach i pasach odkupicieli.

Na dole rozciągał się wielki hol, a w nim kilkanaście stołów, zastawionych takim samym jedzeniem, jakie widzieli w kuchni, ustawionych w kręgu, tak, aby biesiadnicy mogli się nawzajem widzieć. Głównym powodem tej uroczystości były najwyraźniej dwie młode kobiety ubrane na białe. Jedna z dziewcząt zwracała uwagę wyjątkową urodą. Miała długie ciemne włosy i głęboko zielone oczy. Była piękna, lecz również pulchna niczym poduszka. Stoły otaczały duży basen, pełen gorącej wody, z obłokami pary unoszącymi się nad powierzchnią. To właśnie widok

nigdy zaś właściwie nie słyszało się tu wybuchów tak głośnych i wesołych jak ten, to jednak nie on wprowadził chłopców w największe zdumienie, lecz jego niespotykany, wysoki ton. Podobnie jak głosy, które słyszeli przed chwilą w korytarzu pod schodami, wprowadził on ich w nieznane drżenie.

— Wyrzyj i zobacz, co tam jest — szepnął Mętny Henri.

— Nie — odparł bezgłośnie Cale.

— Musisz. Albo ja to zrobię.

Cale złapał go za nadgarstek i ścisnął.

— Jeśli nas złapią, zabiją nas.

Henri niechętnie kucnął z powrotem pod balkonowym murkiem. Usłyszeli następny wybuch śmiechu, ale tym razem Cale nie spuszczał Mętnego Henriego z oczu. Za to po chwili zauważył, że Kleist wyciągnął się na klęczkach i wyrzwał w dół w kierunku, skąd dochodziły głosy. Próbował go zmusić do ukrycia się, lecz Kleist był znacznie silniejszy od Henriego i nie sposób go było ruszyć siłą tak, aby nie narobić zamieszania.

Powoli Cale wystawił głowę ponad krawędź i spojrzawszy w dół, zobaczył widok o niebo bardziej wstrząsający i niepokojący niż kuchnia pełna jedzenia. Poczul się tak, jakby każda cząstka jego ciała została ukłuta setkami ćwieków na kijach i pasach odkupicieli.

Na dole rozciągał się wielki hol, a w nim kilkanaście stołów, zastawionych takim samym jedzeniem, jakie widzieli w kuchni, ustawionych w kręgu, tak, aby biesiadnicy mogli się nawzajem widzieć. Głównym powodem tej uroczystości były najwyraźniej dwie młode kobiety ubrane na białą. Jedna z dziewcząt zwracała uwagę wyjątkową urodą. Miała długie ciemne włosy i głęboko zielone oczy. Była piękna, lecz również pulchna niczym poduszka. Stoły otaczały duży basen, pełen gorącej wody, z obłokami pary unoszącymi się nad powierzchnią. To właśnie widok

35

J

tego basenu, a w nim sześciu młodych dziewcząt wprowadził Cale'a i Kleista w takie osłupienie.

Dziewczęta w sadzawce były nagie. Różniły się między sobą kolorem skóry — różowym lub brązowym, w zależności od rasy, lecz nawet najmłodsza z nich, mniej więcej dwunastoletnia, miały pełne, krągłe kształty. Nie tyle jednak sama nagość tak chłopców zdumiała, ile to, że nigdy dotąd nie widzieli kobiety.

Któż by potrafił wyrazić, co w owej chwili czuli? Nie narodził się jeszcze poeta zdolny ująć w słowa to połączenie uniesienia, szoku i pobożnego lęku.

Obaj usłyszeli, że Mętnemu Henriemu również zapało dech, kiedy wychylił głowę nad murkiem. Na dźwięk raptownie chwytanego powietrza Cale oprzytomniał, usiadł i oparł się

o ścianę. Kilka sekund później jego bladzi i na wpół przytomni towarzysze uczynili to samo.

— Cudowne — szepnął do siebie Mętny Henri. — Przecudowne.

— Musimy wracać, bo inaczej będzie po nas.

Cale na czworakach skierował się do drzwi, za nim Kleist

1 Mętny Henri. Wyśliznęli się z powrotem na półpiętro i przycupnęli na szczycie schodów, nasłuchując. Cisza. Zeszli na dół i ruszyli przed siebie korytarzem. Coś musiało nad nimi czuwać, bowiem od tamtej chwili na balkonie nie pozostał nawet ślad po ostrożnych, wprawionych w czujności chłopcach, którzy kilka minut temu przekradali się korytarzami niczym duchy. Wstrząśnięci do głębi i jakby zauroczeni doszli do drzwi i wyszli na następny korytarz. Skręcili w lewo, jako że nie mieli żadnego powodu, aby skręcić w prawo. Następnie, ponieważ zostało tylko pół godziny do zgaszenia świateł w nocowalni, wszyscy trzej puścili się biegiem. Niecałą minutę później dobiegli do ostrego skrętu, który kilkanaście kroków dalej kończył się ciężkimi drzwiami.

36

- i

— Boże drogi — szepnął zrozpaczony Mętny Henri.

— Za czterdzieści minut puszczą za nami Dłuciarzy.

— Nie będą musieli szukać zbyt długo, bo utknęliśmy tu na dobre.

— Nie pozwolą nam nawet opowiedzieć, co tu widzieliśmy — zauważył Kleist.

— Będziemy musieli odejść — stwierdził Cale.

— Odejść?

— Tak, odejść. Żeby nigdy nie wrócić.

— Nie możemy się nawet wydostać z tego korytarza — powiedział Kleist — a ty gadasz o uciekaniu z Sanktuarium.

— Widzisz jakiś...

Cale nie zdołał jednak dokończyć zdania, ponieważ przerwał mu zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Były to wielkie, ciężkie drzwi, mieli więc kilka sekund, aby się ukryć, lecz nie było gdzie.

Cale dał towarzyszom znak, aby się wcisnęli w kąt, gdzie zasłoni ich otwierane skrzydło, chociaż tylko dopóki wchodząca osoba nie zamknie go za sobą. Nie mieli jednak innego wyjścia; gdyby zawrócili, utknęliby w miejscu, skąd przyszli, a w nocowalni szybko odkryto by ich zniknięcie. Potem czekałaby ich jedynie powolna śmierć.

Ktoś otwierał drzwi z wielkim wysiłkiem, jak można się było domyślić ze stęknień i gniewnych przekleństw. Przy wtórze burkliwych pomruków skrzydło odchyliło się w stronę chłopców, po czym zatrzymało, a w szczelinę na dole wciśnięto drewniany klin, aby się nie zamknęło. Potem usłyszeli skrzypienie małego wózka ręcznego. Cale, który stał najbliżej brzegu, wyrzał i zobaczył znajomą postać w czarnej sutannie, utykającą za wózkiem. Po chwili zniknęła mu z oczu za rogiem. Dał znak pozostałym i szybko przemknął przez drzwi.

Znaleźli się na dworze, w zimnej mgle. Przed wejściem

drugi wózek wypełniony węglem czekał na wwiezienie do środka. Dlatego właśnie leniwy pododkupiciel Smith zablokował otwarte drzwi zamiast je zamknąć i otworzyć powtórnie, jak miał przykazane.

W każdej innej sytuacji chłopcy skorzystaliby z okazji, aby ukraść tyle węgla, ile by dali radę unieść, lecz tym razem kieszenie mieli wypełnione jedzeniem, a ponadto za bardzo się bali.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Mętny Henri.

— Nie mam pojęcia — odparł Cale.

Ruszył przed siebie, próbując rozeznaczyć się we mgle i ciemności i szukając jakiegoś punktu orientacyjnego. Radość z wybawienia zaczęła w nim słabnąć. Szli tunelem dość długo, mogą być wszędzie, w każdym miejscu rozległego labiryntu budynków, korytarzy i dziedzińców Sanktuarium.

Nagle z mgły wyłoniła się para ogromnych stóp i wkrótce wyrósł przed nimi wielki posąg Powieszzonego Odkupiciela, który zostawili za sobą ponad godzinę temu.

Pięć minut później oddzielnie stanęli w kolejce do nocowalni, bardziej formalnie znanej jako Dormitorium Pani Nieustającej Pomocy. Zaczęli śpiewać razem z innymi:

— A jeśli tej nocy śmierć mnie zabierze? A jeśli tej nocy śmierć mnie zabierze? A jeśli tej nocy śmierć mnie zabierze?

Odpowiedź na to ponure pytanie wszyscy akolici otrzymywali od odkupicieli każdego dnia jasną i niedwuznaczną: większość z nich pójdzie prosto do piekła z powodu skandalicznego stanu ich odrażających dusz i będzie się tam smażyć przez całą wieczność. Od wielu lat, ilekroć podejmowano temat śmierci nadchodzącej niespodziewanie w środku nocy, a podejmowano go często, opiekun Cale'a wywlekał go na środek sali, podwijał jego sutannę i odsłaniał nagie plecy, pokryte sińcami od karku aż po krzyż. Sińce miały różne kolory i kiedy przechodziły

38

różne stadia gojenia się, plecy Cale'a prezentowały nieraz przepiękne bogactwo odcieni niebieskiego, szarego, cynobrowego, żółtożółtego i fioletowego.

— Patrzcie na te kolory! — mówił odkupiciel. — Wasze dusze, które powinny być białe niczym żółwie skrzydło, są gorsze od najczarniejszych plam na plecach tego chłopaka. Tak wyglądacie w oczach Boga: fioletowi i czarni. Więc jeśli któryś z was umrze dzisiejszej nocy, nie muszę wam chyba mówić, w której kolejce będzie stał. A co was czeka, kiedy przyjdzie wasza kolej? Potwory, które was zjedzą, potem wysrają, a potem znowu zjedzą. Metalowe kuchnie rozgrzane do czerwoności, w których będziecie się przez całą godzinę piec na popiół, potem przetopią was na tłuszcz, a potem sam diabeł ugniecie wasz łój i proch na obrzydliwe ciasto, żebyście się odrodzili, a potem znowu spłonęli i tak odradzali się i smażyli przez wieczność!

Pewnego dnia świadkiem tych pokazów, jak również bicia, które owe sińce spowodowało, był pewien dostojnik, który odwiedził Sanktuarium, niejaki odkupiciel Compton, wielki przeciwnik Bosca.

— Kształtujemy tych chłopców — rzekł Compton — aby walczyli z bluźnierstwem antagonistów. Przemoc tak okrutna wobec dziecka, nieważne jaką jest igraszką diabła, złamie w nim ducha, zanim zdoła nabrać dość hartu, aby razem z nami zetrzeć świętokradztwo sprzed oczu Boga.

— Ten chłopak nie jest krnąbrny, nie stanie się tak łatwo igraszką diabła.

W mgnieniu oka Bosco, tak zawsze ostrożny, gdy przychodziło mu rozmawiać o Cale'u, rozżłościł się na siebie, że dał się sprowokować nawet do tak enigmatycznych wyjaśnień.

— Czemu więc pozwalacie na tę przemoc?

— Nie pytajcie mnie o powód. Niech wam to wystarczy.

39

— Powiedźcie, odkupicielu.

— Rzekłem już: nie.

Na to odkupiciel Compton okazał tym razem więcej mądrości niż Bosco i powściągnął język, później jednak nakazał swym dwóm opłacanym szpiegom w Sanktuarium dowiedzieć się jak najwięcej o chłopcu z fioletowymi plecami.

— A jeśli tej nocy śmierć mnie zabierze?

Kiedy Cale, Kleist i Mętny Henri szli do łóżek, mamrocząc pod nosem litanię, słowa, które przez lata bezmyślnego powtarzania utraciły całkiem treść, teraz na nowo odzyskały swą przerażającą moc z czasów wczesnego dzieciństwa, kiedy leżeli w nocy z otwartymi oczami, przekonani, że gdy tylko zamkną powieki, poczują na twarzy gorącą paszczę potwora lub usłyszą szczęk metalowych drzwiczek rozgrzanego do czerwoności pieca.

W ciągu dziesięciu minut ogromna nocowalnia została zapełniona i zamknięta, a pięciuset chłopców w absolutnej ciszy przygotowywało się do spania w wielkiej, zimnej i prawie zupełnie ciemnej szopie. Potem zgaszono świece i chłopcy ułożyli się do snu, który przychodził szybko, jako że budzono ich o piątej rano. Dormitorium pogrążyło się w hałaśliwej mieszaninie chrapania, szlochu, pisków i pomruków, kiedy chłopcy odpłynęli we własny świat, pełen pociechy lub grozy, czekający na nich w snach.

Oczywiście z wyjątkiem trójki, która nie mogła zasnąć jeszcze przez wiele godzin.

4

Cale obudził się wcześnie, jak zawsze, od kiedy sięgał pamięcią. Dzięki temu miał całą godzinę tylko dla siebie, przynajmniej na tyle, na ile można było się tak czuć wśród pięciuset chłopców stłoczonych w jednej sali. Ale przynajmniej w tej ciemności przed świtem nikt do niego nic nie mówił, nie obserwował go, nie strofował, nie straszył ani nie szukał pretekstu, żeby go wychłostać albo zabić. Nawet jeśli nękał go głód, to przynajmniej było mu ciepło. Wtedy nagle przypomniał sobie jedzenie. Przecież miał go pełno w kieszeniach. Nierozsądnie i ryzykownie było sięgać po sutannę wiszącą przy łóżku, lecz coś go pchało nieodparcie, nie głód, bo z głodem nauczył się żyć na co dzień, lecz jakaś radość, myśl o niewyobrażalnej przyjemności wzięcia do ust czegoś, co tak cudownie smakuje. Nie spiesząc się, wsunął rękę do kieszeni i wyjął pierwszą rzecz, na jaką trafił — kawałek ciasta z

budyniem. Włożył go do ust.

W pierwszej chwili myślał, że oszaleje z zachwytu, smak cukru i masła dosłownie eksplodował w jego ustach, w umyśle, bez mała w samej duszy. Żuł powoli, a potem przełknął tę rozkosz nie do opisanego.

41

Po czym naturalnie zrobiło mu się niedobrze. Jego żołądek był tak nawykły do jedzenia podobnych potraw jak słoń do latania. Niczym człowiek umierający z głodu lub pragnienia, mógł jeść i pić tylko skąpe porcje naraz, inaczej jego ciało gotowe było zbuntować się przeciwko temu, czego tak rozpaczliwe potrzebowało. Przez pół godziny leżał na pryczy i ze wszystkich sił starał się nie wymiotować.

Kiedy pomału zaczął dochodzić do siebie, usłyszał odkupiciela idącego na obchód przed pobudką. Twarde podeszwy butów stukały na kamiennej posadzce, kiedy okrążał śpiących chłopców. Trwało to dziesięć minut, po czym nagle przyspieszył kroku i klasnął w rękę.

— Wstawać! Wstawać!

Cale, którego cały czas mdliło, podniósł się z pryczy i ostrożnie zaczął wkładać sutannę, uważając, aby nic nie wypadło z jego przepelnionych kieszeni. Dookoła niego jęcząc i zataczając się, wstawało pięciuset chłopców.

Pięć minut później maszerowali w deszczu na mszę w wielkiej kamiennej Bazylice Wiecznego Miłosierdzia, gdzie spędzili następne dwie godziny, mamrocząc modlitwy w odpowiedzi na wezwania dziesięciu odkupicieli odprawiających mszę, wypowiadając słowa, które dawno stały się puste od wielokrotnego powtarzania. Cale'owi to nie przeszkadzało. Już jako mały chłopiec nauczył się spać z otwartymi oczami, a nawet mruczac chórem razem z innymi i drobną cząstką umysłu pilnując, czy nie zauważyli go odkupiciele wypatrujący opieszłych słuchaczy.

Potem było śniadanie, następna porcja szarej owsianki i „nóg trupa”, czyli ciasta produkowanego ze zwierzęcego i roślinnego tłuszczu, zwykle zjełczanego, oraz wielu rodzajów ziarna. Smakowało okropnie, ale było bardzo pożywne. To tylko dzięki tej odrażającej mazi chłopcom udawało się przeżyć. Odkupiciele

42

- *

tak organizowali życie w Sanktuarium, aby pozbawić akolitów nawet najmniejszej przyjemności, lecz przyszła wielka wojna z antagonistami wymagała, aby byli silni. Naturalnie, jeśli przeżyli.

Trzej chłopcy mogli ze sobą porozmawiać, dopiero kiedy o ósmej ustawiali się w kolejce do ćwiczeń na Polu Całkowitego Przebaczenia.

— Niedobrze mi — powiedział Kleist.

— Mnie też — szepnął Mętny Henri.

— O mało nie wymiotowałem — przyznał się Cale.

— Będziemy je musieli gdzieś ukryć.

— Albo wyrzucić.

— Przyzwyczajacie się — rzekł Cale. — Jeśli nie chcecie, mogę je od was wziąć.

— Po ćwiczeniach mam poskładać szaty liturgiczne — oznajmił Mętny Henri. — Dajcie mi swoje jedzenie, to je schowam.

— Ej, wy tam. Gadacie.

Jak zwykle w niemal cudowny sposób odkupiciel Malik wyrósł za ich plecami. Nieroztropnie było robić coś zakazanego, kiedy w pobliżu kręcił się Malik, ponieważ miał zwyczaj wyrastać jak spod ziemi w najmniej spodziewanych momentach. Na początku sezonu treningowego bez żadnych zapowiedzi przejął ćwiczenia po odkupicielu Fitzsimmonsie, znanym powszechnie jako Fitz Gówienko z powodu czerwonki, na którą cierpiał od czasu kampanii w Fen. Wszyscy przyjęli wiadomość

0 zajęciach z Malikiem jako wyjątkowy pech.

— Dwieście — powiedział Malik, łapiąc Kleista za kark.

Kazał wszystkim chłopcom w rzędzie opasać na kostki palców

1 rozpocząć pompki.

— Cale, ty nie. Stań na rękach.

Cale stanął na rękach i zaczął się bez trudu opuszczać

i podnosić. Z wyjątkiem Kleista twarze pozostałych chłopców w rzędzie zaczęły się wykrzywiać z wysiłku, lecz Cale robił pompki na rękach jedna za drugą, z obojętnym, nieobecny wyrazem twarzy. Kleist ze znudzoną miną poruszał się dwa razy szybciej niż pozostali. Kiedy ostatni z chłopców skończył wyczerpany i obolały, Malik nakazał Cale'owi zrobić następnych dwieście pompek za popisywanie się siłą.

— Poleciałem ci stanąć na rękach, a nie robić pompki. Pycha u takiego młokosa jest smakowitą przekąską dla diabła.

Ta nauka moralna niestety chybiła celu, ponieważ jakiegokolwiek jedzenie, smakowite czy nie, spożywane pomiędzy głównymi posiłkami, było dla akolitów czymś, czego sobie nawet nie wyobrażali, nie mówiąc już o doświadczeniu.

Kiedy oddzwoniono koniec ćwiczeń, pięciuset chłopców powlokło się z powrotem do bazyliki na poranne modlitwy. Mijając uliczkę wiodącą na tyły kościoła, Kleist, Cale i Mętny Henri oddzielili się chyłkiem od grupy. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, Henri zebrał od przyjaciół całe ukryte w kieszeniach jedzenie, po czym pozostali dołączyli do tłumu czekającego przed wejściem do świątyni.

Tymczasem Henri z rękami pełnymi chleba, mięsa i ciast odsunął ramieniem skobel w drzwiach do zakrystii i uchyliwszy je, nasłuchiwał przez chwilę, czy nie kręcą się gdzieś odkupiciele. Potem

wszedł ostrożnie w brązowy mrok przebieralni, gotów w każdej chwili uciec na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa. Izba wydawała się pusta. Podszedł do jednej z szaf, ale żeby ją otworzyć, musiał odłożyć część jedzenia na podłogę. Odrobina brudu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła, uznał. Sięgnął do środka szafki i unosząc jedną z desek w podłodze, odsłonił dużą skrytkę, w której przetrzymywał cały swój zakazany dobytek. Akolitom nie wolno było niczego posiadać, aby, jak to ujął odkupiciel Świnia „nie ogarnęła ich żądza pożądania

44

J

i podnosić. Z wyjątkiem Kleista twarze pozostałych chłopców w rzędzie zaczęły się wykrzywiać z wysiłku, lecz Cale robił pompki na rękach jedna za drugą, z obojętnym, nieobecny wyrazem twarzy. Kleist ze znudzoną miną poruszał się dwa razy szybciej niż pozostali. Kiedy ostatni z chłopców skończył wyczerpany i obolały, Malik nakazał Cale'owi zrobić następnych dwieście pompek za popisywanie się siłą.

— Poleciałem ci stanąć na rękach, a nie robić pompki. Pycha u takiego młokosa jest smakowitą przekąską dla diabła.

Ta nauka moralna niestety chybiła celu, ponieważ jakiegokolwiek jedzenie, smakowite czy nie, spożywane pomiędzy głównymi posiłkami, było dla akolitów czymś, czego sobie nawet nie wyobrażali, nie mówiąc już o doświadczeniu.

Kiedy oddzwoniono koniec ćwiczeń, pięciuset chłopców powlokło się z powrotem do bazyliki na poranne modlitwy. Mijając uliczkę wiodącą na tyły kościoła, Kleist, Cale i Mętny Henri oddzielili się chyłkiem od grupy. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, Henri zebrał od przyjaciół całe ukryte w kieszeniach jedzenie, po czym pozostali dołączyli do tłumu czekającego przed wejściem do świątyni.

Tymczasem Henri z rękami pełnymi chleba, mięsa i ciast odsunął ramieniem skobel w drzwiach do zakrystii i uchyliwszy je, nasłuchiwał przez chwilę, czy nie kręcą się gdzieś odkupiciele. Potem wszedł ostrożnie w brązowy mrok przebieralni, gotów w każdej chwili uciec na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa. Izba wydawała się pusta. Podszedł do jednej z szaf, ale żeby ją otworzyć, musiał odłożyć część jedzenia na podłogę. Odrobina brudu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła, uznał. Sięgnął do środka szafki i unosząc jedną z desek w podłodze, odsłonił dużą skrytkę, w której przetrzymywał cały swój zakazany dobytek. Akolitom nie wolno było niczego posiadać, aby, jak to ujął odkupiciel Świnia „nie ogarnęła ich żądza pożądania

44

materialnych dóbr tego świata". (Oczywiście Świnia naprawdę nazywał się Glebe).

I to właśnie jego głos zabrzmiał teraz za plecami Henriego:

— Kto to?

Mętny Henri, ukryty częściowo za otwartymi drzwiami szafki, błyskawicznie wrzucił do środka całe jedzenie, które trzymał w ręku, a także udka kurczaka i ciasto z podłogi i prostując się, zamknął

drzwiczki.

— Słucham, lordzie odkupicielu?

— A, to ty — powiedział Świnia. — Co tu robisz?

— Co robię, lordzie odkupicielu?

— Tak — odrzekł rozdrażniony Świnia.

— Ja...

Chłopiec rozglądał się, jakby szukał natchnienia. Wyglądało na to, że znalazł je na suficie.

— Ja... odkładałem na miejsce ornat, który zostawił odkupiciel Bent.

Odkupiciel Bent był z całą pewnością na wpół obłąkany, lecz reputację zapominalskiego zawdzięczał w dużej mierze akolitom, którzy wykorzystywali skrzętnie każdą okazję, aby przypisać mu winę za zgubioną rzecz lub niewytłumaczalny postępek. Ilekroć przyłapano ich na czymś, czego nie powinni robić lub w miejscu, w którym nie powinni się znaleźć, pierwszą linią obrony było zawsze wytłumaczenie, że przysłał ich odkupiciel Bent, którego szwankująca pamięć gwarantowała, że nie zostaną zdemaskowani.

— Podaj mi mój ornat — rozkazał Glebe.

Mętny Henri popatrzył na niego, jak gdyby pierwszy raz w życiu usłyszał o czymś takim.

— O co chodzi?

— Ornat? — spytał chłopak.

Ponieważ Glebe już się przymierzał, aby podejść i dać mu w ucho, Henri rozpromienił się szybko.

ę

— Oczywiście, lordzie odkupicielu.

Odwrócił się, podszedł do innej szafki i z wielkim entuzjazmem otworzył drzwiczki.

— Biały czy czarny, panie?

— Co się z tobą dzieje?

— Co się dzieje, panie?

— Tak, kretynie. Czemu miałbym nosić czarny ornat w środku tygodnia w miesiąc zmarłych?

— W środku tygodnia? — powtórzył Henri, jakby zdumiony tym pomysłem. — Oczywiście, że nie, panie. Ale będziesz potrzebował tranoka.

— O czym ty gadasz? — W zrzędlivi głos Glebe'a wkradła się niepewność.

Istniały setki szat i dodatków rytualnych, wiele z nich wyszło z użycia w ciągu tysiąca lat działania Sanktuarium. Najwyraźniej Glebe nigdy w życiu nie słyszał o tranoku, ale to nie znaczy, że czegoś takiego nie było.

Henri podszedł do komody i wyciągnął szufladę, podczas gdy odkupiciel Glebe nie spuszczał z niego oka. Chłopak szperał przez chwilę w środku, po czym wyjął naszyjnik z drobniotkich paciorków z małym kwadratem z juty na końcu.

— To należy zakładać w dzień Męczennika Fultona.

— Nigdy czegoś takiego nie nosiłem — zauważył niepewnie Glebe.

Podszedł do kalendarza i otworzył na aktualnej dacie. W istocie był to dzień Męczennika Fultona, z drugiej strony jednak mieli tylu tych męczenników, a za mało dni, tak więc święta niektórych z nich obchodzono mniej więcej co dwadzieścia lat. Prychnął gniewnie.

— Pospiesz się, jesteśmy spóźnieni.

Ze stosownym namaszczeniem Henri zawiesił tranok na szyi Glebe'a i pomógł mu włożyć białą, kunsztownie zdobioną

46

szatę. Następnie podążył za odkupicielem do bazyliki na poranne modlitwy, gdzie przez następne pół godziny z przyjemnością wspominał epizod z tranokiem, czymś, co, jak się można domyślić, nie istniało. Nie miał pojęcia, do czego służył sznurek paciorków z kwadratowym kawałkiem płótna, w zakrystii pełno było takich drobiazgów, których religijnego znaczenia nikt już od dawna nie pamiętał. Mimo to Henri podjął, nie po raz pierwszy, ogromne ryzyko dla czystej przyjemności wystrychnięcia odkupiciela na dudka. Gdyby go przyłapali, zdarliby z niego pasy. I nie była to wcale przenośnia.

Przydomek, który nadał mu Cale, przyjął się powszechnie, lecz tylko oni dwaj wiedzieli, skąd się wziął i co tak naprawdę znaczył. Jedynie Cale zdawał sobie sprawę, że wymijający sposób odpowiadania lub nawyk powtarzania pytań, które mu zadawano, nie wynikały z ułomności Henriego, niezrozumienia, co do niego mówiono ani też niezdolności formułowania jasnych odpowiedzi, lecz były swoistą prowokacją, wystawiającą na próbę niewielką cierpliwość odkupicieli. Właśnie dlatego, że rozumiał, na czym polega jego gra i podziwiał jej niezwykłą brawurę, złamał jedną ze swych najważniejszych zasad: nie przyjaźnić się z nikim i nie pozwolić, aby ktoś zaprzyjaźnił się z tobą.

Idąc w stronę wolnej ławy w Czwartej Bazylice, Cale spieszył się, aby nadrobić zaległości w spaniu podczas modlitw ukorzenia. Doprowadził do perfekcji umiejętność drzemania w czasie łajania się za grzechy niegodziwości, delectatio morosa, gau-dium, grzechy pożądania i pragnienia spełnione i niespełnione. Pięciuset chłopców w Czwartej Bazylice jednym głosem ślubowało nigdy nie popełnić wykroczeń, których żadnym sposobem nie mogliby popełnić, nawet gdyby wiedzieli, co one znaczą: pięciolatki przysięgały uroczyście nie pożądać żony bliźniego swego, dziewięciolatki obiecywały, że nie będą rzeźbić świętych

m

wizerunków, a czternastolatki, że nie będą ich czcić, gdyby jednak je wyrzeźbili. A wszystko pod groźbą kary boskiej, która spadnie na ich dzieci aż do czwartego pokolenia. Po pokrzepiającej czterdziestopięciominutowej drzemce msza się skończyła, Cale razem z pozostałymi opuścił świątynię w milczeniu i wrócił na pola treningowe.

Od długiego czasu pola przez całe dni nie pustoszały. Ponieważ w ciągu ostatnich pięciu lat przyjmowano do przyuczenia coraz więcej akolitów, praktycznie wszystko trzeba było robić na zmiany — treningi, posiłki, mycie, ceremonie religijne. Nawet w nocy odbywały się ćwiczenia wyrównawcze dla tych, którzy nie nadążali za innymi. Nikt nie lubił tych zajęć z powodu okropnego zimna i lodowatego wiatru znad Strupich Wzgórz, który siekł bezlitośnie nawet w środku lata. Nie było tajemnicą, że zwiększony nabór akolitów miał na celu formowanie oddziałów na wojnę z antagonistami. Cale wiedział, że większość z tych, którzy opuszczali Sanktuarium nie wyjeżdżała na stałe na front wschodni lub zachodni, lecz pozostawała w rezerwie i walczyła na zmianę przez sześć miesięcy na każdym z frontów z roczną lub dłuższą przerwą na tyłach. Mówił mu o tym Bosco.

— Możesz zadać dwa pytania — powiedział Lord Wojownik, kiedy poinformował go o tym osobliwym systemie mobilizacji.

Cale zastanawiał się przez chwilę.

— Czy zamierzacie wydłużać okresy oczekiwania w rezerwie, panie?

— Tak — odparł Bosco. — Drugie pytanie.

— Nie potrzebuję zadawać drugiego pytania — oznajmił Cale.

— Naprawdę? Lepiej, żeby naprawdę tak było.

— Słyszałem, jak odkupiciel Compton mówił, że na frontach panuje zastój.

48

- i

— Rzeczywiście, widziałem, strzygłeś wtenczas uszami.

— Mimo to rozmawialiście, jakby to nie miało znaczenia.

— Mów dalej.

— Przez ostatnie pięć lat wyszkoliliście multum kapłanów wojowników. Za dużo. Staracie się dać im wszystkim okazję do walki, ale nie chcecie, aby antagoniści zorientowali się, że rozbudowaliście siły. Dlatego wydłużacie czas oczekiwania w rezerwie. Ciągłe nam powtarzają, że wszędzie na frontach roi się od antagonistycznych zdrajców. Czy to prawda?

— Aha, bratku — Bosco się uśmiechnął, co nie przedstawiało miłego widoku — zadałeś drugie pytanie, chociaż chełpisz się, że potrzebujesz tylko jednego. Próżność jest twoją wielką słabością, chłopcze, i nie mówię tego bynajmniej w trosce o twoją duszę. Mam... — urwał. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co dalej powiedzieć. Cale nigdy go takim nie widział, poczuł dziwny niepokój. — Mam wobec ciebie pewne oczekiwania. Spotkasz się z pewnymi żądaniami i lepiej by było, gdyby zrzuciono cię z murów tego Sanktuarium z kamieniem młyńskim uwiązany do szyi, niż gdybyś miał im nie sprostać. Twoja pycha napawa mnie wielką troską. Każdy odkupiciel powie ci, że pycha jest matką wszystkich pozostałych dwudziestu ośmiu grzechów śmiertelnych, ale ja mam ważniejsze sprawy na głowie niż twoja dusza. Duma wypacza twój osąd i pakuje cię w kłopoty, których mógłbyś uniknąć. Dałem ci dwa pytania, a ty jedynie dla czezej chwały, aby zyskać nade mną przewagę w dyskusji, ryzykowałeś srogą karę za niepowodzenie. Nie musiałeś podejmować tego ryzyka. Czyni

cię to tak słabym, że zaczynam powątpiewać, czy zasługiwałeś na moją protekcję przez te wszystkie lata.

Wpił w chłopca wzrok, a Cale wlepił oczy w podłogę, pełen drwiącej nienawiści do rzekomej protekcji swego opiekuna. Dziwne i niebezpieczne myśli przemykały mu przez głowę, kiedy tak czekał.

49

&

— Odpowiedź na twoje drugie pytanie brzmi: antagoniści mają szpiegów i donosicieli na obydwu frontach, lecz zaledwie kilku. Ale i to wystarczy.

Cale nie odrywał oczu od podłogi. Udawaj, że nie stawiasz oporu, aby złagodzić karę. Mimo to wrzał w nim gniew, że Bosco miał rację i że mógł uniknąć tego, co go czekało.

— Gromadzicie siły na wielki atak na obydwu frontach, ale musicie utrzymać stałą liczbę wojsk, aby przeciwnik się nie zorientował. Chcecie, aby wojownicy nabierali doświadczenia, lecz jest ich zbyt wielu, zatem muszą spędzać coraz więcej czasu z dala od frontu. Z drugiej strony potrzebujecie dużo więcej żołnierzy, aby zwyciężyć antagonistów. Muszą być zaprawieni w bojach, a tymczasem nie ma tylu pól bitewnych, by mogli się wprawiać w walce. Macie więc twardy orzech do zgryzienia, panie.

— Jakie widzisz rozwiązanie?

— Potrzebuję czasu. Może się okazać, że nie ma rozwiązania, które by nie nastęczało kolejnych problemów.

Bosco wybuchnął śmiechem.

— Wiedz chłopcze, że każde rozwiązanie problemu nastęcza nowych problemów.

Wtedy bez ostrzeżenia Bosco wymierzył Cale'owi cios, lecz chłopiec zablokował go z taką łatwością, jakby napadł na niego niezdarny starzec. Patrzyli na siebie w milczeniu.

— Opuść dłoń.

Cale zrobił, co mu kazano.

— Za chwilę znów cię uderzę — powiedział łagodnie Bosco. — Lecz ty nie poruszysz ręką ani głową. Pozwolisz się uderzyć. Przyjmiesz cios z pełną akceptacją i pokorą.

Cale czekał. Tym razem Bosco przygotował się do ataku bardzo ostentacyjnie. Potem uderzył. Cale się skulił, ale cios nie doszedł celu, pięść odkupiciela zatrzymała się o włos od jego twarzy.

— Nie ruszaj się.

Bosco cofnął rękę i znów zamachnął się w stronę Cale'a. I chłopiec znowu drgnął.

— Nie ruszaj się!!! — wrzasnął odkupiciel.

Oblicze mu poczerwieniało z wściekłości, tylko dwie białe plamki coraz bardziej jaśniały, w miarę jak skóra na jego twarzy ciemniała. Następny cios doszedł celu, kiedy Cale stał nieruchomo niczym głaz. Za nim poszedł następny i następny, a wreszcie uderzenie tak silne, że oszołomiony chłopiec upadł na podłogę.

— Wstań — polecił Bosco tak cicho, że ledwo go było słyszeć.

Cale podniósł się, trzęsąc się jakby od przerażającego zimna. Spadł na niego kolejny cios. Przewrócił się. Wstał. Znowu uderzenie i znowu wstał. Bosco zmienił rękę. Słabszą, lewą pięścią musiał uderzyć pięć razy, zanim chłopiec znowu upadł na ziemię. Odkupiciel wytrzeszczył oczy, widząc, że Cale znowu się dźwiga na nogi. Teraz obaj się trzęśli.

— Zostań tam, gdzie jesteś — powiedział Bosco prawie szeptem. — Jeśli wstaniesz, nie ręczę za to, co się stanie. Wychodzę.

Sprawiał wrażenie zdumionego i wyczerpanego przerażającą gwałtownością swego gniewu.

— Odczekaj pięć minut, a potem wyjdź.

To rzekłszy, podszedł do drzwi i po chwili Cale został sam.

Przez całą minutę leżał bez ruchu. Potem zwymiotował. Odpoczął jeszcze przez minutę, trzy kolejne zajęło mu sprzątnięcie bałaganu. Następnie, trzęsąc się, jakby miał za chwilę z powrotem upaść, wyszedł na korytarz. Szedł, przytrzymując się ściany, aż znalazł się na dworze, gdzie skręcił w najbliższy ślepy zaułek i usiadł.

* * *

51

— Wyprostuj tułów! Nie! Nie! Nie!

Krzyk wyrwał Cale'a ze stanu bliskiego transu. Jakiś czas temu hałas i ruch pola treningowego zniknęły, a on zatonął we wspomnieniach. Zdarzało mu się to częściej, ale w takim miejscu jak Sanktuarium źle było dać się tak zdekoncentrować. Komuś, kto nie uważał, bardzo szybko przytrafiało się coś nieprzyjemnego. Dźwięki i obrazy wokół niego znów nabrały ostrości. Dwudziestu akolitów, którzy wkrótce mieli opuścić Sanktuarium, ćwiczyło atak w szyku. Odkupiciel Gil, zwany również Gorylem z powodu wyjątkowej brzydoty i przerażającej siły, jak zwykle narzekał na nieudolność podopiecznych.

— Gavin, czyżby otworzyły się przed tobą bramy śmierci? — zapytał z rezygnacją. — Bo niebawem się otworzą, jeśli dalej będziesz tak odsłaniał swoją lewą stronę.

Akolici w szeregu uśmiechnęli się, widząc zakłopotanie Gavina. Pomimo fizycznej brzydoty i barbarzyńskiej siły Gil był jak na odkupiciela wyjątkowo przyzwoitym człowiekiem.

— Masz przyjść na nocny trening — powiedział Gil do nieszczęsnego Gavina.

Jego sąsiad roześmiał się głośno.

— A ty razem z nim, Gregor. I ty też, Holdway.

Tuż za szeregami na drewnianej ramie cztery łokcie nad ziemią wisiał za ręce siedmiolatek. Do łydek przywiązano mu paskami ciężkie odważniki, twarz miał wykrzywioną z bólu, po policzkach płynęły łzy. Pod nim stał podokupiciel i powtarzał, że jeśli za każdym razem, gdy podnosi obciążone nogi, nie dotknie nimi drążka biegnącego na wysokości oczu chłopca, to jego wysiłek nie będzie się liczył.

— Nic ci nie przyjdzie z płaczu. Tylko dotykając drążka, możesz osiągnąć cel.

Podczas gdy malec natężał wszystkie siły, aby zgięty w pół dosięgnąć drewnianej poprzeczki, Cale obserwował zarysy

52

sześciu mięśni na jego brzuchu, mocnych i wyraźnych jak u dorosłego mężczyzny.

— Cztery — liczył podokupiciel.

Cale minął pięciolatek, z których część śmiała się jak wszystkie inne dzieci w tym wieku, a potem osiemnastolatek

o wyglądzie mężczyzny w średnim wieku. Tu i ówdzie grupy po osiemdziesięciu chłopców ćwiczyły przepychanie się, pokrzykując rytmicznie niczym dwa napierające na siebie, stękające olbrzymy. Inna grupa około pięciuset akolitów maszerowała w szyku bezszelestnie, odwracając się jak jeden mąż na sygnały flag: w lewo, w prawo, stać, w tył, stać i naprzód.

Cale doszedł do skraju terenu do ćwiczeń łuczniczych, pięćdziesiąt kroków od zewnętrznego muru Sanktuarium, gdzie Kleist obrzucał obelgami oddział akolitów co najmniej cztery lata od niego starszych. Wymyślał im, że są darmozjadami, brzydalami, niezgułami, że mają zęby w okropnym stanie i oczy osadzone zbyt blisko siebie. Przestał dopiero, kiedy zobaczył Cale'a.

— Spóźniłeś się — powiedział. — Masz szczęście, że Primo się rozchorował, bo obdarłby cię ze skóry.

— Możesz spróbować, jeśli chcesz.

— Ja? Nie obchodzi mnie, czy przychodzisz, czy nie. Twoja strata.

Cale nieznacznie wzruszył ramionami na znak, że choć niechętnie, przyznaje mu rację. Kleist był rozebrany do połowy, jeśli nie liczyć poszarpanej kamizelki, która odsłaniała doskonale zbudowane, choć nieproporcjonalne ciało. Sprawiał wrażenie, jakby składał się z samych pleców i ramion, tak jakby górną część ciała dorosłego mężczyzny wciśnięto między nogi

1 głowę czternastoletniego chłopca. Zwłaszcza prawe ramię było tak rozbudowane ubitymi mięśniami, że w porównaniu z lewym wyglądało na zdeformowane.

53

t

— No dobra — rzekł. — Zobaczmy, co się dzieje.

Wyraźnie sprawiało mu przyjemność, że może zademonstrować swoją wyższość i równie wyraźnie zależało mu, aby jego towarzysz to zauważył.

Cale podniósł łuk, który dał mu Kleist, naciągnął cięciwę do policzka, wycelował, odczekał sekundę, po czym wypuścił strzałę w stronę celu odległego o osiemdziesiąt kroków. Jęknął, gdy tylko puścił cięciwę. Strzała pomknęła w stronę tarczy w kształcie człowieka, lecz chybiła o kilka kroków.

— Psiakrew!

— Rety! — zawołał Kleist. — Nie widziałem czegoś podobnego od czasu... nawet nie pamiętam od kiedy. Zawsze byłeś przynajmniej zadowolający. Co, u diaska, się z tobą stało?

— Powiedz mi, co z tym zrobić, żeby działało jak trzeba.

— To proste. Szarpiesz cięciwę, zamiast ją po prostu puścić.

Brzdąknął swoim łukiem, żeby pokazać Cale'owi, co robi źle, a potem z wielką przyjemnością zademonstrował, jak się powinno to robić poprawnie.

— Poza tym otwierasz usta, strzelając i opuszczasz łokieć, zanim puścisz cięciwę. — Cale zaczął protestować. — Ponadto — nie dopuścił go do głosu Kleist — pozwalasz, aby prawa dłoń wysunęła się niezauważalnie do przodu.

— Dobra, rozumiem. Wystarczy, że mi wytłumaczysz. Nabrałem kilku złych nawyków i tyle.

Kleist wciągnął powietrze przez zęby.

— Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście tylko kilka złych nawyków. Obawiam się, że to kryzys lidera. — Postukał się palcem w głowę. — Twój problem leży tutaj, stary. To najgorszy zestaw błędów, jaki widziałem.

— Zmyśliłeś to wszystko na poczekaniu.

54

— O nie. Sam pomyśl: to otwieranie ust, opadanie łokcia, drganie ręki... stary, to tylko zewnętrzne przejawy stanu twojej duszy. Jeszcze nie wynaleziono na to lekarstwa. Twój prawdziwy problem kryje się w środku.

Kleist umieścił strzałę w łuku, napiął cięciwę i jednym, płynnym ruchem wypuścił pocisk, który poszybował pięknym łukiem i z delikatnym trzaskiem wbił się w pierś tarczy strzelniczej.

— Widzisz? Doskonałe... Idealny zewnętrzny wyraz wewnętrznej harmonii.

Cale śmiał się w głos. Odwrócił się do kołczana ze strzałami, leżącego za nim na ławie, i w tym samym momencie zobaczył Bosca idącego przez środek pola treningowego w stronę odkupiciela Gila. Cale usłyszał za sobą ciche gwizdnięcie naśladujące świst strzały i obejrzwawszy się, ujrzał Kleista mierzącego do Bosca i udającego, że puszcza cięciwę.

— No, dawaj, na co czekasz?

Kleist roześmiał się i odwrócił do swoich uczniów siedzących i rozmawiających na uboczu. Jeden z nich, Donovan, skorzystał jak zawsze z chwili przerwy, aby wygłosić kazanie na temat grzesznych antagonistów.

— Oni nie wierzą w czyściec, gdzie człowiek może wypalić swoje grzechy, aby iść do nieba. Wierzą

w usprawiedliwienie przez wiarę. — Wśród słuchaczy rozległy się stłumione okrzyki niedowierzania. — Twierdzą, że każdy człowiek zostaje przeklęty lub zbawiony na skutek nieodwołalnej decyzji odkupiciela i nic nie może na to poradzić. Wykorzystują melodie z piosenek śpiewanych po karczmach i układają z nich swoje hymny. Umierają w grzechu, ponieważ panicznie się boją spowiedzi, odchodzą z tego życia ze wszystkimi swymi złymi uczynkami odcisniętymi na duszy i będą na wieczność potępieni.

55

— Zamknij jadaczkę, Donovan — powiedział Kleist. — Wracaj do zajęć.

* * *

Kiedy Gil wysłał akolitę z wiadomością dla Cale'a, Bosco odciągnął go na bok, aby nikt ich nie podsłuchał.

— Krążą pogłoski, że antagoniści prowadzą rozmowy z la-konijskimi najemnikami.

— Czy można w nie wierzyć?

— Na tyle, na ile można wierzyć we wszelkie pogłoski.

— W takim razie mamy powód do zmartwienia. — Nagle Gilowi przyszło coś do głowy. — Będą potrzebowali dziesięć tysięcy albo i więcej, żeby nas pokonać. Jak zamierzają im zapłacić?

— Odkryli kopalnie srebra w Laurium. To nie jest pogłoska.

— W takim razie niechaj Bóg ma nas w swej opiece. Nawet my mamy góra dwa, może trzy tysiące oddziałów, które zdolne są stawić czoło lakonijskim zbirom. Ich reputacja jest całkiem zasłużona.

— Bóg ma w opiece tych, którzy sami potrafią o siebie zadbać. Jeśli nie poradzimy sobie z ludźmi, którzy walczą tylko dla pieniędzy, a nie dla boskiej chwały, to zasługujemy na przegraną. Bóg wystawia nas na próbę, mogliśmy się tego spodziewać. — Uśmiechnął się. — „Pomimo lochów, ognia i miecza”, czyż nie tak, odkupicielu?

— Cóż, Lordzie Wojowniku, jeśli to jest próba, to nie mam pojęcia, jak ją przejdziemy, a jeśli ja nie mam pojęcia, wybaczenie, że przemawia przeze mnie grzech pychy, to żaden inny odkupiciel na świecie tego nie wie.

— Czy jesteście tego pewni? Mam na myśli grzech pychy.

— Co chcecie przez to powiedzieć? Nie musicie przy mnie owijać bawełnę, zasługuję na coś więcej.

56

M * _

— Naturalnie. Proszę, wybaczenie mi moją własną pychę. — Uderzył się trzykrotnie w pierś. — Moja wina. Moja wina. Moja bardzo wielka wina. Od dawna się tego spodziewałem. Zawsze czułem, że nasza wiara zostanie wystawiona na surową próbę. Odkupiciel przybył na ziemię, aby nas zbawić, a ludzkość odpowiedziała na ten dar, wieszając go na szubienicy. — Oczy zaszyły mu mgłą. Patrzył w

dal, jakby widział to na własne oczy, chociaż milenium minęło od egzekucji odkupiciela. Westchnął znowu ciężko, jakby przejęły okrutnym i bardzo świeżym żalem, po czym popatrzył prosto na Gila i delikatnie, prawie z uczuciem dotknął jego ramienia. — Nie mogę rzec ani słowa więcej, poza tym, że jeśli ten raport jest prawdziwy, to moje wysiłki, by położyć kres apostazji antagonistów i naprawić okropną zbrodnię przeciwko jednemu wysłannikowi Boga na ziemi, nie będą płonne. — Uśmiechnął się do Gila. — Mamy nową strategię.

— Nie rozumiem.

— Nie militarną strategię, lecz nowy sposób patrzenia na rzeczy. Nie powinniśmy dłużej zastanawiać się, jak skończyć z odstępstwem antagonistów, lecz nad tym, jak ostatecznie położyć kres ludzkiemu złu na ziemi.

Odprowadził Gila jeszcze dalej na bok i jeszcze bardziej ściszył głos.

— Zbyt długo myśleliśmy jedynie o herezji antagonistów i wojnie, którą z nimi toczymy. Zapominamy, że oni mają drugorzędne znaczenie dla naszego głównego zadania, jakim jest wyeliminowanie wszystkich innych bogów poza Jedynym Prawdziwym Bogiem i innej wiary poza Jedyną Prawdziwą Wiarą. Pozwoliliśmy, aby pochłonęła nas ta wojna, jakby była ostatecznym naszym celem, a wszak to tylko jedna sprzeczka pośród wielu innych.

— Wybaczcie mi, Lordzie Wojownika, ale fronty wschodni

57

i zachodni ciągną się tysiące staj, a zabici idą w setki tysięcy To nie jest sprzeczka.

— Nie jesteśmy Materazzimi ani Janesami, którzy w wojnie szukają władzy i potęgi. A staliśmy się jak oni jedną z sił w wojnie, w której wszyscy walczą ze wszystkimi, ponieważ tak jak oni pragniemy zwycięstwa, a boimy się porażki.

— To rzecz rozumna wystrzegać się porażki.

— Jesteśmy przedstawicielami Boga na ziemi z łaski Jego odkupiciela. Nasze życie ma tylko jeden cel, a zapominamy o nim ze strachu. To się musi zmienić. Lepiej upaść raz, niż cierpieć upadek przez wieczność. Albo wierzymy, że Bóg stoi po naszej stronie, albo nie. Jeśli naprawdę wierzymy, a nie tylko udajemy, to musimy dążyć do absolutnego zwycięstwa albo żadnego.

— Skoro tak twierdzicie...

Bosco roześmiał się łagodnie i wesoło.

— Tak twierdzą, przyjacielu.

* * *

Cale i Kleist czekali na akolitę idącego w ich stronę i najwyraźniej zadowolonego, że będzie miał okazję dostarczyć złe wieści. Kleist nie pozwolił mu jednak zacząć.

— Czego chcesz, Salk? Jestem zajęty.

To wytrąciło Salka ze stanu flegmatycznej złośliwości.

— Nie bądź taki twardy cycek, Kleist. Nic do ciebie nie mam. Odkupiciel Bosco chce widzieć Cale'a w swojej kwaterze po wieczornych modlitwach.

— Dobra — powiedział Kleist, jakby wiadomość dotyczyła najzwyczajszej sprawy pod słońcem.
— A teraz zjeżdżaj.

Zaskoczony zarówno nieprzyjaznym brakiem zainteresowania, jak również dziwnym wzrokiem, jakim przeszywał go Cale, Salk splunął na ziemię, aby zmanifestować swoją obojęt-

58

ność i odszedł. Cale i Kleist popatrzyli po sobie. Ponieważ Cale był zelotą Bosca, wezwanie Lorda Wojownika przejęłoby trwogą każdego innego chłopca poza nim, ale niezwykle, a przez to bardzo niepokojące, zwłaszcza po wydarzeniach poprzedniego dnia, było to, że Bosco wzywał go do swojej prywatnej celi, w dodatku późnym wieczorem. Nigdy dotąd coś takiego się nie zdarzyło.

— A jeśli on wie? — zastanowił się Kleist.

— Gdyby wiedział, dawno siedzielibyśmy w Domu Specjalnego Przeznaczenia.

— Moim zdaniem to podobne do Bosca, żeby kazać nam tak myśleć.

— Możliwe, ale i tak nic teraz na to nie poradzimy.

Napiął łuk, odczekał sekundę i puścił cięciwę. Strzała poszybowała w stronę celu i minęła go o dobrych dwanaście cali.

* * *

Umówili się, że uciekną z kolacji. Każde inne odstępstwo od regulaminu byłoby wyjątkowo niebezpieczne, nikt jednak nigdy nie słyszał, żeby akolita nie zjawił się na posiłku, ponieważ wszyscy chłopcy bez względu na odrażające jedzenie chodzili ciągle głodni. Tak więc podczas kolacji odkupiciele zachowywali znacznie mniej czujności niż zwykle, dzięki czemu Cale i Kleist bez kłopotu ukryli się za Czwartą Bazyliką i czekali, aż Mętny Henri przyniesie im jedzenie z zakrystii. Jedli tym razem wolniej i mniej, mimo to po dziesięciu minutach znów dostali mdłości.

Pół godziny później Cale czekał w ciemnym korytarzu przed celą Lorda Wojownika. Minęła godzina, a on czekał nadal. W końcu otworzyły się ciężkie drzwi z kutego żelaza i stanął w nich Bosco. Popatrzył na chłopca, który nie przejawiał najmniejszego niepokoju czy choćby zdziwienia.

59

— Wejdz — powiedział.

Cale wszedł za nim do pomieszczenia, w którym panował tylko trochę mniejszy mrok niż na korytarzu. Jeśli spodziewał się zobaczyć tu jakąś część prywatności swojego opiekuna, to się rozczarował. Z izby prowadziły dokądś zamknięte drzwi, a pokój, w którym się znalazł, był urządzony bardzo surowo. Bosco usiadł za biurkiem i spojrzał na leżącą przed nim kartkę. Cale stał i czekał. Wiedział, że dokument może być równie dobrze zapotrzebowaniem na tuzin drewnianych mieczy, co wyrokiem śmierci na niego.

Po kilku minutach, patrząc na podopiecznego, Bosco odezwał się tonem łagodnego zdziwienia:

— Czy chcesz mi coś powiedzieć?

— Nie, lordzie odkupicielu — odparł Cale.

Bosco nadal nie podnosił głowy.

— Jeśli kłamiesz, nie będę mógł zrobić nic, aby cię uratować. — Wpił w niego spojrzenie nieskończenie zimne i ciemne jak czeluść, jakby sama śmierć zaglądała chłopcu w oczy. — Pytam jeszcze raz: czy jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

Cale wytrzymał jego wzrok.

— Nie, panie.

Lord Wojownik przyglądał mu się badawczo i Cale poczuł, że jego wola zaczyna słabnąć, jakby mu kwas wlewano do duszy. W gardle narastało pragnienie, aby się przyznać. Od wczesnego dzieciństwa żył z myślą, że ten mężczyzna jest zdolny do wszystkiego, że ból i cierpienie są jego nieodłącznymi kompanami i że wszystko, co żyje, zamiera w jego obecności.

Bosco popatrzył na dokument, który leżał przed nim na biurku, i podpisał. Potem złożył i przypieczętował czerwonym woskiem. Wręczył go Cale'owi.

60

— Zanieś to Lordowi Dyscyplinariuszowi.

Cale'a przeszedł lodowaty dreszcz.

— Teraz?

— Tak, teraz.

— Ściemnia się. Za kilka minut zamkną dormitoria.

— Nie musisz się o to martwić.

Nie podnosząc wzroku, odkupiciel zaczął znowu pisać. Cale nie ruszył się z miejsca. W końcu Bosco podniósł wzrok.

— Coś jeszcze?

Jeden instynkt walczył w chłopcu z drugim. Jeśli się przyzna, odkupiciel może mu pomóc. W końcu jest jego zelotą. Mógłby go uratować. Lecz inne głosy w duszy Cale'a krzyczały na cały głos: Nigdy nie przyznawaj się do winy! Nie daj się sprowokować do wyznania! Zawsze zaprzeczaj! Zawsze!

— Nie, panie.

— Więc idź.

Cale skierował się do wyjścia, walcząc z chęcią, żeby puścić się biegiem. Wyszedłszy, zamknął żelazne drzwi, a potem odwrócił się i wzrokiem przepelnionym nienawiścią prześwidrował je na wylot, jakby były ze szkła.

Skręcił w następny korytarz i zatrzymał się pod lampą. Wiedział, że Bosco wystawia go na próbę.

Dał mu szansę otwarcia listu, za który to występek chłopiec mógłby zostać natychmiast stracony. Jeśli Wojownik wiedział o ich wczorajszej wyprawie, najprawdopodobniej w liście wysłała Lordowi Dyscyplinariuszowi polecenie, aby zabił Cale'a. To byłoby bardzo w stylu Boska: wysłać swego zelotę z podpisanym na niego wyrokiem śmierci. Ale równie dobrze mogła to być jedna z niezliczonych prób, którym poddawał go Lord Wojownik.

Cale wziął głęboki oddech i starał się spojrzeć na sytuację obiektywnie, nie myśląc o lęku. Sprawa wydawała się oczywis-

61

ta: list mógł wcale nie zawierać żadnych zabójczych treści, chociaż konsekwencje będą prawdopodobnie niemiłe i bolesne, za to otwarcie go oznaczało pewną śmierć. Doszedłszy do tego wniosku, ruszył w kierunku gabinetu Lorda Dyscyplinariusza, chociaż w głowie cały czas huczała mu myśl, co zrobi, jeśli ziści się najgorsze.

W ciągu dziesięciu minut, zgubiwszy się tylko raz na krótko w labiryncie korytarzy, dotarł do Komnaty Zbawienia. Stał przez chwilę w głębokim mroku, a serce waliło mu ze strachu i gniewu. Nagle zauważył, że drzwi są lekko uchylone.

Zastanawiał się, co zrobić. Popatrzył na dokument, który trzymał w ręku, a następnie lekko popchnął skrzydło, aby móc zajrzeć do środka. W głębi sali zobaczył Lorda Dyscyplinariusza, który pochylał się nad czymś i śpiewał.

Wiara naszych ojców wiecznie żywa Pomimo lochów, ognia i miecza Te dam, ta dam, ta dam, ta dam Te dam, ta dam, ta dam, ta dam Wiara naszych ojców, dam te dam Wytrwamy w niej aż po zgon.

Nagle zamilkł i skupił się nad czymś, co najwyraźniej wymagało większej uwagi. W tej części pokoju świece płonęły bardzo jasno, wydawało się, jakby Lord Dyscyplinariusz zamknął ich blask pod kloszem utworzonym wokół jego ciała. Kiedy oczy Cale'a przywykły do światła, zobaczył, że odkupiciel stoi przy drewnianym stole długim na trzy łokcie i szerokim na jeden, na którym leży jakiś przedmiot owinięty na jednym końcu w materiał. Odkupiciel podjął przerwane nucenie, odwrócił się i rzucił coś małego i twardego na żelazny talerz. Potem wziął nożyczki i powrócił do pracy.

62

Jakież ich dzieci spotka słodki los, Gdy życie swe rzucają, jak oni, na stos! Te dam, ta dam, ta dam, ta dam Te dam, ta dam, ta dam, ta dam.

Cale uchylił szerzej drzwi. Nieco dalej, w najciemniejszym kącie pokoju, stał drugi stół i na nim również coś leżało, lecz tonęło w mroku. Lord Dyscyplinariusz wyprostował się, podszedł do niskiego kredensu po prawej stronie i zaczął grzebać w szufladzie. Chłopiec patrzył w milczeniu. Zorientował się, co robi odkupiciel — dysekcję. Klatka piersiowa została już rozcięta z wielką wprawą aż do dolnej części brzucha. Starannie oddzielono fragmenty skóry i mięśni i odciągnięto je na bok za pomocą odpowiedniego ciężarka. Chociaż Cale nieraz widział zwłoki, obraz ten wstrząsnął nim głęboko, nie tylko dlatego, że ciało na stole zostało tak osobliwie wyeksponowane, lecz przede wszystkim ponieważ było to ciało młodej dziewczyny. A co najgorsze, wcale nie było martwe. Lewa dłoń zwisająca ze stołu drgała co kilka sekund, kiedy Dyscyplinariusz grzebał w szufladzie i nucił pod nosem.

Cale poczuł, jakby po plecach przebiegły mu setki pajaków. Nagle usłyszał jęk. Odkupiciel nie zasłaniał już światła, więc chłopiec mógł dostrzec, że na drugim stole leży również młoda dziewczyna, ładniejsza z tych, które wczoraj w białych sukniach śmiały się radośnie podczas uroczystości. Kuliła się związana i zakneblowana i próbowała krzyczeć ile sił w płucach.

Odkupiciel przestał nucić, wyprostował się i popatrzył w stronę ofiary.

— Cicho bądź — powiedział prawie łagodnym tonem.

Potem pochylił się nad szufladą, i nucąc, szperał dalej.

63

Cale oglądał w swym krótkim życiu wiele przerażających rzeczy, okropne akty okrucieństwa, sam też często cierpiał ból nie do opisania, ale na widok tego, co rozgrywało się na jego oczach, dosłownie osłupiał. Nie mógł pojąć sensu tej potwornej zbrodni na żywej istocie, której dłoń poruszała się coraz słabiej i słabiej. Bardzo powoli wycofał się z pokoju na korytarz i najciszej, jak mógł, ruszył z powrotem drogą, którą przyszedł.

5

— No, nareszcie — powiedział do siebie Lord Dyscyp-linariusz Picarbo z zadowoleniem, znalazłszy to, czego szukał, czyli długi, cienki szpikulec zakończony ostrymi szczypcami. — Chwalić Boga.

Szcypce szczęknęły, kiedy sprawdził, czy dobrze działają. Zadowolony odwrócił się do dziewczyny na stole i zajrzał z namysłem w przerażającą, lecz tak pięknie rozciętą ranę. Podniósł zwisającą bezwładnie dłoń i delikatnie ułożył ją przy boku. Potem wziął szpikulec i już zamierzał wrócić do pracy, kiedy dziewczyna na drugim stole, zaczęła znowu krzyczeć. Tym razem zwrócił się do niej surowszym tonem, jakby tracił cierpliwość.

— Mówiłem, żebyś była cicho. — Uśmiechnął się. — Nie obawiaj się, zajmę się tobą w stosownym czasie.

Czy to dlatego, że coś usłyszał, czy też zadziałał w nim wyrobiony przez lata instynkt, w każdym razie Lord Dyscyp-linariusz odwrócił się i podniósł rękę, aby zablokować cios, wymierzony w tył jego głowy. Zderzenie dłoni tuż powyżej nadgarstków było tak gwałtowne, że ukruszony kawałek cegły, którą Cale trzymał w ręku, śmignął przez pokój i uderzywszy

65

w jedną z szaf, roztrzaskał ją na kawałki. Chłopak stracił równowagę i odkupiciel cisnął nim z całej siły w lewo, pod stół, na którym leżała związana dziewczyna.

Dyscyplinariusz popatrzył na Cale'a osłupiały. To przechodziło wszelkie pojęcie, żeby akolita rzucił się na odkupiciela, w jakimkolwiek miejscu czy czasie. Jak świat światem, nikt

o czymś takim nie słyszał. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Czyś ty oszalał? Co ty wyprawiasz? — wycedził Picarbo z wściekłością. — Zawieszysz za to na szubienicy. Zostaniesz powieszony i poćwiartowany. Wypruję z ciebie flaki i będziesz patrzył, jak palą się twoje wnętrzności. I...

Po tym raptownym potoku słów umilkł, na nowo wstrząśnięty tym, że został zaatakowany przez ucznia. Cale pobałdł zaszokowany. Dyscyplinariusz odwrócił się i wziął nóż rzeźnicki.

— Zrobię to na miejscu, ty mały gównozjadzie.

Podszedł do chłopca leżącego na brzuchu na podłodze, stanął

nad nim z szeroko rozstawionymi nogami i wznosił nóż. Wtedy Cale chwycił szpikulec, który upadł obok niego na podłogę,

I wbił go mężczyźnie w wewnętrzną stronę uda. Picarbo zatoczył się w tył nie z bólu, lecz ze zdumienia jeszcze większego, niż wydawało mu się to możliwe.

— Zraniłeś mnie! — powiedział z niedowierzaniem. — Ty mnie naprawdę zraniłeś. — Popatrzył na niego z góry. — Na Boga, będziesz umierał powoli. Na wszystko, co...

Nagle urwał, przechylił na bok głowę, a na jego twarzy odmalował się wyraz łagodnego zainteresowania, jakby zadano mu nad wyraz trudne pytanie. Następnie usiadł powoli, niczym popchnięty wielką, lecz dobrotliwą dłonią. Podniósł głowę na chłopca, który odsuwał się od niego jak najdalej. Potem opuścił wzrok na swoje nogi. Jego sutanna przesiąkła krwią. Cale nagle przestał być przestraszonym malcem, ale też nie wydawał się

66

*

już rozwścieczonym mordercą. Ogarnął go dziwny spokój, przypominał teraz dziecko, które przygląda się czemuś z zainteresowaniem.

Picarbo podwinął z niedowierzaniem fałdy sutanny, odsłonił kalesony poplamione obficie na czerwono. Cofnął rękę, jakby głęboko dotknięty, jakby chciał powiedzieć: „I widzisz, coś narobił?”. Potem znów się pochylił i rozdarł kalesony w miejscu rany. Krew tryskała z maleńkiego otworu tętniącymi strumieniami. Wytrzeszczył oczy skonsternowany, po czym przeniósł wzrok na Cale'a z tym samym łagodnie zdumionym wyrazem twarzy.

— Daj mi ręcznik — polecił, wskazując stertkę szmatek leżących na stole obok zwłok.

Cale wstał, ale nie ruszył się z miejsca. Miał wrażenie, jakby tylko część tego, co widział, była realna: odkupiciel próbuje zatamować palcami krwawienie i wzdycha z irytacją, jakby mu dokuczało drobne, lecz wysoce drażniące skaleczenie. Nie ogarniał wyobraźnią wszystkich konsekwencji tego, co rozgrywało się na jego oczach. Jakaś część jego umysłu, niezdolna w pełni pojąć rozmiarów swego czynu, wciąż myślała, że będzie mógł to wszystko cofnąć i sprawy wrócą na swoje miejsce, ale im dłużej z tym zwleka, tym to będzie trudniejsze. Druga połowa jego umysłu wiedziała jednak, że nic się nie da zrobić. Wszystko się zmieniło — całkowicie, przerażająco i nieodwracalnie. Przypomniał mu się wers z Księgi Przysłów odkupiciela, słyszał go setki razy, a teraz nie przestawał mu dzwonić uporczywie w uszach: „Jesteśmy niczym woda rozlana, której nie da się z powrotem pozbierać”. Stał i patrzył sparaliżowany, jak Picarbo pochyliła się do tyłu, jakby był okropnie zmęczony, kładzie się na łokciach, a potem na plecach. Patrzył, jak jego oddech ustaje i światło w oczach gaśnie. Tak odszedł odkupiciel Picarbo, pięćdziesiąty Lord Dyscyplinariusz tego imienia.

6

Kleist zbudził się z uczuciem, że coś go dusi i przyciska do łóżka. Przyczyna była prosta: Cale zasłaniał mu usta, a Mętny Henri przytrzymywał ręce wzdłuż boków.

— Ćśśś! To my. — Odczekał, aż Kleist przestanie się szarpać, po czym odjął dłoń, a Henri zwolnił uścisk. — Musisz z nami iść, inaczej zginiesz.

Kleist usiadł i popatrzył na przyjaciół w mroku ledwo rozpraszanym blaskiem księżyca.

— Mówicie serio?

Henri skinął głową. Kleist westchnął i podniósł się z łóżka.

— Gdzie Pająk? — spytał Kleist.

— Wyszedł zapalić. Musimy natychmiast iść — oznajmił Cale.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia, pozostali podążyli za nim. Zatrzymał się na środku sali i pochylił nad łóżkiem chłopca, który udawał, że śpi.

— Słuchaj, Savio, jeśli piśniesz Pająkowi chociaż słowo, osobiście wypruję z ciebie flaki. Jasne, gnojku?

Zaspany Savio kiwnął głową i chłopcy poszli dalej.

Za drzwiami, które Pająk zostawił otwarte, Cale wyprowadził

68

ich na dziedziniec i trzymając się blisko muru, skierował się w stronę pomnika Powieszzonego Odkupiciela i wejścia do tunelu, który odkryli poprzedniego dnia.

— Co się dzieje? — spytał Kleist.

— Cicho bądź.

Cale popchnął drzwi i wprowadził towarzyszy do środka. Potem zapalił świecę, która zapłonęła tak jasnym płomieniem, jakiego chłopcy nigdy w życiu nie widzieli.

— Jak otworzyłeś drzwi?

— Łomem.

— Skąd masz tę świecę?

— Z tego samego miejsca co łom. Kleist odwrócił się do Henriego.

— Czy ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Mętny Henri pokręcił głową, a Cale poszedł w lewy kąt

tunelu i podniósł świecę.

— Boże! — zawołał Kleist na widok przerażonej istoty kulającej się w kącie.

— Nie bój się — zwrócił się Cale do dziewczyny. — Oni nam pomogą — dodał bez wielkiego przekonania.

— Gadaj wreszcie, co jest grane — zniecierpliwiał się Kleist — albo się policzymy.

Cale spojrział na niego i uśmiechnął się, chociaż trochę ponuro.

— Dobra, więc słuchajcie — powiedział i zdmuchnął świecę. Dwadzieścia minut później zakończył relację i ponownie

zapalił płomień. Obaj chłopcy patrzyli na przemian to na Cale'a, to na dziewczynę, oszołomieni tym, co usłyszeli, a jednocześnie zafascynowani widokiem młodej kobiety. Dłuższą chwilę potrwało, zanim Kleist w końcu oprzytomniał.

— To ty go zabiłeś, Cale. Po co nas w to wciągasz?

— Nie bądź głupi. Kiedy się zorientują, że to ja, zaczną

69

torturować Henriego, ponieważ wiedzą, że się przyjaznimy. A potem połączą go z tobą. Z nami masz szansę przeżyć.

— Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego.

— Co z tego? Widzieli cię, jak ze mną rozmawiałeś przynajmniej dwa razy w ciągu ostatnich kilku dni. Zabijają cię dla przykładu i żeby się zabezpieczyć.

— Czy to znaczy, że masz jakiś plan? — zapytał Henri. Widać było, że się boi, ale starał się zachować spokój.

— Tak, ale pewnie się nie uda. Mamy tylko cień szansy. Zdmuchnął świecę i opowiedział im, co wymyślił.

— Masz rację — orzekł Kleist, kiedy Cale skończył. — Pewnie się nie uda.

— Jeśli masz lepszy pomysł...

Nie dokończył zdania. Zapalił świecę i podszedł do dziewczyny, która siedziała skulona, trzęsąc się i patrząc w przestrzeń.

— Jak się nazywasz? — spytał Cale.

Z początku zdawało się, że go nie usłyszała, dopiero po dłuższej chwili przeniosła na niego wzrok. Ale nie odezwała się ani słowem.

— Biedaczka — powiedział Mętny Henri.

— Kim ona dla ciebie jest, że jej tak żałujesz? — spytał Kleist z goryczą, rozdarty między własnym lękiem, a fascynującą istotą kulącą się w kącie tunelu. — Lepiej się martw

o siebie.

Cale wstał, podał świecę Mętmemu Henriemu i podszedł do drzwi.

— Teraz — zakomenderował.

Henri zdmuchnął płomień. Rozległ się odgłos otwieranych

i zamykanych drzwi, po czym Kleist, Henri i dziewczyna

zostali sami w całkowitych ciemnościach.

* * *

70

V

Idąc po raz trzeci korytarzami Sanktuarium, Cale powoli otrząsał się z szoku spowodowanego ostatnimi wydarzeniami. Nadal wybierał najmniej oświetlone miejsca, ale był już znacznie spokojniejszy. Zaczynał sobie uprzytamniać, że nawyki, które wyrabiano w nim przez całe życie — świadomość, że zawsze ktoś go obserwuje, że w każdym miejscu czyhają szpicle gotowi donieść o każdym jego ruchu — przestają mieć znaczenie. Odkupiciele nie bez słuszności zakładali, że bacznie śledząc każdy ruch akolitów i bezwzględnie karząc każdy akt nieposłuszeństwa w myśli, mowie lub uczynku, wymuszają na nich posłuszeństwo. Uznali, że w nocy, kiedy chłopcy leżą zamknięci w dormitoriach, wyczerpani i słusznie przerażeni na samą myśl

o tym, co by się stało, gdyby spróbowali uciec, mogą nieco osłabić swą paranoiczną czujność. Podczas tej trzeciej nocnej przeprawy przez Sanktuarium Cale zauważył tylko jednego odkupiciela, i to z daleka.

Ogarnął go dziwny stan euforii. Okazało się, że ludzie, których nienawidził z całego serca, nie są wcale tak potężni

i niezniszczalni, jak się zdawało. Przechytrzył Bosca, zabił Lorda Dyscyplinariusza, a teraz poruszał się swobodnie po całym Sanktuarium. Jednak ostrzegawczy głos szeptał mu do ucha, aby nie dał się ponieść pewności siebie. „Bądź czujny, bo inaczej skończysz na szubienicy”.

Im dłużej się zastanawiał, tym mocniej się upewniał, że powinien wrócić do kwatery Dyscyplinariusza, choć wydawało się to nierozsądne. Zanim uciekł z dziewczyną, zabrał kilka rzeczy, ale jeśli chcą przeżyć za murami Sanktuarium, będą potrzebować... Właściwie nie miał pojęcia, czego mogą tam potrzebować, ale w kwaterze Picarba na pewno znajdzie mnóstwo pożytecznych rzeczy i głupotą byłoby nie skorzystać z takiej okazji. Jeśli dopisze im szczęście, mogą minąć jeszcze cztery godziny, zanim odkupiciele odkryją zwłoki.

Dziesięć minut później znowu stał nad ciałem zabitego. Po krótkiej chwili namysłu zaczął myszkować po pokoju. Zadziwiła liczba znajdujących się tu rzeczy. Akolitom nie wolno było niczego posiadać. Nawet odkupiciele mogli mieć na własność tylko siedem przedmiotów, chociaż nikt nie wiedział, czemu nie sześć lub osiem. Kwatera Picarba była istną graciar-nią. Cale nie miał nawet pojęcia, do czego służy większość tych rzeczy, i chętnie zostałby tu jeszcze długo, oglądając je, obracając w dłoniach i snując domysły na temat ich przeznaczenia, wyobrażając sobie, jaki miły musi być w dotyku pędzel do golenia z borsuczego włosia, wczuwając się w piękny zapach i gładząc śliską powierzchnię kostki mydła. W końcu jednak rozsądek przeważał nad ciekawością i Cale zaczął wybierać najpotrzebniejsze rzeczy i wkładać do znalezionej plecaka: noże, lunetę — ten fantastyczny przedmiot, który widział w rękach Bosca na blankach muru obronnego — ostrzałkę,

linianą torbę, zioła do leczenia ran, igły, nici, kłębek sznurka. Przeszukał wszystkie szafki, lecz większość z nich wypełniona była niezliczonymi słojami, w których pływały spreparowane kobiece narządy i fragmenty ciał. Rzecz jasna większości z nich nie rozpoznawał. Cale nie potrzebował szukać usprawiedliwienia dla swego czynu — dość się naoglądał, jak Lord Dyscyplinariusz bił dzieci, aby je ukarać dla przykładu, a jedno nawet zabił, lecz widok tych starannie zakonserwowanych ludzkich narządów wywołał w nim grozę i obrzydzenie.

Unikając wzrokiem żalostnej istoty leżącej na stole, przekręcił gałkę w jednych drzwiach. Otworzyły się i w tym samym momencie w nozdrza uderzył go silny zastarzały odór, jaki unosił się zwykle wokół odkupicieli. Już wcześniej zauważył, ilekroć znalazł się w zamkniętym pomieszczeniu w towarzystwie co najmniej dwóch kapłanów, że ich ciała wydzielają dziwny zapach. W tym pokoju jednak nawet ściany nim prze-

72

siąkły, jakby wszystko w tych murach, nie tylko ciało, lecz i duszę jej mieszkańców toczyła zgnilizna.

Wychodząc, starał się nie patrzeć w kierunku zwłok dziewczyny, lecz coś ciągnęło tam jego uwagę. Zerknął tylko przelotnie na starannie i metodycznie okaleczone ciało pięknej, młodej kobiety i owładnęła nim fala nieznanego dotąd żalu, że coś tak miękkiego i delikatnego zostało tak okrutnie unicestwione. Wtedy jego wzrok padł na mały, twarde przedmiot, który Lord Dyscyplinariusz wyjął z żołądka dziewczyny i położył na metalowej tacce. Nie była to kość ani nic, co by wyglądało szczególnie makabrycznie. Przypominał mały otoczek, wygładzony przez stulecia działania wartkiego nurtu strumienia. Był złocistobrązowy i lekko przejrzysty. Cale dotknął go ostrożnie palcem, po czym wziął do ręki i przyjrzał mu się z bliska. I kichnął. Uderzył go zniewalający zapach, miał wrażenie, jakby każdą komórkę w jego umyśle owładnęła ta niezwykła i cudowna woń. Stał przez chwilę oszołomiony i mało brakowało, aby zemdlął, ale wziął się w garść i upomniał się w duchu, że przecież powinien się spieszyć. Odetchnął głęboko i wrócił do przeszukiwania pokoju. Zabrał jeszcze kilka rzeczy, które wydały mu się użyteczne, i kilka, które mu się po prostu spodobały, po czym wyszedł i ruszył z powrotem w kierunku swojej kryjówki.

siąkły, jakby wszystko w tych murach, nie tylko ciało, lecz i duszę jej mieszkańców toczyła zgnilizna.

Wychodząc, starał się nie patrzeć w kierunku zwłok dziewczyny, lecz coś ciągnęło tam jego uwagę. Zerknął tylko przelotnie na starannie i metodycznie okaleczone ciało pięknej, młodej kobiety i owładnęła nim fala nieznanego dotąd żalu, że coś tak miękkiego i delikatnego zostało tak okrutnie unicestwione. Wtedy jego wzrok padł na mały, twarde przedmiot, który Lord Dyscyplinariusz wyjął z żołądka dziewczyny i położył na metalowej tacce. Nie była to kość ani nic, co by wyglądało szczególnie makabrycznie. Przypominał mały otoczek, wygładzony przez stulecia działania wartkiego nurtu strumienia. Był złocistobrązowy i lekko przejrzysty. Cale dotknął go ostrożnie palcem, po czym wziął do ręki i przyjrzał mu się z bliska. I kichnął. Uderzył go zniewalający zapach, miał wrażenie, jakby każdą komórkę w jego umyśle owładnęła ta niezwykła i cudowna woń. Stał przez chwilę oszołomiony i mało brakowało, aby zemdlął, ale wziął się w garść i upomniał się w duchu, że przecież powinien się spieszyć. Odetchnął głęboko i wrócił do przeszukiwania pokoju. Zabrał jeszcze kilka rzeczy, które wydały mu się użyteczne, i kilka, które mu się po prostu spodobały, po czym wyszedł i ruszył z powrotem w kierunku swojej kryjówki.

siąkły, jakby wszystko w tych murach, nie tylko ciało, lecz i duszę jej mieszkańców toczyła zgnilizna.

Wychodząc, starał się nie patrzeć w kierunku zwłok dziewczyny, lecz coś ciągnęło tam jego uwagę. Zerknął tylko przelotnie na starannie i metodycznie okaleczone ciało pięknej, młodej kobiety i owładnęła nim fala nieznanego dotąd żalu, że coś tak miękkiego i delikatnego zostało tak okrutnie unicestwione. Wtedy jego wzrok padł na mały, twarde przedmiot, który Lord Dyscyplinariusz wyjął z żołądka dziewczyny i położył na metalowej tacy. Nie była to kość ani nic, co by wyglądało szczególnie makabrycznie. Przypominał mały otoczek, wygładzony przez stulecia działania wartkiego nurtu strumienia. Był złocistobrazowy i lekko przejrzysty. Cale dotknął go ostrożnie palcem, po czym wziął do ręki i przyjrzał mu się z bliska. I kichnął. Uderzył go zniewalający zapach, miał wrażenie, jakby każdą komórkę w jego umyśle owładnęła ta niezwykła i cudowna woń. Stał przez chwilę oszołomiony i mało brakowało, aby zemdleł, ale wziął się w garść i upomniał się w duchu, że przecież powinien się spieszyć. Odetchnął głęboko i wrócił do przeszukiwania pokoju. Zabrał jeszcze kilka rzeczy, które wydały mu się użyteczne, i kilka, które mu się po prostu spodobały, po czym wyszedł i ruszył z powrotem w kierunku swojej kryjówki.

7

Cale planował ucieczkę prawie od dwóch lat. Nie zamierzał jednak wcielić swego planu w życie, jeśli tylko dałoby się tego uniknąć, ponieważ szanse powodzenia były żałośnie znikome. Odkupiciele poruszali niebo i ziemię, aby schwytać każdego uciekiniera, którego następnie karano powieszeniem, wypatroszeniem i poćwiartowaniem. O ile Cale się orientował, nikomu dotąd nie udało się umknąć Stróżom Raju, jak nazywano psy odkupicielei, tak więc postanowił cierpliwie czekać, aż skończy dwadzieścia lat, zostanie wysłany na front i tam skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji. Mimo to pogratulował sobie w myślach przygotowań. Przekradając się przez dziedziniec, starał się nie myśleć o tym, jak nikłe mają szanse na przeżycie, jednak trudno mu było nie złościć się na własną głupotę. Ratowanie dziewczyny z pewnością okaże się całkowicie daremnym czynem, osiągnie tylko tyle, że sam przypłaci to życiem, a co gorsza razem z nim również Mętny Henri i Kleist. Skończony głupiec! Wziął głęboki oddech i starał się uspokoić. Ale wczoraj wieczorem wyglądała na taką szczęśliwą, ten jej uśmiech... Trudno było opisać, co czuł, patrząc na tę roześmianą istotę. Wszystko to wróciło doń, kiedy próbował

74

wycofać się z gabinetu Lorda Dyscyplinariusza i w ciemnym korytarzu drżał wstrząśnięty widokiem odrażającego okrucieństwa. Wrzał w nim gniew, ale do tego od dawna przywykł, tym razem jednak po raz pierwszy dał mu upust. Tylko że nikomu nie przyjdzie z tego nic dobrego.

Dotarł na miejsce. Znalazł się w niewielkiej wnęce na głównym dziedzińcu, która kończyła się prawie niewidocznym przejściem, nie drzwiami, tylko szczeliną między wewnętrznym murem a głównym obwarowaniem Sanktuarium. Wciągnął brzuch i zaczął się przeciskać bokiem. Za parę miesięcy się tu już nie zmieści. Wyciągnął rękę i złapał się uchwyty, który wydłubał w ścianie, kiedy był mniejszy. W końcu udało mu się wśliznąć do środka. W zupełnych ciemnościach niczego nie widział, ale znał tę kryjówkę doskonale, a była tak mała, że po omacku mógł trafić w każde miejsce. Przykucnął i wyciągnął obluzowaną cegłę, potem sąsiednią, a później przesunął dwie połówki, które

leżały za nimi. Włożył dłoń do otworu i wyciągnął starannie uplecioną linę zakończoną metalowym hakiem. Następnie wstał i przecisnął się z powrotem.

Kiedy znów znalazł się we wnętrzu, przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, ale nie doszły go żadne niepokojące odgłosy. Wyciągnął rękę do góry, obmacał szorstką powierzchnię głównego muru, po czym wbił hak w wąską szczelinę, którą wydrążył kilka miesięcy temu, gdy tylko skończył wypłatać sznur. Nie zrobił go z juty ani sizalu, lecz z włosów akolitów i odkupicieli, które zbierał przez długie lata podczas swoich dyżurów sprzątania. Było to oczywiście wstrętne zajęcie i nieraz krztusił się z obrzydzenia, ale pokonał je, widząc w tym, co robi, szansę na lepsze życie. Pociągnął za linę, aby sprawdzić, czy się dobrze trzyma, a potem z siłą zdumiewającą u czternastoletniego chłopca podciągnął się i wsunął między dwie ściany wnęki, plecami zaparty o jedną, a nogami o drugą. Wyciągnął hak

75

i wbił go w następną szczelinę, po czym znowu wspiał się wyżej i tak powtarzał tę czynność jeszcze kilkakrotnie. Przez następną godzinę, posuwając się za każdym razem najwyżej

o łokieć, a czasami mniej, wdrapywał się na szczyt murów obronnych Sanktuarium.

Kiedy wczółgał się wreszcie na górę, sapnął głośno wyczerpany i zadowolony. Przez pięć minut leżał z rękami obolałymi

I bezwładnymi jak odważniki, ale bał się marnować więcej czasu. Wstał, wyciągnął hak z ostatniej szczeliny po wewnętrznej stronie muru i wbił go w największy otwór, jaki znalazł na szczycie. Potem spuścił linę na drugą stronę. Miał nadzieję, że usłyszy jakiś odgłos świadczący, że końcówka uderzyła o ziemię, ale podciągał ją i opuszczał kilkakrotnie i nie doszedł go żaden dźwięk, który by go utwierdził w pewności, że dosięgnął do dna. Od strony Sanktuarium sznur sięgał tylko do połowy muru, ale z tego, co wiedział, obwarowanie w tym miejscu mogło stać na zboczu urwiska.

Spojrzał w dół w nieprzeniknioną ciemność, odczekał chwilę, po czym zaczął się opuszczać. Prawą ręką wymacał sznur i pociągnął go z całej siły, aby hak wbił się dobrze w szczelinę. Ściskając jedną dłonią linę, drugą przytrzymując się muru, znieruchomiał na chwilę, bo z nagłą jasnością dotarła do niego cała groza sytuacji, w której się znalazł.

Lepsze to niż zawisnąć na szubienicy albo zostać żywcem usmażonym, uznał, i z tą pocieszającą myślą puścił się ściany, a kiedy lina się naprężyła, zaczął się zsuwać w nicość.

Ta część zadania była łatwa — jego ciężar wykonywał całą robotę za niego. Dałby się porwać prawdziwemu uniesieniu, gdyby nie świadomość, że niesprawdzona lina może w każdej chwili pęknąć lub przetrzeć się na szorstkiej powierzchni, no i przede wszystkim, że cała ta przyjemna podróż nie potrwa długo i wkrótce zawiśnie w ciemności nad Bóg wie jaką

76

przepaścią. Nawet spadając z wysokości pięciu łokci na ostre skały, może złamać nogę. Ale po co martwić się na zapas? Teraz już za późno, żeby zawracać sobie tym głowę.

W niespełna pięć minut dotarł do węzła na sznurze, który powiedział mu, że do końca zostało jeszcze dwadzieścia łokci. Potem dziesięć. A potem trafił na ostatni, wielki węzeł zawiązany na samym

końcu.

Teraz już nie ma wyjścia. Zsunął się jeszcze niżej, na samą końcówkę, aż trzymał się supła nad głową.

Raz. Dwa. Trzy. Puścił.

8

Co kilka minut Kleist i Mętny Henri zapalali świecę, którą Cale ukradł Lordowi Dyscyplinariuszowi, i spoglądali na dziewczynę. Uznali zgodnie, że lepiej mieć ją na oku, a skoro zostali zaopatrzeni w dziewięć świec, mogą sobie pozwolić na rozrzutność. Obaj widywali osoby, które stawały się takie ciche i spokojne jak ona, i patrzyły takim samym, niewidzącym wzrokiem. Zwykle byli to chłopcy, którym wymierzono więcej niż sto batów. Jeśli pozostawali w tym stanie dłużej niż kilka dni, zabierano ich i więcej nie wracali. Ci, którzy się pozbiali, często budzili się w nocy z krzykiem, nawet po kilku tygodniach i miesiącach, a czasem, jak na przykład Mort, nawet po latach. Oni też w końcu znikali bezpowrotnie.

To dlatego sprawdzali, co się dzieje z dziewczyną, mówili sobie. Gdyby zaczęła krzyczeć, ktoś mógłby ich usłyszeć. Za każdym razem, kiedy zapalali świecę, Mętny Henri mówił do niej:

— Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna nie odpowiadała i nie przestawała się trząść.

Tak naprawdę był jednak jeszcze jeden powód, dla którego nieustannie sprawdzali, co się z nią dzieje: nie mogli się

78

powstrzymać od spoglądania na nią. Obydwu przywieziono do Sanktuarium, kiedy mieli siedem lat i ich życie przed tamtej chwili wydawało się odległe niczym księżyc. Matka i ojciec Henriego zmarli niedługo po jego urodzinach, a rodzice Kleista sprzedali go odkupicielom za pięć dolarów, a byli tylko trochę mniej brutalni niż zakonnicy. Od chwili, kiedy zamknęła się za nimi wielka furta Sanktuarium, chłopcy nie widzieli żadnej istoty odmiennej płci, a odkupiciele powtarzali niezmiennie, że kobiety są igraszką diabła. Każdy kapłan, który opuszczał Sanktuarium, aby wyjechać na front, na widok niewiasty powinien natychmiast spuścić wzrok.

— Ciało kobiety jest grzeszne i woła o pomstę do nieba!

Tylko jedną przedstawicielkę przeciwnej płci można było traktować bez wstrętu i trwogi: matkę Powieszzonego Odkupiciela, która jako jedyna spośród niewiast zachowała czystość. Była źródłem miłosierdzia, pociechy i nieustającej pomocy, choć chłopcy zwykle nie mieli pojęcia, co owe cnoty oznaczały, jako że żadnej z nich w swym życiu nie doświadczyli. Równie niejasno odkupiciele wyrażali się na temat tego, co mianowicie kryło się pod owym pojęciem igraszka diabła.

Tak więc Kleist i Mętny Henri przyglądali się dziewczynie z mieszaniną przemożnej ciekawości, strachu i nabożnego lęku. W końcu ktoś, kto potrafi wywołać u odkupicieli taką nienawiść, musi być doprawdy potężną istotą, a więc z powodów, których się nawet nie próbowali domyślić, zasługuje na to, aby się go bać.

W tym momencie wszelako drżąca i przerażona dziewczyna nie przypominała niczego, co mogłoby budzić lęk. Mimo to nie mogli powstrzymać fascynacji. Przede wszystkim miała taką niezwykłą postać. Nosiła lnianą tunikę z najdelikatniejszej tkaniny, jaką chłopcy kiedykolwiek widzieli, przewiązaną w pasie sznurem.

79

Kleist skinął na Henriego, aby odszedł z nim na bok, a potem pochyliwszy się do niego, szepnął mu do ucha:

— Co to za garby ona ma na torsie?

Z największym respektem, ponieważ nie miał pojęcia, jak powinien się zachowywać w stosunku do kobiety, Mętny Henri przysunął świecę do piersi dziewczyny i przyjrzał im się z namysłem.

— Nie wiem — szepnął w końcu.

— Musi być strasznie tłusta — odpowiedział również szeptem Kleist. — Jak ten zgnilec, Wikturiusz.

Naturalnie w Sanktuarium nie było otyłych chłopców. Wśród wszystkich dziesięciu tysięcy zbierałaby się może uncja tłuszczu.

Mętny Henri rozważał w myśli to, co powiedział Kleist.

— Wikturiusz jest cały okrągły i obwisły, a ona gdzieniegdzie wklęśła, a gdzieniegdzie wypukła.

— Chodź, zobaczymy jeszcze raz — zaproponował Kleist.

Mętny Henri zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. Myślę, że powinniśmy zostawić ją w spokoju. Pewnie Picarbo ją stłukł.

Przyglądając się dziewczynie, Kleist głośno wypuścił powietrze.

— Nie wygląda na kogoś, kto wytrzymałby lanie, zwłaszcza takie, jakie potrafi sprawić Picarbo.

— Jakie potrafił sprawić — sprostował Mętny Henri. Obydwaj mruknęli z dziwnym zadowoleniem, chociaż śmierć Dyscyplinariusza naraziła ich na takie niebezpieczeństwo. — Ciekawe, za co ją zbił.

— Pewnie za to, że jest igraszką diabła — stwierdził Mętny Henri.

Kleist kiwnął głową. To brzmiało prawdopodobnie.

— Jak się nazywasz? — spytał Henri nie po raz pierwszy.

80

Dziewczyna nadal nie odpowiadała.

— Ciekawe, jak długo zejdzie Cale'owi — powiedział Mętny Henri.

— Myślisz, że naprawdę ma plan?

— Tak — odrzekł Mętny Henri tonem absolutnej pewności. — Jak on coś mówi, to znaczy, że tak

jest.

— Cieszę się, że jesteś taki pewien, bo ja jakoś nie potrafię. Wtedy odezwała się dziewczyna, ale tak cicho, że jej nie

dosłyszeli.

— Co mówiłaś? — zapytał Henri.

— Riba. — Wzięła głęboki oddech. — Nazywam się Riba.

9

Sprawdziły się najgorsze obawy Cale'a, kiedy opuszczał się w bezdenną ciemność. Najpierw trafił stopami na wielki węzeł na końcu sznura, nie mając pojęcia, ile mu jeszcze zostało do dna. Po drugie, nawet tu na dole czuł, że hak przytrzymujący linę nie wytrzyma obciążenia i zaczyna się odkształcać albo wysuwać.

— Tak czy inaczej spadniesz — powiedział do siebie.

Po czym odepchnął się obydwoma stopami od muru, osłonił rękami głowę i puścił się w przepaść.

Jeżeli można nazwać przepaścią wysokość jednego łokcia. Triumfalnie wyrzucił ramiona do góry. Potem wyjął jedną ze świec, które ukradł Lordowi Dyscyplinariuszowi, krzesiwo i suchy mech i zaczął krzesać ogień. Wkrótce świeca zapłonęła, ale dawała tak mało światła, że nawet kiedy ją podniósł i rozejrzał się dookoła, prawie niczego nie widział. W końcu podmuch wiatru zdmuchnął płomień.

Grube chmury przyćmiewały księżyc, więc mrok panował nieprzenikniony. Jeśli wyruszy po ciemku, łatwo może gdzieś spaść, a wobec tego, co go czekało, nawet drobny uraz, który go spowolni, oznacza pewną śmierć. Lepiej poczekać nawet

82

dwie godziny do świtu. To postanowiwszy, owinał się szczelnie sutanną, położył się i zasnął.

Otworzył oczy niecałe dwie godziny później. W szarym przedświcie widać już było zarysy okolicy. Z muru zwisała lina i zdradzała miejsce, gdzie rozpoczął ucieczkę, niczym wielki wskazujący palec, ale nic nie mógł na to poradzić. Z żalem pozostawiał za sobą dzieło, które kosztowało go osiemnaście miesięcy pracy i niezliczone ataki wymiotów. Wyglądało jak nieskończenie długi koński ogon. Odwrócił się i w rzedniejącym półmroku ruszył w dół po kamienistym bezdrożu sanktuaryjnego wzgórza, myśląc z nadzieją, że może minie jeszcze godzina, zanim znajdą zwłoki Lorda Dyscyplinariusza, a jeśli mu szczęście dopisze, kolejne dwie, zanim trafią na linę.

* * *

Cale'owi nie dopisało szczęście. Ciało odkupiciela Picarba odkrył na pół godziny przed świtem jego służący, którego histeryczne wrzaski w ciągu kilku minut wzbudziły ferment w całym ogromnym Sanktuarium. Błyskawicznie postawiono na nogi wszystkie dormitoria i sprawdzono listę obecności, szybko więc stało się jasne, że brakuje trzech akolitów.

Tropiciela Brunta, który zajmował się psami oraz wyłapywaniem tych nielicznych głupców, którzy próbowali ucieczki, wysłano czym prędzej do Bosca i po raz pierwszy natychmiast wprowadzono go do jego gabinetu.

— Chcę tu widzieć całą trójkę żywą. Macie zrobić wszystko, co w waszej mocy, aby żaden z nich nie zginął.

— Oczywiście, Lordzie Wojownika. Ja zawsze...

— Oszczędźcie mi tego — przerwał mu Bosco. — Nie proszę, abyście byli ostrożni, tylko kategorycznie nakazuję! Pod żadnym warunkiem, nawet za cenę waszego własnego życia, nie wolno uczynić krzywdy Thomasowi Cale'owi. Jeśli

83

Kleist i Mętny Henri zginą... no cóż, trudno, chociaż ich również wolałbym dostać żywych.

— Czy wolno mi spytać, czemu życie Cale'a jest takie cenne?

— Nie wolno.

— Co mam powiedzieć pozostałym? Nie rozumieją tego, a są bardzo rozgniewani.

Bosco pojął, co Brunt miał na myśli. Święty gniew mógł wziąć górę w każdym, nawet najbardziej karnym odkupicielu, na widok akolity, który popełnił coś tak niewyobrażalnie potwornego. Westchnął z irytacją.

— Możecie powiedzieć, że Cale działa z mojego rozkazu i został zmuszony do tego, by towarzyszyć tym mordercom podczas próby zdemaskowania groźnego spisku antagonistów, mającego na celu zamach na papieża.

Żałosna historyjka, pomyślał Bosco, ale w sam raz dla Brunta, który w mgnieniu oka poblądł z rozpacz. Brunt wyróżniał się okrucieństwem nawet wśród słynących z brutalności psiarzy, wszyscy jednak wiedzieli o głębokim uwielbieniu, jakim darzył papieża, bez mała niczym dziecko matkę.

Linę Cale'a znaleziono również bardzo szybko, podsunęto ją do powąchania psom, po czym otwarto bramy i pościg ruszył w drogę niespełna dziesięć staj za uciekinierem. Jednak w najważniejszej sprawie plan chłopca się powiódł: nikomu nie przyszło do głowy, że ścigają tylko jednego akolitę, tak więc nie zarządzono żadnych poszukiwań na terenie Sanktuarium. Na razie Mętny Henri, Kleist i dziewczyna byli bezpieczni. Pod warunkiem oczywiście, że Cale dotrzyma obietnicy.

Ubiegł następnych dziesięć staj, kiedy wiatr przyniósł daleki odgłos psów. Zatrzymał się i nasłuchiwał w ciszy. Przez chwilę słyszał tylko szum lodowatego wiatru szorującego o piaszczystą skałę, potem jednak odległe ujadanie nie pozostawiło cienia

wątpliwości: czekają go kłopoty i to rychło. Dochodziły go dziwne, piskliwe odgłosy, bardziej przypominające przeciągły kwik świni zarzynanej zardzewiałą piłą niż zwyczajne ujadanie sfory. Sylwetką psy odkupicieli również podobne były do wieprzy, zaciętością do odyńca, a ich kły wyglądały, jakby do pysków wsypano im worek zardzewiałych gwoździ. Odgłos ucichł, kiedy Cale odwrócił głowę, szukając znaku oazy. Nic jednak nie zakłócało nieskończonej połaci suchych, jakby

dotkniętych zarazą pagórków. Puścił się znowu biegiem, jeszcze szybciej niż poprzednio. Czekala go daleka droga, a skoro psy były tak blisko, to niewielkie miał szanse, aby przeżyć do południa. Jeśli będzie biegł za wolno, dopadną go, jeśli za szybko, padnie z wyczerpania. Odsunął od siebie te wszystkie

myśli i wsłuchał się w rytm swojego oddechu.

* * *

— Jak długo tu jesteś, Riba? — zapytał Mętny Henri.

W pierwszej chwili dziewczyna jakby nie usłyszała, że ktoś coś do niej mówił, potem podniosła oczy i z trudem skupiła na nim wzrok.

— Pięć lat — odpowiedziała.

Chłopcy popatrzyli na siebie zdumieni.

— Co tu robisz?

— Przyjechałyśmy tu, aby się nauczyć, jak być dobrymi narzeczonymi — rzekła. — Ale oni kłamali. Ten człowiek zabił Lenę i mnie też by zabił. Dlaczego? — zapytała z błaganiem w głosie. — Czemu robią takie rzeczy?

— Nie wiemy — odparł Kleist. — Nic o was nie wiemy. Nawet nie mieliśmy pojęcia o waszym istnieniu.

— Zaczynaj od początku — zaproponował Mętny Henri. — Opowiedz nam, jak tu przyjechałaś, skąd jesteś.

— Nie spiesz się — dodał Kleist. — Mamy mnóstwo czasu.

85

— On po nas wróci, prawda? Ten trzeci?

— Nazywa się Cale.

— Wróci po nas?

— Tak — odparł Mętny Henri. — Ale to może długo potrwać.

— Nie chcę tu czekać — rzuciła gniewnie. — Tu jest zimno i ciemno, i okropnie. Nie będę tu czekać!

— Bądź ciszej.

— Wypuście mnie... bo zacznę krzyczeć.

Nie chodziło nawet o to, że Kleist nie wiedział, jak się obchodzić z istotą odmiennej płci, tylko że nie miał pojęcia, co zrobić z kimś zachowującym się tak kapryśnie i emocjonalnie. Ktoś, kto w Sanktuarium reagował tak niekontrolowanym gniewem, kończył w dole na polu Ginky'ego. Uniósł dłoń, żeby ją uciszyć, ale Henri go powstrzymał.

— Riba, musisz być cicho — powiedział. — Cale po nas wróci i zabierzemy cię w bezpieczne

miejsce. Ale jeśli ktoś nas tu usłyszy, to wszyscy będziemy trupami. Rozumiesz?

Przez chwilę dziewczyna patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby wcielone szaleństwo szeptało jej do ucha. W końcu skinęła głową.

— Opowiedz nam, skąd pochodzisz i wszystko o tym, co tu robiłaś.

Nadal trochę wzburzona Riba podniosła się i wyprostowała. Była wysoką, zgrabną kobietą, chociaż dosyć pulchną. Potem znowu usiadła, wzięła głęboki oddech i próbowała się uspokoić.

— Matka Teresa kupiła mnie na rynku pańszczyźnianym w Memphis, kiedy miałam dziesięć lat. Lenę również.

— Jesteś niewolnicą? — spytał Kleist.

— Nie — odpowiedziała szybko dziewczyna, zawstydzona i oburzona. — Matka Teresa powiedziała nam, że jesteśmy wolne i możemy odejść, gdy tylko będziemy chciały.

Kleist wybuchnął śmiechem.

— Więc czemu nie odeszłyście?

— Ponieważ była dla nas dobra. Dawała nam prezenty i rozpieszczała nas jak kocięta syjamskie, karmiła nas przepyszными potrawami i uczyła nas, jak być dobrą żoną, i powtarzała, że kiedy będziemy gotowe, przyjedzie po nas bogaty książę w lśniącej zbroi i będzie nas kochał i dbał o nas po wsze czasy.

Przerwała prawie bez tchu, jakby to, co opowiadała, działo się na jawie, a groza minionego dnia była zaledwie złym snem. Dla chłopców nic z tego, co mówiła, nie miało najmniejszego sensu.

Henri odwrócił się do Kleista.

— Nie rozumiem. Przecież posiadanie niewolników jest sprzeczne z wiarą.

— To wszystko jakiś absurd. Po co odkupiciele mieliby kupować dziewczynę, dogadzać jej, a potem zarzynać jak...

— Cicho bądź!

Mętny Henri popatrzył na dziewczynę, ale ta siedziała zatopiona w swoich myślach. Kleist westchnął z irytacją. Henri odciągnął go na bok i zniżył głos.

— Co byś czuł, gdybyś musiał patrzeć, jak robią coś takiego z kimś, z kim żyłeś pięć lat?

— Dziękowałbym swojej szczęśliwej gwiazdzie, że w pobliżu znalazł się taki głupek jak Cale i mnie uratował. Powinieneś się bardziej martwić o nas niż o tę dziewczynę. Kim ona dla nas jest? Albo my dla niej? Bóg jeden wie, co nas wszystkich czeka, po co kusić los?

— Co się stało, to się nie odstanie.

— Ale to się jeszcze nie stało, prawda?

Ponieważ Kleist miał bez wątpienia rację, Mętny Henri umilkł, ale nie na długo.

— Po co odkupiciele mieliby sprowadzać do Sanktuarium kogoś, kto jest igraszką diabła? — spytał szeptem. — Karmić go, rozpieszczać, opowiadać mu piękne kłamstwa, a potem żywcem pokroić na kawałki?

— Bo są draniami — odparł Kleist ponuro. Nie był jednak głupcem i jego również to pytanie zaintrygowało. — Czemu zwiększyli liczbę akolitów pięciokrotnie, a może nawet dziesięciokrotnie? — Zaklął i usiadł. — Powiedz mi coś, Henri.

— Co?

— Gdybyśmy znali odpowiedź, poczułbyś się lepiej czy gorzej?

To rzekłszy, zamilkł na dobre.

* * ◆

Jazgot psów słyhać było teraz bliżej i nie cichł ani na chwilę. Cale skończył właśnie sikać nad brzegiem na wpół zapadniętego wzgórza z nadzieją, że ten zapach odciągnie zwierzęta od prawdziwego tropu chociaż na kilka minut. Oddychał ciężko pomimo krótkiego odpoczynku, ledwo powłóczył nogami. Z obliczeń, jakich dokonał na podstawie mapy znalezionej w gabinecie odkupiciela Bosco, powinien już być w oazie Voynich, tymczasem nigdzie nie widać było ani śladu roślinności, wszędzie tylko wzgórza, skały i piach rozciągający się we wszystkie strony jak okiem sięgnąć. Coraz częściej nachodziła go myśl, którą nosił w sobie od chwili, gdy znalazł mapę — że była to pułapka zastawiona na niego przez Lorda Wojownika.

Nie musiał już oszczędzać sił, psy dopadną go lada moment. Ujadanie nie ustawało, co znaczy, że albo przeoczyły, albo zignorowały zapach jego moczu. Pędził teraz najszybciej jak mógł, chociaż po czterech godzinach biegu był zbyt wyczerpany, aby znacznie przyspieszyć kroku.

Psy już go osaczały i Cale zwolnił, bo wiedział, że nie zdoła im uciec. Jego oddech charczał, jakby piasek szorował mu w płucach. Zaczął się potykać. Potem upadł.

Poderwał się w mgnieniu oka, ale wstając, rozejrzał się na boki. Nadal ze wszystkich stron otaczały go pagórki i skały, teraz jednak na piasku rosły patykowate chwasty i kępy trawy, a gdzie trawa, tam i woda. Psy zawyły ze zdwojoną energią, jakby smagnięte batem. Cale rzucił się przed siebie, modląc się w duchu, aby się nie okazało, że zamiast zbliżyć się do oazy, mija jej obrzeża i kieruje się dalej w głąb pustyni na pewną śmierć.

Trawa i zarośla stawały się coraz gęstsze i kiedy przeskoczył nad grzbietem następnego wzniesienia i omal się nie przewrócił, zobaczył przed sobą oazę Voynich. Psy wyły, czując, że ich pościg dobiega końca. Cale biegł dalej, potykając się, bo ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Wiedział, że nie powinien oglądać się za siebie, ale nie mógł się powstrzymać. Psy przelewały się nad grzbietem wzniesienia niczym węgiel wysypywany z worka, ujadając, skomląc, zabiegając sobie drogę, warcząc na siebie, kłując się i wyjąc z żądzy, aby go rozszarpać na kawałki.

Biegł, połykając się, a za nim zbita masa psych karków i kłów. Wpadł między pierwsze drzewa oazy. Jeden z psów, szybszy i bardziej zajadły od pozostałych, już go dopadał. Zwierzę zaczęło łapać o

nogę Cale'a, chłopiec potknął się i runął na ziemię jak długi.

Pewnie byłby to już koniec, lecz w zbytnej zapalczywości pies również stracił równowagę. Nieprzywykły do wilgotnego i miękkiego podłoża oazy pośliznął się, przekoziółkował w przód i grzmotnął kręgosłupem o pień drzewa. Zaskomlał wściekle, lecz próbując się poderwać nazbyt szybko, pogorszył tylko sytuację, ponieważ łapy rozjechały mu się na zdradliwym gruncie. Cale popędził w stronę jeziora w środku oazy i zanim

89

zwierzę poderwało się i znów rzuciło się w pogoń, zyskał kilkanaście kroków przewagi. Mimo to pościg rozjuszonego psa za skrajnie wyczerpanym chłopcem nie trwał długo. Dogonił go błyskawicznie i już się szykował do skoku, lecz w tej samej chwili Cale długim łukiem poszybował w powietrzu, po czym z pluskiem wpadł do wody.

Pies zatrzymał się nad brzegiem i zawył wściekle. Po chwili dołączyło do niego następne zwierzę i jeszcze następne i wszystkie ujadły z bezsilną furją.

Pięć minut minęło, zanim tropiciel i jego ludzie dotarli na kucykach nad brzeg jeziora, które nawadniało oazę. Psy nadal szczekały, ale wokół nie widać było żywej duszy. Przez jakiś czas Brunt stał nad wodą i rozglądał się podejrzliwie. Jego twarz, która nigdy nie przedstawiała widoku miłego dla oka, pociemniała z frustracji. W końcu odezwał się jeden z jego ludzi.

— Jesteście pewni, że to oni, odkupicielu? Te głupki — powiedział, wskazując psy — nieraz już pognały za jeleniem czy dzikiem.

— Cicho bądź — odparł Brunt łagodnie. Oni nadal mogą gdzieś tu być. Dobrze pływają. Rozstawcie ludzi na warcie i co lepsze psy wokół jeziora. Jeśli się gdzieś tu ukrywają, dopadnę ich. Ale na Boga, pamiętajcie, że Cale'owi nie może spaść włos z głowy.

Brunt nie powtórzył swym ludziom ani słowa o wymyślonym przez Bosca spisku przeciwko papieżowi. Może nie do końca wszystko, co powiedział Lordowi Wojownikowi o niepohamowanej wściekłości swoich ludzi, było kłamstwem, bo w istocie byli źli, ale zrobiliby bez zastrzeżeń wszystko, co by im kazał. Myśl, że jest jedynym zwykłym śmiertelnikiem, który wie o okropnym zagrożeniu życia papieża, napełniała go tym większą czułością dla Jego Świątobliwości i nie zamierzał swej miłości kalać, dzieląc ją z innymi.

90

4 " V

Dał znak skinieniem głowy i po chwili ludzie wokół niego zaczęli się przemieszczać. W ciągu godziny oaza została

otoczona tak szczelnie, że mysz by się nie prześliznęła.

* * *

W ukrytym korytarzu Sanktuarium Riba zasnęła, Kleist poszedł polować na szczury, a Mętny Henri przyglądał się dziewczynie, zaintrygowany jej osobliwymi kształtami i nowymi, dziwnymi odczuciami, które budziły się w nim obok głodu i strachu. Miał solidny powód, żeby się bać.

Odkupiciele nigdy nie zaprzestawali pościgu za uciekinierami, dopóki ich nie znaleźli, bez względu na to, jak długo to trwało. A kiedy ich złapano, karano dla przykładu tak, że przez następne tysiąc lat na samą wzmiankę o tym każdemu akolicie krew krzepła w żyłach, serce im zamierało, a włosy na karku stawały dęba jak kolce spłoszonego jeżozwierzka. Okrucieństwo i męki, jakim ich poddawano przed śmiercią, obrastały legendą na wieki.

Choć Kleista pochłaniało polowanie na szczury, w głębi duszy nękały go te same myśli. Łączyła ich jeszcze jedna obawa: narastające podejrzenie, że Cale jest teraz w połowie drogi do Memphis i nie zamierza po nich wracać. Szczerze mówiąc, Kleist nie miał co do tego wątpliwości, ale nawet lojalny Henri nie był pewien, co robi Cale. Zawsze pragnął się z nim przyjaźnić, choć sam do końca nie wiedział dlaczego. Ze strachu przed potępieniem, jakim obłożono przyjaźń, akolici w Sanktuarium traktowali się z dużą ostrożnością, zwłaszcza że odkupiciele nierzadko zastawiali pułapki. Szkolili niektórych chłopców obdarzonych szczególnym urokiem osobistym i wrodzonymi, by tak rzec, skłonnościami do obłudy, jak być jeszcze bardziej uroczym i jeszcze bardziej zdradliwym. Młodzieńcy ci, zwani kurczakami, kusili niepodejrzewających niczego towarzyszy, namawiali ich do zwierzeń, rozmów, wspólnych

91

gier oraz innych przyjacielskich gestów. Ci, którzy dali się namówić na ich podszepty, dostawali trzydzieści razy nabijaną kolcami rękawicą przed całym dormitorium. Potem zostawiano ich krwawiących na dwadzieścia cztery godziny. Nawet jednak tak bolesne konsekwencje nie powstrzymywały niektórych akolitów przed nawiązywaniem przyjaźni i sojuszy w wielkiej bitwie o życie lub w obronie przed wchłonięciem przez religię odkupicieli.

Mętny Henri jednak nigdy nie był pewny, czy jego zażyłość z Cale'em można nazwać przyjaźnią. Zadał sobie dużo trudu, aby zaimponować mu swoją brawurową arogancją wobec odkupicieli. Mimo to przez wiele miesięcy Cale sprawiał wrażenie, jakby nie zauważał lub nie rozumiał jego prowokacyjnej postawy, a jeśli zauważał, to nie obchodziło go to w najmniejszym stopniu. Jego oblicze wyrażało zawsze to samo: chłodną, beznamietną czujność. Nigdy nie zdradzał uczuć, bez względu na okoliczności. Sukcesy na treningach zdawały się nie sprawiać mu żadnej przyjemności, podobnie jak surowe kary, którymi Bosco obdzielał go hojniej niż innych, pozornie nie sprawiały mu bólu. Nie wzbudzał w innych akolitach strachu, ale też nikt go szczególnie nie lubił. Nikt nie potrafił go rozgryźć — nie buntował się, ale też nie należał do grupy wiernych. Na ogół zostawiano go samemu sobie i Cale, o ile można to było wywnioskować z jego zachowania, był z tego zadowolony.

— Pensa, jeśli zdradzisz mi, co myślisz.

To Kleist wrócił z polowania. Pięć szczurów, pozbawionych ogonów, wisiało na sznurku u jego pasa. Odwiązał je, rzucił na ziemię i zaczął obdzierać ze skóry.

— Lepiej je oprawię, zanim się tamta obudzi — powiedział z uśmiechem. — Nie podejrzewam, żeby je zjadła pieczone ze skórą.

92

— Czemu się jej ciągle czepiasz?

— Przecież wiesz, że przez nią zginiemy. Co nie znaczy, że bez niej mielibyśmy wielkie szanse. Twój kompan ma dwanaście godzin na to, żeby wrócić albo...

— Albo co? — przerwał mu Henri. — Jeśli ułożyłeś jakiś plan, to proszę, zamieniam się w słuch.

Kleist prychnął, patrosząc szczury.

— Gdyby nie to, że myślę teraz tylko o jedzeniu — rzekł, wskazując zabite zwierzęta — miałbym naprawdę fatalne przecucia co do naszych szans, żeby jeszcze kiedykolwiek zobaczyć Cale'a na oczy.

* * *

Po wyjściu z gąszczy trzciny nad brzegiem jeziora Cale poszedł w stronę miejsca, skąd wydobywano ziemię, oddalonego o niecałe pięćdziesiąt sążni. Od piętnastu lat odkupiciele przychodzili do oazy i wywozili całe tony żyznej, gliniastej ziemi, która tworzyła się pod sklepieniem drzew. Miała ona prawdziwie cudowne właściwości, potrafiła ożywić nawet najbardziej jałową glebę w ogródkach warzywnych Sanktuarium. Była tak płodna, że dzięki niej świątynia mogła dziesięciokrotnie zwiększyć liczbę akolitów.

Cale jednak odkrył, że ziemia z oazy miała jeszcze jedną właściwość. Pracując pewnego dnia w ogrodzie pod strażą psów, wyszkolonych, aby wypatrywały każdego, kto próbuje coś ukraść, podczas krótkiej przerwy wyjął z kieszeni kawałek nogi trupa, który znalazł na podłodze refektarza. Gdy tylko go powąchał, zorientował się, że nie został tam upuszczony przypadkiem, tylko porzucony, ponieważ był tak zepsuty, że zupełnie nie nadawał się do jedzenia. Rzucił jedzenie śpiącemu nieopodal psu, którego opiekun patrzył akurat w drugą stronę. Nie uczynił tego bynajmniej z dobroci serca, lecz w nadziei, że zwierzę

93

połaszczy się na ten kąsek i rozchoruje. Nogi trupa upadły na mały kopczyk ziemi z oazy, tuż obok zwierzęcia, które na ten odgłos natychmiast poderwało się czujne i bystre. Mimo jednak, że cuchnący smakołyk leżał tuż pod jego nosem, a był to nos zdolny zwietrzyć na tysiąc kroków sikającego komara, pies nawet nie spojrzał w jego stronę. Łypnął tylko wściekle na Cale'a, ziewnął, podrapał się i ułożył z powrotem do spania. Później, kiedy strażnik z psem odeszli, Cale podniósł nogi trupa i powąchał je. Cuchnęło pod niebiosa. Zaintrygowany wziął do ręki garść ziemi i wcisnął w nią cuchnący kęs. Znowu powąchał. Czuć było tylko bogaty, ciężki zapach torfu. W jakiś sposób glina z oazy nie tylko zagłuszała odór zjełczałego tłuszczu, ale go wręcz całkowicie usuwała. Ale tylko tak długo, jak długo pozostawała z nim w bezpośrednim kontakcie.

Przez kilka następnych dni eksperymentował z psami w ogródkach i coraz bardziej cuchnącymi nogami trupa. Ani razu zwierzęta nie wyczuły zapachu jedzenia. W końcu otarł je z ziemi i porzucił na zwirowej ścieżce. Nie minęło kilka minut, kiedy zjawił się pies ściągający ich smrodem i pożarł przynętę w mgnieniu oka. Niedługo potem Cale z satysfakcją patrzył, jak zwierzę wymiotuje pod płotem.

Dużo bardziej niebezpiecznym zadaniem było znalezienie w bibliotecznych archiwach informacji o

tym, skąd pochodzi tajemnicza ziemia. Znajdowały się tam mapy i dokumenty, po które często wysyłał go Lord Wojownik, tak więc musiał tylko cierpliwie poczekać na sposobność, aby wziąć odpowiednią kartotekę, a potem, aby ją odłożyć na miejsce. Chociaż było mało prawdopodobne, aby go złapano, konsekwencje mogły być nieprzyjemne, może nawet fatalne, gdyby odkupiciele odkryli, że jego zainteresowanie dokumentami o oazie wynika z planów ucieczki, a nie zainteresowań ogrodnictwem i nawozami.

94

Przez cały czas po wyjściu z jeziora Cale słyszał ujadanie psów. Gdy tylko wpadnie między drzewa, nie będą go mogły zobaczyć ani zwietrzyć. Wiedział jednak, że nie potrwa to długo. Wkrótce znalazł się na terenie, skąd odkupiciele wybierali ziemię. Wykopy pozostawiły wielkie wydrążone wgłębienia zamiast prostych rowów, ponieważ piaszczysta glina oazy była zbyt miękka, aby utrzymać pionowe ściany jak zwykła ziemia, chociaż nie aż tak miękka, aby nie uwięzić i nie udusić człowieka, jak o tym traktowały zapisy w archiwach Sanktuarium. Informacja ta brzmiała bardzo pokrzepiająco, jeśli zważyć na to, że dziesiątki odkupicielei zginęły podczas prac wydobywczych; niezbyt pokrzepiająco natomiast w chwili, gdy szukało się sposobu, aby ukryć się przed oczami i nosami psów.

Wybrał płytką rozpadlinę u podnóża jednego ze wzgórz, pogłębił ją, zebrał wokół trochę ziemi, aby ludzie z pościgu nie zauważyli świeżych śladów kopania, ułożył się w dołku, po czym zaczął się ostrożnie przysypywać. Nie zajęło to dużo czasu i wcale nie czuł się bezpiecznie tak płytko pod powierzchnią, ale nie odważył się kopać głębiej z obawy, że osunie się na niego spiętrzona luźna ziemia. Przypominał sobie nieustannie, że musi się ukryć tylko przed wzrokiem i węchem psów. Słabością odkupicielei było ich bezgraniczne zaufanie do zwierząt — jeśli one niczego nie zwietrzyły, znaczyło, że nic tam nie ma, nie zadali więc sobie trudu, aby osobiście przeszukać okolicę. Cale położył się i próbował zasnąć, świadom, że na razie nie może zrobić nic więcej. Potrzebował odpoczynku, a i tak nie zaśnie zbyt twardo. Dawno temu nauczył się budzić w ułamku sekundy.

I rzeczywiście zbudził się w mgnieniu oka na odgłos szczekania i krzyków. Zbliżali się. Psy przestały ujadać, jak to zwykle czyniły w trakcie gorączkowej pogoni, a zamiast tego

95

sapiąc i skomląc, skupiły się na tropieniu. W końcu usłyszał węszenie dosłownie o krok od siebie. Ale zwierzę się nie zatrzymało. Ziemia spełniła swoje zadanie, zagłuszając wszystkie inne zapachy. Wkrótce sapanie i sporadyczne szczekanie przycichło i Cale pozwolił sobie na chwilę triumfalnego zadowolenia. Mimo to musiał pozostać w ukryciu jeszcze wiele godzin. Odprężył się więc i znowu zasnął.

Kiedy się ponownie zbudził, całe ciało obolało go od wyczerpującego biegu, szczególnie łupało go w lewym kolanie, gdzie odnowiła się dawna kontuzja. Trząsał się też z zimna. Przecisnął prawą rękę przez warstwę ziemi i wynurzył się na tyle, by przekonać się, że zapadł zmrok. Czekał. Dwie godziny później usłyszał pierwsze ptaki, a wkrótce potem niebo pojaśniało. Powoli wygrzebał się ze swojego dołka, gotów na pierwszy odgłos odkupicielei zniknąć pod ziemią. Ale poza śpiewem ptaków w wysokich koronach drzew i szelestem maleńkich stworzonek w poszyciu wokół panowała cisza. Wyjął lnianą torbę, którą zabrał z gabinetu Dyscyplinariusza, i zaczął zagarniać do środka ziemię i ugniatać ją mocno, aby zmieścić jej jak najwięcej. Potem zarzucił torbę na ramię i poszedł szukać

odkupicieli.

Trafił na nich trzy godziny później, bo nietrudno było znaleźć dwudziestu mężczyzn z czterdziestoma psami, którzy w dodatku nie mieli powodu, by zacierać za sobą ślady — nikt w promieniu dwustu staj nie zbliżyłby się nawet do samotnego odkupiciela, a co dopiero kilkunastu i to z psami. To oni szukali innych, ich wszyscy omijali z daleka.

Idąc w ślad za grupą poszukiwawczą, przez dziesięć minut rozważał w myślach, czy nie powinien zostawić trójki czekającej na niego w Sanktuarium własnemu losowi i uciec do Memphis, póki jeszcze może. Nie miał żadnych zobowiązań wobec Kleista, wobec Mętnego Henriego niewielkie, a dziewczynę

96

już raz uratował. Jak ośmiornica zmienia kolory w pobliżu drapieżnika, a czerwień i żółć przelewają się pod jej skórą niczym fale, tak chęć ucieczki miotła Cale'em na przemian z postanowieniem powrotu, raz jedno przeważało, raz drugie, to znów mieszały się ze sobą tak, że z trudem je rozróżniał. Powody, by zniknąć jak najszybciej były oczywiste, racje przemawiające za powrotem niejasne i mętne, ale to właśnie one przywiodły chłopca, z oporami wprawdzie i pośród wielu przekleństw, z powrotem ku poszukującym go kapłanom i psom.

Chociaż brud z gliniastej ziemi oazy przyłgął do jego ubrania i ciała, trzymał się cały czas pod wiatr w stosunku do psów i nie podchodził bliżej niż na staję. Tak jak na to liczył, dwie godziny później ekipa poszukiwawcza przerwała pogoń i skierowała się z powrotem do Sanktuarium. Cale zdawał sobie sprawę, że to nie oznaczało bynajmniej rezygnacji, zakończono jedynie wstępny etap pościgu, mający na celu szybkie złapanie uciekinierów. Zwykle to wystarczało, lecz jeśli w ciągu trzydziestu godzin zgubiono trop, pierwszy zespół powracał, a w jego miejsce wysyłano pięć następnych ekip, w pełni wyposażonych i samowystarczalnych, które mogły kontynuować poszukiwania nawet przez kilka lat, jeśli było trzeba. Nigdy jednak do tego nie doszło. Najdłużej dwa miesiące udało się zbiegowi unikać złapania, a grozę kary, jaka go za to spotkała, trudno nawet wyrazić słowami.

Wciąż trzymając się z dala i pod wiatr, Cale podążał za odkupicielami jak cień przez następne dwanaście godzin, stopniowo podchodząc coraz bliżej i bacznie wyglądając najmniejszego znaku, że psy zwietrzyły jego obecność. W ten sposób dotarł z grupą pościgową aż do Sanktuarium i kiedy otwarto bramę, wystarczyło narzucić kaptur głęboko na twarz i w ciemności dołączyć do wycieńczonej grupy, gdy powracała w mury

97

świątyni. Nikt nigdy nie sprawdzał wchodzących osób, cóż za szaleniec bowiem, mężczyzna czy chłopiec, mógłby się wkradać do siedziby odkupicieli?

* * *

Po całym dniu oczekiwania w tajemnym korytarzu, trójka młodych uciekinierów siedziała w ciemności pogrążona we własnych myślach, zwykle podobnych do siebie i niewesołych. Kiedy usłyszeli ciche stukanie do drzwi, poderwali się z rozpaczliwą nadzieją, ale i przejęci obawą przed pułapką.

— A jeśli to oni? — spytał szeptem Kleist.

— To i tak tu wejda, prawda? — odrzekł Mętny Henri.

Podeszli i razem otworzyli drzwi.

— Dzięki Bogu, to ty — powiedział Henri.

— A kogo się spodziewaliście? — spytał Cale.

— Myśleliśmy, że to może ci mężczyźni.

Pierwszy raz Cale rozmawiał twarzą w twarz z kobietą. Miała niski, łagodny głos i gdyby jego twarz widać było w ciemności, wszyscy ujrzeliby na niej najwyższe zdziwienie i zarazem fascynację.

— Jeśli przyjdą po nas odkupiciele, nie będą pukać.

— Mogą to zrobić, żeby zastawić pułapkę.

Cale zatrzasnął drzwi.

— Już jesteśmy w pułapce.

— Powiedz nam, co robiłeś, i czy wyjdziemy stąd żywi — rzekł Kleist.

— Zapalcie świecę, będziemy jej potrzebować.

Dwie minuty później mogli się widzieć nawzajem, w delikatnym blasku cztery osoby skupione blisko siebie tworzyły prawie piękną scenę.

— Co to za zapach? — spytał Mętny Henri.

Cale rzucił na podłogę torbę z gliną z oazy.

98

— Psy nas nie wyczują, jeśli natrzemy nią ciała i ubranie. No dalej, zaczynajcie, a ja wam w tym czasie opowiem, co się wydarzyło.

To, co nastąpiło później, w każdym innym miejscu na świecie mogłoby się wydawać niezręczne. Zaszokowana Riba już miała zaprotestować, że potrzebuje prywatności, ale wszyscy trzej chłopcy odwrócili się plecami zarówno do niej, jak i do siebie nawzajem. Rozebrać się do naga w obecności innych jest obrazą, która woła o pomstę do nieba, jak lubił powtarzać Lord Dyscyplinariusz. Wiele było rzeczy, za które niebiosy wielkim głosem dopominały się odwetu.

Tak więc wiedzeni siłą głęboko zakorzonego nawyku chłopcy rozeszli się w ciemne kąty tunelu, aby się tam rozebrać, Riba zaś pozostawiona sama sobie, nie miała się komu poskarżyć. Wzięła garść aromatycznej ziemi i bez słowa zanurzyła się w ciemność.

* * *

Pięć godzin później, gdy brudny świt zaczął się przesączać przez ciemność, Brunt nakazał pięciu drużynom poszukiwawczym, złożonym z setki ludzi z psami, wyruszyć z głównego dziedzińca. Kiedy ostatnia opuściła plac, do pochodu dołączyło jeszcze czterech odkupicieli w kapturach, osłaniających ich przed zimnem. Minawszy bramę, zeszli żuźłową drogą na rozpościerającą się w dole równinę porośniętą rzadkimi krzewami. Tutaj pięciuset odkupicieli podzieliło się na niezależne oddziały i

skierowało we wszystkie strony świata.

Czterech ostatnich kapłanów podążyło za kolumną kierującą się na południe. Przez godzinę dotrzymywali jej kroku, podczas gdy preceptor nucił marszową pieśń wstydu:

— Święty odkupicielu!

99

#

— Odegnaj nasze grzechy! — zabrzmiała zawodząca odpowiedź stu czterech głosów.

— Święty odkupicielu!

— Oczyszczyć nasze zbrodnie!

— Święty odkupicielu!

— Wypal nasze żądze!

Święty odkupicielu!

— Wychłostaj nasze...

I tak to się ciągnęło do ostrego zakrętu wokół pierwszego ze wzniesień Strupich Wzgórz, gdzie ze stu czterech głosów zostało tylko sto.

Z blank Sanktuarium Lord Wojownik patrzył, jak pięciuset odkupicieli wyłania się z nisko wiszącej mgły i kilka staj dalej dzieli na pięć grup. Stał tak, dopóki ostatni dwaj nie znikli mu z oczu, po czym odwrócił się i poszedł na śniadanie. Dzisiaj podawano jego ulubione czarne flaki z gotowanym jajem.

◆ * *

Chłopcy uszliby osiemdziesiąt albo i sto staj przed zmrokiem, gdyby nie Riba, która była prawdziwą kulą u nogi. Piękna, pulchna i wypieszczona, przez ostatnie pięć lat prawie w ogóle nie zażywała ruchu. Z sali masażu wchodziła prosto do gorącej kąpieli, a następnie do stołu jadalnego na jeden z pięciu posiłków dziennie złożonych z nadziewanych liści winorośli, nóżek w auszpiku, wonnych ciast i najróżniejszych innych tuczających potraw, jakie można sobie wymyślić. Równie dobrze można się było spodziewać, że ujdzie sześćdziesiąt staj, jak tego, że przeleci dwieście na skrzydłach. Z początku Kleist i Cale tylko się niecierpliwili i popędzali ją, kiedy jednak stało się jasne, że żadnymi prośbami ani groźbami nie uda się skłonić biednego dziewczęcia do zrobienia choćby jednego kroku

100

więcej, usiedli, a Mętny Henri kazał jej opowiedzieć o swoim życiu w tajemnych zakątkach Sanktuarium.

Była to nie tylko fantastyczna opowieść o wygodach i luksusie, o rozpieszczaniu ciała, o trosce i ciepłe, lecz także coś dla chłopców zupełnie niepojętego. Trzej akolici dziwili się coraz bardziej, po co odkupiciele mieliby komuś tak dogadzać, a tym bardziej igraszcze diabła. I jaki związek miała ta oszałamiająca dobroć z odrażającymi praktykami, którym poddano przyjaciółkę Riby, Lenę, z

okrucieństwem tak groteskowym, że nawet chłopcy nie podejrzewaliby o nie odkupicieli. Minęło jednak dużo czasu, zanim ktokolwiek z nich zaczął się domyślać przerażającej prawdy, której częścią stali się trzej akolici, Riba oraz Lord Wojownik, zwłaszcza że Cale ukrył tajemniczy przedmiot wydzielający cudowną woń, który znalazł na stole dysekcyjnym w jednej z rzadko używanych kieszeni i do reszty o nim zapomniał.

Mieli jednak bardziej palące sprawy niż los ludzkości. Jak przeżyć, wlokąc za sobą piękną, lecz ocieżałą Ribę? Uszli tego dnia zaledwie dwadzieścia staj, co można było uznać za wielki wyczyn dziewczyny, skoro największym fizycznym wysiłkiem, jaki podejmowała dotychczas było podniesienie do ust kęsów pieczonego kurczaka lub przewracanie się na stole do masażu, aby wklepano w jej nieskazitelne ciało kolejne maści i pianki. Zbytecznie dodawać, że owa determinacja Riby nie została bynajmniej przez chłopców doceniona ani przyjęta ze stosownym entuzjazmem. Wyczerpana dziewczyna zasnęła natychmiast, gdy tylko zatrzymali się na nocleg.

Jedząc suszone mięso przygotowane przez Kleista, chłopcy debatowali, co powinni zrobić z uciążliwą towarzyszką podróży.

— Zostawmy ją i uciekajmy — zaproponował Kleist.

— Zginie tu sama — zaproponował Mętny Henri.

— Zostawimy jej wodę. Powiedzmy sobie szczerze —

101

ciągnął Kleist, obrzucając wzrokiem śpiącą postać — minie dużo czasu, zanim umrze z głodu.

— Umrze tak czy inaczej, jeśli będziemy się dalej posuwać w tym tempie, a my zginemy razem z nią — rzekł Cale i nie był to argument w dyskusji, a raczej stwierdzenie faktu.

Mętny Henri postanowił uciec się do pochlebstwa.

— Niekoniecznie. Popatrz, Cale, udało ci się wyprowadzić ich wszystkich w pole. Myślą, że jesteście daleko. Pewnie podejrzewają, że ktoś nam pomagał, skoro wymknęliśmy się im tak łatwo.

— A kto mógłby nam pomagać i narażać się odkupicielom, do diabła? — spytał Kleist.

— Jakie to ma znaczenie? Tak czy inaczej, myślą, że uciekliśmy. Dużo czasu upłynie, zanim się zorientują, jak to zrobiliśmy. Może nawet nigdy się tego nie dowiedzą. Możemy sobie pozwolić na to, żeby iść powoli.

— Lepiej, żebyśmy nie musieli — zauważył Cale.

— Złapią nas, jak będziemy się tak ślimaczyć. Nie wystarczy jakieś borsucze gówno, żeby ich utrzymać z daleka.

— Przeszliśmy przez to wszystko, żeby ją uratować, nie możemy jej teraz zostawić na pewną śmierć.

— Owszem, możemy — zaprotestował Kleist. — A największą przysługę wyświadczylibyśmy jej i sobie, gdybyśmy poderżnęli jej gardło we śnie.

Cale westchnął krótko, ale bez zbytniego żalu.

— Henri ma rację. Jaki to wszystko miałyby sens, gdybyśmy teraz pozwolili jej umrzeć?

— Jaki sens?! — zawołał z irytacją Kleist. — Taki, że zdołalibyśmy uciec, durnie! Moglibyśmy być wolni do końca życia.

Pozostali chłopcy nie odpowiedzieli. Kleist miał rację.

— Głosujmy — zaproponował Henri.

102

— Nie, nie głosujmy. Lepiej posłuchajmy rozsądku.

— Głosujmy — zgodził się Cale.

— Po co się wysilać? Przecież wy już zdecydowaliście, że ciągniemy ją dalej ze sobą.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

— Powinniśmy zrobić jeszcze jedną rzecz — odezwał się w końcu Cale.

— Co znowu? — jęknął Kleist. — Znaleźć gęsie pierze, żeby tłustej flądrze wypchać pierzynę?!

— Mów ciszej — upomniał go Mętny Henri.

Cale nie zwracał na nich uwagi.

— Musimy zdecydować, kto to zrobi, jeśli złapią nas odkupiciele.

Był to nieprzyjemny temat, ale wszyscy trzej wiedzieli, że Cale ma rację. Nikt z nich nie zamierzał wracać do Sanktuarium żywy.

— Ciągnijmy słomki — zaproponował Henri.

— Nie mamy słomek — zauważył żałośnie Kleist.

— No to losujmy kamyki.

Henri wstał i po chwili wrócił z trzema kamykami różnej wielkości. Pokazał je przyjaciołom na otwartej dłoni, a oni skinęli głowami na znak zgody.

— Najmniejszy przegrywa.

Henri schował kamienie za plecy, po czym wyciągnął przed siebie lewą rękę zaciśniętą w pięść. Zapadła cisza. Podejrzliwy Kleist czekał. Cale wzruszył ramionami, zamknął oczy i nadstawił dłoń wnętrzem do góry. Henri wypuścił jeden kamyk tak, aby Kleist niczego nie widział, Cale zacisnął palce, po czym otworzył oczy. Następnie Henri wyciągnął przed siebie dwie zamknięte dłonie z kamykami. Mimo to Kleist nadal wzdrygał się przed podjęciem decyzji, jakby się bał, że w jakiś sposób, choć nie miał pojęcia jak, może zostać oszukany.

103

— No rusz się — ponaglił go Mętny Henri, niezwykle jak na siebie zniecierpliwiony.

Niechętnie Kleist klepnął jego prawą rękę i zamknął oczy. Teraz każdy z chłopców trzymał jeden

kamyk.

— Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Wszyscy otworzyli dłonie. Najmniejszy kamień wylosował Cale.

— No cóż, przynajmniej możecie być pewni, że robota zostanie wykonana porządnie.

— Niepotrzebnie się martwiłeś — powiedział Kleist. — Nie zawahałbym się, gdyby mi przyszło cię rozsiekać.

Cale spojrzał mu w oczy, ale z twarzy towarzysza nie zniknął uśmiech.

— Co robicie? — zapytała Riba, która obudziwszy się, obserwowała ich poczynania.

Kleist odwrócił się w jej stronę.

— Próbowaliśmy zdecydować, kogo zjemy pierwszego, kiedy skończy nam się jedzenie.

To rzekłszy, obrzucił ją znaczącym spojrzeniem, jakby sugerując, że odpowiedź jest oczywista.

— Nie słuchaj go — powiedział Mętny Henri. — Ustalamy, kto pierwszy obejmie wartę.

— Kiedy wypada moja kolej? — spytała dziewczyna.

Trzej chłopcy spojrzeli zaskoczeni wyzywającym, wręcz

rozdrażnionym tonem w jej głosie.

— Ty musisz porządnie wypocząć — odparł Henri.

— Jestem gotowa wykonać swoją część pracy.

— Oczywiście, ale za parę dni, kiedy przywykniesz do większego wysiłku. Na razie najbardziej potrzebujemy, żebyś nabrała sił. Na pewno rozumiesz, że tak będzie najlepiej.

Trudno było dyskutować z tym argumentem.

104

— Chcesz coś zjeść? — spytał Henri, wyciągając w jej stronę kawałek suszonego szczura.

Nie wyglądał zbyt apetycznie, zwłaszcza dla kogoś, wychowanego na kremach, kurczakach zapiekanych w cieście i tłustych sosach. Ale była bardzo głodna.

— Co to jest?

— Hmm... mięso — odparł ogólnikowo Mętny Henri.

Podszedł i podsunął jej jedzenie pod nos. Pachniało tak, jak

mógł pachnieć martwy szczur. Jej delikatny nosek zmarszczył się mimowolnie z obrzydzenia.

— Ee... nie — powiedziała, ale zaraz szybko dodała: — Dziękuję.

— Nie zaszkodzi jej, jak pogłoduje — mruknął Kleist pod nosem, ale na tyle głośno, żeby

dziewczyna usłyszała.

Ribie jednak nie przyszło do głowy, że ktoś może nie uważać jej za chodzącą doskonałość. Przecież wmawiano jej to przez całe życie. Tak więc chociaż zrozumiała, że uwaga Kleista była uszczypliwa, nie poczuła urazy.

— Obejmę wartość pierwszy — oznajmił Cale.

Odwrócił się i odszedł na szczyt najbliższego pagórka. Dwaj

pozostali chłopcy położyli się na ziemi i w ciągu kilku minut zasnęli. Riba jednak nie mogła się ułożyć i zaczęła cicho popłakiwać. Kleist i Mętny Henri spali jak kamień, ale Cale siedzący na szczycie skarpy słyszał jej szlochanie. Wsłuchiwał się w nie z uwagą, aż w końcu dziewczyna także zapadła w sen.

Rano chłopcy zbudzili się jak zawsze o piątej, ale było za wcześnie, żeby zwijać obóz.

— Nie budźmy jej — powiedział Cale. — Im dłużej się wyśpi, tym lepiej.

— Bez niej bylibyśmy już kawał drogi stąd — mruknął Kleist.

U jego stóp nóż wbił się ciężko w ziemię.

105

— Zabrałem go od Picarba. Poderżnij jej gardło, jeśli chcesz, zrób cokolwiek, bylebyś przestał w końcu jęczeć.

Powiedział to bardzo rzeczowym tonem, bez śladu złości w głosie. Kleist świdrował go zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem. Potem się odwrócił. Mętny Henri zastanawiał się, czy naprawdę byłby zdolny zabić dziewczynę lub może rzucić się z nożem na Cale'a, czy też lubi po prostu mieć na co pomstować. Tak czy inaczej Cale wykazał dość mądrości, aby powściągnąć triumfalny ton w głosie, kiedy się znowu odezwał.

— Mam pomysł. Może dałoby się wykorzystać z pożytkiem problem z dziewczyną.

Kleist odwrócił się z powrotem. Nadal był ponury, ale słuchał uważnie.

— Skoro nie możemy zwiększyć dystansu między sobą a grupami pościgowymi idącymi na wschód i na zachód, to najlepiej podążyć ich tropem. W ten sposób na pewno nie napatoczymy się na nich przez przypadek.

Schylił się, podniósł nóż i zaczął rysować na piasku.

— Jeśli Henri z dziewczyną ruszą w prostej linii na południe i nie ujdą dziennie więcej niż kilka staj, to Kleist i ja będziemy zawsze dokładnie wiedzieć, gdzie jesteście. Kleist pójdzie na zachód, ja na wschód śladem najbliższych grup poszukiwawczych. — Wskazał linię oznaczającą na rysunku drogę Henriego i Riby. — Jeśli dojdziemy do wniosku, że mogą się natknąć na lawirujące grupy poszukiwawcze, wrócimy i skierujemy ich w inną stronę.

Kleist patrzył na rysunek z namysłem i powątpiewaniem.

— No dobrze, a jeśli wrócisz, żeby ich gdzieś zabrać, to jak ja was potem znajdę, skoro nie

dojdziecie do umówionego punktu spotkania?

Cale wzruszył ramionami.

— Będziesz musiał zdecydować, czy podążyć naszym śla-

106

dem, czy samemu udać się do Memphis. Tam na nas poczekaś tyle, ile uznasz za stosowne.

Kleist prychnął i odwrócił wzrok, co miało być formą zgody.

— Odpowiada ci taki układ? — spytał Cale, patrząc na Henriego.

— Tak — odparł chłopak. — Chcę wypytać tę dziewczynę

o mnóstwo rzeczy.

Pięć minut później, rozdzieliwszy wodę i jedzenie, Kleist

1 Cale ruszyli na wschód i na zachód. Nie upłynęło kolejnych pięć minut, a obaj znikli z oczu.

Mętny Henri jadł śniadanie i obserwował śpiącą Ribę — jej piękną, jasną cerę, czerwone wargi, długie rzęsy i otaczającą ją aurę kojącego spokoju.

Przyglądał jej się tak nadal godzinę później, kiedy Riba się zbudziła. W pierwszej chwili się przestraszyła na widok chłopaka siedzącego tuż obok niej i nie odrywającego od niej oczu.

— Nikt ci nigdy nie mówił, że to niegrzecznie tak się komuś przyglądać?

— Nie — odparł Mętny Henri szczerze.

— No to już teraz wiesz.

Henri spuścił wzrok. Dopiero teraz poczuł się niezręcznie.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam zachować się tak szorstko.

Słyszając to, Mętny Henri w mgnieniu oka zapomniał o niezręczności i wybuchnął śmiechem.

— Co w tym śmiesznego? — spytała znowu rozeźlona.

— U nas szorstkie zachowanie oznaczało zaciągnięcie na stryczek w obecności pięciuset chłopców.

— Co to znaczy?

— Powieszenie za szyję. No wiesz, jak Powieszony Odkupiciela.

— Kto to jest Powieszony Odkupiciel?

107

Henriego zatkało. Patrzył na dziewczynę takim wzrokiem, jakby zapytała, czym jest słońce, albo czy zwierzęta umieją mówić. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, ale w głowie kołatało mu się gorączkowe pytanie, co to może znaczyć.

— Powieszony Odkupiciel jest synem Pana Stworzenia. Poświęcił się, aby własną krwią zmyć nasze haniebne grzechy.

— Ojej! Po co? — Na widok osłupienia malującego się na twarzy Henriego natychmiast pożałowała swojej impulsywnej reakcji. — Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Tylko że to taki dziwaczny pomysł.

— Co jest dziwaczne? — spytał, cały czas patrząc na nią z otwartymi ustami.

— No, na przykład... jakie grzechy? Co takiego zrobiłeś?

— Urodziłem się grzeszny. Wszyscy rodzą się przepelnieni odrażającymi grzechami.

— Co za niemądre stwierdzenie.

— Czemu?

— Jak może dziecko zrobić cokolwiek złego, nie mówiąc już o czymś odrażającym?

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— I po co zmywać coś krwią?

— To taki symbol — wyjaśnił, broniąc się i sam nie wiedząc dlaczego.

— Rozumiem to, nie jestem głupia — odparła. — Ale dlaczego? Po co używać krwi jako symbolu dla czegoś takiego?

Mętny Henri był z natury osobą, która lubiła wszystko starannie przemyśliwać, ale te sprawy były dla niego tak oczywiste i to od tak dawna, że równie dobrze można by go zapytać o sens posiadania rąk albo o znaczenie oczu.

— Gdzie pozostali? — spytała Riba.

Henri nadal pochłonięty tym, co usłyszał, odpowiedział z roztargnieniem:

108

— Poszli.

— Zostawili nas? — zapytała z oczami rozszerzonymi ze strachu.

— Tylko na kilka dni. Mają wytropić drużyny pościgowe, które ruszyły na wschód i na zachód, i upewnić się, że się na nich nie napatoczymy.

— A jak nas potem znajdą?

— Nie bój się, umieją świetnie tropić — powiedział Henri wymijająco.

— Nie rozumiem, przecież mówiliście, że prawie nigdy nie opuszczaliście Sanktuarium.

— Hmm... powinniśmy już ruszać. Wyjaśnię ci po drodze.

◆ * *

Odkupiciel Bosco podniósł laskę i zastukał nią dwa razy. Minęło co najmniej trzydzieści sekund, zanim drzwi się otworzyły, ale Lord Wojownik nie okazywał nawet najmniejszego zniecierpliwienia, a właściwie nie okazywał niczego w ogóle. W końcu w progu stanął wysoki zakonnik.

— Czy jesteście umówieni? — spytał.

— Nie bądźcie głupi — odparł Bosco szorstko i lekceważąco. — Najwyższy odkupiciel prosił, żebym przyszedł, więc jestem.

— Najwyższy odkupiciel nikogo o nic nie prosi, tylko żąda...

Bosco przepchnął się obok mężczyzny.

— Powiedźcie mu po prostu, że przyszedłem.

— Jest z was bardzo niezadowolony. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozgniewanego.

Bosco nie zwracał na niego uwagi. Mężczyzna podszedł do drzwi gabinetu, zapukał, po czym wszedł do środka. Po krótkiej chwili drzwi się ponownie otworzyły i mężczyzna powrócił z uśmiechem, w którym nie było ani śladu życzliwości.

109

— Jest gotów was przyjąć.

Bosco wszedł do pokoju, w którym nawet jego oczy, przyzwyczajone do ciemności, z trudem przebijały się przez mrok. Przyczyną tego były nie tylko małe, szczelnie zasłonięte okienka, i nawet nie ponure gobeliny, opowiadające dawno zapomniane historie męczeństwa. Wydawało się, że ciemność skupia się wokół łóżka w kącie pokoju. Siedział tam wyprostowany mężczyzna oparty na stercie niewygodnych poduszek. Lord Wojownik musiał podejść bardzo blisko, aby zobaczyć jego twarz, skórę prawie białą i zwisającą niezliczonymi, cienkimi fałdami. Oczy miał ów starzec załzawione i mętne, jak gdyby przytomny umysł dawno go opuścił. Gdy jednak zobaczył Bosca, błysnęło w nich światło, niczym promień dalekiej latarni morskiej. Tylko że światło to pełne było nienawiści i przebiegłości.

— Kazalesz mi czekać! — powiedział najwyższy odkupiciel surowo, głosem, który zdawał się dochodzić z oddali.

— Przybyłem najszybciej, jak mogłem, Wasza Eminencjo.

Najwyższy odkupiciel nie uwierzył w to zapewnienie, ale też

Bosco tego nie oczekiwał.

— Kiedy cię wzywam, masz rzucić wszystko w diabły i to natychmiast!

Roześmiał się. Był to wyjątkowo niemiły dźwięk i w całym Sanktuarium chyba tylko Bosco, słysząc go, potrafił zachować zimną krew. Odnosiło się wrażenie, że dochodzi z martwej istoty, utrzymywanej przy życiu jedynie przez nienawiść i gniew.

— Czemu Wasza Eminencja chciał się ze mną widzieć?

Przez jakiś czas najwyższy odkupiciel wpatrywał się w Bosca

bez słowa.

— Z powodu tego chłopaka, Cale'a.

— Słucham, Wasza Eminencjo.

— Zrobiłeś z siebie głupca.

110

— Czemu?

— Miałeś wobec niego plany.

— Wasza Eminencja o nich wie.

— Musisz go sprowadzić z powrotem.

— Jesteśmy w tej sprawie całkowicie zgodni, Wasza Eminencjo.

— A potem powiesić i poćwiartować.

Bosco nie odpowiedział.

— Zabił odkupiciela. Musi się stać Aktem Wiary.

— Moi wywiadowcy donoszą— powiedział Lord Wojownik po dłuższej chwili namysłu — że towarzyszyli mu dwaj inni akolici. Jest nader prawdopodobne, że zmusili Cale'a, aby z nimi uciekł. Byli uzbrojeni, a on nie. Jeśli to prawda, powinien zostać jedynie ukarany dla przykładu. Ćwiartowanie wydaje mi się zbędne. Pozostali owszem, jako że wina leży po ich stronie.

Rozległo się pogardliwe prychnięcie, które równie dobrze mogło być odgłosem krztuszenia się.

— Ha! Doprawdy, Bosco, litość jest ci obca. Przemawia przez ciebie próżność. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy to Cale, czy tamci dwaj zabili Picarba. Na Boga, bliski jestem decyzji, aby spalić wraz z nimi całe dormitorium.

Tym razem wskutek nadmiernego podniecenia najwyższy odkupiciel naprawdę zakrztusił się własną śliną. Wskazał ręką kubek z wodą stojący na stoliku przy łóżku. Bosco podał mu go niespiesznie. Starzec pił głośno, aż wreszcie oddał mokre, śliskie naczynie. Lord Wojownik odstawił je na stolik z wyrazem niesmaku na twarzy.

Powoli wysiłony oddech najwyższego odkupiciela uspokajał się i powracał do normy, lecz nienawistny blask w oczach zapłonął jeszcze jaśniej.

— Opowiedz mi o tym interesie z Picarbem.

— Interesie, Wasza Eminencjo?

111

— Tak, interesie, Bosco. Interesie, w którym Lord Dyscyp-linariusz został znaleziony w swojej celi z wypatroszoną zdziwą!

— Ach — powiedział z namysłem Lord Wojownik — o tym interesie.

— Myślisz, że skorom stary i schorowany, to nie wiem, co tu się dzieje? No cóż, nie po raz pierwszy jesteś w błędzie. Nawet zdjętego chorobą nie zdołasz mnie wywieść w pole, Bosco.

— Nikt nie ośmieliłby się powątpiewać w mądrość Waszej Eminencji, ale... — Westchnął z żalem.
— Miałem nadzieję oszczędzić wam odrażających szczegółów tego, co znaleźliśmy w kwaterach odkupiciela Picarbo. Byłaby to nieodżałowana strata, gdyby prześwietne panowanie Waszej Eminencji przyćmiła tak godna pożałowania historia.

— Za stary jestem, żebyś mnie wziął na lep takich pochlebstw, Bosco. Chcę wiedzieć, co on robił z tą dziwką! Wszak jej zwyczajnie nie pieprzył, prawda?

Nawet Lorda Wojownika, człowieka, którego nic nie mogło wytrącić z równowagi, niemiło uderzyło to sformułowanie. Wśród odkupicieli nie słyszało się nigdy tak dosadnych wyrażen na określenie seksu. Co najwyżej używano oględnych słów, takich jak „zezwierżenie” lub „obrzydłozenie”, a i to nader rzadko.

— Może jego dusza zbłądziła na manowce. Zło nie śpi, Wasza Eminencjo. Może zaczął czerpać nadmierną przyjemność ze słusznych kar wymierzanych akolitom. O ile mi wiadomo, zdarzały się już takie wypadki.

Najwyższy odkupiciel stęknął.

— Skąd on wziął tę dziewczkę?

— Tego jak dotąd nie udało mi się ustalić. Odkupiciel Picarbo miał wiele kluczy. Jedynie Wasza Eminencja i ja mamy prawo badać poczynania Lorda Dyscyplinariusza. Śledztwo zajmie trochę czasu.

112

— Ktoś musiał mu pomagać. To mi nie wygląda na zwykłe zezwierżenie. Trąci herezją.

— Mnie również przyszła do głowy ta myśl, Wasza Eminencjo. Zamknęliśmy dwudziestu jego pomocników w Domu Specjalnego Przeznaczenia. Jak dotąd wszyscy wyżsi rangą zaprzeczają, by cokolwiek o tym wiedzieli, ale zwykli odkupiciele przyznają, że na rozkaz Picarba odizolowali klasztor żeński dodatkowymi rzędami zamkniętych korytarzy, aby nikt nie nabrał podejrzeń. W końcu i tak ta część Sanktuarium była szczelnie oddzielona. Nikt nie mógł widzieć twarzy kobiet. Aby zamaskować częstsze kontakty z żeńskim klasztor, Picarbo przeniósł na tamtą stronę kuchnię i pralnię wyższych odkupicieli. Wszystkie sprawy załatwiano, korzystając z wielkiego bębna. Ponieważ Picarbo wciągnął Lorda Wiktuariusza i Mistrza Pralni w swój mały krąg heretyków, nie było kłopotów z przekazywaniem żywności czy innych rzeczy.

— Wszak przecież otwieramy stare korytarze w promieniu dwóch staj. Molloy powinien był odkryć spisek.

— Niestety, Mistrz Rekultywacji do niego należał.

— Wielki Boże! Świętoszkowata mróweczka Molloy pomagał zamienić Sanktuarium w burdel?
— Najwyższy odkupiciel oparł się na poduszkach i z trudem łapał oddech, oburzony potwornością tego odkrycia. — Potrzebujemy oczyszczenia, potrzebujemy Aktów Wiary od dzisiaj aż do końca

roku... musimy wypa...

— Wasza Eminencjo — przerwał mu Bosco — nie jest wcale pewne, czy celem istnienia tego haremu było zwierzęcie. Mam wątpliwości, czy to w ogóle był harem, czy raczej miejsce odosobnienia. Z tego, co udało mi się wyczytać z zapisków Lorda Dyscyplinariusza, choć bez wątpienia przebija z nich obłąkanie, Picarbo czegoś szukał, czegoś bardzo szczególnego.

— Co takiego mógł znaleźć w trzewiach jakiejś tłustej lafiryndy?

113

— Tego jeszcze nie wiem, Wasza Eminencjo. Oczyszczenie będzie zapewne potrzebne w dużych ilościach, lecz powinniśmy zaczekać z zapalaniem Panu Bogu świec, dopóki nie odkryję istoty tego spisku. Zapalanie świec Najwyższemu nie ma nic wspólnego z woskiem i knotami.

— Lepiej uważaj, Bosco. Myślisz, że jesteś lepszy od innych, bo wiesz kilka rzeczy, ale ja wiem...

— Wskazał palcem Lorda Wojownika i podniósł głos. — Ja wiem, że wiedza leży u korzeni wszelkiego zła. Ta dziwka, Ewa, pragnęła wiedzy i ściągnęła na nas wszystkich grzech i śmierć.

Bosco wstał i podszedł do drzwi.

— Odkupicielu Bosco!

Lord Wojownik Odwrócił się i popatrzył na małego, pomarszczonego kapłana.

— Kiedy sprowadzisz z powrotem Cale'a, ma zostać natychmiast stracony. Jeszcze dzisiaj wydam to polecenie na piśmie. I zapomnij o grzebaniu w rozpustnych czynach tego łajdaka Picarbo. Masz poddać oczyszczeniu każdego, kto się z nim kontaktował, nie obchodzi mnie, czy był winny, czy nie. Nie możemy ryzykować, że ta herezja się rozprzestrzeni. Spalić wszystkich, a Bóg ich rozsądzi po śmierci. Niewinni zostaną lepiej wynagrodzeni życiem wiecznym.

Wnikliwy obserwator zauważyłby, że Lord Wojownik zamrugał, jakby rozważył coś błyskawicznie i podjął decyzję. Ale mogła to być również gra przyćmionego światła. Postąpił krok do przodu i pochylił się, jakby chciał poprawić najwyższemu odkupicielowi poduszki. Zamiast tego jednak wziął jedną z nich i przyłożył ją starannie, stanowczym gestem do drobnej twarzy starca, a uczynił to ruchem tak szybkim i oszczędnym, że trwało zaledwie ułamek sekundy, nim puch zatkał szczelnie usta i nos ofiary, a najwyższy odkupiciel pojął groźbę sytuacji.

Dwie minuty później Bosco wyszedł z jego sypialni. Wysoki

114

zakonnik natychmiast poderwał się na nogi, aby wejść do swego pana.

— Jego Eminencja zasnął, kiedy rozmawialiśmy. To zupełnie do niego niepodobne, może powinniście do niego zajrzeć i zobaczyć, co się dzieje.

Bosco nie tylko zamordował najwyższego odkupiciela, ale mu również skłamał. Nie opowiedział wszystkiego o kolekcji młodych dziewcząt Picarba, ani o swych rosnących podejrzeniach co do celu ohydnych eksperymentów zabitego Lorda Dyscyplinariusza. Przyjdzie jeszcze czas na zastanowienie

się, co należy zrobić z kobietami, w obecnej sytuacji dostarczą one Lordowi Wojownikowi nader wygodnego pretekstu do przejęcia władzy w Sanktuarium, a także posłużą za lekcję pogładową dla Cale'a, kiedy wróci.

* * *

Trzeciego dnia Cale dogonił grupę poszukiwawczą odkupicieli i przyglądał się, jak skręcając na zachód, oddalają się od Mętnego Henriego i Riby. Nazajutrz skierują się z powrotem na wschód, co ich znów niebezpiecznie przybliży do dwojga uciekinierów. Właśnie kiedy obserwował ów powrót z nadzieją, że następnego dnia pójdą znowu na zachód, zdarzył się ów jedyny niezwykły wypadek podczas jego zwiadu.

Mijał właśnie jedno ze wzniesień Strupich Wzgórz, zapadnięty pagórek zwieńczony ostrymi, najeżonymi skałami, kiedy skręcając, wpadł na mężczyznę zmierzającego w przeciwnym kierunku. Z zaskoczenia omal nie stracił równowagi na sypkim żwirze, ale nieznajomy, który szedł wyżej po zboczu nie zdołał się niczego uchwycić i upadł ciężko na plecy. To dało Cale'owi czas, aby wyciągnąć z kieszeni nóż skradziony z gabinetu Lorda Dyscyplinariusza i stanąć nad mężczyzną, zdany teraz całkiem na jego łaskę.

115

Mężczyzna szybko zapanował nad zaskoczeniem i jęcząc, zaczął się podnosić, lecz Cale machnął w jego stronę nożem, aby dać mu do zrozumienia, że ma się nie ruszać z miejsca.

— Więc najpierw wpadasz mi na głowę, a potem chcesz mi poderznąć gardło? — zapytał mężczyzna pogodnie. — Niezbyt to uprzejme.

— Nikt nie mówi o mnie, że jestem uprzejmy. Co tu robisz?

— To, co człowiek może robić na Strupich Wzgórzach — odrzekł nieznajomy z uśmiechem — próbuję się stąd wydostać.

— Drugi raz nie zapytam.

— Nie twój interes, mały.

— Trzymam w ręku nóż, więc ja zdecyduję, czy to mój interes.

— Poniekąd słuszna uwaga. Czy mogę się podnieść?

— Na razie zostań tam, gdzie jesteś.

Mężczyzna wyglądał na człowieka, który niejedno w życiu widział, ale najwyraźniej zaintrygowała go obecność na tym odludziu tak młodej, a zarazem tak pewnej siebie osoby.

— Chyba zabłądziłeś daleko od domu, chłopcze.

— To nie twoja sprawa, dziaduniu. Martw się lepiej o to, gdzie na tym pustkowiu kupisz sobie łaskę.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

— Jesteś akolitą odkupicieli, prawda?

— A co cię to obchodzi?

— Nic a nic. Poza tym, że jedyne sytuacje, w jakich widywałem w życiu akolitów, to kiedy maszerowali w równych rzędach po dwustu pod strażą kilkudziesięciu odkupicieli z biczami w dłoniach. Nigdy dotąd nie spotkałem akolity wędrującego samotnie po pustyni.

— Zawsze kiedyś jest pierwszy raz — zauważył Cale.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Zapewne. — Wyciągnął rękę. — IdrysPukke, obecnie w służbie gauleitera Hynkela.

116

Cale zignorował wyciągniętą dłoń. IdrysPukke wzruszył ramionami i opuścił ją.

— Może jednak nie jesteś tak młody, jak na to wyglądasz. W tych stronach lepiej wykazać ostrożność.

— Dzięki za radę.

IdrysPukke znów się roześmiał.

— Bezkompromisowy z ciebie jegomość, co, mały?

— Owszem — odparł chłodno Cale. — I nie nazywaj mnie mały.

— Jak sobie życzysz. Jak mam cię zatem nazywać?

— Nijak nie musisz mnie nazywać. — Cale wskazał ręką wschód. — Idziesz w tamtą stronę. Spróbuj ruszyć moim śladem, a przekonasz się, jak bardzo potrafisz być bezkompromisowy.

Dał mu znak, aby wstał. IdrysPukke podniósł się posłusznie. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Cale'owi uważnie, jakby się zastanawiał, co powinien uczynić, po czym wreszcie westchnął, odwrócił się i ruszył we wskazanym kierunku.

Przez następnych dwanaście godzin Cale z niepokojem rozmyślał o spotkaniu z IdrysPukkiem. Może był przebrany odkupicielem? Nie, raczej nie. Za dużo miał w sobie spontanicznej żywotności. Więc może łowcą nagród? To również mało prawdopodobne. Odkupiciele załatwiali takie sprawy we własnym gronie. Chociaż z drugiej strony zabójstwo Lorda Dyscyplinariusza było czynem tak niesłychanym, że mogli zrobić wszystko, żeby złapać sprawcę. Pogrążony w tych myślach, czekał, aż odkupiciele zgodnie z przewidywaniami zmienią kierunek marszu. I rzeczywiście następnego dnia grupa poszukiwawcza znów skręciła na zachód. Jak dotąd trzymali się obranego kursu przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, była więc najwyższa pora wracać do towarzyszy. O ile uda mu się ich znaleźć.

117

Dwanaście godzin później doszedł do szlaku, który wspólnie zaplanowali dla Mętnego Henriego i dziewczyny, ale na wszelki wypadek dwadzieścia staj dalej, a następnie ruszył w przeciwnym kierunku, aby spotkać się z nimi po drodze. Trzymał się raczej w ukryciu, na wypadek gdyby napatoczył się na grupę poszukiwawczą Kleista.

Zaledwie kilka godzin później znalazł całą trójkę w dużym zagłębieniu pośród zmasakrowanych zwłok około dwudziestu ludzi, niektórych posiekanych na drobne kawałki. Henri i Kleist zobaczyli go z odległości stu kroków i czekali, nie ruszając się z miejsc, kiedy lawirował między ciałami zabitych.

Skinął im głową.

— Odkupiciele poszli na zachód — oznajmił.

— Moi, kiedy ostatnio ich widziałem, kierowali się na wschód.

Zapadła cisza.

— Macie jakieś pojęcie, kto to może być? — spytał Cale, wskazując trupy.

— Nie — odparł Mętny Henri.

— Zabito ich co najmniej dzień temu — stwierdził Kleist.

Na twarzy Riby malował się taki sam wyraz jak wtedy, gdy

Cale uratował ją z gabinetu Picarba; jakby chciała zawołać: „To się nie dzieje naprawdę!”.

— Jak długo tu jesteście? — spytał spokojnie Cale.

— Jakies dwadzieścia minut. Spotkaliśmy się z Kleistem kilka godzin temu.

— Przeszukajmy ich — zaproponował Cale. — Ktoś, kto to zrobił, nie zostawił wiele, ale może znajdziemy coś pożytecznego.

Zaczęli oglądać zwłoki. Trafili na kilka monet, jakiś pas, podartą kurtkę. Nagle Mętny Henri zauważył coś błyszczącego leżącego na ziemi nieopodal odciętej głowy. Schylił się i wy-

118

ciągnął z piasku mosiężny kastet. Wolałby znaleźć coś innego, ale i to może się przydać.

— Pomocy — jęknęła odcięta głowa.

Henri krzyknął i odskoczył w tył.

— Ta głowa gada!

— Co ty pleciesz? — zapytał Kleist z irytacją.

— Naprawdę. Coś do mnie powiedziała!

— Pomóżcie mi — powtórzyła głowa.

— Widzicie?! — zawołał Mętny Henri.

Cale zbliżył się ostrożnie i szturchnął ją nożem w skroń. Głowa jęknęła, ale nie otworzyła oczu.

— Zakopali go w piasku po szyję — oznajmił po namyśle.

Trzej chłopcy, oswojeni z potwornościami ludzkiej bezwzględności, zrozumieli natychmiast, że nie

działały tu bynajmniej żadne siły nadprzyrodzone. Patrząc na zakopanego mężczyznę, zaczęli się zastanawiać, co zrobić.

— Powinniśmy go wyciągnąć — orzekł Mętny Henri.

— Nie — zaproponował Kleist. — Ktoś, kto to zrobił, zadał sobie dużo trudu. Nie podziękują nam, jeśli zniweczmy ich wysiłki. Nie powinniśmy się wtrącać.

— Pomóżcie mi — szepnął znowu mężczyzna.

Mętny Henri spojrzał na Cale'a.

— Więc co robimy? — spytał.

Cale myślał w milczeniu.

— Nie możemy tu sterczeć cały dzień — powiedział Kleist, bo Cale uparcie wpatrywał się w przestrzeń.

— Nie możemy — zgodził się Cale dziwnym, alarmującym tonem.

Chłopcy podnieśli zdziwieni głowy, po czym podążyli za jego wzrokiem. Na szczycie najbliższego wzgórza, mniej więcej pięćdziesiąt sążni dalej dostrzegli rząd odkupicieli, którzy po chwili ruszyli przed siebie.

119

Chłopcy stali bez ruchu pobladli. Nie mieli dokąd uciec. Pierwsza ocknęła się Riba. Pobiegnęła naprzód, żeby przyjrzeć się zbliżającym się ludziom.

— Nie. Nie. Nie — powtarzała.

Mętny Henri spojrzał na Cale'a blady jak mąka.

— Wyciągnąłeś najmniejszy kamyk — powiedział.

Cale wpatrywał się w przyjaciół pustym wzrokiem. Po długiej chwili wyjął nóż i podszedł szybko do Riby, która nadal obserwowała nadchodzących ludzi. Wyciągnął rękę, aby ją złapać za włosy, gdy wtem Kleist zawołał:

— Czekaaj!

Cale zdążył opuścić nóż, lecz pomimo przerażenia Riba zorientowała się, że dzieje się coś dziwnego.

— To nie są odkupiciele — stwierdził Kleist. — Nie mam pojęcia, kto to, ale lepiej poczekajmy, co się wydarzy.

Tymczasem na wzgórze wjechali następni mężczyźni, tym razem konno, a za nimi jeszcze trzydziestu. Po chwili piechurzy również wsiedli na konie i niespełna minutę później pięćdziesięciu gniewnych kawalerzystów otoczyło czwórkę młodych uciekinierów. Połowa zsiadła z wierzchowców i zaczęła oglądać porzrzućcane zwłoki, pozostali z wyciągniętymi mieczami przyglądali się chłopcom i Ribie.

Jeden z kawalerzystów oglądających ciała zabitych zawołał:

— Panie kapitanie, to ambasador z Arnhemland, syn lorda Pardee.

Kapitan, duży mężczyzna siedzący na ogromnym koniu, podjechał bliżej i zsiadł z wierzchowca. Potem podszedł do Cale'a i nawet się nie zatrzymując, wymierzył mu tak potężny cios, że chłopiec runął ciężko na ziemię.

— Zanim zostaniecie straceni, chcę wiedzieć, na czyje polecenie to zrobiliście.

120

Oszołomiony i obolały Cale nie odpowiedział. Kapitan przykładał się właśnie, aby poprawić cios kopniakiem, lecz wtedy odezwał się Mętny Henri.

— Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, panie. Przed chwilą ich znaleźliśmy. Czy wyglądamy na kogoś, kto mógłby zrobić coś takiego? — Uznał, że najlepiej mówić prawdę. — Poza tym, mamy tylko jeden nóż, jak moglibyśmy zabić tylu ludzi?

Kapitan popatrzył na niego, potem przeniósł wzrok z powrotem na Cale'a i kopnął go z całej siły w żołądek.

— Racja, nie poderzniemy wam gardeł za zabójstwa, tylko za łupiestwo.

Spojrzał na małą stertę rzeczy, które chłopcy pozbiali z pola bitwy — torbę, talerz, kilka noży kuchennych i suszone owoce, jak również mosiężny kastet. Henri zorientował się, że sprawa wygląda kiepsko.

— Jeden z nich jeszcze żyje, właśnie mieliśmy go wykopać.

To mówiąc, Henri wskazał mężczyznę, który niedawno

musiał stracić przytomność i teraz jego głowa jeszcze bardziej wyglądała jak odcięta od reszty ciała. Czym prędzej otoczyli go żołnierze i zaczęli odgrzebywać piasek i ziemię.

— To kanclerz Vipond — powiedział jeden z ludzi.

Kapitan kazał im przestać i uklękawszy, wyjął bukłak

z wodą. Ostrożnie wlał odrobinę płynu w usta nieprzytomnego. Nieszczęśnik zakasłał i wypłuł wszystko z powrotem.

Jeden z żołnierzy przyniósł dwie łopaty. W ciągu pięciu minut wydobyli mężczyznę z dołu i ułożyli na ziemi. Długo nasłuchiwali serca i szukali ran na ciele kanclerza.

— Mieliśmy zamiar go uratować — upierał się Henri.

Cale leżał na piachu i świdrował kapitana złowrogim spojrzeniem.

— To ty tak twierdzisz, ja tylko wiem, żeście bandą złodziei. Czemu nie miałbym was pozabijać, a dziewczyny sprzedać

121

— Nie pleć głupstw, kapitanie Bramley, najdroższy — doszedł męski głos z grzbietu jednego z koni.

Było oczywiste, że mężczyzna nie należy do kawalerzystów, po pierwsze bowiem nie miał na sobie munduru, a po drugie siedział w siodle z dłońmi związanymi sznurem, który przywiązano do łąku.

— Zamknij jadaczkę, IdrysPukke — warknął kapitan.

Najwyraźniej jednak IdrysPukke nie należał do ludzi, którzy dają sobie rozkazywać.

— Choć raz wykaż szczyptę rozumu, kapitanie, kochanieńki. Wiesz przecież, że kanclerz Vipond i ja jesteśmy ze sobą... blisko. Nie będzie zachwycony, jeśli zabijesz troje młodych ludzi, którzy próbowali uratować mu życie, nie sądzisz?

Po raz pierwszy kapitan się zawahał. IdrysPukke porzucił kpiarski ton.

— Jedno wiem na pewno: życzyłby sobie, aby mu pozwolono osobiście podjąć decyzję w tej sprawie.

Kapitan popatrzył na nieprzytomnego mężczyznę, którego ułożono na noszach z głową opartą o zwinięty koc. Potem podniósł wzrok z powrotem na IdrysPukkego.

— Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę, przysięgam, że cię wypatroszę na miejscu. Rozumiesz?

IdrysPukke wzruszył ramionami, ale jak zauważył Mętny Henri, roztropnie się nie odezwał.

— Grady! Fog! — zawołał dwóch żołnierzy. — Pilnujcie tej niewyparzonej gęby. Jeśli zrobi choć jeden ruch świadczący o tym, że chce uciec, macie mu strącić łeb z karku.

10

Kapitan Bramley kazał związać trzem chłopcom ręce i iść, a czasem biec za końmi. IdrysPukkego pozostawiono w siodle ze związanymi dłońmi, a w odpowiedzi na żartobliwe błagania, by posadzono go w ramach kary na jednym koniu z ową piękną dziewczicą, raz po raz wymierzano mu kopniaki.

Rozbili obóz mniej więcej pół godziny przed zmierzchem. Ribie pozwolono chodzić wolno między kawalerzystami, którym Bramley surowo i groźnie przykazał, aby nie ośmielili się jej tknąć. Byli to twardzi mężczyźni, którzy widzieli i robili niejedno, z czego wiele rzeczy nazbyt nieprzyjemnych, by o nich opowiadać, ale ostrzeżenia nie trzeba im było powtarzać dwa razy. Niejeden chętnie by pofiglował z tak młodym i pięknym dziewczęciem, a wszyscy patrzyli jak urzeczeni, gdy z nimi gawędziła i żartowała, flirtowała prostodusznie i otwierała szeroko oczy ze zdumienia, słuchając niekończących się opowieści, które uwielbia snuć każdy wojak. Chociaż posyłano chłopcom współczujące spojrzenia, Ribie zakazano się do nich zbliżać pod groźbą, że i ona również zostanie związana.

Dotrzymywał im za to towarzystwa IdrysPukke, jako że wszystkich czworo przykuto łańcuchami do koła powozu, który

123

dołączył do oddziału kawalerzystów wkrótce po pojmaniu chłopców. Więźniów nakarmiono, z wyjątkiem IdrysPukkego, który dostał kopniaka zamiast peklowanej wołowiny i chleba sodowego.

Ponieważ umierali z głodu, pochłaniali jedzenie niczym wygłodzone psy.

— Może byście się podzielili z głodnym człowiekiem?

— Czemu mielibyśmy się z tobą dzielić? — zapytał Kleist z pełnymi ustami.

— Ponieważ wstawiłem się za wami, kiedy ten drań Bramley chciał nakarmić waszymi flakami piasek Strupich Wzgórz.

Kleist szybko przełknął swój ostatni kęs.

— Przykro mi. Ale dzięki za wstawiennictwo.

Pozostali dwaj chłopcy okazali więcej łaskawości, chociaż

Cale ofiarował kawałek swojego chleba głównie po to, aby wyciągnąć od IdrysPukkego trochę informacji.

W przeciwieństwie do chłopców mężczyzna jadł niespiesznie. Powoli żuł chleb i odrobinę wołowiny od Mętneho Henriego.

— Co wiesz o tamtych zabójstwach? — spytał Cale.

— Ja? — spytał IdrysPukke. — Chciałem zapytać was o to samo. — Ugryzł kawałek chleba sodowego. — Naprawdę zamierzaliście pomóc Vipondowi?

Zapadła cisza. Mętny Henri i Kleist popatrzyli na siebie.

— Zastanawialiśmy się nad tym — odpowiedział w końcu Cale.

— Bardzo mądrze. Zawsze należy dobrze rzecz przemyśleć, zanim wyświadczy się komuś przysługę. To dobra rada. Na przykład powinienem się do niej zastosować, kiedy wstawiłem się za waszym przyjacielem — dodał, wskazując głową Kleista.

— Gdybyś to zrobił, nie jadłbyś kolacji.

IdrysPukke roześmiał się łagodnie.

— Dwa kawałki chleba za życie trojga ludzi, kiepski interes. Nadal uważam, że macie wobec mnie dług wdzięczności.

124

— Nie możemy nic dla pana zrobić — zauważył Mętny Henri.

— Teraz zapewne nie, ale możliwe, że w przyszłości powołam się na wasze zobowiązanie. Mam nadzieję, że jesteście ludźmi honoru.

Cale wybuchnął śmiechem.

— A ty jesteś człowiekiem honoru?

— Gdybym nie był, młodzieńcze, śmiałbyś się teraz drugą stroną twarzy.

Mętny Henri uznał, że lepiej zmienić temat.

— Co z nami zrobią?

IdrysPukke wzruszył ramionami.

— Zabiorą was do Memphis. Jeśli Vipond przeżyje, nic wam się nie stanie. — Uśmiechnął się. — O ile będziecie się trzymać swojej wersji wydarzeń.

— A jeśli nie przeżyje? — spytał Mętny Henri.

— To zależy. Mogą was postawić przed sądem albo wrzucić do lochu i zapomnieć o waszym istnieniu.

— Nie zrobiliśmy nic złego — powiedział Cale.

— Wierzę wam. — Roześmiał się znowu. — Ale lepiej im o tym nie mówcie.

— Kto mógł ich zabić?

IdrysPukke zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad odpowiedzią.

— W głębi Strupich Wzgórz nie brakuje zbójów, ale niewielu odważyłoby się tknąć uzbrojonych przedstawicieli ambasady Materazzich.

— Kto to są Materazzi?

— Wielki Boże, czy was tam niczego nie uczą?

Cała trójka popatrzyła na niego z kamiennymi twarzami.

— Materazzi rządzą w Memphis i poza nim aż do Strupich Wzgórz i do Wielkiej Zatoki, o której, jak widzę, również nigdy nie słyszeliście.

125

— Jakie jest Memphis?

— Wspaniałe. Największe widowisko na świecie. Nie ma takiej rzeczy, której nie można by tam znaleźć, kupić lub sprzedać, zbrodni, której by tam nie popełniono, potrawy, której by tam nie jadano, ani praktyk... niepraktykowanych. Możecie tam używać życia, o ile go nie postradacie, no i rzecz jasna, dopóki starczy wam pieniędzy.

— Nie mamy pieniędzy — powiedział Cale.

— Więc musicie je zdobyć. Bez pieniędzy nie macie tam nic do roboty, a jeśli nie macie nic do roboty w Memphis, to ani się obejrzyście, jak ktoś wam tam znajdzie zajęcie.

— Co to...

— Dosyc tych pytań. Jestem obolały i zmęczony, porozmawiamy rano. — Mrugnął porozumiewawczo. — Jeśli jeszcze tu będę.

To rzekłszy, odwrócił się na drugi bok i pięć minut później chrapał.

Chłopcy przyjęli to jako żart, jeden z wielu, jakimi ich współwięźniów szafował w najdziwniejszych okolicznościach, tymczasem kiedy się zbudzili, IdrysPukke zniknął.

Kapitan Bramley wpadł w szal i nie szczędził chłopcom kopniaków, co wcale nie poprawiło mu humoru, za to im bardzo pogorszyło. Podbiegła do niego Riba, błagając, aby przestał.

— Czemu mieliby mu pomóc w ucieczce, a sami zostać — zauważyła rozpaczliwie. — To niesprawiedliwe!

Chłopcy, przyzwyczajeni do niesprawiedliwości, przezornie trzymali buzie na kłódkę i osłaniali co czulsze partie ciała przed butami kapitana. Na szczęście Bramley więcej wymachiwał i pomstował niż sprawiał bólu, jego kopniaki w porównaniu z wytrenowanym sadyzmem, do jakiego przywykli, przypominały dziecięcą igraszkę. Pogląd, że kara powinna być propor-

126

cjonalna do zbrodni, był im równie obcy, jak na przykład wizja pięcionogiego psa lub twierdzenie, że myśl Powieszzonego Odkupiciela, cytowaną często przez kapłanów, jakoby każdy, kto skrzywdzi dziecko, smażył się na wieki w piekle, należy brać dosłownie lub w ogóle traktować poważnie. Nowo przybyłym chłopcom opowiadano historie i przypowieści o dobroci Powieszzonego Odkupiciela i o szczególnej trosce, jaką on i jego wyznawcy otaczają dzieci, mając na względzie ich szczęście i dobrobyt. Z początku bicie bez powodu tuż przed homiliami o miłości i dobroci, a także po nich, budziło urazę i żal, jednak z upływem lat przestawali zauważać sprzeczności, a słowa pociechy i radości wpadały im jednym uchem, a wychodziły drugim. Były to puste słowa.

Wyładowawszy na chłopcach pierwszy gniew, Bramley odwrócił się do sierżanta i kaprała, którzy nieopodal z cierpliwą rezygnacją czekali na swoją kolej.

— Hej, ty tłusty worze łajna! — krzyknął do sierżanta. — I ty — dodał, patrząc na kaprała, który był niedużym i drobnym mężczyzną — chudy worze łajna! Weźcie dziesięciu najlepszych ludzi i znajdźcie tego drania, IdrysPukkego. A spróbujcie mi wrócić bez niego, i to żywego!

To powiedziawszy, pomaszerował w kierunku swojego namiotu.

— Przesłuchujcie dalej więźniów! — wrzasnął przez ramię.

Sierżant prychnął z pogardą i irytacją.

— Słyszeliście, co powiedział kapitan, kapralu.

Kapral podszedł do chłopców, którzy siedzieli oparci plecami o koło wozu z kolanami podciągniętymi pod brodę.

— Wiecie coś o ucieczce więźnia?

— Nie! — krzyknął wściekły i przerażony Kleist.

— Więzień mówi, że nie — zameldował spokojnie kapral.

— Spytajcie go, czy na pewno.

127

— Na pewno?

— Tak, na pewno — odpowiedział Kleist. — Dlaczego miałby nam mówić, dokąd idzie, na miłość boską?

— Ma rację, panie sierzancie.

— Tak — odparł ciężko sierżant. — Ma rację. — Przerwał. — Niech siódmy pluton siodła konie. I obudzić zwiadowcę Calhouna. Ruszamy za dziesięć minut.

Po tych słowach żołnierze się rozeszli i zostawili więźniów i Ribę samym sobie, jakby nic się nie zdarzyło. Dziewczyna przyklękała i popatrzyła na chłopców z rozdzierającym współczuciem, którego to uczucia, należy zaznaczyć, chłopcy w najmniejszym stopniu nie docenili. Po pierwsze, przejęci byli bardziej własnymi obolałymi ciałami, po drugie, nie potrafili zrozumieć, że ktoś mógłby odczuwać ich ból. Może z wyjątkiem Mętnego Henriego, który podczas samotnej wędrówki z Ribą rozebrał się do pasa nad napotkanym strumieniem i zauważył, jak dziewczyna zerka ukradkiem na jego plecy pokryte licznymi bliznami. Chociaż nigdy przedtem nie spotkał się z kobiecym współczuciem, głęboko go poruszyła i oszołomiła jego niezwykła moc.

W końcu żołnierze zaczęli zwijać obóz. Więźniów nakarmiono owsianką i wyruszyli. Zanim zabrano od nich Ribę, dziewczyna zdążyła szepnąć, że za dwa dni mają podobno dojechać do Memphis. Chłopcy jednak nie podzielali jej entuzjazmu, wiedząc, jak niepewny los ich tam czeka.

— Ten starszy facet — zwrócił się Kleist do Riby — ten, którego chcieliśmy uratować, żyje?

— Myślę, że tak.

— Więc może spróbowałabyś zrobić coś pożytecznego i dowiedzieć się.

Na te szorstkie słowa oczy Riby rozszerzyły się i zaszły mgłą.

— Przestań jej dokuczać — powiedział Mętny Henri.

128

— Niby dlaczego? — spytał Kleist. — Powiesz nas na najbliższym drzewie, jeśli on umrze, więc nie wiem, jak ona może jechać sobie spokojnie do Memphis na tym tłustym tyłku i nie zorientować się nawet, czy facet żyje.

Mgła w oczach Riby wyparowała natychmiast zastąpiona przez oburzenie.

— Czemu ciągle powtarzasz, że jestem tłusta? Jestem taka, jaka powinnam być.

— Przestańcie się kłócić — wtrącił się Cale. — Kleist, zostaw ją w spokoju. A ty się dowiedz, co się stało z tym człowiekiem

Riba spojrzała na Cale'a z urazą, ale nie wyrzekła ani słowa więcej.

Powóz, do którego byli przywiązani chłopcy, szarpnął i potoczył się powoli, a Riba została w tyle, patrząc za nimi ze złością.

Na najbliższym postoju jednak podeszła do nich, chociaż minę miała nadal nadąsaną, i rzuciła od niechcenia:

— Żyje.

Strupie Wzgórza skończyły się nagle na przestrzeni stu kroków. Spomiędzy brzydkich pagórków, skał, piasku i popiołów wyszli na zieloną, urodzajną równinę, usianą chłopskimi gospodarstwami, domami i chatami wyrobników. Zza żywopłotów wyglądali na nich gapie. Widok wojskowego rynsztunku i prowadzonych więźniów wzbudzał ciekawość, lecz nie na długo. Ludzie przyglądali im się przez pół minuty, a potem wszyscy poza dziećmi powracali do swoich zajęć.

Przez następne dwa dni wkraczali w okolice coraz gęściej zaludnione i zabudowane. Z początku mijali wioski, potem miasteczka, aż wreszcie dotarli na przedmieścia samego Mem-

129

phis. Uplłynęły jednak jeszcze co najmniej dwie godziny, zanim ujrzeli jego wielką cytadelę. Była przeogromna, nieskończenie większa od żałosnego Sanktuarium, które wszak uchodziło za rozległą fortecę. Z daleka widzieli złociste minarety, katedry i pałace strzelające z gracją ku niebu. W Sanktuarium każde miejsce wyglądało podobnie, natomiast to, co ukazywało się tutaj ich oczom, swym pięknem i różnorodnością przechodziło najśmielsze wyobrażenia.

Zatrzymali się z powodu zatorów na ulicy, a jeden z kaprali, widząc, jak chłopcy z zadziwienia wytrzeszczają oczy na widok miasta, skierował ku nim wierzchowca.

— To największe mury na świecie: w najwęższym miejscu grube na dwadzieścia pięć łokci, a długie na dwa razy po dziesięć staj.

— To razem dwadzieścia — zauważył Kleist.

Kapralowi mina zrzędnęła, dźgnął konia ostrogą i odjechał.

11

Ostatnie cztery staje przed bramą Memphis biegło wyłącznie pomiędzy wszelkiego rodzaju bazarami, rynkami i targowiskami. Wrzawa, różnorodność zapachów i kolorów działały na chłopców prawie obezwładniająco. Rozglądali się zachwyceni, szeroko otwierając oczy. Dla każdego podróżnego było to niezapomniane przeżycie, lecz trzech akolici, którzy swą codzienną strawę nazywali nogami trupa, a szczury uważali za rzadki przysmak, mieli wrażenie, jakby wstąpili do nieba, bogactwem i osobliwością przerastającym wszystko, co mogli sobie wyobrazić. Z każdym wdechem wciągali w płuca zapach kminu rzymskiego i rozmarynu zmieszany z potem handlarzy kóz, kobiet skropionych olejkiem z mandarynek, odorem moczu i aromatem róż. Zewsząd dochodziły krzyki i nawoływania, skrzek papug jadalnych, miauczenie największego przysmaku smakoszy — memphickiego kota jadalnego, gruchanie gołębi ofiarnych, ujadanie psów hodowanych na podmiejskich wzgórzach do pieczenia na święta, kwik świń, muczenie krów i krzyk handlarza ryb, kiedy szczupak, którego miał właśnie wypatroszyć, wyśliznął mu się z rąk i trzepocząc płetwami, spłynął

131

na wolność do ścieku. Sklepiarz biadolił nad stratą, a tłum ryczał ze śmiechu.

Szli dalej pośród niepojętych okrzyków handlarzy.

— Maluś, Maluś, Maluśka! — wołał mężczyzna, który najwyraźniej sprzedawał ze szkatuły

jaskraworóżowe obdarte ze skóry krowie ogony.

— Rapci a dobruki ze świta! — wyrzaskiwał inny, prezentując swoje warzywa szerokim ruchem ręki magika, który właśnie wyczarował je z niczego. — Jarzyny u mi jako te maliny! Pomidoreczki jak laleczki! Wyśminite anananaski! Traweczki wszelikie, każda florcia wyborna!

Niektóre stragany zajmowały nawet pół akra, a w jednym kącie prawie nagi starzec podskakiwał z nogi na nogę i w wyciągniętych rękach podsuwał ludziom do kupienia dwa piegowate jaja owinięte w poszarpane szmaty.

Rozglądając się z rozdziawionymi ustami, Mętny Henri zauważył po lewej stronie sznur chłopców, mniej więcej dziewięcioletnich, skutych wokół szyj łańcuchem i prowadzonych w stronę bramy strzeżonej przez wielkich mężczyzn w skórzanych kurtach, którzy skinąwszy głowami, wpuścili ich do środka. Chłopcy twarze mieli zubożniałe, ale Henriego najbardziej zdumiało to, że usta mieli pomalowane na czerwono, a powieki delikatnie na niebiesko. Zawołał do jednego z konnych, który jechał obok nich, i ruchem głowy wskazał malców i budynek za bramą jaskrawo pomalowany i jeszcze bardziej zatłoczony niż rynek.

— Co tam się dzieje?

Żołnierz spojrział w stronę chłopców i twarz mu pobladła z odrazy.

— To Miasto Kici. Nigdy tam nie wchodzić. — Urwał i popatrzył ze smutkiem na Mętneho Henriego. — W każdym razie z własnej woli.

132

— Skąd ta nazwa?

— Bo rządzi nim Kicia Zając. I nie pytaj o nic więcej, bo ani z niego kicia, ani zając. Po prostu trzymaj się od tego miejsca z daleka.

* * *

Kiedy minąwszy wartowników, wjechali do właściwego miasta Memphis, odczuli natychmiastową zmianę: z tłoku, zgiełku i zapachów rynku weszli w głęboki i chłodny tunel. Po krótkiej jeździe niemal w kompletnych ciemnościach znów wyłonili się na światło dzienne. I znów znaleźli się w innym świecie. Nowe i stare budynki tworzyły wielkie kwadraty z ogrodami i fontannami w środku, gdzie ludzie siedzieli i czytali lub plotkowali w grupkach obok bawiących się dzieci. Jedyne obecność chłopców — brudnych, wycieńczonych i nieokrzesanych — mąciła tę elegancką i wysmakowaną scenerię. Prawie nikt na nich nie patrzył, nie dlatego, by ich ignorowali, lecz w ogóle nie zauważali. Tylko kędzierzawe złotowłose dzieci przyglądały im się zza ozdobnych żelaznych balustrad.

Nagle gdzieś na ulicy przed nimi zapanowało poruszenie i po chwili na plac przy wtórze stukotu kopyt wyjechał oddział kawalerii przybocznej w czerwono-złoty mundurach, eskortując ozdobny powóz. Pospiesznie podjechali do kawalkady i zatrzymali się przy zakrytym wozie wiozącym nieprzytomnego lorda Viponda. Po obu stronach powozu otworzyły się drzwi i wysiadło zeń trzech dostojnie wyglądających mężczyzn. Podeszli do wozu i zniknęli w środku. Przez pięć minut wszyscy stali i czekali w cieniu drzew porastających rzędem plac.

Do balustrady nieopodal trzech akolitów podeszła pięcioletnia dziewczynka, której matka pochłonięta była plotkowaniem.

133

— Hej, chłopcze.

Cale spojrział na nią z całą niezyczliwością, na jaką mógł się zdobyć.

— Tak, chłopcze, do ciebie mówię.

— Czego chcesz? — spytał Cale.

— Wyglądasz jak świnia.

— Idź sobie.

— Skąd jesteś, chłopcze?

— Z piekła, przyszedłem, żeby cię porwać w nocy i pożreć.

Dziewczynka rozmyślała nad tym przez chwilę.

— Wyglądasz mi na zwykłego chłopca. Zwykłego, brudnego chłopca.

— Pozory mylą — odparł Cale.

Tymczasem ich wymianą zdań zainteresował się Kleist.

— Zobaczysz — powiedział do dziewczynki — Za trzy noce wkradniemy się do twojego pokoju, tak cicho, że twoja mama nie usłyszy, włożymy ci do buzi knebel i pożremy na miejscu. I zostaną z ciebie same kosteczki.

Przekonanie dziewczynki, że są to naprawdę zwyczajni chłopcy, zaczęło powoli słabnąć. Najwyraźniej jednak niełatwo ją było zastraszyć.

— Mój tatuś was złapie i zabije na śmierć.

— Nie złapie, bo jego też pożremy. Nawet pierwszego, żebyś widziała, co cię czeka.

Cale roześmiał się na głos i pokręcił głową na widok przyjemności, jaką jego przyjaciel czerpał z tej sprzeczki.

— Przestań ją podjudzać — powiedział z uśmiechem. — Wygląda na szpiclówkę.

— Nie jestem szpiclówką! — oburzyła się dziewczynka.

— Nawet nie wiesz, co to znaczy.

— Właśnie że wiem.

— Cicho! — szepnął Cale.

134

' m

Matka dziewczynki zauważyła w końcu zniknięcie córki i szła szybkim krokiem w jej stronę.

— Chodź tu, Jemimo.

— Ja tylko rozmawiam z tymi brudnymi chłopakami.

— Cicho bądź, ty nieznośna dziewczyno! Nie powinnaś rozmawiać z takimi nieszczęsnymi istotami. Przepraszam — zwróciła się do chłopców. — Ty też ich przeproś, Jemimo.

— Nie przeproszę.

Kobieta zaczęła odciągać dziewczynkę na bok.

— Wobec tego nie dostaniesz budyniu!

— A my? — zawołał Kleist. — Nie możemy dostać budyniu?

Przed nimi znowu powstało zamieszanie. Sześciu żołnierzy z gwardii przybocznej niosło kanclerza Viponda, a trzech mężczyzn patrzyło nań z zatroskanymi minami. Przeniesiono go do powozu i ostrożnie ułożono w środku. Nie minęła minuta, gdy pojazd zniknął z placu, a kawalkada powoli ruszyła za nim.

Trzy godziny później trzej akolici siedzieli zamknięci w głównej twierdzy. Zaprowadzono ich do lochów, rozebrano, przeszukano i wylano na nich trzy wiadra lodowatej wody, pachnącej nieprzyjemnie nieznanymi chemikaliami. Potem oddano im ubrania, obsypane drapiącym białym proszkiem i zamknięto w celi. Przez pół godziny siedzieli w milczeniu, zanim w końcu Kleist westchnął i powiedział:

— Czyj to był pomysł? No tak, zapomniałem, Cale'a.

— Różnica między tym miejscem a Sanktuarium — odrzekł Cale od niechcenia, jakby nie bardzo był zainteresowany odpowiadaniem na to pytanie — jest taka, że tutaj nie wiemy, co nas czeka, a tam wiedzielibyśmy na pewno: dużo wrzasków.

Trudno było z tym dyskutować, więc po kilku minutach wszyscy trzej zasnęli.

Przez następne trzy dni lord Yipond walczył ze śmiercią.

135

Zaaplikowano mu wiele leków i balsamów, aromatyczne zioła palono dzień i noc, na rany przykładano okłady z naparów z tego i owego. Żaden z tych specyfików jednak nie podziałał lub wręcz przeciwnie, szkodził choremu, i jedynie wrodzona żywotność i silne zdrowie Viponda wyciągnęły go z choroby pomimo wytężonych wysiłków najlepszych medyków Memphis. Dokładnie w chwili, gdy jego potomkom zalecono już gotować się na najgorsze (czy też, z ich punktu widzenia, najlepsze), Vipond odzyskał przytomność i chrypiącym głosem zażądał, by otwarto okna, wyrzucono cuchnące zioła i umyto go w gorącej wodzie.

Kilka dni później, kiedy znów pozwolono mu oddychać świeżym powietrzem, a naturalnym siłom obronnym jego organizmu spełniać swoją funkcję, mógł w końcu usiąść w łóżu i zrelacjonować przebieg wypadków, które doprowadziły do zagrzebania go po szyję w piaszczystej ziemi Strupich

Wzgórz.

— Cztery dni podróży dzieliły nas od Memphis, kiedy zaskoczyła nas burza piaskowa, chociaż więcej niosła ze sobą kamieni niż piasku. Karawana się rozpierzchła i zanim zdążyliśmy na nowo zebrać siły, napadli nas Gurriersi. Zabili wszystkich na miejscu, z wyjątkiem mnie. Z niewiadomego powodu postanowili zrobić ze mną właśnie to, co widzieliście.

Lord Vipond opowiadał to wszystkowi kapitanowi Albinowi, szefowi tajnych służb Materazzich. Był to wysoki mężczyzna o błękitnych oczach, których nie powstydziliby się nawet piękna młoda kobieta. Ten uderzający szczegół kontrastował jednak silnie z resztą jego powierzchowności, powściągliwą, prawie sztywną (jakby go świeżo wykrochmalono) i chłodną.

— Jesteście pewni, że to byli tylko Gurriersi, panie kanclerzu?

— Nie jestem ekspertem od zbójców, kapitanie, ale tak mi powiedział Pardee, zanim zginął. Masz powody, by sądzić inaczej?

136

— Owszem, pewne dziwne okoliczności.

— Mianowicie?

— Atak na wasze oddziały wydawał się zbyt dobrze zorganizowany i sprawny jak na Gurriersów. To oportuniści i rzeź-nicy, rzadko zbierają się w grupy, których liczebność pozwoliłaby zaatakować i pokonać doskonale wyszkolonych żołnierzy, którzy was ochraniaли, nawet jeśli rozproszyła ich burza.

— Rozumiem.

— Zastanawia również to, że zostawili was żywego. W jakim celu?

— Ledwo żywego.

— To prawda, lecz po cóż w ogóle podejmowali takie ryzyko? — Albin podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec. — Znalaziono was ze zwitkiem papieru wciśniętym w usta.

Vipond spojrział na kapitana. Przypomnił sobie okropne uczucie, kiedy rozwarto mu siłą szczęki, a on z wielkim trudem wciągał w piersi powietrze. Potem stracił przytomność.

— Przykro mi, lordzie Vipondzie, to musi być dla was bardzo nieprzyjemne. Może wolelibyście, abym przyszedł jutro?

— Nie, nie, wszystko w porządku. Co było na tej kartce?

— Wiadomość, którą wieźliście od gauleitera Hynkela do marszałka Materazziego z deklaracją pokoju.

— Gdzie ona jest?

— Ma ją hrabia Materazzi.

— Jest bezwartościowa.

— Tak myślicie? — spytał Albin z namysłem. — Mnie się jednak to wydaje interesujące.

— Dlaczego?

— Pozostawienie was przy życiu z ważną wiadomością wciśniętą w usta wygląda na celowe działanie. Jakby ktoś chciał nam dać coś do zrozumienia.

— Na przykład co?

137

— Jakieś niejasne przesłanie. Być może nawet celowo niejasne. W każdym razie nie wygląda to na dzieło Gurriersów. Ich interesuje tylko rozbój i rabunek, nie polityczne przesłania, nieważne czy wyraźne, czy zawołowane.

— Jeśli to polityczne przesłanie, to czyż nie powinno być trochę bardziej czytelne?

— Niekoniecznie. Hynkel uważa się za dowcipnisią. Z pewnością uznałby za dobry żart taką zamaskowaną napaść na ministra Materazzich, która zarazem wzbudziłaby nasz niepokój, czy nie kryje się za nią coś więcej. — Albin uśmiechnął się skromnie. — Ale wy, panie kanclerzu, widzieliście się z nim całkiem niedawno. Może macie na ten temat inne zdanie.

— Bynajmniej. Tryskał dobrym humorem ciut za bardzo jak na mój gust. Jak każdy przebiegły polityk uważa wszystkich innych za głupców.

— Z pewnością myśli tak o naszym ambasadorze.

Zapadła chwila milczenia i Albin zastanawiał się, czy się

przypadkiem nie zagalopował. Vipond zmierzył go uważnie wzrokiem.

— Jesteś bardzo dobrze poinformowany, kapitanie — powiedział ostrożnie, zachęcając go w ten sposób, by kontynuował.

— Bardzo dobrze? Chciałbym, aby tak było. Ale to i owo wiem. Za kilka dni otrzymam wiadomości, które być może wyjaśnią kilka spraw.

— Byłbym wdzięczny, gdybyś informował mnie na bieżąco. Ja również mam swoje źródła, które mogą się okazać cenne.

— Naturalnie, wasza lordowska mość.

Albinowi bardzo odpowiadał ten rodzaj umowy. Nieważne, czy Vipondowi można ufać, czy nie, bo na pewno nie. Dwór w Memphis był prawdziwym gniazdem żmij i nikt pozbawiony ostrych zębów wypełnionych jadem nie mógłby pełnić tak ważnej funkcji. Spodziewać się czegoś innego równałoby się

138

brakowi rozsądku. Mimo to Albin czuł, że nastąpił pewien postęp. Mógł wierzyć, że Vipond go nie zdradzi, dopóki nie będzie to leżało w jego żywotnym interesie.

— Chciałbym jeszcze przedyskutować z wami dwie inne sprawy, wasza lordowska mość, ale oczywiście mogą to zrobić jutro, jeśli jesteście zbyt zmęczeni.

— Ależ skąd, proszę...

— Chodzi o czwórkę młodych osób, które Bramley znalazł przy was, kiedy byliście... — urwał.

— Zakopani po szyję?

— Hm, tak.

— Myślałem, że to mi się śniło. Trzech chłopców i dziewczyna?

— Tak.

— Co robili?

— No cóż, liczyliśmy, że to właśnie wasza lordowska mość odpowie nam na to pytanie. Bramley chce sprzedać dziewczynę, a chłopaków powiesić.

— Po cóż, na Boga?

— Uważa, że należeli do bandy Gurrierów, która na was napadła.

— Bandy ci napadli na nas dzień wcześniej. Co, u licha, robiliby ci młodzieńcy tyle czasu na miejscu zbrodni, gdyby mieli coś wspólnego z Gurriersami?

— Mimo to Bramley chce ich zabić. Uważa, że powinniśmy dać światu przestrożę, aby każdy, kto odważy się napaść na ministra Materazzich, wiedział, co go czeka.

— Ten twój Bramley to krwiożerczy łajdak.

— Bramley nie należy do moich ludzi, Boże broń.

— A co mówią te dzieciaki?

— Że dopiero co przyszli i właśnie zamierzali was odkopać.

— Nie wierzycie im?

139

— Nie było śladów kopania. — Albin przerwał. — Poza tym to nie do końca dzieci. Chłopcy mają jakieś trzynaście, czternaście lat i wyglądają na twarde sztuki. Dziewczyna dla odmiany sprawia wrażenie, jakby całe życie nie robiła nic innego, tylko kąpała się w pachnących olejkach. No i co robili w samym środku Strupich Wzgórz?

— A co oni mają na ten temat do powiedzenia?

— Że są Cyganami.

Vipond wybuchnął śmiechem.

— W tej części świata nie ma ani jednego Cygana, od kiedy odkupiciele wycięli ich w pięć sześćdziesiąt lat temu.

Zamyślił się.

— Porozmawiam z nimi osobiście za kilka dni, kiedy poczuję się lepiej. Podaj mi wodę, dobry człowieku.

Albin sięgnął do stolika przy łóżku i podał Vipondowi kubek z wodą. Chory wyglądał teraz bardzo blado.

— Zostawię was, panie kanclerzu.

— Mówiłeś, że masz dwie sprawy.

Albin zatrzymał się w pół kroku.

— Tak. Zanim kapitan Bramley was znalazł, schwycił kręcącego się w pobliżu IdrysPukkego.

— Doskonale. — Vipondowi oczy błysnęły zaciekawieniem. — Porozmawiam z nim jutro.

— Niestety, uciekł.

Vipond prychnął ze złością. Nie odzywał się przez całą minutę.

— Chcę go dostać. Jeśli kiedykolwiek wpadnie ci w ręce, przyprowadź go do mnie, ale nikomu o tym ani słowa.

Albin skinął głową.

— Oczywiście.

Wyszedł z komnaty Yiponda w pełni usatysfakcjonowany.

140

Mijał właśnie szósty dzień ich niewoli w podziemiach Memphis, lecz pomimo dręczącej niepewności co do własnego losu chłopcy byli w całkiem dobrych humorach. Dostawali trzy dobre, choć dla normalnego człowieka ohydne, posiłki dziennie; mogli spać, ile dusza zapragnie, co robili osiemnaście godzin na dobę, jakby nadrabiali straty całego życia.

Około czwartej po południu strażnik więzienny otworzył celę i wprowadził Albina, który już ich wcześniej przesłuchiwał, oraz dystyngowanego mężczyznę po pięćdziesiątce.

— Dzień dobry — powiedział lord Vipond.

Mętny Henri i Kleist popatrzyli na niego uważnie. Cale siedział na swojej pryczy z kolanami podciągniętymi do piersi i kapturem narzuconym na twarz.

— Wstać, kiedy wchodzi lord Vipond — polecił Albin spokojnie.

Mętny Henri i Kleist powoli podnieśli się z prycz, ale Cale ani drgnął.

— Hej, ty. Wstawaj i ściągnij ten kaptur z głowy, bo każę strażnikom, żeby zrobili to za ciebie.

Głos Albina brzmiał spokojnie i rzeczowo, nie słychać w nim było groźby.

Po krótkiej chwili Cale skoczył na równe nogi, niczym wyrwany raptownie z pokrzepiającej drzemki, i zrzucił kaptur na plecy. Potem wbił wzrok w podłogę, jakby zobaczył na niej coś niezmiernie interesującego.

— Poznajecie mnie? — spytał Vipond.

— Tak — odparł Kleist. — Jest pan tym mężczyzną, którego próbowaliśmy uratować na Strupich Wzgórzach.

— Zgadza się — potwierdził kanclerz. — Co tam robiliście?

— Jesteśmy Cyganami — powiedział Kleist. — Zabłądziliśmy.

— Jakimi Cyganami?

141

— Och, najzwyklejszymi — odparł Kleist z uśmiechem.

— Kapitan Bramley uważa, że chcieliście mnie obrabować.

Kleist westchnął.

— Kapitan Bramley to zły człowiek, bardzo zły. Próbowaliśmy uratować ważną osobę, a on nas skuł łańcuchami jak zbrodniarzy i wrzucił do lochu. I to się nazywa wdzięczność.

W głosie Kleista brzmiała dziwna i niepokojąca wesołość, odpowiadał wysokiej osobistości z tupetem, jak gdyby nie tylko nie spodziewał się, że ktoś mu uwierzy, ale nawet mu na tym nie zależało. Vipond spotkał się z takim bezczelnym zachowaniem tylko u skazańców prowadzonych na szubienicę, którzy wiedzieli, że nic ich już nie ocali.

— Chcieliśmy pana uratować — powiedział Mętny Henri i naturalnie jeśli chodzi o niego, była to prawda.

Vipond przeniósł wzrok na Cale'a.

— Jak się nazywasz?

Cale nie odpowiedział.

— Chodź ze mną.

To powiedziawszy, Vipond ruszył do drzwi, które strażnik szybko otworzył. W wejściu kanclerz odwrócił się do Cale'a.

— Czy jesteś nie tylko bezczelny, ale i głuchy?

Cale zerknął na Henriego, który skinął mu głową, jakby go zachęcał do okazania posłuszeństwa. Przez chwilę jeszcze Cale nie ruszał się z miejsca, aż w końcu powoli podszedł do drzwi.

— Kapitanie, bądź tak miły i chodź z nami.

Vipond wyszedł z celi, a w ślad za nim Cale. Albin podążył za nimi, ociągając się i rozluźniając uścisk dłoni na rękojeści krótkiego miecza, który spoczywał w pochwie. Kiedy zamknięto drzwi na klucz, Kleist podszedł do krat.

— A co ze mną? Ja też się chętnie przespaceruję!

Potem chłopcy usłyszeli zgrzyt zamykanych zewnętrznych

drzwi i Cale zniknął.

142

— Czy ty na pewno masz równo pod sufitem? — spytał Mętny Henri.

* # *

Znaleźli się na ładnym dziedzińcu ze starannie wypielęgnowanym trawnikiem pośrodku. Cale szedł ścieżką biegnącą wzdłuż muru, krok w krok z Vipondem.

— Przez całe życie wyznawałem zasadę — odezwał się kanclerz po dłuższej chwili milczącego marszu — że nie powinno się mówić najlepszemu przyjacielowi nic, czego by się nie było gotowym powiedzieć najgorszemu wrogowi. Tym razem jednak, chłopcze, szczerść może być twoją najlepszą strategią. Nie chcę więc słyszeć żadnych bzdur na temat Cyganów ani temu podobnych nonsensów. Chcę usłyszeć prawdę: kim jesteście i co robiliście na Strupich Wzgórzach?

— Ma pan na myśli taką prawdę, jaką wyznałbym najbliższemu przyjacielowi.

— Może nie jestem waszym najlepszym przyjacielem, młody człowieku, ale na pewno jedyną nadzieją. Powiedz mi prawdę, a może skłonny będę spojrzeć łaskawszym okiem na to, że chociaż dziewczyna i twój nierozgarnięty kolega chcieli mi pomóc, ty ten drugi rzezimieszek zamierzaliście zostawić mnie tam na śmierć.

Cale zerknął na niego z ukosa.

— Skoro rozmawiamy otwarcie, panie, to czy na naszym miejscu nie zastanawiałbyś się, w co się wpakujesz, ratując komuś życie?

— Owszem. A teraz słucham. Jeśli uznam, że kłamiesz, oddam was w ręce Bramleya szybciej, niż jagnię machnie ogonem, i bez żadnych zbędnych pytań.

Przez kilka sekund Cale milczał, po czym westchnął, jakby podjął decyzję.

143

— My trzej jesteśmy akolitami z Sanktuarium Odkupicieli w Shotover.

— No tak, to brzmi prawdziwie — rzekł Vipond z uśmiechem. — A dziewczyna?

— Znaleźliśmy ją, kiedy szukaliśmy jedzenia w korytarzach, które odkupiciele szczelnie odgradzają. Trafiliśmy do miejsca, o którym nigdy nie słyszeliśmy. Było tam więcej takich jak ona.

— Kobiety w Sanktuarium? Dziwne. A może wcale nie.

— Widziano nas z dziewczyną, więc nie mieliśmy wyboru, musieliśmy uciekać.

— Domyślam się, że wiele ryzykowaliście.

— Gdybyśmy zostali, nie byłoby żadnego ryzyka.

— To prawda.

Przez dłuższą chwilę Vipond rozmyślał nad tym, co usłyszał. Razem przechadzali się powoli wokół dziedzińca.

— A Strupie Wzgórza?

— To było najlepsze miejsce, aby się ukryć, bo wzgórze i oaza zasłaniają widok z oddali.

— Odkupiciele używają psów do tropienia. Widziałem je kiedyś, brzydkie jak śmierć, ale mają doskonały węch.

— Odkryłem sposób, żeby je wywieść w pole. — Cale wyjaśnił swój podstęp, omijając wszakże fragment o dwukrotnej ucieczce. Wszystko, co mówił mogło być prawdą, ale wydarzenia, które doprowadziły do ich ucieczki, w uszach Viponda nie brzmiałyby zbyt prawdopodobnie. Poza tym wszyscy trzej się zgodzili, że po głupiej historyjce Kleista o Cyganach, najlepiej będzie uprościć ich relację jak się da. Zorientowali się już, że wszystko, co im mówili odkupiciele o Cyganach, było kłamstwem. Nie doszło do żadnej zdradzieckiej napaści na Sanktuarium, po której odkupiciele przeprowadzili bardzo powściągliwą ekspedycję karną, aby nauczyć Cyganów moresu. Naj-

144

wyraźniej wyrznęli wszystkich do nogi, aż do ostatniego dziecka.

— Czy oddacie nas w ręce odkupicieli?

— Nie.

— Czemu?

Vipond wybuchnął śmiechem.

— Dobre pytanie. Nie mamy powodów, aby to uczynić. Nie utrzymujemy nawet stosunków dyplomatycznych z odkupicielami. Kontaktujemy się tylko za pośrednictwem Duenów.

— Kto to są Duenowie?

— Wiesz kim są najemnicy?

— Ludzie, którzy zabijają za pieniądze.

— Duenowie są najemnikami, którym płaci się pieniądze nie za zabijanie, lecz za prowadzenie negocjacji. Mamy tak niewiele wspólnego z odkupicielami, że lepiej nam opłacić kogoś, kto rozmawia z nimi w naszym imieniu. Myślę, że nadszedł czas na zmiany. Za bardzo zaniedbaliśmy te sprawy. Możecie okazać się dla nas bardzo pożyteczni. Wojna na wschodnich rubieżach pochłaniała odkupiciele przez ostatnie sto lat. Skoro, jak twierdzisz, zwiększyli liczbę przyjmowanych akolitów, mogą planować coś innego, może nawet w Memphis. Czas, abyśmy dowiedzieli się trochę więcej o ich poczynaniach. — Uśmiechnął się do chłopca. — Możecie się nam przydać, a to chyba jest wystarczający powód, aby mi zaufać.

— Może — odparł Cale z namysłem.

Stanęli przed wejściem do lochu. Vipond grzmotnął mocno pięścią i drzwi otworzyły się natychmiast. Odwrócił się do Cale'a.

— Za kilka dni przeniesiemy was w wygodniejsze miejsce, a na razie zapewnimy wam lepsze traktowanie: przyzwoite jedzenie, ruch.

145

Cale skinął głową i przeszedł przez drzwi, które szybko się za nim zamknęły.

Vipond odwrócił się do Albina, który podszedł do niego z tyłu.

— To bardzo ciekawe, mój drogi kapitanie. Ten chłopiec nie przypomina żadnego dziecka, jakie w życiu widziałem. Jeśli zjawią się tu odkupiciele, aby ich szukać, nie wolno im pisać ani słowa. I nie wpuszczać ich na teren warowni. Wobec chłopców zastosujemy areszt domowy.

Odchodząc, zawołał jeszcze:

— Przeprowadź do mnie dziewczynę jutro o jedenastej rano.

12

— A więc, Ribo — powiedział Vipond przyjaźnie niczym życzliwy nauczyciel — aż do chwili, kiedy ci trzej chłopcy trafili przypadkiem na moment, gdy jeden z odkupicieli napadł na ciebie, po czym został obezwładniony, nie miałaś pojęcia o obecności mężczyzn w Sanktuarium?

— Tak, panie.

— I mieszkałaś tam od siódmego roku życia i przez cały ten czas traktowano cię jak księżniczkę? Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

— Uważałam to za normalne, panie. Dostawałyśmy wszystko, czego zapragnęłyśmy, nie pozwalano nam tylko opuszczać wyznaczonego terenu. To jedno wykroczenie groziło surową karą. Ale to bardzo duży teren, a mury tak wysokie, że nie zdołałybyśmy się na nie wspiąć. Poza tym było nam tam dobrze.

— Czy kobiety, które się wami zajmowały, wyjaśniły wam, czemu traktują was z taką hojnością i dobrocią?

Riba westchnęła, jakby przebudziła się z długiego, pięknego snu.

— Powiedziały, że kiedy skończymy czternaście lat, zostaniemy pannami młodymi. Że zabiorą nas do miejsca jeszcze

147

wspanialszego niż Sanktuarium i będziemy tam żyły błogo i szczęśliwie na wieki wieków. Ale tylko pod warunkiem, że staniemy się doskonałe.

— Doskonałe? Pod jakim względem? — spytał trochę przestraszony Vipond.

— Musimy mieć skórę bez skazy, lśniące włosy, które łatwo dają się układać, duże, błyszczące oczy, różowe policzki, duże i okrągłe piersi, wydatne, gładkie pośladki. Nie wolno nam również dopuścić do wzrostu choćby jednego włoska między nogami, pod pachami ani nigdzie indziej. Musimy być zawsze urocze i zajmujące, i pachnieć kwiatami. Nie wolno nam się złościć ani utyskiwać na innych ludzi, a zamiast tego mamy zawsze wszystkim okazywać uprzejmość i serdeczność i zawsze być

chętnie do pocałunków i czułości.

Zarówno Vipond, jak i Albin byli doświadczonymi ludźmi, którzy widzieli i słyszeli w życiu wiele dziwnych rzeczy, mimo to, kiedy Riba skończyła mówić, obydwu mężczyznom zabrakło słów. W końcu pierwszy odezwał się Albin.

— Wracając do tej napaści odkupiciela: nigdy wcześniej go nie widziałaś?

— Nie, żadnego mężczyzny nigdy nie widziałam na oczy.

— W takim razie jak wprawiałyście się w... owej czułości, skoro nie widywałyście żadnych mężczyzn?

— Okazując ją sobie nawzajem.

To jeszcze bardziej spłoszyło obu mężczyzn.

— Na zmianę udawałyśmy, że jesteśmy zmęczone lub w złych humorach — ciągnęła dziewczyna. Dużo krzyczałyśmy i trzaskałyśmy drzwiami, a wtedy jedna z nas musiała tę drugą uspokajać i być miła, dopóki tamta nie poczuła się lepiej. — Popatrzyła na swych rozmówców i zorientowała się, że ta odpowiedź nie do końca ich zadowoliła. — Były też lalki.

— Lalki?

148

— Tak, lalki przedstawiające mężczyzn. Ubierałyśmy je, masowałyśmy i traktowałyśmy jak królów.

— Rozumiem — rzekł Vipond.

— Ja i Lena... — zająknęła się Riba. — Lena to moja przyjaciółka, którą zabił ten odkupiciel. Mówiono nam, że zostałyśmy wybrane, aby wyjść za mąż i żyć długo i szczęśliwie. A potem cioteczki, tak nazywałyśmy nasze opiekunki, zaprowadziły nas do pokoju tego człowieka. I on przyszedł i zabił Lenę.

— Czy wasze cioteczki wiedziały, co się z wami stanie?

— Gdyby wiedziały, to po co miałyby być dla nas takie dobre? Je także musieli oszukać.

— Czy to nie osobliwy zbieg okoliczności — zauważył Albin niepewny, czy dziewczyna nie wodzi ich za nos, chociaż musiałyby być prawdziwie genialną kłamczuchą — że w ciągu dwudziestu czterech godzin spotkałaś i odkupiciela i Cale'a, i że ten Cale zjawił się tam akurat w samą porę, żeby cię uratować?

— Tak, zastanawiałam się nad tym, nawet tam, wtedy. To dziwne po tylu latach spotkać nagle od razu czterech mężczyzn, jednego takiego okrutnego i trzech gotowych narażać dla mnie życie, dla kogoś, kogo zupełnie nie znali. Czy takie rzeczy zdarzają się na co dzień?

— Nie — odparł Vipond. — Nie na co dzień. Dziękuję ci, Ribo. To na razie wszystko.

Zadzwonił dzwoneczkiem, który leżał przed nim na biurku. Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda kobieta. Nosiła się z chłodną wyniosłością, właściwą szesnastoletnim arysto-kratkom, pokazującym światu, że widziała już w życiu wszystko i niewiele może ją zainteresować. Jednak na

widok Riby, jej błyszczących włosów i niewiarygodnie pulchnych kształtów wytrzeszczyła oczy. Wydawało się, że dwie stojące obok siebie dziewczęta pochodzą z dwóch różnych światów.

149

— Ribo, to moja bratanica, mademoiselle Jane Weld. Zaopiekuj się tobą na razie.

Mademoiselle Jane, która nie otrząsnęła się jeszcze ze zdumienia, nieznacznie skinęła głową. Riba tylko uśmiechnęła się nerwowo.

— Albinie, zechcesz poczekać z Ribą na zewnątrz, podczas gdy ja zamienię słowo z mademoiselle Jane?

Albin wyprowadził dziewczynę z pokoju i zamknął drzwi. Vipond popatrzył na swoją zaskoczoną bratanicę.

— Zaniknij usta, Jane, bo wiatr może się zmienić i tak ci zostanie.

Prawie słyhać było kłapnięcie, kiedy mademoiselle Jane zamknęła usta. Po czym prawie natychmiast otworzyła je na nowo.

— Co to za stworzenie, na Boga?

— Usiądź i posłuchaj mnie i chodź raz zrób to, o co cię proszę.

Mademoiselle Jane niechętnie zrobiła, co jej kazano.

— Chcę, abyś zaprzyjaźniła się z tą dziewczyną i nakłoniła ją do zwierzeń. Niech opowie ci jeszcze raz wszystko, co opowiedziała mnie, a może więcej. Spisz dokładnie to, co usłyszysz, i prześlij mi. Pamiętaj, aby nie pominąć żadnych, nawet najdrobniejszych szczegółów, choćby ci się zdawały nieważne lub dziwaczne. A bez wątpienia będą dziwaczne. — Spojrzał na bratanicę. — Kiedy poznasz jej historię, spróbuj się zorientować, czy da się Ribę nauczyć, by trzymała buzię na kłódkę i udawała, że pochodzi z Wysp Południowych lub podobnego miejsca. Jest dobrze wychowana, ale trzeba ją zapoznać z naszymi obyczajami. Jeśli się dobrze spisze, może uda się z niej zrobić pokojówkę albo nawet damę do towarzystwa.

— Oczekujesz ode mnie, że będę się zajmowała uczeniem służącej? — spytała z oburzeniem mademoiselle Jane.

— Oczekuję, że zrobisz wszystko, co ci każę. A teraz idź.

13

Odkupiciel Stape Roy, tropiciel z południowej grupy pościgowej wjechał do Memphis z umysłem niespokojnym jak nigdy dotąd, zostawiwszy setkę swoich ludzi i psy w miejscowości oddalonej sześćdziesiąt staj od miasta. Niepokój, jaki odczuwał, trudno było lekceważyć u człowieka, który miał za sobą niejedno potworne przeżycie i sam przyprawił innych o wiele podobnych. Zbliżając się jednak do Miasta Kici, odnosił wrażenie, jakby wjeżdżał do samego piekła na ziemi. Przed jaskrawo oświetloną bramą zatrzymał się, zsiadł z konia i poprowadził go dalej na piechotę. Mimo późnej pory strażników mijał nieprzerwany strumień turystów i miejscowych, których wartownicy w większości ignorowali, a nielicznych lustrowali czujnym spojrzeniem.

— Nie możecie go wprowadzić — powiedział strażnik, wskazując konia. — Jesteście uzbrojeni?

Po zęby, pomyślał Stape.

— Nie chcę wjeżdzać do środka. Przywiozłem list do Kici Zająca — odparł.

— Nigdy o nim nie słyszałem. A teraz zmiataj stąd, gałganie.

Obserwowany bacznie przez wartowników Stape sięgnął do

151

13

Odkupiciel Stape Roy, tropiciel z południowej grupy pościgowej wjechał do Memphis z umysłem niespokojnym jak nigdy dotąd, zostawiwszy setkę swoich ludzi i psy w miejscowości oddalonej sześćdziesiąt staj od miasta. Niepokój, jaki odczuwał, trudno było lekceważyć u człowieka, który miał za sobą niejedno potworne przeżycie i sam przyprawił innych o wiele podobnych. Zbliżając się jednak do Miasta Kici, odnosił wrażenie, jakby wjeżdżał do samego piekła na ziemi. Przed jaskrawo oświetloną bramą zatrzymał się, zsiadł z konia i poprowadził go dalej na piechotę. Mimo późnej pory strażników mijał nieprzerwany strumień turystów i miejscowych, których wartownicy w większości ignorowali, a nielicznych lustrowali czujnym spojrzeniem.

— Nie możecie go wprowadzić — powiedział strażnik, wskazując konia. — Jesteście uzbrojeni?

Po zęby, pomyślał Stape.

— Nie chcę wjeżdzać do środka. Przywiozłem list do Kici Zająca — odparł.

— Nigdy o nim nie słyszałem. A teraz zmiataj stąd, gałganie.

Obserwowany bacznie przez wartowników Stape sięgnął do

13

Odkupiciel Stape Roy, tropiciel z południowej grupy pościgowej wjechał do Memphis z umysłem niespokojnym jak nigdy dotąd, zostawiwszy setkę swoich ludzi i psy w miejscowości oddalonej sześćdziesiąt staj od miasta. Niepokój, jaki odczuwał, trudno było lekceważyć u człowieka, który miał za sobą niejedno potworne przeżycie i sam przyprawił innych o wiele podobnych. Zbliżając się jednak do Miasta Kici, odnosił wrażenie, jakby wjeżdżał do samego piekła na ziemi. Przed jaskrawo oświetloną bramą zatrzymał się, zsiadł z konia i poprowadził go dalej na piechotę. Mimo późnej pory strażników mijał nieprzerwany strumień turystów i miejscowych, których wartownicy w większości ignorowali, a nielicznych lustrowali czujnym spojrzeniem.

— Nie możecie go wprowadzić — powiedział strażnik, wskazując konia. — Jesteście uzbrojeni?

Po zęby, pomyślał Stape.

— Nie chcę wjeżdzać do środka. Przywiozłem list do Kici Zająca — odparł.

— Nigdy o nim nie słyszałem. A teraz zmiataj stąd, gałganie.

siodła i wyjął dwie sakiewki, jedną mniejszą, drugą dużo większą. Wyciągnął rękę ze skromniejszą sakwą.

— To dla was do podziału, a ta większa jest dla Kici Zająca.

— Dawaj je. Dopilnuję, żeby je dostał. — Pięciu wielkich strażników, wybranych starannie ze względu na całkowity brak uroku osobistego, zaczęło otaczać Stape'a kołem. — Przyjdź jutro albo lepiej pojutrze

— W takim razie zatrzymam pieniądze do pojutrze.

— Raczej nie — odparł strażnik. — U nas będą bezpieczniejsze.

Rzucił się do Stape'a z szybkością zdumiewającą u człowieka ważącego sto kamieni, i wyciągnął rękę po woreczki z pieniędzmi. Wydawało się, że odkupiciel poddał się bez walki, ramiona mu obwisły jak komuś pokonanemu, lecz kiedy strażnik popchnął go w pierś, ledwo zauważalnym ruchem złapał go za dłonie i nacisnął. Rozległ się niezbyt głośny trzask i wartownik z krzykiem upadł na kolana. Pozostali zaskoczeni niespodziewanym i brutalnym atakiem, natarli na Stape'a, ale ledwo zdążyli się ruszyć, kiedy w dłoni przeciwnika zobaczyli miecz przyłożony do gardła ich powalonego towarzysza. Zbędny był nawet jego ostrzegawczy krzyk, żeby się cofnęli.

— Sprowadźcie mi tu dowódcę, i to szybko. Nie mam ochoty pozostawać w tym rynsztoku ani minuty dłużej niż to konieczne.

Dwadzieścia minut później Stape siedział w poczekalni i chociaż było to jedno z najprzyjemniej urządzonych pomieszczeń, jakie w życiu widział — wyłożone cedrem i drzewem sandałowym, świadczącym o wyśmienitym guście i wydzielającym zapach tak subtelny oraz kojący dla zmysłów, że odkupiciel zastanawiał się przez chwilę, czy nie wyciąć kawałka boazerii, aby go ze sobą zabrać — cały czas czuł się nieswojo, nie z powodu bójki przy bramie Miasta Kici, lecz tego, co

zobaczył, kiedy go wpuszczono do środka. Mężczyznę odpowiedzialnego za masakrę w Odessie i Polskim Lesie, cieszącym się złą sławą nawet na słynących z okrucieństwa wojnach wschodnich rubieży, całkiem wytrąciło z równowagi to, co ujrzał kilka minut temu. W drugim końcu pokoju otworzyły się drzwi i wszedł przez nie starzec.

— Kicia Zajac oczekuje pana — powiedział uprzejmie.

Kiedy Stape Roy przestąpił próg pomieszczenia, uderzył go

dziwny zapach. Był tylko lekko nieprzyjemny i nawet słodkawy, ale od tej słodyczy włosy zjeżyły się odkupicielowi na karku. Na pewno nigdy przedtem go nie czuł, a jednak coś go przed nim ostrzegało i sprawiało, że pomimo całej swej bezwzględnej odwagi czuł się nieswojo. Starzec zamknął za nim drzwi, sam zostając w poczekalni.

Stape znalazł się w dość ciemnej komnacie, oświetlonej z wielką starannością tak, że podłogę widać było dokładnie, lecz wszystko powyżej pasa tworzyło już tylko zamazane kształty. Na środku pokoju ktoś siedział za biurkiem, ale sprawiał wrażenie skupiska cieni.

— Rozgość się, proszę, odkupicielu.

Ten głos. Stape nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego. Nie było w nim ani cienia okrucieństwa, ani jednej złowrogiej nuty, groźby czy brutalności, do jakich przywykł od niepamiętnych czasów. Przypominał bardziej gruchanie gołębia; pobrzmiwało w nim jakieś westchnienie pełne smutku, głębokie kwilenie. Była to na swój sposób najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu słyszał. Dźwięk ten rezonował mu w trzewiach niczym najgłębsze, niesłyszalne tony organów wielkiej katedry w Kijowie. Zrobiło mu się niedobrze.

— Źle wyglądasz, odkupicielu — zagruchał głos. — Może zechcesz napić się wody?

— Nie, dziękuję.

153

Kicia Zając westchnął jakby głęboko zatroskany. Odgłos ten nasunął Stape'owi skojarzenie z pocałunkiem kogoś niewyobrażalnie plugawego.

— W takim razie przejdźmy do interesów.

Odkupiciel musiał przywołać na pomoc całą swą niezłomność

i wiarę, aby odpowiedzieć, niezłomność i wiarę, które sprawdziły się po wielokroć, gdy na stosach płonęli odszczepieńcy, a w rzeziach ginęli niewinni. Nie pomogły nawet głębokie oddechy, poczuł tylko jeszcze mocniej ten okropny zapach słodczy.

— To prawda — rzekł Kicia Zając — że cztery młode osoby, których szukacie są przetrzymywane w Memphis.

— Czy możesz do nich dotrzeć?

— Och, do każdego można dotrzeć, odkupicielu. Chcesz, aby sprowadzono ich żywych?

— Potrafisz to zorganizować?

Biedny Roy Stape z trudem powstrzymywał się, żeby nie zemdleć.

— Potrafię, ale tego nie zrobię, ponieważ nie leży to w moim interesie.

Wydał odgłos, który mógł być łagodnym śmiechem albo zupełnie czym innym, a wtedy otworzyły się drzwi i starzec, który wprowadził Stape'a, powiedział:

— Proszę tędy, odkupicielu, dokończymy interesów.

Dziesięć minut później, nadal blady jak ściana odkupiciel

Roy Stape dochodził do siebie po okropnym widzeniu z Kicią Zającem.

— Lepiej się czujecie, odkupicielu? — spytał starzec.

Stape odwrócił do niego głowę.

— Co to za....

— Nie zadawajcie pytań, które mogą zostać uznane za obraźliwe — przerwał mu starzec.

— Neroztropnie jest wyrażać

154

się w tym miejscu obelżywie o tych sprawach. — Wziął głęboki oddech. — Sytuacja wygląda tak: chcecie, abyśmy wywieźli cztery młode osoby ze starego miasta. To jest możliwe, ale nie zostanie to uczynione, ponieważ ingerowałoby w sprawy bardzo bliskie naszym sercom.

— Wobec tego odjadę i poinformuję o tym swego zwierzchnika. Nalega on, aby mu natychmiast przekazywano wszelkie złe wiadomości.

— Nie bądźcie nierozsądni, odkupicielu — rzekł starzec. — Co nagle, to po diable. Będziemy ich mieć na oku. Nadejdzie chwila, kiedy opuszczą miasto, a wtedy poinformujemy was o tym i w geście dobrej woli oddamy ich nietkniętych. Obiecuję.

— Jak długo to potrwa?

— Tyle, ile trzeba. Dotrzymamy obietnicy... ale niech to będzie jasne: jeśli podejmiecie próbę odzyskania ich na własną rękę, Kicia Zajac potraktuje to jako zamach na jego najżywotniejsze interesy.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść.

Do pokoju wkroczyło dwóch strażników.

— Ci ludzie odprowadzą was do bramy. Waszego konia napojono i nakarmiono na znak naszej dobrej woli. Żegnam.

Kiedy odkupiciel Stape wyszedł z budynku, atmosfera Miasta Kici uderzyła go jak cios w policzek. Ten zgiełk! Ci ludzie! Czuł się jak ślepiec, który przejrzał na oczy i zobaczył tęczę w samym środku piekła; jak głuchy, który odzyskał słuch pośród dźwięków końca świata. Widział kocotów ze swoimi sikorkami, gryzety z pączkami wywieszonymi na pokaz; san-dalarzy w kabaretkach, kuszących przechodniów: „Koci, koci, chodź i weź”. Widział pikolaków z nagimi fistaszkami i sadowników domagających się udręki i bardachy z uróżowionymi smykami, zachęcające: „Pół na pół!”. Hugenoci krzyczeli

155

„świeżutki narybek, kto da więcej?!”, a chłoptasie z długimi językami na wierzchu szukali „sroczi do pary”.

Przez chwilę Stape stał jak wrośnięty w ziemię, osłupiały i oszołomiony grozą tego, co ujrzał. Z gardła wyrwał mu się okrzyk wstrętu i nienawiści, a w następnej sekundzie ku zdumieniu eskortujących go strażników odkupiciel wziął nogi za pas i uniósł swą obolałą duszę ku bramom Miasta Kici,

a potem jeszcze dalej w mrok nocy.

* * *

Sześćdziesiąt staj za ostatnią wioską chronioną przez Memphis IdrysPukke siedział w rowie na deszczu. Nie mógł rozpalić ognia, ponieważ wszystko przemokło, zresztą i tak byłoby to zbyt niebezpieczne. W ciągu dwudziestu czterech godzin miał w ustach tylko pół ziemniaka i to zgniłego. Jak to się stało, że człowiek, który dowodził trzema armiami, z którego zdaniem liczyli się królowie i cesarze, który w dodatku okrył hańbą całe pokolenie pięknych cór satrapów i nababów, upadł tak nisko? To było dobre pytanie i IdrysPukke znał na nie odpowiedź. W odróżnieniu od ludzi, którym zdarzało się czasem kusić los, on robił to codziennie. Zbierał, czego nie zasiał, brał rękę, gdy podsuwano mu palec, tracił więcej, niż wygrywał. Dawno już, w czasie tego jednego żywota wyczerpał limit dla swych dziewięciu wcieleń. Nikt nie kwestionował jego militarnego geniuszu, inteligencji, sprawności we władaniu bronią ani politycznej mądrości, wręcz przeciwnie, podziwiano je w całym znanym świecie, czyli wszędzie, gdzie obecnie czekał nań wyrok śmierci, wyjąwszy miejsca, w których sądy i wyroki uznawano za zbyt męczące formalności. Krótka mówiąc, nie było kraju, do którego mógłby uciec, gdzie by go nie ugotowano, wypatroszono, spalono lub powieszono, a nierzadko wszystkie cztery kary wymierzono kilkakrotnie. Największy najemnik,

156

jakiego znał świat, ukrywał się w rowie przed dziesiątkami łowców nagród i żołnierzami przemoczony do suchej nitki, wyczerpany i cierpiący na okropną niestrawność po ostatnim, nieświeżym posiłku.

Dwukrotnie w ciągu ostatniego miesiąca został schwytany i uciekł niemal natychmiast. Problem jednak polegał na tym, że nie miał dokąd uciec. Przyszło mu w końcu pić to piwo, którego nawarzył.

Trzask!

Bez chwili namysłu IdrysPukke porwał się na kolana i zaczął czołgać przez rów najszybciej jak mógł.

— Pochodnie! Światła! Zobaczyl nas!

Czarną jak smoła równinę rozświetlił nagle ze wszystkich stron blask żagwi. Jednak to co pomogło tamtym, pomogło również jemu — trzydzieści kroków dalej IdrysPukke ujrzał kępę drzew. Pędząc na czworakach jak pies, potykał się i ślizgał w błocie.

— Tam!

Zauważyli go. Światła pochodni ruszyły za nim ławą. W każdej chwili może go dosięgnąć strzała lub miecz i śmiertelny ból. Biegł dalej, dysząc z przerażeniem. Jeszcze jest wolny, jeszcze się rusza. Musi tylko dopaść do drzew. Wdrapywał się po zboczu, ślizgał i zjeżdżał, już wbiegał na szczyt wzgórza, kiedy poczuł cios.

Znieruchomiał i świat również zamarł w błysku światła i bólu. Potem spadł kolejny cios. IdrysPukke zachwiał się i runął do tyłu, lecz zanim zdążył poczuć uderzenie upadku, stracił przytomność.

Kiedy się zbudził, włochaty goryl trzymał go jedną ręką za obie nogi i beztrąsko walił jego głową o mur jak gospodyni trzepiąca dywan. Po chwili przerwał, podniósł go na wysokość twarzy i zajrzał mu w oczy. IdrysPukke nie miał wątpliwości,

że to goryl, ponieważ widział identycznego w cyrku w Arnheim. Tylko że ten był dużo większy; jego gorący, wilgotny oddech cuchnął gnijącym mięsem, a z nosa ciekły strużki zielonych smarków.

— Widzę, że jeszcze żyjesz.

Dopiero teraz z wielką ulgą IdrysPukke zdał sobie sprawę, że jest nadal nieprzytomny i śni. Tymczasem goryl zaczął na nowo flegmatycznie walić jego głową o ceglana ścianę.

Zmusił się, aby otworzyć oczy. Leżał na chłopskiej furmance, do której przywiązano go za ręce i nogi. Wóz podskakiwał na wybojach, a przy każdym podskoku IdrysPukke uderzał głową

o drewnianą ściankę.

Wciągnął głęboko powietrze, żeby znów nie stracić przytomności i przesunął głowę bliżej środka wozu. To prawda, pomyślał, miło jest przestać walić głową o ścianę. W tej chwili ból znowu rozdarł mu czaszkę i IdrysPukkemu minęła cała wdzięczność. Jęknął.

— Ocknąłeś się wreszcie?

Nie był to łowca nagród, tylko zwykły żołnierz, co dawało przynajmniej nadzieję, że wpadł w ręce ludzi, którzy zechcą zachować jakieś szczątki formalności, zanim zastosują nieprzyjemne środki komunikacji. Może jeszcze uda mu się uciec. Żołnierz dźgnął go w żołądek końcówką krótkiej włóczni.

— Zapytałem cię grzecznie, więc mi grzecznie odpowiedz.

— Tak, ocknąłem się — stęknął IdrysPukke. — Dokąd mnie wieziecie?

— Zamknij gębę. Powiedzieli mi, żebym pod żadnym pozorem z tobą nie gadał, ale nie wiem, czemu. Nie wyglądasz na chojraka.

To rzekłszy, znowu dźgnął go włócznią w brzuch, usiadł

i więcej się nie odezwał.

14

— Co mam z nimi zrobić? — spytał Albin.

Vipond podniósł głowę znad biurka i zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Interesują mnie ci chłopcy, ale myślę, że nadszedł czas, aby ich trochę bardziej przycisnąć. Chcę, abyś nadzorował ich przesłuchanie. Musimy lepiej zbadać, co się dzieje w Sanktuarium i czy to, co knują tam odkupiciele może mieć dla nas jakieś znaczenie. Tymczasem umieśćcie chłopców jako praktykantów u Mondów.

— Salomon Salomon nie będzie tym zachwycony.

— Wielki Boże — westchnął Vipond. — Czy nikt już w tym mieście nie robi tego, co mu się każe? Ma zacisnąć zęby i słuchać.

— Mondowie to arogancka zgraja, panie kanclerzu. Tym trzem nie będzie u nich lekko.

— Wiem o tym. Miej ich na oku. Chcę wiedzieć, jak przyjmą to traktowanie. Nie mam żalu o to, że skłámali, na ich miejscu zrobiłbym to samo, ale chcę dotrzeć do sedna tej sprawy.

I tak dwa dni później Cale, Kleist i Mętny Henri znaleźli się na placu Doskonalenia razem z pięćdziesięcioma innymi prak-

159

tykantami i patrzyli na młodych arystokratów Materazzich, rozgrzewających się pod okiem Salomona Salomona, instruktora sztuki wojennej Mondów. Był to rosły mężczyzna, ogolony na łyso, o oczach zimnych jak wschodni wiatr w mroźny styczniowy poranek.

Przy ciepłym wietrze, pod błękitnym niebem nowi praktykanci podziwiali czternasto- i piętnastoletnich arystokratów, którzy rozciągali się i napinali mięśnie na polu treningowym. Wszyscy wyglądali podobnie: wysocy, dobrze zbudowani, jasnowłosi i szczupli. Powietrze aż drgało od emanującej z nich wyniosłej pewności siebie, kiedy wyciągali długie kończyny w niepojętych figurach lub robili pompki na jednym ręku, jakby ich sprężyste ramiona napędzała jakaś niespożyta siła magicznych machin. Czterdziestu siedmiu praktykantów patrzyło na nich z nabożnym podziwem. Byli to synowie bogatych kupców, którzy płacili Salomonowi Salomonowi bajeczne sumy za tę rzadką dla parweniuszy sposobność obcowania na co dzień z członkami rodu Materazzich. Ostatnia wymiana trzech praktykantów na jakichś trzech skończonych prostaków ze Strupich Wzgórz kosztowała Salomona Salomona dziesięć tysięcy dolarów straty rocznie. Dlatego właśnie jego zimne z natury serce ostatnimi dniami jeszcze bardziej zlodowaciało.

Każdego z praktykantów ustawiono pod inną tarczą herbową i choć Cale nie miał pojęcia, co one znaczyły, na piersiach rozgrzewających się obok niego Materazzich zauważył odznaki z takimi samymi symbolami, jak te za plecami niektórych praktykantów. Chwilę później wyłowił z tłumu właściciela herbu odpowiadającego jego własnej tarczy. Chłopak był podobny do innych, tylko jeszcze wyższy, jeszcze bardziej jasnowłosy, silniejszy i pełen gracji. Markując walkę z kilkoma przeciwnikami, poruszał się z zadziwiającą szybkością i bez trudu powalał każdego na ziemię.

Cale obejrzał się i pokrótce zlustrował bogaty asortyment broni przeznaczony dla każdego Monda: kilka rodzajów mieczy, krótkie, długie i średnie włócznie, topory, a także wiele innych rodzajów oręża, jakich nigdy w życiu nie widział na oczy.

— Ej, ty! Nie waż się ruszyć z miejsca!

Salomon Salomon patrzył na Cale'a. Zszedł z podestu wypełnionego manekinami, skąd nadzorował rozgrzewkę i szedł w stronę chłopca, nie odrywając od niego oczu. Materazzi na polu przerwali ćwiczenia i obserwowali, co się wydarzy. Nie czekali długo. Gdy tylko Salomon Salomon doszedł do Cale'a, zdzielił go z całej siły otwartą dłonią w bok głowy. Kilku Mondów roześmiało się szyderczo.

Cale zachwiał się, lecz nie przewrócił, jak się tego spodziewał Salomon. Nie zaprotestował również, ani nie spojrział na mężczyznę ze złością, tylko wyprostował się bez słowa. Miał zbyt duże doświadczenie z nieuzasadnionym okrucieństwem i nieobliczalnymi humorami ludzi sprawujących władzę, aby popełnić którykolwiek z tych błędów.

— Czy wiesz, co zrobił?

— Nie, panie.

— „Nie, panie”? Śmiesz mi mówić, że nie wiesz?

Zostało to powiedziane z niepohamowaną furią chciwca,

który stracił tysiąc dolarów rocznie bez żadnego zrozumiałego powodu. Uderzył Cale'a drugi raz. Za trzecim razem Cale zrozumiał swój błąd. W Sanktuarium upadek pod wpływem ciosu groził kolejnym aktem wściekłości, tutaj najwyraźniej było odwrotnie. Natychmiast posłusznie przewrócił się na ziemię.

— Na przyszłość — wrzeszczał Salomon Salomon — patrz przed siebie, obserwuj swojego mistrza i nie odrywaj od niego oczu! Rozumiesz?!

— Tak, panie.

161

Po tych słowach Salomon Salomon odwrócił się i wszedł na swoje podwyższenie. Cale podniósł się powoli na nogi. W uszach mu dzwoniło. Pozostali praktykanci patrzyli przed siebie z przerażeniem, poza Mętym Henrim i Kleistem, którzy patrzyli przed siebie, ponieważ wiedzieli, że tego się od nich wymaga. Jedna osoba jednak nie odrywała oczu od Cale'a: najwyższy, najlepiej zbudowany Materrazzi, którego herb znajdował się za jego plecami. Chociaż wszyscy dookoła śmiali się z niego, on był prawie szkarłatny z gniewu

Nawet razy wymierzone Cale'owi nie poprawiły humoru Salomonowi Salomonowi; stratę tyłu pieniędzy odbierał jako ciężki cios.

— Podejdźcie do swoich praktykantów. Krótkie miecze.

Mondowie podeszli do linii uczniów i stanęli naprzeciwko

nich. Wysoki, młody Materazzi spojrział na Cale'a i odezwał się łagodnie:

— Jeśli jeszcze raz zrobisz z siebie takie pośmiewisko, pożałujesz, że się urodziłeś. Słyszysz?

— Tak, słyszę — odparł Cale.

— Jestem Conn Materazzi. Od tej pory masz mnie nazywać szefem.

— Tak, szefie.

— Podaj mi miecz.

Cale odwrócił się do stojaka z bronią. Na drewnianym drążku wisiały trzy miecze tej samej długości, lecz różnych kształtów, od prostego do zakrzywionego. Dla Cale'a miecz był mieczem. Wziął do ręki pierwszy z brzegu.

— Nie ten — powiedział Conn i kopnął Cale'a w tyłek. — Ten drugi.

Cale sięgnął po następny miecz wiszący obok tamtego i poczuł drugiego kopniaka. Materazzi dookoła zanosili się śmiechem, śmiali się również niektórzy praktykanci.

162

— Ten drugi! — wrzasnął Conn.

Cale zdjął ze stojaka następny miecz i podał go uśmiechniętemu młodzieńcowi

— Dobrze. A teraz podziękuj mi za instruktażowe kopniaki.

Po tych słowach zaległa cisza, wszyscy się zastanawiali, czy praktykant okaże się na tyle głupi, by zaprotestować lub co gorsza zrewanżować się.

— Podziękuj mi — powtórzył Conn.

— Dziękuję, szefie — powiedział Cale prawie uprzejmie, ku ogromnej uldze Mętnego Henriego, a nawet Kleista.

— Doskonale — rzekł Conn, zerkając na swych towarzyszy. — Całkowity brak kręgosłupa, to bardzo pożyteczne u służki.

Kolejny wybuch przymilnego śmiechu przerwały ostre polecenia Salomona Salomona. Przez następne dwie godziny Cale z bólem głowy obserwował ćwiczenia Mondów. Po skończonym treningu Materazzi pośród śmiechów opuścili pole ćwiczeń, aby się wykapać i pójść na posiłek. Wtedy zjawiono się kilkunastu starszych żołnierzy i pouczyło praktykantów, jak należy się obchodzić z bronią, którą mają za plecami i jak ją pielęgnować.

Po skończonej pracy trzech chłopcy usiedli, aby porozmawiać i — co dziwne — Mętny Henri i Kleist wydawali się znacznie bardziej nieszczęśliwi niż Cale.

— Boże — utyskiwał Kleist — a ja myślałem, że w końcu dopisze nam tu trochę szczęścia. — Popatrzył z wyrzutem na Cale'a. — Masz prawdziwy talent do załażenia ludziom za skórę. Wystarczyło ci dwadzieścia minut, żeby zadrzeć z dwoma największymi zbukami w miejscu, które wyglądało całkiem niegroźnie.

Cale zastanawiał się przez chwilę uważnie nad tym, co powiedział Kleist, ale się nie odezwał.

— Chcesz uciec dzisiaj w nocy? — spytał Henri.

163

— Nie — odparł Cale. — Potrzebuję trochę czasu, żeby wykraść jak najwięcej potrzebnych rzeczy.

— Nie powinniśmy za długo zwlekać, to niebezpieczne.

— Wszystko będzie dobrze. Poza tym, wy dwaj nie musicie stąd uciekać. Kleist dobrze mówił, spadliście tu na cztery łapy.

— Akurat — obruszył się Henri. — Jak ty uciekniesz, dobiorą się do nas. •

— Może tak, a może nie. Może Kleist ma rację, że jest we mnie coś takiego, co wprawia ludzi we wściekłość.

— Idę z tobą — oświadczył Mętny Henri.

— Nie rób tego.

— Już powiedziałem.

Zapadło długie milczenie, które w końcu przerwał Kleist.

— No w każdym razie nie zamierzam zostawać tu sam — oznajmił i odszedł nadąsany.

— Może udałoby się uciec, zanim wróci — zasugerował Cale.

— Powinniśmy się trzymać razem.

— Może i tak, ale dlaczego on musi tyle biadolić?

— Już taki jest. Ale to porządny chłopak.

— Naprawdę? — spytał Cale, jakby tylko lekko zdziwiony.

— Kiedy chcesz uciec?

— Za tydzień. Musimy się dobrze zaopatrzyć, a tu mają mnóstwo pożytecznych rzeczy.

— To niebezpieczne.

— Nic się nie stanie.

— Nie zgadzam się z tobą.

— Tak czy inaczej, chodzi o mój tyłek i moją głowę, więc do mnie należy decyzja.

Mętny Henri wzruszył ramionami.

— Pewnie tak. — Po czym zmienił temat. — Co myślisz o tych Mondach? Niezłe pyszałki, nie sądzisz?

164

— Ale całkiem dobrzy.

— No, całkiem — odparł Henri z uśmiechem. — Myślisz, że Ribie nic się nie stało? — W jego głosie brzmiała prawdziwa troska. — To nie to, co my. Nie wytrzymałaby bicia ani złego traktowania. Inaczej ją wychowywano.

— Nic jej nie będzie. Vipond zadbał o nasze bezpieczeństwo, prawda? Kleist powiedział prawdę, gdyby nie ja, byłoby wam tu jak u Pana Boga za piecem. Riba umie postępować z ludźmi. Poradzi sobie.

— Dlaczego w takim razie ty nie umiesz postępować z ludźmi?

— Nie wiem.

— Spróbuj po prostu schodzić im z drogi, a jeśli nie umiesz, to przynajmniej nie patrz na nich takim wzrokiem, jakbyś chciał im poderżnąć gardło i nakarmić nimi psy.

Nazajutrz rozviała się nadzieja Mętnego Henriego, że sprawy z Salomonem Salomonem i Connem Materazzim przyschną. Salomon znalazł następny pretekst do powtórzenia wczorajszego widowiska,

tylko tym razem zrobił to środkiem pola, aby wszyscy mogli widzieć i pod byle pretekstem go naśladować. Conn Materazzi wszelako bardziej wyrafinowany od swego krewkiego nauczyciela nie chciał, aby widziano, że go naśladowuje, ograniczył się więc tak jak poprzedniego dnia do kopniaków wymierzanych z byle powodu i od niechcenia. Młodzieniec ów miał wyjątkowy dar do poniżania ludzi. Traktował Cale'a jak uciążliwe, lecz zarazem pocieszne brzemie, które kazano mu dźwigać i obchodzić się z nim możliwie jak najuprzejmiej. Długimi, elastycznymi nogami potrafił uderzyć Cale'a w pośladek lub trafić w ucho, jakby używając rąk wobec kogoś takiego, traktował go zbyt poważnie. Po czterech dniach takich przedstawień Mętny Henri zaczął się poważnie martwić o wpływ tych poczynań na przyjaciela, ponieważ uznał je za groźniejsze od brutalnych

165

razów Salomona Salomona. Cale przywykł do dużo gorszego okrucieństwa niż napady złości instruktora Mondów, lecz żaden akolita w Sanktuarium nie musiał znosić drwin i wystawiania na pośmiewisko. Henri obawiał się, że jego przyjaciel da się w końcu sprowokować.

— Mnie się wydaje cichszy niż zwykle — stwierdził Kleist, kiedy Henri usiadł obok niego zmartwiony.

— Cichy jak nawiedzony dom przed przebudzeniem demona.

Obaj wybuchnęli śmiechem na to często powtarzane powiedzenie odkupicieli.

— Jeszcze tylko dwa dni.

— Namówmy go, żebyśmy uciekli jutro.

Conn Materazzi nadal odgrywał rolę wyrozumiałego pana wobec skończonego głupca i wkładał w to coraz więcej złośliwości, czym zyskiwał poklask kolegów. Pomiędzy jednym biciem a drugim, którymi Salomon nie przestawał wyładowywać swojej wściekłości na Cale'u, Conn targał go za włosy za jakąś zmyśloną pomyłkę niczym starego psiaka, który brudzi w mieszkaniu, lecz członkowie rodziny bardzo się nad nim litują. Klepał go prowokacyjnie w tył głowy, to znów płazem miecza w pośladki. A Cale z godziny na godzinę stawał się coraz cichszy. Conn Materazzi był potworem, ale nie głupcem, widział, że o ile ciosy i razy Salomona nie wywierają na jego praktykancie najmniejszego wrażenia, o tyle jego drwiny powoli przesączają się w głąb tej hardej duszy.

Materazzi słynęli z dwóch rzeczy. Pierwszą były wybitne zdolności w dziedzinie sztuk wojennych, połączone z najwyższą odwagą i brawurą; drugą nieprzeciętna uroda kobiet tego rodu, idąca wszelako w parze z równie nieprzeciętną oziębłością. Mówiono nawet, że nie sposób zrozumieć, czemu mężczyźni ci tak chętnie oddają życie w bitwach, dopóki się nie pozna ich

166

żon. Zarówno w pojedynkę, jak i w grupie Materazzi stanowili budzącą groźbę machinę wojenną. Z kolei każdy, kto miał w życiu do czynienia z którąś z ich kobiet, spotkał się bez cienia wątpliwości z najbardziej protekcyjnym, dumnym i lekceważącym przyjęciem, jakiego w życiu zaznał; jednak oszołomiony ich urodą gotów był, podobnie jak mężczyźni tego rodu, znieść wszystko za jeden uśmiech lub najbardziej protekcyjny pocałunek. Chociaż Materazzi dzierżyli jedną trzecią znanego świata w mocnym uścisku swej militarnej, gospodarczej i politycznej potęgi, podbite nacje mogły się zawsze pocieszać, że choćby ich najeźdźcy wspięli się na najwyższe szczyty władzy, zawsze

pozostaną niewolnikami swoich kobiet.

Podczas gdy nie ustawały szykany i prześladowanie Cale'a, trzech przyjaciele wykorzystywali każdą wolną chwilę na wykradanie czego się da. Nie było to ani szczególnie trudne, ani niebezpieczne, Materazzi wykazywali bowiem niezrozumiały dla chłopców stosunek do posiadanych rzeczy: odnosiło się wrażenie, że większość z nich wyrzucali natychmiast po kupieniu. Dla dawnych akolitów, którym nie wolno mieć niczego na własność, było to nie do pojęcia. Z początku kradli tylko te przedmioty, które mogły im się przydać: scyzoryk, ostrzałkę; potem zaczęli też zabierać pieniądze ponieważ się w sypialniach ich szefów, niekiedy zdumiewająco duże sumy. Odkryli też, że dużo łatwiej jest pytać swoich mistrzów, czy chcą, aby coś sprzątnęli lub przełożyli w inne miejsce, ponieważ często otrzymywali w odpowiedzi polecenie, aby się pozbyli tego lub owego. W ciągu czterech dni „dostali” lub zwędzili więcej rzeczy, niż potrzebowali: noże, miecze, uszkodzony lekki łuk myśliwski, który Kleist błyskawicznie naprawił, czajniczek polowy, miski, łyżki, linę, szpagat, jedzenie konserwowane z kuchni i całkiem sporą ilość pieniędzy, których

167

jeszcze przybędzie, jeśli tuż przed ucieczką opróżnią do reszty pokoje swoich szefów. Poukrywali wszystko starannie w licznych wnękach i szczelinach, chociaż było mało prawdopodobne, że zostaną nakryci, ponieważ nikt nie zauważał zniknięcia skradzionych przedmiotów. Myśl, że mogliby w tym miejscu żyć dostatnio z samych rzeczy, które inni wyrzucają, napawała Henriego i Kleista głębokim smutkiem. Henri jednak widział, że z każdym szyderstwem Conna Materazziego, z każdym upokarzającym szturchnięciem Cale staje się coraz bardziej zamknięty w sobie. A tamten nie przestawał wymierzać mu kolejnych prztyczków w uszy, to znów pociągając za nos jak nieznośnego malca.

Piątego dnia po południu Cale wyprawił się po łupy do tej części twierdzy, gdzie praktykantom wstęp był wzbroniony. Wzbroniony wstęp w Memphis oznaczał jednak zupełnie co innego niż w Sanktuarium. Tam za naruszenie zakazu dostawało się pięćdziesiąt batów pasem skórzany nabijanym metalowymi ćwiekami, od czego można się było wykrwawić na śmierć; tutaj za nieposłuszeństwo groziła co najwyżej lekko nieprzyjemna kara, a i od niej nietrudno się było wymigać, na przykład ze skruchą wyznając, że się zabłądziło.

Cale szedł najstarszą częścią wielkiej warowni, a zarazem najstarszym fragmentem Memphis. W innych rejonach miasta mury te zburzono dawno temu, a na ich miejsce wzniesiono eleganckie domy z wielkimi oknami, które Materazzi tak bardzo lubili. Ta stara część Memphis była mroczna, jedyne światło wpadało tu z korytarzy odchodzących na boki co trzydzieści kroków. Zaprojektowano ją do obrony, nie do beztrudnych spacerów.

Cale wchodził właśnie ostrożnie po kamiennych kręconych schodach nieosłoniętych żadną balustradą ani poręczą, która by chroniła przed upadkiem z wysokości dwudziestu łokci na

168

kamienną posadzkę, kiedy usłyszał, że ktoś zbiega z góry. Nie widział schodzącej osoby, widział jednak, że niesie lampę. Ukrył się w niewielkiej wnęcie z nadzieją, że nie zostanie zauważony. Pospieszne kroki zbliżały się coraz bardziej, aż wreszcie Cale zobaczył młodą dziewczynę. Jeszcze mocniej przywarł plecami do ściany i kobieta minęła go. Niestety, świeca niewiele oświetlała, a

stopnie były nierówne. Dziewczyna schodziła na zakręcie zbyt szybko i zaczepiła obcasem o wystającą kamienną krawędź. Zaczęła się okręcać w kółko i na ułamek sekundy zawisła nieruchomo nad przepaścią. Krzyknęła, lampa wypadła jej z dłoni, a ona runęłaby za nią, gdyby Cale w ostatniej chwili nie złapał jej za rękę i nie pociągnął w tył.

Dziewczyna krzyknęła drugi raz, tym razem przerażona jego niespodziewanym zjawieniem się znikąd.

— O Boże!

— Już dobrze — powiedział Cale. — Mało brakowało, abyś spadła.

— Och — jęknęła i popatrzyła w dół na stłuczoną lampę i rozlaną płonąca oliwę. — Przestraszyłeś mnie.

Cale wybuchnął śmiechem.

— Masz szczęście, że żyjesz i masz okazję jeszcze się bać.

— Nic by mi się nie stało.

— Owszem, stałoby się.

Jeszcze raz spojrzała w dół, a potem na Cale'a. Nie przypominał chłopców ani mężczyzn, jakich widywała na co dzień: zaledwie średniego wzrostu, z kruczoczarnymi włosami i dziwnym wyrazem ciemnych oczu, którego nie potrafiła określić. Nagle przejął ją strach.

— Muszę już iść — rzuciła pośpiesznie. — Dziękuję ci.

I puściła się biegiem w dół.

— Uważaj — powiedział za nią Cale, ale tak cicho, że nie mogła go usłyszeć.

169

Po chwili znikła.

Cale czuł się, jakby go raził piorun. Dziewczyna, którą właśnie minął, potrafiłaby zawrócić nawet w najstarszej i najmędrzej głowie, a jeśli chodzi o kobiety, to Cale'owi brakowało zarówno mądrości, jak i doświadczenia. Arbella Materazzi była córką doży Memphis, marszałka Materazziego, ale nikt, z wyjątkiem jej ojca, myśląc o niej, nie używał nazwiska. Wszyscy ją znali jaką Arbell Łabędzioszyją, najpiękniejszą kobietę w Memphis i prawdopodobnie na całym rządonym przez nie terytorium. Opisać jej urodę? Wyobraźcie sobie kobietę jak łabędź.

O ileż inaczej potoczyłaby się historia, gdyby Cale nie spotkał tego popołudnia Arbella Łabędzioszyjej we wnętrzu starych murów, lub gdyby na ciemnych, śliskich schodach zabrakło mu zręczności i dziewczyna złamałaby swój piękny kark, co wydarzyłoby się bez dwóch zdań, gdyby nie złapał jej za rękę.

Kilka godzin później zadurzony Cale oświadczył jednemu zdumionemu i jednemu rozdrażnionemu przyjacielowi, że zmienił zdanie w kwestii ucieczki z Memphis. Nie ujawnił, rzecz jasna, prawdziwego powodu tej decyzji. Powiedział, że przez całe życie znosił dużo gorsze rzeczy niż razy Salomona Salomona, a bzdurne wygłupy Conna Materazziego zamierza po prostu ignorować. Czemu

miałby się przejmować głupimi dowcipami zepsutego smarkacza, skoro tyle argumentów przemawia za tym, aby tu zostali? Mętny Henri i Kleist zdziwili się, lecz nie znaleźli powodu, aby podawać w wątpliwość jego intencje. Mimo to Mętny Henri nie dał się zwieść.

— Wierzysz mu? — spytał Kleista, kiedy nieco później zostali sami.

— A po co mam się tym przejmować? Mnie to odpowiada, wolę tu zostać. Nie podoba mi się tylko, że ciągle odgrywa Pana Boga Wszchemogącego.

170

Przez następne dni Mętny Henri z wielką troską obserwował dalszy ciąg szykan i ciosów, które znosił Cale. Conn Materazzi mógł sobie być zepsutym smarkaczem, ale mało kto dorównywał mu w sztukach walki. Tylko dużo starszym i doświadczonym wojownikom Materazzich udawało się go pokonać w realistycznych pokazach walk, które odbywały się w każdy piątek i trwały przez cały dzień. Z każdym tygodniem jednak porażki te, nawet z rąk najbardziej bezwzględnych i niebezpiecznych żołnierzy, stawały się coraz rzadsze. Conn zdobywał coraz większą sławę i to zasłużoną. Nikogo nie zdziwiło, że w ostatnim tygodniu oficjalnego szkolenia, otrzymał nagrodę bardzo rzadko przyznawaną mężczyznom wstępującym do armii Materazzich: Forzę albo Gdańską Kosę, znaną powszechnie jako Ostrze. Była to broń wykonana przed stu laty przez wielkiego miecznika owych czasów, Martina Bacona, wykuta ze stali o niespotykanej wytrzymałości i giętkości. Niestety, jej sekret Bacon zabrał ze sobą do grobu, kiedy zabił się z nieodwzajemnionej miłości do młodej arystokratki Materazzi. Ówczesny doża, Peter Materazzi, dla którego Bacon wykuł miecz, nie zdołał pogodzić się ze śmiercią miecznika i do końca życia nie chciał uwierzyć, że człowiek o takim geniuszu może popełnić samobójstwo z takiego powodu.

— Dla dziewczki?! — wykrzykiwał z niedowierzaniem. — Oddałbym mu własną żonę, gdyby mnie poprosił.

Zważywszy jednak na legendarną wręcz oziębłość kobiet tego rodu, można szczerze powątpiewać w skuteczność tego gestu.

W każdym razie otrzymanie Ostrza pod opiekę było symbolicznym zaszczytem i nikt przez ponad dwadzieścia lat przed Connem go nie dostał.

Uroczystość wręczenia nagrody oraz defilada promocyjna przerosła swą świetnością najśmielsze wyobrażenia: tłumy ludzi, przemowy, kapelusze wlatujące w powietrze, wiwaty, muzyka,

171

przepych i splendor. Mondowie ustawili się w szyku przed pięcioma tysiącami swych poprzedników, których nie należy mylić ze zwykłymi żołnierzami, była to bowiem doborowa, najlepiej wyszkolona i wyposażona zbrojna elita złożona wyłącznie z wysoko urodzonych kawalerów.

W samym środku stał Conn Materazzi wysoki, jasnowłosy, muskularny szesnastolatek, szczupły i urodziwy, obiekt podziwu, ulubieniec tłumów, duma rodu Materazzich. Jakże się pysznił, przyjmując wiwaty i oklaski tłumy, gdy wręczano mu Ostrze. Kiedy wznosił je wysoko nad głowę, rozległ się ryk, jakby nastąpił koniec świata.

Mętny Henri klaskał, aby nie zwracać na siebie uwagi. Kleist dał wyraz swojej niechęci, wiwatując

z przesadnym entuzjazmem i krzycząc na cały głos, jakby Conn był bez mała jego bratem bliźniakiem. Chociaż jednak upominał Cale'a szturchnięciami, a Mętny Henri błagalnym szeptem, chłopak patrzył na uroczystość beznamiętnie i niewzruszenie, co nie uszło uwagi jego mistrza pomimo uniesienia, jakie przeżywał, jakby dotknięty niebiańskim blaskiem.

Conn zawsze miał o sobie nad wyraz wysokie mniemanie, podsycane czołobitnym zachwytem licznych wielbicieli, teraz jednak jego wyobrażenie o własnej wspaniałości osiągnęło zawrotne szczyty. Jeszcze dwie godziny później, kiedy tłum zrzędł, a Conn powrócił w zacisze twierdzy, w głowie mu huczało jak w ulu. W końcu jednak zgiełk komplementów i gratulacji od znajomych, przyjaciół i całej śmietanki towarzyskiej Materazzich zaczął cichnąć i Conn powrócił do rzeczywistości na tyle, by przypomnieć sobie wyrachowaną obelgę, jaką było zachowanie Cale'a, który nie chciał okłaskiwać jego sukcesu. Nie mógł puścić płazem tej wyzywającej niesubordynacji, wysłał więc służącego, aby natychmiast sprowadził jego przybocznego.

172

wimk m

Nieprędko udało się posłańcowi odnaleźć Cale'a, do czego w niemałym stopniu przyczynił się Mętny Henri, na którego służący miał nieszczęście trafić w dormitorium praktykantów. Od dłuższego czasu Henri nie musiał się uciekać do swych zdolności do formułowania wymijających odpowiedzi, pod wpływem jednak tak bezpośredniego wypytywania, zbudził się w nim na nowo ten obronny instynkt.

— Cale? — zapytał, jakby nie był pewny, co to w ogóle może być za zjawisko.

— Nowy praktykant lorda Conna Materazziego.

— Jakiego lorda?

— Ma czarne włosy. Tego wzrostu. — Służący zauważył, że ma do czynienia z tępym jakimś osobnikiem, wyciągnął więc rękę i pokazał wysokość mniej więcej dwóch i pół łokci. — Taki żaloszny ponurak.

— A, masz na myśli Kleista. Jest na dole, w kuchni.

Może rzeczywiście szukam Kleista, pomyślał służący. Zdawało mu się, że Conn Materazzi powiedział „Cale”, ale może to było „Kleist”, a biorąc pod uwagę zły humor jego pana, nie uśmiechało mu się wracać, żeby się upewnić. Niestety, właśnie do dormitorium wszedł Cale, żeby się trochę przespać i plan Mętneho Henriego, aby wysłać służącego na poszukiwania mniej więcej w połowę drogi do Sanktuarium, spalił na panewce.

— To on — powiedział służący do Henriego.

— To nie jest Kleist — odparł Mętny Henri triumfalnym tonem — lecz Cale.

Kiedy Cale przyszedł do ogrodu letniego, tłum otaczający Conna rozszedł się do domów. Zjawił się natomiast ostatni, lecz dla Conna najważniejszy gość — Arbell Łabędzioszyja. Ponieważ wychowanie nauczyło ją traktować mężczyzn z pogardą, a co najwyżej protekcjonalnością, Arbell Łabędzioszyja

173

miała pewne trudności z okazaniem, że darzy Conna czymś więcej niż, w najlepszym wypadku, obojętnością. W rzeczywistości uroda i osiągnięcia młodzieńca działały na nią nie mniej niż na każdą inną kobietę, choćby najpiękniejszą i najbardziej ładną. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, zjawiałaby się w połowie uroczystości, obdarzyła anemicznym komplementem i ulotniła się czym prędzej. Nie było to jednak takie proste w wypadku Conna. Nawet najbardziej oziębła arystokratka z rodu Materazzich nie potrafiłaby pozostać zupełnie obojętna wobec tego młodego, boskiego wojownika, na ryk tłumu i potęgę podniosłej atmosfery uroczystości. Arbell Łabędzio-szyja była w rzeczywistości dużo mniej wyniosła, niż się to wydawało i ku własnemu zażenowaniu drżała na całym ciele, kiedy Conn wznosił Ostrze w kierunku tłumu, a ten zagrział z uwielbieniem. Zawiódł ją wrodzony talent do okazywania mężczyznom chłodnej obojętności i w efekcie swojej rozterki, podeszła do Conna dużo za późno i w dodatku oblała się rumieńcem (choć nie na tyle, by Conn to zauważył), gdy gratulowała mu wspaniałych osiągnięć.

Tylko dwie osoby na świecie Conn darzył szacunkiem: swego wuja, dożę, i jego córkę. Na Arbell patrzył z nabożnym podziwem, zarówno z powodu jej oszałamiającej urody, jak i pozornej pogardy, jaką mu okazywała. Nawet tego dnia, który przysporzył mu jeszcze więcej chwały niż dotąd, przybycie Arbell wprawiło go w takie zmieszanie, że nie zauważyłby jej zakłopotania, chyba że zarzuciłaby mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami. Przyjmował jej gratulacje tak skrzępowany, że ledwo słyszał słowa, które wychodziły z jej ust, a co dopiero drżący niepewnie głos. Właśnie kiedy ukłonili się sobie i Arbell Łabędzioszyja odwróciła się, aby odejść, zjawił się Cale.

W innych okolicznościach Arbell poświęciłaby zwykłemu praktykantowi nie więcej uwagi niż szarej ćmie, lecz w tej

174

sytuacji rzadkiego zakłopotania widok tego osobliwego chłopca, który kilka dni temu uratował ją przed upadkiem ze schodów, wprawił ją w jeszcze większą konsternację. Pod wpływem takiego napięcia jej twarz zamarała w wyrazie całkowitego osłupienia.

Tylko najwięksi i najbardziej doświadczeni kochankowie w historii, jak może legendarny Nathan Jog lub osławiony Nicholas Panick, umieliby dostrzec pod tą maską targaną uczuciami młodą niewiastę. Biedny Cale rzecz jasna nie posiadał takiej wiedzy, zobaczył więc jedynie to, czego się obawiał: zimną zniewagę. Uratował jej życie, zakochał się w niej na zabój, a ona go nawet nie rozpoznała. Odwróciła się tylko i ruszyła w kierunku bramy. Na terenie ogrodu zostało poza ich trójką tylko osiem osób: pięciu najbliższych przyjaciół Conna Materazziego i trzech znudzonych strażników w odświętnych zbrojach, dźwigających trzy razy więcej broni niż zabrałoby na jakąkolwiek bitwę. Jeszcze jedna osoba obserwowała całą scenę: Mętny Henri zaniepokojony o los przyjaciela wszedł na dach i zza komina przyglądał się rozgrywającym wypadkom.

Conn Materazzi odwrócił się do swego praktykanta, ale bez względu na to, co zamierzał zrobić, został uprzedzony przez jednego ze swych towarzyszy, któremu trunek uderzył do głowy i postanowił rozbawić towarzystwo, naśladując zwyczaj Conna traktowania swego ucznia jak przygłupa. Wyciągnął rękę i kilka razy klepnął Cale'a po twarzy. Pozostali poza Connem roześmiali się na tyle głośno, by Arbell odwróciwszy się, zobaczyła właśnie wymierzany trzeci policzek. Na tej twarzy odmalowało się oburzenie, lecz Cale ujrzał tam tylko jeszcze większą pogardę.

Można powiedzieć, że czwarty policzek odmienił bieg historii. Z pozoru niezdolny do większego wysiłku Cale złapał podchmielonego Monda lewą ręką za nadgarstek, prawą za

175

przedramię i wykręcił. Rozległ się głośny trzask, a następnie okropny krzyk bólu. Cały czas tymi samymi pozornie powolnymi ruchami Cale chwycił wrzeszczącego młodzika za ramiona i rzuciwszy nim w przestraszonego Conna, przewrócił go na ziemię. Potem zrobił krok w tył, zacisnął lewą dłoń na prawej pięści i łokciem grzmotnął najbliższego Materaziego w twarz. Chłopak stracił przytomność, zanim jeszcze dotknął ziemi. Pozostali dwaj ocknęli się z zaskoczenia, wyciągnęli ceremonialne sztylety i przyjęli pozycje do walki. Nie tylko wyglądali groźnie, ale byli naprawdę niebezpiecznymi przeciwnikami. Cale ruszył w ich stronę, schylił się, zgarnął z ziemi garść wapiennego piasku ze żwirem i cisnął nim w twarze młodych arystokratów. Obaj skręcili się z bólu, a w tym czasie Cale uderzył jednego w nerkę, drugiego w mostek. Podniósł sztylety i odwrócił się do Conna, który właśnie wygrzebał się spod krzyczącego przyjaciela. Cała walka trwała nie więcej niż cztery sekundy. Zapadła teraz długa cisza, kiedy Cale i Conn stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem. Na twarzy Conna Materaziego widać było powściąganą wściekłość, oblicze Cale'a nie wyrażało niczego.

Właśnie podbiegli trzej strażnicy z krużganków, gdzie w swych pełnych zbrojach szukali chłodu.

— Pozwólcie, panie, my się z nim rozprawimy — powiedział sierżant.

— Nie ważcie się ruszyć z miejsca — odparł spokojnie Conn. — Jeśli zrobicie w jego stronę chociaż krok, przysięgam, że do końca życia będziecie czyścić końskie łajno. Macie obowiązek mnie słuchać.

Była to prawda. Sierżant cofnął się posłusznie, ale dał znak drugiemu, aby pobiegł sprowadzić więcej strażników. Mam nadzieję, pomyślał sierżant, że chłopak skopie tyłek temu nadętemu kutasowi. Wiedział jednak, że to niemożliwe. Conn

176

Materazzi może i był kutasem, ale trzeba mu było oddać sprawiedliwość: równego mu wojownika nie widziano w cesarstwie od dawna, chociaż miał tylko szesnaście lat.

Conn dobył Ostrza. Poza uroczystymi ceremoniami, takimi jak dzisiejsza, bezcenny miecz leżał wystawiony na pokaz w wielkiej sali pałacowej. Z pewnością był zbyt wartościowy, aby go używać w walce, Conn jednak wiedział, że przekona każdego, iż nie miał innego wyjścia. I tak po raz pierwszy od czterdziestu lat Ostrze zostało dobyte z intencją zabicia człowieka.

— Przestańcie! — krzyknęła Arbell.

Conn nie zwrócił na nią uwagi. W takiej sprawie nawet ona nie miała nic do powiedzenia. Cale nie dał żadnego znaku, że w ogóle ją usłyszał. Mętny Henri na dachu wiedział, że nic nie może zrobić.

I zaczęli.

Conn wywijał Ostrzem z ogromną szybkością, nacierał na Cale'a, który cofając się powoli, blokował uderzenia ozdobnymi sztyletami, tak że wkrótce oba ostrza były wyszczerbione jak stara piła. Mond

poruszał się z gracją i oszałamiającą szybkością, bardziej niczym tancerz niżli fechtmistrz. Cale ledwo nadszedł blokować cięcia i sztychy wymierzone to w głowę, to w serce, to znów w nogi, wszędzie, gdzie jego przeciwnik dojrzał odsłonięte miejsce. A wszystko odbywało się w całkowitej ciszy, nie licząc dziwnej muzyki ścierającej się broni — prawie melodyjnych dźwięków Ostrza i głuchych ripost sztyletów.

W końcu Conn przyparł Cale'a do muru i chłopak nie miał się już gdzie wycofać. Widząc swojego przeciwnika w pułapce, Materazzi zrobił krok w tył, aby ubezpieczać obie strony, gdyby Cale próbował ucieczki.

— Walczysz, jak kłający pies — powiedział.

177

Na beznamietnej, obojętnej twarzy Cale'a nie odmalowało się żadne uczucie, zupełnie jakby nie usłyszał ani jednego słowa.

Conn kołysał się na boki, zrobił kilka eleganckich wypadów, które miały dać do zrozumienia wszystkim obserwującym, że przygotowuje się właśnie do ostatecznego ciosu. Piersz wezbrała mu upojeniem, a zarazem w głowie zrodziła się myśl, że oto od tej pory nigdy nie będzie już tym samym człowiekiem.

Do ogrodu przybiegło dwudziestu żołnierzy, wśród nich łucznicy. Sierżant kazał im się ustawić w półkolu kilkanaście kroków od walczących. Podobnie jak wszyscy obecni wiedział, jak to się skończy. Pomimo wyraźnego rozkazu Conna zdawał sobie sprawę, że gdyby młodemu Materazziemu coś się stało, mieliby kłopoty. Było mu naprawdę żal przypartego do muru chłopca, kiedy Conn wznosił miecz do śmiertelnego ciosu. Wzniósł i trzymał go w górze, cały czas wypatrując w oczach Cale'a oznak strachu. Lecz wyraz twarzy jego praktykanta nie uległ najmniejszej zmianie — pozostał tak samo pusty i nieobecny, jakby dusza opuściła już ciało.

No dalej, kończże, ścierwo, pomyślał sierżant.

Wtedy Conn uderzył. Nie sposób powiedzieć, jak szybko Ostrze śmignęło w powietrzu — błyskawica powoli rozdziera niebo w porównaniu z tym ruchem. Tym razem Cale nie zablokował ciosu, tylko ledwo zauważalnie usunął się w bok. Pchnięcie chybiło dosłownie o grubość komarzego skrzydła. Potem kolejny cios przeszedł bokiem. I przed następnym sztychem, szybkim jak atakujący wąż, Cale również zrobił unik.

A potem po raz pierwszy zaatakował. Conn odparował cios, ale z wielkim trudem. Wkrótce kolejne natarcia zmusiły go do wycofania się aż do miejsca, gdzie rozpoczęła się walka. Conn dyszał ciężko, a od wzbierającego w nim strachu jeszcze

178

■

raptowniej chwycił powietrze. Jego ciało, nieprzywykłe do grozy i lęku przed śmiercią zapomniało o umiejętnościach wypracowanych przez lata treningu, nerwy nie wytrzymały, serce w nim zamarło.

Nagle Cale się zatrzymał. Cofnął się poza zasięg miecza i zmierzył Conna wzrokiem od góry do dołu. Dwie sekundy później zdesperowany Conn natarł znowu, Ostrze z sykiem przecięło powietrze, lecz

Cale poruszył się, zanim jeszcze przeciwnik zadał cios. Zablokował miecz jednym sztyletem, a drugi zatopił głęboko w ramieniu Conna.

Z okrzykiem bólu wstrząśnięty Materazzi upuścił broń, a tymczasem Cale obrócił go i owinął mu przedramię wokół szyi, a sztylet wymierzył w brzuch.

— Ani drgnij — szepnął Connowi do ucha, a potem głośno powiedział do żołnierzy, którzy ruszyli z odsieczą. — Wy też, bo rozsiekam tę mendę na kawałki.

Na poparcie swoich słów, dźgnął Conna w żołądek. Sierżant przerażony dał znak swoim ludziom, aby się zatrzymali.

Przez cały ten czas Cale ścisnął Conna za gardło tak mocno, że tamten nie mógł oddychać.

— Zanim odejdiesz, szefie — szepnął mu znowu do ucha — zapamiętaj sobie to, co ci powiem: walka nie jest sztuką.

Po tych słowach Conn osunął się nieprzytomny i zwiśł na rękę Cale'a, który cały czas trzymał go za gardło, chociaż zwolnił nieco uścisk.

— On żyje, sierżancie, ale nie pożyje długo, jeśli będziecie się próbowali popisywać odwagą. Zamierzam wziąć do ręki miecz, więc bądźcie grzeczni.

Podtrzymując Conna, Cale powoli schylił się po Ostrze. Kiedy miał je w dłoni, wyprostował się, przez cały czas nie spuszczać oczu z żołnierzy. Dochodziło ich coraz więcej, aż w końcu zebrała się prawie setka.

179

— Dokąd zamierzasz iść, synu? — spytał sierżant.

— Wiesz — powiedział Cale — jakoś jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

W tym momencie Mętny Henri krzyknął z dachu:

— Obiecujcie, że nie zrobicie mu krzywdy, to go puści.

Przestraszeni żołnierze zareagowali na tę pierwszą próbę

negocjacji, wypuszczając w jego stronę trzy strzały. Mętny Henri schylił się i zniknął z oczu.

— Nie strzelać! — zawołał sierżant. — Następny, który choćby drgnie bez rozkazu, dostanie pięćdziesiątkę i przez rok będzie czyścił sracze!

Potem odwrócił się do Cale'a.

— Co ty na to, synu? Puść go, to nie stanie ci się krzywda.

— A potem?

— Tego nie wiem. Zrobię co w mojej mocy. Powiem im, że ci chłopcy się nad tobą znęcali, a czy posłuchają... W gruncie rzeczy jaki masz wybór?

— Cale! Zrób, co on mówi! — krzyknął Mętny Henri z dachu, ostrożnie wystawiając tym razem tylko

głowę.

Cale czekał chwilę, chociaż było oczywiste, co powinien uczynić. Odjął Ostrze od szyi Conna i rozejrzał się, gdzie mógłby je położyć. Dwa kroki za nim na wysokości kolan stykały się w fundamentach dwa wielkie bloki kamienne. Cofnął się ostrożnie i wsunął miecz w szczelinę między nimi na głębokość dziesięciu cali.

— Co ty kombinujesz, synu? — spytał sierżant.

Cale położył nieprzytomnego Conna na ziemi, odwrócił się i nacisnął miecz z całej siły. Ostrze, być może najwspanialsza biała broń, jaka kiedykolwiek została wykuta, wygięło się i złamało z odgłosem, jakby uderzono w dzwon.

Żołnierze jak jeden mąż wydali stłumiony okrzyk grozy. Cale popatrzył na sierżanta i spokojnie upuścił na ziemię

180

— Dokąd zamierzasz iść, synu? — spytał sierżant.

— Wiesz — powiedział Cale — jakoś jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

W tym momencie Mętny Henri krzyknął z dachu:

— Obiecujcie, że nie zrobicie mu krzywdy, to go puści.

Przestraszeni żołnierze zareagowali na tę pierwszą próbę

negocjacji, wypuszczając w jego stronę trzy strzały. Mętny Henri schylił się i zniknął z oczu.

— Nie strzelać! — zawołał sierżant. — Następny, który choćby drgnie bez rozkazu, dostanie pięćdziesiątkę i przez rok będzie czyścił sracze!

Potem odwrócił się do Cale'a.

— Co ty na to, synu? Puść go, to nie stanie ci się krzywda.

— A potem?

— Tego nie wiem. Zrobię co w mojej mocy. Powiem im, że ci chłopcy się nad tobą znęcali, a czy posłuchają... W gruncie rzeczy jaki masz wybór?

— Cale! Zrób, co on mówi! — krzyknął Mętny Henri z dachu, ostrożnie wystawiając tym razem tylko głowę.

Cale czekał chwilę, chociaż było oczywiste, co powinien uczynić. Odjął Ostrze od szyi Conna i rozejrzał się, gdzie mógłby je położyć. Dwa kroki za nim na wysokości kolan stykały się w fundamentach dwa wielkie bloki kamienne. Cofnął się ostrożnie i wsunął miecz w szczelinę między nimi na głębokość dziesięciu cali.

— Co ty kombinujesz, synu? — spytał sierżant.

Cale położył nieprzytomnego Conna na ziemi, odwrócił się i nacisnął miecz z całej siły. Ostrze, być może najwspanialsza biała broń, jaka kiedykolwiek została wykuta, wygięło się i złamało z

odgłosem, jakby uderzono w dzwon.

Żołnierze jak jeden mąż wydali stłumiony okrzyk grozy. Cale popatrzył na sierżanta i spokojnie upuścił na ziemię

180

C'

* _

złamaną połówkę Ostrza, którą trzymał w ręku. Sierżant wziął od jednego z żołnierzy łańcuch i kłódkę i podszedł do chłopca.

— Odwróć się.

Cale zrobił, co mu kazano. Strażnik skuł mu dłonie za plecami, po czym nachylił się i szepnął mu łagodnie w ucho:

— To była ostatnia głupia rzecz, jaką zrobiłeś w życiu, synu.

Tymczasem nieprzytomnego Conna badał lekarz wojskowy

(w armii Materazzich przypadał jeden na sześćdziesięciu żołnierzy). Skinął sierżantowi głową i poszedł obejrzeć pozostałych. W tym momencie w krąg żołnierzy otaczających Cale'a i rannego wpadła Arbell. Uklękła obok Conna i złapała go za rękę, aby sprawdzić tętno. Uspokojona wstała i popatrzyła na Cale'a, trzymanego mocno przez dwóch żołnierzy. Chłopak odwzajemnił jej spojrzenie ze spokojem i kamienną twarzą.

— Nigdy więcej mnie nie zapomnisz — powiedział.

Żadne z nich nie zdążyło wyrzec nic więcej, bo żołnierze

odciągnęli go na bok. Cale'owi dopisało jednak szczęście. Mętny Henri nie był na dachu sam. Równie ciekawy, chociaż mniej zaniepokojony o los przyjaciela, Kleist przyszedł za nim i gdy tylko zaczęła się walka, Henri wysłał go, żeby sprowadził Albina.

Na szczęście Kleist znalazł szefa tajnych służb w pierwszym miejscu, jakie mu przyszło do głowy. Gdy tylko kapitan usłyszał, co się stało, wybiegł z gabinetu, wołając po drodze swoich ludzi, aby mu towarzyszyli. Przybył na miejsce dokładnie w chwili, gdy czterech żołnierzy wlokło Cale'a w stronę wyjścia z ogrodu i więzienia miejskiego, w którym nielicznym udaje się przeżyć noc.

— My się nim zajmiemy — oznajmił Albin.

Za nim stało dziesięciu ludzi w czarnych kamizelkach i tego samego koloru melonikach.

181

— Sierżant kazał nam go zaprowadzić do więzienia — powiedział najstarszy z żołnierzy.

— Jestem kapitan Albin, szef spraw wewnętrznych, odpowiedzialny za bezpieczeństwo cytadeli. Oddajcie go nam, bo pożałujecie.

Żołnierze przestraszyli się władczej postawy Albina i groźnego wyglądu jego „buldogów”, jak ich bez szczypty czułości nazywano, a nade wszystko magicznego w ich ustach słowa „cytadela”, gdzie rzadko ich wpuszczano i na ogół na sam ten dźwięk czuli się nieswojo. Mimo to starszy żołnierz postanowił spróbować jeszcze raz.

— Będę musiał zapytać sierżanta straży.

— A pytajże sobie, kogo zechcesz, ale więzień jest nasz i idzie z nami.

To rzekłszy, Albin dał znak swoim ludziom i żołnierze wobec przeważającej siły przeciwnika pozwolili sobie odebrać Cale'a. Starszy żołnierz kiwnął głową jednemu ze swoich towarzyszy, aby popędził do ogrodu i sprowadził pomoc, ale w tym czasie buldogi zabrały już więźnia i ruszyły z nim w kierunku labiryntu uliczek otaczających cytadelę. Kiedy odsiecz przybyła, Albin ze swoimi ludźmi zniknęli na dobre.

W ciągu dziesięciu minut Cale znalazł się w jednej z prywatnych cel lorda Viponda, gdzie strażnik natychmiast przystąpił do otwierania żelaznych kajdan na jego rękach. Dwadzieścia minut później mężczyzna, wychodząc, zamknął za sobą drzwi, a chłopiec uwolniony z pęt, został na środku słabo oświetlonej izby.

Od sąsiednich cel odgradzały go częściowo kraty, a częściowo mur. Cale usiadł i zaczął się zastanawiać nad tym, co uczynił. Nie były to wesołe myśli, lecz po kilku minutach przerwał je głos dochodzący z prawej celi.

— Masz może tytoń?

15

— Ilekroć się spotykamy — powiedział IdrysPukke — następuje to w pozałowania godnych okolicznościach. Chyba obaj powinniśmy zrewidować swoje obyczaje.

— Mów za siebie, dziadku.

Cale usiadł na drewnianym łóżku i udawał, że nie zwraca uwagi na współwięźnia.

— Ciekawy zbieg okoliczności — odezwał się znowu IdrysPukke.

— Można tak powiedzieć.

— Właśnie mówię. — Przerwał. — Co cię tu sprowadza?

Cale zastanowił się uważnie, zanim odpowiedział.

— Wdałem się w bójkę.

— Żeby trafić do prywatnego więzienia Viponda, nie wystarczy wdać się w bójkę. Z kim się biłeś?

Cale znowu zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, ale jakie to właściwie miało znaczenie?

— Z Connem Materazzim.

IdrysPukke wybuchnął śmiechem, ale w jego głosie słychać było wyraźnie nutę zadowolenia i podziwu i choć Cale usiłował się oprzeć uczuciu satysfakcji, przychodziło mu to z wielkim trudem.

— Ilekroć się spotykamy — powiedział IdrysPukke — następuje to w pożałowania godnych okolicznościach. Chyba obaj powinniśmy zrewidować swoje obyczaje.

— Mów za siebie, dziadku.

Cale usiadł na drewnianym łóżku i udawał, że nie zwraca uwagi na współwięźnia.

— Ciekawy zbieg okoliczności — odezwał się znowu IdrysPukke.

— Można tak powiedzieć.

— Właśnie mówię. — Przerwał. — Co cię tu sprowadza?

Cale zastanowił się uważnie, zanim odpowiedział.

— Wdałem się w bójkę.

— Żeby trafić do prywatnego więzienia Viponda, nie wystarczy wdać się w bójkę. Z kim się biłeś?

Cale znowu zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, ale jakie to właściwie miało znaczenie?

— Z Connem Materazzim.

IdrysPukke wybuchnął śmiechem, ale w jego głosie słychać było wyraźnie nutę zadowolenia i podziwu i choć Cale usiłował się oprzeć uczuciu satysfakcji, przychodziło mu to z wielkim trudem.

— Ilekroć się spotykamy — powiedział IdrysPukke — następuje to w pożałowania godnych okolicznościach. Chyba obaj powinniśmy zrewidować swoje obyczaje.

— Mów za siebie, dziadku.

Cale usiadł na drewnianym łóżku i udawał, że nie zwraca uwagi na współwięźnia.

— Ciekawy zbieg okoliczności — odezwał się znowu IdrysPukke.

— Można tak powiedzieć.

— Właśnie mówię. — Przerwał. — Co cię tu sprowadza?

Cale zastanowił się uważnie, zanim odpowiedział.

— Wdałem się w bójkę.

— Żeby trafić do prywatnego więzienia Viponda, nie wystarczy wdać się w bójkę. Z kim się biłeś?

Cale znowu zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, ale jakie to właściwie miało znaczenie?

— Z Connem Materazzim.

IdrysPukke wybuchnął śmiechem, ale w jego głosie słycać było wyraźnie nutę zadowolenia i podziwu i choć Cale usiłował się oprzeć uczuciu satysfakcji, przychodziło mu to z wielkim trudem.

183

— Wielkie nieba, sam Złotojajcy. Sądząc z tego co o nim słycałem, masz szczęście, że żyjesz.

Cale powinien sobie zdać sprawę, że jest to prowokacja, pomimo jednak wszystkich swoich niezwykłych przymiotów, był tylko młodym chłopcem.

— To on ma szczęście. Właśnie powinien odzyskiwać przytomność i będzie go to kosztowało porządny ból głowy.

— Hm, hm, hm. Umiesz sprawiać niespodzianki, co? — Przez chwilę nic nie mówił. — To jednak nie wyjaśnia, czemu tu jesteś. Co ma do tego Vipond?

— Może to przez miecz.

— Jaki miecz?

— Conna Materazziego.

— Co ma do rzeczy jego miecz?

— Właściwie to nie była jego broń.

— Co to znaczy?

— To miecz marszałka Materazziego, ten który nazywają Ostrzem.

Zapadła cisza.

— Kiedy położyłem Conna, wbiłem go między kamienie i złamałem.

Milczenie IdrysPukkego było znaczące.

— To szczególnie bezrozumny akt wandalizmu, jeśli wolno mi zauważyć. Ten miecz był dziełem sztuki.

— Nie miałem czasu go podziwiać, kiedy Conn próbował mnie nim rozplatać na pół.

— Ale mówiłeś, że walka się już skończyła.

W głębi duszy Cale pożałował swego impulsywnego postępcu w tym samym momencie, kiedy złamał miecz.

— Chcesz mojej rady?

— Nie.

— Dam ci ją mimo to. Jeśli zamierzasz kogoś zabić, to go

184

zabij. Jeśli chcesz mu darować życie, daruj, ale i w jednym i w drugim wypadku nie rób wokół tego

szumu.

Cale odwrócił się do niego tyłem i położył się na pryczy.

— Kiedy będziesz spał, niech ci się przyśni to pytanie: czemu tu jesteś? Za wszystko, co zrobiłeś, zwłaszcza za złamanie miecza, powinni cię oddać w ręce doży. Żadna z tych rzeczy nie wyjaśnia, czemu cię sprowadzili do kanclerza.

Pół godziny później, Cale'a, który nie zasnął ani na chwilę, poderwał odgłos otwieranych drzwi celi. Kiedy się podniósł, zobaczył wchodzących Albina i Viponda. Kanclerz patrzył na niego złowrogo.

— Dobry wieczór, lordzie Vipondzie — zawołał wesoło IdrysPukke.

— Zamknij się, IdrysPukke — odpowiedział Vipond, nie spuszczając oczu z chłopca. — Opowiedz mi, co się dokładnie zdarzyło. I na Boga, chcę znać całą prawdę, inaczej jeszcze w tej samej minucie oddam cię w ręce doży. A kiedy skończysz, wyznasz mi, jak na spowiedzi, kim jesteś, i jak to możliwe, że tak łatwo pokonałeś Conna Materazziego i jego przyjaciół. Powtarzam jeszcze raz i mówię poważnie: chcę usłyszeć całą prawdę, inaczej umyvam ręce w twojej sprawie szybciej, niż się gotuje szparagi.

Naturalnie Cale nie miał pojęcia, co to są szparagi. Jedyne jego problem polegał na tym, ile musi powiedzieć Vipondowi, aby go przekonać, że jest z nim całkowicie szczery.

— Straciłem zimną krew. Ludziom się to ciągle zdarza, czy nie tak?

— Czemu złamałeś miecz?

Cale się zmieszał.

— Głupio zrobiłem, wiem. To się stało w gorączce walki. Przepraszę dożę.

— Gdzie się nauczyłeś tak dobrze walczyć? — spytał Yipond.

185

— W Sanktuarium. Robiłem to przez całe życie, dwanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu.

— Chcesz mi powiedzieć, że Henri i Kleist potrafią to samo co ty?

To było kłopotliwe pytanie.

— Nie. To znaczy, ich również szkolono do walki, ale Kleist jest świs... to znaczy jest wyspecjalizowany.

— W czym?

— W łukach i włóczniach.

— A Henri?

— Zaopatrzenie, sporządzanie map, szpiegostwo.

Była to prawda, ale niecała.

— Więc żaden z nich nie mógłby zrobić tego, co ty dzisiaj?

— Już mówiłem, że nie.

— Czy w Sanktuarium są inni o takich samych umiejętnościach jak ty?

— Nie.

— Wobec tego co cię czyni tak wyjątkowym? — spytał Vipond.

Cale milczał, aby jego rozmówcy odnieśli wrażenie, że odpowiada niechętnie.

— Już kiedy miałem dziewięć lat, umiałem dobrze walczyć, ale to było zupełnie co innego niż teraz.

— Więc co się stało?

— Walczyłem kiedyś na treningu z dużo starszym chłopcem. Wszystkie chwytły były dozwolone, mieliśmy prawdziwą broń, tylko sztychy zostały stępione. Wygrałem i położyłem go na ziemię, ale byłem zbyt pewny siebie i udało mu się mnie zrzucić. Uderzył mnie kamieniem w głowę i to załatwiło sprawę. Odkupiciele odciągnęli go ode mnie siłą, gdyby nie to, wycisnęłyby mi mózg z głowy. Ocknąłem się kilka tygodni później, a dwa tygodnie potem byłem zdrowy, tylko w czaszce pozostała mała szczerba.

186

Podniósł rękę i pokazał palcem tył głowy po lewej stronie. Potem znowu urwał, jakby nie chciał mówić dalej.

— Ale nigdy już nie byłeś taki jak dawniej?

— Tak. Z początku nie potrafiłem walczyć tak dobrze jak przedtem, miałem złe wyczucie czasu. Potem jednak oswoiłem się z tym czymś, co się stało w mojej głowie.

— To znaczy z czym? — spytał Albin.

— Zawsze, kiedy człowiek zadaje cios, zdecydował już, gdzie uderzy. I zawsze w jakiś sposób się zdradza: ruchem oczu, skrętem ciała, pochyleniem, które ma uchronić przed utratą równowagi w czasie ataku. Wszystkie te znaki mówią przeciwnikowi, gdzie zamierza uderzyć. Jeśli odczyta je błędnie, cios dosięga celu, jeśli właściwie, blokuje go lub unika.

— O tym wie każdy wojownik i każdy gracz — zauważył Albin. — Dobrzy wojownicy i dobrzy gracze potrafią maskować uderzenia i ciosy.

— Ale nie przede mną, choćby nie wiem, jak się starali. Zawsze potrafię odczytać, jaki ruch zamierza wykonać mój przeciwnik.

— Możesz nam to zaprezentować? — spytał Vipond. — Tak, żeby nikomu nie zrobić krzywdy oczywiście.

— Niech kapitan Albin schowa obie dłonie za plecy. Albinowi najwyraźniej nie bardzo spodobał się ten pomysł,

co nie uszło uwagi milczącego dotąd IdrysPukkego.

— Na twoim miejscu bym mu nie ufał, kochanieńki.

— Stul gębę, IdrysPukke — warknął kapitan. Przyjrzał się uważnie Cale'owi, po czym powoli założył

obie ręce za plecy.

— Musi pan tylko błyskawicznie zdecydować, którą rękę wyciągnie w moją stronę. Może pan zrobić, co chce, aby mnie zmylić: markować ruch, poruszać ciałem, abym wybrał niewłaściwą stronę. Proszę to zrobić jak najszyb...

187

T

Zanim Cale dokończył zdanie, dłoń Albina śmignęła w jego kierunku, lecz chłopak chwycił ją tak łagodnym ruchem, jakby to była piłeczka rzucona przez niemrawego trzylatka. Sześć kolejnych prób pomimo najwyższych starań Albina przyniosło ten sam rezultat.

— Teraz moja kolej — powiedział Cale, kiedy Albin rozdrażniony, lecz pełen podziwu, zrezygnował.

Cale schował ręce za plecy i zaczęli tę samą procedurę, tylko odwrotnie. Cale uderzył sześciokrotnie i za każdym razem Albin dokonał błędnego wyboru.

— Umiem przewidzieć, co pan robi, gdy tylko zacznie pan poruszać ręką. To tylko ułamek sekundy szybciej niż przed moim wypadkiem, ale zawsze wystarcza. Za to nikt nie potrafi przewidzieć mojego ruchu, choćby był najszybszy i najbardziej doświadczony.

— I na tym to wszystko polega? — zapytał Albin. — Na walnięciu w głowę?

— Nie — odparł Cale rozdrażniony, choć nie bardzo wiedział dlaczego. — Przez całe życie szkolono mnie w tym jednym celu. Pokonałbym Conna Materaziego tak czy inaczej, chociaż jest bardzo dobry, tylko nie poszłoby mi tak łatwo, i nie czterech pozostałych jednocześnie. Więc odpowiedź brzmi: nie, panie kapitanie, nie na tym to wszystko polega.

— Jak zareagowali odkupiciele, kiedy zrozumieli, co się stało?

Cale wydał pomruk, który był śmiechem tylko bez śladu

wesołości.

— Nie odkupiciele, tylko jeden odkupiciel: Bosco, Lord Wojownik, który zajmuje się treningami walki.

— Coś na wzór naszych sztuk walki?

Cale roześmiał się tym razem prawdziwie rozbawiony.

— W tym, co robię, nie ma żadnej sztuki, proszę zapytać o to Conna Materaziego i jego kumpli.

188

Vipond zignorował tę drwinę.

— Co zrobił ten Bosco, kiedy się dowiedział, jaki efekt wywarł na tobie uraz głowy?

— Sprawdział mnie całymi miesiącami. Stawiał mnie do walki przeciwko innym, dużo starszym i silniejszym chłopcom. Sprowadził nawet kilku weteranów, specjalistów od walki wręcz z wojen na wschodnich rubieżach.

Przerwał opowieść.

— I co się stało?

— Przez cztery dni z rzędu kazał mi z nimi walczyć. „Na śmierć i życie”, tylko tyle nam powiedział. W końcu po czterech dniach przerwał walki.

— Dlaczego?

— Zobaczył dosyć, aby zyskać pewność co do mnie. Piąty raz byłby niepotrzebnym ryzykiem.

— Uśmiechnął się ponuro. — W walce nigdy nic nie wiadomo, zawsze istnieje groźba, że przypadkowy cios dojdzie celu.

— I co potem?

— Potem próbował mnie skopiować.

— Co zrobić?

— Całymi dniami mierzył moją bliznę i dopasowywał ją do czaszek, które wyciągał z cmentarza. Zrobił gliniany model, a potem przez sześć miesięcy usiłował powtórzyć wypadek.

— Nie rozumiem, w jaki sposób?

— Wziął kilkunastu akolitów w tym samym wieku i tej samej postury co ja, związał ich i walił dłutem, które specjalnie zrobił w takim samym kształcie, jak moja blizna. Przykładał je do głów w tym samym miejscu, gdzie ja dostałem cios kamieniem i uderzał młotkiem. Najpierw mocno, potem lżej i jeszcze lżej.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— I co się stało? — spytał cicho Yipond.

189

— Połowa szybko umierała, a ci, którzy przeżyli... nie byli już potem sobą. Po jakimś czasie słuch o nich ginął.

— Przeniesiono ich gdzie indziej?

— Można to tak ująć.

— I co dalej?

— Bosco osobiście zajął się moim szkoleniem. Nigdy przedtem tego nie robił. Czasami trzymał mnie na nogach po dziesięć godzin dziennie, szukał słabych punktów, łoł mi skórę, kiedy popełniałem błąd, a potem uczył mnie, jak go więcej nie popełniać. Potem zniknął na pół roku. Wrócił z siedmioma odkupicielami, którzy, jak powiedział, byli najlepsi w swoim fachu.

— A co robili?

— Zabijali ludzi. W zbroi, bez zbroi, z mieczami, kijami czy gołymi rękami. Specjalizowali się w organizowaniu masowych zabójstw...

Urwał.

— Więźniów?

— Nie tylko więźniów, wszystkich. Dwaj byli jakimiś generałami, jeden strategiem, od bitew, odwrotów, dużych kampanii. Inny zajmował się grupami bandyckimi walczącymi na terytorium wroga, morderstwami, zastraszaniem miejscowej ludności, aby pomagała nam, a nie naszym przeciwnikom.

— I po co to wszystko?

— Nigdy nie byłem na tyle głupi, żeby o to pytać.

— Czy to ma jakiś związek z wojnami odkupicieli na wschodzie?

— Mówiłem, że nie zadawałem pytań.

— Ale musiałeś wysnuć jakieś wnioski.

— Wnioski? Tak. Że ma to jakiś związek z wojną na wschodzie.

Przez długą chwilę Yipond patrzył na chłopaka surowo. Cale

190

odwzajemnił jego spojrzenie z wyzywającym spokojem. Nagle kanclerz podjął decyzję. Odwrócił się do Albina.

— Sprowadźcie pozostałych dwóch do mojego domu. Jak najszybciej.

Albin skinął głową na strażnika i po chwili wszyscy wyszli.

Cale usiadł na łóżku, a IdrysPukke podszedł do krat.

— Miałeś ciekawe życie — powiedział. — Powinieneś napisać książkę.

16

Po skończonej rozmowie z Mętym Henrim i Kleistem lord Vipond udał się do pałacu doży Memphis, marszałka Materazziego.

Doża miał wielu doradców, ponieważ należał do ludzi, którzy lubią zasięgać rad i każdą sprawę rozważać długo i głęboko. Co prawda rzadko z tych rad korzystał, ale to przypadłość, która często dotyka urodzonych przywódców. Jednym z rzadkich wyjątków od tej reguły, człowiekiem, którego marszałek chętnie słuchał, był lord Vipond, człowiek o ogromnych wpływach, głównie za sprawą sieci szpiegów i informatorów, oraz darze, któremu niezwykle trudno było się oprzeć, tym mianowicie, że zwykle miał rację. Jak to ujmował popularny wierszyk:

Kanclerz Vipond czasem szyje, czasem pruje, Ale czego nie wie, wiedzieć się nie kalkuluje.

Nie była to wielka poezja, ale za to bardzo prawdziwa. Marszałek Materazzi panował nad największym imperium, jakie znał świat. Aby utrzymać się przez dwadzieścia lat u władzy, potrzebował zdolności militarnych, politycznych, a także nie-

192

małej inteligencji. Chociaż Vipond stał u jego boku jako doradca przez prawie cały ten czas, doża nigdy nie potrafił zrozumieć, jak mu się udało urosnąć do potęgi dorównującej potędze doży.

Pewnego dnia, mniej więcej w trzecim roku swego panowania uprzytomnił sobie ze zgrozą, że właściwie nie umie się bez niego obyć. Z początku nabrał do niego wrogości; taka sytuacja była niedopuszczalna, narażała go na skrytobójstwa lub co gorsza groziła, że stanie się marionetką. Vipond jednak postawił sprawę jasno: pozostanie zawsze wiernym i lojalnym sługą marszałka, o ile ten nie będzie się wtrącał w jego kanclerskie zadania i przestanie mu przysparzać utrapień. Od tamtej pory ich współpraca zaczęła się układać może nie całkiem gładko, ale jak to mówią chłopcy z okolicznych wiosek, bardziej gracko.

Przyprowadzony przed oblicze Materazziego Vipond skinął głową i został zaproszony, by usiąść.

— Jak się czujesz, Vipond?

— Bardzo dobrze, panie. A ty?

— Och, w porządku.

Zapadła niezręczna cisza, zwłaszcza dla marszałka, ponieważ kanclerz po prostu usiadł i uśmiechał się dobrodusznie.

— Spotkałeś się dzisiaj, jak mniemam, z ambasadorami Norwegów.

— W rzeczy samej.

Jedna z nacji zamieszkujących pogranicze, którą Materazzi podbił ponad piętnaście lat temu, z wielkim entuzjazmem przyjęła wszystkie błogosławieństwa jego panowania, jak drogi, pałace z centralnym ogrzewaniem i luksusowe towary, ale nie wyrzekła się krewkiej natury. Pięć lat temu marszałek zmęczony wojnami i horrendalnymi kosztami utrzymania ogromnego imperium, postanowił, że nie będzie go już powiększał. Norwegowie, choć zawsze wzruszająco lojalni wobec władcy, gdy tylko mogli, wywoływali niesnaski i wszelkimi sposobami

193

próbowali rozszerzyć swoje terytorium w kierunku północnym, pomimo licznych i stanowczych zakazów. Nieustannie prowokowali sąsiadów i pod byle pretekstem, twierdząc, że zostali zaatakowani i musieli się bronić, najeżdżali ziemie rzekomych agresorów. Vipond doskonale wiedział, że wszystkie te napaści były w istocie sprawką norweskich żołnierzy przebranych za wojowników z krajów ościennych, co stwarzało im okazję do bezkarnego plądrowania, ich ulubionego zajęcia.

— Co mieli do powiedzenia?

— Och, jak zwykle: że padli ofiarą napaści, że kochają pokój, że bronili siebie oraz imperium,

którego są wiernymi poddanymi.

— I co im odpowiedziałeś?

— Że nie urodziłem się wczoraj i że jeśli nie wycofają swoich wojsk do koszar, to będziemy zmuszeni rozważyć przyznanie im niepodległości.

— Jak to przyjęli?

— Cała szóstka pobladła z przerażenia. Przyrzekli, że wycofają wojska w ciągu tygodnia.

Materazzi popatrzył uważnie na Viponda.

— Może naprawdę powinniśmy ich uwolnić, kilka innych nacji również. Utrzymywanie rządów i porządku na podbitych terytoriach kosztuje fortunę, więcej niż ściągamy z podatków, prawda?

— Prawie. Ale wtedy trzeba by zredukować naszą armię i borykać się z watahami niezadowolonych żołnierzy włóczących się po kraju i szukających zwady. Albo im płacić.

— Gdzie się nie obrócić, to i tak... — mruknął Materazzi.

— Prawda. Gdybyś jednak życzył sobie, abym przeprowadził gruntowny wywiad...

— Czemu zabrałeś chłopca, który złamał mój miecz?

Ta nagła zmiana tematu była starą taktyką marszałka, obliczoną na zabicie rozmówcy z tropu, jeśli go zirytował.

194

— Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo w mieście.

— Jesteś odpowiedzialny za zapobieganie wichrzycielstwu i zamieszkom, nie jesteś policjantem. To nie była twoja sprawa. Smarkacz złamał mój bezcenny miecz i poważnie zranił mego bratanka, jak również synów czterech członków mojego dworu. Pragną jego krwi i ja także.

Vipond popatrzył na dożę w zadumie.

— Ostrze można naprawić.

— Nie masz pojęcia o tych sprawach, nie udawaj.

— W istocie, nie znam się na tym rzemiośle, ale mam człowieka, który się zna. Prefekt Walter Gurney wrócił właśnie z ambasady w Riben.

— Czemu się u mnie nie zameldował?

— Jest chory, obawiam się, że nie przeżyje roku.

— Co to ma wspólnego z moim mieczem?

— W raporcie Gurneya znajduje się obszerny fragment o niezrównanej sztuce kowalstwa kwitnącej w Riben. Mówi, że nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział. Rozmawiałem z nim w przelocie, powiedział, że jeśli Ostrze można naprawić, to miecznicy z Riben na pewno potrafiliby to zrobić.

— Przerwał. — Naturalnie poręczyłbym za jego bezpieczeństwo oraz pokrył wszelkie koszty.

— Dlaczego? — spytał Materazzi. — Czemu tak ci zależy na tym chłopaku, że gotów jesteś zadać sobie tyle trudu i jeszcze ponieść wydatki?

— W jak najbardziej słusznym gniewie na stratę drogocennej własności, a także uszczerbek na zdrowiu bratanka, przeoczyłeś, panie, to, że ów czternastoletni chłopiec w biały dzień pokonał pięciu najbardziej obiecujących żołnierzy Materazzich, w tym jednego, którego obwołano największym wojownikiem swego pokolenia. Czy to cię nie zaniepokoiło?

— Kolejny powód, aby się go pozbyć.

195

— Nie interesuje cię, panie, w jaki sposób zdobył te zdumiewające umiejętności?

— No więc w jaki sposób?

— Tego młodego człowieka o imieniu Cale szkolili odkupiciele w Sanktuarium.

— Odkupiciele nigdy nie sprawiali nam kłopotów.

— Jak dotąd nie, jednakże z tego, co usłyszałem od tego chłopca, wynika, że od siedmiu lat w Sanktuarium nastąpiły znaczące zmiany. Szkołą więcej żołnierzy niż dawniej, a metody, które stosują przekraczają wszelkie granice okrucieństwa.

— Boisz się, że nas zaatakują? Byliby doprawdy skończonymi głupcami.

— Po pierwsze, moim obowiązkiem jest obawiać się takich rzeczy. Po drugie, ilu królów i cesarzy myślało tak samo o tobie trzydzieści lat temu?

Materazzi westchnął ze zniecierpliwieniem. Poczł się nieswojo na myśl o krwawym terrorze z czasów, gdy budował swoje imperium. W rzeczywistości przez dziesięć lat pokoju stracił apetyt na toczenie wojen. Bezwzględny żołnierz, którego niegdyś kojarzono jedynie z chciwością i podbojem, w średnim wieku zapragnął spokojnego życia, nie chciał już przez tydzień trząść się z zimna, przez następny umierać z pragnienia i bać się, jak to kiedyś wyznał Vipondowi po pijanemu, że jego wnętrzności zawisną na tasaku jakiegoś parchatego wieśniaka, któremu w żywiole bitwy uda się przypadkowy cios. Nigdy się przed nikim do tego nie przyznał, ale prawdziwego wstrętu do wojny nabral pewnej zimy, kiedy to przymierał głodem na lodowcach Stetl i żywił się szczątkami swego ukochanego sierżanta.

— Więc co zamierzasz? Jestem pewien, że masz już jakiś plan. I lepiej, aby ten plan uwzględnił zadośćuczynienie, dzięki któremu mój brat przestanie mi suszyć głowę o Conna.

196

— Nie interesuje cię, panie, w jaki sposób zdobył te zdumiewające umiejętności?

— No więc w jaki sposób?

— Tego młodego człowieka o imieniu Cale szkolili odkupiciele w Sanktuarium.

— Odkupiciele nigdy nie sprawiali nam kłopotów.

— Jak dotąd nie, jednakże z tego, co usłyszałem od tego chłopca, wynika, że od siedmiu lat w Sanktuarium nastąpiły znaczące zmiany. Szkołą więcej żołnierzy niż dawniej, a metody, które stosują przekraczają wszelkie granice okrucieństwa.

— Boisz się, że nas zaatakują? Byliby doprawdy skończonymi głupcami.

— Po pierwsze, moim obowiązkiem jest obawiać się takich rzeczy. Po drugie, ilu królów i cesarzy myślało tak samo o tobie trzydzieści lat temu?

Materazzi westchnął ze zniecierpliwieniem. Poczł się nieswojo na myśl o krwawym terrorze z czasów, gdy budował swoje imperium. W rzeczywistości przez dziesięć lat pokoju stracił apetyt na toczenie wojen. Bezwzględny żołnierz, którego niegdyś kojarzono jedynie z chciwością i podbojem, w średnim wieku zapragnął spokojnego życia, nie chciał już przez tydzień trząść się z zimna, przez następny umierać z pragnienia i bać się, jak to kiedyś wyznał Vipondowi po pijanemu, że jego wewnętrżności zawisną na tasaku jakiegoś parchatego wieśniaka, któremu w żywiole bitwy uda się przypadkowy cios. Nigdy się przed nikim do tego nie przyznał, ale prawdziwego wstrętu do wojny nabral pewnej zimy, kiedy to przymierał głodem na lodowcach Stetl i żywił się szczątkami swego ukochanego sierżanta.

— Więc co zamierzasz? Jestem pewien, że masz już jakiś plan. I lepiej, aby ten plan uwzględnił zadośćuczynienie, dzięki któremu mój brat przestanie mi suszyć głowę o Conna.

Vipond położył na stole list. Napisał go Conn Materazzi. Marszałek otworzył go i przeczytał. Skończywszy, odłożył na blat.

— Conn Materazzi ma wiele zdumiewających cech, nie zdawałem sobie sprawy, że należy do nich wielkoduszność.

— Twoja zdolność osądu, marszałku, jest dla nas wszystkich przykładem. Rozmawiałem z Connem, zasugerowałem, że ukaranie Cale'a za to, że go pokonał, naraziłoby twego bratanka na śmieszność. Zgodził się ze mną.

— Nie możesz pozwolić, żeby ten twój chłopak włóczył się po ulicach Memphis, Vipond. Ojcowie miasta na to nie pozwolą, i ja również. Ludzie nie mogą sądzić, że puściłem tę sprawę płazem.

— Naturalnie że nie. Wszyscy wiedzą, że trzymam go w swoim areszcie. Jeśli ucieknie, gromy spadną na mnie.

— Chcesz go wypuścić?

— Ależ skąd. To chłopiec obdarzony wyjątkowymi zdolnościami. Poza tym on i jego przyjaciele są naszym jedynym źródłem informacji o odkupicielach i o tym, co knują. Musimy dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Puściłem już tę sprawę w ruch, ale chcę, aby zweryfikowali oni informacje, jakie otrzymam. Są dla nas zbyt cenni, dużo cenniejsi niż jakikolwiek miecz lub potłuczone głowy rozpieszczonych zabijaków, którzy dostali to, na co sobie szczerze zasłużyli.

— Czy chcesz wystawić na próbę moją wyrozumiałość, Vipond? '

— Jeśli nie jesteś ze mnie zadowolony, panie, natychmiast złożę rezygnację.

Materazzi zachnął się ze złością.

— No widzisz? Znowu to robisz. Słowa nie można powiedzieć, żebyś się zaraz nie zaperzył. Robisz się z wiekiem coraz drażliwszy.

197

— Proszę o wybaczenie, marszałku — rzekł Vipond z nieszczerą skruchą. — Możliwe, że po ostatnich przykrych przeżyciach, zbyt łatwo wpadam w gniew.

— Właśnie! Musisz bardziej uważać, mój drogi. Przeszedłeś ciężkie chwile, bardzo ciężkie. Za długo cię tu trzymam, to niewybaczalnie egoistyczne z mojej strony. Musisz wypoczywać.

Vipond wstał, skinął marszałkowi głową, dziękując za troskę i ruszył do wyjścia. Gdy doszedł do drzwi, Materazzi krzyknął za nim łaskawym tonem:

— Zajmij się naprawą miecza na swój koszt i dopilnuj tej drugiej sprawy.

17

Dwa dni później IdrysPukke i Cale jechali powoli drogą numer siedem, jedną z szerokich, brukowanych ulic, które prowadziły do Memphis i na których nawet w nocy nie małał ruch towarów przywożonych do tego największego ośrodka handlu na świecie. Po kilku godzinach milczenia Cale zapytał:

— Posadzono cię w celi, żebyś mnie szpiegował?

— Tak — odparł IdrysPukke.

— Nieprawda.

— W takim razie po co pytasz?

— Chciałem się przekonać, czy mogę ci ufać.

— Nie możesz.

— A kanclerz Vipond ci ufa?

— Ani trochę.

— Więc czemu obiecał mi zaopiekować się moimi przyjaciółmi pod warunkiem, że zgodzę się na twoje towarzystwo?

— Trzeba było jego o to zapytać.

— Zapytałem.

— I co odpowiedział?

— Że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

— No widzisz.

199

Cale milczał przez chwilę.

— W jaki sposób zmusił cię, żebyś mnie pilnował?

— Zapłacił mi.

Nie było to całkiem kłamstwo, ale to, co skłoniło IdrysPukkego, aby nie odstępował Cale'a na krok, znacznie przekraczało wszelkie sumy pieniędzy, jakie mógłby mu zaoferować kanclerz. Aby robić użytek z pieniędzy, trzeba je mieć gdzie wydawać, a nie było takiego miejsca na świecie, w którym nie czekałby na niego wyrok śmierci albo i coś gorszego. Vipond po prostu odmalował mu jego przyszłość, czyli raczej jej brak, a następnie przedstawił mu możliwe rozwiązanie: na początek całkiem wygodną kryjówkę, gdzie może się schronić na kilka miesięcy, a następnie, jeśli posłusznie wypełni wszystkie polecenia, szansę na kilka tymczasowych ułaskawień, co przynajmniej pozwoli mu uniknąć egzekucji przez rządy państw znajdujących się pod panowaniem Materazzich.

— A co z tymi, którzy chcą mnie zabić prywatnie? — spytał Viponda.

— To twój problem. Jeśli jednak będziesz miał chłopca na oku i dopilnujesz, żeby nie wpakował się w następne kłopoty, a przy tym wyciągniesz od niego kilka pożytecznych informacji, to może coś dla ciebie znajdę.

— Brzmi to nieprzekonująco, mój panie.

— Dla kogoś w twoim położeniu, które określiłbym położeniem na łopatkach, jest to bardzo hojna propozycja — odparł Vipond, odprawiając go machnięciem ręki. — Jeśli dostałeś lepszą ofertę, radzę, abys ją przyjął.

— Co będziemy robić w tym miejscu, do którego idziemy? — spytał Cale po następnej godzinie milczenia.

— Trzymać się z dala od kłopotów. Uczyć cię różnych rzeczy.

— Na przykład jakich?

200

WbęH *

— Poczekaj, aż dotrzemy na miejsce.

— Wiesz, że ktoś nas śledzi? — spytał Cale.

— Brzydal w zielonej kurtce?

— Tak — odparł rozczarowany Cale.

— Trochę za bardzo rzuca się w oczy, nie sądzisz?

Cale odwrócił się i spojrzał na intruza, jakby było to oczywiste również dla niego. IdrysPukke wybuchnął śmiechem.

— Ktoś kto za tym stoi, spodziewa się, że złapiemy frajera i zostawimy go gdzieś w rowie. Prawdziwy ogon idzie dwieście kroków dalej.

— Jak wygląda?

— To twoja pierwsza lekcja. Spróbuj go wyłować, zanim się nim zajmę.

— To znaczy zabijesz?

IdrysPukke popatrzył na niego uważnie.

— Co z ciebie za krwiożerczy rzeźmieszek? Vipond powiedział jasno, że powinniśmy być niewidzialni. Zostawianie za sobą trupów raczej by nam w tym nie pomogło.

— W takim razie co z nim zrobisz?

— Patrz i ucz się, synku.

Co dziesięć staj na drodze do Memphis rozstawiono wartownie obsadzone załogą złożoną z kilku żołnierzy. Przy jednej z nich właśnie IdrysPukke, obserwowany przez rozbawionego Cale'a, wdał się w sprzeczkę z kapralem.

— Na litość boską, człowieku, przecież sam kanclerz Vipond podpisał ten nakaz.

Kapral był uprzejmy, lecz stanowczy.

— Bardzo mi przykro. Wygląda oficjalnie, ale nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Takie nakazy wydaje zwykle naczelnik, wiem, jak wyglądają i znam jego podpis. Proszę mnie zrozumieć. Każę sprowadzić porucznika Webstera.

201

— Długo to potrwa? — spytał zniecierpliwiony IdrysPukke.

— Prawdopodobnie do jutra.

IdrysPukke jęknął z frustracją i podszedł do okna. Mniej więcej po minucie dał znak Cale'owi, żeby do niego podszedł.

— Poczekaj na zewnątrz — szepnął.

— Przecież miałem się uczyć.

— Nie dyskutuj, psiakrew, tylko zrób, co każę. Wyjdź na zewnątrz i poczekaj z tyłu budynku, tak żeby nikt cię nie widział.

Cale uśmiechnął się i wyszedł. Na tyłach wartowni czterech żołnierzy siedziało na murku i paliło skręty ze śmiertelnie znudzonymi twarzami. Pięć minut później zjawił się IdrysPukke, skinął na chłopca i poprowadził konie w boczną uliczkę niewidoczną z głównej drogi.

— I co się dzieje? — spytał Cale.

— Aresztuje ich i potrzyma w celi przez kilka dni.

— Jak go przekonałeś, żeby zmienił zdanie?

— A jak myślisz?

— Nie wiem, dlatego właśnie pytam.

— Przekupiłem go. Piętnaście dolarów dla niego i po pięć dla jego ludzi.

Ta informacja naprawdę Calem wstrząsnęła. Jakkolwiek okrutni, bezwzględni i małoduszni byli odkupiciele, żadnemu z nich nie powstałoby nawet w głowie, że mogliby zaniedbać obowiązki dla pieniędzy.

— Mieliśmy nakaz — powiedział z oburzeniem. — Czemu musieliśmy ich przekupić?

— Nie ma sensu teraz kruszyć o to kopii — odrzekł ze zniecierpliwieniem IdrysPukke. — Spójrz na to, jak na element twojej edukacji, nowy szczegół do podręcznika pod tytułem: jacy są ludzie. Nie myśl sobie, że ponieważ odkupiciele trak-

202

towali cię jak psa, wiesz już wszystko na temat tej zdemoralizowanej, skorumpowanej zgrai łobuzów, którą nazywamy ludzkością.

Z tymi gniewnymi słowami ruszył w dalszą drogę i nie odezwał się do końca dnia.

Może jednak nietrudno zrozumieć, dlaczego IdrysPukke był taki rozdrażniony, nawet jeśli przywykł do dużo gorszych rzeczy niż taki cyniczny trep jak ów przekupny kapral. Czy naprawdę trzeba aż wielkiego nieszczęścia, żeby większość z nas wyprowadzić z równowagi? W złym humorze nawet rozsądnej kobiecie i spokojnemu mężczyźnie wystarczą zgubione klucze, noga skaleczona o ostry kamień lub drobna przeciwność losu, aby wpaść w szał. Chociaż Cale niewiele wiedział na temat natury ludzi, którzy nie są brutalnymi fanatykami, miał dość rozumu, aby zostawić IdrysPukkego samemu sobie do czasu, aż się uspokoi.

Gdyby jednak IdrysPukke wiedział, kto wysłał człowieka, który ich śledził, jego gniew byłby całkiem usprawiedliwiony; i nie tylko gniew, lecz również strach, zdałby sobie bowiem sprawę, że Kicia Zajac nie pozwoliłby, aby jego szpiedzy zostali tak łatwo zauważeni. Ludzie z taką łatwością zamknięci w areszcie byli jedynie wabikiem, wysłanym po to, by ich złapano. Kiedy Cale i IdrysPukke wrócili na główną drogę, a nazajutrz skęcili w kierunku Białego Lasu, śledziły ich jeszcze dwie pary oczu, dużo bardziej przebiegłe niż poprzednie.

Słońce świeciło jasno, powietrze było przejrzyste niczym czysta woda. Szli pod górę, a wczorajszy zły humor IdrysPukkego znikł bez śladu i mężczyzna powrócił do zwykłego, wylewnego sposobu bycia. Opowiadał Cale'owi o swoim życiu, o przygodach, a także o poglądach, których miał bez liku. Można by pomyśleć, że młodzieńca zdolnego do tak zaciętego

203

gniewu i zatrważającej przemocy jak Cale rozdrażni postawa towarzysza, który zachowywał się niczym mentor i traktował go z łagodną protekcyjnością. Należy jednak zważyć, że pomimo niezłomności ciała i charakteru Cale wciąż pozostał chłopcem, tak więc bogactwo doświadczeń, jakimi dysponował IdrysPukke, jego wzloty i upadki, miłostki i zwady zafascynowałyby nawet najbardziej zblazowanego słuchacza. Niebagatelne znaczenie miał również jego niezwykły dar autoironii, pokora, z jaką przyjmował na siebie odpowiedzialność za większość utraconych łask i wpływów. Dorosły naśmiewający się z samego siebie był dla Cale'a zjawiskiem całkiem niepojętym. W śmiechu odkupiciele widzieli zarodek grzechu, bełkot wzbudzany przez podszepty diabła.

Nie znaczy to, że IdrysPukke łudził się optymistycznymi poglądami na świat, po prostu wyrażał swój pesymizm z pogodną mądrością, gotów tym dowcipnym cynizmem objąć również własną osobę, w czym Cale odnajdował pociechę i co wprawiało go w dobry nastrój. Nie należał do osób, które dałyby się zwieść radosnym poglądom na ludzką naturę, przeczyło temu jego codzienne doświadczenie. Czuł jednak, że łatwiej mu znieść płonący w nim gniew, a nawet doznać pewnego ukojenia, kiedy słucha kogoś, kto potrafi się śmiać z ludzkiego okrucieństwa i głupoty.

— Niewiele jest lepszych sposobów — oznajmił IdrysPukke ni stąd, ni zowąd — na wprawienie ludzi w dobry humor niż opowiadanie im o okropnych nieszczęściach, jakie cię ostatnio spotkały.

Kiedy indziej znów:

— Dla takich ludzi jak ty czy ja życie jest podróżą, w której nigdy nie da się przewidzieć, dokąd się trafi po drodze. Idąc, dostrzegasz przed sobą coraz to nowy, lepszy cel, aż w końcu zapominasz do reszty, dokąd zmierzałeś na początku podróży.

204

Jesteśmy jak alchemicy: rozpoczynamy, szukając złota, a po drodze odkrywamy zbawienne lekarstwa, sposoby ujarzmiania natury i fajerwerki. Jedyłą rzeczą, której nie znajdujemy, jest złoto.

Cale wybuchnął śmiechem.

— Czemu ja cię słucham? Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, leżałeś u moich stóp, przy dwóch następnych okazjach byłeś więźniem.

Na twarzy IdrysPukkego odmalowała się wzgarda, jakby na to znajomo brzmiące zastrzeżenie, nie warto było nawet odpowiadać.

— Więc ucz się na moich błędach, Mistrzu z Mlekiem pod Nosem, i zważ, że przez czterdzieści lat przemierzałem korytarze największych potęg świata i nadal żyję, czego nie można powiedzieć o większości ludzi, których tam spotykałem. I ośmielę się dodać, że jeśli nie wykażesz więcej rozsądku niż dotąd, ty również się do nich zaliczysz.

— Jak dotąd sobie radziłem.

— Czyżby?

— Tak.

— Miałeś szczęście, synku, mnóstwo szczęścia. I nieważne, że jesteś dobry w pięściach. To, że jeszcze nie zawisłeś na stryczku, zawdzięczasz łutowi szczęścia i trzeźwemu osądowi. — Urwał i westchnął. — Ufasz Vipondowi?

— Nikomu nie ufam.

— Każdy głupiec potrafi powiedzieć, że nigdy nie zdaje się na niczyją łaskę. Kłopot w tym, że czasami musimy polegać na innych. Ludzie bywają szlachetni, zdolni do wyrzeczeń i wszystkie te godne podziwu przymioty w nich żyją, tylko że czasami się ujawniają, a czasem nie. Nikt nie

oczekuje, że wesoły mężczyzna albo życzliwa kobieta będą codziennie i w każdym momencie życia pogodni i życzliwi, ale ludzie są wstrząśnięci,

205

kiedy ktoś, kto okazał się godny zaufania przez miesiąc albo rok, przestał być taki na godzinę lub jeden dzień.

— Skoro nie można na nim polegać przez cały czas, to kto mu będzie chciał zaufać?

— A na tobie można polegać?

— Nie. Nauczyłem się, że stać mnie na szlachetne czyny. Potrafię uratować niewinnego człowieka — uśmiechnął się kpiąco — z rąk niegodziwych i bezbożnych. Ale to nie znaczy, że takie rzeczy leżą w mojej naturze. Miałem dobry dzień... albo zły, kiedy uratowałem Ribę. Nie powtórzę tego czynu zbyt pochopnie.

— Jesteś tego pewien?

— Nie, ale zrobię, co w mojej mocy. — Jechali w milczeniu przez następne pół godziny. — A ty ufasz Vipondowi? — spytał w końcu Cale.

— To zależy. O co chodzi?

Cale poruszył się niespokojnie w siodle.

— Obiecał, że jeśli z tobą zostanę i będę się dobrze sprawował, zadba, aby Mętmemu Henriemu i Kleistowi nic się nie stało. Myślisz, że to zrobi?

— Martwisz się o przyjaciół? Czyżbyś nie był jednak taki bezduszny, na jakiego chcesz wyglądać?

— Spróbuj zaufać mojej duszy, zobaczymy, dokąd cię to zaprowadzi.

IdrysPukke wybuchnął śmiechem.

— Vipond jest ważną osobistością, a ważne osobistości mają ważne obowiązki. Jednym z nich jest niedotrzymywanie obietnic.

— To puste gadanie, próbujesz się tylko wymądrzać.

— Bynajmniej. Vipond piecze na ogniu dużo pieczeni, ma do czynienia z mnóstwem grubych ryb. Ty i twoi przyjaciele się do nich nie zaliczacie. Jak myślisz, co by zrobił, gdyby życie kilkuset osób lub bezpieczeństwo Memphis zależało od

206

tego, czy złamie słowo wobec trzech mało znaczących pędraków? Co byś zrobił na jego miejscu? Podobno taki twardziel z ciebie, powiedz mi.

— Kleist nie jest moim przyjacielem.

— Jak myślisz, czego Vipond od ciebie chce?

— Chce, żebym nabrał do ciebie zaufania i opowiedział ci całą prawdę o tym, co się wydarzyło w Sanktuarium. Obawia się, że odkupiciele mogą się stać groźni.

— A ma rację?

Cale zerknął na niego przelotnie.

— Odkupiciele są wrzodem na powierzchni ziemi...

Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej,

ale się powstrzymał, choć z dużym trudem.

— Chciałeś jeszcze coś dodać.

— Tak.

— Co takiego?

— Twoje zadanie, żeby się tego dowiedzieć.

— Jak chcesz. A co do Yiponda, to możesz mu ufać, ale w pewnych granicach. Dołoży wszelkich starań, aby zapewnić bezpieczeństwo twojemu przyjacielowi i temu drugiemu chłopcu, który nie jest twoim przyjacielem. Chyba że będzie miał ważny powód, aby złamać obietnicę.

Jadąc dalej w milczeniu, nadal nie zdawali sobie sprawy, że szpiedzy Kici Zająca nie odstępują ich na krok.

O czwartej po południu IdrisPukke zsiadł z konia, dał znak Cale'owi, aby uczynił to samo, po czym skręcił ze ścieżki w dziewiczy las, przez który nawet bez koni trudno byłoby się przedzierać. Dwie godziny trwało, zanim gąszcz drzew i krzewów nieco zrzędł i wyszli na następną, najwyraźniej mało używaną dróżkę.

— Mam wrażenie, że znalazłeś tę drogę — powiedział Cale do pleców IdrisPukkego.

207

— Widzę, że nic się przed tobą nie ukryje, Panie Wszystkowiedzący.

— Skąd ją znasz?

— Przyjeżdżałem do Zielonych Koron z bratem, kiedy byłem jeszcze chłopcem.

— Kim jest twój brat?

— Kanclerzem Leopoldem Yipondem.

18

Cale uznałby zapewne, że dwa miesiące spędzone w domku myśliwskim Zielone Korony były najszczęśliwszym okresem w jego życiu, gdyby miał jakiegokolwiek inne szczęśliwe wspomnienia, z którymi mógłby je porównywać. Zważywszy jednak na to, że dwa miesiące w siódmym kręgu piekła byłyby bez wątpienia poprawą w stosunku do życia w Sanktuarium, uczucia, którego teraz doznawał nie należy do niczego przyrównać. Czuł się po prostu szczęśliwy. Spał dwanaście godzin na dobę,

a czasem więcej, pił piwo, a wieczorem palił tytoń z IdrysPukkem, który dołożył wszelkich starań, aby go przekonać, że kiedy przełamie pierwszy wstręt, palenie stanie się jedną z niewielu naprawdę niezawodnych pociech, jakie życie ma do zaoferowania.

Wieczorami siadali na wielkiej drewnianej werandzie i wsłuchiwali się w brzęczenie owadów, obserwowali szybujące jaskółki i nurkujące nietoperze. Niekiedy siedzieli tak całymi godzinami, a milczenie tylko od czasu do czasu przerywał IdrysPukke gawędami na temat życia, jego uroków i złudzeń.

— Samotność jest wspaniała, Cale'u, i to w dwójnasób. Po pierwsze, pozwala człowiekowi przebywać sam na sam ze sobą, po drugie, chroni go od towarzystwa innych.

209

Cale przytaknął skinieniem głowy ze szczerością możliwą tylko u kogoś, kto spędził każdą godzinę życia we śnie i na jawie otoczony setką rówieśników, obserwowany i szpiegowany na każdym kroku.

— Towarzyskość to niebezpieczna rzecz, a może się okazać nawet zgubna w skutkach, ponieważ oznacza kontakt z ludźmi, z których większość jest ciemna, pusta i przewrotna i pragnie twojego towarzystwa tylko dlatego, że nie znosi swego własnego. Nudzi się ze sobą śmiertelnie i wcale nie widzi w tobie przyjaciela, tylko rozrywkę w rodzaju tańczącego psa albo przygłupiego aktorzyny z repertuarem zabawnych opowiadań.

IdrysPukke szczególnie nie znosił aktorów i często dawał temu upust, wyliczając ich mnogie niedostatki. Cale jednak nie rozumiał tej antypatii, głównie dlatego, że nigdy w życiu nie oglądał żadnego przedstawienia, a pomysł udawania kogoś innego dla pieniędzy wydawał mu się niedorzeczny.

— Oczywiście jesteś młody, masz jeszcze przed sobą najsilniejszy impuls: miłość do kobiet. Nie zrozum mnie źle, każda niewiasta i każdy mężczyzna powinni poznać, co znaczy kochać i być kochanym. Kobiece ciało jest najlepszym wcieleniem doskonałości, jakie znam. Jeśli mam być jednak z tobą całkiem szczerzy, Cale'u, co nie znaczy, że coś to dla ciebie zmieni, pożądać miłości, jak rzekł niegdyś pewien dowcipniś, to chcieć, aby cię przykuto łańcuchami do szaleńca.

Otwierał potem następne piwo, nalewał Cale'owi kwaterkę — nigdy więcej ani zbyt często — i odmawiał mu kolejnego skręta tytoniu, tłumacząc, że łatwo w tym względzie przedobrzyć, a nadmiar dymu może popsuć młodemu człowiekowi dech.

Po tych sesjach, które ciągnęły się nieraz prawie do świtu, Cale z niecierpliwością czekał na to, z czego czerpał największą przyjemność — ciepłe łóżko, miękki materac, a wszystko dla niego na wyłączność, bez jęczących, krzyczących i chrapiących

210

współlokatorów, bez odoru pierdnieć. Nic, tylko cudowna cisza i spokój. W tych dniach naprawdę cieszył się, że żyje.

Całymi godzinami wędrował po lesie. Nieraz zniknął tuż po przebudzeniu i wracał do chaty, kiedy zapadał zmrok. Wzgórza, łączki, rzeczki, spłoszony jeleń i gołębie gruchające w koronach drzew w gorące popołudnia — wspaniała błogość włóczenia się samotnie bez celu dawała mu jeszcze więcej

rozkoszy niż piwo i tytoń. Szczęście to mąciła tylko niekiedy myśl o Arbelle Łabędzioszyjej, której twarz nawiedzała go w myślach nieproszona w nocy lub po południu, kiedy leżał nad rzeką, a wokół niego pluskały ryby, śpiewały ptaki i lekki wietrzyk szumiał w koronach drzew. Gdy o niej myślał, nachodziły go dziwne i niepożądane uczucia, które zakłócały cudowny spokój tego czasu. Budziła w nim gniew, a on nie chciał nigdy więcej czuć gniewu, chciał się czuć wolny, leniwy i niezależny pośród tej ciepłej, pięknej zieleni letniego lasu.

Inną rozkoszą, jaką odkrył, było jedzenie. Jeść, aby przeżyć, napełniać żołądek, nasycić dotkliwy głód to jedno, lecz dla chłopca, którego dieta dotychczas składała się w przeważającej części z nóg trupa, życie obfitujące w smaczne posiłki, czyli coś, co inni ludzie traktowali jak rzecz najzwyklejszą w świecie, mogło się stać źródłem prawdziwego zachwyty.

IdrysPukke był wielkim smakoszem, a ponieważ w różnych okresach swego życia mieszkał przez jakiś czas niemal w każdym zakątku cywilizowanego świata, uważał się w tych sprawach, jak zresztą w większości innych, za eksperta. Lubił gotować prawie tak samo jak jeść. Niestety, jego gorliwość w przekazywaniu nowemu i chętnemu uczniowi całej swojej światowej wiedzy skończyła się kilkoma falstartami.

Pierwsza próba zapoznania Cale'a z wielką sztuką kulinarną miała fatalne skutki. Pewnego dnia chłopiec wrócił do chaty po dziesięciogodzinnej włóczędze głodny jak wilk i został przywi-

211

M

tany prawdziwie cesarską ucztą, czyli zaimprovizowaną przez IdrysPukkego wersją najwystawniejszego posiłku, jaki w życiu jadł, specjalnością domu Imura Lantana w Apsny. Dużą część składników musiał czymś zastąpić: penisa wieprzowego nie sposób było znaleźć w okolicy, ponieważ miejscowi uważali świnie za zwierzęta nieczyste; podobnie kosztownego szafranu,

o którym nikt tu nawet nie słyszał. Zabrakło również potrawy uważanej za ukoronowanie uczy, ponieważ IdrysPukke, choć nie należał do ludzi sentymentalnych, nie potrafił się zdobyć na utopienie dziesięciu piskląt skowronka w brandy, po której to czynności piekło się je w rozgrzanym piecu niecałe trzydzieści sekund.

Kiedy zjawił się Cale, ogorzały od słońca i wygłodniały, zaśmiał się na cały głos na widok specjałów ustawionych przed nim z dumą przez IdrysPukkego.

— Zaczynij od tego — poradził uśmiechnięty kucharz.

I Cale dosłownie rzucił się na zmielone krewetki słodkowodne, smażone na białym chlebie w sosie z kwaśnych malin. Po pięciu porcjach IdrysPukke skinął głową w kierunku smażonych paluszków z kaczki w sosie śliwkowym, a potem z łagodnym napomnieniem, aby nieco zwolnił, podsunął chłopcu pieczone skrzydełka kurczaka w okruszkach chleba z plasterkami ziemniaków smażonymi w głębokim tłuszczu.

Rzecz jasna wkrótce Cale się ciężko rozchorował. IdrysPukke widział w swym życiu wiele wymiotujących osób, jemu również zdarzało się to nierzadko. Był świadkiem dość odpychającego zwyczaju Finów, którzy przerywali przyjęcia złożone z trzydziestu dziewięciu dań wizytami w torsjomatorium czy też wymiotowali. Po mniej więcej dziesięciu potrawach musieli zrobić miejsce

na następne, jeśli chcieli dokończyć bankiet

1 uniknąć śmiertelnej obrazę gospodarza.

212

4%

Wymioty wstrząsały całym ciałem Cale'a, kiedy jego żołądek wyrzucał z siebie wszystko, co przyjął w ciągu ostatnich dwudziestu minut, ale, jak podejrzewał IdrysPukke, również sporą część tego, co spożywał przez całe życie.

W końcu kompletnie wyczerpany Cale poszedł spać. Następnego ranka zjawił się na werandzie z twarzą o barwie zielonkawobiałej, jaką IdrysPukke widywał tylko u trzydniowych trupów. Usiadł i nalał sobie słabej herbaty bez mleka, po czym ledwo słyszalnym głosem wyjaśnił powody tak gwałtownej reakcji swego organizmu.

— No cóż — oznajmił IdrysPukke, kiedy Cale skończył opowiadać, jak wyglądało żywienie akolitów w Sanktuarium — jeśli kiedyś nie spodoba mi się twoje zachowanie, postaram się pamiętać, że trudno oczekiwać zbyt dużo od dziecka wychowywanego na nogach trupa. — Milczał przez chwilę. — Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli dam ci radę.

— Nie — odparł Cale zbyt słaby, żeby się obrażać.

— Są granice wyrozumiałości, jakiej człowiek może oczekiwać od innych. Lepiej by było, gdyby temat ten nie wypłynął nigdy w dobrym towarzystwie, że nie wspomnę o szczurach.

19

Mętny Henri i Kleist widzieli się z Calem tylko przez kilka minut, zanim w wielkim pośpiechu opuścił Memphis, ledwie więc zdążyli zauważyć podejrzane pojawienie się IdrysPukkego, nie mówiąc już o rzetelnej relacji na temat tego, co się działo z ich przyjacielem od momentu, gdy wywleczono go z ogrodu letniego. Ku swej niezmiernej irytacji Kleist nie miał nawet okazji wygarnąć Cale'owi, że przez jego brak dyscypliny i niewyobrażalny egoizm on i Mętny Henri wdepnęli w niezłe szambo. Jednak uzasadnione obawy Kleista, że przez wybryk ich przyjaciela wszyscy obrócą się przeciwko nim, nie do końca się sprawdziły. Oczywiście spotykali się z wrogością, ale bezlitosne lanie, jakie Cale sprawił całej śmietance Mondów ochłodziło zapędy tych, którzy pragnęliby szukać zemsty, z obawy, że Mętny Henri i Kleist mogą być równie uzdolnieni. Mondowie jednak bardziej niż poważnych ran czy nawet śmierci, bali się poniżenia, porażki z rąk ludzi stojących nieskończenie niżej w hierarchii społecznej.

Vipond nakazał przydzielić chłopców do robót kuchennych, gdzie nie groziło im spotkanie z niepożądanymi osobami. Nie trzeba dużo wyobraźni, aby domyślić się przekleństw, jakimi

214

Kleist obsypał Cale'a za to, że zostawił go przy zmywaniu naczyń przez dziesięć godzin na dobę. Jednakże z ich sytuacji wynikła również niespodziewana korzyść, ponieważ służący, którzy nienawidzili Mondów za arogancję i pychę, a było ich wielu, zaczęli traktować Henriego i Kleista z podziwem i już po miesiącu pozwolili sobie pomagać w ciekawszych zajęciach niż zmywanie

naczyń. Kleist zaoferował swoje usługi przy rozbiieraniu mięsa i wzbudził powszechny zachwyty umiejętnościami rzeźnickimi.

— To wrodzony dar.

Chłopak miał dość oleju w głowie, aby nie opowiadać, na jakich to małych zwierzątkach nabył takiej wprawy.

— Osobiście — powiedział Mętnemu Henriemu, ćwiartując radośnie wielką krowę rasy holstein — wolę pracować na wielką skalę.

Mętny Henri musiał się zadowolić karmieniem zwierząt i od czasu do czasu bieganiem na posyłki do okolicznych pałaców. Dało mu to okazję spotykania Riby, o której myśl ostatnimi czasy nie opuszczała go ani na chwilę. Spotykali się tylko przelotnie, ale na jego widok dziewczyna rozpromieniała się, brała go za ramię i szczebiotała podniecona, odsłaniając w uśmiechu drobniutkie białe ząbki. Szybko jednak zauważył, że podobnym uśmiechem i z demonstracyjnym zachwytem witała prawie każdą napotkaną osobę. Była po prostu z natury otwarta i ujmująca dla wszystkich i ludzie odwzajemniali jej się tym samym, czasem dziwiąc się sobie, jak dużo dla nich znaczy ten uroczy uśmiech. Mętny Henri jednak pragnął go mieć tylko dla siebie.

Nosił w sercu ponury sekret związany z Ribą jeszcze od czasu ich pięciodniowej podróży przez pustkowia. Z początku traktował ją z pełnym zdziwienia szacunkiem, jak ktoś, kto wędrowałby przez pustynię z aniołem. Każdego mężczyznę

215

potrafi urzec kobieca uroda, lecz wyobraźcie sobie zafascynowanie kogoś, kto dorastał, nie widząc nigdy ani nawet nie wyobrażając sobie takiej istoty. Po kilku dniach Henri zaczął się trochę uspokajać, choć towarzyszyło temu pojawienie się nieco bardziej przyziemnych uczuć niż podziw i uwielbienie. Dokładał wszelkich starań, by nie traktować tego boskiego zjawiska w sposób, który mógłby skalać jego zachwyty (choć miał nadzwyczaj mgliste pojęcie, o jakie skalanie mogłoby chodzić). Coś się w nim budziło, czego nie potrafił nazwać.

Doszli wówczas do niewielkiej oazy ze źródłem, które szczęśliwie w okresie wzbierania utworzyło niewielką sadzawkę. Riba roześmiała się zachwycona, a Mętny Henri z wrodzoną delikatnością zaproponował, że wycofa się na drugą stronę pagórka wznoszącego się nad stawem. Położył się na plecach i zaczął toczyć swą pierwszą poważną batalię z diabłem. W Sanktuarium niewiele było prawdziwych pokus. Odkupiciel Hauer, duchowy doradca Henriego, umarłby ze wstydu, widząc, jak mało odporny jest jego podopieczny i jak nieskuteczne okazały się groźby kar piekielnych dla tych, którzy popełniają grzech przeciw Świętemu Duchowi. (Z przyczyn nigdy niewyjaśnianych to właśnie Święty Duch był najbardziej wstrząśnięty tego rodzaju grzesznymi żądaniami). Wolą Henriego niespodziewanie zawładnął diabeł i chłopiec przewrócił się na brzuch i niczym gadzi sługa Belzebuba podczołgał się powoli pod szczyt wzgórza. Czyż ktokolwiek przed nim, uległszy kuszeniu, został tak szczerze za to nagrodzony? Riba stała zanurzona w wodzie do połowy ud i leniwie ochlapywała się wodą. Jej piersi były ogromne, Henri nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego, a aureole wokół ich koniuszków miały kolor różany, dla którego nie znajdował porównania. Poruszały się w rytm jej ciała i drżały z taką gracją, że chłopcu zapało dech. A między nogami... Nie wolno nam jednak zapędzać się aż tak daleko,

choć Mętny Henri nie narzucił sobie tego zakazu ani na moment. Diabeł zawładnął nim bez reszty. Chłopiec przestał oddychać ogłuszony widokiem tego sekretnego miejsca. W duszy nosił wyciśnięte różne obrazy piekła, lecz aż do tej boskiej chwili ani jednego wizerunku nieba. Piękno uzewnętrznione w tych delikatnych fałdach skóry, niedościgłe, tętniące życiem dźwięczeń mu będzie w duszy aż po dzień śmierci. Odmieniony przez tę świętą grozę Mętny Henri powoli zsunął się ze szczytu wzgórza.

Tymczasem Riba, obiekt owego niecnego nadużycia, nieświadoma epifanii, do której się przyczyniła, kontynuowała kąpiel jeszcze przez wiele minut. Gdyby Henri zwyczajnie został nad jeziorkiem i patrzył, nie miałaby nic przeciwko. Lubiła sprawiać mężczyznom przyjemność, do tego ją przygotowywano od małego. Co zaś się tyczy Mętnego Henriego, to niczym uderzony kamerton zadrżał i wibracje te nie cichły przez wiele tygodni. Natura obdarzyła go gorącym pragnieniem, lecz życie odarło go z wiedzy i doświadczeń, które pozwoliłyby mu sobie z nim radzić.

* * *

Jeśli chodzi o pracę, Ribie dopisało więcej szczęścia niż chłopcom. Zaczęła jako pokojówka pokojówki osobistej pokojówki mademoiselle Jane Weld — pozycji dość podrzędnej wprawdzie w bezwzględny świat pokojówek, lecz wspięcie się na nie mogło zająć nawet kilkanaście lat służby. Bratanica lorda Viponda przyjęła Ribę do pracy ze szczególną niechęcią, jaką powinna darzyć otwarcie i skrycie podpodpokojówkę o tak niskim statusie społecznym. Niechęć ta zaczęła jednak z czasem słabnąć (co szło w parze z odwrotnym procesem rosnącej wrogości u innych pokojówek), kiedy stało się jasne, że Riba posiada niezrównane umiejętności w dziedzinach, za

które damy cenią swoje służące. Umiała czesać i układać fryzury z wielką wprawą i delikatnością; potrafiła wyciskać krosty i zaskórniki, czyniąc skórze tak mało szkody, jak to tylko leżało w ludzkiej mocy, a powstałe mimo to zaczerwienienia zamaskować tak, że stawały się całkiem niewidoczne. Cera dosłownie kwitła pod działaniem kremów i toników sporządzanych przez nią własnoręcznie, w czym była prawdziwą czarodziejką; szpetne paznokcie nabierały pięknych kształtów i blasku, rzęsy gęstości, usta czerwieni, a nogi gładkości (co osiągała możliwie najmniej bolesnymi sposobami, czyli jeden stopień powyżej katuszy). Mówiąc krótko, Riba okazała się prawdziwym skarbem.

Przysporzyło to mademoiselle Jane innego kłopotu: co mianowicie zrobić z trzema innymi, niepotrzebnymi teraz osobistymi pokojówkami, z których najstarsza towarzyszyła jej od dziecka. Mademoiselle Jane, choć pod wieloma względami zimna jak wszystkie piękności z rodu Materazzich, niepo-zbawiona była pewnej wrażliwości i nie potrafiła powiedzieć starej Briony, że nie jest już potrzebna. Wiedziała, że jej dawną nianię dotknęłoby to do żywego, a kiedy o tym myślała, przypominała sobie z niepokojem liczne sekrety, z jakich zwierzała się poczciwej piastunce, a które urażona służąca z zemsty mogłaby ujawnić. Tak więc oszczędziła jej bolesnej odprawy po dwunastu latach wiernej służby, wysłała po pudełeczko chłodzącego kremu rozmarynowego, a w tym czasie kazała spakować jej rzeczy. Kiedy nieszczęsna pokojówka wróciła, zastała pusty pokój i służącego z

kopertą w ręku. Liścik zawierał dwadzieścia dolarów i notatkę z podziękowaniem za wierną służbę i informację, że zostaje odesłana do dalekiej krewnej mademoiselle Jane, mieszkającej w odległej prowincji, a w uznaniu rzeczonyj służby będzie jej towarzyszył w podróży ów służący z kopertą, który ma ją chronić aż do

218

samego punktu przeznaczenia. Na koniec listu mademoiselle Jane życzyła jej wszystkiego najlepszego i wyraziła nadzieję, że szczęście będzie jej dopisywało jak dotąd. Dwadzieścia minut później oszołomiona Briony siedziała na koniu i ruszała w drogę ze swym opiekunem. Od tamtej pory nikt o niej więcej nie słyszał.

Inne pokojówki, na wypadek gdyby Briony okazała się niedyskretna, zostały rozesłane w ten sam sposób i mademoiselle Jane mogła w spokoju ducha kontemplować życie, w którym krosty, pryszcze, wągry, wąskie usta i niesforne włosy należały do przeszłości.

Przez kilka miesięcy młoda arystokratka była w siódmym niebie. Dzięki biegłości w sztuce upiększania Riba wydobyla wszystko, co najlepsze z umiarkowanej urody swej pani. Pojawili się nowi zalotnicy, dzięki czemu mademoiselle Jane mogła traktować niedoszłych kochanków, zgodnie z tradycją Materazzich, z jeszcze większą wzdargą. Jak dobrze wiedziała, żaden specyfik, choćby najrzadszy i najdroższy nie zapewniał rozkoszy, jaką daje myśl, że się jest obiektem czyichś marzeń i pragnień, które można zniszczyć jednym uśmiechem lub spojrzeniem.

Choć z początku pochłaniała ją bez reszty świadomość, że łamie teraz więcej serc niż znenawidzona Arbell Łabędzioszyja, z czasem zaczęło ją nurtować zjawisko tak dziwne i obce, że przez kilka tygodni była pewna, że ulega złudzeniu.

Niektórzy przychodzący w konkury młodzi arystokraci, ale tylko niektórzy, nie wydawali się bynajmniej tak zdruzgotani jej odprawą, jak się tego spodziewała. Wzdychali, lamentowali i błagali tak samo jak inni, ale wrażliwa (choć tylko dla siebie) mademoiselle Jane zaczęła podejrzewać, że ich rozpacz nie jest całkiem szczerą. Co to mogło znaczyć? Może powszednie jej łamanie serc, rozmyślała, i nie sprawia już takiej przyjemności

219

jak dawniej. Wszak bywa tak z rozrywkami, którym człowiek oddaje się zbyt często. Doszła jednak do wniosku, że nie o to chodzi, ponieważ wobec innych młodzieńców, tych, którzy cierpieli prawdziwie z powodu jej oziębłości, czuła to samo radosne uniesienie co zawsze. Bez dwóch zdań działa się coś dziwnego.

Mademoiselle Jane przeznaczała zwykle przedpołudnia na łamanie serc i czasami wspaniałomyślnie dawała swym zalotnikom nawet całe pół godziny, jeśli okazywali się szczególnie utalentowani w sławieniu jej urody oraz lamentowaniu nad sercem z kamienia i okrucieństwem. Postanowiła poświęcić cały ranek dla tych zalotników, którzy wzbudzili jej podejrzenia, i wybadać powód swych niepokojących spostrzeżeń. Jej komnaty były tak rozplanowane, że mogła bez trudu szpiegować młodych mężczyzn, gdy przybywali i wychodzili, i przez całe przedpołudnie robiła to skrupulatnie.

Już po kilku wizytach wpadła we wściekłość, ponieważ jej obawy się potwierdziły, choć w sposób,

który przeszedł najśmielsze podejrzenia. Wszystkiemu winna była ta niewdzięczna zdzira, Riba.

Zniosła trzy kłamliwe deklaracje o złamanym sercu od mężczyzn, którzy najwyraźniej przyszli do niej tylko po to, by odbębnić przed nią scenę płaszczenia się, a potem robić maślane oczy do tej tłustej dziwki, Riby. Było to upokorzenie nie do pomyślenia; nie tylko oszukiwali najpiękniejszą i najbardziej pożądaną kobietę w Memphis (oczywiście przesadziła, w najlepszym razie można ją było umieścić w pierwszej piętnastce, lecz trzeba ulgowo potraktować kobietę w stanie tak skrajnego oburzenia), ale robili to dla dziewczki wielkości słonia, która chodząc, trzęsła się jak budyń.

Obelga ta — a dla kobiety z rodu Materazzich nazwanie innej niewiasty tłustą obrażało ją śmiertelnie — nie była całkiem

220

jy»

i *

uzasadniona. Z pewnością Riba stanowiła uderzający kontrast przy swej pani, a właściwie przy każdej członkini tej rodziny, ale w żadnym wypadku nie trzęsła się jak budyń. Poza tym przez dwa miesiące pobytu w Memphis była tak zapracowana, że nie miała ani czasu, ani możliwości, aby jeść tyle co w Sanktuarium i w efekcie straciła wiele ze swej urokliwej pulchności. Co do tej pory było zbytkiem nietuzinkowej obfitości, stało się teraz niezwykle pełną nietuzinkową obfitością. Mężczyźni, przywykli do chłopięcej smukłości i humorów kobiet Materazzich, patrzyli z coraz większym zainteresowaniem na krągłe kształty i kołyszące się falistości Riby, kiedy mijała ich tanecznym krokiem u boku swej wyniosłej pani. Prawie tak samo zniewalająco kusił jej pogodny uśmiech i życzliwy sposób bycia. Mężczyzn z rodu Materazzich wychowywano na rytuałach dworskiej miłości polegającej na łzawej i nieodwzajemnionej adoracji obiektu uczuć. W tych okolicznościach nagły zwrot niektórych młodzieńców ku kształtnej, urodziwej dziewczynie, która nie patrzyła na nich z góry, jak na coś, co kot przywlókł z podwórza, nie wymaga zbyt wielu wyjaśnień.

W tym okropnym stanie mademoiselle Jane wypadła z kryjówki, potem ze swoich komnat i wbiegła do holu, gdzie Riba zamykała właśnie drzwi za młodym Materazzim, który wyszedł na ulicę otumaniony tęsknotą i pożądaniem.

— Anno Mario! Anno Mario!

Zdumiona Riba wytrzeszczyła oczy na swoją panią, która poczerwieniała z wściekłości.

— Co się stało, mademoiselle?

— Stul gębę, ty nienazarta kupo smalcu! — odpowiedziała jej pani nader niearystokratycznie, kiedy Anna Maria przybiegła co tchu wstrząśnięta tym dzikim krzykiem.

Mademoiselle Jane popatrzyła na swoją gospodynię, jakby miała właśnie wybuchnąć i wskazała palcem na Ribę.

221

— Zabierz tę rynsztokową nimfomankę z mojego domu! I żebym nigdy więcej nie widziała tej zdrajczyni na oczy!

Zamierzała zakończyć swą wypowiedź, wymierzając Ribie siarczasty policzek, ale zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła, że na twarzy dziewczyny zdumienie przeobraziło się w gniew z powodu tak dotkliwej obelgi.

— Zabierz ją z moich oczu! — wrzasnęła do Anny Marii i sycząc, wróciła do swych komnat.

20

IdrysPukke postanowił, że nie podda się tak łatwo w reedukacji Cale'owego żołądka. Nowa dieta musi być prosta, a czyż właśnie prostota nie jest najlepszym sprawdzianem kucharskich umiejętności? Kiedy następnym razem Cale wrócił na posiłek, zastał na stole pstrąga, świeżo złowionego w jeziorze za domem, ugotowanego na parze i podanego z gotowanymi ziemniakami, ziołami i zieleciną. Chłopiec dość ostrożnie podszedł do ziemniaków z powodu niewielkiej ilości stopionego masła na wierzchu, ale ponieważ nie zaczęły mu podchodzić do gardła, poprosił nawet o dokładkę.

I tak mijały dni i noce. Cale nadal uprawiał długie wędrówki, czasem w towarzystwie IdrysPukkego, czasem samotnie. Godzinami siedzieli w milczeniu albo rozmawiali, chociaż to zawsze IdrysPukke mówił więcej. Nauczył chłopca łowić ryby, zachowywać się kulturalnie przy stole (nie bekać, nie siorbać, jeść z zamkniętymi ustami), opowiadał o swoim barwnym życiu, nie szczędząc również historii, w których śmiał się z samego siebie, czemu Cale w dalszym ciągu nie mógł się nadziwić. Kiedy w Sanktuarium dziecko śmiało się z dorosłego, dostawało dotkliwe lanie; jeśli dorosły zachęcał młodego czło-

223

wieka, aby się z niego śmiał, godził w wiarę. Wieczorami Cale czuł nieraz niepokonowaną potrzebę, aby wybuchnąć śmiechem bez żadnego zgoła powodu.

Nie przestawał również IdrysPukke obdzielać chłopca dobrodziejstwem swej filozofii życia.

— Miłość między kobietą a mężczyzną jest najlepszym przykładem faktu, że wszystkie nadzieje tego świata są absurdalnym urojeniem, a to z tego powodu, że obiecuje krocie, a daje ledwie krztynę.

To znów:

— Wiem, że nie muszę cię przekonywać, jakim ten świat jest piekłem, spróbuj jednak zrozumieć, że mężczyźni i kobiety są w nim zarówno duszami poddawany mi mękom, jak i diabłami, które męki zadają.

I dalej:

— Żaden rozumny człowiek nie uznaje rzeczy za prawdziwe tylko dlatego, że tak twierdzi osoba stojąca u władzy. Nie przyjmuj za prawdę nic, w czym sam się nie utwierdziłeś.

Cale odwzajemniał mu się, opowiadając o życiu u odkupicieli.

— Z początku baliśmy się nie tylko bicia. Wtedy jeszcze wierzyliśmy w to, co mówią: że nawet jeśli nie zostaniemy przyłapani na złym uczynku, to urodziliśmy się źli; i że Bóg widzi wszystko, co robimy, więc musimy się ze wszystkiego wypowiadać. Jeśli nie wyznamy całej prawdy i umrzemy w grzechu, pójdziemy do piekła i będziemy się smażyć przez wieczność. Nocą, po modlitwach, które kończyły się słowami: „A jeśli tej nocy śmierć mnie zabierze?”, leżałem z otwartymi oczami, pewny, że gdy tylko zasnę, więcej się nie obudzę i będę płonął w ogniu piekielnym na wieki wieków. — Przerwał. — Ile miałaś lat, IdrysPukke, kiedy poznałeś, co to groza?

— Na pewno więcej niż pięć. W bitwie nad Koźlą Rzeką. Miałem wtedy chyba siedemnaście lat. Wpadliśmy w zasadzkę

224

podczas zwiadu. To była moja pierwsza prawdziwa walka. Ale uczyłem się walczyć, i byłem całkiem niezły, trzeci na roku. Kawaleria Druzów wdarła się na wzgórze i zapanował nieopisany chaos. Zgiełk, zamieszanie... nie mogłem wykrztusić słowa, język przyrósł mi do podniebienia. Zacząłem się trząść i zachciało mi się... no cóż...

— Zesrać w gacie? — podsunął Cale.

— Jasne, po co ujmować to oględniej. Wszystko trwało nie dłużej niż pięć minut, ale ja nawet nie dobytek miecza.

— Czy ktoś to zauważył?

— Tak.

— Co powiedzieli?

— Że przywyknę.

— Nie zbili cię?

— Nie. Ale gdyby to się powtórzyło... no cóż, nie pożyłbym długo. — Znowu zapadło milczenie. — Nigdy się tak nie czuleś?

To było bardzo trudne pytanie. Brat IdrysPukkego, ściślej mówiąc brat przyrodni wypuścił go na wolność i oddał mu pod opiekę Cale'a pod kilkoma warunkami, między innymi, że dowie się o chłopcu jak najwięcej zdoła, a przede wszystkim tego, czy jego pozorny brak strachu jest wyjątkowy, właściwy tylko dla niego, czy też osiągnięty jakimiś sztucznymi środkami przez odkupicieli.

— Kiedy byłem mały, bałem się ciągle — odrzekł Cale po chwili. — Potem przestałem.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

Oczywiście to nie była prawda, w każdym razie nie cała.

— I teraz nigdy się nie boisz?

Chłopiec popatrzył na niego z namysłem. W ciągu ostatnich kilku tygodni przeżył wiele

znane dotąd uczucia przyjaźni i zaufania, ale kilka tygodni życzliwości i hojności nie wystarczyło, aby całkiem przełamać jego nieufność. Zastanawiał się, czy powinien zmienić temat. Wydawało się jednak, przynajmniej na pierwszy rzut oka, że nie stanie się nic złego, jeśli powie prawdę.

— Boję się rzeczy, które mogą mnie skrzywdzić w sensie ogólnym. Wiem, czego chcą ode mnie odkupiciele. Trudno to wyjaśnić. Ale walka to co innego. To co mówiłeś o bitwie...

Zerknął na IdrysPukkego.

— Nad Kozłą Rzeką.

— ...o tym, jak się trząsałeś, i o mało się nie zesrałeś.

— Nie przejmuj się, nie musisz oszczędzać moich uczuć.

— Ze mną jest odwrotnie. Robię się lodowaty, wszystko staje się bardzo jasne i przejrzyste.

— A potem?

— Co: potem?

— Czy potem się boisz?

— Nie. Na ogół nic nie czuję. Tylko wtedy, kiedy dałem nauczkę Connowi Materazziemu, wtedy byłem zadowolony. Nadal jestem. Ale kiedy zabiłem żołnierzy na arenie, nie czułem się dobrze. W końcu nie zrobili mi nic złego. — Urwał. — Nie chcę o tym rozmawiać.

IdrysPukke był mądrym człowiekiem i więcej nie naciskał. Cale powrócił do swoich wędrówek, a wieczorami pili, palili i jedli coraz cięższe potrawy w miarę jak żołądek chłopca stopniowo przyzwyczajał się a to do ryby smażonej w chrupiącym cieście, a to do warzyw polanych obficie roztopionym

masłem, to znów kropli śmietanki na jeżynach.

* * *

Przez cały miesiąc, gdy Cale i IdrysPukke rozkoszowali się ciszą i spokojem Zielonych Koron, czuwali przy nich mężczyz-

na i kobieta. Rzecz jasna nie robili tego z troski. Można sobie wyobrazić uwagę, z jaką matka czuwa przy dziecku, tylko odartą z miłości.

We wszystkich opowieściach spośród złych i dobrych bohaterów, tylko dobrych spotykają pechowe niespodzianki, niemiłe przygody, fatalne zrzączenia losu i nieudolne pomyłki. Żli są zawsze bystrzy i

zdyscyplinowani, a ich plany przebiegły, tylko udaremnione w ostatniej chwili. Żli osiągnęły zawsze same szczyty doskonałości i działają bezbłędnie. W prawdziwym życiu zarówno jedni, jak i drudzy popełniają proste błędy, których czasami łatwo by się dało uniknąć, miewają złe dni i dają się sprowadzić na manowce. W istocie więcej jest w niegodziwcach słabości niż żądzy zabijania i krzywdzenia. Nawet najczarniejsze, najokrutniejsze dusze skrywają czułe miejsca. Nawet najsrozsze pustynie mają swoje oazy, drzewa rzucające cień i łagodne strumienie. Deszcz pada tak samo na sprawiedliwych i nieprawych; równo obdzielają ich pech i sprzyjający los, niespodziewane zwycięstwa i niezasłużone porażki.

Oparty plecami o drzewo morwowe Daniel Cadbury zamknął książkę, którą czytał — Melancholijnego księcia, i mruknął z satysfakcją.

— Cicho bądź! — powiedziała kobieta, która z uwagą patrzyła w drugą stronę, ale na odgłos zatraskiwanej książki odwróciła raptownie głowę.

— Chłopak jest ponad dwieście kroków stąd — odparł Cadbury. — Niczego nie słyszał.

Sprawdziwszy przelotnie, że Cale rzeczywiście śpi wciąż nad rzeką przepływającą u stóp wzgórza, kobieta odwróciła się z powrotem do Daniela i tym razem tylko spiorunowała go wzrokiem. Gdyby Cadbury nie był tym, kim był — mordercą, dawnym galernikiem i czasami szpiegiem Kici Zajęca —

227

4

prawdopodobnie poczułby się nieswojo. Jego towarzyski nie nazwałoby się brzydką, może po prostu zbyt pospolitą, ale jej oczy, pozbawione wszystkich innych uczuć, mogły każdego przyprawić o drżenie.

— Chcesz pożyczyć? — spytał, wskazując książkę. — Bardzo dobra.

— Nie umiem czytać — odparła, myśląc, że sobie z niej drwi, co zresztą było prawdą.

Normalnie Cadbury nie byłby tak niemądry, żeby drażnić Jennifer Plunkett, zabójczynię, którą Kicia Zajęca tak podziwiał, że przydzielał jej tylko najtrudniejsze skrytobójstwa. Daniel jęknął zrozpaczony, kiedy Kicia poinformował go, kto mu będzie towarzyszył.

— Nie, tylko nie ona, błagam.

— Przyznaję, że to niezbyt przyjazne towarzystwo — zbulgotał Kicia — ale tym chłopakiem interesuje się wiele ważnych osobistości, ja również, i mam przeczucie, że w tym wypadku nie obędzie się bez sporego zamieszania, a pod tym względem Jennifer Plunkett jest niezrównana. Musisz znieść jej obecność ze względu na mnie, Cadbury.

I sprawa była zamknięta.

To z nudów Cadbury zaczął prowokować tę uzdolnioną rzeźniczkę, która właśnie przeszła go groźnym spojrzeniem. Obserwowali chłopaka już prawie miesiąc, w tym czasie Daniel tylko jadł, spał, pływał, spacerował i biegał. Nawet lektura Melancholijnego księcia, którego w ciągu wielu lat przeczytał kilkanaście razy i niezmiennie sprawiało mu to ogromną przyjemność, tym razem nie wystarczyła, aby ukoić jego rosnące zniecierpliwienie.

— Bez obrazu, Jennifer.

— Nie nazywaj mnie Jennifer.

— Muszę cię jakoś nazywać.

228

— Nie musisz.

Nie oderwała od niego wzroku i nawet nie mrugnęła. Jej tolerancja miała swoje granice i nietrudno je było przekroczyć. Wzruszył ramionami na znak kapitulacji, lecz ona nawet nie drgnęła. Zastanawiał się, czy nie powinien być gotów na wszystko. W końcu niczym zwierzę, które nie lubi towarzystwa człowieka, odkręciła głowę i powróciła do obserwacji śpiącego chłopaka.

Nie tylko oczy ma dziwne, pomyślał Cadbury, ale nawet jeszcze bardziej to, co się za nimi kryje. Coś w niej siedzi, ale nie potrafię tego uchwycić.

Był oswojony z ludźmi o morderczych skłonnościach, sam w końcu do nich należał. Zabijał, kiedy tego od niego wymagano, rzadko robił to z przyjemnością, często niechętnie, a nawet ze skrucą. Większość płatnych zabójców czerpała z tego, co robili, mniejszą lub większą przyjemność. Jennifer Plunkett była inna przynajmniej pod tym względem, że nie potrafił zrozumieć, co się w niej dzieje, kiedy zabija. Obserwując ją, gdy mordowała dwóch mężczyzn aresztowanych przez żołnierzy, których przekupił IdrisPukke, doszedł do wniosku, że nigdy w życiu czegoś podobnego nie widział. Po wypuszczeniu, nieświadomi, że są tylko przynętą, szpiedzy zdołali jakimś cudem trafić aż do lasu i niespełna stając od Zielonych Koron rozbili obóz. Nie konsultując się z Cadburym, co było zawodową nieuprzejmością, lecz co Daniel postanowił puścić w niepamięć, Jennifer podeszła do nich, kiedy siedzieli przy ognisku i parzyli herbatę w czajniczku, i zadźgała obydwu. Najbardziej go zdumiało to, że nie wywołała ani odrobiny zamieszania. Zamordowała ich bez najmniejszego wysiłku, jakby matka podnosiła dziecku upuszczoną zabawkę — chwila przerwy w nieznośnej nudzie oczekiwania. Kiedy mężczyźni zorientowali się, co się dzieje, obaj dogorywali. Nawet najbardziej bezwzględni mor-

229

s

dercy, jakich znał, musieli lub chcieli przygotować się do zabójstwa. Jennifer Plunkett nie.

Jego rozmyślania przerwało przebudzenie się chłopca, który zaczął się kręcić nad rzeką. Odszedł dwadzieścia kroków, po czym odwrócił się i z krzykiem puścił się biegiem. Nabierał prędkości, a jego krzyk wznosił się coraz wyżej, a kiedy dobiegł do brzegu, wyskoczył wysoko w powietrze i z pluskiem wpadł do lodowatej wody. Wynurzył się natychmiast, śmiejąc się na cały głos. Wyskoczył na brzeg i nagi jak go pan Bóg stworzył, zaczął tańczyć, śmiać się i krzyczeć z dzikiej rozkoszy, jaką dawała zimna woda i ciepłe letnie powietrze.

— Fajnie być młodym, co? — powiedział Cadbury.

Nie sposób było nie cieszyć się razem z Calem. Nagle ze zdumieniem zobaczył, do jakiego stopnia była to prawda. Jennifer Plunkett się uśmiechała, jej twarz przeobraziła się niczym portret świętego.

To było oblicze zakochanej kobiety. Gdy tylko zauważyła wzrok Cadbury'ego, powróciła do rzeczywistości z owego raj, do którego zawiódł ją Cale. Zamrugła jak jastrząb albo dziki kot i odwróciła głowę, a na jej twarz znów powróciła pustka.

— Jak myślisz, czego od niego chce Kicia Zając? — spytała.

— Nie mam pojęcia — odparł Cadbury. — Ale nic dobrego. Szkoda — dodał ze szczerym żalem.
— Wygląda na szczęśliwego.

Natychmiast pożałował tych słów. Jakby zobaczył rumieniącego się węża. Masz nauczkę, pomyślał, żebyś nie sądził, że wiesz, co się dzieje w duszach innych ludzi. Wciąż pełen zadziwienia nad tym niezwykłym obrotom wydarzeń oparł się o pień morwy.

Jak się okazało, niedługo musiał czekać, aby się dowiedzieć. Udawał że śpi, ale był zbyt doświadczonym człowiekiem, aby pozostawić tak nieprzewidziane okoliczności bez wyjaśnienia.

230

Obserwując spod przymkniętych powiek plecy Jennifer, wyciągnął sztylet i ukrył dłoń zaciśniętą na rękojeści pod prawym udem, od strony niewidocznej dla kobiety. Przez pół godziny widział tylko jej nieruchome plecy i słyszał powtarzające się krzyki chłopca, po których następował głośny plusk i hałaśliwy wybuch śmiechu. Potem odwróciła się i podeszła do Daniela ze sztyletem w dłoni i tak samo jak poprzednio, spokojnie, bez zamieszania, wzniosła broń do śmiertelnego pchnięcia. Cadbury zablokował uderzenie lewą ręką, a prawą wyprowadził w górę własny cios. Zdziwiło go, jaka jest szybka, nawet kiedy przetaczali się po suchych liściach wyściełających ziemię. Turlali się tam i z powrotem w śmiertelnym uścisku, słysząc swe chrapliwe oddechy i szelest martwych liści i niemal usta przy ustach patrzyli sobie w oczy. Powoli Cadbury, który miał więcej siły, zaczął zyskiwać przewagę. Jennifer wiła się i skręcała, lecz w końcu Cadbury przygwoździł ją do ziemi, walka była skończona. Kobieta jednak miała w zanadrzu jeszcze jedną broń poza gniewem i nienawiścią, którą mogła przywołać na pomoc: swą dziwną, niepokojącą miłość. Jak może pozwolić mu umrzeć? Zebrała wszystkie siły, zrzuciła z siebie przeciwnika i poderwawszy się na równe nogi, pomknęła w stronę rzeki, ku swemu ukochanemu chłopcu.

— Thomasie Cale! Thomasie Cale! — wołała.

Chłopak podniósł głowę, wdrapując się nago po omszałym

brzegu i z rozdziawionymi ustami gapił się na wrzeszczącą megierę, pędzącą rozpaczliwie ze wzgórza i wywrzaskującą jego imię:

— Thomasie Cale! Thomasie Cale!

Spośród wszystkich niecodziennych widoków, którymi życie go przekłęło, ten był z nich wszystkich najdziwniejszy: zdziczała istota nieokreślonej płci wykrzykiwała jego imię i nazwisko, wymachiwała sztyletem i pędziła ku niemu z obłądem w oczach.

231

Zaskoczony podbiegł do swojego ubrania i złapał miecz, ale broń wypadła mu z dłoni; podniósł go jeszcze raz i przygotował się do uderzenia, ponieważ wrzeszcząca kobieta była już prawie przy nim.

Usłyszał ostry świst, a potem głuchy odgłos, jak klepięcie dłoni w koński bok. Jennifer kaszlnęła gwałtownie i przekoziółkowała obok przerażonego Cale'a, by po chwili grzmotnąć o pień dębu.

Cale ukrył się za drzewem. Serce mu łomotało i dygotało jak ptak schwytyany w pułapkę. Zaczął się rozglądać za drogą ucieczki. We wszystkie strony wokół drzewa na odległość kilkudziesięciu kroków ciągnął się pusty teren, który nie mógł zapewnić żadnej osłony. Spojrzał na ciało. Teraz dopiero stwierdził, że to była kobieta; leżała zwinięta pod drzewem na brzuchu i nieco na boku. Trzyuncjowa strzała przeszła ją na wylot, koniuszek grota sterczał z piersi. Z nosa co kilka sekund kapała na ziemię kropelka krwi. Nie był to łatwy strzał, do biegnącego chaotycznie celu, ale też nie wybitny. Biegła z kierunku, skąd wyleciała strzała, gdyby zaś Cale wyskoczył teraz zza drzewa, poruszałby się prostopadle do linii strzału. Dotarcie do najbliższej osłony zajęłoby mu pięć lub sześć sekund, to czas wystarczający na jeden strzał, nie więcej, i to bardzo trudny. Ale mógłby się udać. Kleist w takich warunkach na cztery próby trafiłby trzy razy.

— Hejże, mały!

Jakieś dwieście pięćdziesiąt kroków, dokładnie przed nim, stwierdził Cale.

— Czego chcesz?

— Może na przykład usłyszeć „dziękuję”?

— Dziękuję. A teraz się odchrzań.

— Ty niewdzięczny smarkaczu! Właśnie uratowałem ci życie.

Przemieszczał się? Chyba tak.

— Coś ty za jeden?

232

— Twój anioł stróż, stary. To była bardzo niegrzeczna dziewczynka, bardzo niegrzeczna.

— Czego chciała?

— Poderżnąć ci gardło, koleś. Tak zarabiała na życie.

— Dlaczego?

— Nie wiem, stary. Vipond mnie wysłał, żebym miał oko na ciebie i jego niewydarzonego brata.

— Niby czemu miałbym ci wierzyć?

— Nie musisz. Mnie to i tak obojętne. Tylko, żebyś za mną nie polazł. Nie chciałbym cię sprzątnąć po tym, ile trudu sobie zadałem, żeby ci uratować tyłek. Więc nie ruszaj się stąd przez piętnaście minut, a w czasie, kiedy ty wykażesz cierpliwość, ja ruszę w swoją stronę i nikomu nie stanie się krzywda. W porządku?

Cale rozważał różne możliwości: pójść za nim, złapać i wydusić prawdę? Albo dostać strzałę w plecy. Facet sprawia wrażenie, jakby wiedział, co robi.

— Dobrze. Piętnaście minut.

— Słowo honoru?

— Co?

— Nieważne. Może byś chociaż podziękował?

Rozeszli się w różne strony. Cadbury ruszył w głąb lasu,

Cale, wykorzystując drzewa jako osłonę, wśliznął się do rzeki i ostrożnie, tuż przy brzegu popłynął w przeciwnym kierunku.

Trzy godziny później razem z IdrysPukkiem pod osłoną drzew oglądali zwłoki kobiety. Przez dwie godziny szukali śladu domniemanego zbawcy Cale'a, na próżno. IdrysPukke przeszukał zabitą i szybko znalazł trzy sztylety, dwie garoty, narzędzie do miażdżenia kciuków, kastet, a w ustach na lewym dźwięśle elastyczne ostrze długości cala owinięte w jedwab.

— Nie wiem, co zamierzała, ale na pewno nie przysłała tu, żeby ci sprzedać wieszaki na ubrania.

233

— Wierzysz mi?

— Twojemu zbawcy? To, co mówił, brzmi prawdopodobnie. Nie wiem, czy mu wierzę, ale spójrzmy prawdzie w oczy: gdyby chciał cię zabić, mógłby to zrobić dziesiątki razy w ciągu ostatniego miesiąca. Mimo to cała ta sprawa śmierdzi.

— Myślisz, że Vipond naprawdę mógł go przysłać?

— Mógł. — Zadumał się. — Sporo trudu ludzie sobie zadają z twojego powodu, jak na takiego pętaka. Bez obrazy.

Cale nie obraził się z jednej prostej przyczyny: myślał dokładnie to samo.

— A co z tą kobietą? — spytał w końcu.

— Wrzuc ją do rzeki.

Tak skończyła Jennifer Plunkett.

* * *

Tego wieczoru ze względów bezpieczeństwa nie wyszli z jedzeniem na werandę. Dyskutowali o wydarzeniach minionego dnia.

— Rzecz w tym, co powinniśmy zrobić. Gdyby ktoś, kto zabił tę kobietę, dybał również na twoje życie, zrobiliby to wcześniej. Albo może to zrobić jutro.

— Mówiłeś, że ta sprawa cuchnie.

— Możliwe, że Vipond przysłał kogoś, żeby nas pilnował, nawet jeśli zrobił to z własnych powodów. Nie można również wykluczyć, że któryś z pokonanych przez ciebie Mondów poczuł się upokorzony i nasłał zbirów, żeby cię ukatrupili. Mają pieniądze i motyw. Wyglądało na to, że ta kobieta biegła, żeby cię zabić, trzymała w ręku nóż. Ten mężczyzna ją powstrzymał, po czym się

zmył. To są fakty, oczywiście nie wszystkie, przyszłe wydarzenia mogą sprawić, że zobaczymy je w zupełnie innym świetle, na razie jednak pozostają domysły. Nieważne, czy tu zostaniemy, czy przeniesiemy się gdzieś

234

0 i*

indziej, nie mamy jak się obronić przed kobietą czy mężczyzną z dobrym okiem i złymi zamiarami albo wizją nagrody w sercu. Czy masz inną propozycję?

— Nie.

— No to sprawa załatwiona.

Nazajutrz rano Cale zbudził się wcześniej i wyszedł przed dom nie bez obaw. Rozumiał powody fatalistycznego nastawienia IdrysPukkego, ale to w końcu nie o jego życie chodziło. Jak on sam lubił mawiać, każdy filozof potrafi znieść ból zęba poza tym, który go boli.

Pochłonięty myślami Cale nie zauważył dorodnego gołębia spacerującego po werandzie tam i z powrotem i wyjadającego okruszki chleba.

— Nie ruszaj się — powiedział łagodnie IdrysPukke za jego plecami.

Z kawałkiem chleba w wyciągniętej dłoni zbliżył się powoli do ptaka i zaczął go karmić. Jednocześnie objął go ostrożnie drugą dłonią i zamknął palce. Następnie odwrócił go i delikatnie odczepił małą metalową rurkę przyczepioną do nogi zwierzęcia. Cale patrzył na niego zdezorientowany.

— To gołąb pocztowy — oznajmił IdrysPukke. — Od Viponda. Potrzyмай go.

Oddał Cale'owi ptaka i odkręcił rurkę. Wyjął ze środka kawałek papieru ryżowego i zaczął czytać. Kiedy skończył, twarz mu spochmurniała.

— Oddział odkupicieli porwał Arbell Łabędzioszyją.

Cale zarumienił się zmieszany i zdziwiony.

— Dlaczego?

— Tego nie napisał. Chodzi o to, że Arbell przebywała w rezydencji nad jeziorem Constanz. To sto staj stąd. Najkrótsza droga do Sanktuarium wiedzie przez przełęcz Cortina, niecałe pięćdziesiąt staj na północ od nas. Jeśli jadą tamtędy, musimy

235

T

i

ich znaleźć i przekazać potem wiadomość oddziałom, które Vipond za nami wysyła. — Jego twarz wyrażała zatroskanie i zdziwienie. — To nie ma sensu. Równie dobrze mogliby otwarcie wypowiedzieć wojnę. Po co to robili?

— Nie wiem, ale muszą mieć w tym jakiś cel. Nie ważyliby się na coś podobnego, gdyby Bosco nie skinął głową, a Bosco wie, co robi.

— Księżyc jest w nowiu, więc nie mogą podróżować nocą, my zresztą też nie. Spakujemy się, prześpimy i wyruszymy o świcie. — Wziął głęboki oddech. — Chociaż Bóg świadkiem, że niewielkie mamy szanse, żeby ich złapać.

ich znaleźć i przekazać potem wiadomość oddziałom, które Vipond za nami wysłał. — Jego twarz wyrażała zatroskanie i zdziwienie. — To nie ma sensu. Równie dobrze mogliby otwarcie wypowiedzieć wojnę. Po co to robili?

— Nie wiem, ale muszą mieć w tym jakiś cel. Nie ważyliby się na coś podobnego, gdyby Bosco nie skinął głową, a Bosco wie, co robi.

— Księżyc jest w nowiu, więc nie mogą podróżować nocą, my zresztą też nie. Spakujemy się, prześpimy i wyruszymy o świcie. — Wziął głęboki oddech. — Chociaż Bóg świadkiem, że niewielkie mamy szanse, żeby ich złapać.

ich znaleźć i przekazać potem wiadomość oddziałom, które Vipond za nami wysłał. — Jego twarz wyrażała zatroskanie i zdziwienie. — To nie ma sensu. Równie dobrze mogliby otwarcie wypowiedzieć wojnę. Po co to robili?

— Nie wiem, ale muszą mieć w tym jakiś cel. Nie ważyliby się na coś podobnego, gdyby Bosco nie skinął głową, a Bosco wie, co robi.

— Księżyc jest w nowiu, więc nie mogą podróżować nocą, my zresztą też nie. Spakujemy się, prześpimy i wyruszymy o świcie. — Wziął głęboki oddech. — Chociaż Bóg świadkiem, że niewielkie mamy szanse, żeby ich złapać.

21

Nazajutrz IdrysPukke czekał z wyruszeniem w drogę, aż zrobi się całkiem widno. Cale próbował go przekonywać, że powinni podjąć to niewielkie ryzyko, ale jego towarzysz nie chciał nawet o tym słyszeć.

— Jeśli któryś koń nam okuleje w ciemności, utkniemy tu na dobre.

Cale wiedział, że to słuszna decyzja, ale niecierpliwił się, aby jak najszybciej ruszyć w pościg, więc tylko jęknął z irytacją. IdrysPukke jeszcze przez dwadzieścia minut nie zwracał uwagi na jego rozgorączkowanie, po czym nareszcie wyruszyli w drogę.

Przez następne dwa dni zatrzymywali się tylko na posiłek i aby dać wypocząć koniom. Chłopiec poganiał ich nieustannie, lecz IdrysPukke spokojnie powtarzał, że on i zwierzęta nie dadzą rady jechać bez spoczynku. Wszyscy czworo muszą być w dobrej kondycji, jeśli mają dogonić odkupicieli, a co najmniej jeden koń powinien jeszcze zachować dość sił, aby jak najszybciej wrócić do Materazzich i przekazać informacje, dokąd się kierują napastnicy i w jakiej liczbie.

— Sprawiasz wrażenie, jakbyś się zupełnie nie martwił o dziewczynę — zauważył Cale.

— Właśnie dlatego, że się martwię, robimy po mojemu. Ponieważ ja mam rację. Poza tym, czemuż to tak się troskasz o Arbell Łabędzioszyją?

— Wcale się nie troskam. Ale jeśli uda mi się udaremnić plany odkupicieli, to może marszałek popatrzy na mnie łaskawszym okiem. Przypominam ci również, że mam w Memphis przyjaciół, którzy są zakładnikami.

— Myślałem, że nie masz przyjaciół. Podobno to tylko zbieg okoliczności splótł wasze losy.

— Uratowałem im życie. Uznałbym to za przyjacielski gest.

— A ja sądziłem, że byłeś bohaterem mimo woli.

— Bo byłem.

— No więc jak to jest, panie Cale, szlachetnyś z wyboru czy przez przypadek?

— W ogóle nie jestem szlachetny.

— To ty tak twierdzisz. A mnie zastanawia, czy nie mamy do czynienia z antycypowanym bohaterem.

— Co znaczy antycypowanym?

— Przeczuwanym. Takim, który się dopiero narodzi.

Cale roześmiał się niewesoło.

— Jeśli tak, to lepiej, żebyś nie miał okazji się o tym przekonać.

Na te słowa IdrisPukke postanowił zamilknąć.

Drugiego dnia podróży wjechali na główną drogę prowadzącą ku przełęczy Cortina. Chociaż trudno to było nazwać drogą.

— Nikt z niej nie korzysta od sześćdziesięciu lat, od kiedy odkupiciele zamknęli granice.

— Jak daleko jest od przełęczy do Sanktuarium? — spytał Cale.

— Nie wiesz?

— Odkupiciele nie zostawiali na wierzchu poniewierających się map, które mogłyby ułatwić akolitom ucieczkę. Jeszcze

238

V

kilka miesięcy temu myślałem, że Memphis leży setki staj od Sanktuarium.

Gdyby uwagi IdrisPukkego nie odwróciła piękna, cynob-rowo-złota ważka, zauważyłby konsternację Cale'a, który właśnie w tym momencie myślał, że się zdradził. — To znaczy, zanim tu przyjechałem i zorientowałem się, że tak nie jest — dodał.

Tym razem IdrisPukke usłyszał w jego głosie zmieszanie.

— O co chodzi?

— O nic.

— Skoro tak twierdzisz...

Przestraszony, że wydało się coś, czego bardzo nie chciał ujawniać, Cale milczał spłoszony przez następne dziesięć minut. Kiedy IdrysPukke znowu przemówił, sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o całym incydencie. I rzeczywiście tak było.

— Sanktuarium leży dwieście staj od przełęczy, ale nie muszą jechać aż tak daleko. Wystarczy, że dotrą do garnizonu w Wieży Męczenników, czterdzieści staj od granicy.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Nie jest zbyt duży, ale ma grube mury. Trzeba by całej armii, żeby go zdobyć.

— I co, jeśli tam dotrą?

— Nic. Marszałek ubóstwia córkę, da im wszystko, czego zechcą.

— A skąd wiesz, że czegoś chcą?

— Żadna inna możliwość nie ma sensu.

— To co ma sens dla ciebie i co ma sens dla odkupicieli to dwie różne rzeczy.

— Czyżbyś wysnuł własną teorię na temat tego, co robią?

— Nie.

— I nie ma to nic wspólnego z tobą?

Cale wybuchnął śmiechem.

239

— Odkupiciele to banda drani, ale naprawdę uważasz, że wszczęliby wojnę z Memphis o trzy dzieciaki i tłustą dziewczynę?

IdrysPukke mruknął.

— Kiedy tak stawiasz sprawę, to nie. Z drugiej strony okłamywałeś mnie przez ostatnie dwa miesiące.

— A kim ty jesteś, żeby domagać się prawdy?

— Najlepszym przyjacielem, jakiego masz.

— Czyżby?

— Tak się składa. Więc może jednak chcesz mi coś powiedzieć?

— Nie.

I na tym stanęło.

Dwadzieścia minut później trafili na ślad po ognisku.

— I co o tym myślisz? — spytał Cale, kiedy IdrysPukke przesiewał przez palce popiół.

— Jeszcze gorący. Byli tu kilka godzin temu, nie więcej. — Wskazał głową zdeptaną trawę i lekko zrytą ziemię. — Ilu?

— Prawdopodobnie co najmniej dziesięciu, ale nie więcej niż dwudziestu. Przykro mi, ale nie jestem najlepszy w tych sprawach.

— Ja również. — Rozejrzał się niepewnie i z namysłem. — Myślę, że jeden z nas powinien zawrócić i powiedzieć Materaz-zim, czego się dowiedzieliśmy.

— Po co? Uważasz, że dzięki temu dojadą tu szybciej? A nawet jeśli tak, to co zrobią? Wydadzą im otwartą bitwę? Na pierwszy szcęk broni odkupiciele zabiją dziewczynę. Gwarantuję ci, że się nie poddadzą.

IdrysPukke westchnął.

— Więc co proponujesz?

— Dogońmy ich, ale trzymajmy się poza zasięgiem wzroku. Kiedy się przekonamy, jak wygląda sytuacja, zastanowimy się,

240

co robić. Najlepiej sprowadzić małą grupkę Materazzich i zrobić to po cichu. Takie jest moje zdanie, przynajmniej na razie. Kiedy ich dogonimy, sprawy mogą przyjąć inny obrót.

IdrysPukke pociągnął nosem i splunął na ziemię.

— Dobrze. Ty ich znasz najlepiej.

Pięć godzin później, kiedy zaczęło się ściemniać, wjechali na szczyt niewielkiego wzniesienia u wylotu przełęczy Cortina wyznaczającej granicę terytoriów odkupicieli i Materazzich.

Wzgórze wznosiło się nad zagłębieniem terenu głębokim na dwadzieścia łokci i długim mniej więcej na sto kroków. W dole sześciu odkupicieli rozbijało właśnie obóz. W samym środku siedziała Arbell Materazzi, prawdopodobnie związana, ponieważ przez cały czas, kiedy patrzyli, ani razu się nie poruszyła. Po pięciu minutach obserwowania Cale i IdrysPukke wycofali się i ukryli w kępie krzewów.

— Jeśli się zastanawiasz, czemu jest ich tylko sześciu, mogę uprzedzić twoje pytanie i powiedzieć ci, że co najmniej czterech patroluje obrzeża obozu — poinformował Cale. — Jednego konnego wysłali do garnizonu, aby wyglądano ich przyjazdu.

— Pojadę sprowadzić Materazzich — oznajmił IdrysPukke.

— Po co?

— Jeśli są niedaleko, mogą zaryzykować jazdę nocą. Nawet jeśli stracą połowę koni, to i tak będą mieli przewagę nad kilkunastoma odkupicielami.

— Ale jeśli nie zdążycie przed świtem tu dotrzeć i przygotować się do walki, tamci wjadą na przełęcz i wymkną się nam. A nawet jeśli zdążycie, to i tak bitwa w biały dzień oznacza pewną śmierć dla Arbella. Albo ich zatrzymamy, zanim wyruszą, albo w ogóle.

— Jest nas tylko dwóch — zauważył IdrisPukke.

— To prawda — zgodził się Cale — ale jednym z tych dwóch jestem ja.

241

— To samobójstwo.

— Nie robiłbym tego, gdyby to było samobójstwo.

— Więc po co to robisz?

Cale wzruszył ramionami.

— Jeśli uratuję dziewczynę, Jego Wyniosłość Marszałek będzie mi dożgonnie wdzięczny. Na tyle wdzięczny, żeby obsypać mnie pieniędzmi i zapewnić bezpieczny przejazd przez ziemie Materazzich.

— Dokąd?

— Gdzieś, gdzie jest ciepło, gdzie mają dobre jedzenie i przede wszystkim tak daleko od odkupicieli jak się da, byleby nie wypaść poza krawędź świata.

— A twoi przyjaciele?

— Przyjaciele? Oczywiście mogą pojechać ze mną, czemu nie?

— Ryzyko jest za duże. Lepiej niech zostanie zakładniczką, Materazzi ją wykupią za każdą cenę, jakiej zażądata odkupiciele.

— Skąd masz pewność, że jest zakładniczką? — spytał Cale rozdrażnionym i zimnym głosem.

IdrysPukke zerknął na niego podejrzliwie.

— Może w końcu dowiem się prawdy?

— Prawda jest taka, że oceniasz odkupicieli własną miarą. Uważasz, że są bardziej odrażający, bardziej obłąkani, ale w gruncie rzeczy pod powierzchnią pragną tego samego, co ty. A tak nie jest.

— Westchnął. — Nie znaczy to, że ich rozumiem. Tak mi się zdawało, dopóki nie zobaczyłem tego, co robił ten zgnilec Picarbo, zanim go zabiłem. Powiedziałem ci, że ją, no wiesz, gwałtował.

— Gwałcił.

Cale poczerwieniał niezadowolony, że go IdrisPukke musiał poprawić.

— Nieważne, jak to się nazywa. On tego nie robił. On ją kroił.

242

I opowiedział, co się dokładnie wydarzyło tamtego wieczoru.

— Boże! — powiedział wstrząśnięty IdrisPukke, kiedy chłopak skończył. — Po co?

— Nie mam pojęcia. Właśnie dlatego mówiłem, że przestałem rozumieć, co się roi w ich odrażających umysłach.

— Czemu mieliby to samo zrobić z Arbell Materazzi?

— Powiedziałem ci, że nie wiem. Może chcą się przekonać, jak wygląda kobieta z tego rodu, no wiesz... — urwał niezręcznie — od środka. Tak czy inaczej nie wierzę, że zrobili to dla pieniędzy. Chciwość nie leży w ich naturze.

— Może chcą odzyskać ciebie.

Cale omal się nie zachłysnął ze śmiechu.

— Na pewno chętnie urządziliby pokaz z mojej egzekucji, stos ze wszystkimi szykanami. Nie przeczę też, że gotowi by byli zadać sobie dużo trudu, żeby mnie złapać, ale wywoływać wojnę z Materazzimi z powodu jednego akolity? Nie ma mowy. — Uśmiechnął się ponuro. — Jestem pewien, że ta sama myśl przyszła do głowy marszałkowi. I założę się, że zanim bym się obejrzał, cała nasza czwórka jechałaby do Sanktuarium jako gest dobrej woli doży. Nie uważasz?

IdrysPukke nie odpowiedział, ponieważ od dłuższej chwili myślał dokładnie to samo. Przez kilka minut obaj milczeli.

— To ryzykowne, ale może się udać — powiedział w końcu Cale. — Nie obchodzi mnie dziewczyna — skłamał. — Nie nadstawiałbym karku dla jakiegoś zepsutego bachora Materazzich. Ale jeśli odkupiciele ją zabiorą, mogę stracić wszystko. Albo wszystko zyskać, jeśli ją odbijemy. Ty również. Wystarczy, że będziesz mnie osłaniał. Jeśli mi się nie uda, będziesz miał szansę uciec. Powiedzmy sobie szczerze, wątpię, żeby Materazzi nam podziękowali za to, że dogoniliśmy dziewczynę i beczynnie patrzyliśmy, jak ją zabierają.

— Życie jest niesprawiedliwe, co zresztą jest najsilniejszym

243

argumentem w każdej dyskusji — powiedział IdrysPukke z uśmiechem. — Dobrze, objaśnij mi wobec tego swój plan.

— Przez całe życie, codziennie Bosco wbijał mi do głowy, dosłownie, trzy słowa: zaskoczenie, brutalność, impet. Teraz pożałuje, że to robił. — Na ziemi usłanej sosnowymi igłami narysował koło. — Wokół obozu będzie stało czterech wartowników: od wschodu, zachodu, północy i południa. Nie ma księżyca, więc nie możemy zaatakować, dopóki nie zacznie świtać. Zabijesz strażnika od strony zachodniej, gdy tylko będziesz go mógł zobaczyć. Wtedy ja się zajmę południowym wartownikiem. Musisz utrzymać pozycję zachodnią, ponieważ tylko stamtąd można oddać czysty strzał w kierunku kamienia, przy którym siedzi dziewczyna. Przeciągnę ją na drugą stronę, kiedy przetnę więzy. Umiesz naśladować jakieś ptaki?

— Sowę — odrzekł IdrysPukke niepewnie. — Ale w tej części świata nie ma sów.

— Myślę, że odkupiciele o tym nie wiedzą. Jaki odgłos wydaje sowa?

IdrysPukke zademonstrował.

— A co, jeśli strażnik narobi hałasu, kiedy będę próbował go zabić?

— Próbował? — powtórzył zbulwersowany Cale. — To nie miejsce i nie czas na próby. Nie chcę słyszeć żadnego „zrobię co w mojej mocy”. Jeśli spartaczysz sprawę, jestem trupem. Rozumiesz?

IdrysPukke spojrział na niego urażony.

— Nie martw się o mnie, chłopcze.

— I tak się martwię. Kiedy usłyszę twój sygnał, zabiję południowego strażnika. Potrzebuję minuty, żeby włożyć jego sutannę. Potem po prostu wejdę do obozu, jak najciszej się da. Kiedy pozostali wartownicy się zorientują, że coś się dzieje...

— Czemu nie możemy najpierw zabić wszystkich czujek?

244

argumentem w każdej dyskusji — powiedział IdrisPukke z uśmiechem. — Dobrze, wyjaśnij mi wobec tego swój plan.

— Przez całe życie, codziennie Bosco wbijał mi do głowy, dosłownie, trzy słowa: zaskoczenie, brutalność, impet. Teraz pożałuje, że to robił. — Na ziemi usłanej sosnowymi igłami narysował koło. — Wokół obozu będzie stało czterech wartowników: od wschodu, zachodu, północy i południa. Nie ma księżyca, więc nie możemy zaatakować, dopóki nie zaczną świtać. Zabijesz strażnika od strony zachodniej, gdy tylko będziesz go mógł zobaczyć. Wtedy ja się zajmę południowym wartownikiem. Musisz utrzymać pozycję zachodnią, ponieważ tylko stamtąd można oddać czysty strzał w kierunku kamienia, przy którym siedzi dziewczyna. Przeciągnę ją na drugą stronę, kiedy przetnę więzy. Umiesz naśladować jakieś ptaki?

— Sowę — odrzekł IdrisPukke niepewnie. — Ale w tej części świata nie ma sów.

— Myślę, że odkupiciele o tym nie wiedzą. Jaki odgłos wydaje sowa?

IdrysPukke zademonstrował.

— A co, jeśli strażnik narobi hałasu, kiedy będę próbował go zabić?

— Próbował? — powtórzył zbulwersowany Cale. — To nie miejsce i nie czas na próby. Nie chcę słyszeć żadnego „zrobię co w mojej mocy”. Jeśli spartaczysz sprawę, jestem trupem. Rozumiesz?

IdrysPukke spojrział na niego urażony.

— Nie martw się o mnie, chłopcze.

— I tak się martwię. Kiedy usłyszę twój sygnał, zabiję południowego strażnika. Potrzebuję minuty, żeby włożyć jego sutannę. Potem po prostu wejdę do obozu, jak najciszej się da. Kiedy pozostali wartownicy się zorientują, że coś się dzieje...

— Czemu nie możemy najpierw zabić wszystkich czujek?

argumentem w każdej dyskusji — powiedział IdrisPukke z uśmiechem. — Dobrze, wyjaśnij mi wobec tego swój plan.

— Przez całe życie, codziennie Bosco wbijał mi do głowy, dosłownie, trzy słowa: zaskoczenie, brutalność, impet. Teraz pożałuje, że to robił. — Na ziemi usłanej sosnowymi igłami narysował koło. — Wokół obozu będzie stało czterech wartowników: od wschodu, zachodu, północy i południa. Nie ma księżycy, więc nie możemy zaatakować, dopóki nie zacznie świtać. Zabijesz strażnika od strony zachodniej, gdy tylko będziesz go mógł zobaczyć. Wtedy ja się zajmę południowym wartownikiem. Musisz utrzymać pozycję zachodnią, ponieważ tylko stamtąd można oddać czysty strzał w kierunku kamienia, przy którym siedzi dziewczyna. Przeciągnę ją na drugą stronę, kiedy przetnę więzy. Umiesz naśladować jakieś ptaki?

— Sowę — odrzekł IdrysPukke niepewnie. — Ale w tej części świata nie ma sów.

— Myślę, że odkupiciele o tym nie wiedzą. Jaki odgłos wydaje sowa?

IdrysPukke zademonstrował.

— A co, jeśli strażnik narobi hałasu, kiedy będę próbował go zabić?

— Próbował? — powtórzył zbulwersowany Cale. — To nie miejsce i nie czas na próby. Nie chcę słyszeć żadnego „zrobię co w mojej mocy”. Jeśli spartaczysz sprawę, jestem trupem. Rozumiesz?

IdrysPukke spojrzał na niego urażony.

— Nie martw się o mnie, chłopcze.

— I tak się martwię. Kiedy usłyszę twój sygnał, zabiję południowego strażnika. Potrzebuję minuty, żeby włożyć jego sutannę. Potem po prostu wejdę do obozu, jak najciszej się da. Kiedy pozostali wartownicy się zorientują, że coś się dzieje...

— Czemu nie możemy najpierw zabić wszystkich czujek?

244

— Nie ma szans, żebyśmy kręcili się wokół obozu przez dłuższy czas i niczym się nie zdradzili. To najbezpieczniejszy sposób. Będą dezorientowani, nie rozpoznają mnie w sutannie, zwłaszcza po ciemku. Jeśli wykonasz swoją część roboty jak należy, cała akcja nie potrwa długo.

— Co mam potem robić?

— Nie będziesz wiedział, gdzie są wartownicy na północy i na wschodzie, dopóki nie zaczną strzelać. Odpowiesz tym samym. Masz sprawić, żeby nie wychylali głów. Przeciągnę dziewczynę za ten głaz. Mogą do nas dotrzeć tylko po zboczu wzniesienia. — Uśmiechnął się. — Tu zaczyna się trudność. Musisz ich powstrzymać, dopóki nie uda mi się uciec. Arbell będzie tam bezpieczna, jeżeli zdołasz utrzymać pozycję. Kiedy dobiegnę na szczyt, będzie nas dwóch na dwóch.

— To pięćdziesiąt kroków otwartej przestrzeni, w tym ostatnie piętnaście pod górę. Jeśli są naprawdę dobrzy, nie masz szans.

— Są dobrzy.

— Właściwie nie wiem, po co się przejmuję samobójczym sprintem, skoro musisz najpierw zabić w pojedynkę sześciu uzbrojonych mężczyzn. Cała ta akcja to absurd. Powinniśmy poczekać na Materazzich.

— Odkupiciele zabiją dziewczynę, zanim Materazzi zdołają do niej dotrzeć. To jedyna szansa dla Arbella. Uwierz mi, mogę to zrobić szybciej, niż to opowiedzieć. Nie spodziewają się ataku o tej porze i nie rozpoznają mnie w sutannie. Kiedy się zorientują, że to napaść, będą się rozglądać za armią Materazzich, nacierających ze wszystkich stron, a nie jednego przebranego człowieka w środku obozu.

— Owszem, bo pomysł jest tak głupi, że aż trudno weń uwierzyć.

— To moje życie leży na szali, nie twoje.

245

— I dziewczyny.

— Dziewczyna jest coś warta tylko pod warunkiem, że to my ją uratujemy, tu i teraz. Jeśli nie, stracisz wszystko. Powiedziałbym, że wybór jest prosty.

* * ◆

Sześć godzin później IdrysPukke stał nad zwłokami zachodniego wartownika.

Brat Viponda dowodził w wielu bitwach, w których ginęły tysiące żołnierzy, minęło jednak wiele czasu, od kiedy zabił człowieka w bezpośredniej walce. Przez chwilę wpatrywał się w szklane oczy, otwarte usta, obnażone zęby i poczuł, że zaczyna drżeć na całym ciele.

W efekcie odgłos sowy wiązał mu w gardle i prawdopodobnie poderwałby na równe nogi każdego, kto kiedykolwiek w życiu słyszał tego ptaka. Jednak niespełna minutę później zobaczył sylwetkę Cale'a schodzącego w kierunku obozu odkupicieli, powoli, aby nie narobić hałasu, lub — gdyby zauważył go któryś z pozostałych strażników — nie sprawiać wrażenia, że się spieszy. Nagle IdrysPukkego przejęła groza, kiedy patrzył na bądź co bądź chłopca zaledwie zmierzającego lekkim krokiem w kierunku sześciu śpiących mężczyzn.

Nie był pewien, czego się spodziewać, ale to, co nastąpiło, nie przypominało niczego, co do tej pory widział. Cale wyciągnął krótki miecz i jednym ruchem przebił pierwszego ze śpiących. Mężczyzna nawet nie drgnął ani nie jęknął. Nadal nie spiesząc się, chłopiec ruszył w kierunku drugiego leżącego odkupiciela i znów jeden potężny cios nie wywołał najmniejszego hałasu. Kiedy poszedł dalej, trzeci zakonnik poruszył się i nawet podniósł głowę. Trzecie uderzenie — jeśli zaatakowany wydał jakiś odgłos, IdrysPukke go nie usłyszał. Cale tymczasem skierował się ku czwartemu, który podniósł się i siedząc,

246

spojrzał nań zdziwiony, lecz bez lęku. Dźgnięty w gardło wydał stłumiony, lecz wyraźny krzyk.

Zbudzili się dwaj pozostali odkupiciele w obozie — mężczyźni doświadczeni, zaprawieni w wielu bitwach i niełatwo dający się zaskoczyć. Pierwszy krzyknął na Cale'a i rzucił się na niego, celując krótką włócznią w twarz. Cale wymierzył cios w szyję, lecz chybił i trafił w ucho. Raniony wrzasnął i upadł, krzycząc z bólu. Ostatni ze śpiących stracił do reszty przytomność umysłu i nie pomogły mu niezliczone walki, w których brał udział. Patrzył przerażony na swego towarzysza, ściskającego w rękach zakrwawione, zeschnięte liście, aż Cale w śmiertelnośnym transie przebił mu pierś. Z bezgłośnym jękiem osunął się na ziemię, gdzie nadal wił się i wrzeszczał zraniony odkupiciel.

Dopiero teraz, pierwszy raz Cale puścił się biegiem, kierując się w stronę dziewczyny, która zbudziwszy się, widziała trzy ostatnie zabójstwa. Miała związane ręce i nogi. Podniósł ją jednym ruchem na ramię i pobiegł na drugą stronę wielkiego głazu, przy którym spała. Koło lewego ucha świsnęła mu strzała, lecz odbiła się od skały. Z góry kontratakował IdrysPukke, na co natychmiast zareagował drugi wartownik, strzelając w kierunku drzew, za którymi ukrywał się towarzysz Cale'a.

Przez kilka następnych minut strzały śmigły tam i z powrotem, aż IdrysPukke odkrył podstęp przeciwnika: jeden z odkupicieli podkładał się w jego stronę, podczas gdy drugi go osłaniał. Z minuty na minutę robiło się coraz jaśniej, a z nastaniem świtu szansa, by Cale'owi udało się wbiec na górę, malała prawie do zera. Wkrótce IdrysPukke powinien jak najszybciej uciec z tego miejsca, inaczej znajdzie się w pułapce.

Cale dał znak Arbell, żeby się nie ruszała, po czym puścił się pędem w kierunku wzniesienia. Z naciągniętą cięciwą IdrysPukke wyczekiwał pochopnego strzału, którym łucznik zdradził-

247

by swoją pozycję. Odkupiciel jednak zachował zimną krew, spodziewając się, że Cale zacznie biec pod górę i będzie musiał zwolnić. Po czterech sekundach chłopiec dotarł do podnóża pagórka, potem zaczął się wdrapywać po zboczu, nogi i ręce grzęzły mu w grubej warstwie suchych igieł zaścielających ziemię. I coraz bardziej zwalniał. Nagle na wysokości trzech czwartych zbocza potknął się o wystający korzeń niewidoczny pod igliwem, pośliznął się i zatrzymał, szukając nogą oparcia. Trwało to zaledwie sekundę, ale stracił rozpęd, a łucznik więcej czasu nie potrzebował. Strzał bzyknął jak osa w szklanej misce

i trafił Cale'a dokładnie w chwili, gdy chłopiec wbiegał na szczyt.

* * *

Serce podeszło IdrysPukkemu do gardła. W mroku trudno było dostrzec, gdzie trafiła strzała, ale odgłos uderzenia — zarazem miękki i ostry — nie pozostawiał wątpliwości.

Teraz on sam znalazł się w opałach. Strażnicy musieli się już martwić tylko o niego. Jeśli zostanie, ma niewielkie szanse na przeżycie, lecz jeśli ruszy się z miejsca, tamci mogą zająć jego pozycję, a wtedy wystarczy, że wychylą się nad krawędź i będą mogli wykończyć dziewczynę. I zrobią to niechybnie. Otaczały go ze wszystkich stron gęste krzaki, które zapewniały mu osłonę, ale teraz zasłaniały również jego przeciwników. W tej chwili okoliczności działały na ich korzyść.

W ciągu pięciu minut, które potem nastąpiły, IdrysPukkemu przemknęło przez głowę mnóstwo nieprzyjemnych myśli: świadomość nadchodzącej śmierci i pokusa, aby rzucić wszystko i uciec. Jeśli cię tu zabiją — słyszał diabelski podszept — dziewczynie nic z tego nie przyjdzie, zginiecie oboje zamiast jednego. Ale nie będziesz musiał potem ze sobą żyć — piskało sumienie. Poradzisz sobie, szeptał diabelski głos, lepiej być żywym psem niż martwym lwem.

248

<, -

I tak z mieczem wbitym przed sobą w ziemię, łukiem gotowym do strzału IdrysPukke stał i wsłuchiwał się w gonitwę gonitwę myśli. I czekał.

* * *

Cale był oswojony z bólem, lecz strzała, która utkwiała mu tuż powyżej łopatki, powodowała katusze przewyższające wszystko, czego do tej pory zaznał. Z ust wydarł mu się jęk, którego nie mogły powstrzymać ani męstwo, ani siła woli, a krew sączyła się ciepłym strumieniem po plecach. Całe ciało zaczęło drżeć z bólu, jakby wstrząsane dziwnym atakiem drgawek. Próbował oddychać głęboko, lecz to ani trochę nie uśmierzyło cierpienia i po chwili znów łapał powietrze szybkimi, gwałtownymi spazmami. Musi usiąść i zapanować nad sobą. Podczołgał się kawałek, kwiląc cicho, potem następny. A potem zemdlął. Ocknął się, nie wiedząc, jak długo był nieprzytomny. Sekundy? Minuty? Idą po niego, musi się dźwignąć na nogi. Podpełzł do najbliższej sosny i zaczął się podnosić. To ponad jego siły. Przerwał, a po chwili zaczął na nowo. Wstań albo zginiesz. Udało mu się wyprostować i oprzeć o pień zdrowym ramieniem, ale wysiłek tak go wyczerpał, że zwymiotował, po czym znowu zemdlął. Zbudził się przestraszony i jęknął z bólu, lecz tym razem powodem była nie rana od strzały, lecz kamień wielkości pięści, którym cisnął w niego odkupiciel, stojący dziesięć kroków dalej.

— Sprawdzalem, czy nie udajesz — odezwał się mężczyzna. — Gdzie pozostali?

Cale zdawał sobie sprawę, że musi za wszelką cenę zachować przytomność i wciągnąć tamtego w rozmowę.

— Co mówiłeś?

— Gdzie pozostali?

— Tam.

249

Próbował podnieść rękę i wskazać w kierunku przeciwnym niż IdrysPukke, ale znowu zemdlął. Następny kamień brutalnie przywrócił mu świadomość.

— Co? Co?

— Powiedz mi, gdzie oni są, albo następną strzałę wbiję ci w pachwinę.

— Jest dwudziestu... Przysłał mnie odkupiciel Bosco.

Mężczyzna napiął już łuk, lecz wzmianka o Boscu wprowadziła

go w osłupienie. Skąd jakiś smarkacz w tym miejscu może znać wielkiego Lorda Wojownika? Opuścił łuk i to wystarczyło.

— Bosco powiedział... — zaczął Cale.

Po czym wymamrotał niewyraźnie kilka słów, jakby znowu miał zemdleć. Odkupiciel nie

zastanawiając się wiele, podszedł do niego kilka kroków, aby usłyszeć, co mówi, a wtedy zdrowa ręka chłopca wystrzeliła w powietrze i cisnęła kamień prosto w czoło mężczyzny. Oczy odkupiciela wywróciły się białkami do przodu i z otwartymi ustami osunął się na ziemię. A Cale znowu stracił przytomność.

IdrysPukke czekał nadal na małej, okrągłej polance, osłoniętej z trzech stron tak gęstymi krzewami, że ani on nie widział niczego na zewnątrz, ani nikt z zewnątrz nie mógł przebić ich wzrokiem i zobaczyć go w środku. Za nim strome zbocze opadało piętnaście łokci w dolinę, gdzie siedziała Arbell Materazzi. Zza krzaków doszedł cichy szelest. Uniósł łuk, napiął cięciwę i czekał. Na polankę wpadł kamień. O mały włos IdrisPukke nie wypuścił strzały, na którą liczył jego przeciwnik.

— Wejdz tu, a dostaniesz w bebechy!

Po czym przesunął się trzy kroki w bok, aby zmylić łuczника. Z krzaków świsnęła strzała i przeleciała nad krawędzią skały dokładnie trzy kroki obok IdrisPukkego.

— Odejdź natychmiast, to może darujemy ci życie.

Schylił się i znów zmienił miejsce. Kolejna strzała przeszła

przez pustą przestrzeń, gdzie przed chwilą stał. Popułnił błąd, odzywając się. Minęło dwadzieścia sekund. Był pewien, że odkupiciel musi słyszeć jego głośny oddech.

Mniej więcej dwieście kroków od niego rozległ się przeraźliwy skrzek strachu i bólu. Potem zapadła cisza. Wszystko jakby zamarło, tylko wiatr szumiał w liściach. Zdawało się, że trwa to całe długie minuty.

— To był twój przyjaciel, odkupiciel. Zostałeś tylko ty.

Kolejna strzała chybiła celu.

— Uciekaj, a nie będziemy cię ścigać. Masz na to moje słowo.

— Niby czemu mam ci wierzyć?

— Mój towarzysz będzie tu za dwie lub trzy minuty, może za mnie poręczyć.

— Dobrze, zgadzam się, ale przysięgam na Boga, że jeżeli za mną pójdziecie, to zabiorę jednego z was do grobu.

IdrysPukke postanowił to przemilczeć. Skoro Cale żył i najwyraźniej był w złym humorze, pozostało mu tylko czekać.

Tymczasem Cale przebudziwszy się, zabił ogluszonego odkupiciela i ponownie zemdlał, tak więc nie mógł się nawet ruszyć, nie mówiąc już o ratowaniu przyjaciela. Dziesięć minut później jednak, kiedy IdrisPukke zaczął się coraz bardziej niepokoić, usłyszał cichy głos Cale'a dochodzący z za krzaków po prawej stronie.

— IdrisPukke, wychodzę do ciebie, więc nie odstrzel mi głowy.

— Dzięki Bogu — mruknął do siebie IdrisPukke, opuszczając łuk.

Krzakami zatrzęsło i niezdarnie, robiąc mnóstwo hałasu, wygramolił się z nich Cale.

251

IdrysPukke usiadł, odetchnął głośno i zaczął szukać w kieszeni tytoniu.

— Już myślałem, że nie żyjesz.

— Żyję — odparł Cale.

— Co ze strażnikiem?

— Nie żyje.

IdrysPukke roześmiał się ponuro.

— Niezły z ciebie egzemplarz, nie ma co.

— Nie wiem, co to znaczy.

— Nieważne. — IdrysPukke skończył skręcać i zapalił. — Chcesz? — zaproponował.

— Szczerze mówiąc — odrzekł Cale — nie czuję się najlepiej.

To powiedziawszy, runął na twarz nieprzytomny.

* * *

Nie ocknął się przez trzy tygodnie, podczas których kilkakrotnie ocierał się o śmierć, częściowo z powodu zakażenia wywołanego grotem strzały, głównie jednak za sprawą kosztownych medyków, którzy leczyli go dzień i noc, i których zgubne i głupie metody (jak puszczenie krwi, wyciski i defuskułacja) o mały włos nie osiągnęłyby tego, czego nie dokonało najbardziej brutalne traktowanie w Sanktuarium. A osiągnęłyby to niechybnie, gdyby przejściowy spadek gorączki nie pozwolił Cale'owi na kilka godzin odzyskać przytomności. Oszołomiony i zdezorientowany otworzył oczy i ujrzał pochylającego się nad nim starego mężczyznę w czerwonym czepku.

— Ktoś ty?

— Nazywam się Dee, jestem medykiem — odpowiedział starzec.

To rzekłszy, przyłożył ostry, lecz nie grzeszący czystością nóż do przedramienia chorego.

252

— Co robisz? — spytał Cale, cofając rękę.

— Nie trap się, młodzieńcze — powiedział uspokajająco. — Masz paskudną ranę w ramieniu, w którą wdało się zakażenie. Trzeba ci puścić krew, aby trucizna uszła z ciała.

Chwycił chłopca za rękę i próbował przytrzymać ją nieruchomo.

— Nie dotykaj mnie, przeklęty, głupcze! — chciał wrzasnąć Cale, ale był taki słaby, że zamiast wrzasku, z gardła wydobył mu się ledwie szept.

— Niech cię wszyscy diabli, nie ruszaj się! — krzyknął medyk.

Na szczęście hałas ściągnął do pokoju zaniepokojonego IdrysPukkego.

— Co się dzieje? — zapytał od drzwi i na widok przytomnego Cale'a, zawołał: — Chwała Bogu!
— Podszedł szybko do łóżka i pochylił się nad chłopcem. — Tak się cieszę, że cię widzę przy zdrowych zmysłach.

— Powiedz temu szaleńcowi, żeby sobie poszedł.

— To doktor, przyszedł ci pomóc.

Cale wyrwał medykowi ramię i natychmiast skrzywił się z bólu.

— Zabierz go ode mnie — powtórzył Cale — bo Bóg mi świadkiem, że poderżnę łajdakowi gardło.

IdrysPukke dał starcowi znak, aby się oddalił, co tenże uczynił, demonstracyjnie okazując swą urozoną godność.

— Obejrzyj ranę.

— Nie znam się na leczeniu. Niech medyk wróci i ją obejrzy.

— Dużo krwi straciłem?

— Dużo.

— Więc nie chcę, żeby mi jakiś cymbał pomagał jej tracić jeszcze więcej. — Przewrócił się na prawy bok. — Powiedz mi, jakiego jest koloru.

253

Delikatnie, chociaż i to przysporzyło chłopcu niemało bólu, IdrysPukke zdjął z rany poplamiony, brudny bandaż.

— Uchodzi dużo ropy, jasnozielonej, a brzegi rany są czerwone.

Twarz mu spochmurniała, nieraz widywał takie rany. Zwykle były śmiertelne. Cale westchnął.

— Potrzebuję czerwi.

— Czego?

— Czerwi. Wiem, co mówię. Około dwudziestu. Umyj je pięć razy w ciepłej wodzie pitnej i przynieś mi.

— Pozwól mi sprowadzić innego lekarza.

— Proszę, IdrysPukke. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, nie przeżyję. Proszę.

I tak dwadzieścia minut później pełen złych przeczuć IdrysPukke wrócił z dwudziestoma starannie umyтыми czerwiami, zebranyymi ze zdechłej krowy, leżącej w rowie za miastem. Z pomocą służącej postąpił dokładnie zgodnie ze wskazówkami Cale'a: umył dokładnie ręce, potem opłucz czerwie w gorącej wodzie... Wysyp je na ranę. Weź czysty bandaż i mocno dociśnij brzegi rany... Pilnuj, żebym leżał na brzuchu. Dawaj mi do picia jak najwięcej wody...

Po tych słowach znowu stracił przytomność i nie odzyskał jej przez następne cztery dni.

Kiedy ponownie otworzył oczy, IdrysPukke siedział przy jego łóżku, a na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

— Jak się czujesz?

Cale wziął kilka głębokich oddechów.

— Nieźle. Mam gorączkę?

IdrysPukke przyłożył mu dłoń do czoła.

— Niezbyt dużą. Przez pierwsze dwa dni byłeś dosłownie rozżarzony.

— Jak długo spałem?

254

m

Delikatnie, chociaż i to przysporzyło chłopcu niemało bólu, IdrysPukke zdjął z rany poplamiony, brudny bandaż.

— Uchodzi dużo ropy, jasnozielonej, a brzegi rany są czerwone.

Twarz mu spochmurniała, nieraz widywał takie rany. Zwykle były śmiertelne. Cale westchnął.

— Potrzebuję czerwi.

— Czego?

— Czerwi. Wiem, co mówię. Około dwudziestu. Umyj je pięć razy w ciepłej wodzie pitnej i przynieś mi.

— Pozwól mi sprowadzić innego lekarza.

— Proszę, IdrysPukke. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, nie przeżyję. Proszę.

I tak dwadzieścia minut później pełen złych przeczuc IdrysPukke wrócił z dwudziestoma starannie umyтыми czerwiami, zebranyymi ze zdechłej krowy, leżącej w rowie za miastem. Z pomocą służącej postąpił dokładnie zgodnie ze wskazówkami Cale'a: umyj dokładnie ręce, potem opłucz czerwie w gorącej wodzie... Wysyp je na ranę. Weź czysty bandaż i mocno dociśnij brzegi rany... Pilnuj, żebym leżał na brzuchu. Dawaj mi do picia jak najwięcej wody...

Po tych słowach znowu stracił przytomność i nie odzyskał jej przez następne cztery dni.

Kiedy ponownie otworzył oczy, IdrysPukke siedział przy jego łóżku, a na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

— Jak się czujesz?

Cale wziął kilka głębokich oddechów.

— Nieźle. Mam gorączkę?

IdrysPukke przyłożył mu dłoń do czoła.

— Niezbyt dużą. Przez pierwsze dwa dni byłeś dosłownie rozżarzony.

— Jak długo spałem?

254

W *

Delikatnie, chociaż i to przysporzyło chłopcu niemało bólu, IdrysPukke zdjął z rany poplamiony, brudny bandaż.

— Uchodzi dużo ropy, jasnozielonej, a brzegi rany są czerwone.

Twarz mu spochmurniała, nieraz widywał takie rany. Zwykle były śmiertelne. Cale westchnął.

— Potrzebuję czerwi.

— Czego?

— Czerwi. Wiem, co mówię. Około dwudziestu. Umyj je pięć razy w ciepłej wodzie pitnej i przynieś mi.

— Pozwól mi sprowadzić innego lekarza.

— Proszę, IdrysPukke. Jeśli tego dla mnie nie zrobisz, nie przeżyję. Proszę.

I tak dwadzieścia minut później pełen złych przeczuć IdrysPukke wrócił z dwudziestoma starannie umyтыми czerwiami, zebranych ze zdechłej krowy, leżącej w rowie za miastem. Z pomocą służącej postąpił dokładnie zgodnie ze wskazówkami Cale'a: umył dokładnie ręce, potem opłucz czerwie w gorącej wodzie... Wysyp je na ranę. Weź czysty bandaż i mocno dociśnij brzegi rany... Pilnuj, żebym leżał na brzuchu. Dawaj mi do picia jak najwięcej wody...

Po tych słowach znowu stracił przytomność i nie odzyskał jej przez następne cztery dni.

Kiedy ponownie otworzył oczy, IdrysPukke siedział przy jego łóżku, a na jego twarzy malował się wyraz ulgi.

— Jak się czujesz?

Cale wziął kilka głębokich oddechów.

— Nieźle. Mam gorączkę?

IdrysPukke przyłożył mu dłoń do czoła.

— Niezbyt dużą. Przez pierwsze dwa dni byłeś dosłownie rozżarzony.

— Jak długo spałem?

254

— Cztery dni, chociaż trudno to nazwać odpoczynkiem. Robiłeś strasznie dużo hałasu. Trudno cię było utrzymać na brzuchu.

— Zajrzyj pod bandaż. Rana mnie swędzi.

Trochę niechętnie IdrysPukke uchylił bandaża, a nos mu się marszczył na myśl o tym, co tam może zobaczyć. Mruknął z niesmakiem.

— Tak źle to wygląda? — pytał niespokojnie Cale.

— Dobry Boże!

— Co?

— Ropa zniknęła... i zaczerwienienie prawie też. Odwinął więcej bandaża. Spod opatrunku wypadały na łóżko

tluste czerwce.

— Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Cale westchnął z niewypowiedzianą ulgą.

— Wyrzuć te czerwce, a potem przynieś nowe. Powtórz wszystko od początku.

To rzekłszy, zapadł w głęboki sen.

22

Trzy tygodnie później IdrysPukke i Cale, cały czas nieco żółty na twarzy, jechali w stronę wielkiej twierdzy Memphis.

W skrytości ducha Cale oczekiwał oficjalnego powitania i choć sam się przed sobą do tego nie przyznawał, pragnął go gorąco. W końcu zabił w pojedynkę ośmiu ludzi i uratował Arbelle Łabędzioszyją od przerażającej śmierci. Nie oczekiwał wiele: parada kilku tysięcy ludzi rzucających mu kwiaty pod nogi i wiwatujących na jego cześć, uwieczniona łzawym powitaniem pięknej Arbelle, stojącej w jedwabiach na podium u boku przepelnionego wdzięcznością ojca, któremu wzruszenie odebrało mowę...

Nic w tym rodzaju się nie wydarzyło. Memphis niezmordowanie zajmowało się swoimi sprawami, czyli głównie zarabianiem pieniędzy. Nad ulicami wisiały ciężkie chmury zwiastujące burzę. Kiedy zbliżali się do wielkiej bramy warowni, serce Cale'a podskoczyło radośnie, nagle bowiem rozdzwoniły się dzwony wielkiej katedry, a dźwięk ów wspaniałym echem rozszedł się po mieście, przechwycony przez pomniejszych kościoły w okolicy. IdrysPukke szybko jednak rozwiął jego nadzieje.

256

— Biją w dzwony, żeby odpędzić pioruny — wyjaśnił, wskazując ruchem głowy nadciągającą burzę.

Dziesięć minut później zsiadali z koni przed rezydencją lorda Viponda. Na powitanie wyszedł im jeden służący.

— Witaj, Stillnochu — powiedział IdrysPukke.

— Witamy w domu, panie.

Był to człek tak stary, o twarzy tak pomarszczonej i porytej głębokimi bruzdami, że przypominał Cale'owi wiekowy dąb rosnący w narożniku pola treningowego w Sanktuarium. Nikt nie wiedział, jaka jego część jeszcze żyje, a jaka obumarła. IdrysPukke odwrócił się do wyczerpanego i głęboko rozczarowanego chłopca.

— Muszę się spotkać z Vipondem. Stillnoch zaprowadzi cię do twojego pokoju. Zjemy tu dzisiaj kolację. Zobaczymy się później.

To powiedziawszy, ruszył w stronę głównego wejścia. Stillnoch wskazał Cale'owi mniejsze drzwi na końcu rezydencji.

Pewnie jakaś cuchnąca dziura, pomyślał coraz bardziej rozgoryczony.

Jego pokój, a raczej pokoje okazały się jednak nadzwyczaj komfortowe. Był w nich kącik do siedzenia z miękką kanapą, drewniany stół jadalny, łazienka z własną wygodką, o których słyszał, ale uważał je za czysty wymysł; i naturalnie sypialnia z wielkim łóżem i puchowym materacem.

— Życzy pan sobie coś na podobiadek? — spytał Stillnoch.

— Tak — odparł Cale z nadzieją, że chodzi o coś do jedzenia.

Sługa uklonił się. Kiedy dwadzieścia minut później wrócił

z tacą z piwem, wieprzowiną w cieście, gotowanym jajkiem i smażonymi ziemniakami, Cale leżał na łóżku i spał.

Stillnoch słyszał pogłoski. Położył tacę i uważnie przyjrzał się chłopcu. Z żółtą skórą, twarzą ściągniętą po ciężkim zakażeniu, które go omal nie zabiło, nie wygląda groźnie, pomyślał

257

starzec. Ale jeśli naprawdę złoił skórę temu zarozumiałemu gnojkwowi, Connowi Materazziemu, to zasługuje na szacunek i podziw. Z tą myślą sługa przykrył śpiącego chłopca kołdrą,

zaciągnął zasłony i wyszedł.

* * *

— Przeszedł przez ten ich obóz jak Demon Zagłady. Widziałem w życiu kilku zabójców, ale nigdy czegoś podobnego jak ten chłopiec.

IdrysPukke siedział naprzeciw swego brata przyrodniego, pił herbatę i był najwyraźniej bardzo zatroskany.

— Więc to wszystko, co można o nim powiedzieć? Że jest zabójcą?

— Szczerze mówiąc, gdybym widział go tylko w tym jednym momencie, uciekłbym od niego, gdzie pieprz rośnie. A tobie poradziłbym, żebyś mu zapłacił i pozbył się go jak najszybciej.

Vipond popatrzył na niego zdziwiony.

— Dobry Boże, robisz się na starość taki sentymentalny. Oczywiście tacy ludzie są bardzo użyteczni,

ale ja pytam, czy jest w nim coś więcej, czy tylko krwiożerczy zbój.

IdrysPukke westchnął.

— Powiedziałbym, że dużo więcej. I gdybyś zapytał mnie o to przed walką na przełęczy Cortina, jeśli można to nazwać walką, odparłbym ci, że znalazłeś prawdziwy skarb. Dużo wycierpiał, ale jest bystry i inteligentny, chociaż żałośnie niedouczone w wielu sprawach, i ma wielkie serce. Ale przeżyłem prawdziwy wstrząs, kiedy patrzyłem na to, co tam się wydarzyło. To wszystko. Nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Lubię go, ale mówiąc otwarcie, przeraża mnie.

Vipond oparł się i zadumał.

— No cóż, pomijając twoje wątpliwości, ten chłopak przy-

258

starzec. Ale jeśli naprawdę złoił skórę temu zarozumiałemu gnojkwowi, Connowi Materazziemu, to zasługuje na szacunek i podziw. Z tą myślą sługa przykrył śpiącego chłopca kołdrą, zaciągnął zasłony i wyszedł.

* * *

— Przeszedł przez ten ich obóz jak Demon Zagłady. Widziałem w życiu kilku zabójców, ale nigdy czegoś podobnego jak ten chłopiec.

IdrysPukke siedział naprzeciw swego brata przyrodniego, pił herbatę i był najwyraźniej bardzo zatroskany.

— Więc to wszystko, co można o nim powiedzieć? Że jest zabójcą?

— Szczerze mówiąc, gdybym widział go tylko w tym jednym momencie, uciekłbym od niego, gdzie pieprz rośnie. A tobie poradziłbym, żebyś mu zapłacił i pozbył się go jak najszybciej.

Vipond popatrzył na niego zdziwiony.

— Dobry Boże, robisz się na starość taki sentymentalny. Oczywiście tacy ludzie są bardzo użyteczni, ale ja pytam, czy jest w nim coś więcej, czy tylko krwiożerczy zbój.

IdrysPukke westchnął.

— Powiedziałbym, że dużo więcej. I gdybyś zapytał mnie o to przed walką na przełęczy Cortina, jeśli można to nazwać walką, odparłbym ci, że znalazłeś prawdziwy skarb. Dużo wycierpiał, ale jest bystry i inteligentny, chociaż żałośnie niedouczone w wielu sprawach, i ma wielkie serce. Ale przeżyłem prawdziwy wstrząs, kiedy patrzyłem na to, co tam się wydarzyło. To wszystko. Nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Lubię go, ale mówiąc otwarcie, przeraża mnie.

Vipond oparł się i zadumał.

— No cóż, pomijając twoje wątpliwości, ten chłopak przy-

starzec. Ale jeśli naprawdę złoił skórę temu zarozumiałemu gnojkwowi, Connowi Materazziemu, to

zasługuje na szacunek i podziw. Z tą myślą sługa przykrył śpiącego chłopca kołdrą, zaciągnął zasłony i wyszedł.

* * *

— Przeszedł przez ten ich obóz jak Demon Zagłady. Widziałem w życiu kilku zabójców, ale nigdy czegoś podobnego jak ten chłopiec.

IdrysPukke siedział naprzeciw swego brata przyrodniego, pił herbatę i był najwyraźniej bardzo zatroskany.

— Więc to wszystko, co można o nim powiedzieć? Że jest zabójcą?

— Szczerze mówiąc, gdybym widział go tylko w tym jednym momencie, uciekłbym od niego, gdzie pieprz rośnie. A tobie poradziłbym, żebyś mu zapłacił i pozbył się go jak najszybciej.

Vipond popatrzył na niego zdziwiony.

— Dobry Boże, robisz się na starość taki sentymentalny. Oczywiście tacy ludzie są bardzo użyteczni, ale ja pytam, czy jest w nim coś więcej, czy tylko krwiożerczy zbój.

IdrysPukke westchnął.

— Powiedziałbym, że dużo więcej. I gdybyś zapytał mnie o to przed walką na przełęczy Cortina, jeśli można to nazwać walką, odparłbym ci, że znalazłeś prawdziwy skarb. Dużo wycierpiał, ale jest bystry i inteligentny, chociaż żałośnie niedouczoney w wielu sprawach, i ma wielkie serce. Ale przeżyłem prawdziwy wstrząs, kiedy patrzyłem na to, co tam się wydarzyło. To wszystko. Nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Lubię go, ale mówiąc otwarcie, przeraża mnie.

Vipond oparł się i zadumał.

— No cóż, pomijając twoje wątpliwości, ten chłopak przy-

sporzył ci wdzięczności wielu osób i by być szczerym, mnie również. A Bóg jeden wie, jak bardzo było ci to potrzebne. Marszałek Materazzi wybaczył ci wszystkie grzechy i jesteś teraz u niego w łaskach. — Uśmiechnął się. — Gdyby nie konieczność utrzymania całego tego incydentu w tajemnicy, mielibyście obaj paradę na swoją cześć, z orkiestrą i wszystkimi szykanami. — Uśmiechnął się tym razem ironicznie. — Podobałoby ci się to, co?

— Podobało — odrzekł IdrysPukke. — Czemu miałoby mi się nie podobać? Bóg mi świadkiem, że dużo czasu minęło, od kiedy ludzie cieszyli się na mój widok.

— Ciekawe, czyja to wina.

— Moja, braciszku — roześmiał się IdrysPukke — tylko moja.

— Powinieneś wytłumaczyć chłopcu, czemu przyjęto go tak powściągliwie.

— Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby go to w najmniejszym stopniu obchodziło. Ratując życie Arbell Łabędzio-szyjej, miał na względzie tylko własny interes. Uznał, że opłaci mu się narazić życie, to wszystko. Ani razu o nią nie zapytał. Mimo poważnych obaw, nie szczędziłem mu pochwał

za odwagę, ale on patrzył na mnie jak na głupca. Chce pieniędzy, pragnie bezpiecznie odjechać, jak najdalej od swych dawnych opiekunów, najlepiej za morze. Ten chłopak nie dba o to, czy go chwałą czy ganią.

— Jeśli tak, to doprawdy wyjątkowy z niego młodzieniec — rzekł lord Vipond, wstając. — Bez względu na to, czy masz rację, czy nie, marszałek chce mu osobiście podziękować. Arbell Łabędzioszyja oczywiście ma to zrobić również, chociaż sądząc z jej miny, kiedy o tym usłyszała, wolałaby raczej połknąć żabę.

23

— Na litość boską, rozchmurzże się, dziewczyno! — powiedział marszałek do córki.

— On mnie przeraża — odparła śmiertelnie blada piękność.

— Przeraża cię? Przecież uratował ci życie. Co się z tobą dzieje?

— Wiem, że uratował mi życie, ale to było okropne.

Marszałek zachnął się ze zniecierpliwieniem.

— Domyślam się, że to było okropne. Zabijanie jest okropne. Ale ten chłopiec zrobił to, co było konieczne i narażał własne życie, a biorąc pod uwagę okoliczności, nawet więcej niż narażał. A ty tu stoisz i biadolisz, jakie to było potworne. Pomyśl, jakie potworne rzeczy mogłyby ci się przytrafić, gdyby cię nie uratował.

• Arbell Łabędzioszyja, nieprzywykła do takiego łajania, zrobiła jeszcze bardziej żalostną minę.

— Wiem, że uratował mi życie, ale i tak się go boję. Nie widziałeś, jaki on jest, a ja tak... dwa razy. Nigdy się z czymś takim nie spotkałam. To nie jest człowiek.

— W życiu nie słyszałem podobnych bzdur. Na Boga, lepiej bądź dla niego miła, jeśli nie chcesz napisać sobie kłopotów.

260

Arbell nie przywykła do gróźb i mało brakowało, by porzuciła rolę przestraszonej białogłowy na rzecz dużo bardziej buńczucznej postawy, lecz właśnie otworzyły się drzwi małej jadalni i lokaj oznajmił:

— Przybył kanclerz Vipond z gośćmi, miłościwy panie.

— Witamy, witamy — zawołał marszałek z przesadnym zapałem, aby zatuszować chłodną atmosferę. Zarówno Vipond, jak i IdrysPukke natychmiast wyczuli w powietrzu niezręczną sytuację.

Cale natomiast nie czuł i nie widział niczego poza piękną Arbell Łabędzioszyją, która stała przy oknie i bezskutecznie próbowała powstrzymać drżenie. Od chwili, kiedy dowiedział się, że córka marszałka będzie również na obiedzie, przeżywał istne katusze tęsknoty zmieszanej z lękiem i on także starał się za wszelką cenę nie trząść.

— Ty musisz być Cale — powiedział marszałek, serdecznie ściskając jego dłoń. — Dziękuję ci.

Dziękuję. Nic nie zdoła wyrazić mojej wdzięczności za to, co uczyniłeś. — Zerknął w stronę córki. — Arbell — rzucił tonem łagodnej zachęty, lecz nie pozbawionym nuty groźby.

Powoli dziewczyna z lekką, niewymuszoną gracją podeszła do Cale'a i wyciągnęła dłoń. Chłopak ujął ją, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Nie zauważył, że twarz Arbell zrobiła się biała niczym księżycowa poświata na śniegu.

— Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Jestem ci niezwykle wdzięczna.

IdrysPukke pomyślał w duchu, że więcej życia i entuzjazmu słyszał w ostatnich słowach skazańców idących na szubienicę. Marszałek spojrzał groźnie na córkę, widział jednak, że dziewczyna śmiertelnie się boi stojącego przed nią chłopca. Obok irytacji z powodu jej nagannych manier, doża poczuł prawdziwe zdziwienie. Choć jego wdzięczność była naprawdę głęboka,

261

ponieważ kochał córkę nad życie, prawdę mówiąc, Cale go trochę rozczarował. Spodziewał się... Właściwie nie do końca wiedział, czego się spodziewa, w każdym razie zważywszy na siejącą postrach reputację tego młodego człowieka, kogoś otoczonego majestatyczną aurą, charyzmatyczną siłą, które, jak wskazywało jego doświadczenie, zawsze towarzyszyły ludziom nawykłym do przemocy. Tymczasem Cale wyglądał jak młody chłop, na swój nieokrzesany sposób niebrzydki, lecz oszołomiony i zagubiony w obecności królewskiej rodziny, jak zwykle bywają ludzie z gminu. Jak takie stworzenie mogło rozgromić najlepszych młodych wojowników rodu Materazzich i zabić w pojedynkę tylu uzbrojonych mężczyzn, było dlań nieodgadnioną tajemnicą.

— Czas, abyśmy coś zjedli. Musicie być bardzo głodni. Siądź przy mnie, drogi chłopcze — powiedział, biorąc Cale'a za ramiona.

Ledwo Cale usiadł przy stole naprzeciwko Arbell, która spuściła głowę i wbiła oczy w talerz, zauważył przed sobą całe rzędy sztuców, zastępy widelców małych i dużych, drużyny odpowiadających im noży ostrych i tępych. Największe zakłopotanie budził przedmiot wyglądający na szczególnie wyrafinowane narzędzie tortur, służące być może do urywania nosa lub penisa. Przypominał język, lecz zakończony czymś w rodzaju podwójnego krzyża.

Czuł się już wystarczająco źle, mieszały się w nim uwielbienie i nienawiść do kobiety siedzącej naprzeciwko, która ujęła jego dłoń, jakby to była zdechła ryba. Boska, niewdzięczna suka. Był pewien, że robi z siebie głupca, a tego nie mógł ścierpieć. Nie bał się najokrutniejszego bólu ani nawet śmierci — któż potrafił władać jednym i drugim z równym mu mistrzostwem? — lecz myśl, że wystawia się na pośmiewisko, napawała go lękiem i czyniła tak słabym, jak nigdy w życiu.

262

Omiał nie podskoczyć na krześle, kiedy za jego plecami stanął Stillnoch, tak niepostrzeżenie i bezszelestnie, że Cale nie zdawał sobie sprawy z jego obecności — co uznać trzeba za nie lada sztukę — dopóki, stawiając przed nim talerz z jedzeniem, nie szepnął mu do ucha z życzliwym współczuciem:

— Ślimaki!

Nieświadom swej heroicznej pozycji w oczach starego sługi, Cale uznał, że ów ślimak musi być

jakaś miażdżącą obelgą służącego, który nie może znieść jego obecności wśród wielkich i wspaniałych. Z drugiej strony, pomyślał, może to ostrzeżenie. Lecz jeśli tak, to przed czym? Spojrzał na talerz i stropił się jeszcze bardziej. Leżało przed nim sześć obiektów przypominających zwinięte żołnierskie hełmy, wydzielające z siebie lepka, cętkowaną maź. W istocie wyglądały na coś, czego należy się obawiać.

— Ach — powiedział IdrysPukke, pociągając nosem niczym kiepski aktor w pantomimie.
— Wyśmienicie. Ślimaki w maśle czosnkowym!

Siedząc obok Cale'a, IdrysPukke zauważył natychmiast przerażenie chłopca na widok armii sztucców i kompletną grozę w jego oczach, kiedy na stół wjechały ślimaki w muszlach. Teraz, kiedy ściągnął na siebie jego uwagę, jak również, dodać należy, uwagę wszystkich pozostałych osób, podniósł ów osobliwy przedmiot w kształcie języka i nacisnął. Otworzyły się dwie łyżkowate końcówki, którymi uchwycił muszlę, po czym zwolnił nacisk na uchwyt i łyżki zacisnęły się na skorupie. Następnie wziął mały szpikulec z trzonkiem z kości słoniowej i wsunawszy go do muszli, wprawnym, lecz nieco teatralnym gestem, tak, aby Cale mógł go wyraźnie widzieć, wyjął ze środka coś, co wyglądało (pomimo czosnku, natki pietruszki i masła) jak zielonoszara chrząstka wielkości małżowiny usznej. Wsunął ślimaka do ust z przesadnym westchnieniem zachwyty.

263

W pierwszej chwili nieco skonsternowani tym osobliwym pokazem, biesiadnicy szybko zrozumieli, czemu miał posłużyć i starannie unikali spoglądania w stronę Cale'a, który złowrogo łypał na swoje pierwsze danie.

Można się dziwić, że chłopiec, który tak chętnie jadał w swym życiu szczury, krzywił się na widok jadalnego ślimaka. Cale jednak nigdy przedtem nie widział ślimaka, a kto powiedział, że jeśli wyzbyć się uprzedzeń, człowiek nie wolałby dobrze wykarmionego, żywego szczura od śliskiego stworzenia wypełzającego niemrawo spod gnijącej kłody?

Rzucając ukradkowe spojrzenia na współbiesiadników, którzy zabrali się do jedzenia swej uzbrojonej w hełm kolacji, Cale wziął szczypcę, chwycił muszlę i za pomocą szpikulca wydobyl ze środka szarą, gąbczastą substancję. Zawahał się, po czym włożył ją do ust i zaczął gryźć z entuzjazmem mężczyzny żującego własne jądra, podczas gdy wszyscy inni nadal umyślnie unikali spoglądania w jego stronę.

Na szczęście pozostała część obiadu wyglądała całkiem znajomo, a przynajmniej z grubsza przypominała to, co jadał u IdrysPukkego. Podglądając swego nauczyciela, udało mu się używać pozostałych sztucców mniej więcej poprawnie, chociaż sztuka wprawnego posługiwania się widelcem pozostała dlań do samego końca niezgłębioną tajemnicą.

Rozmowę toczyli przy stole tylko trzej mężczyźni, przy czym nikt nie poruszał żadnych ważkich tematów, ot wspomnienia powszednich zdarzeń z przeszłości z pominięciem wszakże spraw związanych z błędami młodości i wygnaniem IdrysPukkego.

Przez całą kolację Arbell Łabędzioszyja ani razu nie podniosła oczu znad talerza, chociaż jadła niewiele. Od czasu do czasu Cale rzucał jej spojrzenie i za każdym razem wydawała

264

mu się piękniejsza niż poprzednio: te długie blond włosy, zielone oczy w kształcie migdałów i usta czerwone niczym owoc dzikiej róży na tle bladej cery, szyja tak długa i smukła, że wszelkie słowa uwięzły mu w gardle. Wrócił do jedzenia, lecz w głowie mu dudniło, jakby ktoś uderzył w dzwon. W sercu chłopca mieszały się radość i uwielbienie z gniewem i urazą. Arbell nie patrzyła na niego, ponieważ jego obecność była jej niemiła. Nienawidziła go, więc i on (jakże by mogło być inaczej?) nienawidził jej nawzajem.

Gdy tylko podano ostatnie danie — truskawki ze śmietaną — panna Materazzi przerwała jedzenie i powiedziała:

— Przepraszam, ale nie czuję się dobrze. Czy mogę odejść?

Ojciec pohamował swą wściekłość tylko przez wzgląd na

gości. Skinął bez słowa głową, mając nadzieję, że ten gniewny gest wyrazi to jasno: „Porozmawiamy później”.

Arbell obrzuciła szybkim spojrzeniem wszystkich przy stole poza Calem, po czym znikła. W chłopcu kipiał prawdziwy ocean uczuć, miłość, gorycz i gniew przewalały się i rozbijały o skały jego młodszej duszy.

Po wyjściu dziewczyny jednak nie było już potrzeby zachowywać ostrożności w rozmowie na temat porwania oraz jego tajemniczych powodów. Stało się również jasne, czemu tłumy nie wiwatowały na cześć Cale'a i jego zdumiewającej odwagi i nie wyrażały swej dozgonnej wdzięczności za uratowanie Arbell Materazzi. Marszałek przeprosił chłopca, tłumacząc, że gdyby rozeszła się wieść o porwaniu, nie dałoby się w imperium powstrzymać wojowniczych nastrojów i żądań odwetu. Obaj z lordem Vipondem byli zgodni, że muszą się dowiedzieć jak najwięcej o tym niepojętym wyczynie odkupicieli, zanim podejmą jakiegokolwiek drastyczne kroki.

— Jesteśmy ślepi — powiedział Vipond Cale'owi. — A będąc ślepi, możemy łatwo popełnić błąd. IdrisPukke przekazał

265

mi, że nie wiesz, co skłoniło zakonników do tak prowokacyjnego czynu.

— Nie wiem.

— Jesteś pewien?

— Czemu miałbym kłamać? Tak samo jak wy nie widzę w tym ani odrobiny sensu. Jedyne, o czym odkupiciele bez przerwy mówili, to wojna z antagonistami, a i wtedy powtarzali tylko, że antagoniści czczą antyodkupiciela i są heretykami, których należy zetrzeć z powierzchni ziemi.

— A o Memphis?

— Rzadko i z odrazą. Że to gniazdo grzechu i zepsucia, gdzie wszystko można sprzedać i kupić.

— To ostre słowa — zauważył IdrisPukke — lecz widać, w co wymierzone.

Marszałek i Vipond zignorowali go ostentacyjnie.

— Więc w niczym nie możesz nam pomóc? — spytał doża.

Cale zdał sobie sprawę, że jest to jego jedyna szansa, aby

utorować sobie drogę pośród możliwych tego świata i jeśli im czegoś nie zaoferuje, zostanie odprawiony.

— Wiem tylko jedno: odkupiciele nigdy nie rezygnują z wytkniętego celu. Jeśli z jakiegoś nieznanego powodu potrzebna im była wasza córka, to wrócą po nią bez względu na to, ile to ich będzie kosztować.

Słyszając to, marszałek pobladł, Cale zaś postanowił kuć żelazo póki gorące.

— Wasza córka, panie, jest osobą o... — urwał, jakby szukał odpowiedniego słowa — dużym prestiżu. — Spodobało mu się to słowo, kiedy je usłyszał, choć nie do końca je rozumiał. — W całym imperium ludzie uważają ją za jego najcenniejszą ozdobę, to słowa, które niedawno słyszałem. Podziwiając ją, darzy się podziwem cały ród Materazzich. Słowem, ona reprezentuje was, panie, prawda?

266

t

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał marszałek.

— Gdyby chcieli dać coś do zrozumienia... — zawiesił głos.

— Co do zrozumienia? — zapytał doża coraz bardziej zaniepokojony.

— Porwać Arbell Materazzi albo ją zabić i w ten sposób pokazać waszym poddanym, że odkupiciele mogą osiągnąć nawet najwyżej postawionych osób na świecie. — Znowu przerwał, lecz tylko dla efektu. — Wiedzą, że drugie porwanie będzie prawdopodobnie niemożliwe, lecz to ich, moim zdaniem, nie zniechęci. Oni zawsze doprowadzają do końca to, co zaczną. To dla nich bardzo ważne, chcą wam pokazać, że nikt nie jest przed nimi bezpieczny. Przesyłają wam wiadomość, że nic ich nie powstrzyma.

Teraz już marszałek zrobił się biały jak ściana.

— Tu Arbell będzie bezpieczna. Otoczmy ją kordonem ochrony. Nikt nie wejdzie do jej komnat.

Cale starał się sprawiać wrażenie bardziej zakłopotanego, niż był w istocie.

— Jak słyszałem, chronił ją oddział gwardii w liczbie czterdziestu ludzi, kiedy porwano ją z zamku nad jeziorem Constantz. Czy ktoś z nich przeżył?

— Nie — odparł marszałek.

— Tym razem, choć to tylko moja opinia, nie mogę być tego pewien, przyjadą po to, aby ją zabić. Czy jesteście absolutnie pewni, że osiemdziesięciu lub nawet stu osiemdziesięciu ludzi ich powstrzyma?

— Jeśli historia nas czegoś uczy, panie — odezwał się IdrysPukke — to tego, że człowiek, który jest gotów poświęcić własne życie, może zabić każdego.

Vipond nigdy dotąd nie widział marszałka tak przestraszonego i zaniepokojonego.

267

— Czy umiałbyś ich powstrzymać? — zapytał marszałek Cale'a.

— Ja? — zdziwił się Cale, jakby ta myśl nie powstała mu dotąd w głowie. Zastanawiał się przez chwilę. — Zapewne lepiej niż inni. Zwłaszcza z Mętnym Henrim i Kleistem.

— Z kim? — spytał marszałek.

— To przyjaciele Cale'a — wyjaśnił Vipond, coraz bardziej zaintrygowany, do czego chłopak zmierza.

— Czy oni umieją to samo co ty?

— Oni mają własne, szczególne umiejętności. Między nami mówiąc, we trójkę potrafilibyśmy sobie poradzić ze wszystkim, co wymyślą odkupiciele.

— Jesteś bardzo pewny siebie, Cale'u — zauważył Vi-pond — zwłaszcza że przez ostatnie dziesięć minut przekonywałeś nas, jacy to odkupiciele są niepokonani.

Cale spojrzał na kanclerza.

— Powiedziałem, że ich zabójcy byli niepokonani dla was. — Uśmiechnął się. — Nie mówiłem, że są tacy dla mnie. Jestem lepszy od wszystkich żołnierzy, których wyszkolili odkupiciele. Nie chełpię się, to jest po prostu fakt. Jeśli mi nie wierzycie, panie — zwrócił się do marszałka — zapytajcie swojej córki i IdrysPukkego. A jeśli i to wam nie wystarcza, spytajcie Conna Materazziego.

— Uwważaj, co mówisz, młokosie! — Miejsce ciekawości Viponda zajął nagle gniew. — Nigdy więcej nie waz się mówić do marszałka Materazziego w taki sposób.

— Mówiono już do mnie gorsze rzeczy — załagodził sytuację doża. — Jeśli zdołasz zapewnić mojej córce bezpieczeństwo, uczynię cię bogatym i, do diabła, będziesz mógł do mnie mówić prywatnie, jak ci się żywnie spodoba. Ale lepiej, żebyś miał rację. — Podniósł się od stołu. — Jutro rano chcę od ciebie dostać na piśmie plan ochrony mojej córki. Jasne?

268

41

— Czy umiałbyś ich powstrzymać? — zapytał marszałek Cale'a.

— Ja? — zdziwił się Cale, jakby ta myśl nie powstała mu dotąd w głowie. Zastanawiał się przez chwilę. — Zapewne lepiej niż inni. Zwłaszcza z Mętnym Henrim i Kleistem.

— Z kim? — spytał marszałek.

— To przyjaciele Cale'a — wyjaśnił Vipond, coraz bardziej zaintrygowany, do czego chłopak zmierza.

— Czy oni umieją to samo co ty?

— Oni mają własne, szczególne umiejętności. Między nami mówiąc, we trójkę potrafilibyśmy sobie poradzić ze wszystkim, co wymyślą odkupiciele.

— Jesteś bardzo pewny siebie, Cale'u — zauważył yipond — zwłaszcza że przez ostatnie dziesięć minut przekonywałeś nas, jacy to odkupiciele są niepokonani.

Cale spojrział na kanclerza.

— Powiedziałem, że ich zabójcy byli niepokonani dla was. — Uśmiechnął się. — Nie mówiłem, że są tacy dla mnie. Jestem lepszy od wszystkich żołnierzy, których wyszkolili odkupiciele. Nie chełpię się, to jest po prostu fakt. Jeśli mi nie wierzycie, panie — zwrócił się do marszałka — zapytajcie swojej córki i IdrysPukkego. A jeśli i to wam nie wystarcza, spytajcie Conna Materazziiego.

— Uważaj, co mówisz, młokosie! — Miejsce ciekawości Viponda zajął nagle gniew. — Nigdy więcej nie waż się mówić do marszałka Materazziiego w taki sposób.

— Mówiono już do mnie gorsze rzeczy — załagodził sytuację doża. — Jeśli zdołasz zapewnić mojej córce bezpieczeństwo, uczynię cię bogatym i, do diabła, będziesz mógł do mnie mówić prywatnie, jak ci się żywnie spodoba. Ale lepiej, żebyś miał rację. — Podniósł się od stołu. — Jutro rano chcę od ciebie dostać na piśmie plan ochrony mojej córki. Jasne?

268

Cale skinął głową.

— Od tej pory każdy żołnierz w tym mieście ma być postawiony w stan najwyższej gotowości. A teraz zechciejcie nas zostawić z kanclerzem samych.

— Fiu, fiu, fiu, to był występ co się zowie — powiedział IdrysPukke, kiedy zamknęli za sobą drzwi. — Czy coś z tego było prawdą?

Cale roześmiał się, ale nie odpowiedział. Gdyby to zrobił,

o

musiałby wyznać, że bardzo niewielka część jego złowieszczych proroctw podyktowana była czymś innym poza pragnieniem, by Arbella Łabędzioszyja zwróciła na niego uwagę. Był wściekły za jej niewdzięczność, a jednocześnie jeszcze bardziej zakochany. Zasługiwała na karę za to, jak go potraktowała, a jakąż mógłby sobie wyobrazić lepszą karę niż możliwość uczynienia jej życia koszmarem przez ciągłą swoją obecność? Oczywiście myśl, że jego obecność jest jej tak bardzo przykra łamała mu serce, ale nie on jeden potrafił sobie poradzić z takimi sprzecznościami.

Troska o córkę i lęk przed najgorszym uczyniły marszałka łatwym łupem dla mrocznych przepowiedni Cale'a. Vipond podobnie jak IdrysPukke nie dał się tak łatwo przekonać. Z drugiej strony cóż szkodziło przystać na propozycję Cale'a. Możliwość, że odkupiciele będą chcieli zabić Arbella Materazziiego nie wydawała się aż tak bardzo nieprawdopodobna. Uspokoi to marszałka, że coś

w tej sprawie robią, podczas gdy Vipond będzie usiłował odkryć intencje odkupicieli. Był pewny, że konfrontacja jest tak czy inaczej nieunikniona, i z rezygnacją rozpoczął potajemne przygotowania. Jednak dla kanclerza rozpętywanie wojny bez dokładnego rozeznania w zamiarach przeciwnika, byłoby niewybaczalnym błędem w sztuce. W sumie więc z zadowoleniem przyjął deklarację Cale'a, bez względu na to, jakie intencje chłopakiem kierowały, a nietrudno się

269

r

było tego domyślić. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co odkupiciele chcieli osiągnąć porwaniem Arbell, ale jako jej ochroniarz zapewni jej przynajmniej bezpieczeństwo. Na swój nieco mniej ojcowski sposób, był tak samo jak marszałek wdzięczny chłopcu za jej uratowanie. Jakie byłyby polityczne konsekwencje, gdyby ukochana przez tłumy członkini rodziny królewskiej wpadła w ręce tak zbrodniczego i brutalnego reżimu, Vipond nie chciał nawet myśleć. Ze wschodniego frontu wojny między odkupicielami a antagonistami dochodziły przerażające wieści, tak przerażające, że trudno byłoby w nie uwierzyć, gdyby nie pochodziły od nielicznych uciekinierów, którym udało się przedostać na terytorium Materazzich. Ich relacje układały się w spójną, lecz budzącą grozę całość, którą wywiadowcy kanclerza skrupulatnie spisywali i wysyłali do stolicy. Jeśli rzeczywiście w powietrzu wisiła wojna z odkupicielami, będzie to wojna, jakiej nikt jeszcze nie widział.

24

— Opowiedz mi wszystko, co wiesz na temat wojny odkupicieli z antagonistami.

Vipond popatrzył ponuro na Cale'a, który siedział po drugiej stronie jego wielkiego biurka. IdrysPukke zajął miejsce przy oknie, jakby bardziej go interesowały widoki w ogrodzie niż to, co się działo w pokoju.

— Antagoniści to antyodkupiciele — powiedział Cale. — Nienawidzą Powieszzonego Odkupiciela i jego wyznawców, chcą go zniszczyć i zetrzeć jego dobro z powierzchni ziemi.

— Wierzysz w to? — spytał Vipond, zaskoczony nagłą zmianą w jego głosie, który zmienił się w monotonną recytację.

— Tego nas uczono. Kazano nam to powtarzać dwa razy dziennie podczas mszy. Nie wierzę w nic, co mówią odkupiciele.

— Ale co wiesz o antagonistach? O tym, w co oni wierzą.

Na twarzy chłopca odmalowało się zdziwienie. Zastanawiał się przez kilka chwil.

— Nic. Nigdy nam nie mówiono, że antagoniści w coś wierzą. Pragną tylko zniszczyć Jedyną Prawdziwą Wiarę.

— I nie pytaliście?

Cale wybuchnął śmiechem.

271

— Nie zadawało się pytań o Jedyne Prawdziwą Wiarę.

— Skoro wiedzieliście, że antagoniści nienawidzą odkupicieli, czemu nie próbowaliście uciekać na wschód?

— Musielibyśmy przebyć trzydzieści tysięcy staj przez terytorium odkupicieli, a potem czternaście tysięcy staj okopów frontu wschodniego. A nawet, gdybyśmy byli na tyle głupi, aby tego próbować, to zawsze nam mówiono, że antagoniści torturują i mordują każdego napotkanego odkupiciela. Powtarzano nam opowieści o świętym odkupicielu Georgu, którego żywcem ugotowano w krowim moczu, albo świętym odkupicielu Paulu, któremu wypruto wnętrzności hakiem wepchniętym przez gardło, a potem przywiązano je do zaprzęgu. Nie przedstawali nas karmić historiami o podziemiach, ogniu i mieczach, nawet

o tym śpiewali. Jak mówiłem, nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że antagoniści wierzą w coś poza zabijaniem odkupicieli

i niszczeniem Jedynej Prawdziwej Wiary.

— Czy wszyscy akolici myślą tak samo?

— Niektórzy myślą tak jak ja, ale większość nie. Całe życie uczono ich tylko tego, więc nie przychodzi im do głowy, aby podawać to w wątpliwość. Dla nich tak wygląda świat. Wydaje im się, że zostaną zbawieni, jeśli uwierzą, a jeśli nie, to przez całą wieczność będą się smażyć w ogniu piekielnym.

Vipond zaczął się niecierpliwić.

— Wojna z antagonistami trwa od dwustu lat. Usiłujesz mi wmówić, że jako wyznawców Jedynej Prawdziwej Wiary przygotowywano was całe życie do walki, a mimo to nie mieliście pojęcia o zwycięstwach i porażkach, strategii i powodach, dla których ta czy inna bitwa została wygrana lub przegrana? Trudno mi w to uwierzyć.

Sceptycyzm Viponda był całkiem zrozumiały. Całe omówił z Boskiem każdą bitwę i potyczkę między odkupicielami a antagonistami. Lord Wojownik stał nad nim i bił go pasem za

272

* _

w

każdą pomyłkę w analizie tego, co poszło źle lub dobrze. Można powiedzieć, że przez dziesięć lat pił i jadł wschodnie bitwy na śniadanie, obiad i kolację. Z drugiej strony nie miał pojęcia o niczym, w co wierzyli antagoniści. Jego decyzja, aby skłamać na temat tego, ile wie o wojnie, podyktowana była w tym samym stopniu instynktem obronnym, co chłodną kalkulacją: jeśli wybuchnie wojna między odkupicielami a Ma-terazzimi, sprowadzi niezliczone cierpienia i śmierć, a on nie zamierzał maczać w tym palców. Gdyby się przyznał do tego, co wie, Vipond zapłaciłby każdą cenę, aby go w nią wciągnąć.

— Opowiadali nam wyłącznie o chwalebnych zwycięstwach i zdradzieckich porażkach, ale bez żadnych szczegółów. Nie wolno było zadawać pytań. Mnie uczono tylko, jak zabijać ludzi — kłamał dalej. — Walka wręcz i trzysekundowe zabójstwo. To wszystko. Tylko tyle umiem.

— Co to jest, na Boga, trzysekundowe zabójstwo? — spytał IdrysPukke spod okna.

— To, co słyszysz — odparł Cale. — Prawdziwa walka na śmierć i życie rozstrzyga się w trzy sekundy i do tego należy dążyć. Wszystko inne, wszystkie te sztuczki, których uczycie Mondów, to bzdety. Im dłużej trwa walka, tym więcej pozostawiasz przypadkowi. Możesz się potknąć, słabszemu przeciwnikowi może się udać przypadkowe pchnięcie albo zauważy twój słaby punkt i wykorzysta chwilę przewagi. Więc albo zabijasz w trzy sekundy, albo ryzykujesz niewiadome. Odkupiciele na przełęczy Cortina zginęli jak psy, ponieważ nie dałem im szansy zginąć w żaden inny sposób.

Cale celowo mówił tak, aby zaszokować słuchaczy. Od małego umiał równie świetnie kłamać, jak walczyć. Powód był ten sam: przeżyć. Odwrócił ich uwagę od tych aspektów swojej przeszłości, których nie chciał wyjawiać, skierowując ją na inne tory. Rzecz jasna, im bardziej szokująca była ta część prawdy,

273

którą zdecydował się ujawnić, tym skuteczniejsza cała strategia, nawet z tak doświadczonymi politykami jak IdrysPukke i Vi-pond. Jeśli Materazzi wierzyli, że jest tylko młodym, bezlitosnym zabójcą, to utwierdzanie ich w tym przekonaniu leżało w jego interesie. Mówiąc prawdę, stawał się bardziej przekonujący, lecz daleko mu było do pełnej prawdy.

Vipond zadał chłopcu jeszcze kilka pytań, lecz bez względu na to, czy mu wierzył, czy nie, widać było, że niczego więcej od niego nie wydobędzie, przeszedł więc do sprawy ochrony Arbell Materazzi. Ze sporządzonego pisemnie planu Cale'a wynikało wyraźnie, że umiał równie doskonale zapobiegać śmierci, jak ją zadawać. W końcu Vipond, zadowolony z odpowiedzi chłopca przynajmniej w tej sprawie, wziął z biurka grubą teczkę z aktami i otworzył.

— Zanim odejdziesz, chcę cię o coś zapytać. Mam liczne relacje uchodźców antagonistów, raporty podwójnych agentów oraz przechwycone dokumenty. Wspominają one o strategii odkupicielei, nazywanej „rozproszeniem”. Słyszałeś o niej?

Cale wzruszył ramionami.

— Nie.

Tym razem Vipond nie miał wątpliwości, że zdziwienie na twarzy chłopca nie było udawane.

— Raporty te — ciągnął — wspominają o tak zwanych Aktach Wiary. Czy ta nazwa coś ci mówi?

— Egzekucje za zbrodnie przeciwko wierze, wykonywane w obecności wiernych.

— Podobno zdarza się, że nawet tysiąc antagonistów zostaje schwytyanych i spalonych żywcem w centrum miasta należącego do odkupicielei. Tym, którzy wyrzekną się antagonistycznej herezji, okazuje się litość i dusi się ich przed spaleniem. — Przerwał i popatrzył na chłopca z uwagą. — Uważasz, że to możliwe?

274

— Tak. Możliwe.

— Sąjeszcze inne wzmianki, poświadczone w przechwyconych przez nas dokumentach: że te egzekucje są zaledwie początkiem. Dokumenty te traktują o tak zwanym rozproszeniu wszystkich antagonistów. Moi ludzie twierdzą, że plan odkupicieli zakłada wywiezienie po ostatecznym zwycięstwie całej populacji antagonistów na wyspę Malagasy. Niektórzy uciekinierzy jednak utrzymują, że na tym nie koniec, że rozproszenie oznacza wymordowanie wszystkich antagonistów na owej wyspie w celu ostatecznego wyeliminowania herezji. Trudno mi w to uwierzyć, lecz ty wiesz więcej niż my o charakterze odkupicieli. Co o tym sądzisz? Czy coś takiego jest możliwe?

Cale nie odzywał się przez długą chwilę, wyraźnie rozdarty pomiędzy nienawiścią do odkupicieli, a potwornością tego, o co go zapytano.

— Nie wiem — powiedział w końcu. — Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Posłuchaj, Vipond — odezwał się IdrysPukke — odkupiciele to najwyraźniej banda bezwzględnych brutali, ale pamiętam, że dwadzieścia lat temu, podczas powstania Montów również krążyły najróżniejsze pogłoski o tym, jak w każdym zdobytym mieście zabierają matkom niemowlęta i na ich oczach rzucają w górę i nabijają na miecze. Wszyscy w to wierzyli, a było to wierutne kłamstwo. Nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Moje doświadczenie mówi, że na każdy potworny czyn przypada dziesięć wymyślonych.

Vipond pokiwał głową. Niewiele mu przyniosła ta rozmowa, czuł się zarazem sfrustrowany i głęboko zaniepokojony wieściami dochodzącymi ze wschodu. Ale męczyło go również coś innego, coś znacznie bardziej błahego. Popatrzył podejrzliwie na Cale'a.

275

— Czuję w twoim oddechu, że paliłeś tytoń.

— A co panu do tego?

— To, co zdecyduję, ty bezczelny smarkaczu. — Zerknął w stronę IdrysPukkego, który wyglądał za okno i uśmiechał się. Odwrócił się ponownie do chłopca. — Myślałem, że masz dość oleju w głowie, żeby nie naśladować we wszystkim IdrysPukkego. Lepiej, abyś widział w nim przykład tego, jak nie należy w życiu postępować. A co do palenia, to dziecinna poza, nałóg nieprzyjemny dla oczu, odrażający dla nosa, szkodliwy dla umysłu i niebezpieczny dla płuc. Sprawia, że oddech cuchnie, a mężczyzna, który nadużywa go przez długi czas, niewieścieje. A teraz wynoście się stąd obydwaj.

25

Cztery godziny później Cale, Mętny Henri i Kleist urządzali się w swych wygodnych pokojach w części pałacu, zajmowanej przez Arbell Materazzi.

— A co będzie, jak odkryją, że nie mamy pojęcia o ochronie osobistej? — zapytał Kleist, kiedy usiedli do jedzenia.

— A kto im to powie? Ty? Bo ja nie — odparł Cale. — Co w tym może być trudnego? Jutro obejdziemy pałac i zabezpieczymy go. Ile razy to ćwiczyliście? Będziemy zatrzymywać każdą nową osobę wchodzącą do środka, a jeden z nas będzie towarzyszył dziewczynie na każdym kroku. Jeśli zechce opuścić swoje komnaty, co musimy jej odradzać, może to zrobić tylko w towarzystwie co

najmniej dwóch z nas i dziesięciu strażników. I nie wolno jej wyjść poza teren cytadeli. To wszystko.

— Dlaczego po prostu nie zgarniemy nagrody za uratowanie jej życia i nie zmyjemy się stąd jak najszybciej?

To było dobre pytanie, ponieważ Cale zdawał sobie sprawę, że właśnie to powinni teraz robić i gdyby nie jego uczucia do Arbell Łabędzioszyjej, zrobiliby to dawno.

277

— Jesteśmy tu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej — powiedział tylko. — Weźmiemy nagrodę, którą nam obiecali i pieniądze za tę robotę. To kopalnia złota, a do tego broni nas przed odkupicielami cała armia Materazzich. Jeśli macie lepsze miejsce, proszę bardzo.

I na tym stanęło. Tej nocy Kleist i Mętny Henri spali pod drzwiami komnaty Arbell Łabędzioszyjej.

— Lepiej bądźmy podwójnie ostrożni, dopóki jutro nie sporządzimy planu pałacu — rzekł Cale.

I przez cały czas planował swe jutrzejsze wejście jako jej wszechmocny obrońca. Okaże pogardę dla wszystkiego, co ona reprezentuje. Będzie przerażona i załęczniona, a on zadowolony z siebie i zarazem zdruzgotany.

Nazajutrz o dziewiątej rano Arbell Łabędzioszyja wyszła z prywatnych komnat, poinformowana przez pokojówki, które przyniosły jej śniadanie, że przed jej apartamentami stoi dwóch strażników i dwóch niechlujnych tłumoków.

Kiedy otworzyła drzwi, spotkała ją deprymująca niespodzianka, ponieważ poza dwoma strażnikami wyprężonymi słuźbiście na bacność, zobaczyła nie Cale'a bynajmniej, lecz dwóch chłopców, których przedtem nie widziała na oczy.

— Kim jesteście i co tu robicie?

— Dzień dobry, lady — powiedział przyjaźnie Mętny Henri.

Arbell nawet na niego nie spojrzała.

— No więc? — spytała.

— Jesteśmy twoimi ochroniarzami — odparł Kleist, nie dając się zbić z tropu jej oszałamiającej urodzie i pokrywając osłupienie miną dającą do zrozumienia, że widywał w życiu setki pięknych arystokratek i ta, a nawet szczególnie ta, nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

— Gdzie jest wasz... — szukała w pamięci odpowiednio

278

' i *

obraźliwego określenia — prowodyr? — zakończyła nieusatys-fakcjonowana.

— Szukasz mnie, pani? — zapytał Cale, wychodząc zza rogu korytarza w towarzystwie dwóch ludzi obciążonych długimi rulonami papieru.

— Kim są ci ludzie?

— Twoimi ochroniarzami. To Henri, a ten drugi Kleist. Mają moje wszelkie pełnomocnictwa, więc bądź uprzejma i rób, o co cię proszą.

— Więc to twoi kumotrzy? — powiedziała Arbell, mając nadzieję, że włożyła w to odpowiednio dużo pogardy.

— Kumotrzy? Co to takiego?

— Diabły — odrzekła zjadliwie. — Jak muchy podążające za Belzebubem, ilekroć opuszcza piekło.

To wyprowadziło z równowagi Kleista i Henriego, natomiast Cale'a wprowadziło w prawdziwy zachwyty.

— O tak — odparł ze znaczącym uśmiechem w kierunku oba chłopców. — To z pewnością są moi kumotrzy.

— Trochę wąpli jak na ochroniarzy, nie sądzisz?

Cale popatrzył na przyjaciół wzrokiem pełnym żalu.

— Przykro mi z powodu ich fizycznych mankamentów, sam nie chciałbym patrzeć na nich przez cały dzień. Co się zaś tyczy wąpliści... hm, może chcesz postawić przeciw nim kilku Materazzich? Przekonasz się, jacy są mizerni.

— Więc to zabójcy tacy jak ty?

Henri poczuł się głęboko dotknięty, lecz Kleistowi bardzo się spodobała ta obelga.

— Tak — odparł Cale beztrasko. — Zabójcy tacy jak ja.

Ponieważ Arbell nie przychodziła do głowy żadna celna riposta, wróciła do komnaty i trzasnęła za sobą drzwiami.

Dziesięć minut później rozległo się pukanie i Arbell Łabędzioszyja dała znak służącej, aby otworzyła. Kiedy to uczyniła,

279

Cale czekający w progu wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Przed nim stała Riba.

* * *

Droga Riby na to wysokie stanowisko była na swój sposób równie niezwykła jak Cale'a. Kiedy pod nadzorem Anny Marii dziewczyna spakowała swoje rzeczy i opuściła komnaty mademoiselle Jane, służący zawiózł ją pospiesznie do pałacu szanownej Edith Materazzi, matki Arbell Łabędzioszyjej i żony marszałka, z którym od lat żyli w separacji. Należy zaznaczyć, że od czasu ich ślubu, który nastąpił z powodów politycznych, byli sobie zupełnie obcymi osobami i spłodzenie córki musiało doprawdy nastąpić podczas jednej z najchłodniejszych królewskich nocy poślubnych w historii. Wysiłki doży, aby unikać żony za wszelką cenę, przynosiły często spodziewany efekt, znacznie mniej natomiast skuteczne były próby odsunięcia jej od władzy. Szanowna Edith Materazzi należała do osób, które zawsze świetnie wiedzą, co w trawie piszczy, i niewiele mrocznych i ciemnych sprawek

w mieście uchodziło jej uwagi, a kiedy wymagała tego sytuacja, nie wzdragała się również przykładać do nich ręki. Nie dysponowała żadną formalną władzą, czego marszałek starannie dopilnował, jej wpływy opierały się na znajomości wszystkich brudnych tajemnic i błędów, które przydarzają się każdej rodzinie, nawet najpotężniejszej i dumnej.

Tak więc nie minęło nawet pół godziny od wściekłego wybuchu mademoiselle Jane, kiedy szanowna Edith Materazzi dowiedziała się od swojego szpiega, Anny Marii, o wydaleniu Riby i zaoferowała oburzonej i oszołomionej dziewczynie pokój we własnym pałacu.

Kiedy wiadomość, że Riba trafiła w szpony Edith Materazzi, dotarła do Viponda, kanclerz wezwał do siebie mademoiselle Jane i przez pół godziny ciskał jej na głowę takie gromy, że

280

dziewczyna wyszła z gabinetu, chlipiąc z przerażenia. Niemniej nic się już nie dało zrobić, pozostało czekać i przekonać się, co zamierza stara jędza.

Szanowna Edith Materazzi nie traciła czasu. Wiedziała, że coś się święci i że ma to jakiś związek z jej córką. Krążyły różne pogłoski na temat jej nieobecności po wizycie nad jeziorem Constanz przed trzema tygodniami, a wśród nich plotka o potajemnym małżeństwie, a nawet porodzie. Żadna z nich jednak nie była tak szokująca, jak sama prawda. Edith Materazzi poświęciła mnóstwo czasu i pieniędzy, aby ją poznać, niestety z niewielkim skutkiem, a kobieta ta nie tolerowała niewielkich skutków.

— Dobrze cię tam traktowali? — spytała, klepiąc siedzenie sofy obok siebie i zachęcając Ribę uśmiechem, aby przy niej usiadła.

Zdenerwowana, lecz zarazem nieufna Riba zrobiła, co jej kazali. Nauczyła się już dość na temat skomplikowanej hierarchii społecznej Memphis, aby zdać sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. W środowisku arystokracji najsubtelniejsza różnica w pozycji społecznej była tak wyraźnie podkreślana, jakby zrządził ją sam Najwyższy, wszystkich ludzi z zewnątrz zaś traktowano z pogardą, choćby na prowincji zajmowali najwyższe stanowisko. Riba słyszała na przykład wielokrotnie opowieści o hrabinie Karoo, która przyjechała do Memphis ponad dziesięć lat temu, że sprzedawała chlewnię, aby zapłacić za podróż. Było to absurdalne oszczerstwo i wszyscy o tym doskonale wiedzieli, choćby z tego powodu, że mieszkańcy Karoo uważali świnie za zwierzęta nieczyste. Czemu więc, zastanawiała się Riba, siadając, kobieta o takiej pozycji okazuje mi tyle życzliwości?

— Po pierwsze, moja droga — zaczęła szanowna Edith Materazzi — przykro mi, że Jane potraktowała cię tak surowo. Nie jest to naturalnie wytłumaczenie, ale przyjaźniłam się z jej

281

zmarłą matką i trudno to nazwać inaczej: jest zepsuta, zawsze dostawała wszystko, czego zażądała. Ale tak to teraz jest z dziećmi: spełnia się ich zachcianki, a efekty sama widzisz. Tak to już jest — powtórzyła, wzdychając i klepiąc dziewczynę po rękę. — I jest mi z tego powodu bardzo przykro.

Riba nie wiedziała, co powiedzieć.

— Tak jest, proszę pani.

— To dobrze — rzekła Edith Materazzi zadowolona. — A teraz chcę cię prosić o dużą przysługę.

Dziewczyna nie wierzyła własnym uszom.

— Ja też mam córkę — oznajmiła kobieta. — I bardzo się o nią martwię. — Spojrzała na Ribę.
— Widziałaś ją?

— Panienkę Arbell? Tak, proszę pani.

— Och — westchnęła Edith Materazzi łagodnie, jakby na wspomnienie czegoś dawno minionego.
— Jest taka piękna, prawda?

— Tak, proszę pani.

Edith wzięła Ribę za rękę.

— Chcę ci coś powiedzieć w tajemnicy, a także ci pomóc, ponieważ czuję, że masz dobre serce i potrafisz zrozumieć matczyną troskę, i można ci zaufać. Prawda, Ribo?

— Tak, proszę pani. Mam nadzieję — odrzekła zaskoczona dziewczyna.

— Tak, tak myślę — powtórzyła szanowna Edith Materazzi, jakby zajrzała Ribie w duszę i ujrzała tam samą dobroć i głębokie zrozumienie matczynych niepokojów.

— Musimy porozmawiać o rzeczach, które są dla mnie bardzo trudne, ale uczucia macierzyńskie przedkłada się nad dumę, jestem pewna, że pewnego dnia sama to odkryjesz. — Westchnęła. — Mój mąż mnie nienawidzi i robi wszystko, abym nie mogła widywać się z córką. I co o tym myślisz?

Riba wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

282

r*-

— Uważam, że to bardzo smutne, pani.

— Tak, bardzo smutne. Zabrania mi się z nią widywać i sączy w jej duszę jad przeciwko mnie. A ja nie mogę się bronić, ponieważ gdybym nastawiła ją przeciwko marszałkowi, zniszczyłabym jej przyszłość. Nie mogę tego zrobić. Muszę więc cierpieć w milczeniu. Muszę znosić to, że moja córka, którą kocham, uważa mnie za zimną i nieczułą i myśli, że o nią nie dbam. I co ty na to?

— Ja... — Riba zacięła się z wahaniem — myślę, że to musi być dla pani okropne.

— Bo jest. Ale ty możesz mi pomóc.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Słyszałam, że jesteś wspaniałą towarzyszką, a ponadto cudownie umiesz dbać o kobiecą urodę.

— Dziękuję, pani.

— Wszyscy opowiadają, jak twoje wspaniałe zdolności odmieniły tę niewdzięcznicę, Jane. Prawdę mówiąc, wcale nie była ładna, lecz ty uczyniłaś z niej piękność.

— Dziękuję, pani.

Zapadła chwila milczenia.

— Oto, czego od ciebie żądam, a przy okazji zapewnię ci pozycję, o jakiej mogłabyś tylko marzyć: zostaniesz pokojówką mojej córki.

— Och — wykrztusiła Riba.

Edith Materazzi się uśmiechnęła.

— Rzeczywiście: och. Czyż to nie wspaniała nowina?

— Tak, proszę pani.

— Wiem, że się dobrze spiszesz. Proszę cię tylko o dwie rzeczy. Jedna z nich będzie dla ciebie trudna, ponieważ widzę, że jesteś dobrą i uczciwą dziewczyną. — Przyjrzała się Ribie, która już się zastanawiała, gdzie w tym wszystkim tkwi haczyk. —

283

r

Chcę, abyś nie mówiła mojej córce, że to ja cię przysłałam. — Ścisnęła jej dłoń, jakby próbowała zdusić w zarodku zrozumiały protest. — Wiem, że to ci się wydaje niewłaściwe, i w pełni to rozumiem, ale ona cię odprawi, jeśli jej powiesz prawdę. Czasem, aby dokonać czegoś dobrego, trzeba najpierw zrobić coś trochę niewłaściwego. Poza tym chcę tylko, abyś od czasu do czasu przysłała do mnie i opowiedziała mi, jak ona się czuje, o czym rozmawia, czym się martwi, zwyczajne drobne rzeczy, które każda córka mówi kochającej matce. Możesz to dla mnie zrobić, Ribo?

Oczywiście, że mogła, poza tym, jaki miała wybór? Zawarła umowę z szanowną Edith Materazzi, a jeśli jej nie do końca we wszystko wierzyła, to przecież było to bez znaczenia? Obie

wiedziały, że nie ma innego wyjścia.

* * *

Jego Świątobliwość odkupiciel Bosco siedział na balkonie i patrzył na żołnierzy zapełniających jak okiem sięgnąć bezkres terenu Sanktuarium. Mężczyźni się nawoływali, muły ryczały, konie paraskały, jeźdźcy klęli na zwierzęta. Napełniały go przyjemnością widok i dźwięki tych przygotowań, które wszak miały ziścić cel jego życia. Wziął następny łyk ulubionej zupy: wywaru na kurzych nóżkach z zielonymi warzywami.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść.

W progu stanął odkupiciel Stape Roy.

— Życzyłeś sobie mnie widzieć, Wasza Nabożność.

— Chcę, żebyś wziął dwudziestu odkupicieli i podjął próbę zabicia Arbell Materazzi.

— Ależ Wasza Świątobliwość, to niemożliwe! — zaprotestował Roy.

— Wiem o tym. Gdyby to było możliwe, nie wysyłałbym ciebie.

284

Choć rozdrażniony i przestraszony, Roy powstrzymał chęć zapytania Bosca, co to ma, do diabła, znaczyć.

— Jesteś na mnie zły, odkupicielu Royu Stape.

— Pragnę, abyś był zadowolony z mojej służby, Wasza Nabożność.

Bosco wstał i dał mu znak, aby podszedł do stołu, na którym leżała mapa fortyfikacji Memphis.

— Brałeś udział w oblężeniu Voorheis, prawda?

— Tak, Wasza Nabożność.

— Jak długo się broniło, zanim padło?

— Prawie trzy lata.

Bosco wskazał gestem mapę.

— Ile twoim zdaniem może zająć zrównanie Memphis z ziemią?

— Dłużej.

' — O ile dłużej?

— O wiele dłużej.

Bosco odwrócił się do niego.

— Moglibyśmy tracić czas i ludzi, próbując zdobyć Memphis siłą, i dlatego właśnie tego nie zrobimy. Słyszałeś pogłoski na temat tego, w jakim celu porwaliśmy Arbell Materazzi?

Odkupiciel Roy spojrział na niego zakłopotany.

— Grzechem jest dawać posłuch plotkom, a jeszcze większym je przekazywać.

Bosco się uśmiechnął.

— Oczywiście, ale w tym wypadku udzielam ci dyspensy. Wybaczony zostaje ci grzech rozpuszczania plotek.

— Najczęściej mówiło się, że jest neofitką antagonistów i że szerzy ich nauki, że urządzała orgie i deprawowała tysiące mężczyzn, a złapanych odkupicielei hańbiła, zmuszając ich torturami do jedzenia krewetek.

Bosco skinął głową.

285

M

— Przerazająca grzesznica, jeśli to prawda.

— Ja tylko powtarzam pogłoski, nie twierdzę, że w nie wierzę.

— To dobrze, odkupicielu — uśmiechnął się Bosco. — Tak naprawdę kazałem ją porwać, aby wywabić Materazzich z Memphis. Dla całego imperium ona jest królową, gwiazdą na firmamencie. Uwielbiają ją z powodu jej młodości i urody. Wszędzie, nawet w najbardziej zapyziałej ruderze ludzie opowiadają o jej podbojach miłosnych, z czego bez wątpienia duża część jest zmyślona lub wyolbrzymiona. Czczą ją wszyscy, również jej ojciec. Mimo to nie zmartwiłem się, kiedy usłyszałem, że uprowadzenie się nie powiodło. Cel swój osiągnąłbym bowiem, gdyby tylko rozniosła się wieść, że dokonaliśmy tak haniebnego czynu. Materazzi wypadliby z Memphis buńczuczni i zaciętrzewieni, gotowi zetrzeć nas w proch. — Bosco usiadł i popatrzył uważnie na surowego mężczyznę stojącego naprzeciwko niego. — Myślisz sobie zapewne, że skoro nic takiego się nie stało, musiałem popełnić błąd, za bardzo się tylko krępujesz albo boisz, aby to powiedzieć. Jeśli tak, to jesteś w błędzie, odkupicielu. Marszałek Materazzi natomiast przeciwnie, przyznaje mi rację. Okazuje się, że jeżeli jest naprawdę kochającym ojcem, to na pewno niełatwo daje się ponieść emocjom. Zachował uprowadzenie córki w tajemnicy, ponieważ wie to co ja: że nie zdołałby powstrzymać ludzi w ich żądzy zemsty. I teraz dochodzimy do twojej roli w tej sprawie. Otóż jesteś w takich dobrych stosunkach z tym... czymś...

— Miastem Kici, Wasza Świątobliwość.

— Masz przekonać tego... Kicię, aby ci pomógł przeprowadzić atak taką liczbą żołnierzy, jaką uznasz za stosowną: trzydziestu, może pięćdziesięciu. Powiesz żołnierzom, że plotki krążące wśród odkupicieli na temat jej grzesznego odszczepień-stwa są prawdziwe i że jeśli zginą, zostaną uznani za męczen-

286

ników... I tak się stanie. Dopilnujesz, aby wybrani przez ciebie kapitanowie mieli przy sobie certyfikat męczeństwa wyjaśniający, że spełniają wolę Boga. Miejmy nadzieję, że chociaż kilku z nich przeżyje na tyle długo, aby na torturach wyznać Materazzim prawdę. Tym razem nie chcę, by istniał choćby cień szansy, że uda im się sprawę zatuszować. Czy to jest jasne?

— Tak, Wasza Nabożność — odrzekł Roy Stape biały jak ściana.

— Pobladłeś, odkupicielu. Chciałbym podkreślić, że twoja śmierć nie jest konieczna. Wręcz przeciwnie. Powinieneś wybrać do tego zadania żołnierzy, którzy się czymś zhańbili. Wiem, że żądam niegodziwości, ale jest ona nieodzowna.

Na wieść, że nie musi składać ofiary z własnego bezwartościowego życia, kolory powróciły na twarz odkupiciela Roya.

— Kicia Zając — powiedział — będzie chciał wiedzieć, w czym bierze udział. Jest nader wątpliwe, aby uznał, że uczestnictwo w tak dyskusyjnym przedsięwzięciu leży w jego interesie.

Boscco zbył go machnięciem ręki.

— Możesz mu obiecać, co chcesz. Powiedz mu, że jeśli wygramy, uczynimy go satrapą Memphis.

— Kicia Zając nie jest głupcem, Wasza Świątobliwość.

Bosco westchnął i zastanawiał się przez chwilę.

— Zawieź mu złoty posążek Lubieżnej Wenus ze Strabo.

Odkupiciel Roy osłupiał.

— Myślałem, że został roztrzaskany na dziesięć kawałków i wrzucony do wulkanu w Delfach.

— To były plotki. Ten posążek, chociaż bluźnierczy i obsceniczny, zapcha usta temu twojemu... zwierzęciu, głupiec, czy nie głupiec, i uczyni go głuchym na wszelkie pytania, jakie mógłby sobie zadawać.

26

W ciągu kilku następnych tygodni Cale doświadczał wszystkich autodestrukcyjnych przyjemności, jakie można czerpać z uprzykrzania życia komuś, kogo się uwielbia i nienawidzi zarazem. W końcu jednak miał tego serdecznie dosyć.

Właściwie nigdy się nie zastanawiał, czego oczekiwał, podejmując się roli osobistego ochroniarza Arbell Łabędzioszyjej. Tego, co do niej czuł — głębokiego pragnienia i równie głębokiej niechęci — nie potrafiłby pogodzić nawet dojrzały, mądry człowiek, a co dopiero młodzieniec zdolny do takiej brutalności, a zarazem tak niewinny. Może urok osobisty zdołałby sprawić, że nie wzdragałaby się tak, kiedy do niej mówił, ale skąd miałby się wziąć urok osobisty u takiego chłopca? Wstręt, jaki mu okazywała, był dla niego ze zrozumiałych powodów obraźliwy, lecz nie umiał odpowiedzieć nań inaczej, jak tylko jeszcze większą wrogością.

Te dziwne stosunki pomiędzy Calem a jej panią bardzo trapiły Ribę. Lubiła Arbell Łabędzioszyją, mimo że miała większe ambicje, niż być przez całe życie pokojówką wielkich dam, choćby najznamienitszych. Arbell była miła i życzliwa, a kiedy odkryła u nowej służącej nadzwyczaj żywą inteligencję,

288

otworzyła się przed nią i zaczęła traktować z dużą bezpośredniością. Riba jednak darzyła Cale'a podziwem graniczącym z czcią. Narażał życie, aby uratować ją przed czymś tak okropnym, co pamięta się tylko w najgorszych koszmarach. Nie mogła zrozumieć, czemu jej pani jest wobec niego taka oziębła i postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby to zmienić.

Jednakowoż sposób, jaki wybrała, aby to uczynić, mógłby się nieświadomemu obserwatorowi wydawać dość osobliwy. Udając, że się potknęła, wylała na Cale'a filiżankę gorącej wody, ale zmieszanej uprzednio z zimną, aby go za bardzo nie poparzyć. Była jednak wystarczająco gorąca. Z okrzykiem bólu Cale rozerwał bawełnianą tunikę, którą miał na sobie.

— Och, przepraszam, przepraszam! — Rzuciła się do niego, złapała kubek z zimną wodą, który również przygotowała sobie wcześniej, i wylała na niego. — Nic ci nie jest? Przepraszam.

— Co się z tobą dzieje? — spytał bez złości. — Najpierw próbujesz mnie ugotować, a potem utopić.

— Och —jęknęła Riba. — Tak mi przykro — przepraszała dalej, podając mu mały ręcznik i robiąc wokół niego mnóstwo szumu.

— Już dobrze. Przeżyję — powiedział, wycierając się. Skinął głową w stronę Arbell. — Muszę się przebrać. Proszę, abys nie opuszczała swojej komnaty, dopóki nie wrócę, pani.

To rzekłszy, wyszedł. Riba zaś odwróciła się do swej pani, aby zobaczyć, czy jej podstęp zadziałał, lecz jak to bywa z bardzo wyrafinowanymi podstępami, odniósł bardzo niejednoznaczny efekt. Arbell poczuła nagle litość, jakiej nigdy nie spodziewałaby się poczuć wobec Cale'a, lecz jej powodem nie były poparzone ręce, lecz plecy pokryte bliznami i obrzękami tak gęsto, że trudno było na nich znaleźć choćby cal skóry, która nie nosiłaby śladów okrutnej przeszłości.

— Zrobiłaś to umyślnie.

289

— Tak — przyznała Riba.

— Dlaczego?

— Abyś zobaczyła, pani, ile on wycierpiał. I abyś, z całym należnym szacunkiem, nie była dla niego taka niemiła.

— O czym ty mówisz? — spytała zdumiona Arbell.

— Czy mogę mówić otwarcie, pani?

— Nie, nie możesz!

— Powiem to i tak, skoro już zaczęłam.

Arbell nie była napuszoną arystokratką jak większość Materazzich, lecz nigdy dotąd nikt, ale to nikt poza jej ojcem nie mówił do niej w ten sposób. Ze zdumienia odebrało jej mowę.

— Ty, pani, i ja nie mamy teraz ze sobą wiele wspólnego, lecz kiedyś i mnie we wszystkim dogadzano i wierzyłam, że czeka mnie życie wypełnione przyjemnościami. Wszystko prysło w ciągu jednej godziny; nauczyłam się, że życie może być okrutne i przerosnąć nasze najgorsze obawy.

Potem opowiedziała swojej pani, która słuchała z oczami okrągłymi jak spodki, o losie swojej przyjaciółki, nie oszczędzając żadnych szczegółów, a potem, jak Cale ją uratował, narażając się na śmierć jeszcze straszniejszą.

— Przez całą naszą podróż przez Strupie Wzgórza powtarzał, że uratowanie mnie było najgłupszą i najbardziej szaloną rzeczą, jaką zrobił w życiu.

— Wierzysz mu? — zapytała Arbell z zapartym tchem.

Riba się roześmiała.

— Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że czasami naprawdę tak myśli, a czasami nie. Ale widziałam jego plecy, kiedy myśliśmy się w jakiejś oazie na Strupich Wzgórzach, Bóg jeden wie, jak on ją znalazł w tym okropnym miejscu. Henri mi opowiedział, co oni mu robili. Kiedy był jeszcze dzieckiem, ten odkupiciel Bosco się na niego wziął. Oskarżał go o wszystko, a im drobniejsze były przewiny, tym lepiej. Wyciągał go na

290

środek przed wszystkimi chłopcami i bił bez litości, a potem przewracał na ziemię i kopał. A potem zrobił z niego zabójcę.

Swoją opowieścią Riba samą siebie doprowadziła do stanu wrzenia, i to nie tylko na odkupicieli.

— Moim zdaniem ten chłopiec miałby święte prawo kogoś takiego jak ja czy ty, pani, olać z góry ciepłym moczem, nie mówiąc o narażaniu dla nas życia.

Choć wydawało się to niemożliwe, Arbelle otworzyła oczy jeszcze szerzej, słysząc tę osobliwą metaforę.

— Więc wydaje mi się, mademoiselle, że najwyższa pora, abyś przestała patrzeć na niego z góry tymi swoimi ślicznymi oczami i okazała mu wdzięczność i współczucie, na jakie zasługuje.

W miarę rozkręcania się w swej tyradzie Riba zatraciła co nieco czystość intencji, z którą ją rozpoczynała, i zaczęła się delectować własnym oburzeniem i zakłopotaniem swojej pani. Miała jednak dość rozumu, aby się w porę pohamować. Zapadła długa chwila milczenia, podczas której Arbelle gwałtownie mrugała powiekami, aby się nie rozpłakać. Potoczyła zamglonym wzrokiem po pokoju, potem spojrzała na Ribę i znów dookoła. Z piersi wydarło jej się długie westchnienie.

— Nie wiedziałam... Nie miałam o tym wszystkim pojęcia.

W tym momencie rozległo się pukanie i do komnaty wszedł

Cale. Chociaż atmosfera w pokoju zmieniła się radykalnie od chwili, kiedy go opuścił, chłopiec żadnej z tych zmian nie zauważył. Zresztą ani Riba nie domyślała się rozmiaru tej przemiany, ani młoda kobieta, która jej doświadczała, nie uprzytamniała jej sobie w pełni. Arbelle Łabędzioszyją, najpiękniejszy obiekt pożądania i podziwu w całym cesarstwie, ogarnęło niezmiernie współczucie na widok okropnych blizn na plecach Cale'a, ale przepełniło ją także uczucie znacznie mniej podniosłe: niespodziewane i dotkliwe pragnienie. Obnażony do

291

m

pasa Cale stanowił radykalny kontrast w porównaniu ze smukłymi, choć silnymi i zwinnymi ciałami Materazzich. Był szeroki w ramionach i nienaturalnie wąski w talii. Nie miał w sobie ani krztyny elegancji, tylko siłę i mięśnie, niczym byk albo wół. Nikt by go nie nazwał urodziwym, nikt nie rzeźbiłby w marmurze tej żylastej masy, pokrytej bliznami. Jednakże widok ten sprawił, że Arbelle Materazzi serce zabiło szybciej. I nie tylko serce.

27

— No cóż, odkupicielu... — zagruchał Kicia Zajęc.

Jego paznokcie delikatnie stukały w drewniany blat stołu, na którym stał posążek Lubieżnej Wenus ze Strabo. Jego omdlewający głos wywoływał u odkupiciela Roya odczucie, jakby coś niewyobrażalnie odrażającego zamierzało wypełznąć mu do ucha.

— To wszystko wydaje się bardzo dziwne — ciągnął Kicia, wpatrując się w posązek.

A przynajmniej Stape'owi Royowi zdawało się, że wpatruje się w posązek, ponieważ twarz miał jak zawsze osłoniętą szarym kapturem, co odkupiciel przyjął z ogromną ulgą.

— Jeśli nam pomożesz, posązek należy do ciebie. Nasze powody nie mają znaczenia.

Odkupiciel aż podskoczył, kiedy delikatne skrobanie paznokci po drewnie nagle ucichło i Kicia Zając sięgnął po posązek. Szara tkanina rękawa zsunęła się z jego dłoni, tylko że to nie była dłoń, a raczej coś siwego, pokrytego rzadkim futrem, niby psia łapa, ale dłuższe, dużo dłuższe i z nakrapianymi paznokciami. Nawet jednak ten opis nie oddaje wiernie rzeczywistości. Przez chwilę paznokcie, delikatnie niczym matka pieszcząca niemowlę, gładziły posązek, po czym się cofnęły.

293

— Piękne dzieło sztuki — zbulgotał Kicia Zając. — Słyszałem wszakże, że został stłuczony na dziesięć kawałków i wrzucony do wulkanu w Delfach.

— Jak widać, nie został.

Spod kaptura dobyło się przeciągłe westchnienie, które odkupiciel Roy poczuł na twarzy jak gorący, zepsuty oddech złego psa.

— Nie uda się wam — zagruchał Kicia Zając.

— Nie ma pewności.

— Nie ma wątpliwości.

— To nasza sprawa.

— Chcecie rozpętać wojnę, więc to również moja sprawa.

Zapadło milczenie.

— Tak się składa — ciągnął Kicia Zając — że nie mam nic przeciwko wojnie. Zawsze mi dobrze służyły. Zdziwiłbyś się, odkupicielu, ile pieniędzy można zarobić na dostawach kiepskiej żywności, napojów, garnków i patelni nawet na najmniejszej wojence. Będę potrzebował gwarancji na piśmie, że w wypadku waszej wygranej, żadna część mojego dobytku nie dozna uszczerbku i że pod waszą ochroną będę mógł odejść, gdzie mi się spodoba.

— Zgoda.

Żaden z nich nie ufał drugiemu. Kicia Zając cieszył się, że zarobi pieniądze na wojnie, lecz jego plany sięgały znacznie dalej.

— To zajmie trochę czasu. — Kiedy to powiedział, Stape Roy poczuł kolejny powiew gorącego, wilgotnego oddechu. — Przygotuję plany w ciągu trzech tygodni.

— To za długo.

— Możliwe, ale tyle to właśnie zajmie. Do widzenia.

Cale szedł zamyślony w kierunku komnat Arbella Łabędzio-szyjej, starannie opasanych kordonem ochrony. Pomimo swej głębokiej podejrzliwości i urazy, nawet on zauważył znaczącą odmianę w zachowaniu Arbella. Nie piorunowała go wzrokiem, nie kuliła się, kiedy się do niej zbliżał. Zastanawiał się nawet chwilami, czy ten dziwny wyraz w jej oczach (choć oczywiście nie mógł wyczytać w nim współczucia ani pragnienia) może coś oznaczać. Szybko jednak odrzucił te pomysły, ponieważ uznał je za absurdalne. Mimo to działo się coś dziwnego.

Pogrążony w myślach prawie nie zwrócił uwagi na grupę mniej więcej dziesięcioletnich chłopców rzucających w siebie kamieniami na brzegu pola treningowego. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że jeden z nich jest dużo starszy, prawdopodobnie czternastoletni, wysoki i szczupły jak większość Materazzich w tym wieku. Po chwili się zorientował, że młodsi chłopcy nie rzucają kamieniami w siebie, lecz w tego jednego i w dodatku obsypują go wyzwiskami:

— Jołop! Niedojda! Głupek! Zapluty gównozjad! Tępy dupek!

Chociaż dużo wyższy, starszy chłopiec odwracał się tylko ze strachu, kiedy leciały w jego stronę kamienie. Nagle dostał jednym w głowę i upadł na ziemię. Małe łobuziaki rzuciły się w jego stronę, gotowe potraktować go teraz kopniakami, lecz wtedy zjawił się Cale. Złapał jednego za ucho, drugiemu podstawił nogę i kopnął lekko, kiedy się przewrócił. W mgnieniu oka cały gang rozpiezchnął się na wszystkie strony, wykrzykując w biegu obelgi.

— Jeśli was jeszcze raz tu zobaczę, wy małe szumowiny — zawołał za nimi Cale — to poczujecie mój but na rzyciach!

Pochylił się nad leżącym na ziemi chłopcem.

— Już dobrze, już sobie poszli — powiedział do chlipiącej skulonej postaci, osłaniającej twarz dłońmi. Chłopiec nie re-

agował i nie przestawał kwilić. — Nic ci nie zrobię. Tamci już uciekli.

Nadal żadnej reakcji. Nieco zniecierpliwiony Cale dotknął jego ramienia, a wtedy chłopiec nagle ożył. Jego dłoń wystrzeliła błyskawicznie i trafiła Cale'a w czoło. Zaskoczony Cale krzyknął z bólu i odskoczył w tył, podczas gdy chłopak spojrział nań zdumiony, cofnął się niezgrabnie pod mur i zaczął rozglądać przerażony za swymi prześladowcami.

— Cholera! — burknął Cale. — Cholera! Cholera! Cholera! — Cale poczuł się, jakby dostał młotem w czoło. — Co cię napadło, przeklęty idioto? — krzyknął na chłopaka, który wytrzeszczał nań okrągłe oczy. — Próbowałem ci pomóc, a ty mi prawie łeb strąciłeś z karku.

Nieznajomy patrzył na niego, aż w końcu się odezwał, lecz z jego ust zamiast słów wydobyły się niezrozumiałe pomruki. Cale nie miał nigdy do czynienia z ludźmi ułomnymi, w Sanktuarium zwykle

szybko przepadali bez śladu, tak więc dłuższą chwilę potrwało, zanim zrozumiał, że chłopak jest niemową. Wyciągnął rękę. Powoli, z wahaniem tamten podał mu dłoń i Cale podniósł go na nogi.

— Chodź ze mną — powiedział.

Tamten patrzył na niego tępo. Niemy i głuchy. Cale dał mu znak, aby za nim poszedł i powoli, chlapiąc z bólu i upokorzenia, chłopiec ruszył.

Dziesięć minut później Cale mył go w tymczasowej wartowni w pałacu, kiedy do izby wbiegła pospiesznie Arbelle w towarzystwie Riby. Na widok zakrwawionego nieszczęśnika siedzącego przed Calem wydała stłumiony okrzyk.

— Coś ty mu zrobił?! — zawołała.

— O czym ty gadasz, głupia babo?! — wrzasnął w odpowiedzi Cale. — Okładała go banda waszych smarkatych piękniśków. Rozpędziłem ich na cztery wiatry.

296

Arbelle popatrzyła na niego ze skruchą, zła na siebie, że zniweczyła swoje kilkudniowe starania.

— Przepraszam, przepraszam.

Powiedziała to z taką żalnością i poczuciem winy, że Cale'owi zrobiło się błogo na duchu. Choć raz mógł poczuć wobec niej wyższość. Zbył jednak jej przeprosiny mruknięciem.

— Tak bardzo mi przykro — powtórzyła.

Potem podeszła do chłopca stroskana i zaniepokojona i ucałowała go. Cale nigdy przedtem nie widział, aby okazywała komuś tyle czułości. Spojrzał na nią zdumiony. Chłopiec prawie natychmiast zaczął się uspokajać. Głaszcząc go po głowie, Arbelle podniosła wzrok na Cale'a.

— To mój brat, Simon — wyjaśniła. — Większość ludzi nazywa go głupkiem, ale oczywiście nie przy mnie. Jest niemy i głuchy. Co się stało?

— Był na polu treningowym. Grupa młodszych chłopców obrzucała go kamieniami.

— Potwory! — powiedziała, odwracając się z powrotem do Simona. — Myślą, że wszystko im się upiecze, bo nie może na nich naskarżyć.

— Nie ma żadnych opiekunów?

— Ma, ale lubi chodzić sam i ciągle im ucieka na pole treningowe, ponieważ chce być taki jak inni. A oni go nienawidzą i boją się go, bo jest opóźniony. Gadają, że opętał go diabeł.

Uspokoiwszy się, Simon pokazał Cale'a palcem i pomrukując, zaczął przedstawiać scenkę rzucania kamieniami i ocalenia.

— Chce ci podziękować.

— Skąd wiesz? — zapytał Cale trochę zbyt obcesowo.

— Wiem, że ma dobre serce, nawet jeśli jest trochę ograniczony.

Ujęła dłoń braciszka, otworzyła ją i wyciągnęła w kierunku Cale'a. Kiedy Simon zrozumiał jej intencję, złapał go za rękę

297

i zaczął ją ścisnąć i potrząsać tak, że Cale'owi zabrało trochę czasu, zanim zdołał się uwolnić. Przez cały ten czas tymczasowy opatrunek, który Cale założył mu na ranę, nasiąkał krwią. Gestem nakazał chłopcu usiąść i pod czujnym okiem Arbella, zdjął bandaż. Na czole Simona widniało głębokie rozcięcie długie prawie na dwa cale.

— Małe łobuzy mogły mu wybić oko. Trzeba to zszyć.

Arbell spojrzała na niego zdumiona.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Trzeba zszyć ranę, tak jak zszywasz koszulę albo skarpetki. — Zaśmiał się z własnych słów.

— Naturalnie ty nie

zszywasz.

— Sprowadzę któregoś z naszych lekarzy.

Cale prychnął pogardliwie.

— Ostatni lekarz Materazzich, z jakim miałem do czynienia, zabiłby mnie, gdybym mu dał jeszcze kilka dni czasu. Nie chodzi tylko o bliznę, taka postrzępiona rana nie będzie się goić. Ma szansę jak jeden do dziesięciu, że wda się zakażenie, a wtedy Bóg jeden wie, co się może zdarzyć. Jeśli zszyjemy ranę, prawie na pewno się zasklepi i ślad zostanie niewielki.

Arbell Łabędzioszyja popatrzyła na niego z rozterką.

— Chciałabym najpierw wezwać lekarza, żeby go obejrzał. Zrozum mnie, proszę.

Cale wzruszył ramionami.

— Jak chcesz.

Godzinę później zjawili się dwóch lekarzy, którzy po głośniejszej kłótni nie zdołali zatamować krwawienia, a grzebiąc przy ranie i dłubiąc, pogorszyli jeszcze sytuację. Simon do tego czasu był już tak dezorientowany i obolały, że nie pozwalał się dotknąć żadnemu z nich, a przez cały ten czas rana nie przestawała obficie krwawić.

Cale wyszedł po kilku minutach tej burzliwej konsultacji,

298

a kiedy wrócił pół godziny później, Simon stał w kącie w szoku i nie pozwalał się nikomu do siebie zbliżyć, nawet siostrze.

Cale odciągnął zrozpaczoną Arbella na bok.

— Posłuchaj — powiedział — mam trochę krwawnika kupionego na rynku, który może powstrzymać krwawienie. — Wskazał głową na burzliwą scenę rozgrywającą się w kącie izby. — Nic dobrego z

tego nie wyniknie. Może byś zapytała ojca, co o tym myśli.

Arbell Łabędzioszyja westchnęła.

— Tata nie chce mieć z nim nic wspólnego. Musisz zrozumieć, to okropny wstyd mieć takie dziecko. Sama mogę podjąć decyzję.

— Więc podejmij.

W ciągu kilku minut lekarze zostali odprawieni i w izbie poza Simonem zostali tylko Cale i Arbell. Chłopiec przestał krzyczeć, ale spoglądał na nich z kąta podejrzliwie. Powoli i tak, aby ranny mógł wyraźnie widzieć, co robi, Cale rozwinął papier, w który zapakowany był sproszkowany krwawnik i wysypał trochę na rękę. Wskazał palcem na proszek, potem na ranę Simona, a następnie na własne czoło. Odczekawszy chwilę, ostrożnie podszedł i uklęknął obok chłopca i pokazał mu otwartą dłoń ze sproszkowanym ziołem. Chłopiec popatrzył na niego mniej podejrzliwie, ale nadal nieufnie. Cale wziął z ręki szczyptę krwawnika i bardzo powoli zbliżył ją do głowy Simona. Przechylając głowę do tyłu, pokazał mu, aby zrobił tak samo. Nadal pełen obaw chłopiec posłuchał i Cale posypał krwawiącą ranę lekarstwem, po czym powtórzył tę czynność sześciokrotnie. Następnie wstał i zostawił go, aby się uspokoił.

Dziesięć minut później krwawienie ustało. Dużo spokojniejszy Simon pozwolił Cale'owi podejść i oczyścić ranę z resztek ziołowego proszku. Choć czynność ta musiała być bolesna,

299

chłopiec cierpliwie znosił delikatne zabiegi Cale'a, cały czas pod czujnym okiem Arbell Łabędzioszyjej.

Kiedy Cale skończył, łagodnie nakłonił swojego pacjenta, aby wyszedł na środek pokoju i usiadł na stole. Wyjął z wewnętrznej kieszeni zawiniątko w jedwabiu i obserwowany nieufnie przez Simona rozłożył je na stole. W środku znajdowało się kilkanaście igieł, niektóre dziwnie zakrzywione, wszystkie zaś nawleczone krótkimi jedwabnymi nićmi. Na twarz chłopca momentalnie powróciła podejrzliwość, kiedy Cale wziął jedną z igieł i podniósł do jego oczu, a następnie różnymi sposobami próbował mu zademonstrować, co zamierza zrobić. Jednak efektem tej całej pantomimy było tylko rosnące przerażenie pacjenta. Za każdym razem, gdy chciał zacząć szyć, Simon wrzeszczał wniebogłosy.

— Nie pozwoli ci tego zrobić. Spróbuj innej metody — powiedziała rozstrojona Arbell.

— Posłuchaj — odparł zniecierpliwiony i sfrustrowany Cale — ta rana jest za głęboka, żeby ją tak zostawić. Mówiłem ci, że wda się zakażenie, a wtedy naprawdę będzie miał powód do krzyku. Albo przeciwnie, zamilknie na zawsze.

— To nie jego wina, on tego nie rozumie.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Cale cofnął się i westchnął. Potem znowu podszedł, wyjął z wewnętrznej kieszeni mały nóż i zanim Simon czy Arbell zdążyli zareagować, rozciął sobie głęboko lewą dłoń w miejscu poniżej nasady kciuka.

Po raz pierwszy od wielu minut w izbie zapadła cisza, Zarówno Simon, jak i jego siostra patrzyli na Cale'a wstrząśnięci i przejęci grozą. Ten zaś odłożył nóż, i mocno przycisnął bandaż do krwawiącej

rany. Przez kilka minut nikt się nie odzywał, Arbell i Simon wpatrywali się w Cale'a, który w końcu odjął opatrunek i widząc, że krew przestała lecieć tak obficie, podszedł powoli do stołu, wziął igłę z nicią i pokazał ją chłopcu,

300

jakby zamierzał zaprezentować sztuczkę magiczną. Następnie przyłożył igłę do rany i zaczął ją przewlekać przez brzegi rozcięcia. Ściągnął potem mocno obie krawędzie z takim skupieniem, jakby cerował skarpetkę. Zawiązał oba końce nici na supeł i sięgnął po następną igłę. Powtórzył tę czynność jeszcze trzy razy, aż rana została mocno zamknięta. Wtedy podniósł dłoń do oczu Simona, aby mógł się jej uważnie przyjrzeć. Na poblądłej twarzy chłopca odmalowały się zrozumienie i strach. Odetchnął głęboko i w końcu skinął w odpowiedzi głową.

Cale wyjął z zawiniątka następną igłę, przyłożył do rany na czole chłopca (myślał o nim „chłopiec”, chociaż byli w tym samym wieku) i wkłuł.

Pięć szwów zostało założonych z niezwykłą starannością, chociaż nie obeszło się bez wrzasków i pisków. Skończywszy, Cale uśmiechnął się i uściśnął Simonowi dłoń, który choć biały jak mleko, zniósł dzielnie piekielny ból. Potem odwrócił się do Arbell Łabędzioszyjej, prawie tak samo bladej i roztrzęsionej jak jej brat.

— Chłopak ma charakter — powiedział do niej. — Twój brat jest więcej wart, niż się ludziom wydaje.

Szokujący pokaz Cale'a odniósł efekt, na jaki liczył. Patrząc na niezwykłego młodzieńca, który przed nią stał, oszołomiona, wstrząśnięta, przelękniona i osłupiała Arbell Materazzi była na wpół zakochana.

* * *

Gwelfowe, ludzie z natury skąpi i małoduszni, mają powiedzenie: żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie. Niebawem Cale miał odkryć prawdziwość tego ponurego porzekadła. Niestety Cale'a polegało na tym, że nie wychowywano go do strofowania młodocianych rozrabiaków za ich dziecinne

301

okrucieństwa, lecz do zabijania. Umiarkowana przemoc była dlań pojęciem obcym i niestety kopniak, którym odpędził jednego z prześladowców Simona, okazał się mocniejszy niż w zamierzeniu i złamał chłopcu dwa żebra. Zrządzeniem niesprzyjającego losu ojcem poszkodowanego był Salomon Salomon, który już od dawna pałał żądzą zemsty na Cale'u za rozgromienie jego sześciu najlepszych uczniów, a teraz nie posiadał się po prostu z wściekłości, a jak to często bywa ze zbrodniczymi brutalami, był bardzo kochającym i pobłażliwym ojcem. Musiał jednak powściągnąć gniew, mimo że wrzał w nim straszliwie. Nie mógł wyzwać Cale'a na pojedynek, skoro nieznośny bachor doznał uszczerbku podczas napaści na syna marszałka Materazziego. Chociaż doża wstydził się głęboko swego niedorozwiniętego potomka, wpadłby w szal, gdyby narażono na szwank honor jego rodziny i ani pozycja, ani najwyższe umiejętności żołnierskie nie uratowałyby Salomona Salomona przed wpakowaniem na statek i wysłaniem na Bliski Wschód do kolonii trędowatych. Dręczący gniew na Cale'a zamienił się w śmiertelną nienawiść i czekał tylko na sposobność, aby wybuchnąć. A

sposobność właśnie się nadarzała.

Nie może nikogo dziwić, że od czasu swego wypadku Simon Półgłówek, jak go powszechnie nazywano, gdy tylko nie było w pobliżu ojca ani siostry, spędzał najwięcej czasu z Calem, Kleistem i Mętym Henrim. Może natomiast dziwić, że to nieustające towarzystwo kogoś, kto ani nie słyszy, ani nie mówi, wcale nie przeszkadzało trzem towarzyszom. Był tak samo jak oni prześladowanym outsiderem. Współczuli mu również dlatego, że będąc tak blisko czegoś, co wydawało im się rajem na ziemi — pieniędzy, zaszczytów, władzy — był od nich zarazem tak nieskończenie daleki. W dodatku nie pozwalano mu się nikomu naprzykrzać. Prawda, że zachowywał

302

się czasem nieobliczalnie jak człowiek emocjonalnie nie zrównoważony, lecz to tylko dlatego, że nikt nie podjął wysiłku, aby mu wpoić zasady uprzejmego zachowania. Krzyczano na niego, ilekroć kogoś rozdrażnił, co nie odnosiło żadnych efektów z powodu jego głuchoty, albo dawano wyraz irytacji, kopiąc go w tyłek, co owszem, efekty dawało. Najskuteczniejsze jednak, jak większość ludzi szybko odkryła, było ignorowanie go, ilekroć zaczynał swoje nieartykułowane perory lub w inny sposób zachowywał się niestosownie. Nie znosił tego najbardziej na świecie, szybko więc nauczył się podstawowych zasad współżycia obowiązujących wśród akolitów odkupicieli i choć niewiele mogły mu się one przysłużyć na salonach Memphis, były to jedyne zasady właściwego zachowania, jakich go nauczono.'

Arbell powiedziała, że Simon dostawał w swoim życiu najlepszych nauczycieli, lecz nic z tego nie wynikało. Chłopcy jednak mieli znaczną przewagę nad najlepszymi nawet bakałarzami w Memphis. Odkupiciele wypracowali bardzo prosty język migowy na dni, kiedy obowiązywał ich nakaz milczenia. Rozwinęli go akolici, których zakaz mówienia obowiązywał jeszcze częściej. Ponieważ próby nauczania Simona choćby kilku słów zakończyły się niepowodzeniem, Cale zaczął pokazywać mu niektóre znaki ich języka migowego. Chłopak podchwycił je błyskawicznie: woda, kamień, mężczyzna, ptak. Trzy dni potem, kiedy przechodzili przez ogród obok stawu z kaczkami, Simon pociągnął Cale'a za rękaw i pokazał: „ptak-woda”. Wtedy to Cale nabrał podejrzeń, że chłopak wcale nie jest taki nierozgarnięty, jak wszyscy sądzili. W ciągu następnego tygodnia Simon chłonał język migowy odkupicieli niczym wysuszona gąbka wodę. Okazało się, że nie tylko nie jest niedorozwinięty, ale wręcz umysł ma bystry jak górski strumień.

303

— Ktoś powinien wymyślić mu więcej słów — powiedział któregoś dnia Cale, kiedy siedzieli w pokoju strażników i jedli kolację.

— Po co? — spytał Kleist — Co mu z tego przyjdzie, skoro nikt inny nie rozumie, co pokazuje?

— Simon nie jest pierwszym lepszym chłopakiem z prowincji. Jest synem doży. Mogą zapłacić komuś, kto będzie czytał jego znaki i wypowiadał je na głos.

— Łabędzioszyja zapłaci — stwierdził Mętny Henri.

Cale miał jednak inny plan.

— Jeszcze nie teraz — rzekł, spoglądając na Simona. — Myślę, że zasługuje na swoją zemstę na ojcu i wszystkich innych poza Arbell. Musi zrobić coś imponującego, coś, co oni wszyscy na długo

popamiętają. Znajdę kogoś i sam mu zapłacę.

Chociaż Cale nie skłamał na temat powodów swojej decyzji, to jednak prawda była nieco bardziej złożona. Oczywiście zauważył, że Arbell Łabędzioszyja zmieniła swój stosunek do niego, nie miał jednak pojęcia, jak głęboka zaszła w niej przemiana. W końcu niewiele wiedział (bo i skąd?) na takie tematy, jak uczucia młodych, pięknych i podziwianych kobiet do mężczyzn, którzy je śmiertelnie przerażają. Czuł, że potrzebuje czegoś spektakularnego, aby zrobić na niej wrażenie, a im bardziej to będzie zdumiewające, tym lepiej.

I tak nazajutrz razem z IdrysPukkem, który służył mu w tej sprawie za doradcę, Cale znalazł się w gabinecie Rektora Izby Uczonych, instytucji nazywanej powszechnie Mędrnicą, gdzie kształcono biurokratów potrzebnych do zarządzania cesarstwem. Naturalnie najważniejsze stanowiska, nie tylko gubernatorów prowincji, ale wszystkie znaczące funkcje w imperium, były zarezerwowane dla Materazzich. Powszechnie jednak zdawano sobie sprawę, choć nie wypowiedano tego na głos, że tylko nieliczni z nich mają niezbędne predyspozycje i wiedzę,

304

by zarządzać tak dużym terytorium. W tym celu założono właśnie Mędrnicę, w której przestrzegano ściśle kryteriów wiedzy i umiejętności po to, by cesarstwo nie pogrążyło się w chaosie niekompetencji. Gdziekolwiek mianowano gubernatorem podbitego kraju syna idiotę lub siostrzeńca lekkoducha któregoś z Materazzich, wysyłano tam czym prędzej odpowiednią liczbę absolwentów Mędrnicy, aby ograniczyć do minimum spustoszenia, jakie może spowodować. Tak więc to we własnym, dobrze pojętym interesie arystokratyczne rody założyły tę kuźnię mądrości i pozwoliły, by inteligentni i ambitni synowie bogatych kupców (ale inteligentni biedacy już nie) mieli swój udział w zarządzaniu cesarstwem i zysk z przyszłego rozwoju Memphis. Powstrzymywało ich to od konspirowania przeciwko istniejącemu porządkowi, które doprowadziło do upadku tak wiele imperiów.

Rektor łypał podejrzliwie na IdrysPukkego, człowieka, którego zarówno zła, jak i dobra sława wyprzedzały wszędzie, gdzie tylko się zjawiał. Podejrzliwości tej nie rozwiął bynajmniej łotrzyk o powierzchowności rzezimieszka, owiany jeszcze gorszą, choć również nieco tajemniczą legendą.

— W czym mogę pomóc? — spytał tonem głosu tak nieskorym do pomocy, jak to tylko możliwe.

— Lord Vipond prosi — powiedział IdrysPukke, wyjmując z kieszeni list i kładąc go na biurku przed nadzorcą — aby zapewniono nam najlepsze usługi.

Nadzorca spojrzał nieufnie na list, jakby podejrzewał, że może nie być autentyczny.

— Potrzebujemy waszego najlepszego uczonego, aby pełnił honorową funkcję koniuszego przy ważnym członku rodziny doży.

Na te słowa nadzorca wyraźnie się rozchmurzył. Z tego mogło jeszcze wyniknąć coś dobrego.

305

— Rozumiem. Czy jednak funkcja ta nie była zwykle zastrzeżona dla członków rodu Materazzich?

— Owszem, zwykle była — potwierdził IdrysPukke, jakby ta uświęcona, skostniała tradycja nie miała najmniejszego znaczenia. — Tym razem jednak potrzebujemy koniuszego

O nieprzeciętnych umiejętnościach, zwłaszcza językowych, kogoś rzutkiego i twórczego. Czy macie taką osobę?

— Mamy wiele takich osób.

— Więc weźmiemy najlepszego.

Dwie godziny później oszołomiony Jonathan Koolhaus, nie dowierzając własnemu szczęściu, szedł korytarzami cytadeli

I wkrótce został wprowadzony z całym szacunkiem należnym koniuszemu Materazzich do części pałacu zajmowanej przez Arbell Łabędzioszyją, a następnie do wartowni.

Jeśli Jonathan Koolhaus nie słyszał nigdy przedtem powiedzenia wielkiej Powszechnej Pustki, że „żadna wiadomość nie jest ani tak zła, ani tak dobra, jak się z początku wydaje”, to właśnie miał się przekonać o jego prawdziwości. Spodziewał się wkroczyć do wspaniałej komnaty, poczekalni wystawnego życia, na które wedle jego mniemania zasługiwał ktoś o tak wybitnych zdolnościach jak on. Zamiast tego znalazł się w kwaterze strażników, wypełnionej rzędem łóżek stojących pod ścianą i asortymentem złowrogo wyglądającej broni. Zdecydowanie coś było nie tak.

Pół godziny później do izby wszedł Cale z Simonem Materazzim. Przedstawił się, a Simon mruknął coś do ogłupiałego bakałarza. Następnie usłyszał, czego się od niego oczekuje: ma użyć swych umiejętności, aby stworzyć przyzwoity język migowy dla Simona. Następnie ma mu wszędzie towarzyszyć i służyć jako tłumacz.

Można sobie wyobrazić rozczarowanie i gorycz biednego Jonathana. Już sobie wyobrażał świetlaną przyszłość na szczycie

306

arystokratycznej elity Materazzich, a tymczasem proponowano mu funkcję tuby dla królewskiego głupka.

Cale kazał służącemu zaprowadzić Koolhausą do jego pokoju, który niewiele się różnił od tego, w jakim mieszkał w Mędrnicy, a następnie do komnaty Simona, gdzie Mętny Henri czekał, aby zapoznać go z podstawowymi znakami niemej mowy odkupicieli. To przynajmniej pozwoliło zniechęconemu Jonathanowi oderwać myśli od swego rozczarowania.

Jego reputacja człowieka obdarzonego wrodzonymi zdolnościami językowymi była w pełni zasłużona, szybko więc uznał, że cała ta sprawa z językiem migowym nie jest zbyt skomplikowana i dwie godziny później miał spisane wszystkie znaki. Powoli zaczął go nawet ten temat intrygować. Język, który trzeba wymyślić zamiast się go uczyć, wydawał się nader ciekawym zadaniem. Żadna wiadomość nie jest ani tak dobra, ani tak zła, jak się z początku wydaje. Tak czy inaczej nie miał innego wyjścia, jak tylko zabrać się do roboty, nawet jeśli biadolił sobie w duchu, że musi pracować z półgłówkiem.

W ciągu następnych kilku dni zaczął zmieniać zdanie na ten temat. Przez całe swoje życie Simon chodził właściwie samopas, był więc uczniem zupełnie niezdyscyplinowanym, nikt go nigdy nie brał w karby żadnego systemu nauki ani właściwego zachowania. Tylko dwie rzeczy uczyniły naukę chłopca możliwą: jego nabożny lęk i uwielbienie dla Cale'a oraz rozpaczliwe pragnienie

porozumiewania się z innymi ludźmi, które sprawiło mu niezrównaną przyjemność nawet w tym minimalnym zakresie, na jaki pozwalał język migowy odkupicieli. W efekcie Simon okazał się uczniem o wiele bardziej obiecującym niż się z początku zdawało. Robił szybkie postępy, chociaż przynajmniej dwa razy dziennie lekcje przerywały napady złości spowodowane jego frustracją, że nie może zrozumieć, co robi Koolhaus. Przy pierwszym takim wybuchu przerażony bakałarz

307

posłał po Cale'a, który zagroził nieznośnemu uczniowi, że zło mu skórę, jeśli nie będzie się zachowywał jak należy. Simon, który od incydentu ze zszywaniem rany wierzył, że Cale jest zdolny do wszystkiego, natychmiast się uspokoił. Cale za-inscenizował wtedy symboliczny akt przekazania Koolhausowi swojej władzy wymierzania okrutnych, choć niesprecyzowanych kar i na tym stanęło. Nauka potoczyła się dalej gładko i chłopiec, któremu najbardziej na świecie zależało, aby zadowolić Cale'a, uczył się chętnie.

Koolhausowi zabroniono pod jakimkolwiek pozorem ujawniać prawdziwy cel swojej obecności w pałacu. Oficjalnie rozpuszczono wieść, że pełni on funkcję tymczasowego ochroniarza Simona.

Chociaż Arbell Łabędzioszyja nie miała pojęcia o wyższych ambicjach Cale'a wobec jej brata, doskonale widziała inne rzeczy, które dla niego robił. W Sanktuarium nie praktykowano czegoś takiego jak gry, uważano je bowiem za zajęcia prowadzące ku wszelakim grzechom. Najbliższy temu pojęciu był rodzaj treningu, w którym dwie strony, oddzielone od siebie narysowaną linią usiłowały uderzyć członków przeciwnej drużyny skórzanym workiem na sznurku. Wyglądałoby to na niegroźną rozrywkę, gdyby nie to, że worek wypełniano dużymi kamieniami. Poważne obrażenia podczas tych ćwiczeń były zjawiskiem powszednim, wypadki śmiertelne należały do rzadkości, ale się zdarzały.

Cale zdał sobie sprawę, że przy wygodnym trybie życia w Memphis on i jego towarzysze zaczynają się robić niemrawi, postanowił więc reaktywować grę, ale zamiast kamieni użyć piasku. Powrócili do niej wyłącznie w celach treningowych, lecz jakież było ich zdziwienie, kiedy odkryli, że po wyeliminowaniu elementu zagrożenia, mogą się przy niej śmiać i znakomicie bawić. Ponieważ brakowało im jednego gracza, pozwolili przyłączyć się Simonowi. Był trochę niezdarny i pozba-

308

wiony gracji oraz zręczności innych młodych Materazzich, ale tryskał takim entuzjazmem i energią, że choć nieustannie się obijał i kaleczył, zupełnie na to nie zważał. Śmiejąc się i wyszydając wzajemnie swoje niepowodzenia i niezdarność, robili tyle hałasu, że Arbell nie mogła ich nie zauważyć. Często stawała przy oknie i znad ogrodu obserwowała, jak jej brat biega, raduje się i po raz pierwszy w życiu wydaje się szczęśliwy.

Obrazy te jeszcze głębiej zapadały jej w serce razem z widokiem spoconego, umięśnionego ciała Cale'a emanującego niezwykłą siłą i mocą, kiedy ze śmiechem biegał, rzucał workiem i ścigał towarzyszy.

Po jednej z takich zabaw, ponieważ przez ponad godzinę nie zjawiał się w jej komnatach, kazała go Ribie wezwać. Podczas gdy ona przygotowywała się w sypialni, starannie nadając swojej urodzie nieco swobodny, lecz odpowiednio pociągający wygląd, Cale czekał w salonie. Po raz pierwszy

miał okazję spokojnie się tu rozejrzeć, zlustrował więc pomieszczenie, począwszy od książek leżących na stoliku, a skończywszy na tkaninach dekoracyjnych na ścianach i dużym portrecie jakiejś pary, który zajmował w pokoju poczesne miejsce. Właśnie oglądał z bliska malowidło, kiedy do komnaty weszła Arbell i odezwała się za jego plecami:

— To mój pradziadek i jego druga żona. Wywołali ogromny skandal swoją miłością.

Cale zamierzał właśnie zapytać, czemu akurat ten obraz wisi u niej na ścianie, lecz Arbell zmieniła temat.

— Chciałam ci podziękować — powiedziała łagodnie i nieśmiało — za wszystko, co zrobiłeś dla Simona.

Cale nie odpowiedział, ponieważ nie wiedział jak, poza tym po raz pierwszy od chwili, gdy ją zobaczył i zakochał się na śmierć i życie, obiekt jego uwielbienia przemówił do niego z taką życzliwością.

309

wiony gracji oraz zręczności innych młodych Materazzich, ale tryskał takim entuzjazmem i energią, że choć nieustannie się obijał i kaleczył, zupełnie na to nie zważał. Śmiejąc się i wyszydając wzajemnie swoje niepowodzenia i niezdarności, robili tyle hałasu, że Arbell nie mogła ich nie zauważyć. Często stawała przy oknie i znad ogrodu obserwowała, jak jej brat biega, raduje się i po raz pierwszy w życiu wydaje się szczęśliwy.

Obrazy te jeszcze głębiej zapadały jej w serce razem z widokiem spoconego, umięśnionego ciała Cale'a emanującego niezwykłą siłą i mocą, kiedy ze śmiechem biegał, rzucał workiem i ścigał towarzyszy.

Po jednej z takich zabaw, ponieważ przez ponad godzinę nie zjawiał się w jej komnatach, kazała go Ribie wezwać. Podczas gdy ona przygotowywała się w sypialni, starannie nadając swojej urodzie nieco swobodny, lecz odpowiednio pociągający wygląd, Cale czekał w salonie. Po raz pierwszy miał okazję spokojnie się tu rozejrzeć, zlustrował więc pomieszczenie, począwszy od książek leżących na stoliku, a skończywszy na tkaninach dekoracyjnych na ścianach i dużym portrecie jakiejś pary, który zajmował w pokoju poczesne miejsce. Właśnie oglądał z bliska malowidło, kiedy do komnaty weszła Arbell i odezwała się za jego plecami:

— To mój pradziadek i jego druga żona. Wywołali ogromny skandal swoją miłością.

Cale zamierzał właśnie zapytać, czemu akurat ten obraz wisi u niej na ścianie, lecz Arbell zmieniła temat.

— Chciałam ci podziękować — powiedziała łagodnie i nieśmiało — za wszystko, co zrobiłeś dla Simona.

Cale nie odpowiedział, ponieważ nie wiedział jak, poza tym po raz pierwszy od chwili, gdy ją zobaczył i zakochał się na śmierć i życie, obiekt jego uwielbienia przemówił do niego z taką życzliwością.

wiony gracji oraz zręczności innych młodych Materazzich, ale tryskał takim entuzjazmem i energią, że choć nieustannie się obijał i kaleczył, zupełnie na to nie zważał. Śmiejąc się i wyszydając wzajemnie swoje niepowodzenia i niezdarności, robili tyle hałasu, że Arbell nie mogła ich nie zauważyć. Często stawała przy oknie i znad ogrodu obserwowała, jak jej brat biega, raduje się i po raz pierwszy w życiu wydaje się szczęśliwy.

Obrazy te jeszcze głębiej zapadały jej w serce razem z widokiem spoconego, umięśnionego ciała Cale'a emanującego niezwykłą siłą i mocą, kiedy ze śmiechem biegał, rzucał workiem i ścigał towarzyszy.

Po jednej z takich zabaw, ponieważ przez ponad godzinę nie zjawiał się w jej komnatach, kazała go Ribie wezwać. Podczas gdy ona przygotowywała się w sypialni, starannie nadając swojej urodzie nieco swobodny, lecz odpowiednio pociągający wygląd, Cale czekał w salonie. Po raz pierwszy miał okazję spokojnie się tu rozejrzeć, zlustrował więc pomieszczenie, począwszy od książek leżących na stoliku, a skończywszy na tkaninach dekoracyjnych na ścianach i dużym portrecie jakiejś pary, który zajmował w pokoju poczesne miejsce. Właśnie oglądał z bliska malowidło, kiedy do komnaty weszła Arbell i odezwała się za jego plecami:

— To mój pradziadek i jego druga żona. Wywołali ogromny skandal swoją miłością.

Cale zamierzał właśnie zapytać, czemu akurat ten obraz wisi u niej na ścianie, lecz Arbell zmieniła temat.

— Chciałam ci podziękować — powiedziała łagodnie i nieśmiało — za wszystko, co zrobiłeś dla Simona.

Cale nie odpowiedział, ponieważ nie wiedział jak, poza tym po raz pierwszy od chwili, gdy ją zobaczył i zakochał się na śmierć i życie, obiekt jego uwielbienia przemówił do niego z taką życzliwością.

309

— Widziałam was dzisiaj, jak graliście. Simon jest taki szczęśliwy, że ma kogoś, z kim może się... — Zamierzała użyć słowa „bawić”, ale uprzytomniła sobie, że ktoś tak na przemian dobry i brutalny mógłby to źle odczytać — ...zaprzyjaźnić. Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

Cale'owi bardzo się to podobało.

— Nie ma za co — odparł. — Chłopak łapie wszystko w lot, tylko trzeba mu wytłumaczyć, co ma robić. Jeszcze zrobimy z niego twardego faceta. — Ledwo to powiedział, zdał sobie sprawę, że nie zabrzmiało to najlepiej. — Chodziło mi o to, że będzie umiał o sobie zadbać.

— Ale chyba nie nauczycie go niczego zbyt niebezpiecznego? — spytała.

— Nie zamierzam go uczyć zabijania, jeśli to masz na myśli.

— Przepraszam — rzekła przybita, że go obraziła. — Nie chciałam być niegrzeczna.

Cale jednak przestał być tak bardzo drażliwy od momentu, gdy zauważył, że zrobiła się wobec niego życzliwsza.

— Nie byłaś niegrzeczna. Zbyt łatwo się obrażam. IdrysPukke upominał mnie, że jestem tylko zwykłym zabijaką i powinienem bardziej uważać w towarzystwie ludzi dobrze wychowanych.

— Chyba tak nie powiedział? — roześmiała się.

— Dokładnie tymi słowami. Nie przejmuję się zbytnio moją wrażliwością.

— A masz ją?

— Nie wiem. A uważasz, że byłoby lepiej, gdybym miał?

— Byłoby wspaniale.

— No to spróbuję, chociaż nie wiem, jak się to robi. Możesz mnie besztać, kiedy będę się zachowywał jak zabijaka.

— Och, za bardzo bym się bała — odrzekła, trzepocząc rzęsami.

310

Roześmiał się.

— Wiem, wszyscy uważają, że tyle we mnie dobroduszości co u skunksa, aleja nie zabijam ludzi dlatego, że mnie zbesztają za maniery opryszka.

— Jesteś kimś więcej niż opryszkiem.

Znowu zatrzepotała powiekami.

— Ale opryszkiem również.

— Nie bądź taki przewrażliwiony.

— Widzisz? Zbeształaś mnie i nikogo nie zabiłem. Postaram się poprawić.

Arbell się uśmiechnęła. I tak poczyniony został kolejny krok

w głąb jej skonsternowanego serca.

* * *

Kleist uczył Simona i Koolhausa, jak wiązać lotki z gęsich piór do strzały. Simonowi nie udało się trzeci raz z rzędu i tak się wścifekł, że złamał strzałę i cisnął obie połówki w drugi koniec izby. Kleist spojrzał na niego spokojnie i dał Koolhausowi znak, żeby przetłumaczył.

— Zrób to jeszcze raz, a poczujesz mój but na swojej rzyci.

— Na rzyci? — spytał Koolhaus, chcąc okazać dezaprobatę dla tak nieokrzesanego zachowania.

— Sam sobie wykombinuj, skoro taki z ciebie bystrzacha.

— Zgadnijcie, co znalazłem w piwnicy? — zawołał Mętny Henri, wchodząc do wartowni.

— Skąd mam wiedzieć, coś znalazł w piwnicy, na litość boską? — spytał Kleist, nie podnosząc głowy znad stołu.

Mętny Henri nie pozwolił zbić się z pantałyku.

— Chodźcie, to wam pokażę.

W jego głosie słyhać było takie podniecenie, że Kleist w końcu popatrzył nań zaciekawiony. Henri poprowadził ich najpierw na sam dół, do podziemi pałacu, a potem coraz

311

ciemniejszym korytarzem do małych drzwi, które otworzył z wielkim trudem. W środku przez małe okienko pod stropem wpadało trochę światła.

— Rozmawiałem z jednym żołnierzem, opowiadał mi o ich wojnach, swoją drogą ciekawe historie. W każdym razie wspomniał, że pięć lat temu pełnił służbę w oddziale zwiadowczym na Strupich Wzgórzach. Szukali Gurriersów, ale trafili na wóz odkupicieli, który odłączył się od głównej kolumny. Ponieważ pilnowało go tylko kilku żołnierzy, kazali im spadać i skonfiskowali ładunek. •

To rzekłszy, Mętny Henri podszedł do plandeki i odrzucił ją na bok. Ich oczom ukazała się wielka kolekcja relikwii: drewniane i metalowe święte szubienice najróżniejszych rozmiarów, posążki Najświętszej Siostry Powieszzonego Odkupiciela oraz szerniałe palce rąk i nóg męczenników w małych bogato zdobionych szkatułkach. Henri znalazł nawet jeden nos, a przynajmniej tak mu się zdawało, bo po siedmiuset latach niełatwo było rozpoznać, co to jest. Wydobyli ze sterty rękę świętego Stefana z Węgier, a także doskonale zachowane serce.

Koolhaus spojrział na Mętnego Henriego.

— Nie rozumiem. Co to jest?

Henri poniósł do oczu małą buteleczkę w trzech czwartych wypełnioną płynem i przeczytał etykietkę:

— To jest „Święty olej, który wyciekł z trumny świętej Walburgii”.

Kleist stracił cierpliwość. Sterta relikwii obudziła w nim złe wspomnienia.

— Lepiej powiedz, że nie po to nas tu ciągnąłeś, żeby pokazać ten chłam.

— Nie.

Henri podszedł do mniejszej plandeki i tym razem ściągnął

312

ją szybkim ruchem niczym magik w kulminacyjnym punkcie pokazu, który widzieli w pałacu tydzień wcześniej.

Kleist wybuchnął śmiechem.

— No, w końcu będzie z ciebie jakiś pożytek.

Na ziemi leżało mnóstwo lekkich i ciężkich kusz. Mętny Henri podniósł jedną z lewarem kołowym.

— Patrzcie, arbalest. Założę się, że można z niej sporo wycisnąć. A to... — Wziął do ręki małą kuszę z przymocowaną na końcu skrzyneczką. — Myślę, że to kusza powtarzalna. Słyszałem o nich, ale nigdy nie widziałem takiej na oczy.

— Wygląda jak zabawka.

— Zobaczmy, jak tylko zrobię bełty. Nie ma tu ani jednego. Pewnie Materazzi zostawili je na miejscu, bo nie mieli pojęcia, co to jest.

Simon pokazał Koolhausowi kilka znaków palcami.

— Zmartwiło go to, co powiedziałaś o Henrim.

Kleist spojrzął na nich zdziwiony.

— Niczego o nim nie mówiłem.

— O tym, że nie ma z niego pożytku. Chce, żebyś go przeprosił, bo inaczej poczujesz jego but na swojej rzyci.

Trudno się dziwić, że Simon nie rozumiał żartobliwych uszczypliwości, jakimi obsypywali się w rozmowach chłopcy. Do tej pory spotykał się tylko z dwoma rodzajami postaw: otwartymi obelgami albo przymilną uniżonością. Kleist popatrzył na niego i zaczął wyjaśniać, a palce Koolhause tłumaczyły jego słowa.

— Mętny Henri jest kimś, kogo Materazzi nazywają... — Zabrakło mu słowa. — Cechino... strzelcem wyborowym. —

Kusza jest jedyną bronią, jakiej używa.

* * *

Cale wrócił do wartowni dopiero dwie godziny później i na wieść o odkryciu Mętnego Henriego od razu wpadł w zły humor.

313

— Czy powiedzieliście Simonowi i Koolhausowi, żeby nie puszczali pary z ust na temat waszego znaleziska?

— Po co? — spytał Kleist.

— Ponieważ nie widzę potrzeby, żeby trąbić dookoła, że Henri jest snajperem — odparł Cale teraz już naprawdę rozeźlony.

— A widzisz potrzebę, żeby to ukrywać?

— Nie zaszkodzą nam czymś, czego o nas nie wiedzą. Im mniej się dostajemy na języki, tym lepiej.

— I kto to mówi? Ten, który urządził w letnim ogrodzie widowisko na całe miasto! — burknął Kleist.

— Cale — odezwał się Mętny Henri — jak miałbym wyciągnąć stamtąd te kusze i cokolwiek zrobić, żeby się nikt nie dowiedział? Potrzebuję bełtów i powinienem gdzieś ćwiczyć.

Tak czy inaczej było już za późno. Dwa dni później wezwano ich przed oblicze kapitana Albina. Wydawał się bardzo rozbawiony.

— Nie przypominasz zbrodniczego typu, Henri.

— Nie jestem zbrodniarzem, tylko strzelcem wyborowym.

— Jonathan Koolhaus powiedział, że byłeś cechino.

— Nie radzę słuchać Koolhausa.

— Więc jesteś snajperem, który nie zabija ludzi. W takim razie jaki z ciebie pożytek?

Mętny Henri nie dał się sprowokować, lecz Albin zażądał prezentacji.

— Słyszałem o tych ustrojstwach. Chciałbym zobaczyć, jak działają. Czy Pole Marzeń wystarczy?

— Jakie jest długie?

— Pięćdziesiąt sążni.

— To za mało.

— A ile potrzebujesz?

314

— Około trzystu sążni.

Albin wybuchnął śmiechem.

— Chcesz mi powiedzieć, że potrafisz trafić tym w cel z odległości trzystu sążni?

— Tylko jedną z nich.

Na twarzy Albina odbiło się niedowierzenie.

— Myślę, że moglibyśmy zamknąć zachodnią część Ogrodów Królewskich. Powiedzmy, za pięć dni?

— Będę potrzebował ośmiu. Muszę zrobić bełty, a kusze wymagają wymiany cięciwy.

— Dobrze. — Spojrzał na Kleista. — Koolhaus powiedział, że jesteś łucznikiem.

— Koolhaus ma gębę od ucha do ucha.

— Pomijając szerokość jego gęby, czy to prawda?

— Najlepszym, jakiego widziałeś.

— Wobec tego obejrzymy sobie również twój pokaz. A ty, Cale'u, trzymasz jeszcze w zanadrzu jakieś niespodzianki?'

* * *

Osiem dni później niewielka garstka generałów Materazzi, marszałek, który sam się wprosił oraz Vipond zebrali się za wielkimi płóciennymi ekranami, używanymi zwykle do zaganiaania jeleni dla kobiet z towarzystwa, które zapragnęły zażyć polowania. Albin, równie niespokojny i ostrożny jak Cale, postanowił zachować pokaz w jak największej tajemnicy. Nie do końca potrafił wyjaśnić

dla czego, ale ci chłopcy, którzy ciągle coś ukrywali, wydawali mu się nieprzewidywalni. A jeden z nich, Cale, miał w sobie coś takiego, co zawsze groziło burzą. Tak więc strzeżonego pan Bóg strzeże.

Już pięć minut po rozpoczęciu pokazu Albin zrozumiał, że popełnił poważny błąd. Niełatwo jest zaakceptować, że prawem

315

urodzenia inni ludzie, mniej zdolni, mniej inteligentni, mniej chętni do nauki i ciężkiej pracy powinni mieć zawsze pierwszeństwo we wpychaniu ryja w coś, co poeta Demidov nazwa „wielkim korytem życia”. Podczas wieloletniej współpracy z Vipondem, człowiekiem ciężko pracującym, mądrym i wybitnie uzdolnionym, głęboko skrywane dziecięce poczucie sprawiedliwości Albina skrupulatnie przeoczyło to, że jako arystokrata mógłby zostać kanclerzem, nawet gdyby był kompletnym matołem. Czekaający na pokaz generałowie nie mieli ani większych, ani mniejszych predyspozycji do piastowania swych stopni wojskowych niż każda inna grupa ludzi wybranych na mocy cenzusu posiadanych krewnych. Piekarze, piwowarzy, kamieniarze — wszyscy oni podlegali w Memphis prawu urodzenia równie ściśle jak księżna Materazzi.

Jesteś idiotą, powiedział sobie w duchu Albin, i zasługujesz na to upokorzenie. Nie chodziło tylko o to, że były to dzieciaki, chodź jak na dzieciaki dość niezwykłe, ale że nie pochodzili nawet z gminu. Można szanować kamieniarza i płatnerza; grubiańskie zachowanie wobec służących uchodziło wśród Materazzich za ordynarne. Ci chłopcy jednak nie mieli tożsamości, byli niczym, przyjezdnymi, a co najważniejsze jeden z nich przekroczył wszelkie akceptowane granice. Nie znaczy to bynajmniej, że generałowie pochwaliliby znęcanie się Mon-dów nad Calem, czy zachowanie Salomona Salomona, którego i tak uważano za chama. Jednakże w najżywotniejszym interesie generałów leżało rozwianie wszelkich dwuznaczności wokół tej sytuacji. Takie kwestie jak niesprawiedliwe traktowanie osób z nizin należało załatwiać po cichu, a jeśli się ich nie załatwiło, to tak pozostawało i koniec. Żadnemu pokrzywdzonemu nie wolno było przejmować spraw we własne ręce, zwłaszcza w tak skuteczny i poniżający sposób. To, że Cale

316

osobiście wymierzył sprawiedliwość za swoje krzywdy stanowiło dla nich niedopuszczalne zagrożenie. I może mają rację, pomyślał Albin.

Pierwszy wystąpił Kleist. W odległości stu pięćdziesięciu sążni ustawiono dwunastu drewnianych żołnierzy, zwykle służących do treningu miecza. Materazzi znali łuki, lecz używali ich głównie do polowań. Były to na ogół eleganckie, ozdobne egzemplarze, sprowadzane zza granicy za ogromne pieniądze. Łuk Kleista bardziej przypominał miotłę niż jakąkolwiek znaną im broń strzelecką. Wydawało się niemożliwe nawet nagiąć tak brzydki przedmiot. Chłopiec oparł broń

o ziemię, przytrzymując ją podbiciem lewej stopy. Uchwycił cięciwę tuż pod pętlą i zaczął ją napinać. Grubsze niż kciuk otyłego mężczyzny łączysko powoli wygięło się pod wpływem jego ogromnej siły, a wtedy delikatnie nałożył pętlę na wycięcie ramienia. Starał się naturalnie nie pokazać po sobie żadnego wysiłku podczas napinania łuku, któremu mogli sprostać tylko najsilniejsi.

Odwrócił się do miejsca, gdzie w półkolu tkwiły wbite w ziemię strzały, wyciągnął jedną, wsunął w cięciwę naciągnął, przybliżył do policzka, wycelował

1 strzelił. Wszystkie te czynności wykonywał jednym płynnym ruchem i co pięć sekund wypuszczał następną strzałę. Jedenaście identycznych stuknięć potwierdziło trafienia, jeden cichy strzał chybił. Podwładny Albina wybiegł za osłonę z drewnianych belek i potwierdził wynik machnięciami flagą: jedenaście z dwunastu. Marszałek nagrodził strzelca entuzjastycznymi oklaskami, generałowie poszli za jego przykładem, lecz bez entuzjazmu.

— Doskonale! — zawołał doża.

Urażony brakiem odzewu ze strony generałów Kleist niechętnie skinął głową z podziękowaniem i odszedł na bok, aby zrobić miejsce Mętmemu Henriemu.

317

— Istnieją trzy podstawowe rodzaje kusz — zaczął pogodnie, przekonany, że widownia podzieli jego zapał. Wziął ze stojaka lżejszą z dwóch tam wiszących. — To jest kusza jednożna, nazywamy ją tak, ponieważ tu trzeba włożyć jedną stopę.

Wsunął palce w strzemię na szczycie kuszy, zaczepił o cięciwę hak, który miał przymocowany do pasa, po czym jednocześnie nacisnął nogą strzemię i wyprostował się, a wtedy mechanizm spustowy uchwycił cięciwę i zablokował.

— Teraz — ciągnął, lecz jego radosny zapał nieco ostygł na widok dezaprobaty odmalowującej się na twarzach generałów — wkładam bełt i...

Odwrócił się, wycelował i wystrzelił. Mruknął z ulgą na stuk pocisku wbijającego się w cel, słyszalny wyraźnie nawet z odległości stu pięćdziesięciu sążni.

— Och, świetny strzał — pochwalił doża.

Generałowie jednak okazywali nie tylko brak jakiegokolwiek podziwu, ale wręcz patrzyli na chłopaka z ponurymi minami i lekceważeniem. Henri, który oczekiwał, że celność i siła jego strzału zrobią na widzach wielkie wrażenie, stracił pewność siebie i z wahaniem odwrócił się do następnej kuszy, dużo większej, lecz o podobnej konstrukcji.

— To jest kusza dwunożna, nazywa się ją tak, ponieważ w strzemię wkładamy... eee... dwie stopy... a niejedną. To nam daje... — dodał nieskładnie — jeszcze więcej siły.

Powtórzył poprzednie czynności i wypuścił bełt w kierunku drugiego celu. Tym razem pocisk uderzył z taką siłą, że rozszczępił głowę drewnianego żołnierza na pół.

Pełna dezaprobaty cisza ochłodziła do temperatury czapy lodowej na szczycie wielkiego lodowca zwanego Góra Solną.

318

Gdyby Mętny Henri był starszy lub bardziej doświadczony, przerwałby czym prędzej swój występ i wycofał się w porę. Ponieważ jednak nie znał się nic a nic na arystokratycznych fumach, brnął dalej z uporem, aż popełnił swój największy błąd.

Nieco z boku leżał duży przedmiot nakryty plandeką, przyniesioną z pałacowej piwnicy. Tym razem bez iluzjonistycznej werwy Henri z pomocą Cale'a zdjął płócienną płachtę i odsłonił metalową kuszę, dwa razy większą od poprzedniej, umocowaną do grubego słupa wbitego mocno w ziemię, z umocowanym dużym mechanizmem napinającym. Kręcąc korbą dźwigni, mówił głośno przez ramię:

— Oczywiście ta kusza jest za wolna na pole bitwy, ale jeśli się ją zrobi z metalu i do napinania użyje dźwigni, można trafić w cel z odległości ośmiuset sążni.

To oświadczenie wzbudziło przynajmniej nową reakcję niż dotychczasowa pogardliwa dezaprobata: prychnięcia jawnego niedowierzania. Ponieważ Henri nie podzielił się wiedzą o możliwościach swego nowego odkrycia nawet z przyjaciółmi, zarówno Cale, jak i Kleist spoglądali na niego z takim samym powątpiewaniem, choć milczeli. Ten powszechny sceptycyzm z powrotem rozchmurzył Mętnego Henriego. Był na tyle młody i naiwny, by wierzyć, że ludzie cię nie znienawidzą, jeśli udowodnisz im popełniony błąd. Dał znak jednemu z ludzi Albina, aby podniósł flagę. Po krótkiej chwili na drugim końcu parku wzniesiono drugą flagę, a wtedy kolejna plandeka odsłoniła pomalowany na biało cel o średnicy półtora łokcia. Henri przyłożył ramię do łoża kuszy, odczekał dla wzmożenia efektu i strzelił. Rozległ się przeraźliwy brzęk mechanizmu spustowego, który uwolnił półtonową siłę uwięzioną w metalu i konopiach. Czerwony bełt wystrzelił jakby wypchnięty przez samego diabła i zniknął

319

Gdyby Mętny Henri był starszy lub bardziej doświadczony, przerwałby czym prędzej swój występ i wycofał się w porę. Ponieważ jednak nie znał się nic a nic na arystokratycznych fumach, brnął dalej z uporem, aż popełnił swój największy błąd.

Nieco z boku leżał duży przedmiot nakryty plandeką, przyniesioną z pałacowej piwnicy. Tym razem bez iluzjonistycznej werwy Henri z pomocą Cale'a zdjął płócienną płachtę i odsłonił metalową kuszę, dwa razy większą od poprzedniej, umocowaną do grubego słupa wbitego mocno w ziemię, z umocowanym dużym mechanizmem napinającym. Kręcąc korbą dźwigni, mówił głośno przez ramię:

— Oczywiście ta kusza jest za wolna na pole bitwy, ale jeśli się ją zrobi z metalu i do napinania użyje dźwigni, można trafić w cel z odległości ośmiuset sążni.

To oświadczenie wzbudziło przynajmniej nową reakcję niż dotychczasowa pogardliwa dezaprobata: prychnięcia jawnego niedowierzania. Ponieważ Henri nie podzielił się wiedzą o możliwościach swego nowego odkrycia nawet z przyjaciółmi, zarówno Cale, jak i Kleist spoglądali na niego z takim samym powątpiewaniem, choć milczeli. Ten powszechny sceptycyzm z powrotem rozchmurzył Mętnego Henriego. Był na tyle młody i naiwny, by wierzyć, że ludzie cię nie znienawidzą, jeśli udowodnisz im popełniony błąd. Dał znak jednemu z ludzi Albina, aby podniósł flagę. Po krótkiej chwili na drugim końcu parku wzniesiono drugą flagę, a wtedy kolejna plandeka odsłoniła pomalowany na biało cel o średnicy półtora łokcia. Henri przyłożył ramię do łoża kuszy, odczekał dla wzmożenia efektu i strzelił. Rozległ się przeraźliwy brzęk mechanizmu spustowego, który uwolnił półtonową siłę uwięzioną w metalu i konopiach. Czerwony bełt wystrzelił jakby wypchnięty przez samego diabła i zniknął

319

z oczu w kierunku białego celu. Henri wpadł na pomysł, by pokryć pocisk sproszkowaną farbą, kiedy

więc pocisk uderzył w cel, proszek rozprysnął się widowiskowo na białej powierzchni. Niektórych widzów aż zatchnęło, inni wydali ponure pomruki. Nawet Cale i Kleist dali wyraz swemu zdumieniu. Był to w istocie wspaniały pokaz umiejętności strzeleckich, choć bardziej widowiskowy niż praktyczny, Henriemu bowiem wiele godzin zajęło ustawianie i przymocowywanie kuszy w odpowiednim miejscu i regulacja wszystkich mechanizmów tak, aby oddać precyzyjny strzał.

Zapadło długie milczenie, które przerwał marszałek, podchodząc do Mętnego Henriego i zadając mu liczne pytania.

— Naprawdę? Wielkie nieba! To doprawdy niezwykle!

Wezwał swoich generałów, aby podeszli i obejrzelili kuszę, co uczynili z entuzjazmem księżnej, której kazano zbadać zdechłego psa.

— No cóż — odezwał się w końcu jeden z nich — jeśli zechcemy kiedyś zamordować kogoś z bezpiecznej odległości, będziemy wiedzieli, gdzie szukać narzędzia.

— Och, nie zachowuj się tak, Hastings — złajał go marszałek niczym niezadowolony, lecz dobroduszny wujek. Potem odwrócił się do Mętnego Henriego. — Nie przejmuj się nim, młodzieńcze. Uważam, że to fascynujące. Doskonała robota.

Na tym się skończyło, chwilę później doża i jego generałowie rozeszli się w swoje strony.

— Masz szczęście — powiedział Cale do Henriego — że nie podrapał cię pod brodą i nie dał mordoklejki.

— Ile czasu zajmuje nastawienie tego czegoś, żeby tak strzelało? — spytał.

— Niedużo — skłamał Henri.

Na chwilę zapadło milczenie.

320

— Nauczyłem się niedawno nowego słowa na rynku w Memphis — oznajmił Kleiest. — DUBY SMALONE.

— Trudno, żebyście rozumieli reguły rządzące środowiskiem Materazzich — powiedział nazajutrz w swoim biurze Vipond do trzech chłopców — ale czas, żebyście zaczęli się tego uczyć. Żołnierze są prawem sami dla siebie i podlegają tylko marszałkowi. Doradzam mu w sprawach politycznych, ale mam dużo mniej wpływów w dziedzinie wojskowości. Mimo to muszę włączyć w pole swoich zainteresowań również kwestie związane z wojną w ogóle, a w szczególności z waszymi wyjątkowymi umiejętnościami. Wstyd mi się przyznać — ciągnął bez cienia wstydu — że mogę od czasu do czasu potrzebować waszych talentów i dlatego musicie pewne rzeczy zrozumieć. Kapitan Albin jest doskonałym policjantem, ale nie jest Materazzim i zapraszając na wasz pokaz generałów, nie rozumiał rzeczy, którą pojął dopiero po fakcie i której wy także musicie być świadomi. Materazzi czują głęboki wstręt do zabijania, które nie wiąże się z narażaniem życia. Uważają je za coś, co uwłacza ich godności, za pole działania pospolitych rzezimieszków i zabójców. Panczerze Materazzich należą do najlepszych na świecie i z tego właśnie powodu są tak oszałamiająco drogie. Wielu arystokratów przez dwadzieścia lat spłaca długi zaciągnięte na zakup jednej zbroi. Obraża ich

sama myśl

O walce bez tego rynsztunku i bez wykszolenia. Płacą fortuny za to, by móc walczyć z innymi mężczyznami o tej samej pozycji społecznej, których mogą zabić lub sami zostać zabici

I zachować swój prestiż nawet po śmierci. Jaki prestiż można zyskać, zarzynając świniopasa albo rzeźnika?

— Albo samemu zostać zarzniętym przez jednego lub drugiego — uzupełnił Cale.

321

— Właśnie — potwierdził Vipond. — Spróbujcie spojrzeć na te sprawy z ich punktu widzenia.

— Nie jesteśmy świniopasami ani rzeźnikami, tylko wyszkolonymi żołnierzami — zauważył Kleist.

— Nie chcę was obrazić, ale nie macie żadnej pozycji społecznej. Używacie broni i stosujecie sposoby walki, które urągają wszystkim zasadom, w które oni wierzą. Reprezentujecie dla nich coś w rodzaju herezji. Rozumiecie, co to herezja, prawda?

— Jaka to różnica? — spytał Cale. — Strzały czy bełtu nie obchodzi, kim był twój dziadek ze strony matki. Zabijanie to zabijanie, szczur ze złotym zębem nie przestaje być szczurem.

— Jest sporo słuszności w tym, co mówisz — stwierdził Vipond. — Nie musi się wam to podobać, powinniście jednak zrozumieć, jak tak to widzą Materazzi i jak żyją od trzystu lat. I nie zmieniają tego tylko dlatego, że wy macie na ten temat inne zdanie. — Spojrzał na Kleistę. — Czy twoje strzały potrafią przebić zbroję Materazzich?

Kleist wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, nigdy nie strzelałem do Materazzich, a zwłaszcza w zbroi. Ale musiałyby być piekielnie dobra, żeby powstrzymać czterouncjową strzałę z odległości pięćdziesięciu sążni.

— Wobec tego musimy zrobić, co się da, żebyście mogli to przetestować. Henri, czy odkupiciele mają dużo tych metalowych kusz?

— Do tej pory tylko o nich słyszałem, pierwszy raz widziałem ją na oczy. Mój mistrz tylko dwa razy miał z nimi do czynienia, więc wydaje mi się, że nie jest ich dużo.

— Widziałem, jak długo trwa załadowanie. Materazzi mieli rację, dyskredytując ją jako broń na pole bitwy.

— To ja powiedziałem, że nie nadaje się do bitwy, kiedy ją

322

pokazywałem — zaprotestował Mętny Henri. — Ale żeby przebić zbroję, wystarczy każda inna kusza. Widziałem to i sam to robiłem.

— Czy zbroję Materazzich również?

— Mogę to sprawdzić.

— W swoim czasie. Jutro wyślę do was jednego ze swoich sekretarzy i doradcę wojskowego. Chcę,

żebyście spisali wszystko, co wiecie o strategii odkupicielei, jasne?

Trzej chłopcy nie wyglądali na przekonanych, ale nie zaprotestowali.

— Doskonale. A teraz idźcie.

28

Historia pojedynków uczy, że muszą istnieć palące powody, aby jeden mężczyzna zabił drugiego. W kronikach rzadko się jednak wspomina, jakie to były powody. Te, które znamy, ograniczają się na ogół do drobnych zniewag, prawdziwych lub wyimaginowanych, różnic w poglądach na temat kobiecej urody, oskarżeń o oszustwa karciane i tak dalej. Do niesławnego pojedynku pomiędzy Salomonem Salomonem i Thomasem Calem doprowadził spór o pierwszeństwo w wyborze wołowiny.

Kucharz zatrudniony do gotowania posiłków dla trzydziestu strażników strzegących w dzień i w nocy bezpieczeństwa Arbella Łabędzioszyjej skarżył się na okropną jakość przywożonego mięsa. Wychowani na nogach trupa trzej chłopcy nie zauważyli nawet, że jedzenie, które im podają, nie jest zbyt smaczne. Żołnierze jednak narzekali, a kucharz przyszedł na skargę do Cale'a.

Następnego dnia Cale udał się na spotkanie z dostawcą, a z braku lepszego zajęcia poszedł z nim również Henri. Dołączyłby do nich i Kleist, gdyby nie był na służbie. Pilnowanie nawet najpiękniejszej kobiety przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jest śmiertelnie nudnym zajęciem, zwłaszcza

324

jeśli się wie, że zagrożenie zostało po większej części wymyślone. Jedyne zakochany Cale nigdy się nie nudził, ponieważ spędzał czas, albo wpatrując się w Arbella, albo realizując swój plan, który miał ją skłonić do odwzajemnienia uczucia.

I plan ów działał, nawet w tej samej chwili, kiedy Cale i Mętny Henri szli wyjaśnić sprawę mięsa z dostawcą. Arbella w swoich komnatach próbowała wydobyć od niechętnego Kleista wszelkie informacje na temat Cale'a. Kleist doskonale wiedział, że dziewczyna pragnie usłyszeć historie z przeszłości jego towarzysza, ukazujące go w sytuacjach budzących litość, bądź wychwalające jego wielkoduszność, i nie miał najmniejszej ochoty dawać mu tej satysfakcji. Arbella jednak była niezwykle zręczną rozmówczynią, w dodatku nad wyraz czarującą, a ponadto upartą. W ciągu kilku tygodni zdołała wyciągnąć od Kleista i dużo chętniej szego do współpracy Henriego mnóstwo opowieści o Cale'u i jego przeszłości. Powściągliwość Kleista jeszcze bardziej przekonała ją o okropnych przeżyciach młodego człowieka, który budził w niej coraz gwałtowniejsze uczucia. To, że z takim oporem potwierdzał historie opowiadane przez Mętnego Henriego, czyniło je tym wiarygodniejszymi.

— Czy ten człowiek, ten Bosco naprawdę był taki bezwzględny?

— Tak.

— Czemu uwziął się na Cale'a?

— Pewnie miał swoje powody.

— Proszę, powiedz mi. Czemu był wobec niego taki okrutny?

— To wariat, zwłaszcza jak chodziło o Cale'a. Ale nie taki jak wasi szaleńcy, co biegają i wymyślają na prawo i lewo. Nigdy nie słyszałem, żeby choć raz podniósł głos. Ale jest obłąkany jak worek kotów.

325

— To prawda, że kazał mu walczyć na śmierć i życie z czterema mężczyznami?

— Tak, ale wygrał tylko dlatego, że przez tę dziurę w głowie wie, co ludzie chcą zrobić.

— Nie lubisz Cale'a, prawda?

— A co tu lubić?

— Riba mówiła, że uratował ci życie.

— Najpierw naraził nas na niebezpieczeństwo, więc myślę, że jesteśmy kwita.

* ♦ *

— Co mogę dla ciebie zrobić, młodzieńcze? — spytał wesoło rzeźnik, przekrzykując bazarowy jazgot.

Cale odkrzyknął równie radośnie:

— Możesz przestać wysyłać mięso ze zdechłych psów i kotów do wartowni w zachodnim skrzydle pałacu.

Cały dobry humor wyparował z rzeźnika w mgnieniu oka. Wyjął spod lady potężną maczugę i wyszedł zza straganu.

— Co ty sobie myślisz, gówniarzu? Ja ci dam, tak się do mnie odzywać.

Ruszył w stronę chłopaka zaskakująco szybko, zważywszy na jego zażywną posturę, i zamachnął się pałką. Cale schylił się lekko, a kiedy maczuga świsnąwszy mu nad głową, pociągnęła za sobą właściciela, podciął mu lekko nogi i patrzył, jak mężczyzna ląduje w błocie. Potem nadepnął mu na nadgarstek i wyciągnął broń z ręki.

— A teraz — powiedział, odbijając dla zabawy pałkę od głowy rzeźnika — pójdziemy razem tam, gdzie przechowujesz mięso i wybierzesz dla nas najlepsze kawałki. A potem, co tydzień będziesz mi przysyłał równie dobry transport. Rozumiemy się?

— Tak!

326

— To dobrze.

Przestał odbijać maczugę o jego głowę i pozwolił mu wstać.

— Tędy — powiedział rzeźnik, tłumiąc zółć.

We trójkę weszli do magazynu za straganem, pełnego poćwiartowanych świń, krów i jagniąt, jak

również w jednym kącie mniejszych tusz psów, kotów i innych stworzeń, których Cale nie rozpoznawał.

— Wybierz najlepsze — polecił Mętny Henri.

Rzeźnik zaczął zdejmować z haków najładniejsze udźce i polędwice, gdy nagle znajomy głos zawołał:

— Przestań!

Był to Salomon Salomon z czterema najbardziej doświadczonymi żołnierzami. Jeśli kogoś dziwi, że człowiek o takiej pozycji zajmował się osobiście wybieraniem mięsa dla swoich ludzi, niechaj uświadomi sobie, że każdy wojownik może się narażać na śmierć, znosić rany, choroby i chłód dużo lepiej niż marne jedzenie. Salomon Salomon zyskał dużo dzięki temu, że zapewniał swym ludziom najlepsze jadlo, gdy tylko to było możliwe i dbał, aby o tym wiedzieli.

— Co ty wyprawiasz? — spytał rzeźnika.

— Odkładam mięso dla nowych strażników z pałacu — odparł mężczyzna, wskazując głową Cale'a i Mętnego Henriego.

Salomon udawał, że ich nie zauważa. Podeszedł bliżej i zaczął uważnie lustrować przebrany towar. Potem rozejrzał się po magazynie.

— Chcę, żeby to wszystko dostarczono jeszcze dziś po południu do koszar Tollanda. Oprócz tego gówna w kącie. — Potem spojrzał na mięso wybrane dla Cale'a. — To też.

— Byliśmy tu pierwsi — powiedział chłopak. — To mięso jest już zarezerwowane.

Salomon Salomon spojrzał na Cale'a, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

327

— Mam w tej sprawie pierwszeństwo. Podajesz to w wątpliwość?

Chociaż na dworze było ciepło, w magazynie, zbudowanym we wnętrzu skały i wypełnionym we wszystkich kątach wielkimi bryłami lodu panował chłód, lecz kiedy padło pytanie Salomona, temperatura w chłodni spadła co najmniej o kilka stopni. Wszyscy wyczuli, że coś przerażającego zawisło na włosku i zależało od odpowiedzi Cale'a. Widząc to, Mętny Henri podjął próbę załagodzenia sprawy, odwołując się do rozsądku.

— Nie potrzebujemy dużo, proszę pana, tylko tyle, żeby wystarczyło dla trzydziestu mężczyzn.

Salomon Salomon nawet na niego nie spojrzał, sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie usłyszał ani jednego słowa.

— Kwestionujesz moje pierwszeństwo?

— Proszę bardzo — odparł Cale.

Powoli, tak aby Cale widział dokładnie każdy jego ruch, Salomon Salomon podniósł prawą rękę i niemal delikatnie otwartą dłoń uderzył Cale'a w policzek. Potem opuścił rękę i czekał. Cale podniósł dłoń również bardzo powoli, lecz tuż przed twarzą Salomona błyskawicznym ruchem

nadgarstka wymierzył tak głośny policzek, że kłapnięcie zadzwoniło w głębokiej ciszy niczym książeczka do nabożeństwa zatrzaśnięta z hukiem w kościele.

Czterej strażnicy ruszyli wściekle w stronę Cale'a.

— Stójcie! — rzucił Salomon. — Kapitan Grey przyjdzie do ciebie dzisiaj wieczorem.

— Doprawdy? — spytał Cale. — Po co?

— Zobaczysz.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

— A co z mięsem? — zawołał za nim wesoło Cale.

Spojrzał na rzeźnika, który stał osłupiały z wytrzeszczonymi

328

oczami, przerażony złowrogą sceną, która się rozegrała w jego magazynie.

— Chyba nie mogę na tobie polegać, że dostarczysz do pałacu moje zamówienie.

— Moje życie nie jest tyle warte, panie.

— W takim razie weźmiemy je ze sobą.

Zarzucił sobie na ramię wielki polec wołowiny i wyszedł z magazynu.

29

Wieść o spotkaniu w chłodni, niczym pożar suchego lasu, dotarła w rekordowym tempie do każdego domu w Memphis. Marszałek Materazzi wpadł w szal. Vipond kłął, na czym świat stoi. Obaj posłali po Cale'a i zażądali, aby odmówił stanięcia do pojedynku.

— Powiedziano mi, że jeśli odmówię, każdy człowiek w mieście, będzie miał prawo mnie zabić bez ostrzeżenia.

Trudno było z nim dyskutować w tej kwestii, ponieważ takie rzeczywiście obowiązywały zasady. Jako że Cale był w tej całej historii stroną niewinną, nie mógł nie przystać na walkę. Wobec tego ściągnięto Salomona Salomona. Pomimo jednak przerażających gromów ciskanych na jego głowę przez marszałka i otwartych gróźb kanclerza, że jeśli się nie wycofa, resztę życia spędzi, grzebiąc trędowatych na Bliskim Wschodzie, Salomon Salomon pozostał twardy jak gładz. Marszałek nie posiadał się z wściekłości.

— Odwołasz to albo zawisniesz na szubienicy! — krzyczał.

— Nie odwołam ani nie zawisnę — odpowiedział też krzykiem Salomon.

I miał rację. Nawet marszałek nie mógł zapobiec pojedyn-

330

kowi, jeśli zostały zadane uderzenia, nie miał również prawa ukarać uczestników. Vipond próbował

zaapelować do snobizmu Salomona.

— Co ci może przynieść zabicie czternastoletniego smarkacza, poza utratą honoru? Przecież ten chłopak jest nikim. Nie ma nawet ojca ani matki, nie mówiąc już o nazwisku, które by warte było pojedynku. Co ty właściwie sobie myślisz, zniżając się do takiego poziomu?

Była to celna uwaga, lecz Salomon Salomon po prostu nie odpowiedział.

I na tym stanęło. Marszałek warknął na niego, żeby się wynosił i Salomon przepełniony gniewem wyszedł.

Arbell Łabędzioszyja wpadła w rozpacz. Błagała Cale'a, aby nie podejmował wyzwania, jednak ponieważ konsekwencje odmowy byłyby bez porównania gorsze, wygłosiła ognistą diatribę przeciwko Salomonowi Salomonowi i wybiegła z komnaty, aby zażądać od ojca odwołania pojedynku.

Cale wziął ze sobą Mętnego Henriego na wzruszające spotkanie z Arbell, aby przyjaciel potwierdził jego wersję wydarzeń. Kiedy zrozpaczona dziewczyna wypadła z pokoju, Cale zobaczył, że Mętny Henri patrzy nań wzrokiem niewyrażającym nic pochlebnego.

— O co chodzi?

— O ciebie.

— Czemu?

— Dlaczego udajesz, że nie wiedziałeś, co się stanie, kiedy Salomon zapytał, czy kwestionujesz jego prawo pierwszeństwa?

— Bo byłem pierwszy, przecież wiesz o tym.

— Więc masz zamiar go zabić albo dać się zabić dla kilku ochłapów mięsa?

331

— Nie. Mam go zamiar zabić albo dać się zabić za to, że dziesiątki razy bił mnie bez powodu. Nigdy więcej nikomu na to nie pozwolę.

— Salomon Salomon nie jest Materazzim ani garstką zaspanych odkupicieli. Jesteś głupcem. On może cię zabić.

— Mam nadzieję, że on myśli tak samo, bo wtedy będzie jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy go zetrę na miazgę.

30

Opera Rosso jest wspaniałym amfiteatrem w kształcie półkola, skąd rozpościera się widok na zatokę Memphis, i może wprawić w zachwyt nawet najbardziej wyrafinowanych bywalców świata. Widownia wznosi się nad sceną tak stromo, że w przeszłości wielu podnieconych widzów spadało z najwyższych rzędów i niejednokrotnie ginęło. Il Rapido, jak nazwano to zawrotnie strome

wzniesienie, zbudowano jednak, aby umożliwić trzydziestu tysiącom ludzi zebranie się wokół areny z uczuciem, że mogą prawie dotknąć tego, co się tam rozgrywa.

Pojedynki w Memphis dzieliły się na dwa rodzaje: proste i złożone. Proste rozgrywały się do pierwszej krwi, najdrobniejsze draśnięcie kończyło walkę; w złożonych jeden z przeciwników musiał zginąć. Marszałek niejednokrotnie protestował przeciwko pojedyńkom złożonym powodowany nie tyle współczuciem, chociaż w tym wieku nie bawiły go już tak krwawe widowiska, ile komplikacjami, jakie z nich wynikały. Waśnie, spory i zabójstwa w odwecie, jakimi owocowała walka na śmierć i życie, prowadziły do tak wielu zmartwień i łez, że marszałek wykorzystywał zwykle całą swoją władzę, zarówno formalną, jak i nieoficjalną, aby do nich nie dochodziło. Poza

333

kłopotami, których przysparzały, pojedynki złożone mocno nadwerężały autorytet klas rządzących. Od długiego czasu do Czerwonej Opery ludzie przychodzili tylko oglądać walki byków i szczucie psami niedźwiedzi, jednak widowiska te stawały się ostatnio niemodne. Odbywały się tu także mecze bokserskie oraz egzekucje. Tak więc sposobność, aby zobaczyć ludzi z wyższych sfer — a nikt niczego więcej o Cale'u nie słyszał — mordujących się na oczach publiczności, była nie do przegapienia. Któż mógł wiedzieć, kiedy trafi się następna taka okazja?

Od samego świtu w dniu pojedynku ogromny plac przed Operą Rosso oblegały tłumy. W kolejkach do dziesięciu wejść ustawiły się już tysiące ludzi, a ci, którzy zorientowali się, że nie uda im się dostać do środka, mrowili się wokół rynków i straganów, które wyrastały w takich okolicznościach niczym miasto namiotów. Wszędzie krążyli posterunkowi i żandarmi wyszkoleni do tłumienia rozruchów, wypatrywali złodziei i wszelkich źródeł kłopotów, wiedzieli bowiem dobrze, że niezadowolenie łatwo może się zakończyć zajadłą bójką.

Zebrały się tu również wszelkie gangi i szumowiny miasta — zamszowogłowi w swoich złotoczerwonych kamizelkach i srebrnych butach, chuligani w białych szelkach i czarnych cylindrach, rockersi w melonikach, z monoklami i cieniutkimi wąsikami. Przyszło też niemało dziewcząt: lollardki z ogolonymi głowami w długich płaszczach i butach za kolana, biletki z czerwonymi ustami w kształcie łuku kupidyna, w czerwonych gorsetach i pończochach czarnych jak noc. Krzyki, nawoływania, śmiechy i gwizdy mieszały się z wybuchami muzyki i fanfarami, kiedy zjawiali się młodzi Materazzi, pusząc się pośród spojrzeń pełnych podziwu i zazdrości. A z każdego pensa, którym tu obracano, połowa trafiała do kieszeni Kici Zająca.

334

Podczas egzekucji spopółstwo zwykło rzucać w skazańców zdechłymi kotami. O ile jednak takie zachowanie uważano za całkiem stosowne wobec kryminalistów i zdrajców, to podczas pojedynków ekscesy takie były surowo zakazane. Zakazy jednak nie powstrzymywały wielu prostaków i w miarę jak zbliżało się południe, przed dziesięcioma wejściami uzbierały się wielkie sterty martwych kotów, lecz także łasic, psów, gronostajów, a także mrówników.

O dwunastej dźwięk fanfar ogłosił przybycie Salomona Salomona. Dziesięć minut później Cale z Mętym Henrim i Kleistem przedzierali się nierozpoznani przez tłum i wzbudzili zainteresowanie dopiero wtedy, kiedy posterunkowi pilnujący wejść zatrzymali kolejkę wpuszczanych widzów i z chorobliwą ciekawością przyglądali się trzem chłopcom wchodzącym do Opery Rosso.

W ciemnej szatni w podziemiach Opery, jednym z pomieszczeń zarezerwowanych dla Materazzich, gdzie uczestnicy pojedynków przygotowywali się do walki, Cale siedział w milczeniu razem z Mętym Henrim i Kleistem i dumał

O tym, co się za chwilę wydarzy. Jeszcze dwa dni temu jego myśli płynęły w nieskomplikowanym rytmie, dominowały w nich gniew i żądza zemsty, uczucia potężne, lecz znajome. Potem jednak wszystko się zmieniło, kiedy leżał nagi w łóżu z Arbell Łabędzioszyją pod kosztownym, bawełnianym okryciem i po raz pierwszy w życiu zrozumiał oszałamiającą potęgę rozkoszy. Można sobie wyobrazić, jak się czuł chłopiec traktowany przez całe życie ze skrajnym okrucieństwem, chłopiec zabójca, opleciony ramionami i nogami pięknej młodej kobiety, rozpalonej namiętnością, głaszczącej go po włosach

I okrywającej pocałunkami.

A teraz czekał w półmroku izby pachnącej stęchlizną, podczas gdy trzydzieści tysięcy ludzi czekało na jego śmierć. Dwa dni temu powodowała nim tylko wola przetrwania — głęboki zwierzęcy instynkt wypełniony wściekłością, lecz gdzieś w głębi duszy Cale'owi było wszystko jedno, czy przeżyje, czy umrze.

336

Teraz przestało mu to być obojętne i po raz pierwszy od długiego czasu przejmował go strach. Kochać życie to wspinała rzecz, ale nie w taki dzień jak ten.

Tak więc siedzieli we trzech, a Mętny Henri i Kleist dziwili się, wyczuwając zupełnie nieznaną lęk u kogoś, kogo przyzwyczaili się uważać za niezłomnego. Z każdym stłumionym okrzykiem i wybuchem śmiechu, z każdym głuchym łomotem wrót i wyciągów, szcękaniem niewidocznych mechanizmów, niecierpliwe wyczekiwanie i wiara ustępowały miejsca zwątpieniu i obawie.

Pół godziny przed rozpoczęciem walki rozległo się ciche stukanie. Kiedy Kleist otworzył drzwi, do pokoju weszli lord Vipond i IdrysPukke. Rozmawiali łagodnie, przytłoczeni dziwnym nastrojem panującym w ciemnym pomieszczeniu.

Czy dobrze się czuje?

— Tak.

Czy czegoś mu potrzeba?

— Nie, dziękujemy.

Potem zapadła cisza niczym przy łóżu śmiertelnie chorego. IdrysPukke, który na własne oczy widział okropną rzeź na przełęczy Cortina, był zdumiony i zbity z tropu. Kanclerz Vipond, mądry i przebiegły polityk, który nigdy przedtem nie spotkał kogoś takiego jak Cale, zobaczył przed sobą młodego chłopca idącego na okropną śmierć na oczach rozwrzeszczanego tłumu. Zawsze uważał pojedynki za rzecz głupią i ryzykowną, teraz jednak wydały mu się czymś całkiem nie do przyjęcia.

— Porozmawiam z Salomonem Salomonem — oznajmił Cale'owi. — To karygodna głupota. Zorganizuję przeprosiny. Zostaw to mnie.

Wstał i ruszył do wyjścia, a w Cale'u coś wezbrało, coś dla niego samego zdumiewającego, w co nie wierzył, że może jeszcze kiedyś poczuć: „Tak, powstrzymaj to. Nie chcę tam iść.

337

Nie chcę". Lecz kiedy Vipond położył już dłoń na klamce, coś innego, nie duma, lecz jakieś głębokie zrozumienie porządku rzeczy kazało mu zawołać:

— Proszę. Panie kanclerzu. Nic dobrego z tego nie wyniknie. On pragnie mojej śmierci bardziej niż własnego życia. Nic nie wskóracie. Zyska tylko nade mną przewagę tanim kosztem.

Vipond nie odpowiedział, ponieważ w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że chłopiec ma rację. Tymczasem znowu ktoś zastukał głośno do drzwi.

— Piętnaście minut!

Potem drzwi się otworzyły.

— O, przyszedł do ciebie pastor.

Do izby wkroczył mały człowieczek o łagodnym uśmiechu, ubrany w czarny strój z białym paskiem wokół szyi, wyglądającym trochę jak obroża.

— Przyszedłem cię pobłogosławić — oświadczył i przez chwilę milczał. — Jeśli sobie życzysz.

Cale spojrział na IdrysPukkego, który spodziewał się, że chłopak wyrzuci kapłana za drzwi. Widząc to, Cale uśmiechnął się i rzekł:

— W każdym razie nie zaszkodzi.

Wyciągnął dłoń do IdrysPukkego, który ją uścisnął.

— Powodzenia, synu — powiedział i szybko wyszedł.

Potem Cale skinął głową Vipondowi. Kanclerz odpowiedział

mu tym samym i zostawił chłopców samych z pastorem.

— Czy możemy zacząć? — zapytał uprzejmie duchowny, jakby przyszedł tu udzielić ślubu lub chrztu. Sięgnął do kieszeni i wyjął małe srebrne puzderko. Uniósł wieczko i pokazał Cale'owi sproszkowaną zawartość. — Popiół ze spalonej kory dębu — wyjaśnił. — Symbolizuje nieśmiertelność — dodał takim tonem, jakby on sam przykładał niewiele wagi do tego zabobonu. — Czy mogę? — Zanurzył palec wskazujący

338

w popiele, po czym rozproszował go krótką linią na czole Cale'a. — Pamiętaj, człecze, że prochem jesteś i w proch się obrócisz — zaintonował wesoło. — Ale pamiętaj też, że choć grzechy twe są jak szkarłat, zbieleją jak śnieg, a choćby czerwone były jak karmin, będą jako wełna.

Zatrzasnął wieczko srebrnego puzderka i włożył je z powrotem do kieszeni z miną dobrze

spełnionego obowiązku.

— Hmm..., no to... powodzenia.

Kiedy doszedł do drzwi, Kleist zawołał za nim:

— Czy to samo powiedzieliście Salomonowi Salomonowi?

Pastor odwrócił się i popatrzył na Kleista, jakby usilnie grzebał w pamięci.

— Wyobraź sobie, młodzieńcze — odparł z dziwnym uśmiechem — że nie przypominam sobie, abym to robił.

To powiedziawszy, zniknął.

Po chwili zjawił się jeszcze jeden gość. Rozległo się ciche pukanie i kiedy Henri otworzył drzwi, do izby wśliznęła się Riba. Zarumienił się, kiedy ścisnęła jego dłoń, zanim weszła. Cale wpatrywał się w ziemię, wyglądał na zagubionego. Riba czekała chwilę, zanim podniósł na nią zaskoczony wzrok.

— Przyszłam życzyć ci powodzenia — mówiła szybko i nerwowo — i przeprosić cię i dać ci to.

Podziała mu liścik. Cale złamał elegancką pieczęć.

„Kocham cię. Proszę, wróć do mnie”.

Przez minutę nikt się nie odzywał.

— Za co mnie przepraszasz? — spytał Cale.

— Bo to przeze mnie tu jesteś.

Kleist prychnął pogardliwie, ale nic nie rzekł. Cale spojrział na nią, oddając liścik Henriemu na przechowanie.

— Mój przyjaciel chciał przez to powiedzieć, że sam jestem sobie winien. Nie mówię tego z grzeczności. To prawda.

Tak jak wielu z nas czułoby się na jej miejscu, Riba chciała

339

r

zyskać absolutną pewność, że została rozgrzeszona i posunęła się w swym niepokoju o jeden krok za daleko.

— A ja i tak uważam, że to przeze mnie.

— Niech będzie, jak chcesz.

Dziewczyna wyglądała na taką przybitą, że Mętnemu Henrie-mu zrobiło się jej okropnie żal. Wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju na korytarz, gdzie panował jeszcze większy mrok.

— Ależ ze mnie idiotka — powiedziała ze złością i łzami w oczach.

— Nie martw się tak. Cale mówił szczerze, że to nie twoja wina. Po prostu musi się teraz skupić na tym, co go czeka.

— I co teraz będzie?

— Cale wygra. Zawsze wygrywa. Muszę już iść.

Riba ścisnęła go za rękę i pocałowała w policzek. Henri patrzył za nią i doznawał wielu dziwnych uczuć. Potem wrócił do pokoju.

Kiedy do rozpoczęcia pojedynku zostało dziesięć minut, Cale zaczął się w milczeniu rozgrzewać. Dołączył do niego Henri i obaj wymachiwali rękami, rozciągali nogi, postępując cicho z wysiłku. W końcu rozległo się kolejne, głośne pukanie do drzwi.

— Już czas, panowie!

Chłopcy popatrzyli po sobie. Zaległa krótka cisza, a potem z głośnym stukiem odskoczył rygiel i zaczęły się otwierać inne drzwi, w drugim końcu szatni. Kiedy rozsuwały się powoli, ze stękaniem, przez mrok pomieszczenia przegryzał się stopniowo jasny promień, jakby tam na zewnątrz czekało na Cale'a słońce, a oślepiające światło wdarło się do izby z siłą wichury, aby wepchnąć ich z powrotem w bezpieczną ciemność.

Idąc do wyjścia, Cale słyszał w głowie jej ostatnie słowa: „Uciekaj stąd. Odejdź. Proszę. Jakże to wszystko może mieć dla ciebie znaczenie? Uciekaj”.

340

Kilkoma dużymi krokami przemierzył pokój i stanął na progu, a potem wyszedł na arenę tonącą w jaskrawym słońcu.

Razem z drugim uderzeniem słonecznego blasku napał na Cale'a niedźwiedzi ryk tłumu niczym odgłos końca świata. Kiedy szedł — trzy kroki, pięć, dziesięć, a jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do oślepiającej jasności, nie zobaczył najpierw trzydziestotysięcznego muru ludzkich twarzy krzyczących, śmiejących się i śpiewających, lecz jednego człowieka czekającego na środku areny z dwoma mieczami w pochwach. Starał się nie patrzeć w stronę Salomona Salomona, ale nie mógł się powstrzymać. Jego przeciwnik szedł mniej więcej trzydzieści kroków na lewo od niego, wyprostowany, również wpatrzony w mężczyznę stojącego na środku areny. Był ogromny, dużo wyższy i potężniejszy, niż pamiętał Cale, jakby się rozrósł dwukrotnie od ich ostatniego spotkania. Chłopiec zdumiał się, czując, jak przejmuje go groza, jak strach wysącza zeń siły, które czyniły go niezwyciężonym przez połowę jego życia. Język wysuszony jak piach przywarł mu do podniebienia, nogi go bolały i ledwo go podtrzymywały, ramiona silne jak dąb sprawiały wrażenie, jakby uniesienie ich wymagało nadludzkich możliwości, a w uszach ryczały mu płomienie ognia, głośniejsze niż wrzask tłumów niż wiwaty, gwizdy i urywki piosenek. Wzdłuż muru amfiteatru kilkuset żołnierzy stało na baczność w odstępach czterech kroków i patrzyło na przemian to na widownię, to na arenę.

W powietrzu unosiła się przepelniona nienawiścią pieśń zamszowogłowych:

Nikt nas nie kocha, nie obchodzi nas to Nikt nas nie kocha, nie obchodzi nas to My kochamy lollardki

i hugenotki Kochamy? Kochamy?

341

I

Ooooo nie, raczej nie my

Ale kochamy memhickie zadymy...

Potem unieśli ręce wysoko nad głowę i zaczęli klaskać w rytm nowej piosenki, unosząc i opuszczając kolana:

Przeżyj albo zgiń Przeżyj albo zgiń Przeżyj albo zgiń Przeżyj albo zgiń

Próbując ich przekrzyczeć i jednocześnie podrażnić uczestników pojedynku, lollardki w cylindrach zaintonowały radośnie:

Hello, hello, ktoś ty, ktoś ty? Hello, hello, kim jesteś? Fredem? Rupertem? Zaraz będziesz trupertem
Ktoś ty? Ktoś ty?

Nie lubimy zrędzić, nie pręż się tak dumnie Zaraz będziesz leżał w marmurowej trumnie W marmurowej trumnie przykryty wieńcami Z brakującym zębem i genitaliami Hej, ktoś ty? Hej ktoś ty?

Każdy krok przygniatał Cale'a bardziej do ziemi, jakby słabość i strach, które przebudziły się w nim po raz pierwszy od wielu lat, wzniecały bunt w jego trzewiach i umyśle.

W końcu stanął na miejscu, a obok niego Salomon Salomon, w którym gniew i potęga płonęły niczym drugie słońce.

Mistrz Broni dał im znak, aby stanęli po jego prawej i lewej stronie. Potem zawołał:

342

— Witamy w Czerwonej Operze!

Na te słowa widowia jak jeden mąż powstała z siedzeń, z wyjątkiem łoży Materazzich, gdzie mężczyźni wznieśli okrzyki, a kobiety klaskały beznamietnie. Nie była to zresztą w żadnym wypadku śmietanka towarzyska arystokracji, ta bowiem nie zniżyłaby się do uczestnictwa w tak pospolitym wydarzeniu z udziałem parweniuszy, bo choć Salomon Salomon był znany i szanowany za swe wojskowe talenty, to jego pradziadek zbił fortunę na suszonych rybach. Kilkoro wyżej postawionych Materazzich jednak zjawiło się z opóźnieniem, w tym bardzo niechętny marszałek, i obserwowali widowisko z ukrytych, odosobnionych wnęk, zajadając krewetki z dzisiejszego połowu. W sektorze zarezerwowanym dla Mondów nienawiść do Cale'a wybuchła morzem ramion wycelowanych w jego kierunku i chórem pogardliwych okrzyków.

— Bum lakalaka, bum lakalaka, bum lakalaka łup, łup, łup.

Na samym szczycie sektora zachodniego jakiś sprytny zbir

czy chuligan, któremu udało się przemycić przez punkt kontrolny zdechłego kota, rzucił go na arenę. Truchło zatoczywszy w powietrzu szeroki łuk, wylądowało z głuchym łomotem w piasku niecałe

dziesięć kroków od Cale'a. Publiczność ryknęła z zadowoleniem.

Panika siała zniszczenie w obumierającej duszy Cale'a, jakby tłumione przez lata zasoby strachu zerwały nagle tamę i wymyły zeń każdy szczątek odwagi, pewności siebie i woli walki. Plecy drżały mu z przerażenia, kiedy Mistrz Broni wręczał mu miecz. Ledwo zdołał unieść dłoń, aby wyciągnąć broń z pochwy, a kiedy to zrobił, ręka opadła mu bezwładnie pod jej ogromnym ciężarem. Wszystko było dla niego nowością: gorzki smak śmierci i grozy na języku, jasne, palące słońce, jazgot tłumu, ściana twarzy.

Mistrz Broni podniósł ręce i widownia przycichła, a kiedy je opuścił, gawiedź ryknęła jak dzika bestia. Przerażony Cale

343

patrzył, jak mężczyzna, który miał go zabić, wznosił miecz i powoli, ostrożnie ruszył w jego kierunku.

Coś w głębi jego duszy błagało o ratunek: ocal mnie, IdrysPukke, ocal mnie Vipondzie, Henri, Kleiście, ocalcie mnie, Arbelle Łabędzioszyja, ocal mnie. Nikt mu jednak teraz nie mógł pomóc z wyjątkiem człowieka, którego nienawidził najbardziej na świecie. Odkupiciel Bosco uratował go od śmiertelnego uderzenia, od krwi wyciekającej na piasek. Lata przemocy z jego rąk, tysiące dni wypełnionych strachem i terrorem, to one go wybawiły. Stopniowo, począwszy od piersi, groza zaczęła w nim krzepnąć. Podczas gdy Salomon Salomon okrężał go szybko, lodowaty chłód rozprzestrzenił się w ciele chłopca, ogarnął serce, trzewia, nogi, a wreszcie ramiona. W ciągu kilku sekund niczym magiczny narkotyk tłumiący katusze bólu, powróciła zbawienna obojętność na strach i śmierć. Cale był znowu sobą.

Salomon Salomon, który z początku miał się na baczności wobec dziwnej nieruchawości przeciwnika, wznosił miecz i ze skupieniem w oczach, opanowany ruszył szybko do ataku niby niezwyciężony wysłannik śmierci. Zbliżył się na odległość uderzenia i znieruchomiał. Patrzyli sobie w oczy. Tłum ucichł. Cale widział wszystko jakby w tunelu: starsza kobieta uśmiechała się do niego niczym dobroduszna babcia, przeciągając palcem przez gardło; martwy kot na piachu, tak sztywny, że wyglądał jak kiepsko wykonana zabawka; młoda tancerka na skraju areny otworzyła usta z przerażenia. Odgłos kroków na piachu dobiegał do uszu Cale'a dużo głośniejszy niż daleki ryk tłumu. I wtedy Salomon Salomon zebrał siły i zaatakował.

Chłopiec uchylił się i pod ramieniem Salomona uderzył w dół, kiedy miecz przeciwnika próbował go przeciąć na pół. Zamienili się miejscami. Tłum ryczał podniecony i dezorientowany. Żaden z walczących nie został drażniony. Lecz wtedy

344

coś zaczęło kapać z dłoni Cale'a, a po chwili lać się strumieniem. Na piasku leżał odcięty mały palec jego lewej dłoni. Wyglądał absurdalnie.

Cale się cofnął, ból uderzył go nagle nie do zniesienia. Salomon stał i uważnie obserwował ciekącą krew i cierpienie przeciwnika — dzieło jeszcze nie skończone, lecz dobry początek został uczyniony. Kiedy publiczność zauważyła krew na arenie, przez Operę przetoczyła się fala narastającego ryku. Część pospólstwa, trzymająca stronę słabszego, gwizdała i buczała niezadowolona, Materazzi wiwatowali, Mondowie wy-wrzaskiwali jeszcze więcej drwin. Potem tłum się powoli uciszył, kiedy

Salomon Salomon, wiedząc, że ma sytuację pod kontrolą, czekał, aż upływ krwi, ból i strach przed śmiercią wykonają robotę za niego.

— Nie ruszaj się — powiedział — to może wykończę cię szybko. Chociaż niczego nie obiecuję.

Cale popatrzył na niego ze zdziwieniem. Obrócił w rękę miecz, jakby sprawdzał, czy jest dobrze wyważony, a potem zrobił powolny, leniwy wypad wymierzony w głowę przeciwnika. Lata doświadczenia nauczyły Salomona, aby na taką anemiczną próbę ataku odpowiedzieć błyskawicznym natarciem. Wielkie umięśnione nogi wyrzuciły go w przód niczym sprintera. Lecz zrobił tylko dwa kroki, po czym upadł piersią i twarzą w piach, jakby trafiony niewidzialnym bełtem Henriego.

Tłum wstrzymał oddech, a po chwili po widowni przeszło westchnienie zdumienia.

Pierwszy niski atak Cale'a wcale nie chybił. Kiedy Salomon Salomon odciął mu palec, Cale zaatakował w dół i przeciął przeciwnikowi ścięgno nad piętą. To dlatego poza bólem na jego twarzy odmalowało się takie zdziwienie, kiedy Salomon nie zauważył własnego okaleczenia. Dlatego też zamarkował taki niedbały atak — aby sprowokować Salomona do ruchu.

345

Pomimo strachu i zdumienia Salomon Salomon błyskawicznie poderwał się na jedno kolano i zaczął wywijać mieczem, żeby utrzymać Cale'a na dystans.

— Ty parszywa kupo gnoju — wyszeptał.

A potem wrzasnął dziko z wściekłości i frustracji.

Cale trzymał się na bezpieczną odległość i czekał. Salomon wydał z siebie następny dziki wrzask gniewu i upokorzenia, lecz chłopiec tylko obserwował, jak przeciwnik zaczyna rozumieć, że przegrał.

— Dobrze — warknął Salomon Salomon, tłumiąc złość i gniew. — Wygrałeś. Poddaję się.

Cale spojrzał na Mistrza Broni.

— Powiedziano mi, że pojedynek ma trwać dotąd, aż jeden z nas zginie.

— Zawsze można okazać miłosierdzie — odrzekł Mistrz Broni.

— Doprawdy? Nie pamiętam, żeby ktoś mi o tym wcześniej wspominał.

— Pokonany może błagać o litość. Zwycięzca może odmówić i nikt nie ma prawa uczynić mu z tego powodu wyrzutu. Powtarzam jednak, że miłosierdzie jest zawsze możliwe. — Spojrzał na klęczącego mężczyznę. — Salomonie Salomonie, jeśli chcesz, aby ci okazano litość, musisz o nią poprosić.

Salomon potrząsnął głową, jakby toczyła się w nim zacięta walka, co w istocie było prawdą. Cale'a natomiast po pierwszej chwili zdumienia ogarniało rosnące oburzenie.

— Błagam cię...

— Zamknij się! — wrzasnął Cale.

Patrzył to na Mistrza Broni, to na pokonanego przeciwnika.

— Wy hipokryci! Wleczenie mnie na arenę prawie siłą, lecz kiedy sprawy nie toczą się po waszej myśli, naginacie zasady wedle własnej woli. Tyle jest warte to wasze szlachectwo — ile

346

psie gównu. Daje wam tylko władzę, aby podporządkowywać wszystko własnym interesom. Jesteście niczym, zlepkiem przeklętych kłamstw!

— Pokonany zobowiązany jest zapłacić ci dziesięć tysięcy dolarów za darowanie życia — oznajmił Mistrz Broni.

Cale pchnął mieczem, Salomon Salomon krzyknął i upadł na ziemię z głęboką raną w ramieniu.

— Powiedz mi — zapytał Cale — ile jesteś teraz wart, mniej czy więcej? Biłeś mnie bez powodu i bez litości, teraz na siebie popatrz. Ilu ludzi zarżnąłeś, nie poświęcając im nawet jednej myśli, a teraz skamlesz, żeby uczynić dla ciebie wyjątek? — Prychnął ze zdumienia i odrazy. — Dlaczego? Taki jest twój los. Pewnego dnia mój będzie taki sam. No i jak wygląda teraz twoja wołowina, starcze?

To rzekłszy, stanął nad Salomonem, pociągnął go do góry za włosy i dobił jednym ciosem w kark. Potem puścił bezwładne ciało na piasek twarzą ku niebu, z oczami otwartymi i niewi-dzącymi, ze strużką krwi nadal ciekącą z nosa. Wkrótce krew przestała lecieć i taki był koniec Salomona Salomona.

Przez ostatnie sekundy życia Salomona do świadomości Cale'a nic nie docierało — ani ból w lewej ręce, ani obecność tłumu. Gniew uczynił go głuchym na wszystko. Teraz zmysły powróciły. Z widowni dochodziły dziwne odgłosy, nikt nie wiwatował poza nielicznymi pijakami, którzy nie zdawali sobie sprawy, co rozegrało się na ich oczach, gdzieś rozległy się okrzyki i gwizdy, lecz poza tym panowała pełna oszołomienia i niedowierzania cisza.

Na ławce, gdzie kazano usiąść Mętnemu Henriemu i Kleis-towi, chłopcy patrzyli wstrząśnięci. Henri pierwszy zrozumiał, co Cale zamierza. „Odejdź”, szepnął do siebie. „Po prostu wyjdź”. A zaraz potem krzyknął:

— Cale, nie!

347

Zerwał się i chciał pobiec przed siebie, ale policjant i jeden z żołnierzy go powstrzymali. Na środku areny Opery Rosso Cale rzucił swój miecz na brzuch zabitego, zebrał jego rozrzucone nogi i zaczął ciągnąć zwłoki po piachu w stronę zamkniętej trybuny Materazzich.

Zajął mu to około dwudziestu sekund. Ręce Salomona wlokły się po ziemi, głowa podskakiwała na nierównościach, a krew zostawiała na ziemi jaskrawoczerwoną smugę. Mistrz Broni dał znak żołnierzom otaczającym arenę, aby utworzyli ciaśniejszy kordon. Kobiety i mężczyźni Materazzi, a także młodzi Mondowie patrzyli osłupiali bez słowa.

Trzymając nogi Salomona pod pachami, Cale zatrzymał się, popatrzył na tłum z nieskończoną pogardą, po czym puścił stopy nieboszczyka, które uderzyły o ziemię z głuchym dudnieniem. Wyciągnął ręce nad głowę i wrzasnął dziko z uczuciem złowrogiego triumfu.

Mistrz Broni dał znak policjantowi, aby puścił Henriego i Kleista, by odciągnęli przyjaciela z areny.

Ruszyli biegiem w jego stronę, a tymczasem Cale krążył tam i z powrotem wzdłuż rzędu żołnierzy odgradzających go od publiczności, niczym drapieżnik szukający wejścia do zagrody kurczaków. Potem zaczął się uderzać w pierś i z każdym uderzeniem krzyczał w uniesieniu:

— Mea culpa! Mea culpa! Mea maxima culpa!

Było to coś dla tłumu niepojętego, ale nie potrzebowali tłumaczenia. Wybuchnęli wściekłością i niczym jedno żywe stworzenie, zakołysali się w przód, dając upust tłumionej nienawiści. Wtedy dwaj chłopcy dobiegli do Cale'a i złapali go za ramiona.

— Jasne, stary — powiedział Kleist, ściskając go delikatnie. — Walcz z każdym z nich z osobna.

— Thomasie, najwyższa pora stąd wyjść. Chodź z nami.

348

Przez całą drogę rzucając wyzywające okrzyki w stronę tłumu, Cale dał się poprowadzić z powrotem w stronę szatni i trzydzieści sekund później drzwi się za nimi zamknęły. Wszyscy trzej siedzieli znowu w półmroku, oszołomieni przerażającą i zarazem cudowną grozą. Minęło zaledwie dziesięć minut, od kiedy opuścili to pomieszczenie.

◆◆*

W pałacu Arbell Łabędzioszyja czekała na wieści rozgorączkowana i przerażona do nieprzytomności. Nie zniosłaby siedzenia w Operze i patrzenia na jego śmierć, bo nie miała wątpliwości, że musi umrzeć. Przeczucie krzyczało w niej, że nigdy więcej nie zobaczy swego kochanka żywego. Wtedy za drzwiami usłyszała szybkie kroki i do komnaty wpadła zdyszana Riba z oczami wytrzeszczonymi z przejęcia.

— Żyje!

Możecie sobie wyobrazić scenę, kiedy zostali sami tej nocy: Arbell obsypała wycieńczonego ukochanego tysiącem pocałunków, pieszczot i miłosnych wyznań. Jeśli tego dnia Cale zstąpił do Doliny Śmiertelnego Mroku, to w nocy nagrodzono go niebiańską rozkoszą. Ale piekło również go nie odstępowało, odcięty palec bolał go bardziej niż dużo poważniejsze rany, jakich w życiu doznał. Dopiero kiedy Mętnemu Henriemu udało się po wielkich staraniach zdobyć trochę opium, które złagodziło katusze do znośnego, tępego pulsowania, Cale mógł się skupić na tym euforycznym powitaniu.

Później, gdy Arbell skończyła obsypywać czułościami każdy skrawek jego ciała, próbował jej opowiedzieć, co się z nim działo tuż przed walką. Być może to za sprawą opium, a może wskutek skrajnego napięcia i przerażającej bliskości śmierci, których doświadczył tego dnia, z trudem mógł z siebie wydobyć sensowne zdania. Chciał się jej wytłumaczyć, ale się bał.

349

W końcu to ona go powstrzymała, z litości dla jego zmieszania i grozy przerażających przeżyć, a może i ze względu na siebie. Próbowała zapomnieć o dziwnym przymierzu swego niezwyklego kochanka ze śmiercią.

— Im mniej słów zostaje wypowiedzianych, tym szybciej zagoją się rany.

Opuściwszy jej komnaty, zanim na służbę stawily się poranne straże, Cale zastał Mętnego Henriego samotnie pełniącego wartę.

— Jak się czujesz? — spytał Henri.

— Nie wiem. Dziwnie.

— Chcesz herbaty? — Cale skinął głową. — To nastaw wodę. Przyjdę do ciebie, jak zdam służbę.

Dziesięć minut później, kiedy Mętny Henri wszedł do wartowni, herbata właśnie kończyła się parzyć. Siedzieli w milczeniu, popijając i paląc, z którymi to przyjemnościami Cale zapoznał Mętnego Henriego i Kleista i teraz rzadko kiedy widywało się ich bez skręta w ustach.

— Co tam się stało? — spytał Henri.

— Miałem pietra. Fatalnie.

— Myślałem, że cię zabije.

— Zabiłby, gdyby nie był taki ostrożny. Myślał, że to jakaś sztuczka, że się nie ruszam.

Znowu milczeli przez jakiś czas.

— I co się potem zmieniło?

— Nie wiem. Po kilku sekundach poczułem, jakby mnie ktoś oblał lodowatą wodą.

— To miałeś szczęście.

— Tak.

— Co teraz?

— Tak naprawdę, to się nad tym nie zastanawiałem.

— No to się lepiej zastanów.

350

— Bo...?

— Bo tu jesteśmy skończeni.

— Czemu?

Cale udawał, że koncentruje się na robieniu następnego skręta.

— Zabiłeś Salomona Salomona i zawlokłeś jego ciało przed Materazzich. To było wyzwanie. Materazzi potrafią się zrobić naprawdę przykrzy, nie sądzisz? I następnym razem to nie będzie pojedynek twarzą w twarz. Ktoś po prostu zrzuci ci na głowę cegłę.

— W porządku, rozumiem.

Ale Mętny Henri jeszcze nie skończył.

— A jak myślisz, co się stanie, kiedy dowiedzą się o tobie i Arbell? Masz tylko dwie osoby, które cię mogą chronić: Viponda i jej ojca. A co twoim zdaniem zrobi marszałek, kiedy się o was dowie? Wyprawi wam wesele? Czy ty, szlachetna, dostojna Arbell Materazzi bierzesz sobie tego świniopasa i wiecznego wichrzyciela, Thomasa Cale'a za prawowitego małżonka?

Cale podniósł się ciężko.

— Muszę się przespać. Nie mogę teraz o tym myśleć.

32

Cale zasnął tuż przed wschodem słońca ze złowieszczymi słowami Henriego dzwoniącymi mu w uszach. Obudził się piętnaście godzin później z tym samym uczuciem, tylko tym razem wywołanym przez dzwony kościelne. Nie było to jednak zwyczajne melodyjne wezwanie w większości mało żarliwych wiernych Memphis na dzień święty, lecz szaleńcze, hałaśliwe bicie na alarm. Wyskoczył z łóżka, rzucił się do drzwi i z gołymi nogami popędził korytarzem do komnat Arbell. Przed drzwiami stało już dziesięciu strażników Materazzich, a następnych pięciu nadbiegało z przeciwka. Cale zaczął walić w drzwi.

— Kto tam?

— Cale. Otwórz.

Zgrzytnął klucz i w drzwiach stanęła przestraszona Riba, wkrótce odsunięta na bok przez Arbell, która wyrzała na korytarz.

— Co się dzieje?

— Nie wiem.

Cale skinął na strażników Materazzich i wprowadził Arbell z powrotem do komnaty.

— Pięciu do środka. Zasłońcie okna i pilnujcie, aby nikt

352

was nie widział. Trzymajcie kobiety w kącie komnaty, z dala od okien.

Arbell wyszła znowu na korytarz.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje. A jeśli coś się stało tacie?

— Wracaj do środka! — krzyknął Cale w odpowiedzi na te całkiem uzasadnione obawy. — I do diabła, rób wreszcie to, co ci każą! Zamknij drzwi na klucz.

Riba łagodnie wzięła oszołomioną Arbell za ramię i weszła z nią do środka. Za nimi podążyło pięciu strażników wstrząśniętych tak obcesowym potraktowaniem ich pani. Kiedy kliknął zamek w drzwiach, Cale skinął głową do dowódcy straży.

— Przyślę wiadomość, jak tylko się czegoś dowiem. Niech ktoś mi da miecz.

Dowódca dał znak jednemu ze swoich ludzi, aby oddał mu broń.

— Może przydałyby się też jakieś spodnie? — dodał ku uciesze swoich podwładnych.

— Kiedy wrócę, będziecie się śmiać drugą stroną twarzy.

Rzuciwszy tę cierpką pogroźkę, popędził korytarzem w stronę

wartowni. Złapał ze swojego pokoju spodnie i niespełna trzydzieści sekund później wybiegał dwa piętra niżej na pałacowy dziedziniec. Mętny Henri i Kleist rozstawili już strażników wokół murów i uzbrojeni w łuk i jednostronną kuszę szli, aby do nich dołączyć.

— No i co? — spytał Kleist.

— Nie za dużo — odrzekł Henri. — Szturm gdzieś za piątym murem. Sądząc z opisu, ludzie w sutannach, ale mogą się mylić.

— Jak, na Boga, odkupiciele podeszli aż tak blisko?

Wyjaśnienie nie nastęczało trudności. Memphis było ośrodkiem handlowym, które nie przeżyło ataku od kilkudziesięciu lat i nic nie wskazywało na to, by mogło być na takowy

353

narażone. Obfitość towarów kupowanych i sprzedawanych codziennie w mieście wymagała płynnego przepływu przez sześć pierścieni murów obronnych, zbudowanych niegdyś na wypadek oblężenia. Ostatni krąg postawiono pięćdziesiąt lat temu. W czasach pokoju liczne mury stawały się prawdziwym utrapieniem, stopniowo więc wyposażano je w kolejne wejścia i bramy, tunele do odprowadzania ścieków i odpadków, co z kolei znacznie obniżyło ich skuteczność obronną. Kierownik nadzoru ścieków został zaszantażowany przez Kicię Zająca, albowiem grzech kochających inaczej Materazzi karali niemal tak samo surowo jak odkupiciele — i to właśnie on wpuścił pięćdziesięciu zakonników za piąty mur. Nikt nie mógł jednak domyślić się udziału Kici Zająca w całym przedsięwzięciu. Kiedy przypuszczono szturm na pałac, kierownik nadzoru ścieków leżał z poderżniętym gardłem głową w dół w pojemniku na śmieci. W ten właśnie sposób plan Bosca, aby sprowokować atak Materazzich kosztem życia kilku niepożądanych i zboczonych wyrzutków, doprowadził do rozpaczliwej walki w najbardziej strzeżonym sercu Memphis.

Natarcie wewnątrz piątego muru było manewrem mylącym przeprowadzonym przez dziesięciu odkupicieli, podczas gdy pozostałych czterdziestu weszło przez właz do ścieków i przedzierało się na dziedziniec pałacu. Kiedy wychodzili w czarnych sutannach na powierzchnię niczym rój żuków ściekowych, Cale wysyłał właśnie Mętneho Henriego i Kleista uzbrojonych w łuki i kusze na mury i zastanawiał się, co zrobić z dwunastoma Materazzimi u boku. Dokładnie w tym momencie zdziwieni zobaczyli wylewającą się ku nim falę czterdziestu odkupicieli.

— Formować szyk! — zawołał Cale do swoich ludzi.

Wtedy odkupiciele uderzyli. Cale krzyknął do Kleista, lecz kiedy starły się miecze, nie można już było ryzykować strzału. Wtedy jednak grupa napastników ominęła szereg Materazzich

354

i ruszyła w stronę wejścia do pałacu. Gdy tylko oddalili się od garstki obrońców, Henri i Kleist mogli zacząć strzelać. Bełt i strzała bzyknęły w powietrzu, jeden z odkupicieli z krzykiem złapał się

za pierś, jakby za koszulę wpadła mu osa. Cale zatrzymał się w porę i cofnął, aby zejść z linii strzału, po czym biegnąc do drzwi pałacowych, przeciął jednemu przeciwnikowi ścięgno pięty, tak samo drugiemu, trzeciego, który miał go właśnie zaatakować, strzała trafiła w udo. Mężczyzna zatoczył się w tył i w tym samym momencie spóźniony cios Cale'a trafił go w usta i odciął dolną szczękę aż do kręgosłupa. Wreszcie chłopak przedarł się przez tłum i dopadłszy do drzwi, odwrócił się, aby stawić czoło natarciu. Odkupicielei jednak już wcześniej ostudził w zapale deszcz strzał i bełtów. Aby się przed nim ukryć, przykucnęli za niskim murkiem biegnącym w stronę pałacu w kształcie litery V. Chcąc dotrzeć do drzwi, musieli się powoli czołgać pod osłoną murku, chroniąc się przed śmiertcionośnym atakiem strzelców. Czekając na nich, Cale sięgnął do ogromnej donicy z drzewkiem oliwnym, które przyozdabiało wejście do pałacu, wyjął z niej kamienie wielkości pięści, poukładane artystycznie wokół pnia, i zaczął ciskać nimi we wrogów. Miotane z ogromną siłą okruchy skał uderzały przeciwników w zęby, w dłonie, często zmuszały ich do powstania, prosto pod ostrzał Henriego i Kleista.

Pięciu odkupicielei rzuciło się na Cale'a, który odpierał atak łokciami, nogami i zębami, lecz nawet podczas tych zaciętych zmaganiań o życie, czuł, że coś tu nie gra. Wrażenie to nasiliło się, kiedy tak stał niczym bohater z opowieści dla grzecznych dzieci i siekł napastników jak chwasty — uderzenie, blok, cięcie, śmiertelny cios i po wszystkim. Strażnicy, którzy stracili tylko trzech towarzyszy, zmusili przeciwników do wycofania się, a wtedy zakonnicy do reszty stracili ducha i rzucili się do ucieczki lub padli od mieczy ścigających ich Materazzich bądź

355

od strzał Kleista i Henriego. Chłopcy nie musieli już bronić przyjaciela, więc zaczęli wybijać odkupicielei, którzy próbowali dopaść do włazu i uciec.

Cale'a ogarnęła fala pobitewnej euforii: serce mu waliło, krew tętniła w żyłach, dziedziniec zdawał się poruszać, przybliżać i oddalać, przed oczami falowały mu obrazy — zamierające przerażenie na twarzy jakiegoś odkupiciela, strażnik Materazzi trzymający się za brzuch i usiłujący powstrzymać swoje wnętrzności przed wypłynięciem na ziemię; inny szepczący „Tak! Tak!” na chwałę życia, wygranej i radości, że przeżył kolejną walkę bez hańby; i twarz młodziutkiego odkupiciela, bladego jak święty wosk i w jego oczach zrozumienie, że umrze, kiedy stanął nad nim strażnik z mieczem. Mimo tego wszystkiego nie cichło w Cale'u uczucie, że coś jest zdecydowania nie w porządku. Próbował krzyknąć do strażnika, aby powstrzymać coup de grace, lecz z jego gardła wydobyło się tylko piśnięcie, które nie mogło zapobiec dobijającemu pchnięciu.

— Nic ci nie jest, synu? — spytał strażnik.

Cale z trudem złapał oddech. Głęboko wciągnął powietrze.

— Każ im przestać. — Wskazał Materazzich krążących po polu bitwy i dobijających rannych. — Muszę porozmawiać z niedobitkami. Szybko!

Strażnik krzyknął i ruszył do swoich towarzyszy, aby im wydać polecenie. Cale oparł się o murek i zapatrzył na ćmę, która przysiadła na brzegu czarnej kałuży krwi, spróbowała jej najpierw ostrożnie, po czym zadowolona przystąpiła do jedzenia.

— Co się dzieje? — spytał Kleist, który podszedł właśnie dumnym krokiem do Cale'a. — Przecież żyjesz, nie?

— Coś tu nie gra.

— Zapomniałeś podziękować.

356

Cale przeszył go spojrzeniem.

— Idź i zobacz, czy któryś z napastników przeżył.

Kleist już miał zapytać, na co umarł jego poprzedni niewolnik, ale coś dziwnego w zachowaniu przyjaciela go powstrzymało i zrezygnował. Mętny Henri oglądał ciała i liczył bełty, z nadzieją, że jego ofiary nie żyją. Zauważył, że Kleist robi to samo.

— Cale! Chodź, sam to zobacz — zawołał Kleist, odwracając zwłoki ze strzałą w plecach.

Mętny Henri obserwował, jak Cale podchodzi, lecz sam stał niespokojnie z boku.

— Patrz — powiedział Kleist — to Westaby.

Cale spojrział zdumiony na martwą twarz osiemnastoletniego chłopca, którego widywał codziennie w Sanktuarium, odkąd sięgnął pamięcią.

— A tu jest jeden z bliźniaków Gaddis — oznajmił Mętny Henri. Nastąpiła chwila ciszy, kiedy odwracał na plecy zwłoki leżące obok na brzuchu. — I jego brat.

Na drugim końcu dziedzińca obok wjazdu do ścieków wybuchło zamieszanie, czterech Materazzich biło i kopało odkupiciela, który leżał skulony na ziemi. Trzej chłopcy pobiegli w tamtą stronę i zaczęli odciągać strażników, którzy zapamiętale próbowali odepchnąć ich na bok. Opamiętali się dopiero, kiedy Cale wyciągnął miecz i zagroził, że im poobcina członki, jeśli się nie cofną. Kleist i Mętny Henri odsunęli odkupiciela na bok, podczas gdy tamci łypali na nich gniewnie. Wrogą atmosferę rozproszył dopiero inny strażnik Materazzi, który podszedł do tamtej czwórki z mieczem zgiętym w kształcie litery L.

— Widzicie to? — powtarzał. — Widzicie to?

Powoli Cale podszedł do Kleista i Henriego, nie spuszczać jednak tamtej czwórki z oczu.

357

Stanęli nad nieprzytomnym odkupicielem, który leżał oparty plecami o ścianę pałacu. Twarz miał spuchniętą, usta nabrzmięte, powybijane zęby.

— Wygląda znajomo — stwierdził Mętny Henri.

— Tak—potwierdził Cale. — To Tillmans, akolita Navratila.

— Odkupiciela Dubczeka? — spytał Kleist, pochylając się i przyglądając bliżej młodemu mężczyźnie. — Masz rację, to faktycznie Tillmans. — Pstryknął dwa razy palcami przy twarzy nieprzytomnego. — Tillmans! Obudź się!

Potrząsnął go za ramiona, a wtedy akolita jęknął. Powoli otworzył oczy, ale wzrok miał niewidzący.

— Upiekli go.

— Co upiekli?

— Odkupiciela Navratila. Upiekli go na ruszcie za dotykane chłopców.

— Szkoda. W sumie był porządnym facetem — powiedział Cale.

— Tak, pod warunkiem, że nie odrywałeś pleców od ściany — mruknął Kleist. — Raz mi dał kotleta wieprzowego — dodał.

W ustach Kleista to wspomnienie odkupiciela zabrzmiało niemal jak pean na jego cześć.

— Nie mogłem wytrzymać tego wrzasku — wyznał Tillmans. — Prawie godzinę trwało, zanim go wykończyli. A potem zagrozili, że zrobią ze mną to samo, jeśli nie zgłoszę się na ochotnika do tej akcji.

— Kto was pilnował w drodze?

— Stape Roy ze swoją kohortą. Obiecali, że jeśli się dobrze spiszymy, to dostaniemy jeszcze jedną szansę. Nie zabijaj mnie, szefie!

— Nic ci nie zrobimy. Tylko powiedz nam wszystko, co wiesz.

358

— Nic nie wiem.

— Kim byli pozostali?

— Nie wiem... tacy jak ja, nie żołnierze. Chcę...

Oczy Tillmansa zaczęły się dziwnie poruszać, jedno zaszło mgłą, drugie patrzyło w dal nad ramieniem Cale'a. Kleist znowu pstryknął palcami, lecz tym razem nie było żadnej reakcji poza tym, że oczy akolity jeszcze bardziej zmętniały, a oddech stał się nierówny. Przez chwilę zdawało się, że przytomnieje.

— Co to? — zapytał.

A potem głowa opadła mu na bok.

— Nie przeżyje nocy — stwierdził Mętny Henri. — Biedny stary Tillmans.

— Mhm — mruknął Kleist. — I biedny odkupiciel Dubczek. Marnie skończył.

* * *

Po raz pierwszy Cale musiał czekać trzy godziny w zatłoczonej poczekalni, zanim udało mu się dostać do Viponda. Kazano mu przyjść o trzeciej i siedzieć cicho. Kiedy go w końcu wprowadzono do gabinetu kanclerza, Vipond ledwo rzucił nań okiem.

— Muszę przyznać, że miałem wątpliwości, kiedy prorokowałeś, że odkupiciele będą próbowali napaść na Arbella w Memphis. Zastanawiałem się, czy nie zmyślasz, aby wkręcić siebie i swoich przyjaciół na służbę u doży. Muszę cię przeprosić.

Dla Cale'a osoba stojąca u władzy, która przyznaje się do popełnionego błędu, była czymś

niezwykłym. Vipond podał chłopcu wydrukowaną ulotkę, na której widniał prymitywny rysunek kobiety z obnażonymi piersiami, a nad nim napis: „Dziwka z Memphis”. Dalsza część ulotki opisywała Arbell jako kobietę bezczeszczącą wszystkie świętości, prostytutkę

359

4fi

z ogoloną głową, hańbiącą siebie i wszystkich niewinnych ludzi w masowych orgiach i ofiarach ku czci diabła. „Ona jest grzechem! — głosił wreszcie paszkwil — wołającym o pomstę do nieba”.

W głowie Cale'a waliły młoty, kiedy próbował rozszyfrować, o co w tym wszystkim chodzi.

— Napastnicy za murami rozrzucali te ulotki wszędzie, gdzie atakowali — powiedział Vipond.

— Tym razem nie da się tego zatuszować. Arbell Materazzi jest powszechnie uznawana za bielszą niż śnieg.

Choć nie było to już w pełni prawdą, absurdalność tych kłamstw zaintrygowała Cale'a tak samo jak Viponda.

— Masz jakiś pojęcie, o co w tym wszystkim może chodzić? — spytał kanclerz.

— Nie.

— Słyszałem, że przesłuchiwałeś więźnia.

— Raczej to, co z niego zostało.

— Powiedział coś ciekawego?

— Tylko to, co i tak już wiedzieliśmy: że to nie był w żadnym wypadku poważny atak. Nie wysłali nawet prawdziwych żołnierzy. Znaliśmy około dziesięciu z nich: kucharze polowi, urzędnicy, kilku szkolonych do walki, którzy ciągle zostawali w tyle. Dlatego tak łatwo poszło.

— Nie rozpowiadaj tego na zewnątrz. Oficjalna wersja jest taka, że Materazzi odnieśli wielkie zwycięstwo podczas tchórzowskiej napaści grupy doborowych morderców odkupicieli.

— Raczej grupy doborowych pomywaczy.

— W mieście panuje ogromne oburzenie, a także wielki szacunek dla umiejętności i bohaterstwa naszych żołnierzy, którzy odparli atak. Nie wolno wam zrobić nic, co by to nastawienie podważyło. Rozumiesz?

360

*

— Bosco chce was sprowokować do ataku.

— No, to mu się udało.

— Nierozsądnie jest dawać Boscowi to, czego chce. Mówię prawdę.

— To coś nowego. Ale ci wierzę.

— Więc lepiej niech im pan to wyperswadowuje. Jeśli myślą, że atak na prawdziwą armię odkupicieli będzie przypominał tę utarczkę, to spotka ich srogię rozczarowanie.

Po raz pierwszy Vipond podniósł wzrok na chłopca, który przed nim stał.

— Mój Boże, Cale, gdybyś wiedział, w jak znikomym stopniu światem rządzi rozsądek. W całej historii ludzkości nie spadło na nią takie nieszczęście, przed którym ktoś by nie ostrzegał. I nigdy temu komuś, chociaż życie pokazało, że miał rację, nie przyszło z jego proroctw nic dobrego. Materazzi nikogo nie posłuchają w tej kwestii, a już na pewno nie Thomasa Cale'a. Tak już jest urządzone świat i nikt tak mało znaczący jak ty, ani nikt tak dużo znaczący jak ja, nie może tego zmienić.

— Więc nic pan nie zrobi, aby temu zapobiec?

— Nie. I ty również. Memphis jest sercem największej potęgi na ziemi. Tę potęgę powstrzymują przed rozpadem bardzo proste siły: handel, chciwość i powszechna wiara, że Materazzi są zbyt potężni, aby warto im było rzucać wyzwanie. Czekanie w murach miasta, aż odkupiciele wytoczą maszyny oblężnicze, nie wchodzi w grę. Bosco nie wygra, ale my możemy przegrać, zwłaszcza jeśli świat zobaczy, że się przed nimi chowamy. Moglibyśmy wytrzymać oblężenie Memphis nawet i przez sto lat, ale nie minęłoby pół roku, żeby w każdej prowincji cesarstwa stąd aż do Republiki Wysp Nocnika wybuchły rebelie.

— Wiem, jak będą walczyć odkupiciele.

Yipond spojrzał na niego z irytacją.

361

— Czego oczekujesz? Że ktoś się będzie ciebie radził? Generałowie, którzy planują kampanię, podbili pół znanego nam świata i walczyli u boku Salomona Salomona lub byli przez niego szkoleni, nawet jeśli większość z nich traktowała go z wyższością. Chłopak, który jest niczym, który walczy jak wygłodniały pies... Możesz o tym zapomnieć. — Machnął niecierpliwie ręką, aby go odprawić. — Powinieneś był darować Salomonowi życie — dodał karcąco.

— A czy on by to zrobił?

— Nie. Tym większą miałeś szansę, żeby wykorzystać jego słabość. Gdybyś go oszczędził, zyskałbyś podziw Materazzich, a Salomon zasłużyłby jedynie na wzdgarę. Siła nie zna litości dla tego, kto nią włada, tak samo jak dla jego ofiar: tych drugich niszczy, tych pierwszych zaślepia. Taką mocą, jaką posiadasz, nikt długo nie włada. Ci którzy ją otrzymują w darze od losu, zanadto na niej polegają i szybko dają się zniszczyć.

— Pan to wymyślił czy ktoś inny, kto nigdy nie musiał stać przed motłochem ryczącym, żeby cię wypatroszono, bo nie mają co zrobić z wolnym czasem?

— Użalasz się nad sobą. Mogłeś tego uniknąć, dobrze o tym wiesz.

Rozeźlony, również dlatego, że nie potrafił na to odpowiedzieć celną ripostą, Cale odwrócił się do drzwi.

— Jeszcze jedno. Raport na temat wydarzeń zeszłej nocy, znacząco umniejszą twoją rolę, jak również

twoich przyjaciół. Nie wolno ci się na to skarżyć.

— A to czemu?

— Po swoim wystąpieniu w Czerwonej Operze budzisz powszechną nienawiść. Zastanów się nad tym, co ci przed chwilą powiedziałem, to zrozumiesz. A nawet jeśli nie zrozumiesz, to i tak nie piśniesz nikomu ani słowa o tym, co się naprawdę wydarzyło.

362

— I tak mnie nie obchodzi, co o mnie myślą Materazzi.

— Na tym właśnie polega twój problem: nie obchodzi cię, co myślą o tobie ludzie. A powinno.

* * *

Przez następny tydzień do Memphis zjeżdżali się Materazzi ze wszystkich okolicznych majątków. W mieście z trudem się trzeba było przeciskać przez tłumy rycerzy, ich zbrojnych podwładnych, żon i służby, a ponadto całej rzeszy złodziejasków, tancerek, ladacznic, lichwiarzy, włamywaczy, hazardzistów, naciągaczy, a także zwykłych handlarzy; wszyscy ścignęli tu w nadziei na szybki i łatwy zarobek. Lecz wielkie zamieszanie w mieście nie ograniczało się wcale do spraw pieniędzy. Rozstrzygnięcia wymagały skomplikowane kwestie hierarchii wśród arystokracji Materazzich. Miejsce na polu bitwy było ściśle uzależnione od pozycji zajmowanej w rodowej socjocie. Plan bitewny Materazzich tylko po części odzwierciedlał militarną strategię, po części przypominał rozmieszczenie gości przy stole podczas ślubu w rodzinie królewskiej. Sposobności do uchybień były niezliczone. Z tego powodu marszałek spędzał większość czasu na wydawaniu obiadów, organizowaniu takich czy innych spotkań wyłącznie po to, by wygładzać niebezpiecznie nastroszone pióra, wyjaśniać, że to, co wyglądało na zniewagę, było w istocie wielkim zaszczytem.

To właśnie na jednym z takich bankietów, na który zaproszono Cale'a (w geście próby zadośćuczynienia ze strony Viponda), sprawy kolejny raz przybrały niespodziewany obrót. Wbrew usilnym staraniom marszałka, aby unikać obecności Simona, zwłaszcza podczas imprez publicznych, Arbelle wybłagała, aby tym razem zaproszono również jej brata.

Lord Vipond potrafił po mistrzowsku władać sztuką informacji, zarówno prawdziwych, jak i wszelkich innych. Utrzy-

363

mywał rozległą sieć informatorów na wszystkich szczeblach drabiny społecznej Memphis, od lordów aż po czyścibutów. Jeśli chciał uczynić jakąś rzecz powszechnie wiadomą, a przynajmniej wiarygodną, informatorzy otrzymywali przygotowaną historię, prawdziwą lub zmyśloną, po czym rozpuszczali ją po mieście. Rzecz jasna takich sposobów rozsiewania pożądanых wiadomości i dementowania niepożądanych chwyтали się wszyscy władcy, począwszy od Króla nad Królami Wszechpotęgi i Chwały, a skończywszy na Burmistrzu Nicościwym w Nigdzie-siowie.

Różnica pomiędzy Vipondem a pozostałymi adeptami czarnej sztuki władania pogłoską polegała na tym, że kanclerz Materazzi wiedział, iż aby jego informatorzy wydawali się wiarygodni, musieli mówić prawie wyłącznie prawdę. Dzięki temu każde kłamstwo, jakie kanclerz chciał przemycić do

powszechnej akceptacji, przełykano w całości. Sporą część swego bezcennego kapitału zaufania zużył na Cale'a, ponieważ aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę, jaka żądza zemsty panuje w kręgach zbliżonych do Salomona Salomona. Nad głową chłopca wisiało widmo zabójstwa w odwecie. Wbrew temu, co powiedział Cale'owi, kanclerz puścił w obieg wiadomość, że chłopiec walczył dzielnie u boku Materazzich w obronie Arbell Łabę-dzioszyjej. Dzięki temu znacznie zmniejszył, choć nie rozwiązał zupełnie, groźbę otrucia lub zaszlachtowania go w ciemnym zaułku. Najdziwniejsze było to, że gdyby zapytano Viponda, czemu poświęca tyle czasu komuś tak mało ważnemu, nie potrafiłby odpowiedzieć. Ale też nikt go o to nie pytał.

Vipond i marszałek spędzili już wiele godzin nad frustrującą próbą ułożenia planu bitwy, biorącego pod uwagę wszystkie skomplikowane kwestie statusu i wpływów obowiązujące wśród arystokracji. Bardzo brakowało im Salomona Salomona, którego żołnierska sława czyniła bezcennym sprzymierzeńcem, zdolnym

364

z powodzeniem negocjować kompromisy pomiędzy różnymi ugrupowaniami Materazzich walczącymi o pierwszeństwo na polu bitwy.

— Wiesz, Vipond — odezwał się zrezygnowany marszałek — jakkolwiek podziwiam subtelność, z jaką prowadzisz te sprawy, muszę powiedzieć, że w ostatecznym rozrachunku kilku problemów na tym świecie nie da się rozwiązać przekupstwem lub zepchnięciem przeciwnika ze szczytu skały w ciemną noc.

— Co masz na myśli, panie?

— Chodzi mi o tego chłopca, Cale'a. Nie bronię Salomona Salomona, sam wiesz, że próbowałem zapobiec temu pojedynkowi, ale mówiąc szczerze, nie sądziłem, że chłopak ma jakieś szanse.

— A gdybyś wiedział?

— Możemy sobie pozwolić na pewną bezpośredniość. Nie wmawiaj mi, że zawsze postępujesz słusznie, zamiast mądrze. Sęk w tym, że potrzebujemy Salomona rozpaczliwie. On potrafił wygładzić sprawy i zapędzić tych drani do szeregu. To proste: potrzebujemy Salomona Salomona, a Cale'a nie.

— Cale uratował twoją córkę, panie, czego o mały włos nie przypłacił życiem.

— No proszę, widzisz? Ze wszystkich ludzi ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że nie mogę się kierować osobistymi względami. Zdaję sobie sprawę, co zrobił i jestem mu wdzięczny. Lecz tylko jako ojciec. Jako władca stwierdzam, że kraj dużo bardziej potrzebuje Salomona Salomona niż Cale'a. To oczywista prawda i nie ma sensu jej zaprzeczać.

— Więc czego żałujesz, panie? Że nie zrzuciłeś go ze skały przed walką?

— Myślisz, że zbijesz mnie z pantafelku? Przynajmniej zaproponowałbym wór złota za to, żeby się ulotnił i nigdy

365

więcej tu nie wracał, co nawiasem mówiąc, zamierzam zrobić, kiedy ta wojna się skończy.

— A gdyby odmówił?

— To by było mocno podejrzane. Po co on się tu w ogóle kręci?

— Dałeś mu dobrą pracę w najlepiej strzeżonym miejscu na świecie.

— Więc to moja wina? Skoro tak, to zaraz to naprawię. Ten chłopak jest niebezpieczny. Chodzące przekleństwo, jak ten facet w brzuchu wieloryba.

— Jezus z Nazaretu?

— No właśnie. Kiedy zrobimy porządek z tymi odkupicielami, Cale zniknie i sprawa będzie zamknięta.

W zły humor wprowadziła marszałka także perspektywa spędzenia całego wieczoru w towarzystwie syna, co było dlań upokorzeniem prawie ponad siły.

Okazało się jednak, że bankiet toczył się całkiem gładko. Obecni arystokraci wydawali się przychylnie nastawieni i nawet skorzy do odsunięcia na bok zadawnionych uraz i sprzeczek, demonstrowali wspólny front w obliczu zagrożenia Memphis, a w szczególności Arbella Łabędzioszyjej. Podczas całego obiadu Arbell wyglądała tak słodko i czarująco, a w dodatku tryskała łagodnym humorem, że groteskowy portret odkupicieli wydawał się wystarczającym powodem, aby stawić czoło zagrożeniu ze strony tych religijnych fanatyków.

Przez cały czas trwania przyjęcia Arbell rozpaczliwie usiłowała nie spoglądać w stronę Cale'a, była bowiem pewna, że miłość i pożądanie wyczyta z jej oczu nawet najbardziej gruboskórny tępak. Cale z kolei siedział nadąsany, ponieważ uznał, że jego ukochana go unika. Wstydzi się go, widział to wyraźnie, krępuje się przebywać w jego obecności w towarzystwie.

366

Dla odmiany obawy marszałka, że obecność Simona przysporzy mu upokorzeń, okazały się bezpodstawne. Prawda, chłopak siedział i ze zrozumiałych powodów się nie odzywał, ale z jego twarzy zniknął dawny wyraz przełkniętego zagubienia. Przeciwnie, sprawiał wrażenie całkiem normalnego, od czasu do czasu czymś zainteresowanego, chwilami rozbawionego. Marszałka coraz bardziej drażniła natomiast uporczywa chrypka i kaszel, których nabawił się prawdopodobnie, przyjmując tłumy interesantów.

Innym powodem irytacji dożył młody człowiek siedzący koło Simona. Nie znał go, a tamten nie odzywał się ani słowem, ale przez cały obiad nieustannie potrzasał prawą ręką, wykonując serie dziwnych gestów, to kółka, to dźgnięcia, to znów szarpnięcia. Do tego stopnia działał marszałkowi na nerwy, że już miał wysłać służącego Pepysa, aby nakazał mu przestać albo wyjść, gdy nagle młodzieniec wstał i czekał, aż wszyscy umilkną — zachowanie tak niesłychane w dobrym towarzystwie, że gwar rozmów i śmiechów rzeczywiście prawie ucichł.

— Nazywam się Jonathan Koolhaus — oznajmił. — Jestem guwernerem i nauczycielem języka lorda Simona Materazziego. Lord Simon życzy sobie coś powiedzieć.

Na te słowa w sali zaległa cisza, przy czym większość biesiadników zamilkła bardziej ze zdumienia niż z szacunku. Wtedy wstał Simon i zaczął poruszać prawą ręką dokładnie w ten sam osobliwy sposób, co jego nauczyciel przez cały wieczór. Koolhaus przetłumaczył:

— Lord Simon Materazzi mówi: „Siedziałem przez cały wieczór naprzeciwko Provosta Davida Lascellesa, który w tym czasie trzykrotnie nazwał mnie bełkoczącym przygłupem”. — W tym momencie Simon uśmiechnął się szeroko i dobrodusznie. — „No cóż, Prowoście Lascellesie, co do bełkoczących przygłupów, jak to mówią dzieci: swój pozna swego”.

367

Obecni wybuchnęli śmiechem tyleż z dowcipu, na widok wybałuszonych oczu i poczerwieniałej twarzy Lascellesa. Tymczasem prawa dłoń Simona śmigała pracowicie dalej.

— Lord Simon Materazzi mówi: „Provost David uważa, że to wielka hańba siedzieć naprzeciwko mnie”. — Tu chłopak skłonił się kpiąco Provostowi Davidowi i to samo uczynił Koolhaus. Potem dłoń Simona znów zaczęła się poruszać. — „Prowoście Lascellesie, zapewniam cię, że to wielki dyshonor dla mnie”.

Skończywszy, Simon usiadł z dobrotliwym uśmiechem i Koolhaus razem z nim. Przez chwilę goście siedzieli osłupiali, tylko gdzieniegdzie odzywały się sporadyczne śmiechy i oklaski. A potem, jakby za dziwnym milczącym porozumieniem wszyscy postanowili zignorować to, co przed chwilą widzieli i słyszeli, i udać, że to się nie zdarzyło. Gwar rozmów i śmiechów wybuchł na nowo i przyjęcie toczyło się dalej tak jak poprzednio, przynajmniej z pozoru.

W odpowiednim czasie wieczór dobiegł końca, goście zostali wyprowadzeni w ciemną noc, a marszałek w towarzystwie Viponda prawie pobiegł do swoich prywatnych komnat, gdzie na jego żądanie miały czekać dzieci. Już od progu zażądał wyjaśnień.

— Co tu się dzieje? Co to za bezduszny żart?

Spojrzał na córkę.

— Nic o tym nie wiem, tato. Dla mnie to tak samo tajemnicza historia jak dla ciebie.

Przez cały ten czas stremowany Koolhaus jak najdyskretniej machał palcami w kierunku Simona.

— Hej, ty... co ty wyprawiasz?

— To... hmm... język palców, panie.

— Co to znaczy?

— To bardzo proste. Każdy gest oznacza jakieś słowo albo czynność.

368

- jjj

Koolhaus był tak zdenerwowany i mówił tak szybko, że trudno go było zrozumieć.

— Mówże wolniej! — krzyknął marszałek.

Bakalarz, trzęsąc się, powtórzył swoje wyjaśnienia. Doża wytrzeszczał oczy z niedowierzaniem, patrząc, jak jego syn przekazuje swemu tłumaczowi znaki.

— Lord Simon mówi: „ojej... nie bądź na mnie zły”.

— Więc wyjaśnijcie mi, co to wszystko znaczy.

— To proste, panie. Tak jak powiedziałem, każdy znak oznacza słowo lub emocję. — Koolhaus dotknął się kciukiem w pierś. — Ja. — Potem złożył dłoń w pięść i potarł nią pierś okrężnym ruchem. — Przepraszam. — Wysunął kciuk, wskazał nim w przód i wykonał gest uderzania. — Że sprawiłem. — Wskazał marszałka. — Że ty. — Pstryknął nadgarstkiem i pięścią w przód i w tył. — Się złościsz.

Następnie powtórzył wszystkie ruchy tak szybko, że ledwo można było rozróżnić poszczególne gesty.

— Przepraszam, że cię rozzłościłem.

Marszałek popatrzył na syna, jakby w ten sposób mógł odkryć prawdę. Na jego twarzy malowały się czytelnie dwa uczucia: niedowierzanie i nadzieja. Potem wziął głęboki wdech i odwrócił się do Koolhausa.

— Skąd mogę mieć pewność, że to mówi mój syn, a nie ty?

Koolhaus zaczął odzyskiwać naturalną pewność siebie.

— Nie możesz mieć tej pewności, panie. Tak jak żaden człowiek nie może być pewien, że nie jest jedyną myślącą i czującą istotą, a wszyscy inni zaledwie maszynami udającymi uczucia i rozum.

— O Boże — jęknął marszałek. — Słyszę dziecko Mędrnicy, jako żywo.

— W istocie, jestem nim, panie. Lecz to, co mówię, jest prawdą. Wiemy, że inni czują i myślą tak jak my tylko dlatego,

369

że z biegiem czasu rozum uczy nas odróżniać to, co rzeczywiste od tego, co nieprawdziwe. Dlatego rozpoznasz, czy rozmawiasz ze mną, czy za moim pośrednictwem ze swoim synem, choć bowiem jest srodze niedouczone i zaniedbane, umysł ma tak samo bystry jak ty, panie lub ja.

Trudno było nie być pod wrażeniem tej obraźliwej szczerości Koolhausa.

— Dobrze — powiedział marszałek — niech mi Simon opowie, jak do tego wszystkiego doszło, od samego początku aż do dzisiejszego wieczoru. Proszę niczego nie dodawać od siebie i nie próbować przedstawiać go mądrzejszym, niż jest.

I tak przez następne piętnaście minut Simon odbył swą pierwszą rozmowę z ojcem, a ojciec z synem. Od czasu do czasu marszałek wtrącał jakieś pytanie, lecz głównie słuchał. I kiedy Simon skończył, po twarzy doży, jak również jego oszołomionej córki lały się strumienie łez.

W końcu wstał i objął syna.

— Przepraszam, chłopcze. Tak bardzo cię przepraszam.

Następnie nakazał strażnikowi sprowadzić Cale'a. Rozkaz

ten Koolhaus przyjął z mieszanymi uczuciami. Wyjaśnienia Simona były jego zdaniem bardzo stronnicze i wyolbrzymiły rolę Cale'a, który wpadł tylko na pomysł nauczania go najprostszego

języka znaków, za mało zaś podkreślały wkład Koolhaus, który z kilku prymitywnych gestów zrobił prawdziwy, żywy język. Wyglądało teraz na to, że ten nieokrzesany gbur zbierze za niego całą chwałę. Naturalnie Cale był tak samo zaskoczony tym, co się wydarzyło na bankiecie, jak wszyscy pozostali. Nie miał pojęcia, jakie postępy poczynili Koolhaus z Simonem, ponieważ bakałarz wymógł na swym uczniu zobowiązanie do zachowania ścisłej tajemnicy do czasu, gdy będą gotowi, aby zrobić wszystkim olśniewającą niespodziankę i zebrać wyrazy uznania.

370

«y

Cale spodziewał się, że spadną na niego gromy i wprawilo go w niemałe oszołomienie, kiedy Arbell i marszałek, nękany poczuciem winy z powodu wcześniejszej niechęci do syna, przyjęli go jak wybawcę.

Również Arbell gryzły wyrzuty sumienia. Od czasu okropnych wydarzeń w Czerwonej Operze spędzała z Calem namiętne noce, pożądliwie sycąc się każdym skrawkiem jego ciała, w dzień zaś przyjmowała gości i wysłuchiwała ich dyskusji na temat okropnej śmierci Salomona Salomona. Ponieważ kiedyś Arbell wyrażała się z niesmakiem i odrazą o swym tajemniczym ochroniarzu, nikt się nie krępował opowiadać jej przebieg pojedynku z najbardziej nieprzyjemnymi szczegółami. Część z nich można było uznać za plotki i skutek stronniczości w stosunku do człowieka uznawanego za członka tej samej klasy, lecz nawet uczciwa i dobroduszna Margaret Aubrey przyznała:

— Nie mam pojęcia, czemu tam właściwie zostałam. Z początku było mi go bardzo żal, wydawał się na tej arenie taki mały. Ale, Arbell, kochana, nigdy w życiu nie widziałam równie zimnej, brutalnej istoty. Rozmawiał z nim, zanim go zabił, uśmiechał się. Nawet świni nie traktuje się z takim okrucieństwem, jak powiedział mój tata.

Po tych wszystkich rozmowach w uczuciach młodej księżniczki zapanował wielki zamęt. Naturalnie bolały ją te krzywdzące zniewagi rzucone pod adresem kochanka, czyż jednak sama nie była świadkiem tej dziwnej morderczej obojętności swego oblubieńca? Czyż można ją było winić za to, że starannie zamaskowany dreszcz nie został natychmiast zepchnięty na samo dno serca?

Wszystkie te przerażające myśli pierzchły w mgnieniu oka na wieść, że Cale praktycznie przywrócił jej brata między żywych. Ujęła jego dłoń i ucałowała z żarliwością i zachwytem,

371

dziękując za to, co uczynił. Niewiele zmieniło nawet to, że Cale przypisał dużą część zasług Koolhausowi. Zarówno marszałek między licznymi odchrząknięciami, jak i Arbell gorąco podziękowali bakałarzowi, lecz zaraz znowu odwrócili się do Cale'a, aby obsypać go kolejnymi pochwałami i wyrazami wdzięczności. Koolhaus poczuł się zdradzony, wygodnie zapominając, że to Cale odkrył ukrytą inteligencję Simona Materazziego i sposób na uwolnienie jej. Nawet próby chłopca, aby podzielić się z gubernierem tymi gratulacjami, Koolhaus uznał tylko za próbę ściągnięcia na siebie jeszcze większej uwagi ze szkodą dla niego. Tak więc owego dnia, Cale pozyskał sobie dwóch jeszcze zagorzalszych sprzymierzeńców, którzy dotąd w niego powątpiewali, a jednocześnie przysporzył sobie kolejnego wroga.

33

Tej nocy Arbell Materazzi trzymała Cale'a w ramionach, wolna od wszelkich wątpliwości. Jakiż on był odważny i jaka ona niewdzięczna, skoro chowała w sercu choćby najdrobniejsze zastrzeżenia, a on tymczasem dokonał cudownej przemiany w życiu jej brata. Okazał się taki wielkoduszny, przenikliwy i dalekowzroczny. Płonęła uwielbieniem, kochając się z nim tej nocy, każdym ciałem swego smukłego, wspaniałego ciała oddając mu niemal boską cześć. Jakże magicznie działało to na skołataną duszę Thomasa Cale'a, ileż oszałamiającego szczęścia mu przyniosło. Kiedy później leżał opleciony jej eleganckimi ramionami, jej nieskończenie długimi nogami, czuł, jakby najgłębsze pokłady jego zlodwaciałej duszy dotknęły promienie słońca.

— Obiecuj mi, że nie spotka cię nic złego — powiedziała po godzinie milczenia.

— Twój ojciec i jego generałowie i tak nie mają najmniejszej ochoty dopuścić mnie nawet w pobliże bitwy, a ja nie zamierzam się tam pchać. To nie moja sprawa. Moim obowiązkiem jest dbać o twoje bezpieczeństwo i tylko to mnie interesuje.

— A jeśli coś mi się stanie?

373

— Nic ci się nie stanie.

— Nawet ty nie możesz być tego pewien.

— O co chodzi?

— O nic. — Ujęła w dłonie jego twarz i spojrzała mu badawczo w oczy, jakby czegoś w nich szukała. — Pamiętasz ten obraz na ścianie w sąsiednim pokoju?

— Twojego pradziadka?

— Tak, jego portret z drugą żoną, Stellą. Powiesiłam go na ścianie ze względu na list, który znalazłam, kiedy byłam małą dziewczynką i szperałam w jakimś kufrze z rodzinnymi szpargałami. Podejrzewam, że nikt tam nie zaglądał od stu lat.

Wstała i podeszła do szuflady na drugim końcu pokoju. Na widok jej nagiego ciała zamarłoby serce każdego mężczyzny. Jak to możliwe, że taka istota mnie kocha? — pomyślał Cale. Przez chwilę grzebała w szufladzie, po czym wróciła z kopertą w dłoni. Wyjęła ze środka dwie gęsto zapisane kartki i popatrzyła na niego ze smutkiem.

— To ostatni list, jaki napisał do Stelli, zanim zmarł w Jeruzalem. Przeczytam ci ostatni ustęp, ponieważ chcę, abys coś zrozumiał.

Usiadła u stóp łóżka i zaczęła czytać:

Moja najdroższa Stello,

Wszystko wskazuje na to, że za kilka dni przystąpimy do nowego szturmu, kto wie, może nawet jutro. Na wypadek gdybym nie mógł już więcej do ciebie napisać, czuję potrzebę skreślenia tych kilku wersów, na które być może twój wzrok padnie, kiedy mnie już nie będzie.

Stello, moja miłość ku tobie jest nieśmiertelna, mam uczucie, że łączy mnie z tobą więzami, których nic poza samym Bogiem nie mogłoby zerwać. Jeśli nie wrócę,

najdroższa, nie zapomnij nigdy, jak bardzo cię kochałem i kiedy oddam na polu bitwy ostatnie tchnienie, tym tchnieniem wyszeptam twe imię.

Lecz jeśli umarli mogą powracać na ten świat i niewidzialni towarzyszyć tym, których kochali, zawsze będę obok ciebie, w jasny dzień i w najciemniejszą noc, pośród chwil szczęśliwych i w najmroczniejszą godzinę—zawsze, zawsze. Jeśli poczujesz na policzku łagodny wietrzyk, to będzie mój oddech, a jeśli chłodne powietrze owionie twą pulsującą skroń, to duch mój przemknie obok ciebie.

Arbell podniosła oczy przepełnione łzami.

— To była ostatnia wieść, jaką od niego dostała. — Weszła na łóżko i przytuliła się mocno do Cale'a. — Ja również jestem z tobą związana. Pamiętaj, że bez względu na to, co się stanie, zawsze przy tobie będę, mój duch zawsze będzie nad tobą czuwał.

Zdumiony i oszołomiony tą piękną i namiętą kobietą, Cale nie wiedział, co odpowiedzieć. Lecz wkrótce słowa okazały się niepotrzebne.

Wilfred Penn, zwany też Pięc Żołądków, strażnik miasta Jork, oddalonego dwieście staj na północ od Memphis, zamrugał, aby zgonić z powiek sen, i popatrzył nad murem obronnym na słońce wschodzące wspaniale nad lasem. Pomyślał trochę otepiały, jak zawsze na nocnej warcie, że patrząc na ten widok, człowiek za każdym razem cieszy się, że żyje.

Wtedy to właśnie zauważył coś tak niezwykłego, tak osobliwego i nieprawdopodobnego, że bardziej go to zdziwiło, niż przestraszyło. To nie mogło się dziać naprawdę. Zza linii drzew mniej więcej staję za miastem nad lasem wznosił się w górę wielki, czarny obiekt i po czerwono-błękitnym niebie poszybował w jego stronę. Zbliżał się błyskawicznie i kilka sekund później osłupiały niczym zwierzę przed zarżnięciem Pięc Żołądków patrzył, jak ogromny gład wielkości krowy przeleciał dziesięć łokci nad jego głową, obracając się leniwie wokół osi. Zatoczywszy w powietrzu łuk, spadł na miasto i wzbijając tumany piachu, zniszczył cztery duże domy, po czym w końcu zatrzymał się w Ogradach Miejskich Nightingale'ów.

W ciągu następnych dwóch godzin cztery ruchome trebusze odkupicielei wystrzeliły dziesięć następnych gładów i po skory-

gowaniu zasięgu, zaczęły siać znaczne zniszczenia w murze obronnym miasta. Był to nowy wynalazek, niewypróbowany dotąd na polu bitwy i w dwóch maszynach długie ramię miotające pękło na pół. Papiescy inżynierowie towarzyszący Czwartej Armii Princepsa Generalnego szybko dokonali stosownych pomiarów i obliczeń, znaleźli słabe punkty swojego projektu i w ciągu godziny, spakowawszy złamane ramiona, ruszyli w długi powrotny marsz do Shotover.

Po południu zrobiło się tak gorąco, że chociaż nie śpiewał żaden ptak, głosy cykad były prawie

ogłuszające. O trzeciej przypuszczono krótki atak lekkiej kawalerii w liczbie dwustu pięćdziesięciu ludzi, licząc na odpowiedź, która mogłaby dać dowódcy garnizonu jakieś wyobrażenie o tym, z czym ma do czynienia. Z drzew posypał się deszcz strzał, który zmusił ich do odwrotu i jedyne, co Materazzi zdołali uzyskać, to dwóch poległych, pięciu rannych i dziesięć koni, które trzeba było dobić.

Odkupiciele broniący linii drzew obserwowali odwrót kawalerii. Czuli w powietrzu okropne napięcie, jakby coś straszliwego wstrzymało oddech i czekało przyczajone, aby zaatakować. Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem, bo groźną ciszę przerwały te same stworzenia, które stały się jej przyczyną — świerszcze. Ucichły przestraszone przybyciem kawalerii, a gdy jeźdźcy odjechali, w jednej chwili rozpoczęły na nowo swój koncert, jakby były nie milionem stworzeń, lecz jedną istotą.

Tej nocy starszy sierżant sztabowy Trevor Beale z dziesięcioma ludźmi udał się na patrol do lasu Dudley, jak można by się spodziewać, bardzo niechętnie. Przed świtem wrócił z siedmioma żołnierzami i dwoma jeńcami, po czym pojechał do gubernatora Agostino złożyć meldunek z nocnej wyprawy.

— Na litość boską, czego od nas chcą ci odkupiciele?

377

— Nie mam pojęcia, panie gubernatorze — odparł Beale.

— To było pytanie retoryczne, sierżancie, takie które ma wywołać określony efekt, a nie odpowiedź.

— Tak jest.

— Ilu ich jest?

— Między ośmioma, a szesnastoma tysiącami.

— Nie możecie być trochę bardziej precyzyjni?

— Zapieprzaliśmy po tym lesie w kompletnych ciemnościach pod nosem doskonale strzeżonej armii, więc nie, panie gubernatorze, nie mogę być ani trochę bardziej precyzyjny. Wątpię, żeby było ich mniej i nie sędzę, aby było więcej.

— Jesteście bezczelni, sierżancie.

— Straciłem dziś w nocy trzech ludzi.

— Przykro mi z tego powodu, ale to nie moja wina.

— Nie, panie gubernatorze.

Trzy godziny później starszy sierżant sztabowy Beale został ponownie wezwany do gabinetu gubernatora.

— Jedyne, co możemy z nich wyciągnąć, a właściwie z jednego, to jego własne domysły na temat liczebności armii. Zanim umilkł na dobre, powiedział, że w lesie stacjonuje sześć tysięcy, ale armia się rozdzieliła trzy dni temu. Aha, i jeszcze to, że dowodzi nią ktoś nazywany princepsem.

— Niech mi pan da godzinę z nimi sam na sam, panie gubernatorze.

— Wątpię, abyście potrafili gorzej traktować więźniów niż Bradford. To jego praca. Poza tym chcę, żebyście z trzema ludźmi, ale każdy oddzielnie, pojechali z meldunkiem do Memphis. Jedźcie różnymi drogami, wy wybierzcie taką, która najprędzej pozwoli wam ominąć posterunki odkupicieli.

Godzinę po tym, jak Beale i jego ludzie opuścili miasto, odkupiciele zaatakowali wyłom w południowym murze. Doszło do krótkiego, lecz gwałtownego starcia z trzystoma w pełni

378

uzbrojonymi Materazzimi, którzy tam na nich czekali. Natarcie odparto, zabito dwudziestu napastników, przy czym zdawało się z początku, że żaden z obrońców nie odniósł poważnych ran. Dopiero po godzinie stało się jasne, że trzech Materazzich zaginęło.

Jeszcze dziwniejsze zjawisko zaobserwowano kilka godzin później: znad miejsc, gdzie stały maszyny oblężnicze odkupicieli, w letnie błękitne niebo unosiły się cztery pióropusze dymu. Wkrótce powróciła grupa zwiadowców, aby poinformować gubernatora, że armia odkupicieli się wycofała, spaliwszy cztery trebusze, które z takim wielkim trudem przyciągnięto pod Jork.

Kiedy po czterech dniach Beale zjawił się w Memphis, do stolicy dotarły już informacje o drugiej połowie Czwartej Armii Princepsa Generalnego i z nie mniejszym osłupieniem przyjęto wieści od Beala. Druga część armii odkupicieli zamiast zaatakować miasta opasane trzema pierścieniami murów, ze strategicznego punktu widzenia co najmniej tak samo ważne jak Jork, ominęła je i skierowała się w stronę Fortu Niezwycięzonego. Wśród Materazzich krążył żart, że Fort Niezwyciężony wcale nie jest fortem, ale tak naprawdę to nie ma znaczenia, ponieważ nie jest również niezwyciężony. W rzeczywistości było to miejsce, gdzie ogromne przestrzenie i faliste wzgórza urywały się raptownie i zamieniały w sieć wąskich kanionów i skalistych przełęczy.

Te dwa rodzaje topografii stanowiły najlepszy i najgorszy teren dla kawalerii i rycerzy w pełnej zbroi. Stacjonowało tam nieustannie co najmniej pięć tysięcy kawalerii i rycerstwa, wielu z nich z wieloletnim doświadczeniem. Zaatakowanie Fortu Niezwycięzonego przez odkupicieli zdawało się urągać zdrowemu rozsądkowi i równało się praktycznie z wyzwaniem rzuconym potężnej wojskowej Materazzich w ich najsilniejszym

379

r

0

punkcie, gdzie codziennie ćwiczyli. Cztery tysiące odkupicieli stanęły w szyku bitewnym na wzgórzach pod fortem i czekały na atak. I atak nastąpił. Na nieszczęście dla napastników oddział kawalerii Materazzich w sile tysiąca jeźdźców, powracający z ćwiczeń, zaatakował ich jednocześnie od tyłu i efektem starcia była krwawa jatka odkupicieli, którzy stracili prawie połowę ludzi. Pozostałe dwa tysiące na sygnał do odwrotu przedarły się do wąwozów Themetic i połączyły z czterema tysiącami, które tam czekały. Tutaj teren był trudniejszy dla koni i tym razem najeźdźcy mieli więcej szczęścia. Zaciekła bitwa rozegrana pierwszego dnia nie przyniosła rozstrzygnięcia. Nazajutrz jednak do walki nie doszło, kiedy bowiem Materazzi się obudzili, stwierdzili, że wojska odkupicieli wycofały się w góry, gdzie kawaleria nie mogła ich ścigać. Generałowie w Memphis nie

potrafili zrozumieć, co takiego miał na celu ów przedziwny atak na Fort Niezwyciężony.

Wieści, które nadeszły do Memphis następnego dnia wprawiły wszystkich w zdumienie w zupełnie inny sposób, jeśli słowa „zdumienie” można użyć w stosunku do spraw budzących przerażenie i grozę. O siódmej rano jedenastego dnia tego miesiąca oddział trzystu dragonów pod dowództwem odkupiciela Petara Brzica wjechał do miasteczka Mount Nugent, zamieszkanego przez tysiąc trzysta osób. Tylko jeden świadek widział ich wjazd — czternastoletni chłopiec zakochany na zabój w dziewczynie z sąsiedztwa zbudził się o świcie i poszedł do lasu wypłakać się z dala od szyderstw starszych braci. Dla chłopca wyglądającego zza drzew wkraczające wojsko przedstawiało niezwykle widok, lecz nie tak bardzo groźny, głównie za sprawą strojów — nigdy przedtem nie widział na oczy wojaków w sutannach — oraz wierzchowców, którymi były małe osiołki. I tak truchtali po mieście dość komicznie, zupełnie nie jak wspaniałe i groźne zastępy kawalerii Materazzich,

380

którym chłopiec przyglądał się z rozdziawionymi ustami podczas swojej pierwszej wizyty w Memphis.

Kiedy osiem godzin później odkupiciele opuścili miasteczko, nie zostawili po sobie ani jednego żywego mieszkańca, z wyjątkiem ukrytego w lesie chłopca. Opis masakry, sporządzony przez szeryfa okręgu opierał się właśnie na jego zeznaniach i został dostarczony na biurko Yiponda razem z lnianym woreczkiem.

Odkupiciele szybko zbudzili wszystkich mieszkańców i poinformowali ich przez tubę, że jest to tylko przejściowa okupacja i jeśli będą współpracować, nic im się nie stanie. Rozdzielono kobiety od mężczyzn oraz dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Kobiety zabrano do miejskiego magazynu na zboże, który stał pusty, ponieważ nie było jeszcze żniw. Mężczyzn zamknięto w wielkiej świetlicy, a dzieci w ratuszu na pierwszym piętrze. Kiedy przyjechaliśmy, na środku miasteczka znaleźliśmy postawiony przez odkupicieli słup, a na nim urządzenie, które dołączamy do meldunku.

Vipond otworzył lniany woreczek. W środku znajdowało się coś w rodzaju rękawiczki, lecz bez palców, jak te, które noszą zimą handlarze na bazarach, chroniące przed zimnem, a jednocześnie pozwalające sprawnie operować palcami. Zrobiona była z bardzo grubej skóry, a z boku wystawało ostrze mniej więcej pięciocalowej długości, łagodnie zakrzywione na końcu na kształt ludzkiej szyi. Widniał na nim napis „Graviso” oznaczający miejsce wykonania. W środku rękawiczki naszywka, taka, w jakiej zaopatruje się ubrania dzieci chodzących do szkoły, starannie wyhaftowanymi niebieskimi literami informowała o imieniu i nazwisku właściciela: Petar Brzica. Z drżącym sercem kanclerz powrócił do czytania raportu.

381

Odkupiciele wyprowadzali pojedynczo wszystkich mieszkańców, poczynając od kobiet. Kazali im uklęknąć. Wtedy z tyłu podchodził odkupiciel z owym narzędziem załączonym do raportu, przechylał głowę klęczącego do tyłu, odsłaniał gardło i przeciągał po nim ostrzem, wyraźnie wygiętym specjalnie w tym celu. Następnie odciągano zwłoki na bok i wyprowadzano następnego mieszkańca. Udało nam się znaleźć tylko jednego ocalałego świadka — czternastoletniego chłopca. Według jego zeznań każde morderstwo trwało nie więcej niż trzydzieści sekund, od początku do końca. Nie wiedząc, co je czeka, ofiary dawały się wyprowadzić pełne obaw, lecz nie przerażone, a chwila

zabójstwa trwała tak krótko, że nikt nawet nie zdążył krzyknąć. W ten sposób odkupiciele zabili wszystkie kobiety (391) do godziny pierwszej. (Świadek widział zegar na wieży ratusza.) Następnie w ten sam sposób rozprawiono się z mężczyznami (503). Jednak, kiedy zostały same dzieci (304) w wieku poniżej dziesięciu lat, przestali się przejmować zachowaniem dyskrecji. Po dwoje i troje zrzucano je z najwyższych balkonów, aby złamały kark. Nie oszczędzono nawet niemowląt. Nigdy w całym swoim życiu nie widziałem czegoś podobnego. Po złożeniu zeznań, zanim zdołaliśmy temu zapobiec, świadek uciekł do lasu, poprzysięgając zemstę na napastnikach.

Geoffrey Menouth, szeryf okręgu Maldon ♦ * *

Przez trzy dni od świtu do zmierzchu Cale obserwował w lesie przylegającym do Parku Królewskiego armię Materazzich ćwiczącą w pełnym uzbrojeniu. Sprawdził, ile waży zbroja, którą zostawił na korytarzu ktoś, kto wprowadzał się właśnie

do pałacu Arbell. Musiał to być ktoś bardzo ważny, ponieważ miasto było tak przepełnione Materazzimi, że ani pieniądze, ani miłość, ani pozycja nie mogły już zapewnić nikomu przyzwoitego noclegu.

Stwierdził, że zbroja musi ważyć około siedmiuset funtów. Nie mógł sobie wyobrazić, jak w czymś takim można się poruszać szybko i zwinnie. Obserwując jednak ćwiczących Materazzich, zrozumiał, że nie miał racji. Zdumiało go, jak sprawnie i lekko się poruszali, i jak zbroja zdawała się płynąć razem z nimi z każdym ruchem. Potrafili wskakiwać na konie i zeskakiwać z nich z oszalamiającą łatwością. Conn Materazzi wszedł nawet tyłem po drabinie, a potem obrócił się jednym skokiem, aby wdrapać się na wieżę, którą zdobywał w ramach ćwiczeń. Ciosy, jakie sobie zadawali, przecięłyby każdego człowieka bez zbroi na pół, tymczasem osłonięci przyjmowali nawet najsrozsze uderzenia. Ich pancerze miały słabsze miejsca — na przykład górna i wewnętrzna strona uda — mimo to tak uzbrojeni rycerze byli bardzo niebezpieczni.

— Bu! Mamy cię — powiedział Kleist, wychodząc zza drzewa z Mętym Henrim i IdrysPukkem.

— Słyszałem was pięć minut temu. Gruba baba w lodziarni robiłaby mniej hałasu.

— Vipond chce się z tobą widzieć.

Dopiero teraz Cale odwrócił do nich głowę.

— Powiedział dlaczego?

— Flota odkupicieli pod dowództwem tego gównozjada Coatesa zaatakowała jakiś Port Collard, spaliła pół miasta i odpłynęła. Jeden z żołnierzy powiedział mi, że miejscowi nazywają je Małym Memphis.

Cale zamknął oczy, jakby usłyszał bardzo złe wieści. Bo tak rzeczywiście było. Kiedy wyjaśnił dlaczego, przez jakiś czas nikt nie odzywał się ani słowem.

383

— Powinniśmy stąd wyjechać — stwierdził Kleist. — Natychmiast. Dziś wieczorem.

— Zgadza się z nim — powiedział Mętny Henri.

— Ja też, tylko że... ja nie mogę.

Kleist jęknął.

— Na litość boską, Cale, wydaje ci się, że ty i ta twoja Lady Szmira macie jakieś szanse?

— Kleist, może byś poszedł na długi spacer po krótkim pomoście, co?

— Uważam, że powinniście powiedzieć o tym Vipondowi — wtrącił się IdrysPukke.

— Jesteśmy tu skończeni, dlaczego żaden z was tego nie widzi?

— Jeśli piśniesz Vipondowi choćby słówko, to my trzej skończymy na dnie zatoki Memphis, karmiąc ryby własnymi cynaderkami.

— Myślę, że on ma rację — potwierdził Mętny Henri. — Lubią nas tu teraz jak wrzód na tyłku.

— I wiemy, czyja to wina — zauważył Kleist, spoglądając na Cale'a.

— Jutro powiem Vipondowi, a wy dzisiaj wyjedźcie — zaproponował Cale.

— Ja nigdzie nie wyjadę — oznajmił Henri.

— Właśnie, że wyjedziesz — upierał się Cale.

— Nie.

— Tak — włączył się do sporu Kleist.

— Weź moją część pieniędzy i wyjedź — zasugerował Henri.

— Nie chcę twoich pieniędzy.

— No to nie bierz. Możesz wziąć swoje i jechać, nic cię tu nie trzyma.

— Wiem, że mogę, ale nie chcę.

— Dlaczego? — spytał Mętny Henri.

384

— Bo boję się ciemności — burknął Kleist, po czym wyciągnął z pochwy miecz i zaczął siec najbliższe, Bogu ducha winne drzewo. — Psiakrew! Psiakrew! Psiakrew!

Taką to okrężną drogą zapadła ogólna decyzja, że po pierwsze, wszyscy trzej zostają w mieście, a po drugie, IdrysPukke i Cale pójdą powiedzieć o wszystkim Vipondowi.

Tym razem Cale nie musiał czekać, kiedy zjawił się w biurze kanclerza, lecz został wprowadzony natychmiast. Przez pierwsze dziesięć minut Vipond zdawał im relację z trzech ataków odkupicieli oraz masakry w Mount Nugent. Pokazał Cale'owi rękawicę znaną na słupie w środku miasta.

— W środku jest naszywka z nazwiskiem. Znasz tę osobę?

— Brzica? Był w Sanktuarium katem. Zajmował się wszystkimi egzekucjami, które nie zostały

zaklasyfikowane jako Akt Wiary. „Publiczna egzekucja przeznaczona do religijnej kontemplacji”. — Ton, którym to powiedział, wyraźnie wskazywał, że miał to wyuczone na pamięć. — Akty Wiary przeprowadzali świętsi odkupiciele niż on. Nigdy nie widziałem, żeby używał tego noża, ale Brzica był znany z tego, że potrafił nim zabijać oszałamiająco szybko.

— Uznałem za swój największy priorytet — rzekł cicho Vipond — znalezienie tego człowieka. — Usiadł i wziął głęboki oddech. — Wszystkie te ataki wydają się nie mieć najmniejszego sensu. Czy możesz mi coś powiedzieć na temat tej dziwnej strategii odkupicieli?

— Tak.

Vipond wyczuł w jego głosie dziwny ton. Oparł się na krzesło i popatrzył na chłopca uważnie.

— Znam tę taktykę, ponieważ sam ją opracowałem. Jeśli da mi pan mapę, to wytłumaczę, na czym ona polega.

— Po tym, co mi powiedziałaś, nie wiem, czy postąpiłbym mądrze, pokazując ci mapę. Najpierw wyjaśnij.

385

— Jeśli mam wam pomóc, muszę zobaczyć mapę, aby wytłumaczyć, co zamierzają zrobić i wymyślić sposób, żeby ich powstrzymać.

— Naszkicuj mi sytuację w zarysie, a potem pomyślimy o mapie.

Cale widział, że Vipond jest raczej sceptyczny niż nieufny.

— Mniej więcej osiem miesięcy temu odkupiciel Bosco zabrał mnie do Biblioteki Sznura Powieszzonego Odkupiciela. Nigdy nie słyszałem, żeby pozwolono na to jakiemuś akolicie. Dał mi wolną rękę na przeglądanie wszystkich dzieł na temat strategii wojskowej odkupicieli, napisanych w ciągu ostatnich pięciuset lat. Potem pokazał mi, co osobiście zebrał na temat imperium Materazzich; było tego dużo. Kazał mi przygotować plan ataku.

— Dlaczego tobie?

— Przez dziesięć lat uczył mnie wszystkiego, co dotyczy prowadzenia wojny. Jest cała szkoła odkupicieli utworzona w tym celu. Jest nas około dwustu, nazywają nas Projektantami. Ja jestem najlepszy.

— Cóż za skromność przez ciebie przemawia.

— Jestem najlepszy. Skromność nie ma tu nic do rzeczy.

— Mów dalej.

— Po kilku tygodniach postanowiłem odrzucić atak z zaskoczenia. Lubię niespodzianki, mówię o strategii, ale tym razem to nie było dobre wyjście.

— Nie rozumiem. To właśnie jest atak z zaskoczenia.

— Nie. Od stu lat odkupiciele prowadzą wojnę z antagonistami, głównie to walka w okopach, która zresztą utknęła w martwym punkcie. Od kilkunastu lat linia frontu prawie nie drgnęła z miejsca.

Trzeba tam świeżej taktyki, ale odkupiciele nie lubią nowości. Jedno z ich praw pozwala odkupicielowi zabić akolitę na miejscu, jeśli zrobi coś nieoczekiwanego. Ale

386

Bosco jest pod tym względem wyjątkiem, zawsze dużo myślał, i jedną z rzeczy, jakie wymyślił, było to, że ponieważ różnię się od innych, on może mnie wykorzystać.

— W jaki sposób zaatakowanie Materazzich może przełamać impas w wojnie z antagonistami?

— Ja też tego nie rozumiałem, więc go zapytałem.

— I co?

— Nic. Złoił mi skórę. Zrobiłem więc to, co mi kazał. Uznałem, że działanie z zaskoczenia nie sprawdzi się w wypadku Materazzich, ponieważ oni walczą inaczej niż odkupiciele i inaczej niż antagoniści. Odkupiciele nie mają właściwie kawalerii i nie walczą w zbrojach. W ich taktyce kluczową rolę odgrywają łucznicy. Wy prawie ich nie wykorzystujecie. Nasze maszyny oblężnicze były wielkie i ciężkie, budowane zawsze na miejscu, gdzie prowadzono oblężenie. Wy macie chyba ze czterysta większych i mniejszych miast z murami pięć razy grubszymi niż te, z którymi mieliśmy do czynienia.

— Pod Jorkiem dwa trebusze się popsęły, ale odkupiciele spalili wszystkie cztery. Dlaczego?

— Przebili się przez mury pierwszego dnia, tak pan powiedział, prawda?

— Tak.

— Sprawdzali nową broń w prawdziwej bitwie przeciwko nowemu wrogowi z dala od domu, więc nawet jeśli dwa się popsęły, to dwa działały.

— Ale dwa nie.

— To znaczy, że trzeba je poprawić, temu miało to wszystko służyć.

— Nie rozumiem.

— Nie ma sensu zaskakiwać przeciwnika na jego własnych warunkach i na jego własnym terytorium, jeśli nie ma się pewności, że można go szybko zniszczyć. Bosco bił mnie

387

często, ponieważ twierdził, że podejmuję za duże ryzyko. Ale nie tym razem. Wiedziałem, że odkupiciele nie są jeszcze gotowi, że potrzebujemy... że potrzebują — poprawił się — przeprowadzić krótką kampanię, dowiedzieć się jak najwięcej o strategii Materazzich, o ich broni i zbrojach, a potem się wycofać. Pokażcie mi mapę.

— Czemu miałbym ci ufać?

— Bo tu jestem i mówię panu, co się stało, prawda? A mogliśmy po prostu dać nogę.

— Może tylko udajesz szczerłość, a tak naprawdę przez cały czas Bosco pociąga za sznurki?

Cale wybuchnął śmiechem.

— Dobry pomysł. Muszę to kiedyś wykorzystać. Niech mi pan pokaże mapę.

— Nic z tego, o czym tu rozmawiamy nie może wyjść poza ten pokój.

— A kto by mnie słuchał poza panem?

— Słuszna uwaga. Mimo to, aby uniknąć wszelkich nieudomówień, pamiętaj, że jeśli ktoś się dowie o twoim udziale w tej sprawie, czeka cię stryczek.

To rzekłszy, Vipond podszedł do ściany w drugim końcu pokoju i zdjął z półki rulon grubego papieru. Wracając do biurka, prześwidrował Cale'a przenikliwym wzrokiem, jakby mogło to podzielać na kogoś, kto przez całe życie wprawiał się w ukrywaniu swych myśli. W końcu ostatecznie podjął decyzję, rozwinął mapę na biurku i unieruchomił brzegi weneckimi przyciskami do papieru i Melancholijnym księciem, który był jego ulubioną lekturą. Cale zaczął się przyglądać mapie z wyrazem tak głębokiego skupienia, jakiego Vipond jeszcze nigdy u niego nie widział. Przez następne pół godziny odpowiadał na szczegółowe pytania Cale'a dotyczące miejsc, gdzie doszło do czterech ataków, siły i rozmieszczenia wojsk. Potem

388

przestał pytać i przez dziesięć minut studiował mapę w milczeniu.

— Chciałbym się napić wody — powiedział w końcu.

Kiedy przyniesiono to, o co prosił, wypił ją duszkiem.

— No i co?

— Materazzi otoczyli miasta wieloma pierścieniami murów. Zdawałem sobie sprawę, że bez lżejszych machin oblężniczych, które dadzą się przenosić z miejsca na miejsce, możemy równie dobrze dać w trąby, licząc, że skruszą mury. Powiedziałem Boscowi, że papiescy inżynierowie muszą zbudować coś dużo lżejszego niż cały nasz sprzęt, coś, co łatwo da się składać i demontować.

— I ty je zaprojektowałeś?

— Nie. Nie znam się na tym. Ja tylko wymyśliłem, co będzie potrzebne.

— Ale nie powiedział ci, że się zgadza i że zamierza wcielić twój plan w życie.

— Nie. Kiedy usłyszałem o atakach, w pierwszej chwili pomyślałem, że... no wie pan... — Zatoczył palcem kółko przy głowie — dostaję kręćka.

— Ale nie dostajesz.

— Jestem zdrowy jak ryba. W każdym razie dowiedzieli się w Jorku tego, czego potrzebowali i odeszli, zabierając ze sobą trzech Materazzich. Potrzebowali ich zbroi, nie ludzi. Są teraz w połowie drogi do Sanktuarium i przechodzą skrupulatne badanie.

— Dostaliście łomot w Forcie Niezwyciężonym.

— Nie ja, tylko odkupiciele.

— Czasami mówisz o nich „my”.

— Siła nawyku, szefie.

— Niech będzie, tak czy inaczej, w Forcie Niezwyciężonym twój plan spalił na panewce.

389

— Niezupełnie, to był zwykły pech. Materazzi nie zamierzali uderzyć od tyłu, po prostu wracali w nieodpowiednim momencie, dla odkupicieli, rzecz jasna. Jeśli chce się rozśmieszyć Boga, wystarczy powiedzieć mu o swoich planach, czy nie tak mawiają w Memphis lichwiarze?

— Trzeba mieć pozwolenie, żeby wejść do Getta.

— Nikt mi o tym nie mówił.

— Uważaj, bo się pokaleczysz tym swoim ciętym dowcipem.

— Na razie jeszcze żyję, jeśli o to panu chodzi.

— I tak podtrzymuję to, co powiedziałem: w Forcie Niezwyciężonym odkupiciele ponieśli porażkę.

— Nie ponieśli.

— Czemu tak uważasz?

— Ilu odkupicieli zginęło?

— Około dwóch i pół tysiąca

— Stoczyli dwie bitwy z waszą kawalerią, a potem reszta się wycofała. Przyjechali tam po to, żeby się przekonać, z jakiej gliny jesteście ulepieni, nie po to, żeby wygrać bitwę.

— A Port Collard?

— Nazywacie go Małym Memphis, dlaczego?

— Został zbudowany w naturalnej przystani, bardzo podobnej do zatoki Memphis. Miasto wyrosło w podobnym układzie architektonicznym. Mieszkańcy prowincji lubią naśladować rozwiązania, które się sprawdziły gdzie indziej... — Przerwał w pół zdania. — Rozumiem. — Westchnął ciężko i kichnął. — Przepraszam. Więc co dalej?

Cale wzruszył ramionami.

— Wiem, co było potem w planach, nie wiem, czy to właśnie zrobią.

— Czemu mieliby je zmienić, skoro do tej pory mniej więcej się sprawdziły?

390

— Nie mniej więcej, tylko w pełni. Dostali wszystko, co zaplanowałem.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Co dziwne, to Cale ją przerwał.

— Przepraszam. Grzech pychy jest moim utrapieniem, tak twierdził Bosco.

— A miał rację?

— Prawdopodobnie tak.

— Znasz tego princepsa?

— Raz go widziałem. Był wtedy naczelnikiem wojskowym na północne wybrzeże. Nie prowadzi się tam wojny okopowej, to prawie same góry. Dlatego właśnie on dowodzi tą kampanią, ponieważ nie mają nikogo, kto by się nadawał do walki w marszu, poza tym jest zausznikiem Bosca, chociaż z tego, co wiem, nigdzie indziej nie jest zbyt popularny.

— Wiesz dlaczego?

— Nie. Ale czytałem wszystkie jego raporty z kampanii. Jego walki wskazują na umiejętność niezależnego myślenia, a Biuro Nietolerancji tego nie lubi. Bosco go chroni, tak słyszałem.

— Więc dlaczego to ty miałeś mówić princepsowi, co powinien robić?

— O to musi pan spytać Bosca. — Cale wskazał mapę. — Gdzie teraz są?

Vipond wskazał na północ, mniej więcej dwieście staj od Strupich Wzgórz.

— Wydaje nam się, że kierują się przez Strupie Wzgórze w kierunku Sanktuarium.

— Na to by mogło wyglądać, ale przeprawa armii, nawet niewielkiej, latem przez Strupie Wzgórze jest zbyt ryzykowna.

— Więc tego nie było w twoim wielkim planie?

— Według moich planów powinni udawać, że kierują się na Strupie Wzgórze przez las Hessel. Wtedy wy postaracie

391

się tam dotrzeć pierwsi i będziecie czekać, aż na was wpadną. Lecz kiedy odkupiciele wejdą w las, skręcą na zachód i przeprawią się przez rzekę mostem Stamford, po czym ruszą do portu Erroll na zachodnim wybrzeżu. Flota, która spaliła Małe Memphis zabierze ich z przystani. Z tego, co czytałem w bibliotece, wynika, że wody przybrzeżne są tam bardzo płytkie, więc jeśli manewr z flotą się nie uda, mogą przepłynąć zwyczajnymi łodziami wiosłowymi. — Wskazał miejsce na mapie. — Nawet jeśli flotę zatrzyma niesprzyjająca pogoda, gdy tylko armia przeprawi się przez Nagą Przełęcz, kilkuset odkupicieli może tam przez wiele dni odpierać ataki wielkiej armii.

Vipond patrzył na Cale'a bez słowa tak długo, że chłopiec poczuł się nieswojo, a w końcu zaczął się niecierpliwić. Już się miał odezwać, kiedy Vipond zadał mu pytanie.

— Naprawdę mam uwierzyć, że komuś w twoim wieku, chociaż właściwie nawet nie wiem, ile masz lat, zlecono opracowanie planu takiej kampanii i że plan ten zostanie następnie zrealizowany z najdrobniejszymi szczegółami? Spodziewałem się z twojej strony nieco bardziej wiarygodnej historyjki.

W pierwszej chwili z twarzy Cale'a znikły wszelkie uczucia, jej martwy wyraz sprawił, że Vipond pożałował swojej bezpośredniości i przypomniał sobie zimną satysfakcję, z jaką chłopiec zabił na

arenie Salomona Salomona. To młodzik na granicy obłądu. Nagle Cale roześmiał się wesoło.

— Widział pan w Getcie ludzi grających w szachy?

— Tak.

— Dużo dorosłych tam gra, ale też dzieci, wiele młodszych ode mnie. Jedno z nich zawsze wygrywa, nawet stary rabint z pejsami, brodą i w tym zabawnym kapeluszu nie umie go pokonać. Więc ten rabint mówi...

392

— Rabin. Zdaje się, że chodzi ci o rabina.

— Aha, właśnie się nad tym zastanawiałem. No więc ten rabin mówi, że szachy to dar od Boga, abyśmy mogli ujrzeć jego boski plan, a to dziecko ledwo umiejące czytać jest dla nas znakiem, byśmy uwierzyli w ład leżący u podłoża wszystkiego. Jeśli chodzi o mnie, to mam dwa dary: umiem zabijać ludzi z taką łatwością, jak pan tłuc talerze; a druga umiejętność: wystarczy mi spojrzeć na mapę lub stanąć w jakimś miejscu, żeby natychmiast wiedzieć, jak najlepiej je zaatakować lub obronić. To po prostu na mnie spływa tak, jak gra w szachy na tego chłopca w Getcie. Chociaż nie sądzę, aby był to dar od Boga. Jeśli nie chcecie mi wierzyć, trudno. Wasza strata.

— A jak byś ich powstrzymał? — Urwał. — Gdybyś miał to zrobić.

— Po pierwsze, nie pozwólcie im dotrzeć do Nagiej Przełęczy, inaczej znajdą się poza waszym zasięgiem. Potrzebuję bardziej szczegółowej mapy tego rejonu, odtąd, dotąd — powiedział, wskazując obszar około czterdzieści staj kwadratowych — i dwóch lub trzech godzin spokojnego myślenia.

Czy ma uwierzyć tej dziwnej istocie, która przed nim stoi, czy lepiej zostawić sprawę własnemu losowi. Ojciec Viponda uwielbiał żartować, że przynajmniej w połowie sytuacji kryzysowych najlepiej jest czekać. „Nie chodzi o to, żebyś nic nie robił — mawiał — po prostu obserwuj”.

— Zaczekaj w sąsiednim pokoju, sam ci przyniosę mapy. Nie podchodź do okien.

Cale wstał i ruszył w kierunku drzwi do prywatnego gabinetu, lecz kiedy już miał je za sobą zamknąć, Vipond go zatrzymał.

— Czy ta masakra również była częścią twojego planu?

Cale popatrzył na niego dziwnie, lecz choć po jego minie trudno było odgadnąć, co czuje, na pewno nie był obrażony.

393

— A jak pan myśli? — powiedział cicho i zamknął drzwi.

Vipond spojrział na swego przyrodniego brata.

— Byłeś dziwnie milczący.

IdrysPukke wzruszył ramionami.

— A o czym tu mówić? Albo mu wierzysz, albo nie.

— A ty mu wierzysz?

— Wierzę w niego.

— A jaka to różnica?

— Ilekroć kłamie, robi to, ponieważ nie chce podejmować większego ryzyka, niż musi. Czasami skrytość jest większym błędem, i on go niestety ciągle popełnia.

— Wcale nie jestem pewien, czy to taka duża wada — zauważył Vipond.

— Ty też lubisz tajemniczość.

— A co myślisz o tej sytuacji?

— Myślę, że mówi prawdę — orzekł IdrysPukke.

— Zgadzam się.

* * *

Kiedy wreszcie Vipond podjął decyzję o interwencji, czekał w napięciu i niecierpliwie, aż będzie mógł zobaczyć plan Cale'a. Tymczasem jego sporządzenie zajęło nie trzy godziny, lecz trzy dni.

— Chce pan dostać szybki plan czy dobry? — zapytał Cale w odpowiedzi na żądania Viponda, żeby zobaczyć choć część jego pomysłów.

Niezwykła jak na tak opanowanego męża stanu niecierpliwość wynikała z głębokiego poruszenia, jakie wzbudziła w nim masakra w Mount Nugent, a także jej związek z dziwnymi doniesieniami uchodźców anatagonistów z północy.

W jakiś sposób widok rękawicy Brzica szarpał mu nerwy. Miał wrażenie, jakby całe zło i mściwość świata przybrały

394

materialną formę i znalazły swój wyraz właśnie w tym przedmiocie — w jego starannym projekcie, mocnych szwach, w ostrzu, które wszyto fachowo w skórę. Czuł się jeszcze gorzej, ponieważ zawsze uważał się za światowca, niemalże cynika, a już na pewno pesymistę. Nauczył się nie oczekiwać od ludzi zbyt wiele i rzadko się w swych oczekiwaniach mylił. Nie było dla niego nowością, że na świecie panują zbrodnie i okrucieństwa. Jednak ta rękawica dawała świadectwo możliwościom tak przerażającym, że nie sposób je sobie nawet wyobrazić, jak gdyby piekło, którego istnienie dawno temu odrzucił jako postrach dla niegrzecznych dzieci, wysłało do niego posłańca, nie takiego z rogami i kopytami, lecz w postaci starannie uszytej skórzanej rękawicy.

Viponda czekało zadanie prawie niemożliwe: musiał wpłynąć na zmianę strategii Materazzich, którzy zazdrośnie strzegli swojej władzy militarnej aż do granicy hysterii. Vipond nie był żołnierzem, był za to politykiem, co dawało im podwójny powód, aby mu nie ufać. Dodatkowego problemu nastroczała choroba marszałka Materazziego. Drażnienie w gardle przerodziło się w poważną infekcję płuc, która coraz częściej nie pozwalała mu na udział w niezliczonych naradach wojennych związanych z

kampanią przeciw odkupicielom. Vipond musiał przeto stawić czoło zupełnie nowym okolicznościom, co zresztą uczynił z właściwą sobie skutecznością. Kiedy zwiadowcy Materazzich stracili trop odkupicieli w lesie Hessel, nie wzbudziło to niepokoju, ponieważ spodziewano się ich ujrzeć znowu na jedynej drodze wiodącej ku Strupim Wzgórzom.

Wtedy to właśnie Vipond odbył tajną naradę z zastępcą marszałka, generałem polowym Amosem Narcisse i powiadomił go, że jego informatorzy donieśli o innych planach odkupicieli, lecz z wielu różnych i dość zawitych powodów kanclerz nie chce, aby go z tą sprawą wiązano. Jeśli Narcisse zdecyduje się

395

we własnym imieniu przedstawić tę informację radzie Materazzich, spłynie na niego chwała za ów sukces wywiadowczy, podobnie jak za plan bitwy, który Vipond mu przedłoży do rozważenia, jeśli generał sobie tego zażyczy.

Kanclerz zdawał sobie sprawę, że Narcisse się bardzo martwi. Nie był głupcem, ale też nie należał do geniuszy strategii wojskowej. Niepokoił się, że wobec choroby marszałka na niego spada odpowiedzialność za całą kampanię przeciwko odkupicielom. Chociaż nikomu by się do tego nie przyznał, w głębi duszy nie czuł się wystarczająco kompetentny. Vipond dodatkowo wzmocnił swą propozycję zawołowaną, lecz wyraźną obietnicą zmian w prawie podatkowym, które przyniosłyby Narcissowi ogromne korzyści, a także zakończenie dwudziestoletniego sporu o spadek, o który ubiegał się Amos.

Generał polowy nie był wszakże człowiekiem skorumpowanym i nawet on nie zgodziłby się na strategię, która zagroziłaby bezpieczeństwu imperium. Spędził wiele godzin, studiując plan Viponda, czyli Cale'a, zanim w końcu uznał, że jego finansowe interesy oraz wojskowe sumienie nie stoją w sprzeczności. Ktokolwiek układał ten plan, oznajmił Vipondowi, wiedział, co robi. Wygłosił kilka mało przekonujących deklaracji, że nie chce przypisywać sobie zasług innej osoby, Vipond jednak zapewnił go, że plan jest wynikiem pracy wielu osób, a sukces i tak w największej mierze zależy od zdolności przywódczych tego, kto go będzie wcielał w życie. Koniec końców to właściwie plan Narcisse'a. I zanim Amos zdołał przekonać radę Materazzich, w istocie nikt już inaczej nie myślał, a szalę przeważała wieść, że armia odkupicieli wyłoniła się z lasu Hessel dokładnie tam, gdzie przewidział Narcisse.

Ktoś kiedyś wygłosił słynne twierdzenie, że na szczęście wojny są rujnująco kosztowne, inaczej nigdy nie przestalibyśmy ich toczyć. Pomimo jednak uderzającej słuszności tego powie-

396

dzenia, ludzie i tak nieustannie zapominają, że o ile są wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe, o tyle nie ma wojen tanich. Problem Materazzich polegał na tym, że najlepszymi finansistami w imperium byli Żydzi z Getta. Oni jednak wystrzegali się cudzych wojen jak ognia, ponieważ niezależnie od wyniku zwykle sprowadzały na nich nieszczęście. Kiedy pożyczali pieniądze przegranym, nie było komu ich spłacać, jeśli zaś wspomagali stronę wygraną, nader często oskarżano ich, że to oni w jakiś sposób przyczynili się do wybuchu wojny i skazywano ich na wygnanie. Dzięki temu nie trzeba było spłacać długu. Tak więc Materazzi zapewnili Żydów nieszczercze, że uregulują wszystkie wojenne zobowiązania, finansiści z Getta zaś równie nieszczercze odparli, że niezwykle trudno będzie uzyskać

tak wysoki kredyt, możliwy jest jedynie pod warunkiem zawrotnego oprocentowania.

W tym właśnie momencie swoją szansę dostrzegł Kicia Zajac. Zaproponował Materazzim, że pokryje ich wszystkie wojenne długi. Żydzi przyjęli to z ogromną ulgą. Ponieważ uważali Miasto Kici za obrazę Boga na ziemi, było powszechnie wiadomo, że nie splamią się żadnymi interesami z jego właścicielem, nawet za cenę wygnania. Kicia jednak bardziej przejmował się opinią Materazzich. Pomimo wszystkich swoich przekupstw, szantaży i politycznej korupcji, wiedział że wśród mieszkańców Memphis narasta sprzeciw przeciwko odrażającym praktykom w Mieście Kici i że Materazzi prędzej czy później wystąpią przeciwko niemu. Doszedł do wniosku, że wojna, zwłaszcza angażująca tak wzniosłe i patriotyczne uczucia społeczeństwa, zagłuszy to, co uważał, za chwilowy rumieniec moralnej dezaprobaty. Wierzył, że finansując tę szybką i krótką kampanię, na długo umocni swoją pozycję w Memphis.

W końcu Materazzi byli gotowi wykonać swój ruch przeciwko odkupicielom. Zgodnie z wytycznymi wspaniałego planu

397

Narcisse'a czterdzieści tysięcy mężczyzn w pełnym uzbrojeniu wymaszerowało z miasta pośród wiwatów tłumów. Do wiadomości publicznej podano informację, że marszałek Materazzi kończy opracowywać strategię walki i dołączy do swych oddziałów w późniejszym terminie. Była to jednak nieprawda. Doża czuł się bardzo źle na skutek zapalenia płuc i jego uczestnictwo w kampanii w najbliższym czasie nie wchodziło w rachubę.

W jeszcze gorszej sytuacji znaleźli się jednak odkupiciele. Epidemia czerwonki zabiła wprawdzie niewielu, ale całe rzesze żołnierzy znacznie osłabiła. W dodatku wyraźnie zawiódł plan, aby wywieźć Materazzich w pole. Zamiast czekać przy drodze na Strupie Wzgórza, dwa tysiące żołnierzy ruszyły w ślad za odkupicielami z drugiego brzegu rzeki Oxus, gdy tylko wyłonili się z lasu Hessel. Od tej pory każdy ruch armii w sutannach był bacznie obserwowany i szczegółowo relacjonowany generałowi polnemu Narcisse'owi.

Ku zdziwieniu princepsa Materazzi nie podjęli jednak żadnych prób spowolnienia czy utrudnienia ich marszu, tak więc w niespełna trzy dni przemierzali prawie sto dwadzieścia staj. Do tej pory czerwonka zaatakowała ponad połowę jego sił, zarządził więc pół dnia odpoczynku w Spalonych Młynach. Wysłał do miasta posłańców i zagroził, że urządzi taką samą masakrę jak w Mount Nugent, jeśli jednak mieszkańcy poddadzą się natychmiast i zaopatrzą jego ludzi w jedzenie, daruje im życie.

Zrobili, jak im kazano i następnego ranka odkupiciele ruszyli w dalszą drogę do Nagiej Przełęczy. Princeps, widząc, jaki terror sieje wieść o masakrze, wysłał przodem oddział dwustu ludzi i zastosował tę samą taktykę, aby zapewnić swoim osłabionym żołnierzom stałe dostawy pożywienia i to dużo lepszego niż to, do którego przywykli, więc bardzo ich to podniosło na duchu.

398

Plan kampanii rozpoznawczej na terenach Materazzich przygotowany przez Cale'a okazał się jak dotąd skuteczny, lecz wkraczali teraz w rejony oznaczone na mapach biblioteki Sanktuarium tylko w ogólnych zarysach. Wśród ważniejszych celów plan zakładał sprowadzenie dwudziestu kartografów i rozesłanie ich w dziesięciu oddzielnych grupach do sporządzenia szczegółowych map terenu, który odkupiciele zamierzali zaatakować za rok. Trzy grupy wysłane w tym celu przodem, nie powróciły,

tak więc princeps prowadził armię przez okolice, o których miał tylko bardzo ogólne pojęcie.

Następnego dnia podjął próbę przepłynięcia armii przez Oxus na Białym Zakolu, lecz niespodziewanie wojska przeciwnika, które podążały za nimi jak cień drugim brzegiem rzeki, urosły do pięciu tysięcy. Musiał więc porzucić myśl o przepłynięciu i podążać dalej trudnym terenem, gdzie nieliczne osady, które mogły dostarczyć żywności, zostały ewakuowane przez Materazzich, łącznie z całym wartościowym dobytkiem.

Przez następne dwa dni odkupiciele brnęli naprzód, coraz bardziej rozpaczliwie szukając sposobu przepłynięcia się przez rzekę, czemu Materazzi po drugiej stronie z takim samym uporem starali się zapobiec. Z każdą upływającą godziną zakonników ogarniało coraz większe zmęczenie, coraz bardziej słabli z braku pożywienia, jak również od czerwoności, aż wreszcie mogli się posuwać najwyżej dwadzieścia staj dziennie.

W końcu dopisało im szczęście. Zwiadowcy odkupicielei pojмали miejscowego pasterza z rodziną. Aby uratować najbliższych, zrozpaczony mężczyzna zdradził miejsce starego, nieużywanego brodu, gdzie jego zdaniem mogła się przepłynąć nawet spora armia. Zwiadowcy powrócili z wieścią, że bród rzeczywiście jest i że wymaga trochę pracy, aby go przebyć. A co najważniejsze, nikt go nie pilnuje.

399

4*

Kolejny łut szczęścia sprawił, że Materazzi musieli oddalić się od rzeki, aby szerokim łukiem ominąć rozległe mokradła rozciągające się po drugiej stronie Oxus. Bliscy rozpaczy odkupiciele poczuli przypływ nowej nadziei. W ciągu dwóch godzin na drugim brzegu utworzono przyczółek, zaś pozostali zakonnicy przystąpili do pracy przy brodzie, wykorzystując kamienie z pobliskich domostw. W południe robota była skończona i rozpoczęła się przeprawa głównej armii. O zachodzie słońca ostatni żołnierze stanęli na drugim brzegu. Chociaż w bezpiecznej odległości pojawiła się niewielka grupa Materazzich i obserwowała ostatnią godzinę przeprawy, nie zrobili nic poza wysyłaniem wiadomości do Narcisse'a.

Nazajutrz po sześciu stajach marszu princeps zrozumiał, że jego armia jest skończona. Błotniste drogi zostały zryte niczym źle zaorane pole, a krzaki na dziesięć kroków w obie strony stratowane i zrównane z ziemią. Dziesiątki tysięcy Materazzich przeszły tędy przed nimi. Uprzytomniwszy sobie, że między nimi a Nagą Przełęczą stoi armia kilkakrotnie większa niż jego, princeps zrobił, co mógł, aby zabezpieczyć przynajmniej mapy, które były głównym celem w planach strategicznych Cale'a. Ocalali kartografowie sporządzili jak najwięcej kopii dokumentów z informacjami, jakie udało im się zebrać, po czym princeps rozesłał z nimi ludzi w przebraniu we wszystkie strony świata w nadziei, że choć jedna zdoła dotrzeć do Sanktuarium. Odprawił krótką mszę, po czym ruszyli dalej.

Przez dwa dni nie widzieli ani jednego wroga, tylko rzekę błota, która się za nimi ciągnęła. Zaczęło padać. Woda lała się z nieba ciężkimi strumieniami. Pośród deszczu i wichury udało się im jeszcze pokonać w szyku strome zbocze, lecz kiedy stanęli na szczycie, ujrzeli przed sobą płaski teren, a na nim wielką armię Materazzich czekającą w pełnej gotowości. Po obu stronach z dolin ciągnęły następne kolumny wojsk. Prze-

400

stało padać, wyjrzało słońce i Materazzi rozwinęli sztandary i proporce, które powiewały wesoło czerwienią, błękitem i złotem, a srebrzyste zbroje lśniły w słonecznym blasku.

Pomimo wszelkich starań princepsa generalnego, aby uniknąć walki, bitwa była nieunikniona. Lecz nie dzisiaj. Ściemniało się i Materazzi, tchnąwszy w przeciwnika strach przed śmiercią i karą piekielną, wycofali się nieco na północ. Widząc to, odkupiciele również się cofnęli, szukając choćby szczątkowego schronienia przed deszczem, lecz najpierw każdy z łuczników na rozkaz princepsa wyciął sobie z drzewa pał obronny sześćsto-stopowej długości. W obawie, że Materazzi mogą zaatakować w nocy zabronił rozpalania ognisk, aby nieprzyjaciel nie mógł znaleźć ich obozowiska. Tak więc mokrzy, zziębnięci i głodni odkupiciele poukładali się, gdzie popadło i czekając na śmierć, spowiadali się i odprawiali msze. Princeps chodził między nimi i rozdawał medaliony świętego Judy, patrona straconych świętych spraw, modlił się razem z podwładnymi, poczynając od kopaczy dołów kloacznych, po arcybiskupów dowodzących oddziałami zbrojnych o ich dusze i swoją własną.

— Pamiętajcie — zwracał się pogodnie do wszystkich żołnierzy i kapłanów — że prochem jesteśmy i w proch się obrócimy.

— Będziemy się obracać jutro o tej samej porze — powiedział jeden z zakonników.

Ku powszechnemu zdziwieniu, princeps wybuchnął śmiechem.

— Czy to ty, Dunbarze?

— Tak, to ja — odrzekł Dunbar.

— Nie mylisz się, Dunbarze.

* * *

Większość Materazzich siedziała niespełna staję dalej. Ich ogniska płonęły jasno i do uszu odkupiciele dolatywały strzępki

401

piosenek, obelg rzucanych pod adresem przeciwnika i nieznane brzmienia zwyczajnych rozmów. Jeszcze bliżej, bo niecałe pięćdziesiąt kroków od obozu wroga, sierżant sztabowy Trevor Beale, oddelegowany do oddziałów Narcisse'a, leżał ukryty między drzewami i zastanawiał się, jak mógłby wykorzystać swoją sytuację.

Przemoknięty, zziębnięty, głodny i przerażony tym, co ich czeka, odkupiciel Colm Malik szedł w kierunku jednego z nielicznych namiotów, które niosła ze sobą Czwarta Armia. „Sam jesteś sobie winien. Uparłeś się, żeby iść na ochotnika, a mogłeś siedzieć bezpiecznie w Sanktuarium i kopać akolitów w tyłki”.

Schylił się i wszedł do namiotu, gdzie odkupiciel Peter Brzica patrzył z góry na kilkunastoletniego chłopca, siedzącego na podłodze ze związanymi z tyłu rękami. Na poblądłej twarzy chłopca malował się dziwny wyraz — oczywiście w pełni zrozumiałe przerażenie, ale nie tylko. Malik nie potrafił uchwycić, co to było. Może nienawiść.

— Chciałeś się ze mną widzieć, odkupicielu.

— Tak — odparł Brzica. — Zastanawiam się, czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę.

Malik skinął głową bez entuzjazmu.

— Ten chłopak jest szpiegiem albo zabójcą wysłanym przez Materazzich, ponieważ twierdzi, że był świadkiem akcji w Mount Nugent. Trzeba coś z nim zrobić.

— Tak? — zapytał Malik już nie tylko niechętny, ale i zaintrygowany.

— Zanim wartownicy go do mnie przyprowadzili, otrzymałem pełne odpuszczenie wszystkich grzechów od samego arcybiskupa.

— Rozumiem.

— Najwyraźniej niezupełnie. Zabicie nieuzbrojonego człowieka, choćby najbardziej na to zasługiwał, wymaga oficjalnego

402

rozgrzeszenia. Nie mogę go zabić, a potem prosić arcybiskupa

o następną spowiedź. Weźmie mnie za kretyna. Spowiadałeś się już?

— Jeszcze nie.

— Więc w czym problem? Zabierz go do lasu i pozbądź się go.

— Nie możecie poprosić kogoś innego?

— Nie. Bierz się do roboty, no już.

I tak Malik poprowadził przerażonego chłopca przez skąpany w mżawce obóz, pośród odprawianych półgłosem nabożeństw

I dalej w głąb lasu za linię wart. Z każdym krokiem Malik coraz bardziej podupadał na duchu, jakby zatapiał się coraz głębiej w swoje przemoczone buty. Kopanie w tyłki i sprawianie batów to jedno, ale podejrzenie gardła chłopcu, który przeszedł w swoim życiu coś, co nawet jego przyprawiło o mdłości, było ponad jego siły. Jutro czeka go spotkanie ze Stwórcą.

Kiedy wyszli poza zasięg wzroku w gęste krzaki, złapał chłopaka i szepnął:

— Zaraz cię wypuszczę. Uciekaj w tamtym kierunku i nie oglądaj się za siebie. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł przerażony chłopak.

Malik przeciął mu więzy na nadgarstkach i patrzył, jak malec potykając się i płacząc, ucieka w mrok. Odczekał kilkanaście minut, żeby się upewnić, czy chłopak oszołomiony strachem nie trafi znów do obozu. Jutro, jeśli ktoś się o tym dowie, to nie będzie miało znaczenia. I tak, z nadzieją, że ten akt miłosierdzia choć trochę zrównoważy jego liczne okrucieństwa wobec dzieci, Malik odwrócił się i wszedł prosto na nóż

starszego sierżanta sztabowego Trevora Beale'a.

Cale wstał na długo przed świtem i kiedy niebo powoli się rozjaśniało, dołączyli do niego Mętny Henri, Kleist, a nieco

403

później, o wchodzie słońca IdrysPukke. Stali na szczycie Wzgórza Silbury, skąd rozciągał się doskonały widok na pole bitwy.

Wzgórze Silbury nie było właściwie wzgórzem, tylko wielkim kopcem, usypanym w celach dzisiaj nikomu nieznanym, przez ludzi, którzy dawno odeszli w niepamięć. Jego płaski szczyt stanowił doskonały punkt obserwacyjny, skąd można było śledzić ruchy nieprzyjaciela, a także taras widokowy dla rozmaitych pieczeniarzy z dworu — ambasadorów, attache wojskowych, dygnitarzy niezwiązanych z wojskiem, a nawet co ważniejszych kobiet Materazzich. Jedną z nich była Arbella Łabędzioszyja, która uparła się, że chce się przyglądać bitwie pomimo ostrego sprzeciwu ojca i Cale'a, tłumaczących, że jest głównym celem odkupicieli i że we mgle i bitewnym zamieszaniu nikomu nie sposób zapewnić całkowitego bezpieczeństwa. Ona z kolei argumentowała, że skoro zjawia się inne kobiety Materazzi, okryłaby się wstydem, gdyby została w pałacu, zwłaszcza że ta wojna toczy się o jej życie. Mężczyźni narażają się na śmierć z jej powodu, okazałaby się tchórzem, gdyby nie przysłała. Spór toczył się aż do dnia bitwy. W końcu, kiedy Narcisse potwierdził zarówno niewielką liczebność, jak i złą kondycję armii odkupicieli, a także wspomniał o bezpiecznym schronieniu na Wzgórzu Silbury, marszałek ustąpił. Wzniesienie było zbyt strome, aby ktoś zdecydował się je zaatakować, łatwe za to do obrony, nadto zapewniało wygodną drogę ucieczki. Ostatecznie Cale nie miał nic do powiedzenia, ale obiecał sobie w duchu, że na pierwszy sygnał zagrożenia zabierze ją stamtąd, choćby siłą.

Gdy jednak zobaczył szyki obu armii przygotowujące się do bitwy, poczuł znaczną ulgę.

Pole bitwy stanowiło trójkąt. Na lewym wierzchołku jego podstawy wznosiło się Wzgórze Silbury; czterdziestopięcioty-

404

siężna armia Materazzich rozciągała się szerokim rzędem ku prawemu wierzchołkowi; odkupiciele zaś zajmowali jego trzeci, ostry kąt. Po obu stronach stała nieprzenikniona granatowa ściana lasu, a na wielkim, zaoranym polu pośrodku pas jaskrawożółtego ścierniska wyznaczał pozycję Materazzich. Odległość między armiami wynosiła ponad czterysta sążni.

— Jak myślisz, ilu ich jest? — spytał Cale Mętneho Henriego, wskazując głową odkupicieli.

Henri nie odpowiadał przez dobre pół minuty.

— Około pięciu tysięcy łuczników. Może tysiąc trzystu zbrojnych.

— Trzeba oddać Narcisse'owi sprawiedliwość — powiedział IdrysPukke. — Odkupiciele nie mogą się wycofać, a jeśli zaatakują tak przeważające siły, zostaną rozniesieni na strzepy. Idę na śniadanie.

Kleist poszedł razem z nim do ogniska, gdzie stary służący z twarzą purpurową jak homar dmuchał w płomień. Obok niego leżał talerz z brązowymi jajkami i szynką wędzoną wielkości końskiego uda. Podbiegł do nich rudy seter którejś z pań Materazzich, merdając ogonem i licząc, że uda mu się wziąć

udział w posiłku.

Kiedy siedzieli przy śniadaniu, nikt nie oddawał Narcisse'owi żadnej sprawiedliwości, wszyscy natomiast zalewali go litanią żalów. Chociaż ogólny plan kampanii budził powszechny podziw i zyskał poparcie, i to wśród najlepszych, doświadczonych wojowników, wszyscy od dwudziestu lat przywykli do tego, że marszałek Materazzi miał ostatnie słowo w kwestiach pierwszeństwa w szyku bojowym. Pod jego pechową nieobecność na polu bitwy na nowo wybuchały zadawnione spory i rywalizacje, których nie sposób było rozwiązać w żaden zadowalający sposób.

405

W dodatku Narcisse trzykrotnie zmieniał plany bitwy, co zdarza się nawet najlepszym dowódcom, w tym jednak wypadku znaczyło, że wielu arystokratów królewskiej krwi, którym wyznaczono pierwotnie ważne zadania na pierwszej linii, musiało pogodzić się z mniej doniosłymi, choć równie ważnymi stanowiskami dowódczymi na tyłach. Dla ludzi, których życie i pozycja społeczna były wyrażane w kategoriach militarnej chwały, równało się to z hańbiącą degradacją.

Przebiegły plan, polegający na schwytaniu w pułapkę wojsk przeciwnika na tym wąskim terenie, przysporzył licznych problemów armii, w której walczyło zbyt wielu szlachetnie urodzonych, doświadczonych i odważnych wojowników i nie sposób było wszystkim wyznaczyć odpowiednio zaszczytnych zadań. Każdy był przekonany, i nie bez powodu, że najlepiej się nadaje do tej lub innej funkcji i że ustąpienie tylko po to, aby ocalić jakiś konsensus, jest doprawdy zbyt daleko idącym kompromisem, że ucierpi na tym imperium, z którym wiążą swój honor i za które gotowi są oddać życie. Każdy z nich miał silne argumenty przemawiające za tym, aby wybrano właśnie jego, a bardzo niewielu wystarczające kompetencje. Trzeba by wszystkich umiejętności dyplomatycznych, doświadczenia i autorytetu marszałka Materazziego, aby wymusić jakąś ugodę, a choć Narcisse był zdolnym dowódcą, żadnej z tych cech nie posiadał. W końcu postanowił, że wszyscy najznacniejsi arystokraci poprowadzą część oddziałów w pierwszej linii, a tylko nieliczni, wobec których uznał, że może zaryzykować afront, zostali oddelegowani do drugorzędnych zadań.

Skomplikowało to niewiarygodnie hierarchię służbową i łańcuch wydawania rozkazów, ale było to najlepsze rozwiązanie, jakie mógł wymyślić, sytuacja więc z godziny na godzinę stawała się coraz trudniejsza, kiedy wciąż przybywający żołnierze żądali należnego im miejsca na arenie wydarzeń.

406

Narcisse pocieszał się, że choć sytuacja princepsa jest o niebo prostsza, jest też nieskończenie gorsza. Udając, że musi zlustrować rozmieszczenie sił przeciwnika, opuścił Biały Namiot razem z jego kłótniami i w tej samej chwili zauważył zamieszanie powstałe wokół Simona Materazziego, który w pełnej zbroi prezentował zebranym świeżo poznane pchnięcia. Narcisse odciągnął na bok jednego ze swych koniuszych i polecił mu szeptem:

— Natychmiast zabierzcie marszałkowego półgłówek na tyły i trzymajcie go tam pod strażą, dopóki to wszystko się nie skończy. Jeszcze mi tylko brakuje, żeby się zaczął pętać po polu bitwy i dał się zabić.

Począł nawet, aby się upewnić, że jego rozkaz zostanie wykonany, ku żywiołowym, lecz daremnym protestom Simona. Koolhaus chwilę wcześniej poszedł przynieść sobie coś do picia i nie zauważył całego zajścia.

Cale i Mętny Henri stali i liczyli, lecz bez względu na to, jak długo dyskutowali o tym, co by zrobili na miejscu princepsa, wychodziło im, że kalkulacje IdrysPukkego były bez zarzutu. Zaczęli się więc uspokajać.

— To tak naprawdę twój plan — powiedział Mętny Henri, patrząc z podziwem na wspaniałe szeregi rycerzy w pięknych zbrojach, z łopoczącymi kolorowymi chorągwiami.

— Mój był tylko pomysł. To, co tam się dzieje na dole, to robota Narcisse'a. Wygląda nieźle, tylko trochę tłoczno.

Z zadowoleniem pomyślał o ponurych widokach, jakie roztaczały się przed odkupicielami.

Obaj z mieszanymi uczuciami lęku i nienawiści obserwowali rzesze zakonników formujące w dole trzy kolumny piechoty, rozdzielone niewielkimi oddziałami kawalerii. Na obydwu skrzydłach rozmieszczono łuczników.

Pomimo nienawistnych uczuć, jakie przepełniały chłopców na myśl o odkupicielach, nie mogli nie zauważyć, w jakiej

407

beznadziejnej sytuacji się znaleźli. Od długiego czasu nic lub prawie nic nie jedli, byli zmarznięci i przemoczeni — kiedy słońce wzeszło nieco wyżej i zaczęło przygrzewać, widać było, jak z ich ubrań paruje woda. Jeszcze gorzej mieli się ci, którzy cierpieli na biegunkę — nie mogli opuścić pola walki, więc musieli robić pod siebie. A wszystko to na wprost armii doskonale zaopatrzonej, odżywionej i co najmniej dziesięciokrotnie liczniejszej. Był to zachwycająco niemiły widok.

Pod nimi Materazzi zostali podzieleni na dwie grupy piechoty po osiem tysięcy ludzi. Wszyscy mieli już na sobie zbroje, chociaż jeszcze nie podopinane. Po obu stronach oraz za linią grup czekała kawaleria, w sumie około tysiąca dwustu jezdnych. Nadal nie uformowała się pierwsza linia, wielu żołnierzy usiadło, żeby się posilić i napić pośród pokrzykiwań, śmiechów i wiwatów, a także na wpół poważnego przepychania i walki o miejsce. Na rusztach pieczono barana, a nawet konia, z wielkich czajników unosiły się długie wąsy parującej wody. Ci, którzy z podniecenia nie mogli usiedzieć na miejscu ani nic przełknąć, zajęli swoje pozycje i próbowali się przeciskać jak najbardziej do przodu, nierzadko używając łokci. Nikt jednak nie okazał takiego braku dyscypliny, aby uciec się do poważniejszej przemocy.

Przez następne dwie godziny nic się nie wydarzyło. Do Cale'a i Mętneho Henriego podeszła pobladła Arbell z Ribą oraz najedzonymi IdrysPukkiem i Kleistem. Chociaż przez ostatnie miesiące Riba wiele straciła ze swej pulchności, nadal stanowiła ostry kontrast ze swoją panią. Była niższa prawie

o osiem cali, ciemnowłosa, o brązowych oczach, tak krągła

i obfita, jak jasnowłosa Arbell smukła i zylasta. Różniły się między sobą jak gołąb i łabędź.

Arbell dopytała się niespokojnie, co się ich zdaniem wydarzy. Wszyscy zgodzili się, że Materazzi postępują słusznie,

408

nie spiesząc się z rozpoczęciem bitwy, ponieważ prędzej czy później princeps będzie zmuszony zaatakować. Z którejkolwiek strony Cale na to spojrzal, sytuacja odkupicieli była beznadziejna.

— Czy ktoś widział Simona? — spytała Arbell.

— Pewnie jest z marszałkiem — odparł IdrysPukke, bo ostatnimi czasy byli prawie nierozłączni.

— Prawie jak ojciec i syn — zazartował Kleist, kiedy Arbell znalazła się poza zasięgiem słuchu.

Dziewczyny nie uspokoiły domysły IdrysPukkego. Już miała wysłać dwóch służących, aby odszukali jej brata, kiedy na wzgórze wjechało pięciu konnych. Jednym z nich był Conn Materazzi. Cale nie widział się z nim od czasu ich potyczki.

— Generał Narcisse przysłał mnie, abym sprawdził, czy jesteś bezpieczna.

— Najzupełniej. Widziałeś mego brata?

— Owszem, około godziny temu, w Białym Namiocie. Był z tym frantem, który dla niego tłumaczy.

— Nie masz prawa tak się wyrażać o Koolhausie. Odszukaj Simona i proszę, dopilnuj, aby go do mnie przysłano.

Potem odwróciła się do dwóch służących i wysłała ich do Białego Namiotu z tym samym poleceniem.

Po raz pierwszy Conn Materazzi spojrzal na Cale'a.

— Tak, myślę, że nic ci tu nie grozi.

Cale nie odpowiedział. Conn odwrócił się do Kleista.

— A ty? Jeśli zbierzesz się na odwagę, żeby nie siedzieć tu z założonymi rękami i patrzeć, jak inni nadstawiają za ciebie karku, to zorganizuję ci miejsce w pierwszym szeregu.

Kleist popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— Dobra — przystał ochoczo. — Mam tu jeszcze coś do załatwienia, więc idź pierwszy, a ja dołączę do ciebie za kilka minut.

409

Conn nie grzeszył poczuciem humoru, lecz tym razem zrozumiał, że się z niego nabijają.

— Te gadziny na dole, wasi przyjaciele, mają przynajmniej dość odwagi, żeby stanąć do walki, kiedy wy trzej potraficie tylko czekać z boku, aż ktoś to załatwi za was.

— Powiedz mi, po co mieć psa, jeśli trzeba szczekać samemu — spytał Kleist takim tonem, jakby tłumaczył coś bardzo ograniczonej osobie.

Conn jednak nie należał do osób, z których łatwo drwić, albo raczej, na których drwiny robią wrażenie. Od urodzenia wpajano mu poczucie wyższości wobec innych.

— Macie więcej powodów, żeby tu dzisiaj walczyć niż my wszyscy razem więci. Jeśli uważacie, że

to zabawne, to nie potrzebuję mieć ostatniego słowa jak jakiś komediant. Ludzie i tak zobaczą, kim naprawdę jesteście.

Wypowiedziawszy to ostatnie słowo, odwrócił się i odszedł.

O ile przemowa ta miała niewielki wpływ na Mętnego Henriego

I żadnego na Kleista, o tyle dotknęła czułego miejsca Cale'a. Zwycięstwo nad Salomonem Salomonem pokazało mu, że jego umiejętności nie są wieczne i niezmiennie, że i on ulega strachowi, który przychodzi i odchodzi, a jaki jest pożytek z daru, który panika może zetrzeć w proch? Wiedział, że stoi na wzgórzu, ponieważ to nie jest jego walka. Zarówno z obowiązku, jak i miłości ma za zadanie chronić Arbell Materazzi. Zdawał sobie jednak sprawę, że niemałą rolę w jego postanowieniach odgrywa wspomnienie tego drżenia, zeszywniałych członków i odwagi, która uchodzi z człowieka jak powietrze. Krótko mówiąc, bał się jak ognia strachu i własnej słabości.

Tymczasem na Wzgórzu Silbury pojawił się następny gość, który wywołał wielkie poruszenie wśród obecnych dygnitarzy. Podjechał pod wzgórze powozem, po czym przesiadł się do

410

osłoniętej lektyki, w rodzaju tych, jakich używały kobiety Materazzi, podróżując po wąskich uliczkach starego miasta, gdzie nie mógł wjechać żaden powóz. Niosło ją ośmiu mężczyzn, wyraźnie wyczerpanych wspinaczką, a towarzyszyło im jeszcze dziesięciu strażników.

— Kto to jest? — spytał Cale IdrysPukkego.

— No cóż, niełatwo mnie zaskoczyć, ale to doprawdy istny cud.

— Co, Arka Przymierza?

— Nie szukaj tego cudu w górze, tylko na dole. Jeśli diabeł może zostać opętany, to ta istota mogłaby tego dokonać. Kicia Zając.

Ta wieść zrobiła na Cale'u wrażenie. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się strażnikom.

— Wyglądają na osiłków.

— I powinni. To lakonijscy najemnicy. Kosztują fortunę.

— Co on tu robi? Podobno wszyscy o nim słyszeli, ale nikt go nie widział.

— Kpij sobie dalej. Jeśli wejdiesz Kici w drogę, srogo tego pożałujesz. Prawdopodobnie przyjechał doglądać swoich inwestycji. Poza tym dzisiejszy dzień to okazja, żeby zobaczyć, jak na naszych oczach rozgrywa się historia, i można to robić bez narażania życia.

Wtedy otworzyły się drzwi lektyki i wysiadł z niej mężczyzna. Cale jęknął rozczarowany.

— To nie Kicia — stwierdził IdrysPukke.

— Dzięki Bogu. Belzebub chyba by się nadawał do tej roli, jak myślisz?

— Czasami zapominam, że tak naprawdę masz jeszcze mleko pod nosem. Jeśli kiedyś spotkasz tego gościa — dodał IdrysPukke, wskazując mężczyznę — lepiej szybko poszukaj sobie zajęcia na drugim

-

— Już trzęsę portkami.

— Jesteś bezczelnym chojrakiem, wiesz? To Daniel Cadbury. Jeśli poszukasz w Słowniku Powszechnym Dr. Johnsona hasła „pachołek”, to znajdziesz tam jego nazwisko. Jak również pod hasłem „płatny zabójca”, „morderca” i „złodziej owiec”. Ale za to jaki czarujący. Masz wrażenie, że gotów ci oddać własny tyłek.

Podczas gdy Cale rozmyślał nad tym interesującym twierdzeniem, podszedł do nich uśmiechnięty Cadbury.

— Kopę lat, IdrysPukke. Jak tam ruch w interesie?

— Cześć, Cadbury. Jaką sierotkę jedziesz udusić, że miałeś tu nas po drodze?

Cadbury uśmiechnął się z uznaniem na tę złośliwość, po czym spojrzał z podziwem na Cale'a.

— Prawdziwy oryginał z twojego przyjaciela, co? Ty musisz być Cale — dodał tonem, który sugerował, że być Cale'em to nie w kij dmuchał. — Widziałem w Czerwonej Operze, jak wykończyłeś Salomona. Nie mogło trafić na poczciwszego kolesia. To było coś, mały, to było coś. Musimy się umówić na obiad, kiedy ta niemiła historia się skończy.

I ukłoniwszy się Cale'owi z szacunkiem, ale jak ktoś, czyj szacunek ma swoją wartość, odwrócił się i ruszył z powrotem do lektyki.

— Wydaje się bardzo miły — zauważył Cale prowokacyjnie.

— O tak, będzie bardzo miły aż do samego końca, kiedy z największym żalem będzie zmuszony poderżnąć ci gardło.

Usłyszeli wołanie Mętnego Henriego. W szeregach odkupicieli zaczął się ruch. Sześć tysięcy łuczników i tysiąc dziewięć-ciuaset żołnierzy piechoty ruszyło przed siebie. Pięćdziesiąt kroków dalej, na granicy zaoranego pola, które rozciągało się aż po szeregi Materazzich, zatrzymali się i pierwszy rząd uklękł.

— Co oni wyprawiają, na miłość boską? — spytał IdrysPukke.

— Biorą do ust garść ziemi — odparł Cale — aby sobie przypomnieć, że są prochem i w proch się obrócą.

Pierwszy szereg odkupicieli powstał z klęczek i wszedł na zaorane pole. Następny rząd ruszył za nimi, przyklękł, nabrał ziemię do ust i dołączył do tamtych, i tak dalej. Niespełna pięć minut cała armia odkupicieli znów szła przed siebie w luźnym szyku bojowym, nierównym, prawie spacerowym krokiem. Materazzim, a także obserwatorom na Wzgórzu Silbury nie pozostawało nic innego, jak czekać.

— Kiedy przyspieszą do natarcia? — spytał IdrysPukke.

— W ogóle nie przyspieszą — odparł Mętny Henri. — Materazzi nie używają łuczników, więc jakie jest ich pole rażenia? Trzy łokcie? Nie ma potrzeby się spieszyć.

Minęło dziesięć minut takiego marszu, odkupiciele przemierzali około trzystu z pięciuset sążni dzielących ich od pierwszej linii przeciwnika, kiedy od strony setników, z których każdy miał pod dowództwem stu wojowników, dobiegł okrzyk. Żołnierze stanęli.

Rozległy się następne stłumione komendy. Łucznicy i piechota zaczęli się rozstępować na boki tak, że wypełnili całą szerokość pola. Niecałe trzy minuty zajęło przegrupowanie sił. Piechota stała teraz w siedmiu rzędach, ustawiona w szachownicę w odstępach jednego dużego kroku od siebie, tak że łucznicy mogli lepiej widzieć i krzyczeć nad ich głowami.

Z początku obserwatorom zdawało się, że każdy z odkupicieli niesie ze sobą włócznię długości trzech łokci. Teraz, kiedy się zatrzymali, stało się jasne, że przedmiot ten jest za gruby i za ciężki na włócznię. Od strony setników dobiegł następny okrzyk, a potem odgłos wbijanych w ziemię pali obronnych, bo nimi to właśnie okazały się dziwne włocznie.

413

— Po co przygotowują linię obrony? — spytał IdrysPukke.

— Nie wiem — odparł Cale. — A wy?

Kleist i Mętny Henri wzruszyli ramionami.

— To nie ma sensu. Materazzi ich zaskoczyli. — Cale spojrzał niespokojnie na IdrysPukkego. — Jesteś pewien, że Narcisse nie zaatakuje?

— Po co mieliby rezygnować z takiej przewagi?

Odkupiciele tymczasem pracowicie ostrzyli zakończenia pali.

— Chcą ich sprowokować do ataku — stwierdził Cale po chwili namysłu. Odwrócił się do IdrysPukkego. — Materazzi stoją w polu rażenia łuczników. Cztery tysiące strzelców, sześć strzał na minutę. Myślisz, że poradzą sobie z gradem czterech tysięcy grotów sypiących im się na głowy co sześćdziesiąt sekund?

IdrysPukke prychnął, lecz sam zastanawiał się nad tym przez dobrą chwilę.

— Sto dwadzieścia sążni to kawał drogi. Nieważne, ilu ich jest. Każdy z Materazzich jest opancerzony od stóp do głów. Żadna strzała nie przebije z takiej odległości hartowanej stali. Nie znaczy to, że uśmiechałoby mi się dostać pod taki prysznic, ale w najlepszym wypadku jedna na sto dojdzie celu. Odkupiciele mają za mało pocisków, żeby utrzymać taki ostrzał przez dłuższy czas, góra kilkadziesiąt strzał na łuczniaka. Jeśli na tym polega ich plan...

To rzekłszy, wzruszył ramionami, aby pokazać, co o tym myśli. -

Cale przeniósł wzrok na pięciu łączników mających za zadanie obserwować bitwę z punktu obserwacyjnego na Wzgórzu Silbury. Jeden z nich pobiegł właśnie zameldować o wbijaniu pali, co zapewne było słabo widoczne z linii Materazzich. Sporo czasu zajęło im zrozumienie, co odkupiciele

zamierzają zrobić z palami i czy jest to na tyle ważne, by warto było wysłać posłańca.

414

Cale odprowadził gońca wzrokiem, dopóki nie zniknął mu z oczu, po czym odwrócił się ku liniom odkupicieli. Dwunastu chorążych wzniosło białe sztandary z czerwoną postacią Powieszonego Odkupiciela. Od strony setników dobiegł rozkaz naciągnięcia łuków, czego obserwatorzy na wzgórzu nie słyszeli wyraźnie, ale domyślili się, widząc tysiące łuczników napinających cięciwy i kierujących broń ku górze. Nastąpiła chwila ciszy, po której rozległa się komenda setników. Opuszczono chorągwie, a w niebo wystrzeliły cztery chmury strzał. Wzniosły się łukiem pięćdziesiąt łokci w górę i zaczęły opadać ku pierwszej linii Materazzich.

Po trzech sekundach uderzyły. Rycerze spuścili głowy i pochyłili się do przodu, jakby stawiali czoło wichurze i gradobiciu. Pięć tysięcy grotów zabrzęczało o pancerze. Na flankach rozległo się rżenie koni. Tymczasem nadlatywało już kolejne pięć tysięcy strzał. Dziesięć sekund później następne. Przez dwie minuty sypał się na głowy Materazzich ten grad. Kilku padło, niewielu więcej zostało rannych. IdrysPukke nie mylił się, twierdząc, że zbroja rycerzy spełni swoje zadanie. Wystarczyły jednak same odgłosy: złowrogiego dzwonienia metalu o metal, kwik rannych koni, krzyki nieszczęsnych pechowców trafionych w oko lub szyję, aby zacząć się zastanawiać, jaki sens ma bezczynne czekanie na strzałę jakiegoś świętoszka bez urodzenia, wychowania i odwagi, aby stanąć twarzą w twarz z przeciwnikiem i walczyć jak mężczyzna?

Pierwsza nie wytrzymała kawaleria na lewym skrzydle, kiedy opadła ich chorągiew. Czy to był znak? Tak trudno się rozeznac pośród rżenia rannych zwierząt, kiedy własny spłoszony wierzchowiec rwie się do przodu, a świat dookoła widać tylko przez wąską szczelinę w hełmie. Trzy przestraszone konie skaczą przed siebie. Czy to szarża? Nikt nie chce się okazać tchórzem i zostać w tyle, niczym podczas wyścigu lekkoat-

415

letycznego cała linia rusza, gdy jeden z biegaczy wystartuje za wcześnie. Okrzyki z tyłu, aby utrzymać szyk, toną w ogólnej wrzawie. A z nieba sypią się następne strzały. Konie na lewym skrzydle skaczą przed siebie niecierpliwie, rozdrażnione, spłoszone.

Narcisse, który obserwował wszystko z Białego Namiotu, przeklinał na cały głos. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że ich nie powstrzyma. Dał znak chorążym, aby puścili do ataku również prawe skrzydło kawalerii. Dopiero wtedy ze Wzgórza Silbury przybył goniec z ostrzeżeniem o palisadzie wzniesionej pomiędzy łucznikami na obu flankach.

Na wzgórzu Cale patrzył z niedowierzaniem, jak kawaleria rusza do ataku, jak jeźdźcy spinają konie, aby utworzyły szyk i formują trzy rzędy, kolano przy kolanie na szerokość stu pięćdziesięciu sążni, dokładnie taką, jak szeregi łuczników mających im stawić czoło. Z początku jechali wolno, z prędkością biegnącego człowieka, stali w strzemionach, z kopiami pod prawą pachą, lewą ręką trzymając cugle. Przez pół minuty utrzymywali to tempo pod gradem dwudziestu tysięcy strzał. Potem ostatnie dwadzieścia pięć sążni: dwa tysiące ludzi, zwierząt i stali rozpędzały się, aby zmieść łuczników z powierzchni ziemi.

Łucznicy wypuścili jeszcze jedną serię strzał. Następne konie padając z rżeniem, zmiażdżyły jeźdźców, łamały karki, przewracały sąsiadów. Lecz linia się nie złamała. A potem nastąpił wstrząs

zderzenia.

Żaden koń z własnej woli nie wjedzie na człowieka ani nie skoczy na przeszkodę, której nie umie pokonać. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie stanie na drodze szarżującemu koniowi i wycelowanej włóczni. Lecz w przeciwieństwie do zwierzęcia człowiek może wybrać śmierć. Może być szkolony, by umierać.

416

Widząc, że szarżująca kawaleria za chwilę wpadnie na nich niczym miażdżąca fala, łucznicy cofnęli się szybko i ukryli za lasem zaostrzonych pali. Kilku się potknęło, niektórzy byli za wolni i zostali stratowani lub przebici włócznią. Konie wpadły na palisadę zbyt szybko, aby zahamować. Rzęzenie i kwiki nadzianych na pale zwierząt wibrowały w powietrzu. Jeźdźcy spadali z grzbietów, łamali karki. Kiedy leżeli w błocie niczym trzepoczące się ryby, odkupiciele wykańczali ich wielkimi młotami do wbijania pali lub przeszywali mieczem w miejscach złączeń zbroi, a brązowa ziemia zabarwiała się na czerwono.

Większość koni jednak stanęła dęba i nie chciała wjechać na śmiertcionośną palisadę. Niektóre pośliznąwszy się, wyrzucały jeźdźców z siodeł, inne zawracały i zderzały się z nadjeżdżającymi wierzchowcami, kilka wpadło w las otaczający pole bitwy. Ludzie klęli, konie rżały i w panice rzucały się do ucieczki, szukając schronienia na tyłach. Jeźdźcy spadali na ziemię całymi setkami. W mgnieniu oka łucznicy wyskakiwali zza palisady i walili oszołomionych, leżących rycerzy młotami po głowach i piersiach. Trzej odkupiciele w sutannach uwalanych błotem podchodzili do kawalerzystów, którzy, ślizgając się i potykając o siebie, próbowali się dźwignąć, aby dobyć miecza, i dźgali ich w oczy i odsłonięte stawy. Za barierą pali rozwścieczeni łucznicy, którzy nie musieli się już obawiać szarży, wypuścili kolejną serię strzał za wycofującymi się jeźdźcami. Padały następne zranione konie, inne gnały przerażone na oślep.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść Aby wesprzeć szarżującą kawalerię, Narcisse musiał wysłać do natarcia pierwszą linię piechoty. Dziesięć tysięcy rycerzy w ośmiu rzędach było już w połowie drogi, kiedy rozpędzone konie powracającej kawalerii, oszalałe ze strachu i bólu, wpadły prosto na szeregi maszerujących żołnierzy. Stłoczeni, zablokowani z boków przez

417

Widząc, że szarżująca kawaleria za chwilę wpadnie na nich niczym miażdżąca fala, łucznicy cofnęli się szybko i ukryli za lasem zaostrzonych pali. Kilku się potknęło, niektórzy byli za wolni i zostali stratowani lub przebici włócznią. Konie wpadły na palisadę zbyt szybko, aby zahamować. Rzęzenie i kwiki nadzianych na pale zwierząt wibrowały w powietrzu. Jeźdźcy spadali z grzbietów, łamali karki. Kiedy leżeli w błocie niczym trzepoczące się ryby, odkupiciele wykańczali ich wielkimi młotami do wbijania pali lub przeszywali mieczem w miejscach złączeń zbroi, a brązowa ziemia zabarwiała się na czerwono.

Większość koni jednak stanęła dęba i nie chciała wjechać na śmiertcionośną palisadę. Niektóre pośliznąwszy się, wyrzucały jeźdźców z siodeł, inne zawracały i zderzały się z nadjeżdżającymi wierzchowcami, kilka wpadło w las otaczający pole bitwy. Ludzie klęli, konie rżały i w panice rzucały się do ucieczki, szukając schronienia na tyłach. Jeźdźcy spadali na ziemię całymi setkami. W mgnieniu oka łucznicy wyskakiwali zza palisady i walili oszołomionych, leżących rycerzy młotami

po głowach i piersiach. Trzej odkupiciele w sutannach uwalanych błotem podchodzili do kawalerzystów, którzy, ślizgając się i potykając o siebie, próbowali się dźwignąć, aby dobyć miecza, i dźgali ich w oczy i odsłonięte stawy. Za barierą pali rozwścieczeni łucznicy, którzy nie musieli się już obawiać szarzy, wypuścili kolejną serię strzał za wycofującymi się jeźdźcami. Padały następne zranione konie, inne gnały przerażone na oślep.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść Aby wesprzeć szarżującą kawalerię, Narcisse musiał wysłać do natarcia pierwszą linię piechoty. Dziesięć tysięcy rycerzy w ośmiu rzędach było już w połowie drogi, kiedy rozpędzone konie powracającej kawalerii, oszalałe ze strachu i bólu, wpadły prosto na szeregi maszerujących żołnierzy. Stłoczeni, zablokowani z boków przez

Widząc, że szarżująca kawaleria za chwilę wpadnie na nich niczym miażdżąca fala, łucznicy cofnęli się szybko i ukryli za lasem zaostzonych pali. Kilku się potknęło, niektórzy byli za wolni i zostali stratowani lub przebici włócznią. Konie wpadły na palisadę zbyt szybko, aby zahamować. Rzęzenie i kwiki nadzianych na pale zwierząt wibrowały w powietrzu. Jeźdźcy spadali z grzbietów, łamali karki. Kiedy leżeli w błocie niczym trzepoczące się ryby, odkupiciele wykańczali ich wielkimi młotami do wbijania pali lub przeszywali mieczem w miejscach złączeń zbroi, a brązowa ziemia zabarwiała się na czerwono.

Większość koni jednak stanęła dęba i nie chciała wjechać na śmiertcioną palisadę. Niektóre pośliznąwszy się, wyrzucały jeźdźców z siodeł, inne zawracały i zderzały się z nadjeżdżającymi wierzchowcami, kilka wpadło w las otaczający pole bitwy. Ludzie klęli, konie rżały i w panice rzucały się do ucieczki, szukając schronienia na tyłach. Jeźdźcy spadali na ziemię całymi setkami. W mgnieniu oka łucznicy wyskakiwali zza palisady i walili oszołomionych, leżących rycerzy młotami po głowach i piersiach. Trzej odkupiciele w sutannach uwalanych błotem podchodzili do kawalerzystów, którzy, ślizgając się i potykając o siebie, próbowali się dźwignąć, aby dobyć miecza, i dźgali ich w oczy i odsłonięte stawy. Za barierą pali rozwścieczeni łucznicy, którzy nie musieli się już obawiać szarzy, wypuścili kolejną serię strzał za wycofującymi się jeźdźcami. Padały następne zranione konie, inne gnały przerażone na oślep.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść Aby wesprzeć szarżującą kawalerię, Narcisse musiał wysłać do natarcia pierwszą linię piechoty. Dziesięć tysięcy rycerzy w ośmiu rzędach było już w połowie drogi, kiedy rozpędzone konie powracającej kawalerii, oszalałe ze strachu i bólu, wpadły prosto na szeregi maszerujących żołnierzy. Stłoczeni, zablokowani z boków przez

417

gęsty las, a z tyłu przez gęsty tłum następnych oddziałów, nie mogli się nigdzie usunąć, aby przepuścić cwałujące zwierzęta. Usiłując rozpaczliwie uniknąć śmiertelnego zderzenia, żołnierze pierzchali na oślep i wpadali na innych, odpychali się, tracili równowagę i w ten sposób na boki i do tyłu rozeszła się fala rozbiegających się i przewracających ludzi.

Tak więc marsz i natarcie zostały wstrzymane i na polu bitwy zapanował chaos; żołnierze ślizgali się w brei, klęli i padali. Łucznicy odkupicielei zyskali czas, aby się przegrupować i wypuścić resztę strzał. Tym razem jednak z odległości osiemdziesięciu kroków, groty przebijały pancerz Materazzich na wylot, jeżeli odpowiednio trafiły.

Mimo to tylko kilkuset ludzi zostało stratowanych przez uciekające konie lub zranionych przez strzały. Tysiące pozostałych sierżanci i kapitanowie, wrzeszcząc, poustawiali wkrótce z powrotem w szyku i ruszyli dalej. Mimo przejściowego zamieszania w szeregach i męczącego marszu w ciężkich zbrojach po zaoranym polu, natarcie Materazzich nabierało rozpędu. Pięćdziesiąt kroków. Dwadzieścia. Dziesięć. Ruszyli biegiem, celując włóczniami w piersi przeciwników.

Jednak w momencie starcia odkupiciele jak jeden mąż cofnęli się kilka kroków, aby zmylić atakujących. I znów w szeregach Materazzich zapanował chaos; niektórzy pobiegli dalej, niektórzy się zatrzymali i po raz kolejny impet natarcia został zmarnowany.

Pomimo zamieszania Materazzi wiedzieli, że muszą wygrać — najwięksi wojownicy na świecie, w pełnym uzbrojeniu, twarzą w twarz z przeciwnikiem z przewagą pięciu do jednego. Pewni zwycięstwa parli naprzód. Obok krzyków rannych i rżenia zwierząt powietrze wypełniło się dzwonieniem stali i stęk-nięciami walczących, jeszcze bardziej stłoczonych i zdesperowanych, aby dostać się na miejsce największej chwały. Lecz

418

walczyć mogli tylko ci, którzy znaleźli się na pierwszej linii, niespełna tysiąc żołnierzy. Mniej liczni odkupiciele mogli się swobodnie przemieszczać na tyły i z powrotem.

Niecierpliwi Materazzi w najdalszych i środkowych rzędach napierali na swych towarzyszy, nie wiedząc, co się dzieje na przedzie. Ci zaś, którzy walczyli, po chwili nie mieli nawet miejsca, by się uchylać przed ciosami, odskakiwać, lub wycofać się, kiedy trzeba. Wreszcie napór z tyłu stał się tak silny, że zaczął ich wpychać na ostrza włóczni i pod ciosy młotów. Niejeden padł ranny, inni nie mogąc utrzymać równowagi na błotnistej ziemi, przewracali się, a wtedy następni, którzy pchali się z tyłu upadali na nich, a potem następni i następni. Spragnieni krwi żołnierze ze środkowych szeregów próbowali przejść nad leżącymi, lecz popychani niecierpliwie, potykali się, ślizgali i przechodzili po tamtych lub sami się przewracali. Jaki jest pożytek ze zbroi, kiedy nie ma się jak ruszyć? Gdy trzeba się wdrapywać po stertach ciał, a z przodu cały czas padają potężne ciosy i śmiertelne pchnięcia.

W ciągu trzech lub czterech minut na linii starcia utworzył się mur leżących Materazzich, za którym odkupiciele znaleźli osłonę przed impetem ataku. A z tylnych szeregów nieustannie napierali nowi wojownicy, spragnieni walki, nieświadomi niczego, co się działo z przodu. Kiedy na linii starcia padał kolejny rząd rycerzy, jego towarzysze z tyłu sądzili, że to natarcie posuwa się coraz bardziej i spycha przeciwnika coraz głębiej, i tym energiczniej parli do przodu. W stercie leżących Materazzich niewielu było martwych lub nawet ciężko rannych, lecz w ścisłości i błocie trudno rycerzowi w ciężkiej zbroi podnieść się na nogi, przygnieciony następnym, nie zdołał się choćby ruszyć; z trzecim na wierzchu stawał się bezradny jak dziecko.

Wyobraźcie sobie ich wściekłość i strach: po latach szkolenia,

419

po niezliczonych walkach i zdobytych bliznach leżeć w błocie i czekać, aż cię zgniotą na śmierć albo jakiś wieśniak z młotem zmiążdży ci pierś lub wbije włócznię przez szczelinę w hełmie. Cóż to za udręka i przerażająca bezradność. I przez cały czas ten okropny napór dwudziestu rzędów Materazzich przekonanych o zwycięstwie i pchających się desperacko do przodu, aby zdążyć jeszcze wziąć udział w bitwie przed ostatecznym zwycięstwem. Posłańcy, którzy zostali na stanowiskach i

teraz znaleźli się na tyłach, nie mogąc się doczekać wiadomości, a zarazem nie dostrzegając dramatu rozgrywającego się na linii starcia, wysyłali informacje, że zwycięstwo jest prawie pewne i wzywali posiłki, aby zakończyć rozprawę.

Do Białego Namiotu docierały sprzeczne wieści z pola bitwy i ze Wzgórza Silbury, gdzie widać było jak na dłoni klęskę pierwszej linii. Na wzgórzu tylko chłopcy i IdrysPukke zdawali sobie w pełni sprawę z groźnej sytuacji, lecz nie mieli odwagi doradzać Materazzim natychmiastowego odwrotu. A jeśli się mylą? To wszystko nie mieściło się w głowie. Przekazywali alarmujące wieści, lecz pełne wątpliwości, zastrzeżeń i znaków zapytania. Narcisse dostawał więc z pola bitwy prośby o posiłki, aby dokończyć pogromu nieprzyjaciela, a jednocześnie niepokojące informacje ze wzgórza, że bitwa lada moment zostanie przegrana.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi i optymistycznym kalkulacjom przed rozpoczęciem bitwy Narcisse postanowił przeciwstawić słabym, wygłodzonym i źle uzbrojonym odkupicielom większość sił najpotężniejszej armii na świecie, która od dwudziestu lat nie przegrała ani jednej bitwy. Porażka wydawała się absurdem. Tak więc mimo niepokoju spowodowanego wieściami ze Wzgórza Silbury, generał polowy szybko wydał rozkaz, aby następne szeregi ruszyły do ataku.

420

*

Kiedy chłopcy z IdrysPukkiem zobaczyli, że druga linia posuwa się w kierunku frontu walki, wszyscy czterej krzyknęli z rozpacz, niedowierzania i wściekłości.

— Co się dzieje? — zapytała Arbell Łabędzioszyja.

Cale podniósł dłoń i jęknął.

— Nie widzisz? Przegrali bitwę. Ci ludzie idą na śmierć. Kto będzie bronił Memphis, kiedy ich ciała będą gniły na polu?

— To niemożliwe. Powiedz mi, że to nieprawda. Nie może być aż tak źle.

— Sama popatrz — odrzekł, wskazując pole bitwy.

Tysiące łuczników odkupicieli roiły się na flankach, a nawet

na tyłach Materazzich, i wybijały w pień niedobitki przeciwników palami i młotami. Każdy przewrócony piechur pociągał za sobą trzech lub czterech następnych.

— Musimy stąd uciekać — powiedział łagodnie Cale. — Rolandzie — zawołał do stajennego — szukaj jej konia, natychmiast. Boże! — zawołał z udręką. — Za nic w świecie nie uwierzyłbym, że to możliwe, gdybym nie widział tego na własne oczy.

Skinął głową Henriemu i Kleistowi, którzy ruszyli z powrotem w stronę namiotów. W tym momencie podbiegła do nich utykająca, zasapana postać.

— Czekajcie! — zawołała.

Był to Koolhaus, czerwony na twarzy i wzburzony.

— Mademoiselle, twój brat... Zniknął mi z oczu, kiedyśmy oglądali kawalerię. Myślałem, że się po prostu zgubiliśmy w tłumie, ale gdy wróciłem do namiotu, zobaczyłem, że znikła zbroja, którą dostał od ojca na urodziny. Godzinę temu widziałem go w towarzystwie tego parszywca, lorda Parsona, który żartował sobie, że Simon pójdzie z nim do ataku w pierwszej linii. — Urwał na chwilę, a potem dokończył cicho. — Obawiam się, że on poszedł walczyć.

421

— Jak pan mógł być taki nieostrożny? — krzyknęła na niego Arbell, ale zaraz odwróciła się do Cale'a. — Proszę cię, znajdź go. Sprowadź go tu z powrotem.

Cale był zbyt oszołomiony, żeby coś odpowiedzieć, lecz Kleist nigdy nie zapomniał języka w gębie.

— Jeśli chcesz, żeby obaj zginęli, to jest najlepszy sposób, jaki mogłaś wymyślić. — Wskazał gestem bitwę. — Za kilka minut będzie się tam kłębiło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, stłoczonych na powierzchni warzywnika. Przez najbliższe dwie godziny będziemy widzieć tylko jatkę. I ty chcesz go tam wysłać? To jak szukanie igły w stogu siana, i to takim, który stoi w ogniu.

Wydawało się, że Arbell nie usłyszała ani jednego słowa. Patrzyła tylko Cale'owi w oczy z rozpaczą i błaganem.

— Proszę, pomóż mu.

— Kleist ma rację — poparł go Mętny Henri. — Cokolwiek się stało z Simonem, nic już na to nie poradzimy.

W dalszym ciągu Arbell sprawiała wrażenie, jakby nic nie słyszała. Patrzyła Cale'owi w oczy. W końcu powoli, bezradnie spuściła wzrok.

— Rozumiem — odparła cicho.

Cale poczuł, jakby go dźgnięto prosto w serce. W jego uszach brzmiało to jak wyraz utraconej wiary i było nie do zniesienia. Darzyła go niemal boską czcią, nie potrafił się tego wyrzec.

Przez cały czas Riba patrzyła na tę scenę oczami okrągłymi jak spodki, ale milczała z nadzieją, że pozostali zdołają go powstrzymać. Chociaż na swój sposób lękała się swego dziwnego wybawcy, chociaż był wobec niej na co dzień obojętny, a nawet szorstki, od miesięcy widziała, że kiedy chodziło o Arbell, budziło się w nim szaleństwo.

— Nie rób tego, Thomasie — rzekła surowo jak matka.

Arbell spojrzała na nią zdumiona i wściekła, że jej służąca

tak jawnie się jej przeciwstawia. Lecz w obliczu tych wszystkich

422

argumentów przemawiających przeciwko niej, nie mogła nakazać Ribie milczenia ani właściwie nic powiedzieć. Ale to nie miało znaczenia. Cale jakby w ogóle tego nie słyszał.

Spojrzał na dół, na idące w rozsypkę zastępy Materazzich i serce mu się ścisnęło. Spojrzał na

Mętnego Henriego i Kleista.

— Oślaniajcie mnie, ile dacie radę, ale nie zwlekajcie za długo z ucieczką.

— Nie mam zamiaru — odparł Kleist.

Cale się roześmiał.

— Pamiętajcie, że jeśli któryś z was mnie trafi, to dowiem się, kto to.

— Na pewno się nie dowiesz, jeśli to będę ja.

— Wracajcie z jej obstawą do Memphis, dogonię was.

Pobiegli do namiotu po broń. Cale odciągnął na bok IdrysPukkego.

— Jeśli zrobi się gorąco, jedźcie do Zielonych Koron.

— Nie powinieneś tam schodzić, mały — powiedział IdrysPukke.

— Wiem.

Wrócili Henri i Kleist i zaczęli rozstawiać sprzęt. IdrysPukke kazał jednemu z koniuszych Arbell zdjąć liberię z insygniami Materazzich — niebiesko-złotymi smokami i wyhaftowanym mottem rodu: „Na śmierć prędzej niż zdradę”, i dał ją Cale'owi.

— Jeśli pójdziesz tam ubrany tak jak teraz, to rzucą się na ciebie i jedni i drudzy. W tym przynajmniej Materazzi nie będą cię atakować.

— A jeśli cię schwytają, to zorientują się, że jesteś wart dużego okupu — dodała Arbell.

Na te słowa Kleist wybuchnął tak niepowstrzymanym rechotem, jakby w życiu nie słyszał lepszego dowcipu.

— Zostaw ją w spokoju — powiedział Cale.

— Martw się o siebie, stary. Jej nic nie będzie.

423

I Cale pobiegł do krawędzi wzgórza, a potem prawie nie zwalniając kroku, stromym zboczem w dół. Pół minuty później stał na polu bitwy. Przed nim posiłki Materazzich właśnie wkraczały w krwawą jatkę pierwszej linii — osiem tysięcy mężczyzn stłoczonych na zbyt małej przestrzeni, aby pomieścić choćby połowę walczących. Odkupiciele już ich otaczali, już zamykali te nowe, niemrawe siły, aby je sieć i powalać.

Zbite masy żołnierzy rozdzielały się wokół wielkich zwałów ciał, wysokich nawet na pięć łokci i opływały je niczym woda skały. Cale puścił się biegiem i dwie minuty później krążył na tyłach wojsk Materazzich. W tym miejscu nie czuło się tego, co widać było z góry. Niektórzy żołnierze kręcili się niepewnie, inni parli do przodu. Tylko dlatego, że widział sytuację ze wzgórza, zdawał sobie sprawę, że z przodu i na skrzydłach odbywa się masakra. Nie było tu nawet zbyt głośno, ot po prostu żołnierze maszerujący do walki, tu i ówdzie skręcali, gdy zobaczyli lukę, lub ruszali żwawo do przodu, myśląc, że ich towarzysze przełamali kolejną linię obrony odkupicieli. I tak tysiące

nieświadomych wojowników, niecierpliwących się, by nie ominęła ich chwała na polu bitwy, powoli zmierzały na śmierć.

Cale pędził, rozglądając się za Simonem, choć rację miał Kleist, że było to beznadziejne zadanie. Nigdy nie znajdzie brata Arbell w tych warunkach, nawet jeśli jeszcze żyje. Zginie tu albo wróci do swej ukochanej z pustymi rękami. Nawet jeśli zrozumiała, że nie da się nic zrobić, to on nie chciał, aby musiała się z tym godzić. Nie chciał, aby przestała go podziwiać.

Zaraz jednak opadły go inne zmartwienia. Wokół Materazzich zjawiono się ponad dwudziestu odkupicieli i w trzyosobowych grupach zaczęli atakować rycerzy szukających drogi do pierwszej linii. Jeden podcinał nieszczęśnika długą żerdzią zakończoną hakiem, drugi uderzał potężnym młotem, trzeci przebijał

424

go przez szczelinę zbroi. Poradziwszy sobie w ten sposób z pojedynczymi, zabłąkanymi żołnierzami, zajęli się wojownikami maszerującymi w zwartym szyku. W ścisłości i błocie niespodziewający się takiej podstępnej napaści rycerze, którzy w każdej innej sytuacji byliby prawie niezwyciężeni, potykali się i ślizgali, po czym, wymachując rękami, lądowali w grzędawisku bezradni jak niemowlęta.

Nagle odkupiciele zauważyli Cale'a i ruszyli na niego z trzech stron. Napastnik z prawej padł od strzały, z lewej od bełtu. Pierwszy nie wydał z siebie żadnego odgłosu, drugi chwycił się za pierś i zaczął krzyczeć. Trzeci jeszcze nie wyszedł ze zdumienia, kiedy Cale przyskoczył doń i poderżnął mu gardło aż do kręgosłupa. Upadł w błoto tuż obok Lorda Sześciu Hrabstw, którego zabił kilka sekund wcześniej. Tymczasem Cale bronił się przed następnym napastnikiem. Wykręcił mu rękę, grzmotnął czołem w twarz i przebił pierś prosto w serce. Odkupiciel z żerdzią padł z otwartymi ustami od bełtu Mętnego Henriego, ale strzała Kleista trafiła „młociarza” tylko w ramię. Jednak szczęście niedługo mu sprzyjało, bo dwie sekundy później Cale'owi, który pośliznął się w błocie, nie udało się śmiertelne pchnięcie i rozpruł tamtemu brzuch. Młociarz runął z krzykiem na ziemię, gdzie miał dogorywać przez kilka godzin. Następna fala nadchodzących Materazzich odparła pozostałych odkupicieli. Cale stał zakrwawiony i zdezorientowany, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić. W tym wielkim zamieszaniu na nic się zdały wszystkie jego umiejętności, był dzieckiem w tłumie umierających mężczyzn.

Wtedy, gdy miał się właśnie odwrócić, z przodu nastąpiło kolejne załamanie pierwszej linii, największe z dotychczasowych. Przed nim utworzył się korytarz głęboki na sześćdziesięciu ludzi, prowadzący na front bitwy. Przez sekundę się wahał,

425

wiedział, że ten wyłom to czekająca nań paszcza śmierci, lecz strach przed porażką w oczach kochanki popchnął go w tę pułapkę. Ponieważ mógł biec szybciej niż ślizgający się rycerze w zbrojach, udało mu się dotrzeć aż do miejsca oddalonego zaledwie o kilka kroków od pierwszej linii. Stał przed nieprzeniknioną ścianą martwych i umierających Materazzich. Żaden z nich nie został ranny w walce, wszyscy poprzewracali się na siebie lub zostali przygniecieni przez swych towarzyszy. Przez kilka chwil widział jedynie sterty trupów i słyszał ciche, niesamowite jęki. Niektórym hełmy pospadały z głów, inni sami je zdjęli, rozpaczliwie walcząc o powietrze. Twarze

mieli fioletowe, czasem prawie czarne, kilku charczało przeraźliwie, próbując nabrać powietrza, lecz nie pozwalały na to zgniecione piersi. Na oczach Cale'a przestawali oddychać i tylko poruszali ustami się jak ryby wyrzucone na brzeg. Niektórzy szeptali do niego rozpaczliwie:

— Pomocy! Pomocy!

Próbował kilku wyciągnąć, ale z takim samym skutkiem, jak gdyby tkwili w murach Sanktuarium z betonu i mąki ryżowej. Odwrócił się i zaczął przeszukiwać sterty martwych i umierających.

— Pomocy! — zaskrzeczał koło niego głos.

Spojrzał w dół na młodego mężczyznę o fioletowej twarzy.

— Pomocy!

Odwrócił głowę.

— Cale, pomóż mi.

Zdumiony obejrzał się znowu. I wtedy pod nabrzmiałą, czarnofioletową maską rozpoznał Conna Materazziego. Koło prawego ucha śmignęła mu strzała i wbiła się w ścianę trupów. Pochylił się nad Connem.

— Mogę skrócić twoje męki, jeśli chcesz.

Ale Conn nie słyszał.

426

— Pomóż mi. Pomóż mi — szeptał okropnym, charczącym głosem.

Ujrzawszy w tym piekle kogoś, kogo znał, Cale'a poczuł się bardziej przytłoczony potwornością tego miejsca, a zarazem własną bezradnością. Obejrzał się niespokojnie przez ramię. Prześwit w nacierających szeregach, którym się tu dostał, zaczął się zamykać, kiedy odkupiciele spychali Materazzich na środek pola. Wstał, aby pobiec w tamtą stronę.

— Pomóż mi!

Od grozy i rozpaczliwej odbijającej się w oczach Conna Cale'owi włos się zjeżył na karku. Złapał go i pociągnął ze wszystkich sił, spotęgowanych strachem i wściekłością, lecz młodego Materazziego przygniatały tysiąc funtów martwych ciał i stali. Szarpnął jeszcze raz, ale na próżno.

— Przykro mi, stary — powiedział do Conna. — Twój czas minął.

Nagle coś go uderzyło w plecy tak mocno, że rozpląszczył się w błocie. Ślizgając się zaskoczony i przestraszony, próbował wyciągnąć miecz i odskoczyć od napastnika.

To był koniec. Popatrzył na niego i parsknął wyczekująco. Jego jeździec zginął i zwierzę szukało kogoś, kto by je wyprowadził z pola bitwy. Cale szybko chwycił linę przymocowaną do siodła, zawiązał wokół łęku i owinał nią pierś Conna. Chłopak zrobił się czarny na twarzy, wzrok miał pusty. Na szczęście lina była cienka, ale sztywna, bardziej ozdobna niż praktyczna, lecz dzięki temu łatwo ją przewlekł najpierw pod jednym ramieniem nieprzytomnego, potem pod drugim. Związał ją z całej siły. Przewrócił się w błoto, kiedy próbował wskoczyć na siodło. Bardziej zdesperowany niż

kiedykolwiek w życiu, złapał za lęk i widząc, że szczelina się zamyka, wrzasnął koniowi w ucho. Przestraszone zwierzę wyskoczyło przed siebie, ślizgając się i młócąc zrytą ziemię, prawie się przewróciło, jednak w końcu

427

złapało grunt i szarpnęło z siłą wielkiego konia do polowań, przyzwyczajonego do dźwigania na grzbiecie trzystu funtów żywej wagi. Z początku ciało Conna nie chciało nawet drgnąć, lecz po chwili rozległ się trzask łamanej nogi i chłopak został wyciągnięty spod sterty przygniatających go trupów. Kiedy opór nagle zniknął, koń znowu o mało nie upadł, a Cale omal nie spadł z siodła, ale po chwili ruszyli w stronę rozstępu między walczącymi.

Jechali bardzo powoli, ale koń był silny i dobrze wyszkolony i szedł dalej mimo pandemonium, które się rozgrywało dookoła, zadowolony, że znów ma na grzbiecie jeźdźca. Instynkt, który utrzymał go przy życiu przez piętnaście minut w samym środku masakry, pomógł mu ocaleć również teraz. Cale rozplaszczyl się na siodle, opuścił nisko głowę, gotów w każdej chwili przeciąć linę, gdyby holowanie Conna zagroziło mu upadkiem. Błoto, które przyczyniło się do śmierci tyłu Materazzich, a miało ich zabić jeszcze dużo więcej, dla Conna okazało się zbawienne. Nieprzytomny, dał się wlec wszędzie, gdzie go pociągnięto niczym sanki na śniegu. Jadąc z głową spuszczoną nisko i poganiając konia piętami, Cale nie zauważył dwóch odkupicieli, którzy podchodzili z przeciwka do jadącego wolno zwierzęcia. I nie widział, jak padali, krzycząc prawie jednym głosem, zabici przez śmiercionośnie czujnych Kleista i Henriego.

W niespełna trzy minuty koń przeszedł przez tłum mężczyzn, którzy zostali zepchnięci na środek pola, po czym cicho i spokojnie, niosąc na grzbiecie roztrzęsionego Cale'a i wlokąc za sobą nieprzytomnego Conna, wszedł na wąską ścieżkę biegnącą między Wzgórzem Silbury a nieprzebytym lasem otaczającym miejsce bitwy.

Tam zatrzymał konia i zsiadł, aby obejrzeć Conna. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że nie żyje, ale oddychał. Szybko zdjął mu zbroję i z wielkim mozołem przerzucił go

428

brzuchem przez siodło. Przez cały czas, chociaż nieprzytomny Conn jęczał i czasami krzyczał z bólu w połamanych żebrach i nodze. Cale poprowadził dalej konia i pięć minut później zgiełk bitewny ucichł, a zastąpił go świergot kosów i szelest

wiatru poruszającego liśćmi drzew.

* * *

Godzinę później Cale'a zmogła obezwładniająca fala zmęczenia. Na próżno szukał jakiejś ścieżki prowadzącej przez las, musiał w końcu wyciąć sobie drogę przez gąszcz krzewów i cierni, które siekły go niemiłosiernie po twarzy i ramionach. Głębiej jednak zarośla nieco się przeczłystyły i ustąpiły miejsca wyściółce suchych liści. Przywiązał konia i ostrożnie ściągnął Conna na ziemię. Patrzył na niego przez kilka minut, jakby nie mógł zrozumieć, jaka siła przywiodła ich obydwu w to miejsce. Najostrożniej, jak umiał, nastawił mu nogę i przywiązał ją do dwóch konarów jesionu. Potem się położył i natychmiast zapadł w głęboki sen wypełniony koszmarami.

Zbudził się dwie godziny później, kiedy koszmary stały się już nie do zniesienia. Conn Materazzi był

nadal nieprzytomny i blady jak śmierć. Cale wiedział, że musi znaleźć przynajmniej wodę, ale czuł się nadal skrajnie wycieńczony i przez dziesięć minut siedział bez ruchu jakby w transie. W końcu Conn zaczął jęczeć i kręcić się niespokojnie. Ocknął się i na widok pochylonego nad nim Cale'a krzyknął oszołomiony i przerażony.

— Uspokój się. Nic ci nie grozi.

Conn wytrzeszczył oczy i chciał się rzucić do ucieczki, ale natychmiast zawył z bólu.

— Na twoim miejscu bym się nie ruszał. Masz złamaną nogę.

Przez kilka minut Conn się nie odzywał, tylko czekał, aż okropny ból w nodze stopniowo złagodnieje.

— Co się stało? — spytał w końcu.

429

Cale zrelacjonował mu ostatnie wydarzenia. Kiedy skończył, zapadło długie milczenie.

— Nie zdążyłem nawet żadnego z nich zobaczyć na oczy — odezwał się w końcu Conn. — Mówię o odkupicielach. Nie widziałem ani jednego. Jest jakaś woda?

Ta kompletna bezradność Conna, żalosne, okropne położenie, w jakim się znalazł, zaczęły budzić w Cale'u zarazem litość i irytację.

— Zanim się tu zatrzymaliśmy, widziałem dym. Wydaje mi się, że wczoraj ktoś mówił o wiosce niedaleko wzgórza. Wrócę najszybciej, jak się da.

Zdjął z konia pancerz i odciął jak najwięcej kropierza pokrywającego grzbiet i boki. Potem wyprowadził wierzchowca na ścieżkę. Wsiadł i pogłaskał zwierzę po głowie.

— Dziękuję — powiedział.

I pokierował je w las.

35

W ciągu trzech godzin Conn Materazzi został zabrany przez miejscowego chłopca i położony do łóżka. Tam ponownie zemdlął i jęczał żałośnie przez całą godzinę, kiedy Cale starał się w zadowalający sposób nastawić mu nogę złamaną w udzie. Unieruchomił ją następnie czterema leszczynowymi kijami i ośmioma skórzanymi pasami. I przez cały ten czas Conn nie odzyskał przytomności. Był tak śmiertelnie blady po tym wszystkim, że zdawało się niemożliwe, aby jeszcze kiedyś się ocknął.

— Zetnijcie mu włosy — powiedział Cale do gospodarza. — I zakopcie zbroję w lesie na wypadek, gdyby zjawili się odkupiciele. W razie czego powiedzcie im, że to parobek. Jeśli uda mi się dotrzeć do Memphis, przyślą po niego ludzi. Zapłacą wam. A jeśli nie, to on wam zapłaci, jak wydobrzeje.

Chłop popatrzył na Cale'a.

— Nie chcę waszych rad ani waszych pieniędzy.

To powiedziawszy, wyszedł z izby. Wkrótce potem ocknął się Conn. Obaj chłopcy patrzyli na siebie

w milczeniu.

— Teraz sobie przypominam — rzekł Materazzi. — Prosiłem cię o pomoc.

431

— Tak.

— Gdzie jesteście?

— Na farmie, mniej więcej dwie godziny drogi od pola bitwy.

— Boli mnie noga.

— Musi pozostać unieruchomiona przez sześć tygodni, ale nie wiem, czy na pewno zrośnie się prosto.

— Czemu mnie uratowałeś?

— Nie wiem.

— Ja bym tego nie zrobił, gdybym znalazł się na twoim miejscu.

Cale wzruszył ramionami.

— Człowiek nie wie, co zrobi, dopóki nie stanie przed taką decyzją. Zrobiłem to i tyle.

Przez długą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

— I co teraz?

— Rano pojedę do Memphis. Jeśli mi się uda, przyślę kogoś po ciebie.

— A potem?

— Zabiorę przyjaciół i pojedę gdzieś, gdzie żołnierze nie są głupi i obłąkani. Myślałem, że nie da się przegrać bitwy, mając taką przewagę. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

— Więcej nie popełnimy takiego błędu.

— A kto ci powiedział, że dostaniecie drugą szansę? Princeps nie będzie stał pod Silbury i przeglądał się w lustrze. Skopie wam tyłki aż do samego Memphis.

— Przegrupujemy się.

— Co przegrupujecie? Trzy czwarte Materazzich leży tam trupem.

Conn nie potrafił zareplikować. Położył głowę na poduszce i zamknął oczy.

432

— Żałuję, że nie zginąłem — wyznał w końcu.

Cale wybuchnął śmiechem.

— Musisz się zdecydować. Rano mówiłeś co innego.

Conn zrobił jeszcze bardziej żalostną minę, jeśli to w ogóle

możliwe.

— Nie jestem niewdzięczny — mruknął.

— Czy to znaczy, że jesteś wdzięczny?

— Tak, jestem wdzięczny. — Conn znowu zamknął oczy. — Wszyscy moi przyjaciele, krewni, ojciec... wszyscy zginęli.

— Prawdopodobnie tak.

— Na pewno.

Cale nie odpowiedział.

— Powinieneś się przespać. I tak nic nie możesz teraz zrobić. Jak wyzdrowiejesz, odpłacisz odkupicielom w stosownym czasie. Pamiętaj: najlepszą zemstą jest zemsta.

Wypowiedziawszy tę mądrą sentencję, pozostawił Conna własnym, niewesołym myślom.

Nazajutrz rano Cale dosiadł konia i wyruszył, uznawszy, że nie musi się żegnać z Connem. Zrobił dla niego więcej, niż można by oczekiwać, i było mu nawet jakoś wstyd, że narażał życie dla kogoś, kto, jak sam przyznał, nie zrobiłby tego samego na jego miejscu. Przypomniało mu się, co powiedział kiedyś IdrysPukke, kiedy palili razem tytoń przy świetle księżyca w Zielonych Koronach: „Opieraj się pierwszym impulsom, bo nader często bywają zbyt wspaniałomyślne”. Wtedy wziął tę uwagę za jeden z wielu przejawów czarnego humoru IdrysPukkego, teraz zrozumiał, co jego przyjaciel miał na myśli.

Chociaż niecierpliwił się, aby jak najszybciej dotrzeć do Memphis i upewnić się, że Arbella jest bezpieczna, ruszył na północny wschód, okrążając miasto szerokim łukiem. Po zamieszeniu bitewnym z pewnością włóczyło się po okolicy dużo

433

odkupicieli i Materazzich, a żaden nie będzie się zbytnio zastanawiał, kogo zabija. Omijał miasta i wsie, a jedzenie kupował tylko w gospodarstwach leżących na uboczu. Wszędzie dotarła już wieść o wielkiej bitwie, chociaż jedni opowiadali o sromotnej porażce, inni o wielkim zwycięstwie. Cale oznajmiał, że o niczym nie słyszał, i czym prędzej odjeżdżał.

Trzeciego dnia skręcił na zachód, prosto w stronę Memphis i dotarł na Agger Road prowadzącą do stolicy z Somkheti. Gościniec opustoszał. Cale ukrył się między drzewami i czekał, a kiedy przez godzinę nikt się nie zjawiał, uznał, że może zaryzykować i pojechać drogą. Okazało się to trzecim błędem, jaki popełnił w ciągu ostatnich czterech dni. Im bardziej się zbliżał do Memphis, tym większy ogarniał go niepokój. Dziesięć minut później zza ostrego zakrętu wyjechał patrol Materazzich, Cale nie miał jak go ominąć. Przynajmniej nie byli to odkupiciele. Z ulgą, ale i zdziwieniem zobaczył na przedzie kapitana Albina. Co szef wywiadu Materazzich robi na drodze wyjazdowej z miasta? Zdziwienie szybko zamieniło się w trwogę, kiedy dwudziestu żołnierzy, łącznie z Albinem wyciągnęło broń. Czterech łuczników wycelowało prosto w pierś Cale'a.

— O co chodzi? — spytał Cale.

— Posłuchaj, chłopcze, sprawa nie zależy od nas, jesteś aresztowany — powiedział kapitan. — Bądź grzeczny i nie rób kłopotów. Musimy ci zawiązać ręce.

Cale nie miał innego wyjścia, jak zrobić to, co mu kazali. Pewnie marszałek wpadł we wściekłość, że Cale zostawił Arbell samą z Kleistem i Mętym Henrim. Nagle uderzyła go przerażająca myśl.

— Czy Arbell Materazzi nic się nie stało?

— Nic — odrzekł kapitan. — Chociaż trzeba było o tym pomyśleć, zanim się ulotniłeś.

434

— Szukałem Simona Materazziego.

— To już nie moja sprawa. A teraz się nie rzucaj. Zawiążemy ci oczy

— Po co?

— Bo tak mówię.

Zarzucili mu na głowę ciężki worek jutowy, śmierdzący chmielem i tak gruby, że blokował nie tylko całe światło, ale i prawie wszystkie odgłosy.

Pięć godzin później poczuł, że wjeżdżają pod górę, a po chwili doszedł go głuchy stukot kopyt o drewno. Wjeżdżali przez jedną z trzech bram Memphis. Pomimo worka na głowie spodziewał się usłyszeć odgłosy miejskiej wrzawy, tymczasem poza pojedynczymi stłumionymi okrzykami tylko odczucie stromego podjazdu wskazywało, że kierują się w stronę cytadeli. Znow zaczął się niepokoić o Arbell, aż ścisnęło go w żołądku.

W końcu się zatrzymali.

— Zsadźcie go — polecił Albin.

Dwóch mężczyzn podeszło z lewej strony, w miarę delikatnie ściągnęło go z siodła i postawiło na ziemi.

— Albinie — poprosił Cale — zdejmij mi to.

— Przykro mi, nie mogę.

Dwaj mężczyźni wzięli chłopca z obu stron za ramiona i popchnęli do przodu. Usłyszał otwierane drzwi i poprowadzono go dalej. Zorientował się, że idą korytarzem. Skrzypnęły następne drzwi i po kilku krokach stanęli. Chwilę później zdjęto mu z głowy osłonę.

Od pyłu z worka i kilku godzin spędzonych w całkowitej ciemności prawie nic nie widział. Związanymi dłońmi przetarł oczy, po czym spojrział na dwóch mężczyzn, którzy zostali w holu. Pierwszy z nich miał zakneblowane usta i skrępowane ręce. Był to IdrysPukke. Gdy jednak rozpoznał drugiego czło-

435

wieka, serce zamarło mu z przerażenia i gniewu: przed nim stał

Lord Wojownik odkupiciel Bosco.

* * *

Kiedy minęła pierwsza fala wstrząsu i nienawiści, Cale zapragnął osunąć się na kolana i rozplakać jak dziecko. I zrobiłby to, gdyby nie ocalała go nienawiść.

— Jak widzisz, Cale'u — odezwał się Bosco — Bóg przywiedzie nas tam, gdzieśmy rozpoczęli naszą podróż. Możesz

o tym porozmyślać, gapiąc się na mnie z rozdziawionymi ustami, jak zły pies. I co ci przyniosły te twoje wycieczki?

— Co się stało z Arbell Materazzi?

— Och, jest całkiem bezpieczna.

Pomimo szoku Cale uznał, że lepiej nie pytać o Kleista

i Henriego. Nie odezwał się.

— Nie martwisz się o przyjaciół? — spytał Bosco. — Odkupicielu! — zawołał głośno.

Wtedy otworzyły się drzwi na drugim końcu sali i do środka wprowadzono obu chłopców, również z kneblami w ustach i związanymi dłońmi. Nie byli ranni ani pobici, chociaż wyraźnie przerażeni.

— Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy, Cale'u, ale nie chcę tracić czasu na konwencjonalne zabawy w niedowierzanie. Czy kiedykolwiek w życiu cię okłamałem?

Przez całe jego życie Bosco bił go nieludzko co najmniej raz w tygodniu, pięciokrotnie zmusił go do zabicia człowieka, lecz kiedy zadał to pytanie, Cale musiał przyznać, że o ile wiedział, Lord Wojownik nigdy nie powiedział nic, co można by uznać za kłamstwo.

— Nie.

— Więc pamiętaj o tym, kiedy będziesz mnie słuchał. Musisz mieć pewność, że doniosłość tego, co zamierzam ci wyjawić,

436

przekracza o całe niebo wszystkie te małostkowe problemy. A na dowód moich dobrych intencji puszczę wolno twoich przyjaciół. Wszystkich trzech.

— Udowodnij to — zażądał Cale.

Bosco się roześmiał.

— Dawniej taki ton skończyłby się dla ciebie bardzo boleśnie.

Wyciągnął rękę i odkupiciel Roy Stape wręczył mu oprawną w skórę grubą księgę.

— To jest Testament Powieszzonego Odkupiciela.

Cale nigdy w życiu nie widział na oczy tej księgi. Bosco położył dłoń na okładce.

— Przysięgam przed Bogiem na mą wieczną duszę, że obietnice, które tu dzisiaj złożę, a także wszystko, co powiem, jest całą prawdą i tylko prawdą. — Spojrzał na chłopca. — Zadowolony?

Cale wiedział dobrze, że dla Lorda Wojownika przysięga była największą świętością. Poza tym, szczerze mówiąc, jaki miał wybór?

— Tak — odparł.

Bosco odwrócił się do odkupiciela Roya.

— Daj im wszystko, czego potrzebują, w granicach rozsądku, i poręczenie bezpiecznego przejazdu. A potem ich wypuść.

Stape Roy podszedł do IdrysPukkego, złapał go za ramię i popchnął w kierunku Mętnego Henriego i Kleista, po czym wszystkich trzech skierował do drzwi. Cale utwierdził się w przekonaniu, że Bosco mówi prawdę: to przykazanie, aby nie obiecywać chłopcom za wiele, jak również dość szorstkie potraktowanie przez Stape'a wydawały się autentyczne. Gdyby wykazał nadmierną szczodrość lub potraktował więźniów kurtuazyjnie, wyglądałoby to bardzo podejrzanie.

— A co z Arbell Materazzi?

437

Bosco się uśmiechnął.

— Tak bardzo ci zależy, aby rozwiązać wszystkie swoje złudzenia?

— Co to znaczy?

— Pokażę ci, ale musisz się zgodzić na to, że zostaniesz związany i zakneblowany, będziesz stał w cieniu za parawanem i nawet nie drgniesz bez względu na to, co usłyszysz.

— Czemu miałbym ci cokolwiek obiecywać?

— Może w zamian za życie przyjaciół? To chyba brzmi rozsądnie.

Cale skinął głową i Bosco dał znak strażnikowi, aby go zaprowadził za mały parawan na końcu sali. Tuż przed wejściem za zasłonę, Cale odwrócił się do Bosca.

— Jak zdobyłeś miasto?

Bosco roześmiał się prawie skromnie.

— Łatwo i bez walki. Princeps wysłał do Portu Errol wieść

*

o wielkim zwycięstwie Czwartej Armii i wydał rozkaz, aby nasza flota wypłynęła i natychmiast zaatakowała Memphis. Całe miasto obleciał najbardziej bezbożny strach, jaki można sobie wyobrazić. Sto staj od brzegu zobaczyli, jak statki Materazzich uciekają, gdzie pieprz rośnie. Wylądowaliśmy, nie wzbudzając żadnego zamieszania. Byłem nawet zaskoczony. Ale w pełni usatysfakcjonowany. Wejdziesz tam i bądź cicho, to wszystkiego się dowiesz.

To powiedziawszy, machnął ręką w kierunku parawanu. Strażnik wyjął z kieszeni knebel i pokazał go Cale'owi.

— Możemy to zrobić po dobroci albo na siłę. Jak wolisz, mnie jest wszystko jedno.

Cale nie mógł się doczekać, aby ujrzeć Arbell, więc nie stawiał oporu. Przez kilka minut nic się nie działo. Obecność Bosca i jego dziwne zachowanie wzbudzało w nim coraz większy niepokój. Obserwował, jak na środku sali ustawiają

438

stół i trzy krzesła. Potem otworzyły się drzwi i do komnaty wprowadzono marszałka z córką.

Cale nie wiedział, że można odczuwać tak głęboką ulgę, tak silną i radosną falę szczęścia. Arbell była blada i przerażona, ale wyglądało na to, że nic jej się nie stało, podobnie jak jej ojcu, chociaż twarz miał zapadłą i wynędzniałą i wyglądał dwadzieścia lat starzej.

— Usiądźcie — powiedział łagodnie Bosco.

— Zabijcie mnie — odezwał się marszałek — ale błagam pokornie: nie czyńcie krzywdy mojej córce.

— Och, moje intencje nie są aż tak krwawe, jak pan to sugeruje — odrzekł Bosco nadal łagodnym tonem. — Usiądźcie. Trzeci raz tego nie zaproponuję.

Ta deprymująca mieszanina dobrotliwości i groźby speszyła marszałka i jego córkę jeszcze bardziej. Oboje usiedli bez słowa.

— Zanim zaczniemy, chciałbym, abyście mieli w pamięci, że tacy jak wy nie potrafią pojąć żarliwości i poświęcenia, do jakiego zdolni są ci, którzy żyją w służbie Powieszzonego Odkupiciela. Nie wymagam i nie oczekuję od was zrozumienia, ale w waszym interesie leży, abyście zdawali sobie sprawę, jak wygląda sytuacja. — Skinął głową jednemu z odkupicieli, który odsunął mu krzesło, po czym usiadł. — Będę mówił bez ogródek. Sprawujemy w Memphis pełną władzę, z waszej armii pozostało niespełna dwa tysiące wyszkolonych żołnierzy, którzy po większej części są naszymi jeńcami. Wasze rozległe imperium zaczyna się rozpadać. Zgadza się pan z tym?

Zapadło milczenie.

— Tak — odparł w końcu marszałek.

— To dobrze. Przywrócę w mieście waszą władzę i pozwolę wam odbudować stałą armię, aby zachować potęgę imperium, pod pewnymi warunkami, ale o tym później.

439

Marszałek i Arbell Materazzi wpatrywali się w Bosca z nadzieją, a zarazem podejrzliwością.

— Pod jakimi warunkami? — spytał marszałek.

— Nie zrozumcie mnie źle — powiedział Bosco tak łagodnie, że Cale ledwo go słyszał. — To nie są

negocjacje. Jesteście zdani na moją łaskę. Macie tylko jedną rzecz, której od was chcę.

— Co takiego? — spytał marszałek.

— Thomasa Cale'a.

— Za nic w świecie — wypaliła żarliwie Arbell.

Bosco przyjrzał jej się w zadumie.

— Ciekawe — rzucił.

— Czemu mielibyście to zrobić? — spytał marszałek.

— Wymienić chłopca na imperium? Zgadzam się, że to brzmi dość niewiarygodnie.

— Chcecie go zabić! — zawołała Arbell.

— Nieprawda.

— Ponieważ zabił jednego z waszych księży za to, że robił coś nieopisanie okropnego.

— Owszem, zabił jednego z moich księży i rzeczywiście duchowny ów robił rzecz nieopisanie okropną. Nie miałem pojęcia o tych heretyckich praktykach aż do dnia ucieczki Cale'a. Wszyscy, którzy byli zamieszani w tę sprawę, zostali oczyszczeni.

— Chciał pan powiedzieć zabici.

— Chciałem powiedzieć oczyszczeni, a potem zabici.

— Czemu Cale uważał, że to pan był za to odpowiedzialny?

— Zapytam go o to, kiedy się z nim zobaczę. Lecz jeśli myślicie, że oddałbym imperium tylko po to, aby ukarać Cale'a za zabicie zbrodniczego heretyka i zboczeńca... — przerwał, a na jego twarzy odmalowało się autentyczne zdziwienie. — Po co miałbym to zrobić?

440

— Może pan kłamać — stwierdził marszałek.

— Mogę, ale nie potrzebuję. Znajdę Cale'a prędzej czy później, choć wolałbym, aby to było prędzej. Możecie mi dać to, czego chcę, ale uprzedzam, że nie mam wiele cierpliwości, a kiedy stracę tę resztkę, zostanieie z niczym.

— Nie słuchaj go, tato — powiedziała Arbell.

— Czemu tak cię to porusza, młoda damo? Czy to dlatego, że jesteście kochankami?

Marszałek wytrzeszczył oczy na córkę. Z jego ust nie padło jednak ani jedno słowo oburzenia lub potępienia za splamienie królewskiej krwi. Długo panowało milczenie. W końcu doża odwrócił się z powrotem do Bosca.

— Co miałbym zrobić?

Bosco wziął głęboki oddech.

— Pan, marszałku, niczego nie może zrobić. Cale nikomu nie ufa. Wyjątkiem jest pańska córka, i teraz już wszyscy wiemy dlaczego. Chcę, aby napisała do Cale'a list, który przekaże w sekrecie jednemu z jego przyjaciół. W liście tym poprosi go o spotkanie za murami miasta o określonej porze. Przyjdę tam z ludźmi w takiej liczbie, że będzie się musiał poddać.

— Zabijecie go.

— Nie zabiję go — odrzekł Bosco, po raz pierwszy podnosząc głos. — Nie zrobię tego ani teraz, ani później, a powody wyjaśnię mu, kiedy zrozumie, że nie kłamię. Nie ma pojęcia o rzeczach, które chcę mu zakomunikować, a dopóki nie pozna prawdy, jego życie będzie wyglądało tak, jak od czasu opuszczenia Sanktuarium: pełne przemocy i gniewu, życie, które sprowadza zagładę na każdego, do kogo się zbliży. Pomyślcie, jakie spustoszenie posiał w waszym życiu. Tylko ja mogę go uratować przed tym przekleństwem. Cokolwiek do niego czujesz, nie jesteś w stanie zrozumieć, kim on jest. Jeśli będziesz

441

próbowała go ocalić, to nie tylko ci się to nie uda, ale ściągniesz nieszczęście na siebie, swego ojca, poddanych i przede wszystkim na samego Cale'a.

— Musisz napisać ten list — powiedział marszałek do córki.

— Nie mogę — odparła Arbell.

Bosco westchnął współczująco.

— Wiem, co to znaczy dźwigać ciężar władzy. Wybór, którego musisz dokonać, jest nie do pozazdroszczenia. Każda decyzja wyda ci się zła. Albo zniszczysz swój lud i ojca, albo człowieka, którego również kochasz. — Arbell wpatrywała się w Bosca jak zahipnotyzowana. — Chociaż jednak wybór ten wydaje ci się okrutny, w istocie taki nie jest. Cale'a nie spotka z mojej strony nic złego, a prędzej lub później i tak go znajdę. Jego los za bardzo jest związany z boską wolą, aby mógł od nas odejść. Dodam, że przeznaczenie wyznaczyło mu wśród nas bardzo szczególne miejsce. — Oparł się na krzesło i znowu westchnął. — Powiedz mi, młoda damo, czy pomimo całej swojej miłości, która, jak widzę, jest prawdziwa... — Przerwał i czekał, aż dziewczyna połknie tę posłodzoną truciznę. — Nie czułaś w nim nigdy jakiegoś... — znowu przerwał, tym razem, szukając odpowiedniego słowa — ...fatum?

— To tyś z nim to zrobił, swoim okrucieństwem.

— Nieprawda — odparł Bosco, ale takim tonem, jakby rozumiał przyczyny tego oskarżenia. — Od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem, było w nim coś szokującego. Dużo czasu upłynęło, zanim zrozumiałem, o co chodzi, ponieważ nie mogłem w to uwierzyć. Bałem się tego chłopca. Oczywiście to, co w nim tkwiło, należało ukształtować i poddać odpowiedniej dyscyplinie, ale żaden człowiek nie mógłby uczynić zeń tego, kim jest. Z pewnością nie ma we mnie tyle pychy, aby móc się tym chełpić. Byłem jedynie narzędziem w ręku Boga, usiłującym nagiąć to, co w nim wrodzone, dla naszego wspólnego

442

dobra i w służbie bożej. Lecz ty to również w nim czułaś, bałaś się tego, i słusznie. Dobroć, którą w

nim czasem widziałaś, jest jak strusie skrzydła: trzepocą, lecz nie uniosą go w powietrze. Oddaj go nam i ocal ojca, swój lud i siebie. — Przerwał dla efektu. — I Cale'a.

Arbell otworzyła usta, lecz Bosco uciszył ją ruchem ręki.

— Nie mam do powiedzenia nic więcej. Rozważ to i podejmij decyzję. Przyślę ci informacje na temat miejsca i czasu, gdzie się z nim spotkamy. Albo napiszesz ten list, albo nie.

Dwaj odkupiciele, którzy stali przy drzwiach, podeszli do stołu i dali znak Materazzim, aby wyszli. Kiedy Arbell prze-stępowała próg, Bosco zawołał do niej, jakby chciał wyrazić, choć z niechęcią, zrozumienie dla jej sytuacji.

— Pamiętaj, że spoczywa na tobie odpowiedzialność za życie tysięcy ludzi. I przyrzekam, że nigdy więcej nie podniosę na niego ręki i nie pozwolę, aby ktoś inny to uczynił. — A kiedy drzwi się zamknęły, Bosco mruknął do siebie: — Bo usta, które są dla niego teraz ponętne niczym plaster miodu, będą wkrótce gorzkie jak piołun i ostre jak miecz obosieczny.

Lord Wojownik odwrócił się i gestem przywołał Cale'a do światła. Strażnik wyjął knebel i zaprowadził chłopca do Bosca.

— Naprawdę uważasz, że ci uwierzy? — spytał Cale.

— Nie wiem, czemu miałaby nie uwierzyć. Mówiłem prawdę, choć może nie całą.

— Jaka jest reszta?

Bosco popatrzył na Cale'a, jakby chciał mu coś wyczytać z twarzy, lecz z niepewnością, jakiej chłopiec nigdy u niego nie widział.

— Nie — powiedział w końcu odkupiciel. — Poczekamy na jej odpowiedź.

— Czego się boisz?

Bosco się uśmiechnął.

443

— No cóż, może na tym etapie nie zaszkodzi między nami nieco szczerości. Naturalnie boję się, że prawdziwa miłość przezwycięży wszystkie przeszkody i panna Materazzi nie będzie chciała oddać cię w moje ręce.

◆ * ◆

Po powrocie do pałacu Arbell cierpiała katusze rozterki pomiędzy pragnieniem a obowiązkiem publicznym. Obie możliwości były równoznaczne z okropną zdradą. Jednak w głębi duszy (a nawet jeszcze głębiej) Arbell podjęła już decyzję, że zdradzi Thomasa Cale'a. Trzeba zrozumieć stratę, której doznała, otepiałający wstrząs, kiedy na jej oczach wszystko, co знаła, runęło w gruzy. A potem należy sobie wyobrazić przerażającą potęgę słów Bosca, które odzwierciedlały jej najszybsze odczucia. Pomimo całej fascynacji, owa niesamowitość Cale'a podniecała ją i odstręczała zarazem. Był taki gwałtowny, taki porywczy i pełen gniewu. Bosco przejrzał ją na wylot. A ona? Czyż mogła, będąc tym, kim była, nie reprezentować i nie kochać wszystkiego, co wyrafinowane i delikatne? I bez

wątpienia to właśnie delikatność i subtelność Cale najbardziej w niej uwielbiał. Lecz Cale'a ukształtowano okrucieństwem i przemocą, wykuto jego charakter w kuźni bólu i niewyobrażalnego strachu. Jak długo mogą być razem? W skrytości ducha, a nawet nieświadomie, Arbell od dłuższego czasu szukała sposobu, aby uciec od swego kochanka.

I tak, podczas gdy Cale czekał, aż jego ukochana go uratuje, a jednocześnie układał w myślach plan, jak uratować ją, ona podjęła już gorzką, lecz rozsądną decyzję, przedkładając dobro wielu nad szczęście jednego. Czy ktoś mógłby jej zarzucić, że postąpiła niesłusznie? Z pewnością z czasem nawet Cale ją zrozumie.

36

Prawie sześć godzin później Bosco wszedł do zamkniętego pokoju, gdzie przetrzymywano Cale'a. Trzymał w ręku dwa listy. Wręczył jeden chłopcu, który przeczytał go z kamienną twarzą dwukrotnie. Potem podał mu drugi.

— Błagała mnie ze łzami w oczach, abym ci go oddał po pojmaniu. Prosi w nim, abys uwierzył, jak trudno było jej podjąć tę decyzję i abys postarał się jej wybaczyć.

Cale wziął drugi list i wrzucił prosto do ognia.

— Miałem piękny sen — oznajmił Cale. — Przebudziłem się i jestem na siebie zły. Mów, co chciałeś mi powiedzieć.

Bosco usiadł przy stole, który poza łóżkiem był jedynym meblem w pokoju.

— Trzydzieści lat temu, kiedy udałem się na pustkowie, aby pościć i modlić się przed święceniami kapłańskimi, ukazała mi się trzykrotnie matka Powieszzonego Odkupiciela, pokój jej duszy. Podczas pierwszej wizji oświadczyła, że Bóg na próżno czekał, aż ludzkość okaże skruchę za zamordowanie jego syna, i zwątpił już w jej dobroć. Niegodziwość ludzka nie ma granic. Bóg żałuje, że stworzył człowieka. Podczas drugiego objawienia

445

przekazała mi słowa, które Bóg do mnie wypowiedział: „Nadchodzi kres istot z krwi i kości. Zetrzecie z powierzchni ziemi każdego żyjącego mężczyznę i kobietę, których stworzyłem. A kiedy zakończycie to dzieło, nastąpi koniec świata; zbawieni wkroczą do raju i nie będzie już więcej mężczyzn ani kobiet”. Spytałem ją, jak to ma zostać uczynione, a wtedy ona odrzekła, żebym pościł dalej i czekał na trzecie i ostatnie objawienie. Podczas trzeciej wizji przyprowadziła ze sobą chłopca trzymającego w dłoni gałąź głogu, a z końca tej gałęzi kapał ocet. „Szukaj tego chłopca, a kiedy go znajdziesz, przygotuj go do zadania, które go czeka. On jest lewą ręką Boga, zwą go też Aniołem Śmierci. On dokona dzieła”.

W trakcie tej przemowy Bosco wydawał się pogrążony w transie, jakby nie siedział w małej izbie w Memphis, lecz cofnął się w czasie o trzydzieści lat i na pustyni Fatima słuchał Matki Boskiej. Potem nagle jakby zgasło w nim jakieś światło i oprzytomniał. Popatrzył na Cale'a.

— Gdy tylko przyprowadzono do Sanktuarium chłopca, rozpoznałem go natychmiast. — Kiedy to powiedział, na jego twarzy zawitał najdziwniejszy uśmiech, jaki Cale w życiu

widział: kochający i czuły. — To byłeś ty.

Tydzień później z cytadeli wyruszyła kolumna jeźdźców. Był wśród nich odkupiciel generał Bosco, a u jego boku Cale. W grupie, która przyszła zobaczyć ich odjazd, stali: marszałek Materazzi, kanclerz Vipond oraz najstarsi żołnierze, którzy ocaleli z bitwy pod Wzgórzem Silbury. Między nimi ciągnęły się dwa rzędy odkupicieli, którzy pilnowali, czy Cale, uwolniony, lecz nieuzbrojony, nie zrobi jakiegoś głupstwa. Na razie Boscowi było na rękę, aby marszałek Materazzi pozostał na

446

swym stanowisku, lecz uznał, że lepiej nie prowokować Cale'a i osobiście nakazał Arbella, co zresztą dziewczyna przyjęła z dużą ulgą, aby została w pałacu i uniknęła upokorzenia na wypadek, gdyby Cale chciał wymierzyć jej karę i spoliczkować na oczach ojca i reszty dworu. Miała za to obserwować wymarsz z najbliższego okna. Bosco nie musiał dodawać, że nikt nie powinien jej widzieć.

Pomimo wszystkich przedsięwziętych środków ostrożności nie był pewien, czy postąpił rozsądnie, zdejmując chłopcu więzy. Cale ściągnął cugle i popatrzył marszałkowi w oczy ponad głowami strażników. Obok ojca stał zrozpaczony Simon, lecz Cale zdawał się go ledwo zauważać. Kiedy się odezwał, mówił tak łagodnie, że jego słowa ledwo się przebijały przez parskanie niespokojnych koni.

— Przekaż ode mnie wiadomość swojej córce — powiedział. — Jestem z nią złączony więzami, których nawet Bóg nie może zerwać. Kiedy pewnego dnia poczuje na policzku delikatny podmuch, to będzie mój oddech. A gdy w nocy chłodny wiatr wzburzy jej włosy, to będzie przechodził obok mój cień.

Z tą złowieszczą groźbą na ustach Cale odwrócił się przed siebie i przynaglił konia. Procesja ruszyła w dalszą drogę. Niespełna minutę później zniknęli. W półmroku swojej komnaty Arbella stała przy oknie blada i zimna jak alabaster.

Marszałek i jego ludzie rozeszli się czym prędzej, aby w samotności rozpamiętywać swą haniebną porażkę. Wracając do pałacu w towarzystwie kapitana Albina, kanclerz Vipond odwrócił się do szefa wywiadu i rzekł cicho:

— Wiesz, Albinie, starzejąc się, coraz bardziej nabieram przekonania, że jeśli sędzić z jej zewnętrznych przejawów, to miłość bardziej przypomina nienawiść niż przyjaźń.

447

Kilka godzin później orszak odkupiciela opuścił przedmieścia Memphis i skierował się ku Strupim Wzgórzom i Sanktuarium. Przez cały ten czas generał Bosco i Cale nie zamienili ani słowa.

Zza kępy drzew w niewielkiej odległości od drogi Mętny Henri, Kleist i IdrysPukke obserwowali, jak grupa jeźdźców znika im z oczu. Potem ruszyli jej śladem.

Paul Hoffman - współczesny pisarz brytyjski. Ukończył anglistykę na Oksfordzie, potem imał się ponad dwudziestu różnych zajęć: był m.in. gońcem, nauczycielem i cenzorem filmowym. Napisał trzy scenariusze filmowe i cztery powieści - *The Wisdom of Crocodiles*, *The Golden Age of Censorship* oraz dwa pierwsze tomy trylogii *Lewa Ręka Boga* \ *Lewa Ręka Boga* i *The Last Four Things*.

